

KONTYNUACJA ZNAKOMICIE PRZYJĘTEGO **DETOKSU**

KRZYSZTOF
DOMARADZKI

TRANS



KRZYSZTOF
DOMARADZKI

TRANS

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2019

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

Przypisy końcowe

Redakcja: Mirosław Grabowski
Korekta: Anna Brzezińska
Opieka redakcyjna: Ewelina Węgrzyn
Projekt okładki: Magda Kuc
Zdjęcia na okładce: Michal Ludwiczak / Shutterstock, TIM ROBINSON / Arcangel

Copyright © Krzysztof Domaradzki 2018
Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8143-095-1

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

*Dla rodziców. Dziękuję za to, jacy jesteście
i kim dzięki Wam się stałem.*

Prolog

– Co dla pana?

– Paliwo z czwórki. Oraz kawa. Duża. Czarna.

Uśmiechnął się do sprzedawcy na stacji benzynowej. Niezbyt wylewnie. Tak jak uśmiechają się ludzie, którzy nie chcą dokładać sobie problemów już o siódmej rano. Wyciągnął z portfela stużłotowy banknot. Nigdy nie używał karty. I nie tankował do pełna. Płacenie gotówką za zakupy warte ponad dwieście złotych mogłoby zostać uznane za dziwne. A on nie chciał wyjść na dziwaka. Nie chciał, żeby ktokolwiek go zapamiętał. Pragnął być jak duch. Nawet jeśli przy jego gabarytach wydawało się to niemożliwe.

– I jeszcze to.

Sięgnął po snickersa i położył go na ladzie. Coś zwyczajnego, pomyślał. Trywialnego. Ludzkiego. Bezużytecznego.

Obserwował, jak sprzedawca skanuje baton, patrzy na kwotę, która wyświetliła się na monitorze, i flegmatycznie wydaje resztę. Zgarnął z lady snickersa oraz pieniądze, po czym podszedł do ekspresu. Wyciągnął plastikowy kubek i wybrał rodzaj kawy. Ziewnął, czekając, aż maszyna wypluje napój. Zastanawiał się, czy da się po nim poznać, że od kilkunastu godzin jest na nogach. Że kiedy inni spali albo bili się z myślami w łóżku, on ciężko pracował. Dopieszczał swoje dzieło.

Prostował to, co słaby, podatny na demoralizujące wpływy umysł wykrzywił. Skrętnie porządkował wynaturzoną rzeczywistość.

Wysłuchując się w terkot ekspresu, rozejrzał się na boki. Następnie wyciągnął zdjęcie. Było niewyraźne. Zrobione przy słabym świetle. Bez błysku. Naturalne. Przedstawiało półnągą kobietę. Nie wyglądała na niewiniątko. Raczej na owoc grzechu. Niepohamowania. Skurwienia. Los kobiety ze zdjęcia był przykrą konsekwencją braku wiedzy, że każdy ma do odegrania odgórnie wyznaczoną rolę. A także przykładem tego, co się dzieje z człowiekiem, który przeciwstawia się woli Boga.

– Pańska kawa – powiedział mężczyzna, który nagle wyrósł obok, z brudnym palcem wycelowanym prosto w ekspres.

– Przepraszam. Zagapiłem się.

Zabrał kubek z tacy, jednocześnie chowając fotografię do kieszeni.

– Ciężki poranek, co?

Pokiwał głową. Facet, który go zaczepił, również. Miał na sobie poprzecierane džinsy i nabitą ćwiekami ramoneskę. Proste siwe włosy wyszczuplały jego szczurzą twarz. Przypominał harleyowca albo podstarzałego członka punkrockowej kapeli. Nafaszerowanego jakimś pobudzającym ścierwem, które zmuszało go do nieustannego szczyrzenia przeżartych próchnicą zębów.

– U mnie też – powiedział. – A to dopiero połowa tygodnia.

Harleyowiec stał na szeroko rozstawionych nogach, z rękoma splecionymi na klatce piersiowej. Gapił się to na niego, to na ekspres. Denerwował go. Wolałby, żeby na niego nie patrzył. Żeby skupił się na tej cholernej maszynie. Żeby nie próbował wciągnąć go w interakcję. Miał ochotę chlusnąć mu kawą w twarz. Rzucić się na niego. Usiąść na

tej wątlej klacie i wbić jego pusty łeb w posadzkę. A potem okładać go tak długo, aż połamane kości twarzy zaczną chrzęścić pod palcami.

Zamiast tego oszczędnie się uśmiechnął i wcisnął plastikową pokrywkę na kubek.

– Miłego dnia – powiedział, po czym ruszył do wyjścia.

Stał przed budynkiem. Poprawił szalik pod szyją i naciągnął czapkę. Rozejrzał się. Na stacji kręciło się kilka osób: tankujących samochody, szorujących szyby albo zatopionych w telefonach. Ich obecność nie robiła na nim większego wrażenia. Ale kiedyś było inaczej. Dawniej bywał oszalały z podniecenia. Nie potrafił zapanować nad dygotem ciała. Był zahukanym, przestraszonym, pełnym wątpliwości młodym człowiekiem, który jeszcze nie rozumiał swojej roli. Dopiero zaczynał się domyślać, że został stworzony do czegoś innego niż większość ludzi. Czegoś bardziej wymagającego od przeciętnego żywota. Wówczas jeszcze nie wiedział, że jest poplecznikiem Boga. Jego prawą ręką. Wyjątkowym ziemskim reprezentantem.

Tym, który karze.

Z czasem nauczył się ukrywać prawdę o sobie w zdawkowych uśmiechach, skinieniach, półsłówkach. Chować ją w tych wszystkich dialogach, w których korzył się przed ludźmi – także tymi, którzy nie zasługiwali na szacunek. Czasem żałował, że nie może się nikomu pochwalić swoją wyjątkową rolą. Że wolno mu tylko zostawiać małe ślady. Ledwo widoczne stemple, które traktował jak mikroświadcstwa bożego namaszczenia.

Popatrzył na samochody. Jego wzrok zatrzymał się na aucie stojącym obok jego ubłoconej landary. Czerwona alfa romeo spider.

Sportowy kabriolet. Lanserska fura. Dla facetów lubiących się wywyższać. Zakochanych w sobie. Uwielbiających eksponować swoją wyimaginowaną wyjątkowość. I wyimaginowanego wielkiego fiuta. Samochód dla mężczyzn, których nienawidził. Takich jak ten pajac przy ekspresie.

Zanurkował do kieszeni i wyciągnął zdjęcie. Westchnął. Nie chciał się z nim rozstawać. Ale byłoby mu żal, gdyby nie zostało zauważone. Wetknął je za wycieraczki alfy, a następnie wsiadł do swojego samochodu. Uruchomił silnik.

Wiedział, co się za chwilę wydarzy. Widział oczami wyobraźni, jak właściciel lanserskiej fury sięga po zdjęcie, biorąc je za kolejną upierdliwą ulotkę reklamującą burdel albo panienkę na telefon. Jak z mieszanką podniecenia i wstydu przygląda się kobiecie z zamazaną twarzą, sfotografowanej na obrzydliwym różowym tle. Sądzi, że to kolejna bezwartościowa, strawiona, zużyta dziwka, która wybrała nietypowy i niezbyt udany sposób wdzięczenia się do obiektywu.

Wiedział, że kierowca alfy ma prawo tak o niej myśleć. Chciał, żeby tak było. Właśnie dlatego umieścił na zdjęciu numer telefonu i fikcyjną nazwę agencji, w której kobieta mogłaby pracować.

Gdyby tylko była dziewczyną.

I gdyby tylko żyła.

Sierpień

Dwoje policjantów gapiło się na komisarza Tomka Kawęckiego jak na rzadki okaz zwierzęcia: nie w pełni znany i z całą pewnością nieudomowiony. Trudno było im uwierzyć, że siedzący przed nimi facet jeszcze nie wyleciał ze służby. Że ktoś taki przez kilka ostatnich miesięcy poruszał się z bronią po mieście. I że jakimś cudem nikogo w tym czasie nie zabił.

Podinspektor Łukasz Filipski poprawił luźne okulary, które notorycznie zsuwały mu się z nosa, i odłożył notatnik na stół. Skrzyżował ręce na klatce piersiowej.

– Coś nie tak z pańską kawą? – zapytał.

Kawęcki długo wpatrywał się w zawartość kubka. Następnie przesunął go wzdłuż krawędzi drewnianego stołu, zostawiając na nim mokrą smugę. Podrapał się po rzadkim zaroście, nierówno obrastającym jego obrzękłą twarz, i strząsnął kosmyk przetłuszczonych włosów, który wpadał mu do oczu. Ciężko sapnął i podniósł wzrok na policjantów.

– Poza tym, że trudno to coś nazwać kawą, wszystko jest w porządku – wychrypiał.

Filipski pochylił się nad stołem.

– Czy pan jest pijany?

– Być może.

– „Być może”?

– Prawdopodobnie. Nie badałem się alkomatem, więc nie mogę tego stwierdzić z całą stanowczością. Ale jeszcze wczoraj wieczorem byłem nieźle nawalony.

Filipski zacisnął usta. Odwrócił się do siedzącej na sąsiednim krześle komisarz Anny Stelmach. Choć pracowali ze sobą od kilku miesięcy i widywali się niemal codziennie, wciąż go onieśmiałała. Była od niego wyższa, szczuplejsza i lepiej ubrana. Jego tanie, znoszone garnitury wyglądały jak łachmany na tle idealnie skrojonych garsonków przybyłej ze stolicy paniusi, która równie dobrze mogłaby robić karierę w modelingu. A do tego była niesamowicie opanowana. Przypominała mu stereotypową Skandynawkę. Jasnowłosą, bystrą i oziębłą sukę, do której strach się odezwać.

Policjantka intensywnie wpatrywała się w Kawęckiego, jakby chciała wypalić wzrokiem dziurę w jego twarzy. W końcu spojrzała na Filipskiego. Nieznacznie skinęła głową.

– W normalnych okolicznościach byśmy z panem w ogóle nie rozmawiali – oznajmił Filipski. – Ale ze względu na dynamikę wydarzeń nie możemy czekać, aż pan wytrzeźwieje.

– I dobrze – odparł Kawęcki. – Moglibyście się nie doczekać.

Rozpiął ostatni guzik wymiętej białej koszuli i osunął się na oparcie krzesła. Patrzył na policjantów obojętnym, znudzonym wzrokiem. Jedną dłoń trzymał na stole, drugą na zapadniętym brzuchu. Z jego

prawej skroni spływała strużka potu. Nie zareagował, gdy skapnęła na szyję i popłynęła dalej.

Na zewnątrz było około trzydziestu stopni. Parno. Kolejny dzień upałów przeplatanych ulewami i gwałtownymi wyładowaniami elektrycznymi. Raj dla fotografów, którzy wdrapywali się na najwyższe piętra łódzkich wieżowców, aby uchwycić druzgocące piękno armagedonu przetaczającego się przez miasto, utrwalić na zdjęciach dziesiątki powykrzywianych piorunów strzelających w przypadkowych kierunkach. I piekło dla pijaków, którzy mieli ochotę zapaść się pod ziemię. Zniknąć. Umrzeć. Wyparować wraz z alkoholem wydostającym się z ich porów.

– Zebraliśmy sporo informacji na temat pana życia zawodowego. Łącznie kilkaset stron dokumentów i notatek. – Filipski położył dłoń na swoich zapiskach. – Mimo to muszę przyznać, że wciąż jest pan dla nas zagadką. Puską, którą ciężko otworzyć. Zupełnie jakby ludzie, z którymi pan pracuje, bali się to zrobić. Jesteśmy tu po to, żeby ich wyręczyć. Żeby się dowiedzieć, z kim właściwie mają do czynienia. Oczywiście może pan nam to utrudniać. Ale gdybym znalazł się w pana położeniu, tobym tego nie robił.

Łukasz Filipski uśmiechnął się kwaśno, ponownie poprawiając zsuwające się okulary. Podniósł jedną z leżących przed nim kartek i przeskanował ją wzrokiem. W tym czasie Anna Stelmach zdążyła napić się kawy, otworzyć notatnik i włączyć umocowaną na długim stojaku kamerę, której obiektyw był skierowany wprost na Kawęckiego.

– Jest dwudziesty ósmy sierpnia dwa tysiące osiemnastego roku, godzina dziewięta dwadzieścia pięć. Rozpoczyna się przesłuchanie komisarza Tomasza Kawęckiego z Wydziału Kryminalnego Komendy

Wojewódzkiej Policji w Łodzi. Przesłuchanie prowadzą komisarz Anna Stelmach z Biura Spraw Wewnętrznych w Warszawie i podinspektor Łukasz Filipski z łódzkiego wydziału Biura Spraw Wewnętrznych. Celem przesłuchania jest wyjaśnienie, czy komisarz Kawęcki dopuścił się przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązków, zniszczenia dokumentacji służbowej oraz narażenia cywilów na utratę zdrowia lub życia. – Filipski spojrzał uważnie na Kawęckiego. – Inaczej mówiąc, chcemy wyjaśnić, czy istnieją uzasadnione powody do zawieszenia pana w czynnościach służbowych. Albo do zwolnienia z pracy. Albo złożenia zawiadomienia do prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa. Czy okoliczności przesłuchania są dla pana jasne?

Kawęcki kiwnął głową.

– Proszę odpowiedzieć.

– Jak słońce.

– A zatem zaczynajmy. Najpierw chcielibyśmy zweryfikować kilka informacji dotyczących pana i pańskiej historii zawodowej. – Filipski zerknął na przygotowaną wcześniej listę pytań. – Czy to prawda, że cierpi pan na zespół Aspergera?

– Nie mam pojęcia – odparł Kawęcki po dłuższym namyśle. – Kiedy byłem dzieckiem, rzeczywiście pojawiło się takie podejrzenie. Ale lekarz nie potrafił postawić jednoznacznej diagnozy.

– Nikt pana później nie badał?

– Moi rodzice doszli do wniosku, że nie przeszkadza im życie w niewiedzy.

– A panu?

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Najwyraźniej niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– Czy to prawda, że ma pan świetną pamięć? Podobno zapamiętuje pan niemal wszystko, co usłyszy.

– Tylko jeśli mi na tym zależy. I gdy jestem w formie.

– Czy zabił pan kiedyś człowieka?

– Tak.

– W jakich okolicznościach?

– Na służbie. Osiem lat temu zastrzeliłem przestępcę, który otworzył ogień do mnie i do mojego partnera.

– Tym partnerem był nadkomisarz Mariusz Szczebiot, który później został pańskim przełożonym?

– Tak.

– Czy panowie są przyjaciółmi?

– Nie. Nigdy nie byliśmy. I raczej już nimi nie zostaniemy.

– Czy ma pan problem z alkoholem?

Kawęcki ścisnął usta i wciągnął policzki, przez co jego wymizerowana twarz wydała się jeszcze chudsza. Rozejrzał się po surowym wnętrzu pomieszczenia, które bardziej przypominało graciarnię niż pokój przesłuchań; ściany zasłaniały całe rzędy szafek i regałów, na których stały pokryte kurzem monitory, akcesoria biurowe i mnóstwo segregatorów. Przekrzywił się na krześle i wyciągnął z kieszeni dzinsów paczkę papierosów.

– Tu nie wolno palić – powiedział Filipski.

Kawęcki włożył szluga do ust. Zapalił. Wypuścił dym nad głowę. Uśmiechnął się do policjantów, a następnie bezradnie rozłożył ręce.

– Zdaje się, że czujnik dymu nie zadziałał.

Filipski zatrzymał nagranie. Podniósł się z krzesła i podszedł do dwóch niewysokich i wyraźnie wędzących storczyków, jedynych

kwiatów, jakie uchowały się w pomieszczeniu. Wyciągnął podstawkę spod doniczki i postawił ją przed Kawęckim. Potem otworzył okno na oścież. Do pomieszczenia wlał się pomruk ulicy oraz gwałtowny wiatr, który pozrzucał dokumenty ze stołu. Kawęcki schylił się po jeden z wydruków. Przyjrzał mu się uważnie, a następnie oddał kartkę Annie Stelmach, nieustannie gromiącej go wzrokiem.

Kiedy Filipski mocował się z oknem, które szalejąca wichura próbowała wepchnąć do środka, powarkiwania silników samochodowych zastąpił stukot deszczu rozbijającego się o parapet. Nad miastem zawisły ciemne chmury. Momentalnie pociemniało. Pojawił się pierwszy błysk, a kilka sekund później nastąpił grzmot. Rozpoczął się kolejny armagedon.

– To metafora życia – powiedział Kawęcki, strzepując popiół na podstawkę.

– Co takiego? – spytał Filipski.

– Pogoda. Jakkolwiek pięknie by było, w każdej chwili może się zrobić ciemno. I nigdy nie wiadomo, kiedy to nastąpi.

Kawęcki zaczął miarowo stukać zapalniczką o blat. Z każdym uderzeniem coraz głośniej. Filipski ponownie usiadł przy stole i energicznie wsunął okulary na czoło, jakby chciał nimi zasłonić rozrastające się zakola.

– Może pan się jeszcze nie zorientował, ale przebywanie w tym pokoju nie sprawia nam przyjemności. Wręcz przeciwnie. A jeżeli będzie się pan zgrywać, prawdopodobnie nie wyjdziemy stąd do wieczora. Wolelibyśmy tego uniknąć.

Nie przerywając stukania, Kawęcki wydmuchnął dym kącikiem ust. Potem przeniósł wzrok na policjantów.

– To zacznijcie w końcu pytać o to, po co mnie tutaj ściągnęliście.

Filipski zerknął na Stelmach, która wciąż wpatrywała się w Kawęckiego, a potem na jej notatnik. Nie zapisała w nim ani jednego słowa. Podinspektor poluzował krawat. Pochylił się nad stołem i ponownie włączył kamerę.

– Co pan robił dwudziestego pierwszego marca?

Pięć miesięcy wcześniej

Samochód gwałtownie zatrzymał się na poboczu. Tomek Kawęcki zaczął obmacywać drzwi, nerwowo szukając klamki. W końcu udało mu się je otworzyć. Wychylił się najdalej, jak potrafił, i wyrzucił treść żołądka na krawężnik. Po kilku głośnych seriach wymiotów, kompletnie wyczerpany, osunął się na fotel.

– Zamknij, kurwa, te drzwi! – warknął taksówkarz i odwrócił się w stronę Witolda Ptaka. – Jeśli się okaże, że zarzygał mi tapicerkę...

– Przepraszam za kolegę – wtrącił się Witold. – Cierpi na chorobę lokomocyjną.

– Chyba filipińską. Capi od was jak z gorzelnii. Wynocha!

– Jeśli dowiezie nas pan na miejsce, zapłacimy podwójnie za kurs. I za ewentualne pranie tapicerki.

Taksówkarz przez dobre kilka sekund zastanawiał się nad ofertą. W końcu głośno westchnął, zaklął pod nosem i odwrócił się w stronę kierownicy. Zanim włączył się do ruchu, podkręcił radio. Jakby ciężkimi basami chciał pogruchotać zbolale łby dwóch nagrzanych typów, którzy zasmradzali mu samochód.

Kawęcki wytarł rękawem twarz. Przez chwilę patrzył na swoje drżące dłonie. Czuł posmak wymiocin w ustach. I kolejną falę mdłości, która przetaczała się przez jego organizm. Nie miał wątpliwości, że wyrzucona na pobocze seria nie była ostatnią tego dnia.

– Lepiej ci? – zapytał Witold, przekrzykując radio.

Kawęcki z wysiłkiem przekrzywił głowę. Witold, wyższy od niego o piętnaście centymetrów, z nienaturalnie długim nosem i twarzą pooraną bruzdami, jedną dłoń trzymał na pomarszczonym czole, a drugą majstrował przy opakowaniu tabletek przeciwbólowych. W końcu wyciągnął dwie kapsułki i włożył je do ust. Skrzywił się, jakby próbował połknąć gówno. Przypominał niedźwiedzia, który wpadł we wnyki. Zaraz po tym, jak opróżnił beczkę wody.

– Miesiąc – powiedział Kawęcki.

– Może pan ściszyć to badziewie? – spytał Witold, zaciskając swoją wielką dłoń na zagłówku kierowcy. Zadziałało. – Co powiedziałaś?

– Prawie miesiąc nie piłem. Zapomniałem już, jak bolesne są powroty.

– To po co wracasz?

Dobre pytanie, pomyślał Kawęcki. Nie potrafił udzielić na nie uniwersalnej odpowiedzi, która sprawdzałaby się w każdym przypadku. Nie sądził, żeby taka istniała.

– Nie wiem – szepnął. – Mogę ci powiedzieć, dlaczego wróciłem wczoraj.

Akurat tego nie musiał wyjaśniać. Kiedy poprzedniego wieczoru wylądowali w mieszkaniu Witolda, mieli za sobą kilkadziesiąt godzin bezowocnej pracy. Nie zdołali ustalić, co się stało z Magdą Giętką, ich koleżanką z Wydziału Kryminalnego, która zaginęła kilka dni

wcześniej. Wszystko wskazywało na to, że została uprowadzona ze swojego samochodu stojącego tuż przed jej blokiem – policjanci zastali na miejscu zniszczony zamek, uszkodzony fotel i ślady chloroformu. Od jej porwania minęło ponad sto dwadzieścia godzin, więc ze statystycznego punktu widzenia sytuacja wydawała się prosta. Jeżeli do tego czasu Magda nie dała znaku życia, nikt jej nie widział, a porywacze nie zażądali za nią okupu, prawdopodobnie była już martwa.

A to wystarczający powód, żeby się zalać.

Kolejny poznali kilkanaście minut temu, kiedy Witolda obudził telefon od szefa. Powiedział mu, że prawdopodobnie znaleźli Magdę. A właściwie to, co z niej zostało.

– To ona? – zapytał Kawęcki, nie otwierając oczu. Jego poharatana głowa luźno zwisała z tułowia, jakby była do niego przymocowana sprężyną.

– Nie wiem.

– A co wiesz?

– Że to może być ona. I że jest cholernie nieprzyjemnie.

Kawęcki w końcu odważył się otworzyć oczy i spojrzał na surowy krajobraz rozciągający się za oknem. Na ogołoczone z liści drzewa, między którymi ziała pustka. Krzewy dopiero zaczynające obrastać zielenią. Las Łagiewnicki, który tak naprawdę jeszcze nie był lasem, tylko zbieraniną badyli na odludziu.

Tomek wiedział, co to znaczy, że jest cholernie nieprzyjemnie.

Mariusz Szczebiot drapał się obiema rękoma po głowie, jakby się zmagał z wyjątkowo upierdliwą wszawicą. Przestał, kiedy się zorientował, że skupia na sobie spojrzenia kilku techników

kryminalistyki i policjantów. I gdy uświadomił sobie, że naczelnik Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi nie może wyglądać i zachowywać się jak troglodyta. Niezależnie od tego, co przed chwilą zobaczył.

– Poczekajcie – powiedział.

– Na co? – zapytała Beata Tarka.

Szefowa zespołu techników przyglądała się Szczebiotowi z lekko przekrzywioną głową. Miała na sobie jednorazowy strój ochronny. Składały się na niego rękawiczki i ochraniacze na buty, biały kombinezon z kapturem oraz maska, którą opuściła, żeby zapalić papierosa. Wyglądała w nim jak dziwoląg. Choć i tak lepiej niż w swoim codziennym, pozbawionym wyrazu ubraniu, które tylko uwydatniało jej zaniedbany wygląd, ziemistą cerę i zblazowaną twarz.

– Chcę, żeby to zobaczyli, zanim ją odetniecie – wyjaśnił Szczebiot.

Po raz ostatni zerknął na zwłoki. Następnie podniósł kołnierz płaszcza, żeby przynajmniej częściowo osłonić twarz przed zacinającym wiatrem, i zaczął się wycofywać do samochodu.

Wieść o tym, że prawdopodobnie znaleźli ciało policjantki, szybko się rozeszła. Na miejscu zbrodni zdążył się zebrać tłumek policjantów i techników. Jedni przeczesywali podłoże, szukając na nim śladów krwi, butów czy opon, wszystkiego, co w jakikolwiek sposób mogło wiązać się z zabójstwem. Inni wraz z policyjnymi psami szwendali się po lesie, wyglądając jakichkolwiek tropów. A niektórzy po prostu stali jak wryci i bezmyślnie gapili się na zwłoki, jakby sprawiało im to perwersyjną przyjemność.

Szczebiot przedzierał się przez las, przydeptując wyglansowanymi butami gałęzie, które podczas zimy nie zdołały utrzymać się na

drzewach. Nigdzie nie było widać wydeptanych ścieżek. Na miejsce zbrodni nie prowadziła żadna droga, którą dałoby się swobodnie przejechać. Żeby tam dotrzeć z oddalonej o kilkaset metrów asfaltowej szosy, trzeba było się przebić przez błoto i chaszczę.

Jeżeli zrobił to w nocy, musiał dobrze znać to miejsce, pomyślał Szczebiot.

Zanim doczłapał do swojego samochodu, zobaczył Artura Waliszewskiego, który postanowił wyjść mu naprzeciw. Trafił do jego zespołu po przepracowaniu niemal dziesięciu lat w obyczajówce. Długo irytował Szczebiota. Był pyskatym trzydziestoparoletnim gnojkiem, przeświadczonym o swojej świetności i stale posługującym się językiem dziwek oraz alfonsów. Szczebiot miał wrażenie, że Artur koncentruje się głównie na tym, żeby dobrze wyglądać. Miał go za płytkiego playboya, pozoranta, jakich w policji jest na pęczki. Ale w ostatnim czasie facet, który wydawał mu się piątym kołem u wozu, zaczął wyrastać na najbardziej wartościowego śledczego w zespole. Nie była to jednak jego zasługa.

– Przyjechali – powiedział Artur.

– Gdzie oni są?

Nie musiał mu tego wyjaśniać. Powietrze rozerwał nieprzyjemny charkot, który po chwili przerodził się w kaszel. Po drugiej stronie ulicy, tyłem do nich, stał zgięty wpół Tomek Kawęcki. Wymiotował. Towarzyszył mu Witold Ptak, który łapczywie pił napój energetyczny. Wyglądali jak Flip i Flap siłą wepchnięci do filmu klasy B.

Szczebiot spojrział na zegarek. Minęły prawie dwie godziny, odkąd po raz pierwszy próbował się z nimi skontaktować. Ale widząc, w jakiej są formie, uznał, że i tak musiał się zdarzyć cud, skoro tu dotarli.

– To ona? – zapytał Witold, wyręczając Kawęckiego, który wyczerpany rzyganiem opierał się plecami o drzewo.

– Trudno powiedzieć – odparł Szczebiot. – Chodźcie. Technicy są już nieźle wkurwieni. Zresztą nie tylko oni.

Szczebiot popatrzył na policjantów, ale z ich zapijaczonych mord nie był w stanie wyczytać, czy zrozumieli aluzję.

W milczeniu ruszyli w głąb lasu. Patrzyli pod nogi, próbując wychwycić jak najwięcej szczegółów, które mogłyby się przydać podczas śledztwa. Na czoło czteroosobowej grupy wysunęli się Artur i Witold. Szczebiot zwolnił i zrównał krok z człapiącym z tyłu Kawęckim. Uważnie mu się przypatrywał.

Kawęcki wyglądał jak siedem nieszczęść. Zbyt obszerna kurtka zwisała z jego patykowatego ciała, a zmarnowaną twarz szpeciły blizny i zadrapania. Zamiast charakterystycznej rozczochranej czupryny miał niemal łysą głacę, na której znajdowało się kilka amatorsko założonych szwów. Po dwóch bójkach w ciągu niespełna miesiąca bardziej przypominał nędznego boksera niż policjanta.

Za pierwszym razem oberwał od niezidentyfikowanych sprawców, prawdopodobnie zajmujących się nielegalnym handlem agresywnymi psami. Dorwali go w Lesie Łagiewnickim – zaledwie kilka kilometrów od miejsca, w którym się teraz znajdowali – kiedy próbował się czegoś o nich dowiedzieć. Do drugiej jatki doszło w jego własnym mieszkaniu. Napadła go para zbirów, która z jakiegoś powodu postanowiła wyrządzić mu krzywdę.

Tyle udało się Szczebiotowi dowiedzieć z analizy dwóch miejsc zdarzenia oraz pobieżnej relacji Kawęckiego, w której roiło się od luk. Nie mieli świadków mogących potwierdzić jego wersję wydarzeń.

Żadnych dowodów jednoznacznie wskazujących, że mówi prawdę. Sprawcy pobicia w lesie uciekli, natomiast para przygłupów, która po starciu z Kawęckim trafiła do szpitala, na razie nie chciała z nikim rozmawiać. A już na pewno nie z policją.

Wymarzony scenariusz dla kogoś, kto próbuje coś zatuszować, pomyślał Szczebiot.

Po kilku minutach topornego przedzierania się przez las policjanci wyszli na polanę, którą zamiast trawy i roślin pokrywała ubita ziemia. Zatrzymali się. Kilkadziesiąt metrów dalej nerwowo krzątała się grupa ludzi.

– Jeśli masz znowu rzygać, to lepiej zrób to tutaj – powiedział Szczebiot do Kawęckiego. – Już dość najadłem się za ciebie wstydu.

Komisarz nie skomentował jego słów. Zamiast tego ruszył przed siebie, jak gdyby wygrzebał skądś dodatkową energię.

Ciało znajdowało się na końcu polany. Kiedy policjanci zbliżali się do niego, czuli się tak, jakby podchodzili do eksponatu muzealnego. Zwłoki wisiały mniej więcej trzy metry nad ziemią. Były przecięte na pół. Zabójca obwiązał obie części ciała liną i przymocował do dwóch grubych gałęzi.

– Jezu – westchnął Witold.

Tylko dzięki nagiemu ciału dało się na pierwszy rzut oka rozpoznać płeć ofiary. Kobieta miała bowiem zmasakrowaną twarz. Zabójca wydłubał jej oczy i wybił zęby. Na wystających z policzków kościach zwisały skrawki skóry.

– Kto znalazł zwłoki? – zapytał Witold.

– Trzydziestoosmioletnia mieszkanka Radogoszcza, niejaka Natalia Szulc – odparł Szczebiot, zerkając do notesu. – A w zasadzie jej bokser.

Szulc wyszła z domu, żeby pobiegać z psem. Wróciła z niezłą traumą.

– Dlaczego uważacie, że to może być Magda?

– Przeszliśmy teren. Kilkaset metrów stąd natrafiliśmy na kobiece ubranie: koszulkę i majtki. Jeszcze nie wiemy, czy należały do Magdy, ale rozmiar na to wskazuje.

– Nie znaleźliście przy nich żadnych dokumentów?

– Nie.

Kawęcki i Witold zbliżyli się do zwłok na tyle, na ile pozwolili im na to technicy.

– To się wydarzyło tutaj? – zapytał Witold.

– Masz co do tego jakieś wątpliwości? – odpowiedziała pytaniem Beata Tarka i wskazała palcem kałużę krwi.

– Czas zgonu?

– Między północą a trzecią w nocy.

– Jak to zrobił?

– Siekierą albo tasakiem. Wygląda na to, że była przywiązana do gałęzi, kiedy ją przepoławiał. Potem wspiał się na drabinę i przywiązał dolną część ciała.

– Na drabinę?

– Najprawdopodobniej.

Witold spojrzał pod nogi.

– A gdy już to zrobił, przekopał ziemię, żeby zatrzeć ślady – wyjaśniła Tarka.

– Po co? Bał się, że dojdziemy do niego po śladach drabiny?

Tarka wzruszyła ramionami.

– To już wy musicie ustalić.

Witold zerknął na Kawęckiego, który hipnotycznie wpatrywał się w zmasakrowane zwłoki, jakby był w stanie coś z nich wyczytać. W jego oczach widać było przerażenie. I coś jeszcze. Coś, czego Witold nie potrafił nazwać. Albo podświadomie nie chciał.

– Chcielibyśmy dokończyć to, co zaczęliśmy – oznajmiła Tarka. – Jeśli się jeszcze nie napatrzyliście, będziecie musieli zadowolić się zdjęciami.

Chwilę później technicy wrócili do pracy. Rozstawili wokół kałuży krwi trzy składane drabiny i zaczęli się na nie wdrapywać.

Zanim przecięli liny, na których wisiało ciało, Kawęcki po raz ostatni spojrzął na zwłoki. Poczul w ustach gorzki smak. Pochylił się i oparł dłonie na kolanach. Sądził, że ponownie zwymiotuje, ale mdłości nagle ustąpiły. Odczekał kilka sekund i się wyprostował. Zanurkował do kieszeni spodni. Wyciągnął z niej pustą paczkę papierosów. Zaklął.

Dzień nie mógł się zacząć gorzej.

Po południu rozpętało się piekło.

Wiadomość o tym, że w Lesie Łagiewnickim znaleziono ciało funkcjonariuszki, którą policja już kilka dni temu uznała za zaginioną – choć nie raczyła się podzielić tą informacją z opinią publiczną – błyskawicznie wyciekła do mediów. Zanim odbyła się pierwsza odprawa poświęcona wstrząsającemu zabójstwu, w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Łodzi rozdzwonił się telefon, a do jej siedziby zjechał tabun reporterów. Sądząc po pojawiających się w internecie informacjach, dziennikarze zdawali się wiedzieć o sprawie więcej niż zaangażowani w śledztwo policjanci, dopiero czekający na wieści z laboratorium kryminalistycznego.

Kilkadziesiąt osób – głównie niższych rangą funkcjonariuszy – zaangażowano do pilnowania, aby nikt niepowołany nie dostał się na miejsce zbrodni, gdzie wciąż pracowali policjanci i technicy. Drugie tyle zebrało się w sali konferencyjnej. Krótką odprawę poprowadził Mariusz Szczebiot. Choć jak zwykle był skrajnie zestresowany publicznym wystąpieniem, nie popełnił żadnego błędu, który miałby mu się śnić po nocach. Wiedząc, jakie mogą być konsekwencje dzielenia się szczegółami dotyczącymi zbrodni z taką dużą grupą ludzi, naczelnik Wydziału Kryminalnego nie powiedział na spotkaniu nic odkrywczego. W zasadzie tylko uformował tymczasową grupę operacyjną, która miała zająć się sprawą. Nie próbował tłumaczyć jej członkom, kogo, gdzie ani w jaki sposób mają szukać.

Dopiero późnym wieczorem Szczebiot i jego ludzie zbrali się w wąskim gronie. Na spotkanie przyszli Witold Ptak, Artur Waliszewski oraz Tomek Kawęcki. Długo milczeli. Bali się powiedzieć coś, co zabrzmiałoby niestosownie.

Żeby przełamać ciszę, Szczebiot połączył się z Beatą Tarką. Ustawił w smartfonie tryb głośnomówiący i położył telefon na stole.

– Macie coś nowego? – zapytał.

– Przede wszystkim ślady butów – wychrypiała Tarka charakterystycznym przepalonym głosem. – Znaleźliśmy ich całkiem sporo zarówno w okolicach zwłok, jak i w miejscu, w którym leżało ubranie ofiary.

– Mów dalej.

– Dwa rozmiary: czterdzieści jeden i czterdzieści dwa. Wygląda na to, że szukamy dwóch niewysokich mężczyzn. To by zresztą tłumaczyło, dlaczego nigdzie nie znaleźliśmy śladów ciągniętego po

ziemi ciała. Musieli przenieść ofiarę na skraj polany. Poza tym jedna osoba, nawet potężna, prawdopodobnie nie miałaby wystarczająco dużo siły, żeby powiesić w ten sposób zwłoki.

– Jesteś pewna, że było ich dwóch?

– Tak. Ofiara ma mniejszą stopę, więc byśmy wiedzieli, gdyby przyszła ze sprawcą pod drzewo.

– Udało wam się znaleźć miejsce, w którym zaparkowali samochód?

– Wydaje nam się, że tak. Dotarliśmy do szutrowej drogi, która ciągnie się mniej więcej kilometr od polany. Sprawdzamy kilka śladów opon. Zakładamy, że któryś z nich zostawiło auto zabójców.

– Coś jeszcze?

– Najprawdopodobniej czymś ją nafaszerowali. Nie miała związanych nóg ani nadgarstków, a na jej ciele nie znaleźliśmy wielu zadrapań czy siniaków. Więcej dowiedzie się od patologa, ale moim zdaniem musiała być nieprzytomna lub zupełnie bezwolna, kiedy jej to robili. – Ostatnie zdanie Tarka wypowiedziała niewyraźnie, jakby bardzo nie chciała go wyartykułować. A może tylko z powodu papierosa w ustach. – Niestety nie znaleźliśmy nic, co pozwoliłoby nam rozpoznać sprawców. Nie mamy żadnych śladów biologicznych. Nigdzie nie zostawili włosów, odcisków palców ani fragmentów naskórka. Kimkolwiek są, byli bardzo dyskretni.

Kiedy Tarka się rozłączyła, w sali znów zapanowała martwa cisza. Przerwał ją dopiero prokurator Adam Wurga, który nerwowym krokiem wparował do pomieszczenia. Jego grube ciało, ukryte pod wygniecionym garniturem, rozlało się na jednym z dwóch wolnych krzeseł. Na drugim położył wypchany po brzegi neseser.

– Kontynuujcie – powiedział. Nie doczekawszy się żadnej reakcji, dodał: – Przyszedłem się dowiedzieć, co wam się udało ustalić. Domyślam się, że te ogólniki, którymi podzieliłeś się na odprawie, to nie wszystko.

– I tak, i nie – odparł Szczebiot. – Właściwie mamy niewiele.

Zerkając do notatek, zreferował Wardze, czego się dowiedzieli od techników i policjantów, którzy pierwsi dotarli na miejsce zbrodni. Kiedy skończył, prokurator poluzował krawat, rozparł się na krześle i głośno sapnął.

– To mi wygląda na robotę mafii – powiedział. – Czy Magda mogła nadepnąć na odcisk jakimś gangsterom?

– Nie sądzę – powiedział Szczebiot. – Kiedy pracowała w Komendzie Miejskiej, nie zajmowała się przestępczością zorganizowaną. U nas też nie.

Szczebiot popatrzył na swoich ludzi. Witold odpowiedział mu krótkim skinieniem głowy.

– Gangsterzy działają zero-jedynkowo – powiedział. – Oni ukryliby ciało tak, że nigdy byśmy go nie znaleźli. Albo porzuciliby je w miejscu publicznym, żeby nikt nie miał wątpliwości, kto za tym stoi. Tutaj wydarzyło się coś niestandardowego. Sprawcy zabrali jej dokumenty, pozbawili ubrania i zmasakrowali twarz, ale nie ukryli ciała. Wyeksponowali zwłoki, jednocześnie próbując ukryć tożsamość ofiary.

– W takim razie dlaczego to zrobili?

– Moim zdaniem chcieli nas spowolnić. Albo się z nami zabawić. Zafundować nam kilka nieprzespanych nocy.

– Dowiedzieliście się, kim jest facet, z którym Magda spotkała się dzień przed zaginięciem?

– Sądziłem, że uda nam się to ustalić dzisiaj. Ale musieliśmy zmienić plany.

Warga popatrzył na Szczebiota i jego świtę. Był nimi rozczarowany. Świadczyło o tym jego zdeglustowane spojrzenie.

– Może to nie jest Magda – odezwał się niespodziewanie Kawęcki. – Może nie powinniśmy przyjmować założenia, że to jej zwłoki widzieliśmy dzisiaj w lesie. Co o tym myślisz? – zwrócił się do prokuratora.

Warga przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, po czym ciężko wypuścił powietrze.

– Lepiej przygotujmy się na najgorsze.

Z trudem podniósł wypchaną aktówkę, a potem z jeszcze większym wysiłkiem dźwignął swoje cielsko. Bez pożegnania wyszedł z sali. Policjanci ponownie zostali sami. I znów zatopili się w niezręcznej ciszy.

Sierpień

– Jak długo znam Kawęckiego? – Witold Ptak powtórzył zadane mu pytanie. – Zbyt długo. Zdecydowanie zbyt długo.

Wolno wypuścił powietrze, wodząc wzrokiem po poszarzałym suficie klaustrofobicznego pomieszczenia. Z jednej strony próbował przypomnieć sobie okoliczności, w jakich poznał Kawęckiego. Z drugiej uciekał przed wnikliwymi spojrzeniami Łukasza Filipskiego i Anny Stelmach. A także przymocowanej do stołu kamery, która znajdowała się między parą policjantów.

– To był chyba dwa tysiące drugi rok. Lato. Pamiętam, że było tak samo upalnie jak dzisiaj. Szefem kryminalnego był wtedy Władek Ordonowicz. To on zatrudnił Kawęckiego. Wszyscy podejrzewali, że zrobił to pod wpływem nacisku jakiegoś bogatego albo wysoko postawionego tatusia, który postanowił spełnić kaprys synalka i pomóc mu wstąpić do policji.

– Dlaczego tak myśleliście? – zapytał Filipski.

– Byliśmy przekonani, że Kawęcki nie nadaje się do tej roboty. Z trzech powodów. Po pierwsze, był chudy i wydawał się nieporadny. Nie chciało nam się wierzyć, że mógł uczciwie przejść testy

sprawnościowe. Po drugie, nie był wyszczekany. Wręcz przeciwnie: to największy mruk, jakiego spotkałem w policji. Przez kilka pierwszych miesięcy praktycznie się nie odzywał. Odpowiadał monosylabami, gdy go o coś pytałem. Dopiero po wódce robił się rozmowny.

– A po trzeciej?

– Był strasznym dziwakiem. Poznaliście go? – Witold w odpowiedzi otrzymał dwa kiwnięcia głową. – Miał ze sobą termos?

– Co takiego?

– Takie duże naczynie do przechowywania ciepłych napojów.

– Wiem, czym jest termos. – Filipski ciężko sapnął. – Nie, nie miał przy sobie nic.

– Od pierwszego dnia w policji taszczy ze sobą wielką srebrną tubę, w której nosi kawę. Zwykłą, rozpuszczalną, bardzo słodką. Nie mam pojęcia, po jaką cholere targa to ustrojstwo. Przecież taką samą, a nawet lepszą kawę mógłby sobie robić w kuchni.

– Pytał go pan o to?

– Tak.

– I co?

– Powiedział, żebym spierdalał. Często to od niego słyszę.

Witold roześmiał się. Po chwili zaraził swoim rechotem Filipskiego. Tylko Stelmach pozostała niewzruszona. Poczekała, aż mężczyźni się opanują, a następnie otworzyła notatnik.

– Jak by go pan scharakteryzował? – zapytała.

Witold ponownie musiał się zastanowić.

– Grała pani kiedyś w piłkę?

Stelmach po chwili wahania kiwnęła głową.

– Kto zazwyczaj stał na bramce?

– Najgrubsza dziewczyna w drużynie.

– Brawo. Jak ja grałem w piłkę, to na bramce stawał albo grubas, albo największy świr w ekipie. Facet w typie Mnicha z *Meczu ostatniej szansy*. Grał go Jason Statham. Oglądaliście?

Policjanci synchronicznie pokręcili głowami.

– Nie szkodzi, wiele nie straciliście. W każdym razie kiedyś zdarzyło nam się wystąpić w jakichś wewnętrzzpolicyjnych rozgrywkach. Zgadnijcie, na jakiej pozycji zagrał Kawęcki? – Witold uśmiechnął się i położył ręce na stole. – A poza tym to kawał skurczybyka. Potrafi być wrzodem na dupie. Czasem odnoszę wrażenie, że nikogo nie lubi. A już na pewno nie zależy mu na tym, żeby ktokolwiek jego lubił. Nie mam pojęcia, co skłoniło Teresę, żeby za niego wyjść. Ani jakim cudem udało jej się wytrzymać z nim tyle lat.

– Wie pan, dlaczego się rozstali? – spytała Stelmach.

Witold wzruszył ramionami.

– Przez jego chłanie, pracę albo charakter. Może pani sobie wybrać.

Stelmach zapisała coś w notatniku i spojrzała na Filipskiego, który gwałtownie odwrócił głowę. Nie po raz pierwszy przyłapała go na tym, że się na nią gapi. Bezceremonialnie. Jak pedofil wpuszczony do sklepu z zabawkami. Choć nie przestawało to jej wkurwiać, powoli się do tego przyzwyczajała.

– A dlaczego pan rozstał się z żoną?

Witold próbował się uśmiechnąć, ale zdołał jedynie zacisnąć usta.

– Jeszcze się nie rozstaliśmy, na razie jesteśmy w separacji. Ale jeśli kiedyś do tego dojdzie, to w moim przypadku z pewnością winna będzie praca.

Stelmach przyglądała się Witoldowi przez dłuższą chwilę. Kiedy nabrała pewności, że ten wielki mężczyzna o zmęczonej twarzy pała nieodpartą ochotą, aby wyrządzić jej krzywdę, zatopiła się w notatkach. Pałeczkę przejął Filipski.

– Czy był pan świadomy wszystkiego, co Kawęcki robił na służbie?
– zapytał. – Zwłaszcza w ciągu ostatnich dwóch lat?

– Myślę, że nie ma osoby, która by to wiedziała. Podejrzewam, że sam Kawęcki, nawet gdyby bardzo tego pragnął, nie byłby w stanie szczegółowo o tym opowiedzieć. Pewnie domyślacie się dlaczego. Ale jeśli dobrze rozumiem, to nie z jego pijaństwem i lukami w pamięci macie problem.

– Dobrze pan rozumie.

Witold starł wierzchem dłoni pot z czoła i łapczywie napił się wody. Kilkoma dużymi haustami wyłopał cały kubek, który kilka minut wcześniej policjanci podetknęli mu pod nos. Kiedy skończył, rozparł się na krześle. Jego potężne ramiona ledwo się zmieściły na oparciu.

– Kawęcki zawsze był taki... – Filipski długo szukał odpowiedniego określenia – nawiedzony?

– Co ma pan na myśli?

– Czy zawsze zatracał się we własnym świecie, próbując znaleźć w każdym zabójstwie nieistniejące drugie dno?

Witold zaczął obracać w dłoniach pusty kubek. Jednocześnie po raz kolejny uciekł wzrokiem w górę. Podziwiając paskudny sufit, uśmiechnął się kwaśno.

– A skąd pan wie, że nieistniejące?

Pięć miesięcy wcześniej

Stojąc obok Witolda Ptaka i doktora Jana Ronerta, Tomek Kawęcki miał prawo czuć się nieswojo. Pierwszy z nich przypominał byłego zapaśnika albo dzudokę, który po zakończeniu kariery trochę za dużo jadł i odrobinę zbyt często pił, ale za to wciąż regularnie ćwiczył. Drugi wyglądał jak klasyczna ofiara gigantyzmu: dwumetrowe ciało wieńczyły podłużna twarz i niekształtna czaszka przykryta kępkami siwych włosów. Kawęcki ze swoim przeciętnym wzrostem i mikrą sylwetką wyglądał przy nich jak podnózek. W dodatku solidnie wytarty.

– Nie macie wrażenia, że ostatnio zbyt często się widzimy? – zapytał doktor Ronert.

Lekarz medycyny sądowej mówił cicho i flegmatycznie, jak gdyby nudziły go własne słowa. Zawiesił na policjantach smętny wzrok. Nie byli pewni, czy oczekuje od nich odpowiedzi, czy tego, żeby zaśmiali się z jego żartu.

– Miejmy to już za sobą – powiedział Witold.

Chwilę później trzech mężczyźni stanęli przed stołem sekcyjnym, na którym leżały podzielone na dwie części zwłoki. Policjanci po raz pierwszy mogli obejrzeć je z bliska. Skala obrażeń była większa, niż przypuszczali. Przed wizytą w kostnicy mieli nadzieję, że gdy uważnie im się przyjrzą, będą w stanie rozstrzygnąć, czy jest to ciało Magdy Giętkiej. Ale potrafili jedynie stwierdzić, że zwłoki należą do kobiety, która w ostatnich chwilach życia miała wyjątkowo mało szczęścia.

– To Magda? – zapytał Witold.

– Wzrost, waga, wiek, kolor włosów i budowa ciała się zgadzają. Ale dopóki nie dostaniemy wyników badań DNA, możemy tylko zgadywać.

– Nie da się jej zidentyfikować po zębach?

– A widzisz tu gdzieś zęby? – Ronert ostrożnie poruszył zmiążdżonymi i spuchniętymi wargami ofiary. – Sprawca się ich pozbył. Prawdopodobnie wytłukł je młotkiem.

Witold ciężko sapnął.

– Wybacz. Od kilkunastu godzin słyszymy, że musimy poczekać na wyniki badań. To się zaczyna robić frustrujące.

– A chcecie usłyszeć coś nowego?

Słowa Ronerta zawisły w powietrzu. Witold dopiero po paru sekundach przypomniał sobie, że lekarz nie zwykł zadawać retorycznych pytań, i pokiwał głową.

– Lubicie filmy gore? – zapytał Ronert, a zobaczywszy konsternację na twarzach policjantów, zaczął wyliczać: – *Cannibal Holocaust*, *Nekromantik*, *Men Behind the Sun*?

– Ja widziałem jeden – odezwał się Kawęcki. – *Srpski film*.

– Klasyk – ucieszył się Ronert i spojrzał na Witolda. – Ostatnia scena jest rewelacyjna. Bohater zabija swojego przeciwnika penisem. Dosłownie. Znacie coś jeszcze?

– Czy twoje pytania prowadzą do czegoś? – zirytował się Witold.

Lekarz rzucił mu złowrogie spojrzenie. Następnie wsunął okulary na nos i wskazał dłonią ciało.

– Te zwłoki skojarzyły mi się z filmami gore. Z brutalnymi horrorami, które tworzy się wyłącznie po to, aby szokować widzów najdziwniejszymi dewiacjami, torturami, eksperymentami na ludziach albo scenami kanibalistycznymi. Ma być obrzydliwie i przerażająco. – Ronert wycelował palcem w stopy ofiary. – Co tu widzicie?

– Nic – odparł Witold.

– Właśnie. Na jej rękach i nogach nie ma śladów wiązań. Widać tylko pozostałości po linach, którymi sprawca przymocował ciało do drzewa.

– Beata Tarka sugeruje, że ofiara została nafaszerowana lekami.

– I słusznie. Chodźcie, coś wam pokażę.

Przeszli do biura Ronerta. Jego gabinet był malutki, odwrotnie proporcjonalny do gabarytów lekarza. Zagracone papierami szafki wyglądały tak, jakby za chwilę miały się zawalić.

Ronert usiadł za biurkiem i podał policjantom kartkę.

– To lista leków, związków chemicznych oraz toksyn, które znaleźliśmy w organizmie ofiary albo których występowanie podejrzewamy.

Policjanci przebiegli wzrokiem po liście.

– Jad kiełbasiany? – zdziwił się Witold.

– Zabójca prawdopodobnie karmił ją zepsutym mięsem. Wiecie, w jaki sposób działa jad kiełbasiany?

Policjanci pokręcili głowami. Ronert zdjął okulary i głośno westchnął.

– Krótko mówiąc, obezwładniająco. Może sprawić, że człowiek straci kontrolę nad swoim ciałem. Stanie się bezwładny. A jednocześnie zachowa pełnię świadomości.

Lekarz zrobił pauzę, żeby pozwolić policjantom pozbierać myśli. Szybko zrozumieli, do czego zmierza.

– Obezwładniające i znieczulające właściwości ma także kilka innych związków i leków z tej listy: fentanyl, chlorek suksametonowy, midazolam. O filmach gore opowiadałem wam nie dlatego, że je lubię, ale po to, byście zrozumieli, skąd sprawca mógł czerpać inspirację.

Znam przynajmniej kilka tytułów, w których różnej maści psychopaci serwują ofiarom substancje mające je obezwładnić, a jednocześnie nie doprowadzić do utraty kontaktu. Sprawić, aby były w pełni świadome, co im robią.

– Czyli szukamy fana filmów gore i anestezjologa w jednym? – zapytał Witold.

– Lekarza. Może być też pielęgniarzem, ratownikiem medycznym lub weterynarzem. Albo studentem medycyny. To nie jest wiedza tajemna, ale trzeba się trochę nagimnastykować, żeby ją zdobyć. – Ronert otworzył szufladę i wyciągnął z niej kilka zdjęć. Zaczął je przeglądać. – Tyle że to wszystko może być bzdurą. Mistyfikacją.

– Co masz na myśli? – zapytał Witold.

Patolog położył fotografie na stole. Były ponumerowane. Przedstawiały różne fragmenty zwłok z lasu.

– Zerknijcie na zdjęcie numer sześć. Widać na nim uszkodzenie rdzenia kręgowego pomiędzy siódmym a ósmym kręgiem szyjnym. I to nie byle jakie uszkodzenie. To precyzyjnie wykonane cięcie, zapewne jakimś narzędziem chirurgicznym.

Policjanci długo wpatrywali się w fotografię, ale widzieli na niej jedynie zmasakrowany fragment szyi. Nie mieli pojęcia, jak Ronert był w stanie cokolwiek tam dostrzec.

– Zauważcie, że zmiażdżył jej nie tylko twarz, ale również szyję, okolice ramion i barków, zarówno z przodu, jak i z tyłu. To sugeruje, że chciał zatrzeć ślad po cięciu, którym uszkodził rdzeń kręgowy ofiary i prawdopodobnie pozbawił ją czucia w kończynach. A może nawet zabił. – Ronert zabrał policjantom zdjęcie i zaznaczył na nim długopisem punkt, o którym mówił. – Moim zdaniem sprawca

doskonale wiedział, że te wszystkie metody obezwładniania ludzi znane z filmów można włożyć między bajki. Chciał was oszukać. Nie uwzględnił tylko tego, że ja też o tym wiem.

– Dlaczego to zrobił? – zapytał Witold.

– Żebyśmy myśleli, że ona wszystko czuła – wyjaśnił Kawęcki. – Że widziała, jak ją katuje.

Ronert kiwnął głową.

– To tym bardziej wskazuje na to, że macie do czynienia z lekarzem, a przynajmniej kimś, kto rozumie medycynę.

– Używasz liczby pojedynczej – zauważył Kawęcki. – Beata Tarka twierdzi, że sprawców było dwóch. Technicy znaleźli dwa rodzaje odcisków butów na miejscu zbrodni.

– Jeśli było ich dwóch, to prawdopodobnie tylko jeden zadawał jej rany.

Witold podniósł głowę i spojrzał w sufit.

– Cudownie – westchnął. – Wprost wspaniale, kurwa.

– Czy to może być ta sama osoba, która zabiła Martynę Bułęcką? – zapytał Kawęcki.

Ronert zmarszczył brwi. Zastanawiając się nad odpowiedzią, flegmatycznie drapał się po pociągłym czole.

– Nie mam pojęcia. Ale w obu przypadkach prawdopodobnie mamy do czynienia z kimś ponadprzeciętnie wysokim i ponadprzeciętnie silnym.

– Oraz okrutnym – dodał Witold. – Ponadprzeciętnie okrutnym.

Witold spojrział w lusterko wsteczne. Zobaczył w nim poharataną twarz Kawęckiego. Z jego lewej skroni spływała strużka krwi, która

wydostała się z rany po zdrapanym strupie. Mętym spojrzeniem lustrował pobocze. Miał minimalnie rozchylone usta, jakby próbował coś liczyć pod nosem. Witold zmienił bieg i dynamicznie przyspieszył, aby sprawdzić, czy Kawęcki jest choćby minimalnie zainteresowany tym, co się wokół niego dzieje.

Nie był.

– Zabiorą nam tę sprawę – odezwał się Artur Waliszewski. – Jeśli się okaże, że to ciało Magdy, śledztwo przejmie jakaś zgraja pedałów.

Witold spojrział na młodszego kolegę, który nerwowo wiercił się na przednim fotelu i przygryzał pięść. Z reguły zgrywał nieustraszonego twardziela, żyjącego wyłącznie po to, żeby pokazywać luz, pukać laski i spuszczać bandziorom wpierdol. Ale tym razem nie miał na to ochoty. Był szczerze przejęty. Choć wydawało się, że ze wszystkich policjantów z Wydziału Kryminalnego, którzy pracowali z Magdą, to on najbardziej miał ją w dupie.

– Stworzą specjalny zespół złożony z gogusiów z dochodzeniowo-śledczego i wywiadu kryminalnego.

– Skąd wiesz? – zapytał Witold.

– Podśluchałem rozmowę Szczebiota z komendantem. Stary twierdzi, że tak będzie najlepiej, bo my, jako jej koledzy, moglibyśmy podejść do sprawy zbyt emocjonalnie. A przez to nie bylibyśmy w pełni profesjonalni. Gówno prawda! – syknął, wymachując rękoma. – Przecież to jakiś korporacyjny bełkot.

Może to i lepiej, pomyślał Witold. Właśnie spędzili kilka godzin na bezowocnym przesłuchiwanie ludzi zamieszkujących domy w pobliżu Lasu Łagiewnickiego i wzdłuż drogi, którą zdaniem techników mogli przyjechać zabójcy. Wciąż nie zdołali ustalić, z kim Magda spotkała się

dzień przed swoim zniknięciem. Z oględzin miejsca zabójstwa nie wyciągnęli żadnych godnych odnotowania wniosków. Do tej pory jedyną wartość do śledztwa wniosły badania doktora Jana Ronerta, który tylko kilka razy widział się z Magdą. I któremu z pewnością była obojętna.

– Gdyby komendant miał odrobinę odwagi, toby przyszedł z tym do nas. Zapytałby o zdanie. Albo chociaż osobiście sprawdził, czy jesteśmy w stanie udźwignąć ten ciężar. – Artur pokręcił głową. – Ale zamiast tego spotkał się z naszym pizdowatym, pozbawionym własnego zdania szefem i powiedział mu, że mamy się skupić na zabójstwie Bułeckiej.

Witold ponownie spojrział w lusterko. Tym razem natknął się na wzrok Kawęckiego. Pobudzony. Czujny. Inny od tego, jaki widział w ciągu ostatnich kilkunastu godzin.

– Nie odnosicie wrażenia, że im wyżej ktoś jest w policyjnej hierarchii, tym mniejsze ma jaja? Jakby się kurczyły od wysiadywania na pierdzistołkach.

– Myślisz, że tylko w policji tak to działa? – zapytał Witold.

– Nie wiem. Nigdzie indziej nie pracowałem. Ale mam kolegę w wojsku. Tam podobno jest jeszcze gorzej. – Artur uśmiechnął się pod nosem. – Opowiedział mi, jak w ramach szkolenia wywieźli go na jakieś kompletne zadupie, gdzie psy chujami wodę piją. Spędził tam tydzień, babrając się w błocie i biegając po moczarach. W tym czasie dwaj oficerowie, którzy mieli opiekować się jego jednostką, trafili na dołek, bo przystawiali się do policjantek udających dziwki.

– I co się z nimi stało?

– Nic. Wypuścili ich. Jedyna strata była taka, że sobie nie poruchali.

Artur okazał się jedyną osobą w samochodzie, którą rozbawiła ta opowieść. Kiedy opanował śmiech, wyciągnął z kieszeni telefon i zaczął przeglądać Tindera, jakby się napalił wspomnieniem o dziwkach. Jednocześnie podkręcił radio, gdy z głośnika zawył jakiś kawałek z pogranicza techno i popu.

Witold przez dłuższą chwilę wpatrywał się w rozbawioną gębę Artura, zastanawiając się, jak to możliwe, że w tak krótkim czasie jego rozżalenie i złość przeobraziły się w głupawkę. Zazdrościł mu tego. On już chyba nie potrafił ani poważnie się martwić, ani szczególnie cieszyć. Od jakiegoś czasu wszystko w jego życiu działa się na pół gwizdka. Przetaczały się przez nie mikrokatastrofy, które ledwo zauważał. Jakby był zatopiony w hipnotycznym, tępiącym emocje śnie.

Ponownie spojrzął w lusterko wsteczne. Zobaczył, jak Kawęcki wyciąga spod nóg termos, odkręca potężną srebrną tubę, wlewa napój do nakrętki, a następnie pospiesznie ją opróżnia. Jednym dużym haustem.

Dziwne, pomyślał, że w samochodzie nie zapachniało kawą.

I że opróżniając nakrętkę, Kawęcki skrzywił się tak, jakby właśnie oberwał w mordę.

Plan był prosty. Przesiedzieć osiem godzin w ciszy, nie wdając się w żadne pogawędki, dyskusje czy żarty. Wypić dwie lub trzy kawy; koniecznie przy biurku, a nie w kuchni, gdzie mogłaby zostać wmanewrowana w niepotrzebną interakcję. Przygotować jeden niezbyt długi tekst na niezbyt skomplikowany temat, wymagający od niej niezbyt długich rozmów telefonicznych lub wysłania kilku niezbyt wymagających maili. Zaczekać, aż towarzystwo zacznie szwendać się

po biurze, zamiast pracować; aż rozgorzeją rozmowy o weekendowych planach; aż sprawy zawodowe – nawet nieśmiertelne utyskiwanie na szefów i burdel w firmie – zejść na dalszy plan. I gdy już w redakcji zostanie garstka ludzi, skupiona na przeglądaniu Facebooka, Allegro, Pracuj.pl czy ASZdziennika, zacząć pakować swoje graty.

Alicja Mioduszevska nie zamierzała nikogo informować, że odchodzi. A tym bardziej tłumaczyć, dlaczego została zwolniona z „Expressu Łódzkiego”.

Wiedziała, że gawieź byłaby zachwycona, gdyby się dowiedziała, że ich okrutny szef uczynił z niej kozła ofiarnego. Że wyrzucił ją po paru dniach cmokania nad jej tekstami – dotyczącymi nieudolnej pracy policji przy sprawie zabójstwa Martyny Bułeckiej, dwudziestoczteroletniej studentki poćwiartowanej przez jakiegoś psychopatę. I że zrobił to tylko dlatego, że prezes wydawnictwa kumpluje się z komendantem, a ich synowie są partnerami biznesowymi.

Sprawiłaby swoim redakcyjnym kolegom niewypowiedzianą przyjemność, gdyby udając, że identyfikują się z zawodową katastrofą koleżanki, tak naprawdę mogli napawać się jej porażką. Tym, że po kilku dniach pływania się w sukcesie, po paru wizytach w telewizji i radiu, spadła poniżej ich poziomu. Że wyleciała z łańcucha pokarmowego, podczas gdy oni byli bezpiecznie zakotwiczeni na jego dole.

Niech żyją umowy śmieciowe, pomyślała Alicja, przypominając sobie o swoim ledwie dwutygodniowym okresie wypowiedzenia. I o dwóch tygodniach urlopu, które planowała w tym czasie wykorzystać.

Do obszernej torby, zabranej do pracy specjalnie na okoliczność odejścia, wepchnęła wszystkie cenne rzeczy z biurka. Nie było ich wiele. Przywiązała się do redakcji, ale nie zdołała jej polubić. Nie była w stanie zapalać sympatią do firmy, która swoich pracowników uznaje nie za wartość, lecz za obciążenie. Do dwulicowych szefów traktujących podwładnych jak śmieci. Do kolegów, którym brakuje kręgosłupa moralnego. Choć nie planowała rozstania z „Expressem”, opuszczała go bez szczególnego żalu. Przynajmniej tak jej się wtedy wydawało.

Redakcja mieściła się w jednej z odrestaurowanych kamienic na Piotrkowskiej, więc do mieszkającego w centrum Jakuba Możejki mogłaby bez trudu dotrzeć piechotą. Mimo to postanowiła wsiąść do taryfy i obciążyć firmową kartę taksówkową. Po raz ostatni.

Jebać ich, pomyślała.

Jebać ich wszystkich.

Jechała niecałe pięć minut. Wysiadła przed klatką, wpisała kod na domofonie i zaczęła się wspinać po schodach. Drzwi wejściowe były zamknięte. Gospodarz nie zareagował na jej pukanie, więc sama je otworzyła. Po kłótni sprzed kilku dni chciała zwrócić Możejce klucz. On go jednak nie przyjął. Powiedział, że może z nim zrobić, co tylko chce. Że jest jej.

Alicja długo się zastanawiała, czy nie powinna go po prostu wyrzucić. Zapomnieć o tym, że zbliżyli się do tego stopnia. Ale ostatecznie uznała, że zatrzyma klucz. Ze względów praktycznych. Nie dlatego, że zamierzała wrócić do Możejki. O ile w ogóle można było to rozpatrywać w kategoriach powrotu. O ile kilka wspólnie spędzonych

nocy można uznać za związek. O ile było to coś więcej niż bezmyślne, nierokujące pierdolenie.

Kiedy weszła do środka, Możejko krzyknął do niej z kuchni, ale zagłuszyły go odgłosy skwierczenia mięsa na patelni i dźwięki muzyki klasycznej. Alicja spokojnie ściągnęła buty, powiesiła płaszcz na kołku przy drzwiach i ruszyła w głąb przestronnego, nowocześnie urządzonego mieszkania.

– Co mówiłeś? – zapytała.

– Powiedziałem, żebyś weszła, rozgościła się i napiła wina – odparł Możejko, wskazując palcem kuchenny stół, na którym stały dwa kieliszki białego wina. – Kolacja będzie gotowa za pięć minut.

Alicja zgarnęła naczynia i przeniosła się do salonu. Zastanawiała się, czy powinna docenić sztukę Mozarta, Bacha, Haydna i im podobnych klasyków, ponieważ tak wypada, czy raczej zaufać instynktowi, który jej podpowiadał, że ich przeterminowana twórczość zarezerwowana jest wyłącznie dla przeintelektualizowanych buców. Zanim udało jej się to rozstrzygnąć, jeden z nich wszedł do salonu, niosąc dwa talerze z porządnie wysmażonymi stekami, ułożonymi na makaronie spaghetti i przyozdobionymi jakimiś fikuśnymi warzywami. Na czarną koszulę zarzucił sportową marynarkę. Jego twarz pokrywał kilkudniowy, siwiejący zarost. Starannie uczesał krótkie ołowiane włosy. Wyglądał dobrze. Jak zawsze.

– Jak ci poszło w redakcji? – zapytał.

– Nieźle. Przez większość dnia unikałam kolegów i przeglądałam oferty pracy, udając, że pracuję. Mój pożegnalny tekst w „Expressie” to właściwie artykuł sponsorowany napisany dla konsorcjum deweloperów skupującego działki rolne na obrzeżach miasta.

– Ohyda.

– Chciałam ich delikatnie obsmarować, bo nabywają te grunty za jakieś absurdalne kwoty, ale naczelny powiedział, żebym napisała o nich dobrze.

– Dlaczego?

– Bo mają górę kasy. Naczelnym ma nadzieję, że kiedyś wykupią u nas reklamę. Tylko dlaczego mieliby to robić, skoro reklamujemy ich za darmo. – Alicja pokręciła głową. – Jak dobrze, że mam to już za sobą.

Możejko przyglądał się jej badawczo. Jakby próbował rozsądzić, czy to, co mówi, jest szczerze, czy to tylko łgarstwo solidnie podlane gniewem. W końcu podniósł kieliszek wina.

– Wobec tego wznieśmy toast za twoje zwolnienie.

Uśmiechnął się szeroko. Uśmiech był jednym z jego największych atutów. Niezwykle sprawnie posługiwał się nim na różnych etapach flirtu. Traktował go jak narzędzie do motania kobietom w głowach. Alicja doskonale o tym wiedziała, a mimo to trudno było się oprzeć jego urokowi.

Pociągnęła spory łyk wina, jakby to mogło jej jakkolwiek pomóc.

– Powiedz szczerze: o co chodzi z tą kolacją?

Możejko odkroił niewielki kawałek mięsa, włożył go do ust, przeżuł i połknął. Przez cały czas przyglądał się Alicji.

– O to, żeby ją zjeść. Nie jestem kulinarnym wirtuozem, ale steki wychodzą mi całkiem nieźle.

– Liczysz na to, że mnie tym udobruchasz. I że potem dam ci się przelecieć, bo po kilku kieliszkach wina nie będę w stanie ci się oprzeć.

Możejko znów się uśmiechnął, ale tym razem nie w sposób flirciarski. Raczej tak, jakby go szczerze rozbawiły jej słowa.

– Tak, właśnie na to liczę. Na to, że cię udobrucham, ponieważ to zdecydowanie podniesie jakość naszej pracy. Gdyby przy okazji udało mi się ciebie przelecieć, uznałbym to za miły dodatek.

Alicja upiła kolejny łyk wina. Jej kieliszek był już prawie pusty.

– Wiesz, co najbardziej podniosłoby jakość naszej pracy? – spytała.
– Jasno ustalone reguły.

Odstawiła kieliszek i chwyciła sztucce. Jadła w milczeniu, unikając wzroku Możejki.

Miała poważny problem z określeniem, czego właściwie oczekuje od tej relacji. Kilka razy się przespali. I choć niechętnie to przyznawała, było jej dobrze. Lepiej niż ze wszystkimi dotychczasowymi kochankami, którzy zwykle okazywali się szybkostrzelnymi chwalipiętami. Ale im lepiej poznawała Możejkę, tym dziwniejszym człowiekiem jej się wydawał. Czasem był szarmancki, a czasem zaskakująco nieprzyjemny: szorstki, gburowaty, traktujący ją z góry. Nie potrafiła go rozgryźć. Odnosiła paradoksalne wrażenie, że im dłużej zna Możejkę, tym mniej o nim wie. Jakby cierpiał na chorobę dwubiegunową, o której zapomniał jej wspomnieć.

Pod względem zawodowym ich znajomość była jeszcze bardziej skomplikowana. Poznała Możejkę, gdy pisała o sprawie zabójstwa Martyny Bułeckiej. Wydało jej się interesujące, że promotor zamordowanej studentki, człowiek, który pomagał jej w napisaniu pracy magisterskiej, jest przy okazji popularnym pisarzem. Dopiero po paru tygodniach dowiedziała się, że byli także kochankami. I że zabójca prawdopodobnie zdawał sobie z tego sprawę.

Kiedy Możejko zaproponował Alicji, aby jeszcze raz zatopiała się w tę historię i wspólnie z nim napisała reportaż o zabójstwie Bułeckiej,

początkowo chciała odmówić. W zasadzie miała ochotę zerwać wszystkie nici, które ją z nim łączyły. I być może zrobiłaby to, gdyby wciąż pracowała w tej pieprzonej gazecie. Gdyby nagle nie zaczęła martwić się o swoją przyszłość. Gdyby Możejko nie pokazał jej kilku cholernie dobrze napisanych rozdziałów. Gdyby nie odkryła w sobie autodestrukcyjnej natury, która ciągnęła ją do niego.

I gdyby nie dostała tych esemesów.

Wytarła serwetką usta i położyła telefon na stole. Przesunęła go w stronę Możejki.

– Wiadomość wysłana z bramki esemesowej – powiedziała. – Prawdopodobnie od informatora, który kilka tygodni temu pokazał mi zdjęcia Bułeckiej i policyjny raport. Ponownie się do mnie odezwał.

Możejko przyjrzał jej się uważnie. Połknął to, co miał w ustach, i pochylił się nad stołem.

1021631660196 OD: John Doe (16.36): Chcesz wiedzieć, kogo znaleźli w lesie?

Ja (16.37): Słucham.

1021631660196 OD: John Doe (16.39): Magda Giętka. Policjantka z Wydziału Kryminalnego. Przeciął ją na pół i powiesił na drzewie.

1021631660196 OD: John Doe (16.40): Co zrobisz z tą wiedzą?

Ja (16.41): Nie wiem. Nie pracuję już w gazecie.

1021631660196 OD: John Doe (16.50): To ten sam człowiek, który zabił Bułecką.

– Rozmawiałeś z wydawcą?

Możejko mechanicznie pokiwał głową, nadal wpatrując się w ekran smartfona.

– I co?

– Nie był zachwycony, ale wstępnie kupił nasz pomysł na reportaż.

Alicja zabrała telefon ze stołu, przyciągając w ten sposób wzrok Możejki.

– Dzielimy się po równo. Wspólnie zbieramy materiały, piszemy, redagujemy. Nie na zasadzie mistrza i czeladnika, ale jak partnerzy. Zgoda?

Możejko ponownie pokiwał głową. A kiedy skończył, jeszcze raz się uśmiechnął. Znów inaczej. Tym razem jak dziecko, które niespodziewanie dostało jajko niespodziankę.

– Dwie pięćdziesiątki czystej i piwo.

Barmanka, której obwisły biust zatrzymał się na ladzie, gdy tylko pochyliła się w stronę klienta, ze zdziwienia podniosła brew.

– Jesteś pewien?

– Bardziej niż czegokolwiek innego.

Odczekała kilka sekund, szczerze licząc na to, że facet się rozmyśli. Ale gdy to nie nastąpiło, wyciągnęła kieliszki oraz kufel. Rozejrzała się po lokalu.

Sobota była typową osiedlową speluną. Roiło się w niej od stałych bywalców, ludzi, którzy przychodzili tu codziennie i zalewali się we względnie kontrolowany sposób. Siadali przy tych samych stolikach i w tej samej konfiguracji. Zawsze prosili o to samo. Niewiele ze sobą rozmawiali. Zresztą nie mieli o czym, bo ich życie składało się z jednakowych, szarych dni, w których nawet pogoda za bardzo się nie zmieniała. Poza tym byli słabymi rozmówcami. Zbyt mało

zainteresowanymi własnym życiem, aby ciekawie o nim opowiadać. Dlatego znacznie lepiej odnajdywali się w roli obserwatorów.

Facet, który przed chwilą zamówił piwo i wódkę, był jednym z ich ulubionych obiektów obserwacji. Nie wiedzieli, jak się nazywa ani czym się zajmuje, choć podejrzewali, że pracuje w policji. Przychodził do Soboty od mniej więcej miesiąca – zwykle sam, choć czasem dołączał do niego kolega, który wyglądał jak zapaśnik – i za każdym razem zmagął się ze sobą. A właściwie z diabłem, który w nim tkwił, który podrzucał mu do głowy głupie pomysły i który wygryzał go z jego własnego życia.

Facet potrafił godzinami ślęczeć przy barze i wpatrywać się w ustawione na półce butelki albo zaglądać do stojącego przed nim kufla. Walczył, choć wszyscy świadkowie jego zmagania wiedzieli, że nie jest to pojedynek, który może wygrać. Żaden z nich tego nie potrafił. Zastanawiali się tylko, kiedy i on pęknie. Kiedy stanie się jednym z nich. Normalnym, pozbawionym złudzeń gościem. Pozbawionym resztek nadziei.

W końcu się doczekali.

– Ciężki dzień? – zapytała barmanka.

Mężczyzna opróżnił kieliszek, odczekał kilka sekund i popił piwem. Popatrzył na barmankę, jakby odezwała się do niego w obcym języku, a następnie powtórzył swój ceremoniał.

– Każdy dzień jest ciężki – odparł lakonicznie i zapalił papierosa.

– Jak się nazywasz?

Nieufnie popatrzył na barmankę.

– Ma to jakieś znaczenie?

Wzruszyła ramionami. Szukając odpowiedzi, zaczęła wycierać jeden z kufli.

– Prawdopodobnie nie. Ale przychodzisz tu od miesiąca i ludzie są ciekawi, kim jesteś.

– Ludzie czy ty?

– I ja, i ludzie. Wszyscy.

Mężczyzna mocno się zaciągnął. Długo trzymał dym w płucach, zanim go wypuścił.

– Tomek Kawęcki – powiedział.

Barmanka poszła na drugą stronę lady, żeby obsłużyć jednego ze stałych klientów. Gdy wróciła, kufel był pusty. Komisarz ponowił swoje zamówienie. Dwie lufy i browar.

– Nie jesteś zbyt rozmowny – zauważyła barmanka.

– Nie przychodzę tu, żeby pogadać.

– A po co?

Kawęcki opróżnił pierwszy z dwóch kieliszków. Popił piwem. Zaciągnął się papierosem.

– Pomyśleć – odparł.

I rzeczywiście: przez dwie godziny myślał. O kilkunastu młodych kobietach, których historie poznawał przez ostatnie tygodnie. O Martynie Bułeckiej, Justynie Kepler, Katarzynie Wolańskiej i pozostałych. O ich wyglądzie, wykształceniu, wierze, nawykach, rodzinie, znajomych. O miejscach, które odwiedzały, szkołach, w których się uczyły, oraz pracy, której nienawidziły. O ich stosunku do mężczyzn. O facetach, z którymi się spotykały. Myślał o pięknych młodych istotach, które umarły zbyt wcześnie. O kobietach, które prawdopodobnie padły ofiarą tego samego spaczzonego umysłu.

Zastanawiał się, co je łączyło. Czym mu zawiniły. Co spowodowało, że wybrał akurat te kobiety. Jak udało mu się je dopaść. I dlaczego postanowił w tak brutalny sposób z nimi skończyć.

A potem zaczął myśleć o sobie. O życiu, które wiódł, mimo że nie sprawiało mu żadnej frajdy. O błędach, jakie popełnił, i o wnioskach, których nie raczył z nich wyciągnąć. O cierpieniu, które sobie zadawał, choć łatwo mógłby przestać.

I wtedy się ocknął.

Cycata barmanka zniknęła. Stały przed nim dwa puste kieliszki, niedopite piwo i przepelniona popielniczka. Jego przedramiona przykleiły się do brudnej lady, wymięta koszula przylgnęła do spoconego ciała, a głowa pulsowała tak, jakby za chwilę miała pęknąć. Głośnik wciąż wypluwał disco polo.

A więc nie wszystko się zmieniło, pomyślał.

Kiedy zaczął obmacywać językiem wyschnięte podniebienie, poczuł, że coś wibruje w jego kieszeni. Wyciągnął telefon. Przeciągnął po ekranie zieloną słuchawkę i przystawił aparat do ucha. Nic jednak nie powiedział. Nie był w stanie. Nie musiał.

– To ona – oznajmił Witold Ptak. – To Magda.

Sierpień

– Ma pan rzadko spotykany talent – powiedział Łukasz Filipiński. – Potrafi pan przyciągać śmierć.

Tomek Kawęcki leniwie palił papierosa, opierając łokcie na stole. Jednocześnie wpatrywał się w Filipińskiego, jakby chciał mu wydłubać oczy.

– Najpierw Martyna Bułeczka, niedługo później Magda Giętka. Dwa zabójstwa w ciągu miesiąca. A do tego sam pan twierdzi, że to tylko wierzchołek góry lodowej. Że seria powiązanych ze sobą zabójstw jest znacznie dłuższa.

Kawęcki zgasił papierosa, wgniatając go w dno podstawki. Popatrzył w stronę okna, z którego spływały strugi deszczu. Zanim kłębiący się w pomieszczeniu dym zdołał się ulotnić przez lufcik, wyciągnął kolejnego szluga.

– Chcesz mi zadać jakieś pytanie?

Filipiński spojrział na Annę Stelmach. Policjantka podsunęła mu notatnik, w którym zapisała coś dużymi drukowanymi literami. Nieznacznie skinął głową.

– Czy to prawda, że według pana za zabójstwami Bułeckiej, Giętkiej i kilku innych kobiet stoi ten sam człowiek?

– Kilkunastu – odparł Kawęcki. – Kilkunastu innych kobiet.

– Skąd ta pewność?

Kawęcki wydmuchnął do góry dym. Rozejrzył się po pomieszczeniu. Nagle nieoczekiwanie wstał i podszedł do jednej z zakurzonych szafek. Zaczął się przekopywać przez leżące na niej papiery: pożółkłe notesy, obwiązane taśmą teczki, zapomniane bloki techniczne. W końcu wyciągnął kilka zwiniętych w rulon map. Wybrał jedną z nich i rozłożył na stole.

– Założę się, że jesteście wzrokowcami – powiedział.

Sięgnął po leżący przed Filipskim długopis, wetknął peta do ust, pochylił się nad stołem i zaczął zakreślać punkty na mapie województwa łódzkiego. Obok nich wpisywał imiona kobiet oraz ich wiek, krótką charakterystykę i listę obrażeń. Robił to z pamięci, niemal automatycznie. Nie zważał ani na popiół spadający na mapę, ani na dym wgryzający mu się w oczy.

Filipski i Stelmach gapili się na Kawęckiego jak na szaleńca.

– Te trzynaście kobiet łączy między innymi to, że w ciągu ostatnich kilkunastu lat zostały zamordowane na terenie województwa łódzkiego – wyjaśnił Kawęcki, stukając długopisem w mapę. – Miały od siedemnastu do trzydziestu sześciu lat. Z reguły były do siebie podobne: uśmiechnięte, energiczne, atrakcyjne, ze sporym biustem. Aktywne seksualnie. Wszystkie nieprawdopodobnie cierpiały przed śmiercią. Były obezwładniane przy użyciu środków chemicznych, a następnie gwałcone i katowane. Czasem przez kilka dni.

– Zapomniał pan o Magdzie Giętkiej – zauważył Filipski.

- Nie zapomniałem. Ona nie była częścią jego planu.
- A kim była? Wypadkiem przy pracy?
- Powiedzmy.

Stelmach uważnie przyjrzała się mapie. Wskazała jeden z punktów.

- Słyszałam o tej sprawie – powiedziała.
- Katarzyna Wolańska. Zadał jej kilkadziesiąt ciosów siekierą albo toporkiem.
- Czy za zabójstwo nie został skazany jej chłopak?
- Został, ale on tego nie zrobił. – Kawęcki spojrzał na Stelmach, jakby chciał się upewnić, czy dobrze zrozumiała jego słowa. – Policja twierdzi, że zgwałcił i poćwiartował swoją dziewczynę, a po wszystkim popełnił samobójstwo. Przy okazji zostawił w mieszkaniu zdjęcie rozkawałkowanego ciała Wolańskiej, żeby nikt nie miał wątpliwości, że to jego sprawka. Kłopot w tym, że ta historia nie trzyma się kupy ani z punktu widzenia psychologii, ani logiki. Wiarygodna wydała się jedynie bandzie niekompetentnych kretynów, która pracowała nad tą sprawą.

Filipski odchylił się na krześle. Westchnął.

- A może to są tylko pana urojenia. Paranoja.
- Wykluczyłem taką możliwość.
- Dlaczego?
- Bo znalazłem wzór.
- Modus operandi sprawcy?
- On nie ma modus operandi. A właściwie celowo go zmienia, żeby nami manipulować. – Ponownie pochylił się nad mapą i przy poszczególnych punktach zaczął kreślić trudne do rozszyfrowania bazgroły. – Zwróćcie uwagę na miejsca, w których znajdowały się zwłoki. Czterokrotnie zostawiał ofiary w mieszkaniach albo w pobliżu

ich domów. Trzykrotnie porzucił je w lasach. Raz zostawił zwłoki w parku. W każdym z pozostałych przypadków umieszczał ciała w trudno dostępnych lub rzadko uczęszczanych miejscach: na terenie żwirowni, opuszczonej fabryki, niedokończonej budowy, starej krańcówki i dawnej cegielni. Z wiekiem staje się coraz zuchwalszy. Nabiera wprawy. Wszechstronności. Dlatego tak cholernie trudno jest go złapać.

Kawęcki poturlał długopis w kierunku Filipskiego i wrócił na swoje miejsce. Otarł mokre czoło i przyjrzał się pozostawionej na dłoni plamie potu, zanim zdecydował się wetrzeć ją w spodnie. Rozparł się na krześle i położył nogi na krawędzi stołu. Zaczął się wsłuchiwać w odgłos deszczu rytmicznie bębniącego o parapet.

– Mówi pan o nim z podziwem – zauważyła Stelmach.

– Bo do pewnego stopnia zasługuje na podziw.

Kawęcki zamyślił się, patrząc w jakiś punkt za oknem. Prawdopodobnie widoczny tylko dla niego.

– Co pan w nim podziwia?

– Spryt. Konsekwencję. Zdolność samorealizacji. To, że choć nie ma na tym świecie miejsca dla takich jak on, potrafił się w nim odnaleźć. Założę się, że jest szczęśliwszy od nas.

Filipski uniósł brwi i spojrzał na Stelmach. Policjantka w pośpiechu robiła notatki. Zapisywała wszystkie słowa Kawęckiego.

– Twierdzi pan, że znalazł wzór w jego działaniu – powiedział Filipski. – Na czym on polega?

Kawęcki przysunął do siebie kubek z kawą. Przyjrzał się jego nietkniętej zawartości.

– Na wzór musicie sobie zasłużyć.

Filipski głośno prychnął. Ściągnął okulary i przetaił koszulą szkła.

– Jak pan to sobie wyobraża?

Kawęcki zdjął nogi ze stołu i przysunął się do krawędzi. Zgasił papierosa. Wsparł się na łokciach i wyszczerzył do policjantów rząd poźółkłych zębów.

– Powiedźcie, co na mnie macie, a ja powiem wam, jaki jest wzór.

Pięć miesięcy wcześniej

O szóstej rano parking na tyłach Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi był prawie pusty. Witold Ptak zaparkował na jednym z wielu wolnych miejsc. Wsiadł z samochodu i drżącymi palcami próbował wcisnąć przycisk na pilocie. Dopiero wtedy, nie mogąc trafić w małe czarne guziczek, uświadomił sobie, jak bardzo jest zestresowany. Jak potężne spustoszenie w jego psychice wyrzyła wieczorna wiadomość.

Znał policjantów ginących na służbie: od kul, dźgnięć nożem, w pościgach. Znał tych, którzy umierali głupio: w wyniku zatrzymania akcji serca po wizycie w burdelu albo wskutek przedawkowania narkotyków. Znał kilku samobójców. Ale nie znał policjantów, którzy ginęli w taki sposób. Zaszlachtowani jak świnie. Upodleni. W niewyobrażalnych mękach.

Wszedł do budynku i wdrapał się na piętro, które zajmował jego wydział. W zamyśleniu przeszedł przez milczący korytarz. Dotarł do swojego pokoju. Ale zanim otworzył drzwi, przystanął i rozejrzał się po biurze. Nie był w nim sam.

Zrobił szybki obchód po znajdujących się na piętrze pokojach. Zatrzymał się, gdy zobaczył czyjeś nogi wystające spod jednego z biurek. Pochylił się i zajrzał pod mebel.

Tomek Kawęcki leżał na brzuchu, z twarzą przyklejoną do wykładziny i szeroko rozdziawionymi ustami. Ręce częściowo zginał własnym ciałem. Nogi miał wyprostowane, a stopy wygięte na zewnątrz. Przypominał skoczka narciarskiego. Albo faceta sterczącego przed pisuarem.

Witold siarczyście zaklął. Jeszcze raz rozejrzał się po biurze, upewniając się, że to już koniec niespodzianek, i chwycił Kawęckiego za nogi. Wyciągnął go spod biurka, jakby zbierał z podłogi niesfornego manekina, i oparł o ścianę. Potrzęsął nim. Kiedy to nie zadziało, wymierzył mu policzek. A potem drugi. W końcu Kawęcki uraczył go zamglonym spojrzeniem.

– Żyjesz?

– Nie czuję rąk – wymamrotał Kawęcki, bezskutecznie próbując podnieść ramiona.

– Zdrętwiały, bo na nich leżałeś.

Kawęcki wychrypiał coś niezrozumiałego. W odpowiedzi Witold podszedł do dystrybutora i nalał wodę do kubka. Chciał podać go Kawęckiemu. Dopiero po paru sekundach przypomniał sobie, że przecież on nie jest w stanie podnieść rąk, więc przystawił mu kubek do ust.

– Jak się tu znalazłeś? – zapytał.

– Nie wiem. Nie pamiętam.

Witold przyglądał mu się ze współczuciem. Nie potrafił się na niego złościć. Dzieliło ich zaledwie kilka lat, ale coraz częściej traktował Kawęckiego jak dziecko. Zbłąkane, ponadczterdziestoletnie dziecko, które wkroczyło w etap buntu przeciwko zastanej rzeczywistości.

– Chodź – powiedział Witold. – Doprowadzimy cię do porządku.

Pomógł Kawęckiemu wstać i przejść do łazienki. Kazał mu się rozebrać i umyć nad zlewem na tyle, na ile się da. Tymczasem poszedł zaparzyć kawę i poszukać w biurze ubrań, które Kawęcki mógłby włożyć. Znalazł pomiętą koszulkę polo oraz marynarkę, którą wkładał, kiedy musiał pójść do sądu. Na niewysokie i wychudzone ciało Kawęckiego były stanowczo za duże. Ale i tak powinien prezentować się w nich lepiej niż w zarzyganej koszuli i ubłoconej kurtce.

Kiedy wrócił do łazienki, Kawęcki siedział na podłodze, centralnie pod suszarką, opierając się plecami o ścianę. Trzymał między palcami niezapalonego papierosa. Zlew był suchy. Podobnie jak wycieńczona twarz Kawęckiego.

Witold odłożył ubrania na podłogę i usiadł obok niego. Przez dłuższą chwilę wsłuchiwał się w pomruk suszarki, która w regularnych odstępach czasu rozpylała nad głową Kawęckiego tysiące bakterii.

– Ciekawi mnie jedno – odezwał się Witold. – Doprowadziłeś się do takiego stanu przed czy po tym, jak dowiedziałeś się o Magdzie?

Kawęcki wolno odwrócił się w jego stronę. Spojrzał Witoldowi w oczy, po czym znów przyjął swoją wyjściową pozycję: ze zwieszoną głową, rękoma opuszczonymi wzdłuż tułowia i wyciągniętymi nogami.

– I przed, i po – odpowiedział, kiedy się wydawało, że już nigdy się nie odezwie.

Przez następne dwie minuty siedzieli w milczeniu, podziwiając nagie ściany łazienki. W końcu Kawęcki wygrzebał z kieszeni wymiętą paczkę szlugów i podał ją Witoldowi. Ten długo się wahał, co z nią zrobić. W końcu wyciągnął z niej coś, co najbardziej przypominało papierosa, i zapalił. A potem pomógł Kawęckiemu zrobić to samo. Łazienka momentalnie wypełniła się dymem.

– A gdybyś nie dowiedział się o Magdzie, wyglądałbyś dzisiaj inaczej?

Tym razem Kawęcki nie zastanawiał się długo. Anemicznie pokręcił spuszczoną głową.

Witold wypalił papierosa. Wstał, zgasił niedopałek w zlewie i wyrzucił go do kosza. Spojrzał na zegarek.

– Pora wytrzeźwieć – powiedział. – Ogarnąć się. Wrócić do rzeczywistości i zacząć szukać tych skurwysynów.

Kawęcki zadarł głowę i uniósł ciężkie powieki.

– Byłem trzeźwy przez ostatni miesiąc. To nie dla mnie.

Witold długo nie mógł od niego oderwać wzroku. Miał wrażenie, że gapi się na dziwną, humanoidalną górę smutku.

Bezapelacyjnie, do samego końca. Mojego lub jej.

Słowa Franza Maurera wielokrotnie brzęczały w głowie nadkomisarza Bartosza Adamskiego. Chodził do liceum, kiedy po raz pierwszy oglądał *Psy*. Już wtedy wiedział, że chce zostać policjantem. Twardzielem, który będzie łapał zbirów. Nieustępliwym. Szorstkim. Uwielbianym przez kobiety. Takim jak Franz Maurer. Takim jak jego ojciec.

Scenę, w której Franz spowiadał się przed komisją weryfikacyjną, Bartosz Adamski oglądał przynajmniej kilkadziesiąt razy. Znał ją na pamięć. Przypominał sobie o niej, kiedy sam znalazł się w podobnym położeniu. Stojąc na środku przestronnego gabinetu, tuż przed szerokim biurkiem, za którym zasiadali dwaj mężczyźni stanowiący swoje przeciwieństwa: komendant Janusz Dębiec, wysoki, wysportowany, świetnie się trzymający pomimo sześćdziesiątki na karku, i prokurator

Adam Wargę, który wyglądał jak pozbawiony wszelkiego uroku buldog.

– To wyjątkowa sytuacja – oznajmił komendant Dębiec, który wziął na siebie ciężar prowadzenia spotkania. – Została zamordowana policjantka. Jedna z nas. Na dodatek w sposób, jakiego nie życzy się najgorszym wrogom. To okropny cios dla jej bliskich. Ale także dla każdej osoby w tym kraju, która nosi mundur. Dlatego absolutnym priorytetem naszej jednostki jest znalezienie psychopatów, którzy zamordowali Magdę Giętkę. Zakładam, że to dla ciebie oczywiste.

Adamski pokiwał głową. Od początku nie miał wątpliwości, że właśnie tego od niego oczekują. Niestwarzania problemów. Stanięcia na wysokości zadania. Mógł nie znosić tego przemądrzałego siwego buca i jego karykaturalnego przydupasa z prokuratury, ale musiał się z nimi zgadzać. Na tym polegała ta gra.

– Po długiej nocnej naradzie z prokuratorem Wargę doszliśmy do wniosku, że zespół Mariusza Szczebiota nie powinien zajmować się tym śledztwem. Przede wszystkim ze względów emocjonalnych. Widzimy, jak wiadomość o śmierci Magdy uderzyła w nas – dwóch facetów, którzy ledwo ją znali. Zakładamy, że w jej dobrych kolegów musiała rąbnąć z wielokrotnie większą mocą. A to stwarza ryzyko, że nie będą działać racjonalnie. Że być może spróbują zrobić więcej, niż pozwala prawo. A na to nie możemy sobie pozwolić. Nie w momencie, w którym będą na nas skupione oczy całej Polski.

Adamski poprawił swoją jasną grzywkę i na znak zrozumienia ponownie pokiwał głową. Wiele lat temu nauczył się symultanicznie tłumaczyć ogólniki i wygładzone zdanka, które wypływały z ust jego przełożonych. Do tej pory Dębiec powiedział mniej więcej coś takiego:

znalezienie zabójcy tej laski jest kurewsko ważne, ale jeszcze istotniejsze jest to, żeby Szczebiot i jego barbarzyńcy nie zrobili bardachy, po której nie będzie się dało posprzątać; media, komendant główny i pewnie sam minister spraw wewnętrznych patrzą mi na łapy, więc nie mogę tego spierdolić.

– Krótko mówiąc, chcemy, żebyś stanął na czele zespołu powołanego specjalnie do rozwiązania tej sprawy. Dostaniesz od nas zasoby i odpowiednio wysoki budżet. Będziemy cię wspierać na każdym etapie śledztwa.

– I chronić twój tyłek, jeżeli coś pójdzie nie tak – po raz pierwszy odezwał się Warga.

– Czy to dla ciebie jasne?

Znów kiwanie głową – wariant trzeci, najbardziej optymistyczny. Zarezerwowany dla sytuacji takich jak ta. Gdy w karierze następuje przełom. Skok na kolejny poziom. Gdy pojawia się zasłużony i ciężko wypracowany awans. Wówczas nawet czapkowanie takim pajacom nie smakuje jak połykanie gówna.

– Bardzo cenilem twojego ojca – kontynuował Dębiec. – Przez wiele lat świetnie nam się razem pracowało. Liczę na to, że tradycja utrzymywania dobrych relacji na linii Dębiec–Adamski zostanie podtrzymana.

– Ja też na to liczę, panie komendancie – odezwał się Adamski.

– Powodzenia! – Komendant wstał i uścisnął dłoń policjanta. Zaraz po nim to samo zrobił Warga, podrywając z krzesła swoje tłuste dupsko.

– Będziemy trzymać za ciebie kciuki – powiedział.

Gapiąc się na grubasa, posyłającego mu obrzydliwy, wymuszony uśmiech, Adamski ponownie usłyszał słowa Franza Maurera: Ktoś się

rodzi księdzem, ktoś kurwą, a ktoś inny złodziejem. Czasami ma to dobre strony, bo się można poznać.

Po odprawie wszystko już było jasne. Komendant Janusz Dębiec wyszedł przed grupę niemal trzydziestu policjantów oraz techników kryminalistki i ogłosił ex cathedra powołanie specjalnego zespołu do sprawy zabójstwa Magdy Giętkiej. Szefem grupy został nadkomisarz Bartosz Adamski, a jej trzon mieli stanowić funkcjonariusze z dwóch wydziałów: dochodzeniowo-śledczego i wywiadu kryminalnego. Ci z kryminalnego mieli im tylko pomagać. Jako konsultanci. Cokolwiek to mogło znaczyć.

Na wyczytanej przez komendanta liście policjantów nie było nikogo, kto z Magdą pracował. Nikogo, komu choć trochę mogłoby na niej zależeć.

– Mówiłem – warknął Artur Waliszewski, który z rękoma splecionymi na klatce piersiowej opierał się o drzwi gabinetu Mariusza Szczebiota. – Wiedziałem, że nas wyruchają. Stary nawet się nie zająknął na nasz temat.

Artur rozejrzał się po pomieszczeniu, szukając przynajmniej jednej potakującej głowy. Bez powodzenia. Witold Ptak stał przy oknie. Wyglądał na betonowy parking i rozciągającą się za nim polanę, na którą o tej porze roku ludzie wychodzili głównie po to, aby wyprowadzić psy. Z kolei Tomek Kawęcki, ubrany w nietypową dla siebie marynarkę, w dodatku tak obszerną, jakby zerwał ją z pleców olbrzymowi, wpatrywał się w podłogę. Można by pomyśleć, że śpi na stojąco, gdyby nie jego dłonie, które nieustannie wierciły się w kieszeniach.

Szczebiot przyszedł do gabinetu kilka minut później. Bez słowa usiadł za biurkiem. Wskazał dłonią dwa krzesła, ale policjanci nawet nie drgnęli. Zamiast tego rzucili mu pełne wyrzutu spojrzenia. Tym razem solidarnie. Wszyscy oczekiwali wyjaśnień.

– Słyszeliście komendanta – odezwał się w końcu Szczebiot. – Nie będziemy zajmować się sprawą Magdy.

– Tyle to zrozumieliśmy. Nie wiemy tylko dlaczego – odparł Witold.
– Nie kupujemy tego bełkotu.

Naczelnik podniósł pierwszy z brzegu długopis i zaczął nim stukać o blat. Potem odłożył go na bok i otworzył szufladę. Włożył do niej wszystkie kartki, teczki i przybory, jakie leżały na biurku. A gdy skończył, ponownie chwycił długopis i zaczął bębnić. Nerwica natręctw. Szczególnie uciążliwa, kiedy jest się bardzo zestresowanym.

– Powiedzmy, że jest to decyzja częściowo polityczna, częściowo wynikająca z doświadczenia komendanta, a częściowo będąca efektem jego widzimisię. Stary po prostu nie chce, żebyśmy zajmowali się tą sprawą. Koniec, kropka.

– Nie ma nic przeciwko, żeby zajmowała się tym połowa komendy, ale my z jakiegoś powodu mu wadzimy – zauważył Witold.

Szczebiot wzruszył ramionami. Ciężko wypuścił powietrze. Bębnienie się nasiliło.

– Próbowalesz odwieść go od tego pomysłu?

– A jak ci się wydaje?

Że jesteś na to zbyt miękką fają, pomyślał Witold. Musiał się mocno ugryźć w język, żeby tego nie powiedzieć.

– Dębiec zgodził się, żebyśmy mieli wgląd w przebieg śledztwa. Będziemy na bieżąco informowani o postępach. Bartosz Adamski ma

nam regularnie wysyłać raporty. Możecie dzielić się z nim swoimi przemyśleniami, podpowiadać rozwiązania, pełnić rolę doradców, ale macie się nie wpieprzać. Zrozumiano?

Witold splótł ręce przed sobą, wypiął pierś i westchnął. Niechętnie kiwnął głową.

– Zrozumiano? – Szczebiot powtórzył pytanie, zwracając się do pozostałej dwójki.

Artur niechętnie przytaknął. Kawęcki nawet nie spojrzał na szefa. Traktował go jak powietrze.

– Co teraz? – zapytał Witold.

– Wracacie do sprawy Bułeckiej. Schwywanie jej zabójcy pozostaje naszym priorytetem. Ja natomiast zrekrutuję kogoś, kto godnie zastąpi Magdę.

– A co z prokuratorem Wargą? – zapytał Kawęcki.

– Co masz na myśli?

– Weźmie na siebie dwa zabójstwa?

– Tak, prokurator i jego współpracownicy będą równolegle nadzorować oba śledztwa.

Szczebiot uważnie przyjrzał się Kawęckiemu. Na zmęczonej twarzy komisarza pojawił się ledwo zauważalny uśmiech.

– Dlaczego tak cię to interesuje?

Nie przestając się uśmiechać, Kawęcki wzruszył ramionami.

– Z ciekawości. Z czystej ciekawości.

Dochodził wieczór, gdy Witold odwiózł Kawęckiego do domu. Nie musiał tego robić i wcale nie miał na to ochoty, ale uznał, że tak będzie

najlepiej. Liczył, że zdoła mu wyperswadować wyjście do baru. Albo przynajmniej je odroczy.

Stał przy oknie w dużym pokoju i spomiędzy pogiętych żaluzji wyjrzał na kremowe bloki Radogoszcza. Zadbane, zazielenione i nieustannie zmieniające się osiedle silnie kontrastowało z mieszkaniem Kawęckiego, które było jednym wielkim zbiorem ponurości i źle rozumianego minimalizmu. Nieliczne podniszczone meble wyglądały tak, jakby je kupił w najnudniejszym komisie w mieście. Pokryte szarymi smugami ściany błagały o malowanie. Wszystko tonęło w ciężkim ciemnobrązowym kolorze. Typowe peerelowskie mieszkanie, które praktycznie się nie zmieniło, odkąd Kawęcki przejął je po swoim zmarłym dziadku.

Z kolei salon był jednym z najdziwniejszych pokoi, w jakich Witold kiedykolwiek przebywał. Drewnianą podłogę i przypiętą do ściany tablicę korkową pokrywały dziesiątki zdjęć, samoprzylepnych kartek i rysunków, tworzących razem coś, co Kawęcki nazywał mapą myśli. Ten gigantyczny i tylko pozornie bezskładny zbiór obrazków, faktów i skojarzeń, związanych z zabójstwami młodych kobiet na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat, miał pobudzić jego kreatywność. Pomóc w schwytaniu sprawcy tych zbrodni. W dorwaniu seryjnego zabójcy.

Witold nie wierzył w tę metodę i poważnie wątpił, czy uganianie się za jakimś psychopatycznym mordercą w ogóle ma sens, ale był pod wrażeniem tego, czego Kawęcki dokonał. I nawet odrobinę mu współczuł, gdy podczas bójki sprzed paru dni jego mapa została niemal całkowicie zniszczona.

Nie sądził, że jeszcze ją kiedyś zobaczy. A tym bardziej, że stanie się to tak szybko.

– Odtworzyłeś ją jeden do jednego? – zapytał.

Kawęcki zapalił papierosa. Stał wraz z Witoldem przy mapie, popatrzył na swoje dzieło i pokiwał głową.

– Prawie. Dodałem pewien element.

Komisarz ukucnął i postukał palcem w jedno z leżących na podłodze zdjęć.

– Prokurator Wargę – powiedział Witold. – Jesteś pewien, że to miejsce dla niego?

– Według mnie powinien wylądować tutaj. – Kawęcki podniósł się z wysiłkiem i wskazał środek tablicy korkowej, zajęty przez cienką drewnianą ramkę. Znajdowała się w niej niezbyt udanie narysowana ludzka głowa w otoczeniu kilku znaków zapytania.

– Chyba nie sądzisz, że to on jest zabójcą.

– Tego nie powiedziałem. Ale gdyby się nim okazał, nie byłbym zaskoczony. Na razie jest moim faworytem.

Witold przyjrzał się niewielkiemu zdjęciu prokuratora. Choć od kilku tygodni zbierali informacje na temat Wargi, niewiele udało im się dowiedzieć. Jego przeszłość owiana była tajemnicą. Nie potrafili ustalić, jakimi zajmował się sprawami ani z kim pracował. Wiedzieli tylko, że był jednym z najbliższych współpracowników Andrzeja Pszoniaka, prokuratorowskiej szychy, która z jakiegoś powodu wzięła pod swoje skrzydła niewyróżniającego się niczym szczególnym prawnika. Przypuszczali, że Wargę ma haki na ludzi z palestry. Albo niezłe znajomości. Albo coś innego, co pozwalało mu sprawnie – i niekoniecznie zgodnie z prawem – budować karierę. Tylko w ten

sposób mogli wytłumaczyć to, że człowiek bez szczególnych kwalifikacji zawodowych przez kilka lat szefował Prokuraturze Rejonowej Łódź-Polesie, a potem został zastępcą naczelnika Wydziału Śledczego Prokuratury Okręgowej w Łodzi. Dziwniejsze było tylko to, że na szczyt branży rojącej się od wymuskanych buców z nadmuchanym ego wdarł się odpychający grubas, który wyglądał jak ostatni łapciuch.

Witold długo uważał, że Kawęcki usnuł niedorzeczną teorię spiskową. Że to jego zbłąkany umysł podsunął mu sugestię, że Warga jest jedyną osobą powiązaną z zabójstwami Martyzny Bułeckiej oraz Justyny Kepler, osiemnastolatki zgwałconej i zamordowanej w swojej rodzinnej wsi przez upośledzonego intelektualnie kolegę. Że na siłę dopatrywał się patologicznej relacji pomiędzy nim a Pszoniakiem. Że wymyślił sobie, jakoby to oni mieli doprowadzić do zniknięcia Moniki Dzielulskiej, byłej stażystki Pszoniaka, która nieoczekiwanie porzuciła swoje dotychczasowe życie, zerwała wszystkie kontakty i prawdopodobnie wyjechała do Anglii. Ale kiedy się dowiedział, że piętnastoletnia Maja Zielińska oskarżyła Wargę o gwałt, a prawnik, który miał stanąć w jej obronie, rozpląnął się w powietrzu, zaczął wątpić we wszystko, w co do tej pory wierzył. A to, co uznawał za bujdę, nagle wydało mu się niepokojąco wiarygodne.

– Kilka dni temu powiedziałem Wardze, że wiem o Mai Zielińskiej – oznajmił Kawęcki. – I że wkrótce się z nią spotkam.

– A zrobisz to?

Kawęcki pokręcił głową.

– Nie potrafię jej znaleźć. Wiem tylko, że trzy lata temu zaprzyjaźniła się z heroiną. Nie wiadomo, czy w ogóle jeszcze żyje.

– Ale jeśli żyje, pewnie nadal mieszka w Łodzi. Łatwiej mi uwierzyć w to, że Zielińska siedzi w jakiejś norze i daje po kablach, niż że Dziewulska wyjechała do Anglii.

– Pamiętaj tylko, że trzy lata to dla heroinisty cała wieczność.

Witold pokiwał głową, a następnie ponownie wyjrzał przez okno. Na zewnątrz zrobiło się zupełnie ciemno, a stojący naprzeciwko blok pokryła nieregularna pajęczyna świateł. Zerknął na zegarek. Dwudziesta. Gdyby było normalnie, Edyta zapewne by się wściekła, że po raz kolejny wrócił do domu później, niż zapowiadał. Że przedkłada pracę nad rodzinę. Że zaniedbuje dom. Że ma kompletnie w dupie wspólne spędzanie weekendów. A gdy już wyładowałaby całą złość, wyprztykała się ze wszystkich zadr, wypompowała ze złych emocji, okazałaby zrozumienie dla niego i jego cholernie niewdzięcznej pracy.

Ale nie było normalnie. Odkąd Edyta wróciła do domu po kilku dniach spędzonych u matki, praktycznie się do siebie nie odzywali.

– Rozmawiałeś z żoną? – spytał Kawęcki, jak gdyby czytał w jego myślach.

Witold pokręcił głową.

– Nie potrafię. Zapomniałem, jak się to robi. Boję się otworzyć usta, żeby nie powiedzieć czegoś, co Edyta uzna za niestosowne. A ona ciągle milczy. Jak jakiś pieprzony sfinks. Nie mam pojęcia, co jej chodzi po głowie.

Kawęcki zapalił papierosa. Poczęstował także Witolda, ale ten odmówił i po raz kolejny spojrzął na zegarek.

– Muszę już iść – powiedział.

Kawęcki pokiwał głową, jednocześnie wolno wydmuchując dym. Odwrócił się w stronę swojej mapy myśli. Sięgnął po zdjęcie Wargi i

przyłożył je do ramki przymocowanej na środku tablicy korkowej. Chciał sprawdzić, czy tam pasuje.

– Może nigdy nie potrafiłeś z nią rozmawiać, tylko do tej pory nie miałeś okazji tego sprawdzić – powiedział, wpatrując się w zdjęcie prokuratora. – Brzmi to dziwnie, ale takie sytuacje zdarzają się w związkach. Uwierz mi. Coś o tym wiem.

Witold podrapał się po twarzy. Głośno sapnął. Chciał coś dodać, ale ostatecznie jedynie machnął ręką i ruszył do wyjścia. To nie był dobry moment na tę rozmowę. Ani na żadną inną.

Mariusz Szczebiot długo przyglądał się kartom dwóch pacjentów, które otrzymał od jednego z lekarzy. Analizował parametry dotyczące ciśnienia, tętna, szybkości oddechu, saturacji i temperatury ciała. A przynajmniej udawał, że to robi, ponieważ większość cyferek niewiele mu mówiła. Kiedy podszedł do niego lekarz, niewysoki mężczyzna po pięćdziesiątce, z kruczoczarnymi włosami, zapewne niedawno farbowanymi, oddał mu karty i ciężko westchnął.

– W jakim oni są stanie? – zapytał, nie zamierzając udawać, że zrozumiał coś z tych zapisków.

– Zależy, o kogo pan pyta – odparł lekarz. – Zenon Trzaskowski, ten większy, wygląda katastrofalnie, ale prawdopodobnie wyjdzie z tego cało. Początkowo sądziliśmy, że czeka go rekonstrukcja twarzy, ale jakoś udało nam się go poskładać. Ma za sobą kilka operacji. Na razie faszujemy go lekami i podglądamy, jak kości się zrastają. Z jego kumplem jest trochę gorzej.

– To znaczy?

– Jak pan wie, ze względu na rozległe uszkodzenie mózgu musieliśmy wprowadzić Marcina Banasia w śpiączkę farmakologiczną. Dopiero niedawno go wybudziliśmy. Jeszcze nie odzyskał w pełni czucia w twarzy. I może już go nie odzyskać. – Lekarz zacisnął usta i bezradnie rozłożył dłonie. – Wygląda na to, że pana człowiek nieźle ich urządził. Ale z tego, co słyszałem, zasłużyli sobie.

– Chciałbym w to wierzyć – odparł enigmatycznie Szczebiot. – Mogę się z nimi zobaczyć?

– Oczywiście. Ale z Trzaskowskim bym nie radził.

– Dlaczego?

– To troglodyta. Ledwo składa zdania. Poza tym nie chciał nam udzielić podstawowych informacji medycznych, więc nie sądzę, żeby nagle zapragnął rozmawiać z policjantem. Banaś zresztą też nie jest skory do współpracy, ale u niego ma pan większe szanse.

Szczebiot przeszedł przez wąski, tonący w żółtych barwach korytarz, wwąchując się w ostry zapach środków antyseptycznych i wsłuchując w kaszel pacjentów. Zatrzymał się na wysokości sali, przed którą siedział funkcjonariusz w mundurze, zatopiony w lekturze jakiegoś kryminału z lufą pistoletu na okładce. Szczebiot zamienił z nim słowo i wszedł do środka.

Marcin Banaś leżał na boku, podpięty do kroplówki i częściowo przykryty kołdrą, tępo wpatrując się w jakiś punkt na ścianie. Miał obandażowaną głowę i znużony wzrok. Nieznacznie poruszył oczami, gdy zobaczył Szczebiota.

– Nazywam się Mariusz Szczebiot. Jestem szefem Wydziału Kryminalnego. Chcę z tobą porozmawiać o Kawęckim.

Banaś nie zareagował.

– Interesuje mnie tylko jedna rzecz: kto wam kazał go zaatakować? Kim jest wasz zleceniodawca?

Banaś udawał, że nie jest zainteresowany obecnością Szczebiota. Jednak jego wzrok zaczął nerwowo skakać po sali.

– Rozumiem, że chcecie być lojalni wobec swojego mocodawcy, który pewnie nieźle wam płaci za milczenie. Do pewnego stopnia jest to nawet godne pochwały. Ale nie liczcie na to, że wam odpuścimy. Wiemy, że nie jesteście aż tak głupi, żeby z własnej woli napadać na policjanta w jego domu.

Oprych ciągle milczał, ale jego oddech był cięższy i bardziej chrapliwy. Szczebiot miał nadzieję, że nawet jeśli nie zdoła wyciągnąć z niego żadnych informacji, to przynajmniej uda mu się go zdenerwować.

– Ty i twój kumpel od kilku lat chodzicie na pasku trzech gangusów. Nie jest to żadna tajemnica. I pewnie jest tylko kwestią czasu, kiedy uda nam się ustalić, który z nich zlecił wam atak na policjanta i dlaczego. Ale gdybyś nie zgrywał twardziela i nieco przyspieszył nasze działania, mógłbym się za tobą wstawić. Sprawić, że posiedziałbyś w pierdlu odrobinę krócej. A może nawet szepnąć paru lekarzom, żeby z nieco większym entuzjazmem popracowali nad twoim zdrowiem. Wszystko zależy od ciebie.

– Nic ci nie powiem, kurwo – powiedział niewyraźnie Banaś, poruszając tylko połową twarzy. – Nie jestem konfidentem.

– Wiem. Jesteś idiotą. Facetem, który dał sobie skapiszonować mordę.

Szczebiot uważnie przyglądał się Banasiowi, oczekując, że ten jakoś się odgryzie. Ale gdy to nie nastąpiło, wyciągnął z kieszeni kilka wizytówek.

– Za napaść na funkcjonariusza publicznego możesz dostać od dwóch do dwunastu lat. Ale za usiłowanie zabójstwa grozi ci od ośmiu lat do dożywocia. Twój los zależy więc od tego, do którego przepisu prawa sąd przyporządkuje twój wybryk. A ja mogę mu pomóc podjąć decyzję. Taką lub inną. To prosta matematyka. Nawet taki bystrzak jak ty powinien sobie z tym poradzić. – Szczebiot głośno wypuścił powietrze. – Zostawię swój numer twojemu lekarzowi prowadzącemu i policjantowi, który pilnuje, żebyś stąd nie spierdolił. Jeśli zmądrzejesz i jeszcze przed wyładowaniem w areszcie uznasz, że chcesz mi o czymś powiedzieć, daj im znać.

Naczelnik zbliżył się do łóżka. Przekrzywił głowę i przyjrzał się Banasiowi.

– Nie wyglądasz źle. Jak na mój gust już niedługo cię stąd wypuszczą. A to oznacza, że nie zostało ci wiele czasu.

Zanim ruszył do wyjścia, zobaczył, że Banaś poruszył ustami.

– Co powiedziałaś? – zapytał Szczebiot.

– Wszyscy będziecie mieć przejebane – wymamrotał Banaś, gapiąc się mętным wzrokiem na policjanta. – To jeszcze nie koniec.

Chwilę później przekręcił się na drugi bok, uważając, aby nie odłączyć żadnej z rurek i by przypadkiem nie poruszyć zbyt gwałtownie głową. Zatrzasnął powieki. Zasnął.

To jeszcze nie koniec, powtórzył w myślach Szczebiot, wychodząc z sali. Cokolwiek miał na myśli ten przygłup, nie brzmiało to dobrze.

Sierpień

– Co dokładnie wiedział pan na temat nieprawidłowości, jakich dopuszczał się komisarz Tomasz Kawęcki?

Mariusz Szczebiot uniósł wysoko brwi. Mogło to oznaczać, że albo nie spodziewał się takiego pytania – co wydawało się mało prawdopodobne – albo zaniechań było tak wiele, że nie miał pojęcia, od którego zacząć.

Był pierwszym policjantem z Wydziału Kryminalnego przesłuchiwanym przez Łukasza Filipskiego i Annę Stelmach, który wyglądał względnie normalnie – nie jak menel ani zapaśnik. Miał na sobie dopasowany granatowy garnitur, czerwony krawat i brązowe półbuty. Ogolił się przed spotkaniem i spryskał perfumami, których orzeźwiająca woń błyskawicznie wypełniła duszne pomieszczenie. Przyniósł ze sobą elegancką tekturową teczkę. Przypominał podstarzałego studenta na obronie pracy magisterskiej. Gotowego wygłosić przygotowaną skrupulatnie przemowę.

Tylko co z tego, skoro stresował się do tego stopnia, że nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Już kiedy policjanci witali się z nim, zauważyli, że jest roztrzęsiony. Podał im tak spoconą dłoń, jakby od

tygodnia trzymał ją w kieszeni. A kiedy usiadł naprzeciwko nich, nienaturalnie pochylił się nad stołem. Zamiast odpowiedzieć na pytanie Filipskiego, zaczął się wiercić i strzelać palcami.

– Możecie to wyłączyć na chwilę? – zapytał, celując brodą w kamerę.

Filipski niechętnie spełnił jego prośbę.

– W czym problem?

– Naprawdę chcecie słuchać o wszystkich nieprawidłowościach Kawęckiego? – zapytał Szczebiot. – O tym, jak przychodził do pracy pijany? Jak olewał moje polecenia? Jak drwił z obowiązku pisania raportów?

– Interesują nas głównie poważne przewinienia. Zwłaszcza korupcyjne.

Szczebiot długo wpatrywał się w kamerę, jakby nie mógł uwierzyć, że jest wyłączona. Albo jakby bał się spuścić wroga z oczu.

– Inaczej mówiąc, chcecie się dowiedzieć, czy i w jaki sposób Kawęcki układał się z gangsterami. Zdaje się, że właśnie o to go podejrzewacie. Prawda, pani komisarz?

Mężczyźni przenieśli wzrok na Annę Stelmach. Policjantka założyła skuwkę na długopis i zamknęła notatnik. Odchyliła się na oparcie krzesła i skrzyżowała ręce na piersi.

– Sądziłam, że przeszliśmy na „ty” – powiedziała, rzucając Szczebiotowi złośliwe spojrzenie. – Przynajmniej tak się zwracaliśmy do siebie prawie pół roku temu, kiedy cię poinformowałam, że podejrzewamy Kawęckiego o współpracę z zorganizowaną grupą przestępczą.

– Jeśli dobrze pamiętam, ustaliliśmy wtedy, że mam wrócić do swoich codziennych zajęć, a wy będziecie dalej gromadzić informacje na temat moich podwładnych. Ale skoro mnie wezwaliście, pewnie zakładacie, że cię nie posłuchałem. Że rozpocząłem własne śledztwo.

– Chyba na tym polega istota bycia policjantem, prawda? – zapytał Filipski, poprawiając zsuwające się z nosa okulary. – Na zagłądaniu pod dywan. Nawet jeśli się wie, że można tam znaleźć bardzo śmierdzącą kupę.

Szczebiot wyciągnął ręce spod stołu. Do audiorelacji ze strzelania palcami dołożył efekty wizualne.

– Nie wiem, czy jestem dobrym menedżerem – powiedział, gapiąc się na swoje dłonie. – Pewnie nie. Brakuje mi doświadczenia. I niektórych kompetencji interpersonalnych. Ale z całą pewnością jestem bardzo skrupulatnym psem. Lubię liczby. Raporty. Wykresy. Arkusze kalkulacyjne. Potrafię wyciągać wnioski na podstawie danych. Prawdę mówiąc, radzę sobie z tym znacznie lepiej niż z kamerą. – Wycelował palcem w obiektyw. – Źle mi się kojarzy. Nie jestem ani fanem, ani mistrzem występów publicznych. W dodatku nie znoszę dziennikarzy.

– Do czego pan zmierza? – zniecierpliwił się Filipski.

Szczebiot upewnił się, że jego krawat jest na swoim miejscu. Napił się kawy. Następnie odsunął kubek na bok i otworzył tekturową teczkę.

– Jeszcze dziesięć lat temu haracze były największą zmorą łódzkiej policji. Mnóstwo mniejszych i większych, mniej lub bardziej profesjonalnych grup przestępczych wyłudzało pieniądze od właścicieli warzywniaków, monopolowych, salonów kosmetycznych czy handlarzy na bazarach. Nie mieliśmy odpowiednich narzędzi do monitorowania obrotu gospodarczego ani środków, aby prowadzić porządne

obserwacje. A może po prostu brakowało nam chęci i determinacji. Albo właściwej kultury organizacyjnej, która przełożyłaby się na jakość naszej pracy. W każdym razie teraz to się zmieniło. Staliśmy się profesjonalistami. Zaczęliśmy coraz skuteczniej wyłapywać grupy parające się ściąganiem haraczy. W ciągu kilku lat wykrywalność spraw w całym mieście zdecydowanie wzrosła, a liczba popełnianych przestępstw znacząco zmalała.

Szczebiot wyciągnął z teczki kartkę i podał ją policjantom. Filipski i Stelmach równocześnie się nad nią pochyłili. I równocześnie stracili zainteresowanie, jak tylko ujrzeli dziesiątki liczb, procentów, wykresów oraz zielonych i czerwonych strzałek ozdabiających policyjny slang.

– Kiedy zwróciłaś moją uwagę na zadziwiającą skuteczność Kawęckiego w rozbijaniu takich grup, postanowiłem się temu przyjrzeć. Zobaczyć, jakie były efekty jego pracy. Co dobrego z tego wynikło.

– I jak rozumiem, zrobił pan ten przydługi wstęp, żeby podzielić się z nami swoimi przemyśleniami – odezwał się Filipski. – A więc?

Szczebiot kontynuował swoją opowieść, nie przejmując się uszczypliwościami. A snuł ją w taki sposób, jakby nauczył się jej na pamięć: bez refleksji i polotu, ale za to z chorobliwą dokładnością.

– W ciągu ostatnich czterech lat Kawęcki częściowo lub całkowicie rozbił osiem grup zajmujących się wymuszaniem haraczy. Sześć z nich działało wyłącznie na Bałutach, a w szczególności na dwóch osiedlach: Teofilowie i Dołach. Pozbycie się takich organizacji powinno zaowocować dwiema reakcjami. Po pierwsze, ożywieniem gospodarczym, ponieważ wśród małych przedsiębiorców wieści szybko

się rozchodzą. Niestety, trudno jest je zmierzyć i być może dopiero za rok albo dwa lata będziemy w stanie wyciągnąć jakieś wiążące wnioski.

– A po drugie?

– Wysypem nowych graczy. Młodych, durnych i chciwych. Najczęściej od razu trafiających na nasze radary i błyskawicznie zwalczanych. Zwykle lądujących za kratkami jeszcze przed zrobieniem czegoś naprawdę głupiego. Ale na osiedlach, które oczyścił Kawęcki, nikt taki się nie pojawił.

– I o czym to świadczy?

Szczebiot zamilkł na chwilę. Dłonie, które nieustannie pracowały w trakcie przemówienia, wyrządzając krzywdę jego palcom, ponownie wylądowały pod stołem.

– Prawdopodobnie o tym, że pojawił się ktoś inny. Większy. Sprytniejszy.

– Jak to możliwe, że o nim nie wiecie?

– Najprawdopodobniej działa w sposób, którego do tej pory nie znaliśmy. Być może na pozór w pełni legalnie. Na przykład prowadząc działalność usługową, w ramach której tak naprawdę doi małych przedsiębiorców. – Szczebiot ponownie zajrzał do teczki. – Dokładnie przyjrzałem się działalności dwudziestu trzech firm, od których rozbite przez Kawęckiego grupy odprowadzały haracze. Osiemnaście z nich łączy to, że korzystają z usług tej samej spółki ochroniarskiej. W dodatku podjęły z nią współpracę niedługo po brawurowych akcjach Kawęckiego. Zastanawiające, prawda?

Szczebiot podał policjantom kolejną kartkę. Była na niej garść danych wyciągniętych z Krajowego Rejestru Sądowego. A także kilka

dodatkowych informacji dopisanych przez Szczebiota. Przypominało to notatki wzorowego i nieco nadgorliwego ucznia.

– Herkules – przeczytał Filipski. – Firma świadcząca usługi ochroniarskie i produkująca systemy antywłamaniowe. – Przekazał wydruk Stelmach, a ta zaczęła się w niego łapczywie wczytywać. – Uważa pan, że Kawęcki dla nich pracuje? Dla gangsterów udających, że prowadzą firmę ochroniarską?

– Tego nie wiem. Ale na pewno warto to sprawdzić.

Szczebiot wyciągnął ręce spod stołu i opadł na oparcie krzesła. Wyglądał na skrajnie wyczerpanego.

– Czy mógłby pan opowiedzieć to jeszcze raz, tyle że przy włączonej kamerze?

Kiedy palec Filipskiego powędrował w stronę czarnego przycisku, Szczebiot rozdziawił usta, jakby właśnie zobaczył ducha. Nic nie odpowiedział. Zdołał jedynie anemicznie pokręcić głową.

– Okej, jeszcze do tego wrócimy – powiedział Filipski i na chwilę zatopił się w notatkach. – A czy był pan kiedyś świadkiem tego, jak Kawęcki łamie prawo?

Pięć miesięcy wcześniej

Mariusz Szczebiot zaparkował w tym samym miejscu co w dniu odnalezienia zwłok Magdy Giętkiej. Wsiadł z samochodu i spojrzał na ścieżkę prowadzącą w głąb Lasu Łagiewnickiego. Zaciągnął się orzeźwiającym powietrzem. Przez parę chwil wsłuchiwał się w niemrawy świergot ptaków, które wracały do Polski po zimowej banicji.

Starał się wyluzować. Oczyszczyć umysł. Na tyle, na ile pozwalały na to okoliczności.

Magda była pierwszą zabitą policjantką w Wydziale Kryminalnym, odkąd Szczebiot został szefem jednostki. Martwił się, że zjedzą go wyrzuty sumienia. Że jej śmierć stanie się koszmarem, który będzie dręczył go latami. Ale po pierwszej nieprzespanej nocy, poprzedzonej trudną rozmową z rodzicami Magdy, wszystko wróciło do normy. Życie toczyło się dalej. Zawodowa znieczulica okazała się bezcenna. Wyciągnęła swoje macki i czule go nimi oplotła.

Szczebiot zanurzył się w las i po kilku minutach marszu dotarł na miejsce zbrodni. Potwierdziły się jego przypuszczenia. Tomek Kawęcki stał przy drzewie, na którym kilka dni wcześniej wisiały zwłoki. Palił papierosa. Miał spuchniętą twarz i przepity wzrok. Wyglądał tak, jakby przyszedł tu prosto z imprezy.

– Kiedy nie pojawiłeś się na odprawie, pojechałem do twojego mieszkania. Miałem nadzieję, że leżysz zalany w trupa – powiedział Szczebiot. – Ale tam cię nie zastałem. Obszedłem więc blok, żeby rozejrzeć się za twoim autem. A gdy i jego nie znalazłem, od razu wiedziałem, gdzie cię szukać. Czasem bywasz do bólu przewidywalny.

Kawęcki w żaden sposób nie odniósł się do jego słów. Zamiast tego obrócił się wokół własnej osi. Niczym emerytowana baletnica po paru głębszych.

– To dla niego wyjątkowe miejsce. Jego królestwo – oznajmił, rozkładając szeroko ręce. – Do tej pory wszystkie zabójstwa skrupulatnie planował. Dzięki temu był bezbłędny. Ale tego musiał dokonać w pośpiechu. Wybrał więc miejsce, które najlepiej zna. W którym czuje się bezpiecznie. Które z jakiegoś powodu jest mu bliskie.

– Zespół Adamskiego jest przekonany, że zabójców było dwóch. Do takiego samego wniosku doszła też Beata Tarka.

– Bzdura. On planuje swoje zabójstwa tak, byśmy nie byli w stanie trafić na jego trop. A najlepiej żebyśmy od razu zaczęli podejrzewać kogoś innego. Tym razem się spieszył, więc nie wykombinował nic bardziej przekonującego od historii z dwoma sprawcami.

– Czyli uważasz, że szukamy kogoś, kto przyjeżdża do Łagiewnik rowerem? Przychodzi tu pobiegać? Wychodzi z psem na spacer?

– Możliwe. Kogoś, kto pojawia się tu w jakimś celu. Kogoś, kto może mieszkać w okolicy. Na Marysinie, Rogach albo Radogoszczu.

– Ty mieszkasz na Radogoszczu.

– Więc niewykluczone, że jesteśmy sąsiadami. – Kawęcki po raz pierwszy spojrzał na Szczebiota. – Powinniśmy popytać leśniczych, pracowników obiektów rekreacyjnych w Arturówku, lekarzy z Centrum Leczenia Chorób Płuc i właściwie wszystkich ludzi, którzy pracują w okolicy, czy nie kojarzą jakiegoś wielkiego faceta snującego się po lesie.

– Wielkoluda z dziecięcymi stopami.

Kawęcki rzucił Szczebiotowi gniewne spojrzenie. Ten fakt nie dawał mu spokoju. Zanim przed kilkunastoma dniami został pobity w Lesie Łagiewnickim, był świadkiem spotkania handlarzy psów z klientem: dwóch korpulentnych braci, pochodzących z Gruzji albo Czeczenii, i wielkiego faceta w przebraniu, który trzymał na rękach potężne białe psisko, jakby to był ratlerek. Kawęcki uważał, że to człowiek, którego szukają. Właściwie był tego pewien. Tyle że ani wokół drewnianej chaty, przy której prawie wykitował, ani na miejscu zabójstwa Magdy technicy nie znaleźli śladów butów o rozmiarze większym niż

czterdzieści dwa. A to oznaczało, że albo powinni szukać wielkoluda o małych stopach, albo Kawęcki się mylił.

– Idę do Arturówka – oznajmił komisarz. – Na piwo. Chcesz się przyłączyć?

Szczebiot spojrział na zegarek. Jedenasta. Zaklął pod nosem. A potem ruszył w kierunku swojego samochodu.

Zanim Szczebiot dopił pierwsze bezalkoholowe piwo, Kawęcki zdążył opróżnić dwa kufle normalnego. Nawet kelner, który musiał widzieć niejednego ochlapusa, był pod wrażeniem tempa jego picia. Policjanci siedzieli w niewielkim drewnianym budynku usytuowanym kilkadziesiąt metrów od jednego z kilku podłużnych stawów, wzdłuż których zbudowano kompleks wypoczynkowy Arturówek. Prawie ze sobą nie rozmawiali. Jakby otwieranie gęby w innym celu niż wlanie do niej piwa było towarzyskim faux pas.

Kelner podszedł do ich stolika i zabrał kufle. Przy okazji przyjął zamówienie od Kawęckiego. Na kolejne piwo i kolejkę wódki.

Patrząc, jak Kawęcki powoli traci kontakt z rzeczywistością, Szczebiot zastanawiał się, dlaczego go jeszcze nie wywalił. Dlaczego nie pozwolił mu ostatecznie spłynąć na dno. Przecież tylko wyświadczyłby przysługę. Zwolniłby hamulec blokujący jego autodestrukcyjny plan. Ale wtedy sobie przypomniał, że nie może tego zrobić. Że Kawęcki za dużo o nim wie. A właściwie że on wie za dużo o Kawęckim, więcej, niżby chciał. Że kiedy byli partnerami, wydarzyło się zbyt wiele złych rzeczy. I że konsekwencje nie zostały wyciągnięte wobec żadnego z nich.

– Ona nie żyje, ponieważ kazałeś jej mnie śledzić – wybełkotał Kawęcki.

– O czym ty mówisz?

– Doprowadziłeś Magdę do zabójcy. Tylko że nie zorientowała się w porę, z kim ma do czynienia.

– Chyba już ci wystarczy na dzisiaj.

Kawęcki pokręcił głową. Na tyle energicznie, że prawie zsunął się z krzesła.

– Jej notatnik zaginął – powiedział. – Zabójca go zabrał. Wiedział, że moglibyśmy znaleźć w nim coś, co nas do niego doprowadzi.

Kelner postawił przed Kawęckim kieliszek wódki i kolejny kufel piwa. Zanim zdążył wrócić za bar, pierwsze z naczyń było już puste, a drugie szybko się opróżniało.

– Powiedz tym Sherlockom, którzy przejęli śledztwo, że muszą bardzo dokładnie odtworzyć ostatnie dni życia Magdy. Wyjaśnić, czym się zajmowała. Jeśli tego dopilnujesz, być może częściowo odkupisz swoje winy. Jeżeli nie... – Kawęcki rozłożył ręce – to już nic ci nie pomoże.

Sięgnął do popielniczki, w której zostawił niedopalonego papierosa. Długo mu się przyglądał, zanim się zorientował, że zgasł. Wyrzucił go na drewnianą podłogę i wstał od stołu. Zatoczył się w tył. Przed upadkiem uratował się desperackim chwytem za sąsiednie krzesło.

– Na twój koszt – wymamrotał.

Szczebiot odprowadził go wzrokiem. Patrzył, jak ledwo trzymając się na nogach, Kawęcki ładuje się do samochodu. Jak uruchamia silnik. Był zbyt pijany, żeby opuścić szybę i włączyć światła. Ale nie na tyle, aby nie być w stanie wrzucić biegu i ruszyć.

Obyś się, kurwa, rozbił na drzewie, pomyślał Szczebiot.

– A więc oboje kłamaliśmy.

Szymon Duszyński podrapał się po głowie porośniętej przerzedzoną kasztanową czupryną. Rzucił nerwowe spojrzenie w kierunku okna, z którego przyglądali mu się koledzy z pracy, podobnie jak on zaskoczeni wizytą policjantów. Dwaj rośli mężczyźni wparowali do ich biura i opowiedzieli Duszyńskiemu przerażającą historię. O kobiecie, którą znał. Z którą kilka dni wcześniej się przespał. I której ciało ktoś podzielił na dwie części.

– Powiedziała, że jest dietetyczką. Miała niezłą figurę, więc nie miałem powodu jej nie wierzyć. Ja natomiast wkręciłem jej, że jestem instruktorem fitnessu.

– Dlaczego? – spytał Witold Ptak, zaciągając się papierosem.

– Bo to brzmiało lepiej niż księgowy. W dodatku pracujący w firmie ojca. – Duszyński wepchnął obgryziony paznokieć do ust i spojrzał na przewiercających go wzrokiem mężczyzn. – Nigdy nie zdarzyło się wam podawać za kogoś innego, żeby poderwać laskę?

– Nie – odparł Artur Waliszewski. – My tylko musimy udowodnić, że rzeczywiście jesteśmy policjantami. Zwykle to robimy, pokazując laskom giwerę. Tę czy inną.

Artur uformował z dłoni trójkąt i skierował jego wierzchołek w stronę krocza. Witold zgromił go wzrokiem. Nie potrafił przyzwyczaić się do jego seksistowskich, zwykle nieśmiesznych żartów, rzucanych nawet w najbardziej nieodpowiednich momentach. Czasem miał wrażenie, że pracuje z wyrośniętym nastolatkiem. Z gówniarzem, który żeby zrobić matce na złość, biega po podwórku bez spodni.

– Kto zainicjował kontakt? – zapytał Witold.

– Teoretycznie ja. Ale praktycznie Magda. – Duszyński spojrzał na kciuk, w którym nie zostało już wiele do wygryzienia. – Siedziała sama przy barze i rozglądała się po lokalu. Podążała wzrokiem za facetami. Ewidentnie szukała kogoś, z kim mogłaby się przespać. Prawdę mówiąc, nie musiałem się szczególnie starać. Wystarczyło się do niej przysiąść i zagadać.

– Co się wydarzyło później?

– Wypiliśmy kilka kolejek. Pogadaliśmy o niczym. Odniosłem wrażenie, że się niecierpliwi, więc zaproponowałem, żebyśmy poszli do mnie. Zgodziła się. Zamówiłem taksówkę i pojechaliśmy.

– Co dalej?

Duszyński ciężko sapnął. Zapewne wszyscy jego kumple dostali szczegółową relację z wieczoru, podczas którego wyrwał młodszą od siebie laskę. Chcąc nie chcąc musieli się dowiedzieć o jego żigolackich talentach. Ale teraz, wiedząc, co spotkało jego zdobycz, wracanie do tych wydarzeń przychodziło mu z trudem.

– Wylądowaliśmy u mnie. Posłuchaliśmy muzyki. Napiliśmy się. A potem to zrobiliśmy.

– Jak?

– Normalnie. – Widząc nieustępliwe spojrzenia policjantów, Duszyński spuścił głowę. – Od tyłu. Na pieska.

Artur się roześmiał.

– Chyba jednak nie do końca było normalnie.

– O czym pan mówi?

– Kiedy się pieprzyliście, Magda zrobiła wam zdjęcie. Przesłała je swojemu facetowi. Wykorzystała pana, żeby z nim zerwać.

Zdziwiona mina Duszyńskiego zdradziła, że nie miał o tym pojęcia. Wyglądał tak, jakby się dowiedział, że ma mniejszego, niż mu się zdawało.

– Czy ktoś was obserwował tego wieczoru? – zapytał Witold.

– Nie wiem. Byliśmy po paru głębszych. Poza tym koncentrowałem się głównie na Magdzie. – Duszyński pokręcił głową i schował twarz w dłoniach. – To straszne. Nie mogę uwierzyć, że ktoś ją zgwałcił, a potem...

– Nikt jej nie zgwałcił – powiedział Witold. – Choć zważywszy na to, co ją spotkało, trudno to uznać za pocieszenie.

Duszyński przez kilka sekund tępo wpatrywał się w asfalt.

– Myślałem, że oni robią takie rzeczy z pobudek seksualnych. Porywają, gwałcą, a potem mordują, żeby ofiary ich nie rozpoznały.

– Oni, kogokolwiek ma pan na myśli, raczej nie działają w sposób zrozumiały dla innych. Rzadko postępują logicznie. Gdyby tak było, tobyśmy się dzisiaj nie spotkali.

– Czy ktoś może potwierdzić pańską wersję wydarzeń? – spytał Artur.

Duszyński ponownie podrapał się po głowie. Po łysym placku, który w ciągu kilku lat miał zainfekować resztę jego łba.

– Nie, ale mam zdjęcia z tego wieczoru. Zrobiłem nam kilka fotek. Między innymi w pubie i u mnie.

– Po co? – zdziwił się Artur. – Chyba pan nie sądził, że może wyjść z tego coś więcej niż *one night stand*.

Duszyński wzruszył ramionami.

– Nigdy nie wiadomo. Różnie w życiu bywa. Lepiej być przygotowanym na wszystko.

– Na wszystko się nie da – odparł Witold, wyrzucając papierosa na chodnik i przydeptując go czubkiem buta tak, jakby chciał wyrzucić mu krzywdę. – Prawdopodobnie wkrótce zgłoszą się do pana dwaj śledczy, którzy będą zadawać te same pytania. Czy mógłby pan nie wspominać im o tym, że z nami rozmawiał?

Duszyński, coraz bardziej zdziwiony, popatrzył na policjantów.

– Mogą mi panowie wyjaśnić, o co tu chodzi?

Witold pokręcił głową.

– W policji też nie wszystko jest logiczne.

Kiedy Mariusz Szczebiot zbierał się do domu, styrany serią zebrań na komendzie, dziwaczną wizytą w Lesie Łagiewnickim i ślęceniem nad raportami, z których nic nie wynikało, okazało się, że jego dzień będzie jeszcze dłuższy. W progu biura naczelnika zameldował się prokurator Adam Warga. Z jedną ręką schowaną w kieszeni i z charakterystyczną wypchaną aktówką w drugiej. Szczebiot przypuszczał, że nigdy się z nią nie rozstawał. Podobnie jak z wymiętym garniturem, w który ledwo wciskał swoje cielsko.

– Coś się stało? – spytał Szczebiot.

Warga wszedł do pokoju. Zbliżył się do biurka na tyle, że jego potężne brzuszysko zawisło nad blatem. Rozmiarem dorównywało monitorowi. Dziewiętnastocalowemu. Naczelnik musiał się mocno skoncentrować, żeby nie zacząć się na nie bezceremonialnie gapić.

– Mamy różnych sprawców – oznajmił Warga. – Powołany przez komendanta zespół porównał zabójstwa Magdy i Martyny Bułeckiej. Uznał, że pomimo pewnych podobieństw, zwłaszcza w sposobie zadawania ran i skali brutalności, dokonali ich różni ludzie. Te

przypuszczenia potwierdził jeden z najlepszych profilerów w kraju, u którego zamówiłem ekspertyzę. To oznacza, że po mieście grasuje trzech psychopatów.

– Trzech? – zdziwił się Szczebiot. – Jesteście pewni, że w zabójstwie Magdy uczestniczyły dwie osoby?

– Zdecydowanie. Jedna nie byłaby w stanie tego zrobić. Nie w taki sposób.

Naczelnik pokiwał głową. Żeby nie gapić się na wielki bęben prokuratora, przeniósł wzrok nieco wyżej. Na jego brudny krawat, umazany musztardą albo chrzanem. Szczebiot do dziś pamiętał, jak kilka tygodni wcześniej Warga zaprosił go do jednej ze swoich ulubionych restauracji. Przez niemal pół godziny musiał patrzeć, jak tłuścioch opycha się żarciem. Na samo wspomnienie tego spotkania robiło mu się niedobrze.

– A jak sobie radzi nasza czarna owca? – zapytał Warga.

– Kawęcki? No cóż... – Szczebiot szukał odpowiednich słów. – Kiepsko to zniósł. Zabójstwo Magdy przypomniało mu o starych demonach. Zdołał je uśpić na jakiś czas, ale właśnie się obudziły. Z wrzaskiem.

Prokurator ze zrozumieniem pokiwał głową. Następnie położył aktówkę na biurku i wyciągnął z niej kilka spiętych zszywkami kartek.

– To dla ciebie. Pierwszy raport zespołu Adamskiego. Poczytaj, a potem przekaz chłopakom. Domyślam się, że odsunięcie ich od sprawy było dla nich sporym ciosem. Dla ciebie pewnie też. Komendant trochę przesadził.

– Tak uważasz?

Warga kiwnął głową.

– Gdybyś czegoś potrzebował, miał jakieś pytania co do raportu albo po prostu chciał pogadać, to wiesz, gdzie mnie szukać.

Grubas zgarnął aktówkę i wytoczył się z gabinetu. Szczebiot wstał i zamknął za nim drzwi. Potem wrócił za biurko. Zamknął wszystkie karty przeglądarki i zapisał zmiany w dokumentach. Wylogował się z systemu i zgasił monitor. Następnie rozparł się na krześle, ręce splótłszy na brzuchu. Przesiedział nieruchomo kilka długich minut, bijąc się z myślami. W końcu sięgnął po telefon. Wybrał numer Witolda.

– Zgadzam się – powiedział. – Przyjrzyjcie się prokuratorowi. Wprawdzie nie wierzę w to, o co go oskarżacie, ale... – zawahał się – chcę mieć czyste sumienie. Tylko bądźcie dyskretni.

Rozłączył się. Wstał i ruszył do wyjścia. Zanim zgasił światło, zerknął na biurko. Na jego brzegu dostrzegł półokrągłą tłustą plamę. Nie był pewien, czy zostawiła ją aktówka, czy brzuch prokuratora. Ani który z tych wariantów był bardziej odrażający.

Tomek Kawęcki miał wrażenie, że idący z naprzeciwka ludzie widzą w nim bezdomnego: rzucają złośliwe komentarze, krzywią się, wstrzymują oddech i próbują ominąć go jak najszerszym łukiem. Człapał wzdłuż niskiego, pomazanego sprejem murku, w ubłoconej kurtce i jeszcze brudniejszych spodniach, upapranych czymś trudnym do zidentyfikowania. Popijał najtańszy napój energetyczny, jaki znalazł w sklepie, i palił powyginanego papierosa, który wyglądał tak, jakby go skreślił paralityk. Co chwila chwycił się za obolałą głowę, próbując odtworzyć przebieg ostatnich kilku godzin. Bezskutecznie. Jedyne, co pamiętał, to rozmowa, którą przeprowadził po powrocie z Lasu Łągiewnickiego. Z człowiekiem, z którym nie powinien rozmawiać. A

już na pewno nie w takim stanie – uwięziony w pijackim transie, w którym zachowywał się jak obdarzony zbyt dużą świadomością facet z rozdwojoną jaźnią, nieudolnie próbujący oszukać samego siebie.

Kiedy się zorientował, że nie pamięta, jak przyjechał do domu ani gdzie zaparkował, tym razem postanowił zostawić samochód. Wolał nie sprawdzać, gdzie kończy się jego limit szczęścia. Nafaszerował się tabletkami przeciwbólowymi, wypił piwo na klina i zaczął taszczyć się w kierunku centrum. Po prawie dwugodzinnym upokarzającym marszu dotarł na miejsce: na tyły jednej z poleskich szkół. Przy akompaniamencie szkła chrzęszczącego pod stopami przeszedł przez betonowe boisko. Przy jednej z kilku ławek czekał zakapturzony mężczyzna.

Zobaczywszy Kawęckiego, pokręcił głową.

– Za każdym razem, kiedy cię widzę, wyglądasz gorzej niż poprzednio – powiedział.

Energicznie zsunął kaptur, jakby chciał się pochwalić nową fryzurą. Ale nie była nowa. Kawęcki ujrzał znajomą łysą głowę, wytatuowany kark i odstające spiczaste uszy, przez które facet przypominał przerośniętego elfa.

– Taki już mój urok – powiedział Kawęcki.

– Dobrze, że umawiamy się na odludziu. Zesrałbym się ze wstydu, gdyby moje ziomki się dowiedziały, że spotykam się z takim lujem jak ty.

– Nie wiedziałem, że masz tu jakichś ziomków.

Łysol teatralnie wypiął pierś. Wykrzywił usta, jakby chciał splunąć Kawęckiemu w twarz.

– Nie wkurwiał mnie – warknął.

Gdyby Kawęcki poznał tego człowieka kilkanaście lat wcześniej, pewnie ostrożniej dobierałby słowa. Kiedyś mówili na niego Procent. Kiedyś, czyli w czasach, gdy był gangsterem z warszawskiego Mokotowa. Z przestępstw, jakie wtedy popełnił, prawdopodobnie dałoby się zbudować kilkanaście policyjnych kartotek. Ale w pewnym momencie jego gangsterska kariera upadła. Mniej więcej dziesięć lat temu Procent pobił niewłaściwą osobę – syna jednego ze swoich wysoko postawionych kolegów. Wtedy stało się jasne, że albo zostanie w Warszawie i da się zabić, albo wyjedzie z miasta. Ale zamiast uciec na Wyspy, jak czyniła większość gangusów w podobnych sytuacjach, Procent przeniósł się do Łodzi. Jakimś cudem udało mu się to załatwić bardzo dyskretnie. Na tyle, że do dzisiaj żaden z jego warszawskich kolegów się o tym nie dowiedział.

Kawęcki nie miał pojęcia, dlaczego Procent zdecydował się na ten ruch. Ale wiedział, że ukrywający się gangster gotów jest znieść wiele, aby jego starzy znajomi się nim nie zainteresowali.

I właśnie dlatego mógł go trochę powkurwiać.

– Czego chcesz? – zapytał Procent.

– Przysługi.

– Kolejnej?

Kawęcki wyciągnął z kieszeni dwa wymięte zdjęcia. Byli na nich mężczyźni, których można było wziąć za braci Procenta: ogolone głowy, twarze nieskalane myślą, wściekłość w oczach.

– Kto to?

– Zenon Trzaskowski i Marcin Banaś. Niestety, nie znam ich ksyw. Ale wiem, że pracują dla faceta o pseudonimie „Tarantino”. Od Quentina Tarantino. Tego reżysera.

– Wiem, kurwa, kim jest Tarantino.

– On z kolei pracuje dla niejakiego Romana Basznikowa. Tajemniczy facet. Wiem tylko tyle, że prowadzi kilka barów z lewymi kasynami, przemyca narkotyki i handluje psami.

Procent pokiwał głową. Jednocześnie parokrotnie złapał się za krocze, jakby chciał zrobić sobie dobrze przez spodnie.

– Słyszałem o nim. Mocny zawodnik. Na twoim miejscu trzymałbym się od niego z daleka.

– Za późno – odparł Kawęcki. Wyciągnął kolejnego papierosa, który wyglądał tak, jakby przesiedział na nim pół dnia. – Roman kazał tym dwóm gorylom dorwać mnie w moim mieszkaniu. Ale byłem od nich sprytniejszy. I dlatego oni leżą w szpitalu, a ja z tobą rozmawiam.

– Czym mu podpadłeś?

– Rozwaliłem jeden z jego lokali.

– Kurwa – syknął Procent, a jego ręka znów powędrowała w stronę krocza. – Dziwne, że jeszcze żyjesz.

– Gość jest ułożony z policją, więc właściwie nic mu się nie stało. Na pewno dostał odszkodowanie i dodatkową ochronę. Moim zdaniem przesadził z reakcją.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo mnie wkurwił.

Procent uśmiechnął się niepewnie. Patrzył na Kawęckiego jak na potencjalnego samobójcę.

– Czego chcesz?

– Żebyś się dowiedział, co Roman zamierza ze mną zrobić. Czy w dalszym ciągu chce mnie zajebać, czy może po ostatniej akcji wpadł na jakiś inny pomysł. I żebyś mu powiedział, że chcę z nim pogadać.

– Po co?

– Naprawdę musisz to wiedzieć?

– Nie muszę, ale chcę. Jestem kurewsko ciekawski.

– Słyszałeś o zabójstwie Martyny Bułeckiej? Studentki, która została poćwiartowana w swoim mieszkaniu?

– No.

– Zanim zginęła, zgwałcił ją pies. Czworonóg, nie policjant. I ten pies najprawdopodobniej pochodził od Romana.

– Skąd wiesz?

Kawęcki zaciągnął się mocno.

– Bo wiem – burknął. – Widziałem, jak zabójca zwracał tego psa ludziom Romana.

– Niezły z ciebie detektyw.

– Akurat w tym przypadku miałem szczęście. A zarazem pecha.

Procent po raz kolejny ścisnął krocze, jakby chwycił za klakson. Ale z jego spodni, o dziwo, nie wydobył się żaden dźwięk.

– Coś jeszcze, jaśnie panie?

– Znajdź tę dziewczynę. – Kawęcki wetknął papierosa między zęby i wyciągnął z kieszeni następne zdjęcie. – To Maja Zielińska. Heroinistka. Trzy lata temu uciekła z domu i najprawdopodobniej zaszyła się w jakiejś melinie.

– Nie za wiele wiesz.

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Jest młoda i ładna, więc żeby zarobić na herę, pewnie daje dupy. Kto wie, może to ona sprzedała ci wszy.

Procent ponownie naprężył pierś.

– Co ty pierdolisz?

– Nieustannie łapiesz się za jaja. To oznacza, że albo masz wszy, albo syfilis, albo jakieś inne gówno. Idź z tym do lekarza.

– Sam se, kurwa, idź. Nie będę łaził po jakichś jebanych konowalach.

– Jak wolisz. Ale nie jęcz jak suka, gdy za jakiś czas się okaże, że nie jesteś w stanie spłodzić potomka.

Procent zbliżył się do Kawęckiego wystarczająco blisko, żeby uderzyć go głową. Ale tylko wbił w niego zamyślane spojrzenie, jakby zaczął gorączkowo się zastanawiać, co właściwie wyprawia się w jego majtkach.

Chwilę później odsunął się i zapalił papierosa. Popatrzył na zdjęcia, które dostał od Kawęckiego. Uśmiechnął się. Tym razem szeroko. Najszerzej, jak potrafił.

– Mariusz się ucieszy – powiedział. – Będzie cię to sporo kosztować.

– Wiem.

– Skoro wiesz, to spierdalaj, zanim się rozmyślę.

Procent wydmuchnął dym prosto w twarz Kawęckiego. Następnie kilka razy zagwizdał w sposób, w jaki się gwizdże na psy, i wskazał palcem furtkę, którą kilka minut wcześniej komisarz wszedł na teren szkoły.

Kawęcki przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, wciąż lekko chwiejąc się na nogach. W zasadzie ma rację, pomyślał. Powinienem już spierdalać.

Sierpień

Anna Stelmach i Łukasz Filipowski zgarnęli ze stołu notatki i schowali je do dwóch osobnych teczek. Następnie wyszli z pomieszczenia. Tomek Kawęcki poczekał, aż ucichnie stukot ich butów, i przechylił się na bok. Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął stumililitrową buteleczkę wódki. Odkręcił ją. Wlał jej zawartość do gardła, po czym pociągnął kilka łyków ze stojącego przed nim kubka.

Nie był pewien, co smakowało gorzej. Ciepła wódka czy zimny kawopodobny napój, którym ją popił.

– A więc jednak przekonał się pan do kawy – powiedział Filipowski, kiedy wraz ze swoją partnerką wrócił do pokoju.

Kawęcki wolno pokiwał głową. Czuł, że jeśli zrobi to zbyt gwałtownie, może nie utrzymać w żołądku tego, co wypił.

Policjanci opróżnili tecki z dokumentów i popatrzyli na przesłuchiwanego, który zaczął się do nich głupkowato uśmiechać. Inicjatywę przejęła Stelmach.

- Chcielibyśmy z panem porozmawiać o Herkulesie – oznajmiła.
- Nie przepadam za mitologią.
- O firmie Herkules. Wie pan, czym się zajmuje?

- To firma ochroniarska.
- Zgadza się. A wie pan, kto korzysta z jej usług?
- Pewnie firmy, które potrzebują ochrony.
- Zdecydowana większość przedsiębiorstw, od których rozbite przez pana grupy przestępcze wymuszały haracze.

Stelmach czekała na jakąkolwiek reakcję Kawęckiego. Nie doczekała się.

– Chciał pan wiedzieć, co na pana mamy? Otóż wiemy, że współpracuje pan z Herkulesem. Że pomaga pan Mariuszowi Ryterowi, tajemniczemu właścicielowi tej spółki, który tak naprawdę jest wschodzącą gwiazdą półświatka. Który pod przykrywką firmy ochroniarskiej prowadzi grupę przestępczą specjalizującą się w wymuszaniu haraczy.

- Niby jak?
 - Zmusza małych przedsiębiorców do współpracy ze swoją firmą.
- Kawęcki przewrócił oczami.
- Niby jak mu pomagam?
 - Wynosząc z policji informacje, do których on sam nie mógłby dotrzeć. Albo usuwając te, które mogłyby być dla niego niewygodne.
 - Czyli jakie?
 - Na przykład dotyczące obserwacji prowadzonych przez policję.
 - Dlaczego?
 - Proszę przestać zadawać nam pytania – włączył się Filipki. – Chyba się panu role pomyliły.

Stelmach sięgnęła do grubego pliku dokumentów i podniosła leżące na jego szczycie zdjęcie.

– Widzieliśmy pana w towarzystwie tego człowieka. – Podąa Kawęckiemu fotografię. – Jak pan to wytłumaczy?

Kawęcki przyjrzał się zdjęciu, na którym rozmawiał z przerośniętym elfem z jajowatą głową. Potem spojrział na policjantów. Próbował odgadnąć, jak duzo o nim wiedzą.

– Wiesz, dlaczego nazywają go Procent? – Kawęcki zwrócił się bezpośrednio do Stelmach. – Bo w czasach świetności odbijało mu po wóźnie. Stawał się wyjątkowo agresywny. Robił z butelek tulipany i groził nimi ludziom. Podobno nie zawsze kończyło się na groźbach.

– Kim on jest dla pana?

– Informatorem.

Stelmach sięgnęła po kolejne zdjęcie i przekazała je Kawęckiemu. Wręczał na nim Procentowi jakąś kartkę.

– Według nas jest dokładnie odwrotnie. To pan jest jego informatorem. Kretem. Na tej fotografii wyraźnie widać, jak pan sprzedaje informacje gangsterowi.

– O ile mi wiadomo, on już nie jest gangsterem. A na tym zdjęciu widać tylko to, że wręczam mu jakiś świstek. Prawdopodobnie z instrukcją, co ma robić. Chyba pani nie sądzi, że ktoś o takiej aparycji byłby w stanie zapamiętać, o co go proszę.

– Wiemy, że Procent pracuje dla Rytera.

– Herkules to spora firma. Dużo ludzi w niej pracuje.

– Jest jego przybocznym. Pomaga mu w prowadzeniu nielegalnego biznesu. Podobnie jak pan. – Stelmach opadła na oparcie krzesła. Zrezygnowana. Zła. – Czy naprawdę uważa nas pan za kompletnych debili?

Kawęcki szeroko się uśmiechnął. Intensywnie gapiąc się na Stelmach, zaczął stukać zapalniczką o stół.

– Wolałabyś nie wiedzieć, za kogo was mam – powiedział. – Ale jeśli wezwaliście mnie tutaj, żeby rozmawiać o Herkulesie, niewątpliwie jesteście idiotami. A jeszcze większym jest człowiek, który podsunął wam ten pomysł. – Pochylił się do przodu i oparł łokcie na blacie. – Jeśli przyniesiecie mi kolejną kawę, to może opowiem wam ciekawą historię.

Cztery miesiące wcześniej

Dwaj mężczyźni przyglądali się dyskusji Kawęckiego z kelnerką. Dwudziestoparoletnia dziewczyna, z kolczykami wszczepionymi w uszy, nos oraz brwi, ubrana w czarną koszulkę, podziurawione dżinsy oraz glany, z kruczoczną czupryną postawioną na sztorc, tłumaczyła policjantowi, że w tym pubie zamówienia składa się wyłącznie przy barze. Kawęcki próbował ją przekonywać, że jeśli zgodzi się odstąpić od tej reguły i zajmie się ich stolikiem, dostanie sowity napiwek, za który będzie mogła kupić płytę Black Sabbath albo Iron Maiden. Kelnerka długo się wahała. Zanim odeszła od stołu, obojętnie wzruszyła ramionami, co chyba miało oznaczać, że ma to gdzieś. Ale gdy dotarła do baru, powiedziała swojemu koledze, żeby napełnił kufel piwem.

Kawęcki odprowadził ją wzrokiem, a potem zwrócił się do swoich towarzyszy.

– Czy wyglądam wam na hipstera?

Mężczyźni, nie patrząc na siebie, jednocześnie pokręcili głowami. Nie sprawiali wrażenia szczęśliwych. Zresztą trudno było się im dziwić.

– Tak myślałem. Mimo to nie zapaliła się wam lampka ostrzegawcza, kiedy zaproponowałem spotkanie w nowym hipsterskim lokalu na Tuwima, w którym średni wiek klienta nie przekracza dwudziestu pięciu lat, a kelnerki tak naprawdę nie są kelnerkami. Jak to o was świadczy? Nie najlepiej, prawda?

– Czego pan chce? – zapytał jeden z facetów, wyższy i bardziej niecierpliwy.

Nazywał się Piotr Waryński. Wystrojony w sportową marynarkę, szczupły, z włosami zaczesanymi na bok. Mógłby uchodzić za przystojnego, gdyby nie wielka narośl na policzku, która odbierała mu cały urok. Obok niego siedział Eryk Dziwisz. Był o jakieś dwadzieścia centymetrów niższy od Waryńskiego. Pod obszerną bluzą ukrywał muskularne ciało i całkiem spory brzuch, a krzaczasta broda zakrywała większość jego pucołowatej twarzy. Wyglądali na przybyszy z dwóch różnych planet.

Kawęcki pochodził z jeszcze innej. Najdziwniejszej ze wszystkich.

– Znacie się trochę na psychologii? – zapytał, ale jego kompani nie raczyli mu odpowiedzieć. – Fascynujące jest w niej to, że choć praktycznie nic nie wiemy na temat funkcjonowania naszego mózgu, a ludzie pochodzący z tego samego miasta, podobnych rodzin i wychowani w jednakowy sposób często diametralnie się od siebie różnią, to w zasadzie można stwierdzić, że wszyscy jesteśmy tacy sami. W naszych głowach zachodzą identyczne procesy psychologiczne. Jakbyśmy nie kierowali się doświadczeniem czy rozumem, lecz wyłącznie instynktem. Niczym psy, które za wszelką ceną próbują obsikać drzewo, gdy tylko wyczują na nim zapach rywala. Dzięki temu można czytać w ludziach jak w otwartych księgach.

Kelnerka przyniosła piwo i postawiła je na stole, jakby robiła komuś łaskę. Kawęcki wręczył jej pięćdziesięciozłotowy banknot i powiedział, że będzie mogła go zachować, jeżeli zadba, by nawet przez chwilę nie stał przed nim pusty kufel.

– Odkąd się tu pojawiliście, udajecie, że się nie znacie – kontynuował Kawęcki, kiedy ponownie zostali sami. – To w zasadzie dobra taktyka. Jedyna słuszna. Tyle że jesteście bardzo słabymi aktorami. Nie okazujecie sobie żadnego zainteresowania. Nawet nie zerkacie na siebie. Jak kochankowie próbujący ukryć przed wspólnym znajomym, że ze sobą sypiają. – Odchylił się na krześle i skrzyżował ręce na piersi. – Popatrzcie na siebie. Obdarzcie się uśmiechem, nawet sztucznym. Spróbujcie się dowiedzieć, czym się zajmujecie. Albo chociaż pogadajcie o jebanej pogodzie.

– Nie znam tego człowieka – fuknął Waryński, celując kciukiem w Dziwisza. – Nie wiem, co pan insynuuje i dlaczego opowiada te brednie, ale dzisiaj zobaczyłem go pierwszy raz w życiu.

Dziwisz energicznie pokiwał głową, podpisując się pod słowami Waryńskiego.

– Szkoda. Miałem nadzieję, że będę mógł pominąć wprowadzenie. Ale skoro nalegacie...

Kawęcki oparł ręce na stole i zajrzał obu mężczyznom w oczy. Następnie skupił wzrok na Dziwiszu.

– Twój sąsiad nazywa się Piotr Waryński. To niedoszły sportowiec. Niespełniony pływak, który dziś trzaska triathlonu. To także właściciel sklepu internetowego sprzedającego jakiś elektroniczny szmelc z Bangladeszu. Interes idzie mu nędznie, jeszcze żadnego roku nie zakończył z zyskiem. Dlatego musi dorabiać. Teoretycznie jako DJ w

klubie Hermes. Praktycznie jako handlarz kokainy, amfetaminy, mefedronu, extasy i MDMA. Sądząc po jego domu w Pabianicach, trzech całkiem nowych samochodach i panienkach, które udaje mu się podrywać mimo paskudnej narośli na gębie, idzie mu to całkiem nieźle. Na pewno lepiej niż biznes.

Kawęcki przeniósł wzrok na Waryńskiego, który wyglądał jak człowiek właśnie wdeptany w ziemię.

– O twoim sąsiedzie nie mogę powiedzieć nic ciekawego. Eryk Dziwisz raczej nie cierpi na zawodowe ADHD. W życiu lubi chodzić na skróty. Pracuje na magazynie w dużej firmie kurierskiej. Jest tam typowym fizolem, anonimową rybką, która raczej nie ma szans przenieść się do akwarium. Bozia nie obdarzyła go zbyt potężnym rozumem. Na szczęście ma krzepę. Nie daj się zwieść temu bebechowi. Jego kumple z siłowni mówią, że widzieli, jak wycisnął na klatę sto trzydzieści kilogramów. On sam twierdzi, że kiedyś udało mu się podnieść nawet dwadzieścia kilogramów więcej. – Kawęcki zerknął na Dziwisza, który próbował zamordować go wzrokiem. – I oczywiście pracuje jako twój diler. Dzięki temu stać go na stuningowane bmw, drogi sprzęt muzyczny i karnet na najbardziej lancerską siłownię w mieście.

Zwieńczył swój monolog dużym łykiem piwa. Potem szeroko się uśmiechnął.

– Czego chcesz? – zapytał Waryński.

– Szczerze? Wsadzić was do pierdła i co jakiś czas sprawdzać, jak sobie w nim nie radzicie. Chcę pogruchotać wasze nędzne życia. Ale jest jedna rzecz, której pragnę jeszcze bardziej. I mam nadzieję, że

pomożecie mi ją zdobyć. Choć to właściwie wy powinniście mieć na to nadzieję.

– Chodzi o Martynę Bułęcką – oznajmił Dziwisz.

Kawęcki udawał, że bije mu brawo.

– W jej organizmie wykryto ślady kokainy, prawdopodobnie pochodzącej od was. Widywano ją w klubie, w którym rozprawdzaliście towar. Obaj śliniliście się na jej widok. Okazywaliście jej niezdrowe zainteresowanie. Założę się, że trzepaliście sobie do zdjęć, które zamieszczała na Facebooku. W dodatku choć fizycznie bardzo się od siebie różnicie, obaj pasujecie do charakterystyki sprawcy, którego szukamy. – Kawęcki pokręcił głową.
– Nie pytajcie, jak to możliwe.

Mężczyźni gapili się w milczeniu na swoje drżące ze zdenerwowania ręce.

– Czy jeśli powiemy ci wszystko, co wiemy o Martynie, dasz nam spokój? – zapytał Dziwisz.

Waryński zgromił go wzrokiem, co wywołało jeszcze szerszy uśmiech na twarzy Kawęckiego.

– Jeśli powiecie mi wszystko, co o niej wiecie, i dodatkowo pomożecie mi zebrać informacje na jej temat, to może zapomnę o tym, czego się o was dowiedziałem.

– A jeśli nie? – zapytał Waryński.

Kawęcki pochylił się w jego stronę.

– Wówczas będę sącył piwko, patrząc, jak moi niebiescy koledzy wyprowadzają was stąd w kajdankach.

Komisarz podniósł się z krzesła. Wyciągnął papierosa z paczki i wetknął go do ust.

– Idę zajarać. Macie kilka minut, żeby sobie odświeżyć pamięć.

Parę godzin później Kawęcki ponownie siedział w pubie. Ale tym razem to nie on wybrał miejsce. Obracając w dłoniach kufel, gapił się przez wysoką witrynę na rząd charakterystycznych retkińskich wieżowców wybudowanych wzdłuż ulicy Wyszyńskiego, zastanawiając się, ile piw zdążył już wytrąbić tego dnia. Nie mógł się ich doliczyć.

Kiedyś w jakiejś książce przeczytał, że alkoholicy przeważnie mają jednego wroga. Konkretny trunek, który codziennie w siebie wlewają. Ciekłe monstrum przywołujące wyłącznie najgorsze wspomnienia. Ale u niego to tak nie działało. Jego demon przyjmował różne postaci. Pod każdą z nich czuł się gwiazdą balu, bez względu na to, czy pojawiał się w formie pięcio-, czy czterdziestoprocentowej. I pod każdą potrafił siać wielkie spustoszenie. Jak wściekły pies spuszczonej ze smyczy.

Kawęcki nie spodziewał się żadnego zagrożenia ze strony Jakuba Możejki, ale starym policyjnym zwyczajem usiadł w pubie plecami do ściany, aby dokładnie widzieć ludzi wchodzących do lokalu. Kiedy zobaczył, że pisarz nie przyszedł sam, zaklął pod nosem.

– To jest...

– Wiem, kim ona jest – przerwał Możejce Kawęcki. – Widziałem ją w telewizji. – Policjant spojrział z odrazą na wyciągniętą dłoń Alicji Mioduszeńskiej. – Po jaką cholere ściągnęłaś ją tutaj?

Możejko spojrział na Alicję.

– Wspominałem, że jest szarmancki i uroczy?

– Ponadprzeciętnie uroczy – rzuciła Alicja, cofając rękę.

Przybysze powiesili płaszcze na krzesłach, a następnie zamówili po cappuccino. Zanim kelner doniósł im napoje, starali się zawiązać

rozmowę. Ale nie był to small talk z najwyższej półki. Kawęcki na niektóre z pytań niechętnie odburkiwał, a na inne zupełnie nie reagował. Nie podejmował wątków, które inicjowali dla rozluźnienia atmosfery. W końcu próba prowadzenia rozmowy w trójkącie zamieniła się w żenujący dialog pisarza z dziennikarką na temat pogody, kotów i memów z Aleksandrem Kwaśniewskim.

– Dlaczego się tutaj spotkaliśmy? – zapytał Kawęcki, kiedy opróżnił swój kufel.

– Bo to ziemia niczyja – wyjaśnił Możejko. – Tu nikt nas nie pozna.

– Nie mam na myśli miejsca, tylko powód spotkania. I skład osobowy. – Kawęcki wycelował palcem w Alicję.

Momentalnie starł uśmiech z jej twarzy. Jak po przystawieniu lufy do skroni.

– Chcemy ci złożyć zawodową propozycję – wyjaśnił Możejko. – Piszemy wspólnie książkę. Reportaż. O Martynie Bułeckiej. O tym, co ją spotkało.

– A co ją spotkało?

– Raczej nie był to nieszczęśliwy wypadek – włączyła się Alicja. – Nie było to także przypadkowe morderstwo ani zabójstwo w afekcie. Sprawca zadbał o to, aby nikt się nie dowiedział, kto i w jaki sposób to zrobił. A przynajmniej żeby nie dowiedziała się tego policja.

– A wy, bystrzaki, wiecie?

– Nie. Ale wiemy rzeczy, o których wy nie macie pojęcia.

– Na przykład?

Alicja spojrzała na Możejkę. Ten napił się kawy, a potem odstawił filiżankę na stół. Pochylił się w stronę Kawęckiego.

– Wiemy, że zabójca doskonale znał kamienicę Martynty. Rozkład mieszkań, konstrukcję pomieszczeń i grubość ścian. Wiedział, jak rozchodzi się dźwięk po budynku. A także kto mieszka na poszczególnych piętrach. Dzięki temu mógł zaszyć się w mieszkaniu Martynty na kilka dni, robiąc w nim, co mu się żywnie podoba.

– Skąd to wiecie?

– Od inżyniera budowlanego, który nadzorował remont kamienicy.

Kawęcki się zasepił. Wpatrywał się w pusty kufel, jakby chciał wskrzesić wzrokiem jego zawartość.

– Co jeszcze wiecie?

– Dowiesz się, jeśli zgodzisz się z nami współpracować. Potrzebny jest nam dostęp do informacji, którymi policja nie dzieli się z opinią publiczną.

– Nie ma mowy.

– Możemy być twoimi nieoficjalnymi zewnętrznymi konsultantami. Albo zespołem, którego ci brakuje.

– Kilka osób z mojego wydziału pracuje wyłącznie nad tą sprawą.

– A dlaczego nie nad sprawą Magdy Giętkiej? – zapytała Alicja. – Przecież w obu przypadkach macie do czynienia z tym samym sprawcą.

Kawęcki ściągnął usta i zamilkł. Uważnie przyglądał się dziennikarce.

– Jako cywile możemy zdobyć informacje, których ty, będąc policjantem, nie jesteś w stanie uzyskać – dodał Możejko.

Kawęcki zastanawiał się nad ich propozycją, obracając w dłoniach kufel. Po kilku długich sekundach odstawił go na stół i bez słowa wyszedł z lokalu. Stanął przed wejściem i zapalił papierosa.

– Pójdę do niego – powiedział Możejko.

Wyszedł z pubu w samej marynarce i momentalnie uderzył go chłód. Kiedy dołączył do Kawęckiego, komisarz skinął brodą na witrynę lokalu. W stronę Alicji, która została w środku. Uśmiechała się, przeglądając coś w smartfonie. Prawdopodobnie memy z Kwaśniewskim.

– Kim ona jest dla ciebie? – zapytał Kawęcki.

– Koleżanką. Poznałem ją, gdy pisała tekst o zabójstwie Marty. Dowiedziała się, że jestem jej promotorem, więc postanowiła zrobić ze mną wywiad.

– Wie, że dmuchałeś Bułęcką?

– Wie.

– A że Bułęcka sprzedawała swoje ciało na portalu sado-maso?

– To też. Powiedziałem Alicji wszystko, co powinna wiedzieć.

– Także to, że wypychasz fiuta we wszystko, co się rusza?

– Nie we wszystko. W ciebie go nie wepchnąłem. Jeszcze.

– I że dajesz po nosie, kiedy tylko najdzie cię na to ochota?

Możejko ciężko sapnął.

– Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, że ma to niewiele wspólnego z ochotą.

Mężczyźni zmierzili się wzrokiem, jakby za chwilę mieli sobie skoczyć do gardeł. W końcu Kawęcki zaciągnął się papierosem i pokręcił głową, rozdmuchując dym we wszystkich kierunkach.

– Nie zamierzam współpracować z dziennikarką.

– Ona już nie jest zatrudniona w „Expressie”.

– Od kiedy?

– Formalnie stanie się to za kilka dni. Już złożyła wypowiedzenie. Ja też za chwilę przestanę być wykładowcą.

– Jak to?

– Przedwczoraj rzuciłem papierami na uniwersytecie. Ktoś rozpuścił informację, że miałem romans z Martyną. Wprawdzie koledzy jeszcze mnie za to nie potępili, ale studenci już dali mi odczuć, że nie jestem mile widziany na uczelni. – Możejkę rozłożył ręce, ale zaraz potem objął nimi zziębnięte ramiona. – Może to i dobrze. Dzięki temu w stu procentach będę mógł się skupić na książce.

Kawęcki odwrócił się w stronę wieżowców, które wyrastały po drugiej stronie ulicy. Biorąc kilka ostatnich machów, zastanawiał się, czy życie w nich może być przyjemne. Czy bycie jednym z tysięcy nic nieznaczących lokatorów nie przygnębia ich mieszkańców. Ludzi, którzy każdego dnia zrywają się bladym świtem, żeby wsiąść do tramwaju, odbyć dwudziestominutową podróż do centrum, przesiedzieć kilka godzin w biurze i wrócić do swojego betonowego zakątka, gdzie w najlepszym wypadku czekają na nich telewizor, kanapa i wkurwiający małżonek. A potem przypomniał sobie, że sam mieszka na blokowisku. I że zna odpowiedź na to pytanie.

– Co wy właściwie kombinujecie? – zapytał.

– Ciebie kręci łapanie zabójców, my lubimy opowiadać ciekawe historie. Przy okazji wierzę, że możemy zrobić coś dobrego. Powiedzmy, że jest to nasza kontrybucja na rzecz społeczeństwa.

– Co za bzdura – parsknął Kawęcki. – Jak na mój gust wpadło ci do głowy, że możesz zarobić na nieszczęściu panny, którą kiedyś pukałeś.

– A czy cię w ogóle obchodzi, jakie są nasze intencje? Oferujemy ci pomoc, której nie otrzymasz od żadnego ze swoich kolegów. Możemy się w pełni zaangażować w tę sprawę. Będziemy dostępni praktycznie przez całą dobę. A jeżeli się nie uda, jeśli się okaże, że

nasze poszukiwania poszły na marne, a my byliśmy bardzo naiwni, sądząc, że jesteśmy w stanie zdziałać więcej niż twoi kumple, to zamiast reportażu napiszemy powieść. Kryminał albo thriller psychologiczny. Zmienimy nazwiska, przebudujemy fabułę, przeniesiemy miejsce akcji. Możemy ci nawet odpalić jakieś tantiemy, jeśli czujesz, że powinieneś coś za to dostać. Zapewniam cię, że na naszej współpracy nikt nie będzie stratny.

Kawęcki gapił się na wyglansowane buty Możejki, które tańczyły na asfalcie. Wyrzucił kiepa na chodnik i przydepnął go swoim brudnym adidasem. Zapiął kurtkę pod szyją.

– Zastanowię się – powiedział. – Na zachętę możecie uregulować mój rachunek.

Wcisnął dłonie do kieszeni i podreptał na przystanek.

Mama pozwalała Marcelinie wracać po zmroku. Powtarzała jej, że jest już dużą, odpowiedzialną dziewczynką, która jak każda duża i odpowiedzialna dziewczynka musi umieć o sobie zadbać. Mówiła także, aby nie chwaliła się nikomu, że ma dziewięć i pół roku, ponieważ tylko małe dziewczynki odnotowują połówki. Duże liczą tylko pełne lata. A duże i mądre w ogóle nie podają swojego wieku.

Marcelina lubiła podsłuchiwać, gdy dziewczynki w szkole rozmawiały o tym, do której godziny rodzice pozwalają im się bawić na podwórku. Żadna nie mogła się z nią równać. Po szkole wracały do domu, jadły obiad, odrabiały lekcje i dopiero potem mogły wyjść. Jednak co godzinę – a niektóre nawet co pół godziny – musiały się meldować. Jedne podbiegały do klatek schodowych i dzwoniły

domofonem. Inne wysyłały esemesy. Czasem rodzice sami do nich dzwoniли, żeby się upewnić, gdzie są i czy wszystko jest w porządku.

Marcelina nie miała telefonu, a domofon od dłuższego czasu nie działał. Nie musiała się jednak w ogóle meldować, więc wcale jej to nie martwiło. Mogła się bawić na podwórku aż do dwudziestej pierwszej. A jeśli zdarzyło jej się wrócić później, mama wcale się na nią nie złościła. Prosiła tylko, aby nie odchodziła za daleko od domu. Mówiła, że ją obserwuje. Marcelina często zerknęła w górę, mając nadzieję, że ujrzy mamę w oknie. Opartą o parapet, ze znudzoną miną i papierosem między palcami. Ale nigdy jej tam nie zobaczyła.

Wielokrotnie za to widziała, jak mamy dziewczynek z jej klasy wychodziły po nie na podwórko, przerywając im zabawę w najmniej odpowiednim momencie. Mówiły, że jest już późno albo zimno. Albo nic nie mówiły, tylko chwytały córki za ręce i ciągnęły je do domu. U niej było inaczej. Mama nie przerywała jej zabawy. Przychodziła po nią wtedy, gdy rzeczywiście było już późno. Nigdy nie ciągnęła jej za rękę. Nie namawiała, żeby wróciła. Mówiła tylko, że już czas. Nic więcej.

Jeżeli Marcelina się wahała, co zdarzało się bardzo rzadko, mama dawała jej ledwo zauważalny znak głową, jakby próbowała strzepnąć coś z włosów. Ale tego dnia nie było to potrzebne. Zobaczywszy matkę, kurczowo obejmującą ramiona, z papierosem między palcami i dymem przysłaniającym twarz, Marcelina od razu ruszyła w jej stronę.

Idąc obok siebie jak dwie zupełnie sobie obce istoty, które przypadkiem zmierzają w tym samym kierunku, przeszły przez zanurzone w ciemności podwórko. Marcelina uśmiechnęła się, gdy zobaczyła, że w oknie, w którym zwykle wypatrywała matki, nie pali

się światło. To mogło oznaczać, że zgaszone jest również w innych pokojach. I że nikogo nie ma w domu.

Weszły do klatki schodowej. Równocześnie otrzepały buty z piachu, starając się nie narobić hałasu. Powoli zaczęły się wspinać po schodach. Marcelina, podobnie jak jej matka, próbowała pokonywać po dwa stopnie naraz. Przychodziło jej to z niemałym trudem. Ale nie chciała różnić się od mamy. W żadnym względzie. Nawet jeśli oznaczało to dla niej niedogodności.

Dotarły na swoje piętro. Marcelina niecierpliwie patrzyła na niezdarne ruchy matki, która z pęku kluczy próbowała wydobyć ten właściwy. W końcu jej się to udało. Chwilę później powietrze przeszyły dwa niepodrabialne, wyjątkowo nieprzyjemne trzaski, które mógł wydać wyłącznie ich zamek. Drzwi się otworzyły.

Marcelina wskoczyła do środka, omal nie taranując przy tym mamy. Zatrzymała się na środku przedpokoju, pochyliła i w pośpiechu zaczęła rozsznurowywać adidasy. Głośno przy tym dyszała, zmęczona wspinaczką na czwarte piętro. Ale kiedy ściągnęła buty, nie słyszała już swojego przyspieszonego oddechu. Usłyszała natomiast coś innego. Szum telewizora.

Podniosła głowę i spojrzała w głąb przestronnego przedpokoju. Zobaczyła delikatną niebieską poświatę, która przebijała się przez oszklone drzwi salonu. Zdrętwiała. Zrozumiała, że nie są w mieszkaniu same. Zerknęła na mamę, ale ta, ściągając kurtkę, schowała przed nią twarz. Jakby się wstydziła, że jej o tym nie powiedziała. Że rozbudziła w niej nadzieję.

W końcu Marcelina zdołała oderwać stopy od podłogi i powoli, na paluszkach, uważając, aby nie zahaczyć o żaden mebel, przeszła do

swojego pokoju. Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi. Wdrapała się na łóżko i przykryła kołdrą, chowając pod nią całe swoje dziewięcioletnie ciało.

Przeżegnała się. Zaczęła się szeptem modlić. Do świętej Maryi. O to, by miała ją w swojej opiece. Aby wspierała ją w trudnych chwilach i pamiętała o niej nawet wtedy, kiedy ona o niej zapomni. I żeby sprawiła, by jak najszybciej nastał poranek. Zanim wydarzy się coś strasznego.

Choć dochodziła dopiero dwudziesta druga, Kawęcki miał wrażenie, że jest już grubo po północy. Był wycieńczony. Kiedy doczłapał do sypialni i padł na łóżko, uświadomił sobie, że nawet nie ściągnął butów. Ani kurtki. Ani spodni, które nosił na sobie od kilku dni, przez co wyglądały tak, jakby się szlajał w nich po bagnach. Zapalił papierosa i odchylił głowę do tyłu. Wpatrywał się przez chwilę w sufit. Potem zamknął oczy.

Ocknął się kilkanaście minut później. Zmieniło się tylko to, że tabletki przeciwbólowe przestały działać, a jego głowa ponownie zaczęła boleśnie pulsować. Strzepnął popiół ze spodni i zmusił się do tego, żeby wstać. Rozejrzył się po mieszkaniu. Nie sprzątał w nim od mniej więcej dwóch tygodni, przez co bardziej przypominało chlew niż kameralne dwupokojowe lokum. Ze stojącej w przedpokoju dębowej szafy ziała wielka dziura, powstała po tym, gdy jeden ze zbirów, którzy kilkanaście dni wcześniej napadli Kawęckiego, wpadł do środka razem z gospodarzem. Podłogę w sypialni wyścielała dawno niezmieniana pościel, która musiała się zsunąć z łóżka. Z wypchanego po brzegi kosza na śmieci dobiegał słodko-kwaśny fetor rozkładającego się

jedzenia, a łazienka cuchnęła jak szalet. Pod drzwiami wejściowymi wały się buty oraz przeterminowane awiza.

Mimo wszechobecnego rozgardiaszu mieszkanie było zupełnie bezosobowe. Kawęcki nie miał w nim zdjęć ani pamiątek. Nie przechowywał żadnych wspomnień utrwalonych na pocztówkach, magnesach czy bibelotach. Było jak nie lubiane miejsce pracy. Obce ciało, o które nikt się nie troszczył.

Kawęcki podreptał do kuchni i otworzył lodówkę. Wyciągnął z niej dobrze schłodzony czteropak piwa, szczelnie zamknięte opakowanie żółtego sera i butelkę ketchupu. Pozostała zawartość lodówki nadawała się już wyłącznie do badań radioaktywnych. W chlebaku komisarz znalazł coś, co kiedyś było bułką. Przepołowił skamielinę nożem, a następnie rozmiękczył ją ketchupem i wepchnął do środka ser. Nie przejmował się tym, że stworzona naprędce kanapka będzie smakować jak podeszwa. Jedzenie od dawna nie sprawiało mu przyjemności. Gdyby mógł, toby z niego zrezygnował. Uważał, że jedzenie jest przywilejem, na który nie każdy zasługuje. I nie znał choćby jednego przyzwoitego powodu, dla którego miałby się znaleźć w gronie szczęśliwców.

Wcisnął czteropak pod pachę i wrócił do sypialni. Ledwo usiadł na łóżku, gdy jego telefon zawibrował. Dzwonił Witold.

– To już rytuał – powiedział Kawęcki z pełnymi ustami. – Mam na myśli twoje wieczorne telefony.

– Wolałbym mieć inny – odparł Witold. – Wolałbym na przykład zerkać o dwudziestej drugiej na zegarek, wiedząc, że właśnie dobiega końca kolejny dzień, w którym nie zrobiłeś nic głupiego.

– Dzisiaj było nie najgorzej.

- Wcześniej zwinąłeś się z komendy. Udało ci się uniknąć pubów?
- Dzisiaj były nieuniknione.

Kawęcki usłyszał, jak Witold ciężko wzdycha, a potem zapala papierosa. Pewnie wyszedł na zewnątrz, pomyślał. Edyta surowo zabraniała mu palić w mieszkaniu. Nie przy dziewczynkach. Nie w miejscu, w którym spożywa się posiłki. Nie, bo ich ubrania prześmierdną dymem. Tak, musiał wyjść na zewnątrz. Chyba że między nimi nie układało się do tego stopnia, że już żadne reguły nie obowiązywały. Jak w wolnoamerykance.

– Cieszę się, że jesz – powiedział Witold, który także wsłuchiwał się w odgłosy z tła. – Zaczynałem wierzyć w twoje bajki o jadłowstręciu i anoreksji.

– To nie bajki. Po prostu mam gorszy okres. Moja wola jest niewystarczająco silna.

Kawęcki wepchnął do ust ostatni kęs. Powarkiwanie w żołądku ustało, a ból brzucha, który nawiedzał go od kilku tygodni, tym razem się nie pojawił. Wiedział, że musi coś z tym zrobić. Że przede wszystkim musi pójść do lekarza, aby się dowiedzieć, co właściwie mu dolega. Ale jeszcze nie teraz.

Strzepnął z siebie okruchy. Następnie ściągnął kurtkę, rzucił ją na łóżko i otworzył piwo. Pociągnął spory łyk. Kolejna konfrontacja z brzuchem. Kolejna zakończona sukcesem.

- Posprzątałeś mieszkanie? – spytał Witold.
- Nie.
- A zamierzasz?

Kawęcki pokręcił głową. Witold domyślił się jego reakcji.

- Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego to sobie robisz?

– Co takiego?

– Pewni ludzie mają poważniejsze powody, żeby się niszczyć. Ci, którzy stracili najbliższych. Molestowani w dzieciństwie. Przewlekłe choroby. Niepełnosprawni. Fakt, że rozstałeś się z żoną, nie jest niczym szczególnym. Ludzie ciągle się rozwodzą.

Przypomnę ci o tym za kilka miesięcy, pomyślał Kawęcki.

– Od dawna podejrzewam, że rozpad twojego małżeństwa nie ma nic wspólnego z tym, jak się zachowujesz – kontynuował Witold. – Że tu chodzi o coś, co zawsze w tobie siedziało. Schowane gdzieś pod skórą. Ukrywałeś to przed samym sobą. Ale to nie mogło wiecznie trwać.

Witold zamilkł na kilka sekund. Kawęcki domyślił się, że właśnie gasi papierosa na chodniku i wyrzuca niedopałek do kosza. Był na zewnątrz, a więc z Edytą nie wszystko stracone. Przynajmniej Witoldowi tak się wydawało.

– Otrzymaliśmy raport od zespołu Adamskiego. A właściwie tylko Szczebiot go dostał. Komendant chyba bardzo nie chce, żebyśmy zbliżyli się do tej sprawy. Nie podoba mi się to.

– Mnie też nie. Co jest w tym raporcie?

– Szczebiot twierdzi, że nic, czego byśmy nie wiedzieli. Wymyślili, że przejrzą nagrania z kamer rozmieszczonych na drogach prowadzących na miejsce zbrodni. Znaleźli odciski opon, które ich zdaniem mogą należeć do auta sprawców. Teraz chcą do tych śladów dopasować samochód.

– Ilu ich tam pracuje, że mają na to czas?

– Nie wiem. Ale wygląda na to, że jest ich sporo. Sprawa Magdy stała się ogólnokrajowym priorytetem. Nawet Komenda Główna się zaangażowała. W końcu niecodziennie morduje się policjantów.

Kawęcki opróżnił puszkę, a następnie ją zgniótł i rzucił w kąt pokoju. Po raz kolejny spróbował policzyć, ile piw wypił tego dnia. Za każdym razem wychodził mu inny wynik. Średnia wynosiła około dwunastu. A dzień się jeszcze nie skończył.

– Co będziesz teraz robił? – zapytał Witold.

Kawęcki usłyszał, że wpisuje kod w domofonie. Potem rozległ się przeciągły sygnał oznaczający otwarcie drzwi.

– Myślał.

– O czym?

– O życiu. O tym, jak łatwo można je odebrać.

– Obyś tylko nie myślał za dużo o swoim własnym.

Kiedy Witold się rozłączył, Kawęcki rzucił telefon na łóżko. Wstał i zapalił papierosa. Przeszedł do salonu. Spojrzał na swoją mapę myśli, która, paradoksalnie, była najjaśniejszym punktem jego bezosobowego mieszkania. Jedynym, z którym mógł się identyfikować. Jedynym, który miał dla niego jakąkolwiek wartość.

Mocno zaciągnął się papierosem. I zaczął myśleć.

Myślał. Głośnymi siorbnięciami opróżniał kubek gorącej herbaty i myślał. O mężczyźnie, który prawdopodobnie wiedział o nim więcej niż pozostali. Więcej niż wszyscy żywi. Być może więcej, niż powinien wiedzieć.

A może właśnie dokładnie tyle, ile powinien.

Delikatnie poślinił palec i przerzucił kolejną stronę notesu. Magdalena pisała w nim dość niewyraźnie, raczej jak szkolny łobuz niż pilna uczennica, mimo to radził sobie z rozszyfrowywaniem jej

bazgrołów. Nawet wtedy, gdy używała skrótów myślowych albo posługiwała się policyjnym slangiem.

Zapiski z jej notesu były dla niego cenną lekcją. O nieudolności polskiej policji. O wypaczonym sposobie myślenia ludzi, którzy próbowali go schwytać. A przede wszystkim o człowieku, który najprawdopodobniej z całego serca go nienawdził. Będącym jednocześnie jedną z niewielu osób, jakie darzył szacunkiem. Niedużym, ale jednak szacunkiem.

Uśmiechnął się. Doszedł do wniosku, że albo Giętka była wyjątkowo słabą policjantką, albo wyjątkową szują. Żmiją, która wpełzła do czyjegoś buta. Swoją policyjną pracę dokumentowała chaotycznie i niestarannie, za to bardzo szczegółowo opisywała Tomasza Kawęckiego. Zupełnie tak, jakby rozpracowanie go było głównym celem jej pracy. Odkrycie, co siedzi w jego umyśle i jakim jest człowiekiem. Poznanie istoty, która kryje się za tym wątlwym, gnijącym ciałem, schowanej pod grubą warstwą odstręczającego chamstwa, emanującej toksyczną energią. Z każdą przeczytaną stroną nabierał przekonania, że się nie myli. Że głównym zadaniem Giętkiej było przeniknięcie do mózgu Kawęckiego. A przy okazji dopilnowanie, żeby nie zrobił nic głupiego, aby nie skrzywdził siebie lub innych. Albo wręcz przeciwnie: przyłapanie go na czymś, co mogłoby go ostatecznie pogrążyć.

Herbata zdążyła wystygnąć, kiedy dobrnął do końca notesu. Odstawił kubek dokładnie w to samo miejsce, w którym został okrągły ślad na stole. Podniósł się z fotela i podszedł do kredensu. Otworzył go kluczem, który wyciągnął z kieszeni szarych dresowych spodni. W środku znajdowało się kilkanaście zeszytów formatu A4. Każdy z nich

był precyzyjnie opisany. Wyciągnął ten poświęcony Kawęckiemu. Zapisał w nim kilka spostrzeżeń, które nasunęły mu się podczas lektury notesu Giętkiej. Kilka niewiele w tym momencie wnoszących obserwacji, które kiedyś – w bliżej nieokreślonej przyszłości – mogą mu się przydać.

Prześledził w myślach wszystkie nici, które mogły do niego doprowadzić, i doszedł do wniosku, że na żadną z nich policjanci jeszcze nie trafili. Nawet nie byli tego bliscy.

Zamknął kredens i wyszedł z salonu. Kuśtykając przez przedpokój, dotarł do sypialni. Pomieszczenie nieznacznie rozświetlała poświata księżycyca oraz blade światła latarni, które z trudem przebijały się przez częściowo opuszczone żaluzje. Ale on nie potrzebował jasności. Znał to pomieszczenie na pamięć. Zanurzył się w ciemność i otworzył szufladę. Wymacał pod palcami różaniec. Oplótł go wokół palców, a następnie uklęknął przed łóżkiem. Chwycił za koraliki i uczynił w powietrzu znak krzyża.

– Wierzę w Boga, Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, i w Jezusa Chrystusa, Syna Jego jedynego, Pana naszego, który się począł z Ducha Świętego, narodził się z Maryi Panny, umęczon pod Ponckim Piłatem, ukrzyżowan, umarł i pogrzebion.

Spojrzał w kierunku okna. Wiele lat temu dowiedział się, że muzułmanie modlą się zwróceniem w stronę świątyni Al-Kaba. Pięciokrotnie w ciągu doby odmawiają na swoich dziwacznych dywanikach salat, bijąc pokłony w kierunku Mekki. Nie był muzułmaninem. Właściwie gardził islamem i jego wyznawcami. Ale ten zwyczaj mu się podobał. Postanowił przerobić go na własny rytuał. Przenieść do świata, w którym sam ustalał porządek. Dlatego modlił się

zwrócony do okna. W kierunku serca miasta, które go wychowało. Które go ukształtowało. Które zabiło w nim to, co czyniło go podobnym do innych. Miasta, w którym stał się kimś wyjątkowym.

– Zstąpił do piekieł, trzeciego dnia zmartwychwstał. Wstąpił na niebiosa, siedzi po prawicy Boga Ojca wszechmogącego. Stamtąd przyjdzie sądzić żywych i umarłych.

Nigdy nie wierzył w bożą nieomyślność. Uważał, że Bóg stworzył ludzi takich jak on, żeby naprawić swoje błędy. Żeby oczyszczali świat z rozprzestrzeniającego się w nim grzechu. Z tych wszystkich wstrętnych stworów, które rozpierzchnęły się po jego mieście. Z poczwar pokroju Bułeckiej czy Giętkiej. I z dziesiątków innych kurwisonów, które trafiły do jego zeszytów, żeby cierpliwie czekać w nich na swoją kolej.

– Wierzę w Ducha Świętego, święty Kościół powszechny, świętych obcowanie, grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie, żywot wieczny. Amen.

Sierpień

– Opowiem wam wszystko, co wiem. Ale pod warunkiem, że nie włączycie tego gówna.

Artur Waliszewski wycelował palcem w obiektyw, rzucając policjantom groźne spojrzenie. Z ray-banami przypiętymi do luźnej koszuli i irytującym uśmiechem, który prawdopodobnie nigdy nie zsuwał mu się z gęby, wydawał się facetem cierpiącym na chroniczne łaknienie uwagi. Ale najwyraźniej nie oczekiwał jej ze strony kamery.

– Kolejny – westchnął Filipski i wyłączył sprzęt. – Pan też się boi publicznych wystąpień?

– Też? To z kim jeszcze rozmawialiście? – Artur skrzyżował ręce na piersi, częściowo zasłaniając owłosioną klatę. – Zresztą nieważne. I tak wiem, o kogo wam chodzi. Czy nie da się tu włączyć klimy albo chociaż jakiegoś nawiewu?

– Przykro mi. Kilka dni temu przyszedł tu jakiś majster, żeby odgrzybić klimatyzację. Ale ta w ramach protestu postanowiła się zepsuć.

– Złośliwość rzeczy martwych, co?

Artur napił się kawy, choć kofeina zdecydowanie nie była mu potrzebna. Na przesłuchanie przyszedł mocno pobudzony. Jakby właśnie wkroczył na ring. Gotowy do walki. Do odpierania ciosów i wyprowadzania kontr.

– Kiedy pan dołączył do Wydziału Kryminalnego? – zapytał Filipski.

Artur zmarszczył czoło i uniósł głowę, jak gdyby z poszarzałego sufitu dało się wyczytać odpowiedź. Zaciągnął się e-papierosem i wypuścił do góry potężną chmurę dymu.

– Jakież dwa lata temu. Przedtem pracowałem w obyczajówce. A jeszcze wcześniej byłem krawężnikiem.

– I co po tych dwóch latach może pan powiedzieć o pracy z kryminalnymi?

– Że to była dobra zmiana. Miałem po dziurki w nosie obyczajówki. Obrzydło mi łożenie po burdelach, rozmawianie z dziwkami i słuchanie skarg ich zaćpanych klientów. Pewnie znacie takie powiedzenie: kto z kim przestaje, takim się staje.

– Czyli woli pan zabójców od prostytutek.

– Raczej ludzi, którzy ich ścigają. Są ciekawszymi kompanami od chłopaków, którzy w ciągu dnia próbują zwalczać stręczycielstwo, a wieczorami negocjują z alfonsami zniżki na korzystanie z usług dziewczyn. – Roześmiał się. – Jesteście z wewnętrznego, więc pewnie sporo na ten temat wiecie. A jeżeli nie, to powinniście się tym zainteresować.

Artur błyskawicznie opróżnił kubek z kawą i spojrzał na swój efektowny srebrny zegarek, który musiał pochłonąć sporą część jego policyjnej pensji. Był klasycznym typem lansera, który lubi się chwalić drogimi zabawkami, markowymi ciuchami, wyżełowanymi włosami i

stuningowanym samochodem. Typem faceta, który szybko się nudzi. Zanim Filipski zadał mu następne pytanie, zdążył wyciągnąć iPhone'a, kilkakrotnie przesunąć palcem po ekranie i odłożyć urządzenie z powrotem na stół.

– Czy dobrze pan poznał Tomasza Kawęckiego i Witolda Ptaka? – kontynuował Filipski.

– To zależy, co pan rozumie przez „dobrze”. Poznałem ich sposób pracy. Charaktery. Dowiedziałem się co nieco o ich życiu prywatnym. Ale nie zostaliśmy kumplami. Kilka razy wyszliśmy na piwo, pogadaliśmy o jakichś pierdołach. Witolda poznałem lepiej, bo przez parę miesięcy byliśmy partnerami. Gdy przez kilka godzin dziennie jeździsz z facetem samochodem, to siłą rzeczy musisz się czegoś o nim dowiedzieć.

– A więc orientuje się pan, co robił przez ostatnie pół roku?

– To, co my wszyscy: szukał zabójcy Bułeckiej. Przy okazji razem z Kawęckim próbował się dowiedzieć czegoś o prokuratorze Wardze. Uważał, że facet może mieć na sumieniu kilka grzeszków.

– Jakich?

– Na przykład gwałt na nieletniej.

Policjanci już wcześniej wiedzieli, że Kawęcki i Witold mieli fioła na tym punkcie. Uważali, że Warga zgwałcił piętnastoletnią Maję Zielińską, a potem wykorzystał swoje wpływy, żeby zamieść sprawę pod dywan. Filipski i Stelmach dokopali się do akt tej sprawy. Ale albo były niekompletne, albo nie było w nich żadnego śladu, który prowadziłby do Wargi. Kiedy próbowali się dowiedzieć czegoś na ten temat w prokuraturze, czuli się tak, jakby pytali o yeti: każdy coś słyszał, ale nikt nie znał szczegółów.

– Pomagał pan Kawęckiemu i Ptakowi w tej sprawie? – zapytał Filipowski.

– Jeżeli mogłem, to owszem. Przydało się moje doświadczenie z obyczajówki. Wiecie, że prawnicy są jednymi z najczęstszych bywalców burdeli? – Sądząc po minach policjantów, albo nie mieli oni o tym pojęcia, albo nie bardzo ich to interesowało. – Wykorzystałem stare kontakty, aby rozeznać się w tym środowisku. Poznać największych dziwkarzy wśród prawników. Dowiedzieć się, co mają za uszami. I sprawdzić, czy znają Wargę.

– I czego się pan dowiedział?

Artur zaciągnął się e-papierosem. Wypuścił dym, energicznie kręcąc głową.

– Niczego. Byłem tylko pośrednikiem. Jeśli któryś z tych koleśków mógł mieć coś do powiedzenia na temat Wargi, przekazywałem Witoldowi kontakt do tej osoby.

– Nie interesowało to pana? Nie był pan ciekawy, kim tak naprawdę jest prokurator?

– Nie miałem na to czasu. Szczebiot dał nam zielone światło, ale chciał, żebyśmy zajmowali się tym po godzinach. A ja po godzinach nie jestem policjantem. – Artur odchylił się na krześle, skrzyżował ręce na piersi i wyjrzał przez okno. Miasto zdawało się parować od upału. – Kiedyś chciałem zostać finansistą. Ciekawiło mnie to środowisko. Świat facetów w eleganckich gajerach, drogich furach, popijających single malta. Nawet lubiłem ekonomię. Zresztą po latach się okazało, że mam do tego dryg. Zostałem inwestorem. Gram na warszawskiej giełdzie i handluję kryptowalutami. Z niezłym skutkiem. Chcecie się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

Policjanci naradzili się bez słowa.

– Może później – odpowiedział Filipski.

– Tak naprawdę inwestowanie jest cholernie proste. – Artur nie dawał za wygraną. – Wystarczy zdobyć podstawową wiedzę ekonomiczną, poczytać trochę o firmach i trendach gospodarczych, a potem znaleźć w sobie odwagę, żeby włożyć pieniądze w coś, co z natury rzeczy jest niepewne. To lepsza zabawa niż hazard. I bardziej opłacalna. – Przystawił kubek do ust, ale ten okazał się pusty. Może to i lepiej. – Jako policjant zarabiam psie pieniądze. Dlatego zamiast uganiać się po godzinach za zielonymi potworami, wolę skupić się na zajęciu, które od czasu do czasu pozwala mi zajrzeć do świata luksusu i pięknych kobiet.

– Przecież pan jest żonaty od kilkunastu lat – odezwała się Stelmach.

– Z kobietą, z którą ma pan dwunastoletnią córkę.

Artur w odpowiedzi szeroko się uśmiechnął.

– Jestem też trzydziestosześcioletnim facetem, który ma swoje potrzeby.

– A żona wie, w jaki sposób pan je zaspokaja?

Filipski podniósł rękę, żeby przerwać tę wymianę zdań, zanim przerodzi się w agresywną pyskówkę.

– Co z Kawęckim? – zapytał. – Jakie z nim utrzymuje pan relacje?

Artur długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Szorstkie. To chyba najlepsze określenie. Facet mnie nie lubi. W ciągu tych dwóch lat często to okazywał, a ja nie byłem mu dłużny. Nasze kontakty sprowadzały się do niezbędnego minimum. Zbliżyliśmy się do siebie w takim stopniu, w jakim mogą to zrobić dwaj goście srający w sąsiednich kabinach.

– Słyszał pan o jego teorii na temat zabójstwa Marty Buleckiej?

– Wszyscy o niej słyszeli. Ale podobnie jak większość zdroworozsądkowych osób uważam, że jest niedorzeczna. Nie ma żadnych podstaw, aby sądzić, że w Łodzi od lat grasuje seryjny zabójca. Kawęcki albo przesadził z amerykańskim kinem, albo z wódą. Zapewne i z jednym, i z drugim.

– Czyli nie śledził pan tego, co wyczyniał przez ostatnie pół roku?

Artur pokręcił głową.

– Jeśli wezwaliście mnie po to, żeby o tym porozmawiać, to tracicie mój i swój czas.

Filipski głośno wypuścił powietrze. Zrezygnowany zgarbił się na krześle. Zamknął notatnik, w którym od początku przesłuchania nie zanotował ani jednego słowa. Spojrzał na Stelmach. Policjantka wpatrywała się w Artura, jednocześnie zapisując coś w zeszycie. Nabazgrała prawie całą stronę. Filipski nie miał pojęcia, co udało jej się wyłapać z tego słowotoku.

– Angażował się pan jakoś w śledztwo w sprawie zabójstwa Magdy Giętkiej? – spytała Stelmach.

Artur głośno parsknął. Po raz kolejny zajrzał do kubka w poszukiwaniu doładowania. Najwyraźniej nie uczył się na błędach. Albo od początku tylko udawał, że nie jest zestresowany.

– A jak pani myśli? Oczywiście, że tak. Potraktowali nas jak ostatnich frajerów.

– Kto?

– Nasi szefowie. I rzeczywiście wyszlibyśmy na skończonych frajerów, gdybyśmy tę sprawę odpuścili.

– Na czym to zaangażowanie polegało?

Artur zerknął na iPhone'a, a potem na policjantów. Zaciągnął się e-papierosem. Nie wypuszczając dymu z płuc, zapytał:

– Naprawdę chcecie tego słuchać?

Tym razem Filipski i Stelmach zgodnie pokiwali głowami.

Cztery miesiące wcześniej

Artur Waliszewski zatrzymał się na światłach. Spojrzał w lewo. Na Stajnię Jednoroźców. Gigantyczną wiatę przystankową w kolorach tęczy, która stanęła na najbardziej ruchliwym odcinku alei Mickiewicza, pomiędzy Piotrkowską a Kościuszki. Choć na temat jej wyglądu panowały różne opinie, Arturowi w zasadzie się podobała. Lubił spektakularne budowle. Nie przeszkadzało mu ani to, że z secesją miała niewiele wspólnego, ani że do swojego otoczenia – nudnych korporacyjnych budynków, wielkopłytowych wieżowców i szerokich arterii komunikacyjnych – pasowała jak pięść do nosa.

Miał tylko jeden problem ze Stajnią Jednoroźców: dlaczego, do cholery, musiała kojarzyć się z pedałami? Dlaczego była przejawem czyichś progejowskich fanaberii? Jak w jakichś pieprzonych Niemczech. Najpierw pedały i gender, potem muzułmanie, a na koniec bomby na ulicach.

Ale prawdziwy problem siedział po jego prawej stronie. Mierzył jakieś sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, miał spięte w kucyk czarne włosy i nieelegancko żuł gumę. Od dziesięciu minut gapił się w smartfona, przeglądając posty na Facebooku albo pisząc coś na Messengerze. Wydawało się, że nic innego go nie interesuje, jakby cały

jego świat był zamknięty w srebrnym samsungu, który co chwila wypluwał powiadomienia.

Problem nazywał się Marta Ferenc.

– Podoba ci się to? – zapytał Artur, wskazując Stajnię Jednorożców.

Ferenc oderwała się od telefonu i podążyła wzrokiem za jego palcem.

– Przystanek jak przystanek. Tylko większy i bardziej kolorowy. Może być.

– Szkoda, że nie da się go spalić. Tak jak tęczy na placu Zbawiciela.

Artur chciał ją rozbawić tą wypowiedzianą pół żartem, pół serio uwagą, ale Marta zareagowała na nią beznamietnym wzruszeniem ramion. Nie wyglądała na osobę, która chciałaby się z nim zaprzyjaźnić albo o coś go zapytać. Ani tym bardziej powiedzieć mu coś o sobie. Wiedział jedynie, że Ferenc ma trzydzieści lat i ostatnio pracowała w Wydziale do Walki z Przestępczością Narkotykową. I że jakiś mądrała z góry postanowił przenieść ją do ich zespołu, żeby pomogła im przy sprawie Bułeckiej. Była rozwiązaniem tymczasowym. Prowizorycznym zastępstwem za Magdę.

– A więc parytety – powiedział Artur, ruszając ze światła.

– Co?

– Parytety. Pewnie padło na ciebie, bo chcieli, żeby w zespole była kobieta.

Marta po raz pierwszy na niego spojrzała. Nie był pewien, co zobaczył w jej oczach. Nie była to ani wrogość, ani radość. Raczej obojętność. Podobna do tej, jaką widywał codziennie w oczach swojej nastoletniej córki.

– Oni, kogokolwiek masz na myśli, mają w dupie parytety – powiedziała Ferenc. – Padło na mnie, bo mnie nie lubią.

– Jak to? – zdziwił się Artur. – Myślałem, że ta sprawa jest na tyle głośna, że wszyscy chcą przy niej pracować. I co to znaczy, że cię nie lubią?

Marta się roześmiała.

– Z czego rżysz?

– Ostrzegali mnie, że odczuwasz silną potrzebę otwierania gęby. Mieli rację.

Zatrzymali się na kolejnych światłach. Artur spojrzał na Ferenc, która nadal grzebała w telefonie.

– Powiesz mi, o co tu chodzi? Czy wolisz, żebyśmy przez kilka kolejnych tygodni oboje mieli przejebane?

W końcu zgasiła wyświetlacz. Głośno wypuściła powietrze.

– Gdybyś popytał o mnie moich kolegów, tobyś się dowiedział, że jestem żoną – powiedziała. – Nikt za mną nie przepada. Pewnie dlatego, że ja też nikogo nie darzę sympatią. Nie jestem zbyt towarzyska. Ani pracowita. Nie licz na to, że będziemy po pracy chodzić na piwo albo że ci pomogę, gdy będziesz zawałony robotą.

Ponownie odblokowała telefon i wróciła do przerwanej rozmowy na Messengerze.

– Okej, a więc jesteś żoną – odezwał się Artur. – Ale jaki to ma związek ze sprawą Bułeckiej?

– Taki, że prowadzi ją twój wydział. Sądziłam, że wieści szybciej się rozchodzą.

– Jakie wieści?

Przewróciła oczami, jakby zapytał ją o coś najbardziej oczywistego na świecie.

– Was też nikt nie lubi. W dodatku macie opinię... – zawahała się – pechowców.

– Pechowców?

– Dlatego komendant i prokurator odebrali wam sprawę Giętkiej. Nie dlatego, że z wami pracowała i możecie mieć problem z zachowaniem obiektywizmu. To był tylko pretekst.

– Uważają, że byśmy to spieprzyli?

– Coś w tym stylu.

– Skąd to wiesz?

– Bo rozmawiali o tym ze mną.

– Komendant i prokurator?

Kiwnęła głową.

– Oni oraz wasz szef, Szczebiot. Powiedzieli, żebym wam uważnie patrzyła na ręce.

– Kurwa! – warknął Artur. – Skoro tak, to dlaczego mi o tym mówisz?

Marta schowała telefon. Uśmiechnęła się.

– Bo nie jestem z tych, którzy donoszą na kolegów. Raczej się nie polubimy, ale nie będę was podpierdalać.

Artur wpatrywał się w nią do momentu, aż usłyszał z tyłu klakson. Nie zauważył, że światło zmieniło się na zielone. Był tak zaaferowany tym, co usłyszał, że ze sporym opóźnieniem uniósł dłoń z wyciągniętym środkowym palcem. Miał nadzieję, że poganiający go kierowca zrozumiał przekaz.

– Jaki jest plan na dzisiaj? – zapytała Marta, kiedy utknęli w korku przed skrzyżowaniem marszałków.

– Najpierw odwiedzimy dwie koleżanki Bułeckiej, które wynajmują mieszkanie na Olechowie. Potem podjedziemy do jej znajomego z Zarzewia. A na koniec zacumujemy na Lumumbowie i przepytamy całą zgraję dzieciaków, z którymi studiowała.

– Jeszcze z nimi nie rozmawialiście?

– Rozmawialiśmy. Ale wtedy nie wiedzieliśmy o Bułeckiej wielu rzeczy. Choćby tego, że miała profil na portalu cosymeetings.com. Wykorzystywała go, żeby ruchać się za hajs z facetami, którzy mają dziwne zachcianki – na przykład lubiącymi, kiedy się na nich sra. Nie wiedzieliśmy też, że puszczała się ze swoim promotorem na studiach. Właściwie w ogóle nie wiedzieliśmy, kto ją ruchał ani kim tak naprawdę była. Warto sprawdzić, czy jej koledzy mieli na ten temat jakieś pojęcie.

– Ma to sens? Te wszystkie rozmowy ze studentami?

Artur długo zastanawiał się nad odpowiedzią. Zdążyli w tym czasie przejechać przez skrzyżowanie.

– Być może. Nie wiem. Raczej nie.

Artur uśmiechnął się do Ferenc. Odpowiedziała mu nieznacznym uniesieniem kącików ust, które mogło oznaczać absolutnie wszystko, i ponownie skupiła się na telefonie. Kiedy na drodze trochę się rozluźniło, Artur podkreślił głośność odtwarzacza, który wypluwał jakiś drumandbassowy set, i przyspieszył. Silnik jego trzystukonnego bmw zaryczał. Slalom między samochodami był tym, czego mu było trzeba.

Wyglądała na nie więcej niż osiemnaście lat. Długie włosy zafarbowane na śnieżny blond, jakby wzorowała się na Daenerys Targaryen. Zwyczajny, skromny biust, jeszcze niewynaturzony silikonem. Naiwny uśmiech, mogący należeć wyłącznie do osoby, która nie zdążyła dobrze poznać życia. Miała delikatnie zarumienioną twarz. Dziewczęcą. Niewinną. Nawet wtedy, kiedy uśmiechała się do faceta, który okładał ją penisem po policzkach.

Jakub Możejko opadł na fotel. Wyciągnął przed siebie nogi. Westchnął. Wciąż gapiąc się na nastoletnią gwiazdkę porno upokarzaną przez znacznie od niej starszego faceta, sięgnął po papier toaletowy. Pochylił się i zaczął ścierać spermę z paneli podłogowych. Kiedy skończył, ściszył filmik i wstał od biurka. Przeszedł się nago po mieszkaniu. Następnie sięgnął po leżący na szklanym stole telefon.

– Kawęcki się zgodził? – Alicja Mioduszevska nie siliła się na powitanie.

– Nie wiem – odparł Możejko. – Jeszcze się nie odezwał. Dzwonię w innej sprawie. Prywatnej.

Możejko ponownie stanął przed komputerem. Blondynka zmieniła pozycję, wdrapała się na czerwoną kanapę i wypięła pośladki. Ale nie zmieniła wyrazu twarzy. Przypominała ofiarę okazującą swemu oprawcy toksyczne uwielbienie.

– Przyjedziesz do mnie? – spytał Możejko.

– Po co?

Dobre pytanie, pomyślał Możejko. Gdyby był z Alicją szczerzy, powiedziałby, że chce ją zerznąć na kanapie. Potraktować jak uległą, bezwolną dziwkę. Szmata, z którą może zrobić wszystko, co tylko przyjdzie mu do głowy.

– Chciałbym naprawić nasze relacje. Czeka nas wiele miesięcy pracy. Będziemy się widywali kilka razy w tygodniu. Nie chciałbym, żebyś za każdym razem patrzyła na mnie tak jak ostatnio.

– Czyli jak?

– Z nienawiścią.

– Nie nienawidzę cię.

– Tego nie powiedziałem. Ale odnoszę wrażenie, że bardzo ci zależy na tym, abym czuł twoją niechęć.

Pochylił się nad biurkiem i zaczął przewijać filmik. Blondynka jeszcze kilkakrotnie zmieniła pozycję. Wiła się na kanapie, rozchyłała szeroko nogi, wchodziła facetowi na kolana. W końcu uklękła przed nim, a on spuścił się jej na twarz.

– To chyba nie jest dobry pomysł – odezwała się Alicja po kilkunastosekundowym milczeniu. – A przynajmniej nie dzisiaj.

– Czyli nie wyklucasz tego w przyszłości?

– Nie. Niczego nie wykluczam.

Możejko wybrał następny filmik. Znów blondynka. Znów młoda. Sama przeciwko trzem masturbującym się facetom.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo mnie to cieszy. Nie chciałbym, żebyś sądziła, że mi na tobie nie zależy.

Rozłączył się, nie dając Alicji szans na ripostę. Nie chciał, aby mając go na linii, zastanawiała się nad prawdziwością jego słów. Sam nie był pewien, czy powiedział jej prawdę. Wiedział jedynie, że nie może być z nią w związku. Ani z nią, ani z kimkolwiek innym. Nie ze swoją przypadłością. Nie w sytuacji, gdy ma ochotę zgwałcić każdą napotkaną kobietę.

Podszedł do stolika. Otworzył leżący na nim portfel. Wyciągnął z niego srebrną kartę oraz wypełnioną białym proszkiem tytkę. Rozsypał jej zawartość na blat i zaczął z niej formować kilkucentymetrowe kreski. Kiedy skończył, wyjął stużłotowy banknot i zwinął go w rulon.

Możejko miał świadomość, że wejście w jakikolwiek związek byłoby brutalnym zagranieniem przeciwko jego instynktowi. Nie mógł być monogamistą. Nie nadawał się na męża ani na chłopaka. Nie zniosłby permanentnego towarzystwa tej samej kobiety. Chyba że byłaby taka jak on. Wiecznie napalona. Wyuzdana. Gotowa na eksperymenty. Może wtedy byliby w stanie stworzyć zgrany duet. Stać się dziwaczną, pozbawioną empatii parą. Dwoma nieustannie jebiącymi się stworzeniami.

Wciągnął pierwszą kreskę. Potem kolejną. Wyprostował się i ścisnął nos. Kiedy przestał go boleć, podszedł do biurka. Blondynka klęczała przed trójką facetów. Żonglowała ich penisami, wkładając je po kolei do ust.

Możejko usiadł na fotelu i przekręcił pokrętło głośnika. Uśmiechnął się. Może nie nadawał się na męża, ojca czy przykładowego członka monogamicznego społeczeństwa. Ale na szczęście istniały jeszcze światy, w których czuł się dobrze. Jakby ktoś zbudował je specjalnie dla niego.

Po powrocie na komendę Artur usiadł na krześle i głęboko odetchnął. Rzucił notatnik na biurko, jakby był toksycznym odpadem, z którym nie chce mieć więcej do czynienia. Przeciągnął się i zatopił plecy w oparciu krzesła, sprawiając, że się wygięło i złowrogo zaskrzypiało.

Miał już wyciągnąć nogi i położyć je na biurku, kiedy poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Całkiem sporą dłoń.

– Chodź na papierosa – rzucił Witold i nie czekając na reakcję Artura, ruszył w kierunku schodów.

Wyszli na parking. Kiedy Witold próbował zapalić na wietrze papierosa, Artur przyglądał się samochodom. Wypatrywał bestii, która mogłaby konkurować z jego. Żadnej nie znalazł. Uśmiechnięty od ucha do ucha wyciągnął rękę do Witolda.

– Poczęstuj mnie – powiedział. – I wiedz, że próbuję rzucić.

– W ramach prób przerzuciłeś się na cudzesy?

– Coś w tym stylu.

Witold pokręcił głową.

– Albo rzucasz, albo nie. Półśrodki nie istnieją.

Chwilę się z nim droczył, po czym podał mu paczkę. Zapalili, a następnie w tym samym momencie zapięli swoje płaszcze.

– Jak ta nowa? – spytał Witold. – Nadaje się?

– Ferenc? To zależy, do czego miałyby się nadawać. Do łóżka wolałbym zaciągnąć chłopca. Ale wygląda na to, że nie będzie stwarzać problemów.

Zastanawiał się, czy powinien wyjawić Witoldowi, czego dowiedział się od Marty. Jeszcze kilkanaście minut wcześniej był pewien, że tak. Ale widząc zmęczenie na jego twarzy, postanowił mu tego oszczędzić. Facet i tak miał sporo zmartwień.

– Jak poszły rozmowy z kolegami Bułeckiej? – spytał Witold.

– Nijak. Dopóki żyła, nikt nie wiedział, że się ruchała z Możejką. I nikt nawet nie słyszał o portalu, na którym się ogłaszała. Chyba że jej

koledzy są znakomitymi aktorami. Ale wyglądają raczej na leniwych studenciaków.

– Czyli kilka kolejnych godzin poszło psu w dupę.

Artur wzruszył ramionami.

– Taki już urok tej roboty. Przynajmniej napatrzyłem się na studentki w akademiku. Niektóre były naprawdę niezłe. Aż trudno było mi się skupić. Prawie wywierciłem fiutem dziurę w portkach.

Witold popatrzył na kolegę z mieszanką zazdrości i odrazy, typową dla monogamisty, który od ponad dwudziestu lat pozostaje wierny tej samej kobiecie. Na dobre i na złe. Ostatnio głównie na złe. Tymczasem Artur odwrócił się, żeby zerknąć na tyłek wchodzącej do budynku policjantki. Nie znał jej. Najwyższy czas to zmienić, pomyślał.

– Ale mam też dobrą wiadomość. Chodzi o Wargę.

– Co z nim?

– Znalazłem dwóch nowych prawników. Wstrętnych. Być może najobrzydliwszych ze wszystkich dotychczasowych.

Kilkanaście dni wcześniej Witold poprosił Artura, żeby pogadał z kolegami z obyczajówki i przygotował dla niego listę prawników odwiedzających burdele. Sądził, że to najlepszy sposób, aby dowiedzieć się czegoś o przeszłości Adama Wargi i jego mentora Andrzeja Pszoniaka, słynącego z zamiłowania do blichtru, hucznych imprez i posuwania asystentek. Kiedy Witold z Kawęckim przycisnęli jednego z prawników do muru, opowiedział im historię Mai Zielińskiej, zgwałconej piętnastolatki, która uważała, że jej oprawcą był Warga. Teraz policjanci chcieli pójść za ciosem. Dowiedzieć się, czy to prawda. Przekonać się, czy na Zielińskiej się nie skończyło. Sprawdzić, jak daleko rozpierzchnęła się zaraza.

- Co to za ludzie? – Witold zgniótł papierosa w popielnicy.
 - Jeden z nich to prawdziwa szycha. Właściciel dużej kancelarii prawnej. Facet zawsze prosi o najmłodsze panienki. Karze im zakładać szkolne mundurki: białe koszule, spódniczki, rajstopy. Podobno zawsze przychodzi do burdelu solidnie nawąchany. A któregoś razu...
 - Chyba nie muszę wiedzieć nic więcej – przerwał mu Witold.
 - I słusznie. Wygląda na gościa nie do ruszenia. Nawet gdyby zgodził się z tobą porozmawiać, pewnie by ci nic nie powiedział o Wardze. O ile w ogóle go zna.
 - A ten drugi?
 - Były prokurator. Facet po pięćdziesiątce. Mieszka z jakąś dupą w kamienicy na Rybnej.
 - Na Rybnej? – zdziwił się Witold. – Tej Rybnej? Jednej z najbardziej patologicznych ulic w mieście?
 - Nie powiedziałem jeszcze, dlaczego jest byłym prokuratorem.
 - Coś mi mówi, że wolałbym tego nie wiedzieć.
- Artur uśmiechnął się kwaśno.
- Chodź na górę. Będzie lepiej, jak to przeczytasz.

Kiedy dwie godziny później Witold wszedł do Soboty, przywitały go złowrogie spojrzenia stałych bywalców lokalu, którzy najwyraźniej w końcu się zorientowali, kim jest i jaką rolę ma do odegrania. Były to spojrzenia ludzi nieuciekających wzrokiem, gdy człowiek, na którego od dłuższego czasu bezceremonialnie się gapią, nagle spogląda w ich kierunku. Którzy w takich sytuacjach zanurzają gęby w piwsku, zaciągają się papierosami tak, jakby chcieli sobie wyrwać płuca, albo ostentacyjnie wciągają flegmę, przybierając przy tym miny naczelnych

zakapiorów. Były to spojrzenia osób traktujących każdego policjanta jak wroga. Intruza, który ośmielił się wtargnąć na ich teren.

Witold skinął im głową, choć nie liczył na to, że odwzajemnią powitanie. Nie miał wygórowanych oczekiwań ani od nich, ani od tego wieczoru. Chciał tylko odetchnąć. Napić się piwa. Przy odrobinie szczęścia usłyszeć coś pozytywnego. Choć wiedział, że jeśli nawet się tego doczeka, to na pewno nie z ust zasuszonego, przygarbionego faceta w kurtce, który siedział przy barze i przyglądał się kufłowi piwa, jak gdyby ten był dziełem sztuki.

– Które to już dzisiaj? – zapytał Witold.

– Nie wiem. Nie liczę. Liczyłem, gdy byłem mały. A właściwie młodszy. – Kawęcki pociągnął duży łyk i oblizał spierzchnięte wargi. – Kiedyś liczyłem po to, aby mieć satysfakcję, że wypilem więcej od kolegów. Potem – żeby kontrolować swoje upojenie. Teraz brakuje mi jakiegokolwiek motywacji.

– Czyli które?

– Szóste albo siódme.

– To dużo czy mało?

– Przeciętnie.

Przynajmniej nie chleje wódki, pomyślał Witold. Usiadł obok Kawęckiego na wysokim stołku barowym. Barmanka, która również patrzyła na niego inaczej niż zwykle, niechętnie poczłapała w jego stronę. Podała mu kufel piwa i odeszła, zanim zdążył się odezwać.

– Czy zrobiłeś w tym miejscu coś, co mogło sprawić, że nagle wszyscy mnie znienawidzili?

Kawęcki długo zastanawiał się nad odpowiedzią, obracając w dłoniach browar.

– Nic, co by mi zapadło w pamięć.

– A więc chodzi tylko o to, że jesteśmy psami?

Kawęcki wskazał palcem drewnianą gablotę zamocowaną nad półką z alkoholem. Były w niej szaliki angielskich klubów piłkarskich, paskudne figurki religijne oraz czarne koszulki z różnymi grafikami. Na jednej z nich nadrukowana była szczerząca się świnia w czapce policyjnej. Pod nią widniał biały napis *acab. All Cops Are Bastards*.

– To by wiele tłumaczyło – westchnął Witold.

Odwrócił się i spojrzał w głąb lokalu. Znow to samo: surowe spojrzenia ludzi, którzy wolą gapić się na innych, zamiast ze sobą rozmawiać. Ludzi, którzy już powiedzieli sobie wszystko.

– Ten trop narkotykowy prowadzi donikąd – oznajmił Kawęcki.

Witold przez kilka sekund gapił się na twarze mężczyzn, którzy gromili go wzrokiem. Potem zapalił papierosa i odwrócił się do Kawęckiego.

– Jak to?

– Możejkę twierdzi, że nigdy nie kupował Bułeckiej kokainy, a tym bardziej nie wciągał razem z nią. I wygląda na to, że mówi prawdę. Pamiętasz tych dwóch facetów, którzy okazali Bułeckiej zbyt duże zainteresowanie na Facebooku?

– Co z nimi?

– To dilerzy. Rozprowadzają dragi w Hermesie.

– Tym klubie gejowskim, w którym widziano Bułecką przed śmiercią?

Kawęcki kiwnął głową i przełknął łyk piwa.

– Bułeczka była ich klientką. Jedną z wielu, które mieli nadzieję przelecieć. Nic więcej. Nie znają jej kolegów, zwyczajów ani hobby.

Wiedzą tylko, że studiowała polonistykę na Uniwersytecie Łódzkim.

– Nie widzieli, żeby ktoś podejrzany się przy niej kręcił?

– Widzieli całą zgraję gejów i paru napalonych gości w wieku Bułeckiej, pewnie jej kolegów ze studiów. Nie przypominają sobie nikogo, na kogo powinniśmy zwrócić uwagę.

– A ten starszy facet, z którym rzekomo widziano ją w klubie? Wiedzą, kto to mógł być?

– Nie, ale twierdzą, że nie powinniśmy się nim przejmować. Średnia wieku w Hermesie jest wyższa niż w typowym klubie. Ustalenie, że jest się gejem, często zajmuje sporo czasu. Potem trzeba się z tym pogodzić. Zrozumienie, że nie ma w tym nic złego, przeważnie też trochę trwa. – Kawęcki zaczął masować sobie skronie. – Obiecałem tym dwóm głupkom, że dam im spokój, jeśli wyjawią mi wszystko, co wiedzą, i spróbują dopytać się czegoś o Bułeckiej. Ale myślę, że za jakiś czas nie zaszkodzi napuścić na nich chłopaków z obyczajówki. Powinni docisnąć tych gnoi.

Witold przyjrzał się uważnie Kawęckiemu. Nie wyglądał na faceta, z którym miał do czynienia przez kilka ostatnich dni. Nawet piwo wchodziło mu wolniej. Nigdy nie był wulkanem pozytywnej energii, ale tym razem wydawał się wyraźnie przybity.

– Coś cię dręczy – zauważył.

– Muszę zrobić coś niestandardowego.

– W związku ze śledztwem?

Kawęcki ostrożnie pokiwał głową.

Witold wiedział, co to oznacza. Miał ochotę uderzyć dłonią w blat, a najlepiej rozwalić go na kawałki. Zamiast tego jedynie wymownie sapnął.

- Zabijesz kogoś?
- Nie.
- Ktoś może przez ciebie zginąć?
- To mało prawdopodobne, ale nie mogę tego wykluczyć.
- Czy chcę o tym wiedzieć?

Kawęcki zdecydowanie zaprzeczył.

- Lepiej będzie, jeśli się o niczym nie dowiesz.
- Dla kogo lepiej?
- Dla ciebie. I dla mnie.

Przez kilka minut milczeli, sącząc swoje piwa i leniwie paląc papierosy. Gapili się to na różnokolorowe butelki, to na barmankę, która ospale obsługiwała kolejnych klientów. Głośnik wypluwał naprzemiennie popowe i discopolowe piosenki, a w podwieszonym do sufitu telewizorze ukazywały się głupawe teledyski: chłopcy w okularach przeciwsłonecznych udawali, że są męscy, a nastoletnie dziewczyny wypinały tyłki, udając, że tańczą.

Witold opróżnił kufel. Policzył, ile papierosów zostało mu w paczce, i zsunął się ze stołka.

- Dlaczego Szczebiot jeszcze cię nie wyrzucił?

Kawęcki wzruszył ramionami.

- Powinieneś jego zapytać.
- Ile lat razem pracowaliście?
- Kilka.

Witold próbował spojrzeć Kawęckiemu w oczy, ale ten unikał jego spojrzenia, udając, że czyta nazwy trunków na półce. A może wcale nie udając.

– Jakiś czas temu Szczebiot przyszedł do mojego biura. Powiedział, żebym się nie wahał wyrzucić cię z zespołu, jeśli będziesz stwarzał problemy. I żebym nie miał oporów przed poinformowaniem kogoś na górze, jeżeli posuniesz się za daleko.

– I co, poinformowałeś?

– Nie musiałem. Twoje czyny nie potrzebują dodatkowej reklamy. – Witold nerwowo podrapał się po twarzy. – Nie zdziwiłem się, że Szczebiot zwrócił się z tym do mnie. Zaskoczył mnie tylko sposób, w jaki o tym mówił. Jakby sam nie mógł się ciebie pozbyć. Jakby bał się tego, co mógłbyś mu za to zrobić.

Kawęcki posłał mu jadowite spojrzenie. A więc trafiłem, pomyślał Witold.

– Któregoś dnia opowiesz mi, dlaczego tak jest.

– Któregoś dnia – powtórzył Kawęcki i pozdrowił Witolda uniesieniem kufła.

Artur zaparkował beemkę na strzeżonym parkingu na Kusocińskiego. Zgarnął torbę z zakupami i wysiadł z samochodu. Przeszedł na drugą stronę ulicy i zanurzył się w osiedle. Po minucie dotarł pod blok. Jednak zamiast wejść do budynku i wdrapać się na swoje piętro, zatrzymał się przed klatką. Spojrzał na rząd bladożółtych bloków i zapalił papierosa, którego kilka godzin wcześniej zwędził Witoldowi. Długo bił się z myślami. Kiedy sobie uświadomił, że zaczął dreptać po własnych śladach, postanowił: teraz albo nigdy. I wyciągnął telefon.

– Halo?

Mariusz Szczebiot miał zaspany głos, więc Artur spojrział na zegarek. Było ledwo po dwudziestej drugiej.

- Obudziłem cię? – zapytał.
- Skąd. Oglądam z żoną film.
- Jaki?
- *Podziemny Krąg* – odparł po chwili Szczebiot. – O co chodzi?
- Dlaczego dołączyła do nas akurat Marta Ferenc?
- Coś z nią nie tak?
- Pytam z ciekawości.

Szczebiot zamilkł. Przemieszczał się po mieszkaniu. Artur usłyszał szuranie klapek po podłodze. I nic poza tym. Żadnego filmu. Żadnej żony. Pewnie od dawna spali, pomyślał Artur. Jak małżeństwo siedemdziesięciolatków.

– Uznałem, że z grona kilku kandydatów, którzy pojawili się na horyzoncie, będzie najlepiej pasować do naszego zespołu.

– Sam ją wybrałeś?

– Tak. Zarekomendowałem Martę komendantowi, a on zaakceptował jej kandydaturę. Dlaczego o to pytasz?

Artur wolno wypuścił dym.

– Cały dzień mnie to męczyło. Sądziłem, że dołączyła do nas, bo jest kobietą. Wiesz, parytety.

– To nie miało żadnego znaczenia. Dołączyła do nas, bo jest dobra. Do jutra.

Szczebiot się rozłączył. Artur zgasił papierosa i wybrał następny numer. Tym razem Marty Ferenc.

– Miałeś do mnie nie dzwonić – burknęła. – Nie słyszałeś, gdy mówiłam, że po godzinach pracy nie istnieję?

– Widocznie nie umyłem dobrze uszu.

– Czego chcesz?

– W jaki sposób się dowiedziałaś, że do nas dołączysz?
– Przełożony wezwał mnie do swojego gabinetu. Tam już na mnie czekali.

– Kto?

– Mój szef, Dębiec, Warga i Szczebiot.

– Jak przebiegało to spotkanie?

– Normalnie. Komendant i prokurator opowiedzieli mi o sprawie Bułeckiej, a potem stwierdzili, że mam do was dołączyć.

– A Szczebiot?

– Nie odezwał się słowem.

– Czyli to nie on cię wytypował?

Ferenc odsunęła telefon od ucha. Ale nie dość daleko, żeby Artur nie usłyszał, jak na niego klnie.

– Przecież ci mówiłam, że to tylko figurant. Jeśli następnym razem wpadniesz na pomysł, żeby zapytać mnie o coś, o czym już rozmawialiśmy, zastanów się dwa razy, zanim wybierzesz mój numer.

Kiedy się rozłączyła, Artur przypomniał sobie odprawę prowadzoną przez komendanta Janusza Dębca – dzień po tym, gdy odkryli, że znalezione w Lesie Łagiewnickim zwłoki należą do Magdy. Potem odgrzebał w pamięci spotkanie ze Szczebiotem, które odbyło się kilkadziesiąt minut później. Na koniec odtworzył rozmowę z naczelnikiem sprzed kilku minut. Słowo po słowie. Akcent po akcencie. Fortel po fortelu.

– Kłamliwy kutas – syknął.

Momentalnie pożałował, że rzuca palenie.

Sierpień

– A więc interesuje was wzór – oznajmił Kawęcki.

Filipski poprawił okulary, założył nogę na nogę i umieścił notatnik na udzie. Zaczął przygryzać długopis. Czekał na słowa Kawęckiego jak na objawienie. Ale ten najwyraźniej się nie spieszył: leniwie wyciągnął papierosa z paczki, zapalił i mocno się zaciągnął. Trzymał dym w płucach tak długo, jakby zapomniał, że trzeba go wypuścić. Kiedy to w końcu zrobił, oparł dłonie o stół i zaczął się bawić zapalniczką.

– Z czym wam się kojarzy nasz sprawca? Facet, który seryjnie zabija kobiety? Jakie są wasze pierwsze skojarzenia? Strzelajcie.

Stelmach spojrzała na Filipskiego. Nie miała najmniejszej ochoty uczestniczyć w tej zabawie. Ale zanim zdążyła głośno zaprotestować, jej partner wyciągnął długopis z ust.

– Zboczeniec. Potwór. Sadysta.

Kawęcki wycelował w niego palcem.

– Dobrze. A teraz zastanów się, dlaczego twoim pierwszym skojarzeniem z wielokrotnym zabójcą nie było słowo „potwór”, lecz „zboczeniec”.

Filipski bezradnie rozłożył ręce. Poszukał wzrokiem pomocy u Stelmach, ale ta koncentrowała się wyłącznie na Kawęckim.

– Bo w jakimś zakamarku twojego małego mózgu utrwaliła się informacja, że każda z jego ofiar doznała krzywdy seksualnej. Mówiąc wprost: każda została zgwałcona. W taki lub inny sposób. – Kawęcki wyciągnął przed siebie ręce i zaczął wyliczać na palcach. – Martyna Bułeczka została zgwałcona przez psa, prawdopodobnie wytresowanego specjalnie w tym celu. Justynę Kepler zgwałcił jej upośledzony kolega, którego sprawca zapewne do tego zmusił. Jednej z ofiar zabójca usunął macicę. A kilka kobiet doznało tak poważnych obrażeń narządów płciowych, że trudno było stwierdzić, co dokładnie im zrobił.

– I o czym to świadczy? – zapytał Filipowski.

Kawęcki pokręcił głową.

– Teraz to ja zadaję pytania – odparł, wydmuchując dym w stronę policjantów. – Każda z ofiar została zhańbiona i niewiarygodnie skrzywdzona, ale żadnej z nich sprawca nie zgwałcił osobiście. Dlaczego?

– Bo wcale nie chodzi mu o seks? – spróbował Filipowski.

Kawęcki westchnął z politowaniem.

– Ponieważ jest impotentem – odezwała się Stelmach. – Nie jest w stanie zgwałcić ofiary, więc wysługuje się innymi. Albo sięga po... alternatywne metody.

Kawęcki wycelował w nią palcem, a potem zwrócił się do Filipowskiego.

– Ucz się od niej. Nasza koleżanka ze stolicy potrafi myśleć. – Zgasił papierosa w kubku po kawie, ponieważ podstawka już roiała się od petów. – Wiemy, że sprawca nie może uprawiać seksu w sposób

klasyczny, ponieważ mu nie staje. Czy to oznacza, że podnieca go widok skrępowanych, poniżanych i cierpiących kobiet?

– To możliwe – powiedział Filipski.

Kawęcki uśmiechnął się do niego pobłaźliwie, jak nauczyciel do mocno spowolnionego ucznia. Potem spojrzał na Stelmach.

– Możliwe, ale mało prawdopodobne – powiedziała. – Gdyby zależało mu wyłącznie na tym, żeby się podniecić, darowałby sobie całą otoczkę. Jemu chodzi o coś więcej.

– O co?

– O zadawanie bólu.

Kawęcki parokrotnie klasnął w dłonie.

– Brawo. Nasz sprawca nie jest zbrojcem. Kliniczna definicja parafilii mówi, że występuje ona wtedy, gdy spełnione są dwa kryteria: nawracające i silnie podniecające fantazje seksualne oraz przykrość towarzysząca ich odczuwaniu. A jak już wcześniej powiedziałem, nasz zabójca to raczej ukontentowany facet.

– Jeśli nie jest zbrojcem, to kim? – zapytał Filipski.

– Mizoginem. Człowiekiem chorym z nienawiści, a być może także z zazdrości i wstydu, z upodobaniem krzywdzącym wyłącznie kobiety aktywne seksualnie. – Kawęcki przyjrzał się zdziwionym minom policjantów. – Zapomniałem o tym wspomnieć? Tak, każda z ofiar była aktywna seksualnie. A niektóre z nich, jak Bułeczka, były nawet ponadprzeciętnie aktywne. Nawet Magda Giętka, której przecież nie zamierzał zabijać, dzień przed porwaniem dała dupy przypadkowemu facetowi.

– Miała dobry powód, żeby to zrobić – zauważyła Stelmach. – Facet zdradził ją z koleżanką z pracy.

– Ale zabójca nie musiał o tym wiedzieć. Zresztą pewnie było mu obojętne, czy mściła się na swoim niewiernym chłopaku, czy puszczała się dla frajdy. Jemu chodzi o sam akt, który w tym przypadku był wyraźnym odstępstwem od normy. Splamieniem tego, co uważa za czystość. – Kawęcki wydmuchnął dym. – On nam daje proste lekcje o nieodpowiedzialnym seksie i jego konsekwencjach.

Filipski i Stelmach czekali na rozwinięcie wątku, ale Kawęcki opadł na oparcie krzesła i odwrócił się w stronę okna.

– Niezbyt wiele nam pan wyjaśnił – stwierdził Filipowski, ponownie majstrując przy okularach.

Kawęcki uśmiechał się do niego złośliwie. Jak facet, który właśnie puścił bąka w zatłoczonej windzie.

– Przecież ty i tak nic z tego nie rozumiesz.

Cztery miesiące wcześniej

– Czy jesteś pewien, że on może nam w czymkolwiek pomóc? – zapytała Alicja Mioduszevska, spoglądając w lusterko wsteczne.

– Obawiam się, że tylko on – odparł Jakub Możejko.

– Nawet jeśli jest w takim stanie?

– Nawet w swoim najgorszym wydaniu. A w takim jeszcze go nie widziałas.

Alicja wrzuciła kierunkowskaz i zjechała na lewy pas. Nieznacznie przyspieszyła, żeby wyprzedzić samochód, który wlekł się autostradą, a potem wróciła na prawą stronę jezdni i do swojego spokojnego tempa jazdy. Według GPS-u powinni dotrzeć na miejsce za godzinę. O ile po wjeździe do Warszawy nie utkną w korkach. I o ile w trakcie drogi nie

przytrafi im się nic niespodziewanego, co w tym składzie nie było takie oczywiste.

– Widywałeś go już w gorszym wydaniu? – zapytała.

– Prawdę mówiąc, nie. Widziałem go, kiedy miał poważnie poranioną twarz i łysą, pokrytą strupami głowę. Ale wówczas był trzeźwy. Przynajmniej sprawiał takie wrażenie.

– To skąd wiesz, że może być jeszcze gorzej?

– Od jego kolegów. Facet jest legendą łódzkiej policji. Głównie ze względu na swoje popisy w barze.

Mężczyzna siedzący na środku tylnego siedzenia, z brodą niemal przyklejoną do klatki piersiowej i rękoma luźno zwisającymi wzdłuż tułowia, nieoczekiwanie pochylił się do przodu.

– Zdajecie sobie sprawę, że nie śpię? – zapytał Kawęcki.

– Myślisz, że gdybym tego nie wiedział, tobym cię tak oczerniał? – Możejko odwrócił się do niego z szerokim uśmiechem na twarzy. – Miałeś się porządnie ubrać.

– Przecież się ubrałem.

Kawęcki manifestacyjnie rozchylił kurtkę. Miał pod nią czystą, choć potwornie wygniecioną białą koszulę. Jego czarne dżinsowe spodnie wyglądały na świeże, a adidasów prawdopodobnie umył przed wyjazdem – w każdym razie nie było na nich ani zaschniętego błota, ani wymiocin. Zgolił swój nierówny zarost, dzięki czemu nie wyglądał już na żulę spod budki z piwem, lecz jak korpoludek po przejściach. Nadal kiepsko, ale bez porównania lepiej niż ostatnio.

– Miałeś też być trzeźwy – przypomniał mu Możejko.

– Ile nam zostało do Warszawy?

– Około osiemdziesięciu kilometrów – powiedziała Alicja.

– To będę.

Kawęcki wyciągnął spod nóg potężny srebrny termos. Odkręcił nakrętkę, wlał do środka kawę i opróżnił ją duszkiem. Powtórzył ten obrządek jeszcze parę razy w ciągu kolejnych kilkunastu kilometrów, które przejechali w milczeniu, słuchając sączącej się z odtwarzacza muzyki poważnej.

Alicja skupiała się na jeździe. Na tym, by jej dwunastoletni opel corsa nie wyzionął ducha na autostradzie. I na tym, aby nie usnąć. Nie dać się znużeniu spowodowanemu krótkim snem i spotęgowanemu smętnymi symfoniami, na które uparł się Możejko. Od czasu do czasu zerkąła w lusterko, żeby skontrolować, co robi Kawęcki. Za którymś razem zauważyła, że podniósł głowę i wlepił w nią swoje mętne spojrzenie. Jak wampir, który zamierza za chwilę wyssać krew z szyi ofiary.

– Coś cię niepokoi? – spytała.

– Poza tym, że w twoim samochodzie obowiązuje zakaz palenia? – Kawęcki próbował się uśmiechnąć, ale wyszedł mu z tego raczej grymas. – Chyba tylko to, że weszłaś w posiadanie informacji, które nie powinny do ciebie trafić. Skąd je masz?

– Dziennikarze nie zdradzają swoich źródeł.

– Sądziłem, że nie jesteś już dziennikarką.

– Stałam się bezrobotna, ale nie zmieniłam branży.

– Co jeszcze wiesz?

– Poza tym, że kiepsko sobie radzicie ze śledztwem? – Alicja spojrzęła w lusterko. Coś, co dostrzegła w spojrzeniu Kawęckiego, mówiło jej, że ze złośliwościami nie powinna przesadzać. – Wiem, w jaki sposób Martyna Bułęcka została zamordowana. Wiem, dlaczego

nie chcieliście tego ujawnić, i nawet do pewnego stopnia was rozumiem. Wiem także, że jesteś odosobniony w swoim poglądzie na temat tego morderstwa. Bo gdyby któryś z kolegów szczerze wierzył w twoją teorię o seryjnym zabójcy, tobyś nie musiał korzystać z naszej pomocy.

Możejko podniósł głowę i uśmiechnął się do Alicji. Potem znów się zatopił w kilkudziesięciu stronach dokumentów, które otrzymał od Kawęckiego.

- Od dawna jesteś dziennikarką kryminalną? – zapytał policjant.
- Od kilku lat. Ale tematyką kryminalną interesuję się od dawna.
- Czy widziałaś kiedyś coś podobnego?

Wiedząc, że Kawęcki uważnie jej się przygląda, Alicja pokręciła głową.

– Jeszcze nie pisałam o sprawie seryjnego zabójcy. W trakcie mojej pracy w „Expressie” żaden się nie objawił. Zresztą uważam, że to dziwne.

– Co w tym dziwnego?

– Nie chce mi się wierzyć, że w trzydziestoósmiomilionowym kraju brakuje seryjnych zabójców. Mamy prawie czterdziestu miliardów. Kilku facetów, którzy weszli zimą na ośmiotysięczniki. Nawet jednego światowej klasy piłkarza. I mam uwierzyć, że nie trafił nam się ani jeden aktywny seryjny zabójca? – Alicja spojrzała na Kawęckiego. – Łatwiej jest strzelić cztery bramki Realowi czy poćwiartować cztery kobiety?

Przez moment miała wrażenie, że Kawęcki zastanawia się nad jej pytaniem. Nie łudziła się jednak, że otrzyma od niego odpowiedź. Ani tym bardziej, że przyzna jej rację.

– A więc interesują cię seryjni – stwierdził Kawęcki.

– Wyłącznie z przyczyn zawodowych.

– A z którym kojarzy ci się człowiek, którego szukamy?

Alicja zerknęła na Możejkę, jak gdyby szukała u niego potwierdzenia, że rozmowa nie skręciła na zbyt dziwne tory. Ten jednak udawał, że ich nie słucha.

– Z Kubą Rozpruwaczem. I z Zodiakiem.

– Dlaczego akurat z nimi?

– Rozpruwacz, podobnie jak nasz sprawca, miał wiedzę anatomiczną. Okaleczał swoje ofiary i wycinał im narządy wewnętrzne. Dlatego podejrzewano, że może nim być obłąkany medyk, student medycyny albo rzeźnik. Jednym z wielu podejrzanych był nawet nadworny lekarz królowej Wiktorii.

– A Zodiak?

– Przesyłał listy do prasy i dołączał do nich zaszyfrowane wiadomości. Przekonywał, że jeśli policjantom uda się je rozgryźć, to zdołają go złapać. Grał im na nosie. Zabawiał się z nimi. Odnoszę wrażenie, że ten zabójca robi to samo. Kpi z policji. Czasem w wysublimowany sposób, na przykład zmieniając swój modus operandi tak, aby skierować podejrzenia na kogoś innego. Na przykład na Kubę.

– Możejko spojrzał na Alicję w taki sposób, jakby zapomniał, że tak ma na imię. – A czasem nie. Zabójstwo Magdy Giętkiej nie należało do najsubtelniejszych.

Kawęcki przyglądał się Alicji przez dłuższą chwilę, a następnie skupił się na bocznej szybie. Na pędzących lewym pasem samochodach, które co kilkanaście sekund wyprzedzały ich opla.

Dopiero po pewnym czasie się zorientował, że bezwiednie kiwa głową. Jakby przytakiwał własnym myślom.

– Żaden z nich nie został schwytany – odezwał się w końcu. – Ani Kuba Rozpruwacz, ani Zodiak.

Osunął się na oparcie. Zamknął oczy i pozwolił swoim myślom odpłynąć.

Kawęcki sądził, że takie gabinety konstruuje się jedynie na potrzeby amerykańskich filmów. Masywne dębowe meble, czarne skórzane sofy, regały szczelnie wypełnione starymi książkami, oldskulowy adapter w towarzystwie kolekcji winylowych płyt. Wszystko idealnie skrojone i wysmakowane. Nawet kurz, który pokrywał książki, wydawał się tam starannie podłożony.

– Wow! – westchnęła Alicja, gładząc oparcie jednego z foteli. – Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś znajdę się w pomieszczeniu, w którym nie ma ani jednego mebla z Ikei.

Kawęcki spojrział na nią poważnie, a potem nieznacznie się uśmiechnął. Ktoś, kto by go nie znał, mógłby pomyśleć, że polubił tę dziennikarkę.

Możejko minął efektowną gablotę z dyplomami, wyróżnieniami, okładkami książek i wszystkim tym, co mogło zaświadczyć, że profesor Wiesław Wasilewski jest wybitnej klasy psychologiem i kryminologiem. Wyjrzał przez wysokie kamieniczne okno, z którego rozciągał się widok na park Szcześliwicki. Następnie odwrócił się i podszedł do Kawęckiego.

– Profesor jest człowiekiem o bardzo wysokiej kulturze osobistej. Wrażliwym na gesty, słowa i ton głosu. Niezwykle spostrzegawczym i

potrafiącym wybuchnąć, jeżeli dostrzeże coś, co odbiega od jego wyśrubowanej normy. To intelektualista w najlepszym i najbardziej pełnym rozumieniu tego słowa.

– Sądziłem, że ty też nim jesteś – odparł Kawęcki.

– Ja jestem intelektualistą rynsztokowym. Ty zresztą też. Choć zdecydowanie bardziej rynsztokowym niż ja.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Że nie będziesz sobą. Że zmusisz się do tego, aby przez godzinę... czy ile tam profesor z nami wytrzyma... nie zrobić nic niestosownego.

Kilka minut później do gabinetu profesora weszła jego asystentka. Na niskim drewnianym stoliku postawiła tacę z napojami. Choć była młoda, prawdopodobnie młodsza od Alicji, miała w sobie urok podstarzałej gosposi pracującej w książęcym pałacu. Kawęcki gapił się na nią, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Nie był pewien, czy będzie w stanie zachowywać się odpowiednio w towarzystwie faceta, który myśli, że żyje w dziewiętnastowiecznej Anglii.

Po paru następnych minutach dołączył do nich profesor. Ubrany w czarny pulower, który włożył na białą koszulę, obcisłe czerwone spodnie i brązowe półbuty. Był szczupłym sześćdziesięciolatkiem z uczesanymi na bok siwymi włosami, które dobrze komponowały się z jego regularnymi rysami twarzy. Kiedy rzucił gościom przepraszający uśmiech i zaczął tłumaczyć się ze spóźnienia, Kawęcki zauważył, że jego czoło praktycznie się nie porusza. Widocznie jeszcze mu nie zeszło pobotoksove usztywnienie.

– Okłamał mnie pan – powiedział Wiesław Wasilewski do Możejki, jak tylko wszyscy rozsiedli się na skórzanych fotelach. Jego głos, charakterystyczny raczej dla sędziwego mądrali, nie nadał za

młodzieżowym wyglądem. – Mówił pan, że zbiera materiały do książki beletrystycznej, a tymczasem wziął się pan za prawdziwe śledztwo. Z prawdziwym i najwyraźniej bardzo poważnym zabójcą.

– Poszedłem za pana sugestią. Uznałem, że prawdziwa historia jest ciekawsza niż fikcja.

– Ale nie przyjechaliście tutaj z powodu książki.

– Przyjechaliśmy, ponieważ chcemy złapać zabójcę – odparł Kawęcki, który zdążył opróżnić filiżankę kawy, zanim inni sięgnęli po swoje. – A według Możejki jest pan osobą, która może nam w tym pomóc. Zapoznał się pan z materiałami, które panu przesłaliśmy?

Profesor rzucił Możejce przelotne spojrzenie, a potem skupił się na Kawęckim. Przez dłuższą chwilę dwaj mężczyźni pochodzący ze skrajnie innych światów, różniący się niczym porno od romansu, mierzyli się wzrokiem.

– Nie przepada pan za kurtuazyjnymi rozmowami – zauważył Wasilewski.

– Jest pan bardzo spostrzegawczy – odgryzł się Kawęcki.

Profesor uśmiechnął się do niego półgębkiem, a potem delikatnie klasnął w dłonie. Sięgnął po swoją filiżankę.

– Dobrze. Proszę mi zatem powiedzieć, co pan sądzi o sprawcy.

Wasilewski się spodziewał, że Kawęcki wyciągnie notatnik i dokona suchego odczytu. Ale ten pochylił się przed siebie, oparł łokcie na kolanach i spojrzał na niego tak, jak gdyby chciał, by profesor wyczytał odpowiedź z jego tęczywek.

– Mężczyzna. Ma od trzydziestu pięciu do pięćdziesięciu lat. Wykonuje zawód, który nie wymaga od niego wielu interakcji z ludźmi. Prawdopodobnie posiada doświadczenie medyczne, a na pewno dobrze

orientuje się w anatomii. Jest samotnikiem. Pedantem. Człowiekiem metodycznym, dokładnym i opanowanym. Kieruje się własnym systemem wartości, który w żadnym stopniu nie pokrywa się z systemem społecznie akceptowalnym. Zmaga się z poważnym problemem seksualnym: jest impotentem, eunuchem albo osobą pozbawioną popędu. Świetnie orientuje się w metodach pracy operacyjnej policji.

– Coś jeszcze? – zapytał profesor, gdy Kawęcki nieoczekiwanie zamilkł.

– Mogę tak mówić jeszcze przez kilka minut, ale nie wierzę, że utrzyma pan tak długo koncentrację.

Psycholog uśmiechnął się kwaśno.

– Moim zdaniem przedstawił pan obraz człowieka, który nie istnieje. Złożony z dziwactw i stereotypów. Część z nich jest prawdziwa, ale reszta zapewne nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

Wasilewski wstał, podszedł do swojego dębowego biurka i wrócił do policjantów z pękatą teczką, którą parę minut wcześniej położył tam Możejko. Wyciągnął z niej kilkadziesiąt stron wydruków.

– Sugerował się pan tymi raportami? – zapytał Kawęckiego.

– Między innymi.

Psycholog demonstracyjnie przekartkował dokumenty, a potem wydzielił mniej więcej połowę. Uformował z nich gruby rulon i cisnął go do kosza.

– Musi pan zmienić metodykę pracy. Zredukować liczbę potencjalnych ofiar do kilku, które z największym prawdopodobieństwem zginęły z rąk tego człowieka. Jeśli będzie pan przyglądać się zbrodniom, których nie popełnił, choć wydaje się panu,

że mógł to zrobić ktoś jego pokroju, do niczego pan nie dojdzie. Będzie pan dreptać w miejscu, nie mogąc połączyć ze sobą kropek.

– A jeśli mam pewność tylko co do jednego zabójstwa?

– Zawsze może pan poprosić kolegów o pomoc.

Kawęcki przyjrzał się Mozejce i Alicji, którzy biernie przysłuchiwali się rozmowie. Potem wstał, podszedł do psychologa i odebrał od niego plik dokumentów. Przekartkował go, stojąc obok Wasilewskiego, i wyciągnął kilka wydruków. Następnie zanurkował do kosza po zwiniętą w rulon stertę papierów i zrobił z nią to samo. Kiedy skończył, przekazał kilkanaście wyłuskanych kartek psychologowi i wrócił na swoje miejsce.

– Co dalej? – zapytał Kawęcki.

– Teraz musi się pan dowiedzieć, dlaczego wybiera akurat te kobiety.

– Są młode, piękne, ponętne. To obiekty męskich westchnień.

– Są tysiące kobiet, które odpowiadają tej charakterystyce. Jeśli sprawca zwraca uwagę na szczegóły i jest sadystą, nie może mu chodzić wyłącznie o ich wygląd.

– Wszystkie były aktywne seksualnie, każda miała przynajmniej kilku partnerów. Ale żadna nie była mężatką.

– Czyli uprawiały seks przedmałżeński, podobnie jak większość Polek. To też nie stanowi punktu zaczepienia. – Wasilewski pokręcił głową. – Nie wykonam tej pracy za pana. Mogę ją co najwyżej ułatwić.

Psycholog ponownie podszedł do swojego efektownego biurka, otworzył szufladę i wyciągnął z niej samotnie leżącą kartkę. Przekazał ją Kawęckiemu.

– Proszę zadać te pytania bliskim ofiar, które pan wytypował. Ich rodzicom, rodzeństwu, kolegom, kochankom. Nauczycielom, lekarzom

i szefom. Każdemu, kto może cokolwiek o nich wiedzieć. I proszę dokładnie notować ich odpowiedzi. Jeśli przynajmniej kilka z tych osób będzie z panem szczerych i pomoże odkryć parę sekretów, które skrywały te kobiety, być może uda się panu poznać motywację sprawcy. I tak naprawdę dopiero wtedy będzie pan mógł zacząć go szukać.

Kawęcki szybko przeleciał przez listę.

– Każde z tych pytań zostało już zadane.

– Najwyraźniej nie otrzymaliście na nie szczerych odpowiedzi. Albo nie byliście w stanie ich właściwie zinterpretować.

Psycholog w końcu napił się kawy. Był jedyną osobą w pomieszczeniu, która trzymając filiżankę, nie prostowała małego palca.

– Czyli w tej chwili nic nam pan nie powie o sprawcy?

– Jeśli bardzo chcecie, mogę to zrobić, ale to będą zgadywanki. Być może znajdzie się w nich coś prawdziwego, a być może za jakiś czas będziecie mogli wszystkie moje sugestie wyrzucić do kosza. Mogłem sobie na to pozwolić, kiedy Kuba poprosił mnie o charakterystykę sprawcy na potrzeby książki, ale tu mamy do czynienia z prawdziwym zabójcą.

– Jechaliśmy tu półtorej godziny, a przez kolejne pół czekaliśmy na pana. – Kawęcki uśmiechnął się sztucznie. – Mógłby pan chociaż spróbować nas rozerwać.

Wasilewski przygryzł wargi i zacisnął dłonie na oparciach fotela. Przewrócił oczami. Potem spojrział na Kawęckiego.

– Seryjni zabójcy najczęściej kierują się seksualnymi motywacjami. Zabijają, bo nie mogą zaspokoić żądź w sposób uznawany w społeczeństwie za normalny. Kręcą ich nekrofilia, gwałt, różne formy seksu połączonego z zadawaniem bólu. Ale moim zdaniem

człowiekowi, którego szukacie, nie chodzi o zaspokajanie popędu. Seksualna niemoc może być źródłem problemu, ale nie jest bezpośrednim powodem jego czynów.

– A co nim jest?

– Nie mam pojęcia. Być może zaburzenie, przez które jego wizja świata wygląda upiornie. Albo skrajna odmiana mizoginii. Albo fanatyzm.

– Religijny?

– Na przykład.

– Czy to możliwe, że on składa te kobiety w ofierze?

– Raczej je karze.

– Za rozwiązłość?

– Albo po prostu za to, że są kobietami. Kiedyś bezpodstawnie posądzano je o czary i rzucanie uroków, a następnie poddawano torturom i palono na stosie. Kto wie, być może wasz sprawca ma mentalność średniowiecznego wieśniaka, który uważa, że pewne kobiety utrzymują bliskie kontakty z diabłem.

Kawęcki długo wpatrywał się w Wasilewskiego, jak gdyby liczył na rozwinięcie wątku. Ale najwyraźniej się przeliczył. Głośno wypuścił powietrze, a potem spoconymi dłońmi wymacał w kieszeni paczkę papierosów. Podniósł się z fotela. Spojrzał w stronę okna. Wczesnojesienne słońce rozświetlało poranną szaroznę. Ale dla niego wciąż było szaro. Szarzej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Kilka z nich nawet się z nim spotkało – powiedział i ruszył do wyjścia.

Wyjeżdżali z Warszawy w milczeniu i z poczuciem, że mogli lepiej spożytkować czas spędzony w stolicy. Skupiali się na ciepłym głosie Jarosława Juszkiewicza płynącym z Google Maps, który instruował ich, jak mają się wydostać z miasta.

Kiedy wyjechali na autostradę, zmieniło się tylko to, że GPS zamilkł. Możejko zatopił się w dokumentach, które otrzymał od Kawęckiego. Choć zapewniał, że śledztwo jest dla niego najistotniejsze, a pomoc w znalezieniu sprawcy będzie największą nagrodą za trud włożony w pracę, jego pisarska natura wzięła górę. W niewielkim notatniku spisywał swoje spostrzeżenia, od razu ubierając je w zdania, które mogłyby się znaleźć w książce. W tym czasie Kawęcki wyglądał przez okno, gapiąc się na szybko znikające pobocze. Obok niego leżały dwie książki dotyczące kryminologii autorstwa profesora Wasilewskiego oraz kartka z przygotowanymi przez psychologa pytaniami.

– Macie jakieś wnioski? – odezwała się Alicja, którą milczenie pasażerów wprawiało w senny nastrój. – Jakież przemyślenia? Sugestie? Pomysły, co robić dalej?

Możejko spojrzał na nią tak, jakby zaproponowała gwałt zbiorowy na jego siostrze. Chciał jej coś powiedzieć, ale ostatecznie dał sobie spokój. Odwrócił się do Kawęckiego.

– Chyba się nie polubiliście z profesorem – powiedział.

Kawęcki, nie odrywając wzroku od pobocza, wzruszył ramionami.

– To teoretyk. Harcerzyk w przyciasnych portkach. Wątpię, czy to, co powiedział, ma jakąkolwiek wartość.

Możejko parsknął z irytacją.

– Bo oczywiście tylko to, co sam wykoncypujesz, może przybliżyć nas do złapania zabójcy.

– Nie nas. Mnie. Wy jesteście tylko balastem, na który zgodziłem się w chwili słabości.

Resztę drogi przejechali w zupełnej ciszy. Darowali sobie nawet muzykę. Alicja zapłaciła za wjazd na króciutki płatny odcinek autostrady, zjechała z A2, błyskawicznie przebiła się przez kilka wsi i znalazła się w Zgierzu. Utknęła w niewielkim korku na ulicy Łódzkiej, która kilka kilometrów dalej przechodziła w Zgierską i zagłębiała się w Łódź. Tam przecinała Radogoszcz na pół, oddzielając od siebie zachodnią i wschodnią stronę osiedla.

– Wysadź mnie tutaj – powiedział komisarz, kiedy minęli pierwsze z dwóch przejść podziemnych na Zgierskiej.

Alicja skręciła w jedną z bocznych dróg i najechała na chodnik. Kawęcki bez słowa wysiadł. Książki i kartka z pytaniami od profesora zostały na siedzeniu. Nietknięte.

Zapalił papierosa i zszedł do przejścia podziemnego. Przez kolejne dziesięć minut anemicznie człapał przez spokojne osiedle. Zatopiony we własnym świecie, bezrefleksyjnie mijał kolejne beżowe bloki, miniaturowe skwery, place zabaw oraz kościoły. A także ludzi, głównie emerytów i matki z dziećmi, którzy snuli się między blokami, jak gdyby nie bardzo wiedzieli, dokąd zmierzają. Zanurzeni we własnym świecie, rozkojarzeni, poprzecinani siatką niewidzialnych problemów, które w ich odczuciu urastały do rangi potencjalnej katastrofy.

Kiedy zostało mu do przejścia kilkadziesiąt metrów, zanurkował do kieszeni w poszukiwaniu kluczy. Dopiero wtedy się zorientował, że jedzie za nim samochód.

Czarne bmw gwałtownie przyspieszyło i równie gwałtownie zahamowało u jego boku. Szyby automatycznie się opuściły. W przednim oknie pojawiła się jajowata łysa głowa, z której wyrastał gargantuiczny tułów i wielkie wytatuowane łapska. Z tylnego wyłoniła się ponura gęba z nienaturalnie wysuniętą szczęką.

– Wsiadaj – powiedział właściciel tej nietuzinkowej gęby.

Kawęcki rozejrzał się dookoła, sondując możliwości ucieczki. Potem głęboko wypuścił powietrze. Zamiast kluczy wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, jakby to one miały go uratować.

– Można jarać u was w furze? – zapytał.

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, kto pyta. Na przykład psy nie mogą. – Mężczyzna z samochodu wyszczerzył zęby. – Wsiadaj, kurwa.

Kawęcki schował papierosy i wsiadł. Zajął miejsce obok faceta łudzaco podobnego do Quentina Tarantino.

– Dokąd jedziemy?

Pytanie Kawęckiego pozostało bez odpowiedzi. Sobowtór Tarantina nawet na niego nie spojrział. Zamiast tego zaczął podrygiwać kolaniem w tempie prestissimo. Z kolei łysy mutant siedzący za kierownicą przyglądał się Kawęckiemu w lusterku wstecznym, jakby zamierzał mu odgryźć głowę. Jednocześnie wykonywał slalom między samochodami, przedzierając się na południe miasta.

Po kilkunastu minutach byli na miejscu. Kierowca zrobił rajd po Dąbrowie i zatrzymał się na wysokości garaży wybudowanych na tyłach rzędu kolorowych bloków.

– Wysiadaj – rozkazał Quentin.

Wyszedł z samochodu razem z Kawęckim i zaprowadził go do knajpy, z której rozpościerał się widok na skrzyżowanie Dąbrowskiego i Śmigłego-Rydza. Była to typowa osiedlowa speluna, która o XXI wieku słyszała jedynie z opowieści: oblepiona plakatami zespołów, które już dawno przestały koncertować; cuchnąca dymem papierosowym i stęchlizną; z podłogą tak brudną, że można było się do niej przykleić. Do złudzenia przypominała Hydrę. Lokal, który Kawęcki kilka tygodni wcześniej zdemolował, czemu najprawdopodobniej zawdzięczał wizytę dwóch nieproszonych gości w swoim mieszkaniu.

Kawęcki myślał, że poza nim i Quentinem w pubie nikogo nie ma. Ale wtedy usłyszał odgłos wody spuszczonej w toalecie. Chwilę później z wąskiego korytarza, który ukrywał się po prawej stronie baru, wyszedł mężczyzna w garniturze. Strzepnął na podłogę krople z mokrych dłoni, przejechał ręką po ostrzyżonej na jeża głowie i skierował się w głąb lokalu. Usiadł przy okrągłym stoliku.

– Co się, kurwa, gapisz – syknął Quentin. – Idź do niego.

Kawęcki rozejrzał się po pubie, a następnie niespiesznym krokiem ruszył w stronę mężczyzny. Udawał, że się go nie boi. Że może być dla niego równorzędnym partnerem. Ale podskórnie czuł, że za takie aktorstwo prawdopodobnie dostałby Węża.

– A więc to ty jesteś Roman – powiedział, siadając naprzeciwko faceta.

– Ty musisz być psem, który utrudnia mi prowadzenie biznesu. Powinieneś wiedzieć, że bardzo nie lubię, gdy ktoś to robi.

– Sądziłem, że tego typu problemy wpisane są w twój model biznesowy. Że to chleb powszedni gangsterów handlujących ludźmi, narkotykami, niebezpiecznymi psami i cholera wie czym jeszcze. Uczciwym przedsiębiorcom życie utrudnia skarbówka. Przestępcom deptają po piętach ludzie tacy jak ja.

– Czyli jacy?

– Rzetelnie wykonujący swoją robotę.

Roman zaśmiał się chrapliwie, a jego rechot szybko przeszedł w kaszel. Kiedy się opanował, do stolika podszedł Quentin i postawił przed gangsterem drinka. Białego Rosjanina. Mieszankę wódki, likieru kawowego i śmietanki.

– Sądziłem, że wy, Czeczeni, nie lubicie ruskich – odezwał się Kawęcki.

– Co ma drink do tego, kogo lubię? Poza tym nie jestem Czeczenem, tylko Gruzinem.

– Jest jakaś różnica?

– Mniej więcej taka jak między Polakiem i Czechem albo Norwegiem i Szwedem. Albo jak pomiędzy psem a martwym psem.

Roman się uśmiechnął, a potem wyciągnął opakowanie aspiryny. Wycisnął na stół dwie tabletki, połknął je i popił drinkiem. Zrobił to niezwykle sprawnie. Zwłaszcza jak na faceta, któremu w jednej dłoni brakowało aż czterech palców.

– Dlaczego próbujesz nam zaszkodzić?

Kawęcki długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Prawdę mówiąc, w tym momencie w ogóle mnie nie obchodzi, czym się zajmujecie. Interesuje mnie natomiast jeden z waszych klientów. Człowiek, który w ciągu kilku ostatnich tygodni zabił dwie

kobiety, studentkę i policjantkę. Jeśli mi go wystawicie, dam wam spokój. Może nawet szepnę słówko komu trzeba, żebyś przez jakiś czas mógł nieco swobodniej prowadzić swój biznes.

Roman intensywnie wpatrywał się w Kawęckiego, podczas gdy ten intensywnie wpatrywał się w jego dłoń. W to, co z niej zostało.

– Interesuje cię ten facet czy to, co się stało z moimi palcami?

I jedno, i drugie, pomyślał Kawęcki.

– Pożyczycie mu psa. Wielkie białe psisko. Prawdopodobnie doga argentyńskiego.

– Jak wygląda ten człowiek?

– Tak jak ten pies: jest wielki i masywny. A do tego ma nienaturalnie małe stopy. Właściwie niewiele potrafię o nim powiedzieć. Ale wiem, że znają go dwaj faceci, którzy u ciebie pracują. Są braćmi. A przynajmniej wyglądają jak bracia. Zawdzięczam im tę fryzurę oraz kilka szwów. – Kawęcki pochylił się i wskazał palcem poharataną głowę. – Kiedy człowiek, którego szukam, oddawał im psa, jeden z ich pomagierów zaszedł mnie od tyłu i uderzył w łeb. Nie zdziwiłbym się, gdyby zrobił to ten śmieszek przy barze.

Spojrzał w stronę Quentina w chwili, w której ten kończył przygotowywać kolejnego drinka. Chwilę później przyniósł go Romanowi. Kawęcki starał się nie okazywać, jak bardzo pragnie, aby ten napój wylądował przed nim. Ale wychodziło mu to jeszcze gorzej niż udawanie, że nie czuje przed Romanem lęku.

– Muszę cię zmartwić. – Roman pociągnął spory łyk i przygryzł wargi. – Człowiek, którego szukasz, podał nam fałszywe nazwisko. Nie mamy pojęcia, kim jest, gdzie mieszka ani czym się zajmuje.

– Jak się z wami kontaktował?

– Bezpośrednio. Któregoś dnia przyszedł do naszej siedziby. Wiedział, kim jesteśmy i w jaki sposób możemy mu pomóc. Dokładnie wyjaśnił, jakiego psa potrzebuje, gdzie chciałby go odebrać i kiedy zamierza oddać. Dobrze za to zapłacił.

– Poznałeś go?

Roman wolno pokręcił głową i wykrzywił usta. Najwyraźniej aspiryna jeszcze nie zaczęła działać.

– Macie nagranie z dnia, w którym was odwiedził? – próbował dalej Kawęcki. – Chciałbym go zobaczyć.

– A jak myślisz? Uważasz, że muszę pilnować, kto wchodzi do mojej firmy i z niej wychodzi, co wnosi i co wynosi? Gdyby tak było, nie byłbym tam, gdzie jestem.

– Czyli gdzie?

Roman pociągnął kolejny łyk, a następnie odsunął drinka na bok. Pochylił się w kierunku Kawęckiego i położył ręce na stole.

– Albo jesteś bardzo głupi, albo nie masz pojęcia, z kim zadarłeś. Obstawiam to pierwsze, ponieważ miałeś sporo czasu, żeby się o mnie czegoś dowiedzieć. A to działa na twoją niekorzyść. – Roman zakręcił szklanką. – Napadłeś na mój lokal, pobiłeś moich ludzi, a teraz oczekujesz, że ci pomogę. W dodatku jesteś cholernie arogancki. W Gruzji już byś nie żył.

– Ale nie jesteśmy w Gruzji.

– Tak sądzisz?

Kawęcki zapalił papierosa. Roman gapił się na niego, wodząc językiem po zębach. W końcu przywołał do siebie Quentina.

– Chcę, żebyś był świadkiem – powiedział, a potem ponownie skupił się na Kawęckim. – Jeszcze nie wiem kiedy ani w jaki sposób, ale cię

zabiję. Zajebię jak psa. Sprawię, że skonasz w męczarniach.

Kawęcki popatrzył na Romana, a później na Quentina, wyraźnie zadowolonego z deklaracji szefa. Potem zaciągnął się dwukrotnie papierosem i wyrzucił wypalonego do połowy peta na podłogę. Przydepnął go czubkiem buta. Zastanawiał się, jak przerwać ciszę, od której w pomieszczeniu zrobiło się aż duszno. Przyszedł mu do głowy tylko jeden pomysł.

Nie najlepszy. Zdecydowanie nie najlepszy.

Sięgnął po stojącą przed Romanem szklanke i opróżnił ją duszkiem.

– Dzięki za drinka – powiedział i wstał od stołu.

Ruszył do wyjścia. Idąc, czuł, że ciężki wzrok gangsterów wypala mu dziurę w plecach.

Sierpień

– Nie – powiedział Witold. – Nie sędzę, żebym pozwolił Kawęckiemu się omotać.

Filipski demonstracyjnie podniósł swój notatnik.

– Z tego, co mam tu zapisane, dość jasno wynika, że był pan pod jego wpływem. Że to on pana przekonał, aby zacząć się przyglądać prokuratorowi Wardze.

Witold wytarł grzbietem dłoni pot z czoła. Ściągnął usta i zapatrzył się w stół.

– Okej – powiedział – na początku rzeczywiście mogło to tak wyglądać, ponieważ byłem jedyną osobą, która próbowała Kawęckiego zrozumieć. Tylko ja nie zakładałem, że wszystko, co wychodzi z jego ust, musi być dziwacznym wytworem przepitego umysłu. Zresztą on zwrócił uwagę na Wargę, będąc stuprocentowo trzeźwym.

Filipski zaśmiał się głośniej, niż zamierzał, ściągając na siebie spojrzenia Witolda i Stelmach.

– Trudno w to uwierzyć, co? Ale to prawda. Zainteresowanie Wargą zawdzięczamy trzeźwemu i bardzo przenikliwemu umysłowi samotnego człowieka, który miał dużo wolnego czasu i nie wiedział,

jak go spożytkować w sposób przyjemny. Poza tym dostaliśmy od Szczebiota zielone światło. Myślę, że po zabójstwie Magdy stał się bardziej nieufny wobec ludzi. Albo dowiedział się o Wardze czegoś, co wzbudziło jego niepokój.

– I co, warto było?

– Zajmować się Wargą? – Witold ciężko sapnął. – Nie. Nie z perspektywy policjanta pragnącego zachować dobre relacje z kolegami i szefostwem. I nie z punktu widzenia człowieka lubiącego się wysypiać. Dowiedziałem się o rzeczach, o których wolałbym nie wiedzieć. Takich, od których włos jeży się na głowie.

– Na przykład? – odezwała się Stelmach.

– Słyszeliście o Mai Zielińskiej? Piętnastolatce, która oskarżyła Wargę o gwałt?

Policjanci pokiwali głowami.

– Mam wrażenie, że ciągle o niej słyszemy – odparł Filipowski.

– Szokująca historia, prawda?

– O ile jest prawdziwa.

Witold spojrzał na Filipowskiego, jakby chciał mu pogruchotać szczękę.

– Zielińska to tylko wierzchołek góry lodowej – powiedział. – Czubek wielkiej, kurewsko obrzydliwej góry. – Pokręcił głową. – Niestety, byłem dość głupi, żeby zacząć szukać jej podstawy.

Cztery miesiące wcześniej

Witold przeszedł obok kamienicy na Rybnej, w której w większości okien szyby zastępowała dykta. Minął stojącego na podwórku dużego

fiata, wyglądającego na nieużywany od lat, i zatrzymał się przed betonową bramą. Sprawdził adres w telefonie, a następnie wszedł na podwórko. Przemknął obok kilku rozgadanych facetów z psami, które wzajemnie się obszczekiwały, zresztą podobnie jak ich właściciele, i stanął przed klatką schodową. Na przestarzałym domofonie odnalazł numer mieszkania. Chciał zadzwonić, ale zobaczył, że nie ma takiej potrzeby, ponieważ drzwi do klatki były wyrwane z zawiasów. Ruszył na górę.

Do mieszkania również nie musiał dzwonić. Drzwi wejściowe się otworzyły, gdy tylko znalazł się na półpiętrze. W progu stanęła kobieta. Mniej więcej trzydziestoletnia brunetka o smutnych piwnych oczach. Najwyraźniej musiała wypatrzeć go z okna.

– Proszę wejść – powiedziała z wyraźnym wschodnim akcentem.

Wpuściła go do ciasnego dwupokojowego mieszkania, w którym unosił się zapach smażonej cebuli. Zaprowadziła go do pomieszczenia pełniącego funkcję salonu. Stała w nim wersalka, szklany stół przykryty ceratowym obrusem, kilka drewnianych krzeseł i stolik kawowy, uginający się pod potężnym kineskopowym telewizorem. Na dywanie siedział kilkuletni chłopiec. Uśmiechnął się do Witolda, jak gdyby ten wpadał do jego mieszkania co tydzień, a potem ponownie skupił się na oglądaniu bajki na Cartoon Network.

– Napije się pan czegoś?

– Poproszę kawę. Czarną. Bez cukru.

– Proszę chwilę poczekać. Michał zaraz przyjdzie.

Rzeczywiście: przyszedł, zanim kobieta zdążyła zaparzyć kawę i przerzucić cebulę z patelni do gara z zalewajką.

Witold długo przyglądał się mężczyźnie, zastanawiając się, czy nie doszło do pomyłki. Facet miał długą jasnobrązową brodę, zakrywającą sporą część twarzy, i przerzedzone włosy, które wystawały spod kaszkietu. Ubrany był tak, jakby właśnie wrócił z ryb: w czarne spodenki sięgające za kolana i bluzę moro z kapturem. Kiedy szedł, bujał się na boki jak pingwin, wypychając do przodu okazały bebecz i przerośniętą pierś.

– Michał Płoszyński – przedstawił się, a widząc wahanie Witolda, pogładził się po brodzie. – To pomysł Julii. Powiedziała, że gdy zapuszczę brodę, w końcu zacznę wyglądać na swój wiek, a nie jak starzejący się chłoptaş. Chyba miała rację.

– To Ukrainka?

Płoszyński kiwnął głową, a potem usiadł naprzeciwko Witolda.

– Jeszcze rok temu mieszkała w Donbasie. Jej mąż zginął od wybuchu bomby. Poznała go po podziurawionych butach. Dali jej do identyfikacji wyłącznie jego nogi.

– Czyli to jego dzieciak.

– Teraz już nasz.

Witold popatrzył na chłopca, który uniósł ręce tak, jakby trzymał w nich broń. Wycelował niewidzialnym karabinem w telewizor i puścił do niego krótką serię. Potem odwrócił się i namierzył Witolda. Bang, bang! Nie żyjesz.

– Jak to się stało, że mieszka pan w takim miejscu?

Płoszyński uśmiechnął się jak człowiek, który po raz enty musi odpowiedzieć na to samo pytanie.

– W życiu mężczyzny przychodzi taki moment, w którym musi podjąć decyzję, jak chce zostać zapamiętany. W moim przypadku

sprawa była trochę bardziej skomplikowana. Mogłem bowiem zostać zapamiętany w sposób, jaki mi nie odpowiadał. Albo sprawić, że ludzie o mnie zapomną. Wybrałem bramkę numer dwa. Odciałem się od swojego dawnego życia: od pieniędzy, prestiżu, prokuratury, prawa. Od wszystkiego, co się z nim wiązało. I zaszyłem się tutaj.

– To była pańska decyzja?

– A kto inny mógłby ją podjąć?

Płoszyński wstał, żeby otworzyć okno. Przy okazji zgarnął z parapetu popielniczkę. Nie zważając na obecność dziecka, zapalił papierosa. Witold również. W końcu mleko już się rozlało.

– Ludzie, od których się odciałem, woleliby, żebym z nimi został. Wówczas mieliby nade mną większą kontrolę.

– Kim są ci ludzie?

Julia przyniosła Witoldowi kawę. Potem podeszła do chłopca, szepnęła mu coś do ucha i wyprowadziła go z pokoju.

– Słyszał pan o Cosbygate? O podejzeniach, które padły na Michaela Jacksona? O akcji #MeToo?

Witold niechętnie kiwnął głową. Nie podobało mu się, w którą stronę skręcała ta rozmowa.

– Nie mam pojęcia, czy ci ludzie są winni. Czy popełnili przestępstwa, które im się przypisuje. Czy krzywdzili kobiety i dzieci. Ale wiem, że ten świat istnieje. Świat ludzi, którzy mogą więcej od pozostałych. Celebrytów, biznesmenów, lekarzy czy prawników, których kręcą niewłaściwe rzeczy. Świat potworów, którzy pieniędzmi i wpływami mogą załatwić sobie wszystko.

– Skąd pan to wie?

– Bo do niego należałem. – Płoszyński uśmiechnął się cierpko. – Przecież gdyby było inaczej, tobyśmy się dzisiaj nie spotkali. Mam rację?

Witold poczuł, że ze zdenerwowania drżą mu ręce. Te informacje nie były dla niego zaskoczeniem. Jednak nie sądził, że Płoszyński będzie opowiadać o tym z taką swobodą, z takim spokojem, niemal jakby się chwalił swoimi dokonaniem. Miał wielką ochotę wyrządzić mu za to krzywdę.

– Ukrainka o tym wie? – zapytał. – Wie, z jakim zwyrodnialcem wychowuje dziecko?

– Tamten zwyrodnialec już nie istnieje. Zabił go cyproteron.

– Co takiego?

– Słyszał pan kiedyś o chemicznej kastracji? – Płoszyński strzepnął popiół, stukając w papierosa tak, jakby chciał go złamać. – O tłumieniu popędu seksualnego u mężczyzn, którzy kierują go w niewłaściwym kierunku? Albo o ludziach, którzy dobrowolnie poddają się takiej terapii, żeby przestać wyrządzać innym krzywdę? – Uśmiechnął się kwaśno i chwycił za brodę. – To w tej chwili najbardziej męska rzecz, jaka mi pozostała.

Witold był skonsternowany. Teraz już nie wiedział, czy powinien się na Płoszyńskiego wściekać, czy mu współczuć.

– Co konkretnie pana interesuje? – zapytał były prokurator.

– Szukam informacji na temat pewnego człowieka. – Witold pokazał Płoszyńskiemu zdjęcie w telefonie. – Kojarzy go pan?

– Oczywiście. To Adam Warga. Zdaje się, że nadal pracuje w prokuraturze. I ma się całkiem nieźle. Zwłaszcza jak na faceta, który nigdy nie wykazywał specjalnych predyspozycji do tej pracy.

– Czy on też należał do tego świata?

Płoszyński przejechał językiem po ustach, a następnie podrapał się po twarzy.

– Nie.

Witold przyciągnął do siebie telefon i przeskoczył między zdjęciami.

– A czy tego człowieka pan kojarzy?

Płoszyński zerknął na wyświetlacz, a zaraz potem na Witolda. Wyprostował się na krześle i z najwyższym trudem założył nogę na nogę, eksponując bezwłosą łydkę.

– Chyba jestem panu winien pewną opowieść – powiedział, wpatrując się nieobecny wzrokiem w ścianę.

Kim wy, kurwa, jesteście?

Mariusz Szczebiot zadawał sobie to pytanie raz po raz, wpatrując się na przemian to w jedną, to w drugą fotografię. Na pierwszej z nich Kawęcki rozmawiał z Jackiem „Procentem” Sito, przypominającym wytatuowaną świnie byłym mokotowskim gangusem, który na dziesięć lat zapadł się pod ziemię. Na drugim zdjęciu widniał Mariusz Ryter, właściciel firmy ochroniarskiej Herkules i nowy mocodawca Procenta. Policjant, uliczny zabijaka i gangster udający przedsiębiorcę. Trzech facetów, którzy prędzej powinni się wystrzelać, niż ze sobą współpracować.

Naczelnik otworzył teczkę i położył zdjęcie na szczycie grubego pliku dokumentów dotyczących Kawęckiego, Procenta i Rytera. Kiedy kilka tygodni wcześniej Anna Stelmach powiedziała mu, o co podejrzewa jego człowieka, nie uwierzył jej. Zresztą początkowo nie był w stanie znaleźć żadnych śladów świadczących o współpracy

Kawęckiego z Ryterem. Żadnych nici łączących policjanta z facetem, który pod przykrywką prowadzenia legalnego biznesu parał się zwyczajną gangsterką. Żadnych dowodów na to, że Kawęcki jest na jego usługach. Szczebiot uznał, że musi to być dziwaczny wymysł paniusi ze stolicy. Nieco nadgorliwej dziewczynki z Biura Spraw Wewnętrznych, szukającej sensacji w miejscu, gdzie jej nie ma. Ale na wszelki wypadek wrócił do początku. Do biznesmenów, których Kawęcki wyciągnął z opresji.

Szczebiot odnalazł kilku małych przedsiębiorców przez lata gnębionych przez lokalnych zbirów. Odwiedził ich firmy. Nie powiedzieli mu nic interesującego. W zasadzie w ogóle nie chcieli z nim rozmawiać. Jakby to on ponosił winę za to, że gangsterzy przez lata ich gnębili i okradali. Ci mali przedsiębiorcy traktowali Szczebiota jak psa, który szczekał nie dość głośno, kiedy zgraja barbarzyńców najechała ich miasto, paląc gospody, gwałcąc kobiety i wynosząc z budynków wszystko, co im wpadło w ręce.

Po czwartej niemal identycznej rozmowie z facetem równie wygadany jak Andrzej Gołota gotów był dać sobie spokój. Opuścić i o wszystkim zapomnieć. Ale wtedy to zobaczył. Umieśnionego czarnego ludzika wciśniętego w pomarańczowy okrąg. Tandetny logotyp firmy Herkules. Był przyklejony obok drzwi do siedziby jednej z firm wybawionych przez Kawęckiego. Naczelnik postanowił sprawdzić pozostałe. Upewnić się, że to nie jest przypadek. Okazało się, że większość spółek podjęła współpracę z Ryterem i jego świtą zaraz po tym, jak pomógł im Kawęcki. Osiemnaście z dwudziestu trzech przedsiębiorstw zostało płynnie przerzuconych z rąk jednych bandytów w ręce drugich.

Korelacja między sukcesami Kawęckiego w rozbijaniu grup wymuszających haracze a rozwojem biznesu Rytera wydawała się niezaprzeczalna. Wzrost był synchroniczny. Jak gdyby dwa organizmy nagle stały się nierozzerwalnie ze sobą związane.

Patrząc na te dwa zdjęcia, Szczebiot nie potrafił znaleźć odpowiedzi na pytanie, jak do tego doszło. Ani ustalić, czy można było temu zapobiec. Ale bardziej martwiło go coś innego. Kiedy to wszystko się zaczęło. I czy w jakimś stopniu mógł być temu winny.

Sławomir Hofman siedział na ławce przy Stawach Stefańskiego i przyglądał się swojej wnuczce. Pięcioletnia dziewczynka odziana w ciepłą różową kurtkę, czapkę i rękawiczki, z zaczerwienionymi policzkami i uśmiechem przylepionym do twarzy, wraz z grupą podobnych do siebie szkrabów biegała między huśtawkami, zjeżdżalnią, statkiem pirackim i tropikalną wyspą. Powietrze co rusz rozdzierały wesołe popiskiwanie kilkulatków. Sławomir, nieprzyzwyczajony do tak wysokich tonów, za każdym razem reagował na nie grymasem. Ale w głębi duszy się cieszył. Była to dla niego miła odskocznia od codzienności. Na placu zabaw czuł się tak, jakby ktoś nagle przestawił wajchę, wywracając jego świat do góry nogami.

Czar prysł, kiedy na ten dziecięcy teren wkroczyli dwaj ponurzy faceci – doskonałe przeciwieństwo szczęścia wylewającego się z maleńkich, niewinnych, rozkrzyczanych buziek. Nie zwracając uwagi na dzieci, ruszyli w stronę Hofmana. Przywitali się i pokazali mu legitymacje policyjne. Otaksowali go od stóp do głów, a następnie jeden z nich, wyższy i sprawiający wrażenie sympatyczniejszego, usiadł obok. Drugi, capiący na kilometr strawionym alkoholem, o wyglądzie

menela dopiero co wyciągniętego z rynsztoka, odwrócił się i spojrzał na piłkę, która odbiła mu się od nogi. Nie raczył jej odkopnąć. Był jak Buka. Samotny, strapiony, zamrażający ziemię, na której stoi. Pozostawiający po sobie wyłącznie pustkę.

– Człowiek już nigdzie nie zazna spokoju – powiedział Hofman, drapiąc się po gęstej siwej czuprynie, która przypominała srebrny kask.
– To Marysia. Moja wnuczka.

– Która to? – zapytał Witold.

– Ta w różowej kurtce, z puciołową czerwoną buzią. Zawsze, kiedy wychodzimy na plac zabaw, wraca do domu przeziębiona. Jej matka drze się na mnie, gdy tylko usłyszy, że Marysia pociąga nosem. Ale nie potrafię jej tego odmówić. Nie potrafię zakończyć jej zabawy w odpowiednim momencie. – Hofman się roześmiał. – Byłem raczej surowym ojcem, ale jako dziadek mógłbym to maleństwo zagłaskać. Chyba chodzi o to, że im człowiek starszy i mądrzejszy, tym trudniej jest mu zabierać dzieciom te krótkie momenty nieskrępowanego szczęścia. Wie, że nie będą miały ich potem zbyt wiele. – Zamyślił się, patrząc na wnuczkę. – Jeśli pofatygowaliście się aż tutaj, żeby mnie znaleźć, to musicie mieć jakąś bardzo ważną sprawę.

Kawęcki odwrócił się i zbliżył do Hofmana. Wręczył mu złożoną na czworo kartkę.

– Szukamy związku między zabójstwami, do których doszło wiele lat temu – wyjaśnił. – Kilka z nich nie zostało wyjaśnionych. Inne budzą nasze wątpliwości. Zastanawiamy się, czy Archiwum X próbowało kiedyś wrócić do tych spraw.

Hofman przeleciał wzrokiem kartkę. Były na niej imiona i nazwiska, daty oraz przyczyny zgonu.

– Same kobiety – zauważył. – Słyszałem o kilku z tych zabójstw, ale żadnym się nie zajmowałem. Ani moi ludzie. Niektóre są dla nas zbyt świeże. My z reguły grzebiemy w skamielinach.

– Według nas kilka spraw z tej listy może być powiązanych z niedawnym zabójstwem Martyny Bułeckiej – powiedział Witold.

– Tej poćwiartowanej dziewczyny? – zdziwił się Hofman. – W jaki sposób?

– Poprzez sprawcę – odparł Kawęcki.

Hofman oderwał wzrok od kartki i spojrzał na niego.

– Czyli uważacie, że w mieście grasuje seryjny zabójca. Co na to wasz szef?

– Gdy ostatnio sprawdzaliśmy, nie wyglądał na przekonanego – odparł Witold.

– Niedziwne. Seryjny zabójca to rzadki okaz. Nie spotkałem w swojej karierze jeszcze ani jednego, a pracuję w policji od niemal czterdziestu lat.

– Właśnie dlatego odezwaliliśmy się do ciebie – powiedział Kawęcki. – Sporo w życiu widziałeś. O wielu rzeczach słyszałeś. W dodatku masz opinię uczciwego gliny, który potrafi grzebać w sprawach z przeszłości. – Przykucnął przed Hofmanem i uważnie mu się przyjrzał, jakby chciał go zauroczyć swoim zapijaczonym wzrokiem. – Utknęliśmy. Widzimy podobieństwa między ofiarami, ale nie mamy pojęcia, dlaczego wybiera akurat te kobiety. Nie mamy też czasu, zasobów i narzędzi, żeby się dokładnie przyjrzeć sprawom sprzed lat.

– A do tego brakuje wam umiejętności, które mam ja i ludzie z mojej jednostki – odezwał się Hofman. – Rozpracowanie sprawy sprzed lat to nie kwestia wygrzebania paru informacji z archiwum czy sprawdzenia

śladów DNA za pomocą nowych narzędzi. Do tego potrzeba umiejętności wyciągania wniosków z dowodów. Drażnienia trudnych wspomnień. Naciskania ludzi w miejscach, w których nikt wcześniej tego nie zrobił. – Zamilkł, gapiąc się na wnuczkę. – Czego ode mnie oczekujecie?

– Ludzie patrzą na nas jak na wariatów, kiedy wracamy do tych spraw, zamiast się skupić na zabójstwie Bułeckiej. Dla ciebie byłoby to czymś normalnym. Chcemy, żebyś zerknął na te zabójstwa i spróbował dostrzec w nich coś, czego nikt do tej pory nie zauważył.

Hofman głośno wypuścił powietrze. Ponownie zerknął na kartkę.

– Zastanowię się. A teraz pozwólcie, że skupię się na wnuczce.

Policjanci wyszli z placu zabaw. Kawęcki zatrzymał się, żeby zapalić papierosa. Witold zdążył w tym czasie wyprzedzić go o kilkanaście metrów. Błyskawicznie oddalał się do samochodu. Kawęcki musiał po raz pierwszy od bardzo dawna potruczać, żeby go dogonić.

– Coś się stało? – zapytał.

Witold przystanął. Odwrócił się w stronę placu zabaw. W kierunku różnokolorowych kurtek i piskliwych wrzasków. Naprężył każdy mięsień swojego potężnego ciała, a potem ciężko sapnął, jak gdyby spuszczał powietrze z opony do tira.

– Musimy pogadać – oznajmił. – Nie chciałbyś się napić piwa?

Kawęcki posłał mu osłupiałe spojrzenie. Nie spodziewał się takiego pytania. Nie sądził, żeby Witold nie znał na nie odpowiedzi, ale na wszelki wypadek energicznie pokiwał głową.

– Wiesz, kim był markiz de Sade?

– Coś tam słyszałem.

– To pisarz i filozof. Żył na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Był libertynem. A być może także wariatem, zboczeńcem i zabójcą. W każdym razie od jego nazwiska wziął się sadyzm. Wygooglowałem go – wyjaśnił Witold, widząc pytające spojrzenie Kawęckiego.

– Dlaczego mi o nim mówisz? W dodatku w miejscu takim jak to, pełnym ludzi, którzy nawet nie stali obok regału z książkami.

Witold rozejrzał się wokół. Sobota wydawała się jeszcze smętniejsza niż zazwyczaj. Nawet disco polo nie wyrywało się z głośników. Choć barmanka, która jednocześnie pełniła rolę kelnerki, sprzątaczkki i menedżerki lokalu, próbowała to zmienić, majstrując przy zdezelowanym sprzęcie grającym.

– Spotkałem się dzisiaj z byłym prokuratorem Michałem Płoszyńskim – powiedział Witold. – Opowiedział mi co nieco o zwyczajach swoich dawnych kolegów. Tych, którzy w pewnym etapie życia mieli wystarczająco dużo władzy i pieniędzy, żeby móc robić, co im się żywnie podoba. Markiz de Sade był ich idolem. Kimś w rodzaju przewodnika duchowego. Szczególnie inspirująca była dla nich książka *Sto dwadzieścia dni Sodomy, czyli szkoła libertynizmu*. To powieść o kilku bogatych facetach, którzy w odciętych od świata zamku oddają się orgiom seksualnym. Pozwalają sobie absolutnie na wszystko. Warunek jest jeden: to, co robią, musi być potępiane przez Kościół katolicki.

– Uroczo – mruknął Kawęcki, przystawiając piwo do ust.

– Kilkanaście lat temu kolegom naszego prokuratora przestało wystarczać opowiadanie zboczonych historyjek i korzystanie z usług prostytutek. Postanowili wziąć sprawy w swoje ręce. Zebrali grupę

osób, których kręcą podobne rzeczy, i zaczęli się bawić, jak na libertynów przystało.

Kawęcki przyjmował słowa Witolda, wolno kiwając głową. Zapalił papierosa.

– I ten prokurator należał do tej grupy?

– Był jednym z trybików w maszynie. Oprócz prokuratorów, sędziów i adwokatów w tej grupie znaleźli się także politycy, biznesmeni, celebryci czy lekarze. A nawet księża. Zresztą ich spotkania często odbywały się w willi jednego z biskupów. Co kilka tygodni pod wielki dom na wzgórzu podjeżdżały zastępy luksusowych samochodów.

– Jak to możliwe, że nikt się o tym nie dowiedział?

– Policjanci i dziennikarze także byli w to zamieszani. I to grube ryby: komendanci, szefowie wydziałów, redaktorzy naczelni, wydawcy. Wyłącznie wyższa pierdolencja.

– Mówisz o tym w czasie przeszłym.

Witold podrapał się po policzku. Upewnił się, że barmanka wciąż majstruje przy sprzęcie muzycznym, i przybliżył się do Kawęckiego.

– Któregoś razu sodomia wymknęła im się spod kontroli. Przez wiele lat dbali, żeby żadna z osób postronnych nie dowiedziała się o ich zabawach, ale też o to, aby sami uczestnicy niewiele o nich wiedzieli. Oczywiście ci, którzy uczestniczyli w nich wbrew własnej woli. Zwłaszcza nieletni. Faszrowali dzieciaków kokainą, heroiną i Bóg wie czym jeszcze. Aż któregoś razu przedobrzyli. Albo przesadzili z dawkami, albo trafił im się skażony towar. Skończyło się tym, że kilkoro dzieciaków opuściło willę w plastikowych workach. Płoszyński powiedział, że po tym incydencie się przestraszyli i zakończyli zabawę

w libertynów. – Witold wzruszył ramionami. – Ale kiedy to mówił, nie był szczególnie przekonujący.

Pociągnął kilka potężnych łyków piwa, jakby chciał przepłukać gardło po tym, co powiedział. Kawęcki miał wrażenie, że w trakcie opowiadania tej historii jego kolega skurczył się co najmniej o połowę. Schował do skorupy stworzonej z własnego ciała. Okopał w terenie, który jako tako znał. Zupełnie inaczej niż Kawęcki. Na nim ta historyjka nie zrobiła szczególnego wrażenia. Ale on nie był ojcem. I na szczęście nie zanosilo się na to, żeby w tej kwestii miało się coś zmienić.

– Jaką rolę pełnił w tym wszystkim Warga?

– Nie wiem. Płoszyński twierdzi, że nie kojarzy go z tych imprez. Ale za to dobrze pamięta Pszoniaka, który był jednym z ojców założycieli tej grupy.

– Wie, że Warga i Pszoniak byli sobie bliscy?

Witold kiwnął głową.

– Kiedyś nawet podejrzewał, że mają romans, ponieważ Pszoniak był biseksualistą. Według Płoszyńskiego łączyła ich dziwna relacja. Być może Warga miał na Pszoniaka haki, bo ten ciągnął go w górę aż do swojej śmierci. Był jego protektorem. To jemu Warga zawdzięcza obecną pozycję w prokuraturze.

Witold dopił piwo i głośno stuknął kuflem o blat, ściągając na siebie złowrogie spojrzenie barmanki. Jakby chciała mu pogrozić: uderz nim jeszcze raz, a wsadzę ci go w dupę.

– Płoszyński powiedział, że Pszoniak był najgorszym typem z całej swity – kontynuował Witold. – Bufonem święcie przekonanym o tym, że stoi ponad prawem. Niektórzy z tych gości wiedzieli, że to, co robią,

jest skrajnie złe. Ale nie mogli się powstrzymać. Przegrywali ze swoimi żądzami. Tę całą filozofię Sade'a dokładali tylko po to, żeby uciszyć sumienie. Ale byli wśród nich również tacy, którzy nie widzieli w tym nic zdrożnego. Uważali, że upokarzanie ludzi i krzywdzenie dzieci jest czymś, co się im należy. Czymś, do czego zostali przeznaczeni. Albo do czego predysponuje ich status społeczny.

Witold parsknął i pokręcił głową. Zacisnął dłoń na kuflu, aż mu zbieleły knykcie.

– A wiesz, co jest w tym wszystkim najsmutniejsze? Że facet, który dokonał chemicznej kastracji, żeby zabić swój chory pociąg, opowiadał mi o tym z uśmiechem na twarzy. Z uśmiechem świadczącym o całkowitej bezradności. Płoszyński doskonale wie, że nic z tym nie zrobimy. Że nie jesteśmy w stanie wobec nikogo, kto w tym uczestniczył, wyciągnąć konsekwencji. Że prędzej zdechniemy, niż któregoś z tych skurwysynów wsadzimy do mamra. – Witold puścił kufel i rozprostował palce. – Udało im się. Rzeczywiście są libertynami. Pierdolonymi panami życia.

– I śmierci – dodał Kawęcki. A po kilkudziesięciu sekundach milczenia zapytał: – Jeszcze po jednym?

Sierpień

Kiedy Filipowski wyszedł z pokoju przesłuchań, Kawęcki odchylił się na krześle i położył nogi na stole. Uśmiechając się do Stelmach, zanurkował do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął kolejną stumililitrową butelkę wódki. Zdążył opróżnić ją jednym haustem, popić zimną kawą i zapalić papierosa, zanim policjantka starła z twarzy grymas zniesmaczenia.

– Powinnaś na niego uważać – powiedział Kawęcki, a następnie bezgłośnie beknął. – Facet nie trzyma moczu. Gdybyś go zapytała, dlaczego tak często łązi do kibla, pewnie by ci powiedział, że to przez kawę. W ten sposób okłamałby cię podwójnie. Po pierwsze: to coś – Kawęcki wycelował palcem w kubek – nie ma nic wspólnego z kawą. A po drugie: facet, któremu po prostu chce się łąć, nie pędzi do kibla w podskokach. Znałem kiedyś gościa, który nie trzymał moczu. Za każdym razem, kiedy zachciało mu się szczać, pędził do kibla jak na skrzydłach. Kompletnie spanikowany. Jak człowiek, któremu zdarzyło się nie zdążyć.

– A dlaczego mam na niego uważać? – zapytała Stelmach. – Może mnie obsikać?

– Bo się na ciebie napalił. Pewnie nie jest to typ faceta, który kiedykolwiek się do tego przyzna, ale na twoim miejscu nie zamykałbym się z nim w jednym pokoju. Ma w sobie coś z niewyżytego gnojka, który trzepał sobie pod poduchą, kiedy słyszał, że matka w kuchni ubija kotlety.

– Nieźle się pan zna na ludziach – zauważyła drwiąco Stelmach.

Czasem aż za dobrze, pomyślał Kawęcki. Wypuścił dym kątem ust, przytakuując własnym myślom.

– Próbował pan kiedyś pójść na odwyk?

Kawęcki spojrzał na nią jak na kosmitkę.

– Wyobrażasz sobie mnie w Monarze? Zamkniętego w jakimś peerelowskim ośrodku? Posłusznie słuchającego skretyniałych wychowawców, którym się wydaje, że wszystko już widzieli, że znają każdy rodzaj człowieka, każdy typ uzależnienia? – Prychnął, rozdmuchując chmurę dymu. – W dodatku odciętego od papierosów i wystrojonego w jakieś drelichowe szmaty?

– Odwyk zapewne wygląda inaczej, niż pan go opisał. Ale tak, potrafię to sobie wyobrazić – powiedziała Stelmach. – Potrafię wyobrazić sobie pana w zamkniętym ośrodku. Takim lub innym.

Kawęcki zgasił papierosa, rzucając Stelmach wyzywające spojrzenie. Potem przeczesał palcami włosy, odklejając je od mokrego czoła. Gdy to zrobił, ponownie skupił wzrok na policjantce, która coś skrętnie notowała w zeszycie.

– Różnisz się od niego – powiedział. – On jest gryzipiórkiem, który chce jak najszybciej odbębnić swoją robotę i wrócić do domu. Już od kilkudziesięciu minut zerka na zegarek. Założę się, że korzystając z okazji, właśnie rozsiadł się na kiblu i przegląda Facebooka. Z

zazdrością gapi się na zdjęcia kolegów z dzieciństwa, którzy okazali się mądrzejsi od niego i nie wstąpili do policji. Zastanawia się, co zezre na obiad. I dlaczego znowu będzie to kebab albo bezsmakowy hot dog ze stacji benzynowej. Odlicza dni do weekendowego grilla z kumplami z wewnętrznego. Wypije na nim tyle browarów, na ile pozwoli mu stara, wciągnie kilka przypalonych kiełbas, upierając się, że właśnie takie lubi najbardziej, i nasłucha się dowcipów o Murzynach, które będzie powtarzać przez następny rok.

Kawęcki się skrzywił. Ale nie na myśl o Filipskim, lecz wskutek bólu, który przeszył jego brzuch. Coraz trudniej było mu nad nim zapanować. I coraz częściej go nawiedzał.

– Dla mnie też ma pan taką historyjkę? – zapytała Stelmach.

Kiedy fala bólu minęła, Kawęcki strzepnął popiół na podłogę i odwrócił się w stronę okna. Było już po piętnastej. I choć dni były długie, miał wrażenie, że za moment się ściemni. Że mrok przykryje nagrzane od słońca miasto.

– Pewnie byłaś kiedyś chłopczycą, na którą nikt nie zwracał uwagi. Dlatego zanurzyłaś się w książkach. Zostałaś kujonką. Prymuską. Ulubienicą nauczycieli. Dziewczynką, która nie pozwala koleżankom spisywać od siebie prac domowych. I tak ci już zostało. Mogłaś pójść na prawo, architekturę albo jakąś historię sztuki, ale wolałaś stać się czymś wrzodem na dupie. Wybrałaś pracę w policji, bo jesteś sumienna. Wydział wewnętrzny – bo jesteś mściwa. A w Warszawie zostałaś nie dlatego, że kochasz to miasto, ale po to, żeby któregoś dnia móc się spotkać z ludźmi ze szkoły i pochwalić się tym, że jesteś stołecznym oficerem policji. Wprawdzie wyrosłaś z chłopczycy na niezłą dupę, ale mentalnie się nie zmieniłaś. Nie chodzisz na imprezy,

nie spotykasz się z facetami, nie korzystasz z Tindera. W gruncie rzeczy jesteś tą samą niedorzętną pizdą, jaką byłeś dziesięć lat temu.

Kawęcki obrzucił Stelmach szyderczym uśmiechem. Potem pociągnął za koszulę, która przyłgnęła do jego ciała, jakby chciała zedrzeć z niego skórę, i zaczął się wachlować jej mokrym kołnierzem.

– Właściwie tylko jedno jest dla mnie zagadką – powiedział. – Jak to robisz, że w ogóle się na pocisz?

Trzy miesiące wcześniej

Prokurator Adam Warga wszedł do toalety, postawił swoją opasłą teczkę pod ścianą i stanął przy pisuarze. Zaczął majstrować przy rozporku. Spojrzał w kierunku podbrzusza i zobaczył górę tłuszczu napierającą na koszulę. Miał wrażenie, że gdyby rozpiął któryś z dolnych guzików, sadło wyciekłoby jak przez nieszczelną tamę.

Zaczął sikać, wygwizdując przy tym melodię *Eine kleine Nachtmusik* Mozarta, kiedy nagle drzwi do łazienki się otworzyły. Usłyszał szuranie. Odgłos, jakby ktoś ciągnął zwłoki po podłodze. A potem spojrział w lewo i zobaczył trupa.

– Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że masz jakąś fiksację urynalną – powiedział prokurator.

– Możliwe – wybełkotał w odpowiedzi Kawęcki. Z trudem trzymał pion, stojąc przed pisuarem i mocując się z paskiem w spodniach.

– Już drugi raz w ciągu kilku tygodni nachodzisz mnie w kiblu.

– Nie nachodzę. Po prostu przyszedłem się odlać.

Kawęcki zamilkł, a Warga wrócił do swojej beztrioskiej serenady. Gwizdał, jednocześnie zerkając na komisarza, który spuścił spodnie do

kostek i oparł się ręką o ścianę. Ale nawet to nie pomogło mu trafić do pisuaru. Patrząc na Kawęckiego, prokurator przypomniał sobie dowcip z *Desperado*. O facecie, który założył się z barmanem o trzysta dolców, że z odległości kilku metrów nasika do szklanki, nie roniąc przy tym ani kropli. A potem naszczał wszędzie z wyjątkiem szklanki. I był z tego powodu cholernie szczęśliwy, ponieważ dzięki temu wygrał inny zakład.

– Nie wygrasz tego zakładu – powiedział Warga, zapinając rozporek.

– Co?

– Najpierw musiałbyś znaleźć kogoś, kto będzie chciał się z tobą o to założyć. Ale ludzie nie chcą tego robić. Właściwie woleliby nie mieć z tobą w ogóle do czynienia.

Warga skończył i podszedł do umywalki. Namydlił ręce i zaczął je szorować. Miał wrażenie, że są brudniejsze niż zazwyczaj. Brudniejsze niż kiedykolwiek. Zerknął w lusterku na Kawęckiego, który podciągnął spodnie, omal się przy tym nie wywracając. Chwilę później dołączył do prokuratora przy umywalce. Uwiesił się na niej, jakby zamierzał się jej oświadczyć.

– Być może nie zgwałciłeś tej dziewczyny – powiedział.

– Być może?

– Okej, nie zgwałciłeś Zielińskiej.

– Dlaczego tak uważasz?

Kawęcki odkręcił wodę. Ale zamiast włożyć ręce pod strumień, pozwolił jej swobodnie bombardować odpływ.

– Bo cię poznałem. Przez kilka tygodni nie odstępowałem cię na krok. Odkrywałem twoje nawyki. Grzebałem w przeszłości. I wiesz co?

– Pokręcił głową, która zdawała się ledwo trzymać tułowia. – Wcale nie jesteś tak interesującym człowiekiem, jak ci się wydaje.

– Nie? A kim według ciebie jestem?

Kawęcki wzruszył ramionami, kurczowo trzymając się umywalki.

– Nikim. Nudnym tłuściochem z prokuratury. Najzwyklejszym zapchlonym prawnikiem. Jednym z wielu.

Warga zaczął tępo rechotać, jakby usłyszał sprośny dowcip.

– No cóż, nie każdy jest tak wyjątkowy jak ty – powiedział. – Utalentowany śledczy. Genialny. Gotowy walczyć o sprawę do samego końca. Zdecydowany poświęcić dla niej wszystko. Nawet swoje nędzne życie.

Kawęcki pochylił się nad umywalką. Kiedy wcisnął głowę pod kran, woda rozbryznęła się we wszystkich kierunkach. Warga odsunął się, żeby go nie ochlapała. Urwał kilka papierowych ręczników i zaczął wycierać dłonie.

– Wiesz, co w tym wszystkim jest najsmutniejsze? – Z mokrych ręczników uformował kulę i ze złością cisnął ją do kosza. – Że doświadczony policjant uwierzył w bełkot jakiejś skrzywdzonej narkomanki. Laski nieodróżniającej dnia od nocy. – Pokręcił głową. – Gdybym trzy miesiące temu wiedział, z kim tak naprawdę mam do czynienia, nigdy bym się nie zgodził, żebyście prowadzili sprawę Bułeckiej. To przez was ten skurwiel wciąż jest na wolności.

Rzucił policjantowi ostatnie gniewne spojrzenie i wyszedł z toalety.

Kawęcki został sam. Przez dobrą minutę stał pochyłony nad umywalką, gapiąc się na swoje odbicie w lustrze. Na podkrążone czerwone oczy, przez które przypominał ćpuna na głodzie. Na wodę spływającą z jego wychudzonej, a zarazem spuchniętej od alkoholu

gęby. Na zmarszczki, przez które przepływała niczym przez kanały melioracyjne. Miał wrażenie, że jest doskonale brzydki. Jak stwór, którego ktoś nieopatrznie wypuścił z lochów.

W końcu się wyprostował. Wytarł mokrą rękę w spodnie i sięgnął po telefon. Wybrał numer Witolda.

– Łyknął to – powiedział. – Możemy robić swoje.

Powarkiwania zdezelowanego samochodu z silnikiem Diesla, wspinającego się na kilkunastocentymetrowy krawężnik, zagłuszyły okrzyki dzieci, które bawiły się wewnątrz betonowego podwórka, a właściwie ganiały za obdartą z łat piłką, wyzywając się na przemian a to od Żydów, a to od pedałów. Warkot wgryzał się w szare mury niewysokiej kamienicy, gdzie jacyś domorośli biznesmeni zdołali wcisnąć piekarnię, salon fryzjerski, zakłady bukmacherskie i sklep monopolowy. I wywabiał z mieszkań upiory. Zdeformowane, szpetne, jałowe, zmęczone swoim bezsensownym dogorywaniem straszydła, które przylegały do okien i złowrogimi spojrzeniami nierobów wypalały dziury w karoserii samochodu.

Jakub Możejko oparł się o ścianę, przykładając dłonie do zimnego muru. Ustawił się tak, aby mieć w zasięgu wzroku całą czteropiętrową kamienicę. Parterowe okna budynku oszpecały rdzawe pajęczyny prętów. Na wąziutkich balkonach wisały różnokolorowe wachlarze bielizny i piżam. Za oknami majaczyły krótkie poźółkłe firanki i tanie kwiatki doniczkowe, ledwo widoczne w poszarzałych od kurzu szybach. Całość przypominała ponury żart. Była smutnym dowodem antyzycia, które toczyło się w tym miejscu pomimo wyraźnego protestu jego mieszkańców.

Mężczyzna, który w końcu wprowadził warczącego rzecha na chodnik, wytoczył się z samochodu. Poprawił czapkę z daszkiem i po chwili wahania podszedł do Możejki.

– To pana kolega? – zapytał, wskazując palcem faceta, który stał po drugiej stronie ulicy i bezceremonialnie gapił się w jego kierunku.

– Komisarz Tomasz Kawęcki – wyjaśnił Możejko. – Wspominałem panu o nim.

– To ten policjant? Nie wygląda...

Możejko przywołał Kawęckiego machnięciem ręki. Ten rozejrzał się na boki, a następnie przeszedł przez ulicę. Uścisnął wyciągniętą do niego dłoń.

– Inżynier Marian Stasiak – przedstawił się mężczyzna, ściągając czapkę.

Był niski, blady i wysuszony, o czujnych niebieskich oczach umocowanych tuż nad wystającymi kośćmi policzkowymi. Gdyby nie starczy głos i archaiczny sposób przedstawiania się, trudno byłoby stwierdzić, czy bliżej mu do pięćdziesiątki, czy siedemdziesiątki.

– Pan tu mieszka? – zapytał Kawęcki.

Stasiak wycelował w górę palcem wskazującym.

– W tym bloku. Na drugim piętrze. Wydaje mi się, że kilka razy pana widziałem, kiedy kręcił się pan pod klatką tej zamordowanej dziewczyny.

– Wątpię – odparł Kawęcki. – Jeszcze kilka tygodni temu wyglądałem inaczej. Zupełnie inaczej.

Stasiak wyczuł od policjanta alkohol i zaczął mu się nieufnie przyglądać. Głośno westchnął i rzucił Możejce karcące spojrzenie,

jakby chciał mu powiedzieć, że przecież nie tak się umawiali. Mimo to postanowił przejść do rzeczy.

– Jestem inżynierem budowlanym. Wiele lat temu nadzorowałem remont kamienicy, w której została zamordowana ta dziewczyna. Wiem, jak wyglądają tamtejsze mieszkania. Wszystkie są na jedno kopyto. Północne pokoje mają nieznacznie cieńsze ściany, ale są sporo głośniejsze, bo to przez nie przechodzą rury kanalizacyjne. W dodatku gorzej trzymają ciepło. W związku z tym mieszkańcy kamienicy większość czasu spędzają w pokojach południowych, cichszych i cieplejszych. Z tego, co się orientuję, ten potwór właśnie w takim ją dopadł.

– Tam znaleźliśmy jej zwłoki – potwierdził Kawęcki.

– Musiał wiedzieć, że jeśli dobrze wygłuszy ściany, to nikt nie usłyszy, co tam wyprawia. Zwłaszcza że pod tą dziewczyną mieszkają starsi ludzie. Pewnie tak głośno nastawiają telewizor, że nie słyszą, co się dzieje w sąsiednim pokoju, a co dopiero u sąsiadów! Wiem, bo sam tak robię. Żona ciągle mnie za to opiernicza.

– A więc według pana zabójca był wcześniej w tej kamienicy.

– Musiał być. Musiał poznać tych ludzi i rozkład mieszkań. A do tego musi mieć jako takie pojęcie o budowlance. Pewnie całymi tygodniami szwendał się ludziom po domach, kombinując, jak dorwać tę dziewczynę.

Kawęcki podziękował Stasiakowi za spotkanie. Razem z Możejką przeszedł na drugą stronę ulicy. Chwilę później weszli do kamienicy, w której mieszkała Martyna Bułeczka.

– Wiesz, że nie powinno cię tu być? – zapytał Kawęcki.

– Już tutaj byłem. Nie raz.

Wdrapali się na ostatnie piętro. Kawęcki otworzył kluczem drzwi i weszli do środka. Uderzył w nich zaduch dawno niewietrzonych pomieszczeń. Komisarz przeszedł się po mieszkaniu, otwierając przy okazji okna. Kiedy był tutaj po raz ostatni, pokój, który zajmowała Bułeczka, przypominał rzeźnię. Jedyнным meblem była w nim porąbana kanapa. Teraz nawet jej brakowało. Właścicielka mieszkania zleciła wysprzątanie lokum i pozbyła się zniszczonych mebli. Wciąż jednak brakowało jej odwagi, żeby ponownie komuś wynająć. Zresztą wydaje się mało prawdopodobne, żeby ustawił się tłum chętnych.

Możejko stał na środku przedpokoju. Widział stamtąd zarówno dawny pokój Bułeckiej, jak i jej współlokatorki Weroniki Tarnawskiej. Z niedowierzaniem kręcił głową.

– Ten człowiek wydarł duszę z tego miejsca – powiedział. – Wyrznął wszelkie ślady człowieczeństwa.

– Gdzie to robiliście? – zapytał Kawęcki, stojąc w miejscu, które jeszcze kilka tygodni wcześniej zajmowała sofa. – Na kanapie? Ciągnęła ci druta, kiedy leżałeś i gapiłeś się w sufit?

Możejko zlekceważył jego zaczepkę. Zamiast tego podszedł do okna. Wyjrzał na betonowe podwórko.

– Jeśli facet chciał mnie zrobić w zabójstwo albo chociaż skierować na mnie podejrzenia, musiał mnie wcześniej widzieć – powiedział. – Najprawdopodobniej w tym budynku.

– Żeby to ustalić, nie musieliśmy tu przyjeżdżać. – Kawęcki zapalił papierosa. – Jeszcze wczoraj twierdziłeś, że widziałeś w tym budynku wielkiego faceta w szarym uniformie. Pofatygowaliśmy się tutaj, żebyś poczuł natchnienie. Odkurzył wspomnienia. Przypomniął sobie, jak

wygląda człowiek, którego szukamy. Powiedz, proszę, że nie zmarnowałeś mojego czasu.

Możejko rozejrzał się za krzesłem, na którym mógłby usiąść. Żadnego nie znalazł, więc oparł się o ścianę. Głośno wypuścił powietrze z płuc.

– Od kilku tygodni próbuję sobie przypomnieć, jak wyglądał. Każdego dnia siadam na krześle i przez kilkadziesiąt minut bezproduktywnie gapię się w ścianę, starając się odtworzyć każdą chwilę, jaką spędziłem w tym budynku. Nie jest to proste. Ani przyjemne. – Możejko złapał się za głowę. – Myślałem, że gdy się tutaj pojawię, to coś się zmieni. W mózgu uruchomi się jakaś nieużywana klepka. Ale nic takiego się nie stało. W dodatku odnoszę coraz silniejsze wrażenie, że ten mężczyzna w kombinezonie jest wyłącznie wytworem mojej wyobraźni.

Kawęcki spojrzał na niego. Miał wrażenie, że Możejko grzęźnie we własnym ciele, nie mogąc pogodzić się z ułomnością swojego umysłu. Dobrze znał to uczucie. Aż za dobrze. Przerabiał je codziennie.

– Jesteś pewien, że szukamy wielkiego faceta? – zapytał Możejko, a Kawęcki kiwnął głową. – Kto mógłby zapamiętać olbrzyma?

– Ktoś bardzo niski. Zakompleksiony.

– Albo ktoś równie wysoki jak on. Przyzwyczajony do patrzenia na ludzi z góry.

Kawęcki spojrzał na kilkucentymetrowy słupek popiołu i zaczął się rozglądać za popielniczką. Zlokalizował pustą doniczkę samotnie stojącą na parapecie. Idealnie się nadawała. Miał się po nią schylić, kiedy nagle coś sobie przypomniał. Odwrócił się do Możejki.

– Znam kogoś takiego – powiedział i wycelował palcem w okno.

Przeszli do sąsiedniego budynku. Wdrapali się na ostatnie piętro i zapukali do drzwi mieszkania, które znajdowało się na wysokości lokalu wynajmowanego przez Bułęcką. Otworzył im niewysoki mężczyzna w wytartym szarym dresie, z rękoma umazanymi farbą. Głośno przełknął ślinę, gdy zobaczył Kawęckiego.

– Chcemy porozmawiać z twoim bratem – powiedział komisarz.

– Mój brat...

– Pamiętam, że nie jest zbyt wylewny – wtrącił się Kawęcki. – Ale to ważne. A jeśli mnie pamięć nie myli, wasze zawiasy jeszcze się nie skończyły.

– Nie ma go. Jest w pracy.

– Założę się, że nie ma takiej pracy, z której nie mógłby się wyrwać.

Mężczyzna niechętnie wpuścił Kawęckiego i Możejkę do mieszkania. Posadził ich w dużym pokoju, przed telewizorem wypluwającym jakiś durny serial w formule scripted docu, a sam wrócił do zagraconego przedpokoju, w którym malował rower. Nie trzeba było być geniuszem, aby się domyślić, że sprzęt nie należał do niego.

Bracia Ryszard i Tadeusz Szalpurowie byli urodzonymi złodziejami, którzy w życiu nauczyli się jedynie jako tako kraść. Nie potrafili nawet sprzedawać zrabowanych rzeczy, przez co ich mieszkanie przypominało jedną wielką rupieciarnię. Ze zgromadzonych przez nich gratów MacGyver mógłby skonstruować łódź podwodną, statek kosmiczny i cholera wie co jeszcze. Ale żaden z Szalpurowów nie był MacGyverem. Ani nawet Bobem Budowniczym.

Tadeusz Szalpurow pojawił się w mieszkaniu zaledwie pięć minut po telefonie od brata, więc czymkolwiek się zajmował, nie mogło to być szczególnie absorbujące. A tym bardziej legalne. Był od brata wyższy o

głowę. Miał też wyraźnie chudsza twarz i większe zakola. Mimo to nie mógłby się wyprzeć pokrewieństwa. Na jego gębie była wypisana ta sama mieszanka zaciętości, nieufności i niechęci. W dodatku swoje patykowate ciało upchnął w identyczny strój: brudny szary dres i podrobione białe adidas.

– Czego chcecie? – zapytał Ryszard.

– Czy przypominacie sobie, żeby jakiś wielki facet, może nawet równie wysoki jak ty – Kawęcki wycelował palcem w Tadeusza – kręcił się po okolicy?

Bracia zamyślili się na chwilę. Starszy podrapał się po twarzy i pokręcił głową.

– Mogliście go widzieć na podwórku albo klatce schodowej. Mógł być ubrany w strój budowlańca, kominiarza albo kuriera. Całkiem możliwe, że zachowywał się dziwnie. Tak jakby nie chciał, żeby ktoś zapamiętał jego twarz.

– Nie – powiedział Ryszard.

– A ty?

Tadeusz popatrzył na brata, jakby wolał, żeby odpowiedział za niego. Speszony opuścił głowę.

– Tak – prawie wyszeptał. – Widziałem.

Kawęcki pochylił się w stronę młodszego z braci.

– Jak wyglądał?

– Był wyższy ode mnie.

– Dużo wyższy?

Chłopak pokręcił głową.

– Tylko trochę. – Szalpak pokazał różnicę palcami.

– Był gruby czy chudy?

- Trudno powiedzieć.
- A jak wyglądała jego twarz?

Tadeusz wzruszył ramionami. Zachowywał się jak klasowy przygłup wywołany do tablicy. Kawęckiemu kojarzył się z Lenniem Smallem, upośledzonym umysłowo wielkoludem z *Myszy i ludzi* Steinbecka.

- Miał brodę?

Szalpuk pokiwał głową.

– Kilkudniową i zadbaną jak on? – Kawęcki wycelował palcem w Mozejkę, który odruchowo obmacał szczękę. – Czy jak drwal?

- Jak drwal.

- Jakiego koloru?

- Czarnego.

- A włosy? Jaką miał fryzurę?

- Zwyczajną. Był ostrzyżony na jeża.

– Zapamiętałeś coś jeszcze? Jakies znaki szczególne? Miał blizny na twarzy? Albo pryszcze? Może pamiętasz kolor jego oczu?

Młodszy z braci kręcił głową, patrząc na Kawęckiego wzrokiem zbitego psa. Policjant ciężko sapnął. Miał ochotę zdzielić chłopaka w twarz. W jego durny, płochliwy ryj. Wątpił jednak, żeby mogło to cokolwiek zmienić.

- A w co był ubrany?

Szalpuk wstydliwie spuścił głowę.

- W sukienkę.

- W sukienkę? – zdziwił się Kawęcki. – Jak wyglądała ta sukienka?

– O co tu, kurwa, chodzi? – zdenerwował się starszy z braci. – Szukacie jakiegoś transwestyty?

– Zamknij się – warknął Kawęcki, mierząc go wzrokiem. – Jak wyglądała ta sukienka?

– Normalnie. Była czarna.

– Nie zdziwiło cię, że spotkałeś faceta w sukience?

– Nie – odparł młodszy z Szalpoków.

– Dlaczego?

Tadeusz znów zerknął na brata, ale za całą odpowiedź otrzymał jedynie wzruszenie ramionami. Ponownie skupił wzrok na Kawęckim i zaczął poruszać ustami jak ryba. Za którymś razem w końcu wydobył się z nich dźwięk.

– Bo to był ksiądz – powiedział. – A ksiądz zawsze chodzi w czarnej sukience.

Bartosz Adamski dbał o wygląd. Uważał, że to niepisany obowiązek każdego człowieka pragnącego coś w życiu osiągnąć. Bez względu na to, czy pracuje jako menedżer w korporacji, prowadzi małą firmę czy tłucze się w klatce za pieniądze. A już z całą pewnością jest to przymus syna, który marzy o tym, aby przerosnąć ojca, szanowanego oficera policji.

Popatrzył w lustro. Ujrzał w nim szczupłego, wysportowanego mężczyznę średniego wzrostu, z zaczesanymi na bok jasnymi włosami, wciśniętego w obcisły poliestrowy dres. Rozciągał się przed treningiem, gapiąc się na swoje ciało. Analizował swój wizerunek. Zastanawiał się, w jaki sposób ludzie będą go odbierać. Sąsiedzi, których spotka podczas biegu. Anonimowi przechodnie mijani na chodniku. Przypadkowi kierowcy przyglądający mu się zza szyb. Chciał wyglądać na osobę, która ma nad wszystkim kontrolę. Na faceta z planem.

Wyszedł z mieszkania. Przed klatką schodową zatrzymał się, żeby uruchomić aplikację biegową i włożyć słuchawki do uszu. Wu-Tang Clan. Hardcorowy rap ze wschodniego wybrzeża. Idealny na dziesięciokilometrowy dystans, który w szczycie formy pokonywał poniżej czterdziestu minut.

Miał swoją stałą trasę. Startował spod przypominającej waginę fontanny na placu Dąbrowskiego. Przebiegał obok Teatru Wielkiego, pod potężnym łącznikiem spajającym dwa budynki. Potem zaliczał serię parków: Helenów, Ocalałych, Szarych Szeregów. Okręzał otoczony potężnym ceglany murem cmentarz żydowski i zawracał. Biegł tak szybko, że już w połowie dystansu płuca i nogi zaczynały mu płonąć. W trzech czwartych nabierał przekonania, że po kolejnym metrze jego ciało eksploduje. W końcu prawie mdlał ze zmęczenia. Ale zawsze dobiegał do końca.

Tym razem miało jednak być inaczej.

Na wysokości betonowej waginy wyszedł mu naprzeciw mężczyzna. Uśmiechał się do niego. Tak jak pozwalała mu na to dziwaczna twarz z nienaturalnie wysuniętą szczęką. Kogoś Adamskiemu przypominał. Kogoś, kogo widywał w filmach.

Policjant się zatrzymał. Widząc poruszające się usta mężczyzny, wyciągnął z uszu słuchawki.

– Słucham?

– Pytałem, czy w tym wdzianku nie pocą ci się jaja.

Facet wskazał palcem obcisłe spodnie Adamskiego. Następnie kiwnął głową w stronę stojącego obok samochodu.

– Zapraszam do środka. Odsapniesz, dasz pooddychać kulom i pobiegiesz dalej.

Adamski spojrział na czarne bmw z przyciemnianymi szybami. Za kierownicą siedział wytatuowany łysy gbur, napakowany jak autobus do Lichenia. Przyglądał się im, jakby zamierzał ich przejechać. Albo poźreć.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał policjant.

– Gdybym nie wiedział, tobym cię nie zaczepił.

Mężczyzna wyciągnął w kierunku Adamskiego paczkę gum. Zielone orbitki. Jego ulubione. Policjant przyjrzał się uważnie rozbawionej gębie człowieka z odstającą brodą, a potem bez słowa za nim poszedł. Facet otworzył mu tylne drzwi. Adamski pochylił się i zajrzał do środka. Zobaczył podstarzałego mężczyznę ze zniszczoną twarzą i ostrzyżoną na jeża głową, uśmiechającego się do niego jak do starego przyjaciela, którego dawno nie widział. Ciężko westchnął. Rozejrzał się i wsiadł do samochodu.

– Roman Basznikow.

Mężczyzna wyciągnął w jego kierunku dłoń, ale Adamski nie zamierzał jej uścisnąć.

– Czego chcesz?

Roman uśmiechnął się jeszcze szerzej. Ale tylko za pomocą mięśni twarzy. W jego oczach krył się chłód.

– Nie jesteś fanem small talku, co?

– Po prostu nie przepadam za gangsterami – odparł Adamski, przyglądając się przez szybę krzątającym się na placu Dąbrowskiego skejtom, bardziej skupionym na smartfonach niż na deskorolkach.

– Nie ściągnąłem cię do mojego samochodu jako gangster, tylko jako przedsiębiorca. Rozmawiasz z facetem, który chce ubić z tobą interes. Zawrzeć pewien układ.

Adamski pokręcił głową.

– Podjąłeś trud, żeby mnie poznać. Skoro odkryłeś, któredy biegam i jaką lubię gumę do żucia, powinienesz też wiedzieć, że nie układam się z gangusami. Cokolwiek mi zaproponujesz, odmówię. – Spojrzał na Romana. – Lepiej się zastanów, czy na pewno chcesz mi złożyć ofertę.

Roman odwrócił się do policjanta całym sobą i położył na oparciu okaleczoną rękę. Adamski powiódł za nią wzrokiem.

– Mogę ci pomóc w schwytaniu tego świra – powiedział gangster. – Zabójcy kobiet.

– Nie wiem, o kim mówisz.

– Wiesz, nawet jeżeli nie chcesz się do tego przyznać przed samym sobą. – Roman cofnął rękę, widząc, że Adamski nie może od niej oderwać wzroku. Jak każdy, kto widzi ją po raz pierwszy. – Mam na myśli człowieka, który najpierw poćwiartował studentkę, a potem przepołowił jedną z twoich koleżanek. Wielkoluda z małymi stópkami.

Adamski pociągnął nosem i nieznacznie rozchylił usta. Jeżeli nie chciał dać po sobie poznać, że zaskoczyła go wiedza gangstera, to nie wyszło mu to najlepiej.

– Nie potrzebuję twojej pomocy.

– Albo tylko tak ci się wydaje.

Adamski mocniej ścisnął słuchawki w dłoni.

– Co o nim wiesz? – zapytał.

Roman znów się uśmiechnął. Wyprostował się na kanapie. Wyciągnął z kieszeni etui i włożył okulary.

– Mogę ci pomóc – powiedział, zapisując coś na kartce – ale moja pomoc ma konkretną cenę.

– W takim razie nie mamy o czym rozmawiać.

– W tej chwili rzeczywiście nie ma takiej potrzeby. Ale pamiętaj, że czasem ludzie mojego pokroju mogą zrobić więcej niż psy, którym uwiera kaganiec. Zastanów się nad moją ofertą. A potem zadzwoń na ten numer.

Roman podał Adamskiemu kartkę, a następnie kiwnął ręką. Po chwili mężczyzna, który przypominał jedną z gwiazd Hollywood, otworzył drzwi.

– Dlaczego to robisz? – spytał policjant.

– Bo za jakiś czas możesz dojść do błędnego wniosku, że miałem coś wspólnego z tymi zabójstwami. Nie chciałbym, żebyś wtedy na mnie usiadł. Nie dlatego, że się ciebie boję. Po prostu wiem, że ludzie twojego formatu bywają strasznie upierdliwi. – Roman schował okulary do etui i głośno westchnął. – Poza tym jest takie powiedzenie, które często słyszałem w Gruzji: wróg mojego wroga jest moim przyjacielem.

Adamski spojrzał na numer telefonu.

– W Polsce też je znamy. Ale nigdy nie byłem jego fanem.

Zgniół kartkę i cisnął ją pod nogi. Włożył do uszu słuchawki i wysiadł z auta. Rzucił okiem na nasłoneczniony plac, który zaczynał się zapełniać licealistami i studentami, a następnie maksymalnie podkręcił głośność słuchawek. Przy dźwiękach *C.R.E.A.M.* popędził przed siebie. Chciał zrealizować swój plan. Zniszczyć się na dziesięciu kilometrach. Nawet jeśli wiedział, że przez sekundę nie zdoła się wyluzować.

Alicja Mioduszevska energicznie kręciła kierownicą, próbując zmieścić swojego opla między dwoma stojącymi wzdłuż ulicy kombi. Dzielił je niewielki odstęp. Zdecydowanie zbyt mały, żeby zaparkować równolegle, nie posyłając przy tym wiązanki wulgaryzmów.

– Wyszłam z wprawy – powiedziała, czując na sobie drwiące spojrzenie Kawęckiego. – Nie jeżdżę samochodem na co dzień. Wolę taksówki i komunikację miejską.

– Przecież nic nie mówię.

– Ale myślisz. I od razu stereotypizujesz. Jak każdy samiec na widok kobiety za kółkiem. Zamiast tego mógłbyś wysiąść i sprawdzić, jak daleko mogę się jeszcze cofnąć.

Kawęcki przez moment zastanawiał się nad jej sugestią. Ale potem wzruszył ramionami i zaczął przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu papierosów. W efekcie zaparkowali tak, że właściciel stojącego przed nimi samochodu musiałby podczas wyjazdu wypchnąć opla albo staranować latarnię, żeby się stamtąd wydostać. Alicja wyszła jednak z założenia, że odjedzie, zanim ten człowiek pofatyguje się do auta. Przypuszczała, że spotkanie, na które byli umówieni, błyskawicznie się zakończy. Nie wyobrażała sobie, żeby rozmowa na taki temat mogła trwać dłużej niż kwadrans.

– Dlaczego chciałeś, żebym pojechała z tobą zamiast Możejki? – zapytała Kawęckiego, gdy wysiedli z auta. – Wyszedłeś z założenia, że złagodzę obyczaje? Sprawię, że ta kobieta otworzy się przed nami?

– Niepotrzebnie dorabiasz do tego ideologię – powiedział komisarz.
– Możejki po prostu nie lubię. Ciebie jeszcze nie zdążyłem znieubić.

Alicja parsknęła śmiechem.

– To by oznaczało, że w momencie poznania traktujesz ludzi neutralnie. A mogę się założyć o wszystkie pieniądze świata, że ich nie znosisz.

– Nie będę się z tobą zakładać. O żadne pieniądze.

Zatrzymali się przed niskim blokiem na ulicy Wierzbowej. Alicja pomyślała sobie, że musi się w nim bardzo przyjemnie mieszkać. W zadbanym budynku w centrum miasta, z widokiem na park Staszica, we względnie spokojnej okolicy. Ale raczej nie komuś, kto ma głęboko w dupie wszystkie dobrodziejstwa codzienności. Nie kobiecie, do której przyjechali.

Nazywała się Zofia Wolańska. Jedenaście lat temu straciła córkę. Policja znalazła ciało dziewiętnastoletniej Katarzyny Wolańskiej w Lesie Łagiewnickim. Było zmasakrowane kilkudziesięcioma ciosami zadanyymi ostrym narzędziem. Funkcjonariusze szybko uznali, że za zabójstwem stoi jej chłopak – Rafał Turski. Nie mogli go jednak o to zapytać, ponieważ popełnił samobójstwo, wieszając się w mieszkaniu swojej babci.

Alicja nie wyobrażała sobie, żeby osoba, która w takich okolicznościach straciła dziecko, mogła kiedykolwiek odzyskać radość życia. Ale gdy weszli na górę, w progu mieszkania przywitała ich rozweselona kobieta. Zofia Wolańska miała wybielone zęby, mocny makijaż i praktycznie nieruchome czoło, na które opadała krótka ciemnobrązowa grzywka. Nosila podarte dżinsy i czarny T-shirt, który obnażał jej pokryte tatuażami ramiona. Była zadziwiająco chuda. I zdecydowanie nie wyglądała na swoje pięćdziesiąt trzy lata.

Zanim Kawęcki i Mioduszevska zdążyli się przedstawić, kobieta serdecznie uścisnęła ich dłonie i zapytała, czy czegoś się napiją. Kategoriecznie zabroniła im zdejmować buty, a potem zaprowadziła ich do salonu. Chwilę później zniknęła w kuchni, żeby zrobić kawę.

– Nie przesadza z entuzjazmem? – wyszeptała Alicja do Kawęckiego.

– Obstawiam, że przesadza z czymś innym.

Wolańska wróciła do nich po mniej więcej dwóch minutach – z elegancką tacą, na której przyniosła dwie filiżanki kawy, cukiernicę oraz dzbanuszek mleka. Postawiła ją na szklanym stoliku i usiadła na sofie. Goście zajęli dwa skórzane fotele. Mieli z nich widok na balkon oraz na nowoczesny barek, który wydawał się żywcem wyjęty z jakiegoś luksusowego apartamentu. Oraz na kobietę, która najwyraźniej zapomniała, że zamordowano jej córkę.

– Dlaczego zgodziła się pani z nami rozmawiać? – zapytał Kawęcki.

Wolańska zaśmiała się nerwowo, wprawiając w drżenie swoje niepokojąco chude ciało. Upłynęło sporo czasu, nim się opanowała.

– To takie dziwne, że się zgodziłam? – zapytała, nie ściągając do końca uśmiechu z twarzy. – To było jedenaście lat temu. Swoje już wycierpiałam. Po kilku latach mordęgi zaczęłam pracować nad tym, by zostawić przeszłość za sobą. By nie tyle o niej zapomnieć, ile nauczyć się z nią żyć. Zaakceptować fakt, że nie miałam żadnego wpływu na to, co się wydarzyło. I że już nic nie da się z tym zrobić. Sporo mnie to kosztowało. Przede wszystkim małżeństwo i ponad sto tysięcy złotych, które wydałam na operacje.

Wolańska ponownie ryknęła śmiechem, ukazując rząd świetnie zrobionych zębów. Alicja odpowiedziała jej nieco zdezorientowanym, skromnym uśmiechem. Kawęcki był mniej dyplomatyczny. Gapił się na Wolańską jak na wariatkę.

– Domyśla się pani, dlaczego odezwaliliśmy się po tylu latach?

Wolańska wzruszyła ramionami.

– Mam nadzieję, że w końcu doszłicie do wniosku, że Rafał nie zabił Kasi.

– Nie?

– A skąd! – Kobieta machnęła ręką, jakby odpędzała muchę. – Od początku mówiłam, że to niemożliwe, ale nikt nie chciał mnie słuchać. On za bardzo kochał Kasię, żeby zrobić jej coś takiego. Fakt, bywał porywczy, ale nie był potworem. Zresztą to, że po wszystkim skończył ze sobą, najlepiej świadczy, że to nie mógł być on.

– Policjanci znaleźli w jego mieszkaniu zdjęcie zwłok pani córki.

– Ktoś mu je podrzucił. Pewnie ten sam człowiek, przez którego się powiesił.

– Kasia i Rafał pokłócili się dzień przed zabójstwem. Kilka osób zeznało, że widziało, jak ją popchnął.

– Tak jak mówiłam, to był temperamentny chłopak. Ale nie sądzę, żeby był w stanie ją uderzyć. A co dopiero zabić!

– Podobno pokłócili się o to, że pani córka chciała zostać na studia w Łodzi, podczas gdy on zamierzał wyjechać.

– Podobno... podobno Kopernik nie żyje. – Wolańska pokręciła głową. – Rozmawiałam o tym z Kasią kilka dni przed jej śmiercią. Sama do mnie przyszła. Powiedziała, że prawdopodobnie wyjedzie z Łodzi na studia. Oboje myśleli o Warszawie. O Szkole Głównej Handlowej. Wysoko mierzyli.

– O co w takim razie mogli się pokłócić?

– A o co pana zdaniem najczęściej kłócą się młodzi ludzie?

– Nie mam pojęcia. Zapomniałem już, jak to jest być młodym.

– To niech pan sobie przypomni.

Wolańska uśmiechnęła się do Kawęckiego, ale tym razem inaczej. Kwaśno. Jakby chciała uśpić jego czujność, by za moment splunąć mu w gębę jadem. Przez kilka sekund milczała, po czym zmieniła temat. A

potem jeszcze raz. I ponownie. Zaczęła od pogody, która miała się niebawem poprawić, następnie błyskawicznie przeszła do niedającej jej wytchnienia pracy w korporacji finansowej, by za moment przeskoczyć do polityki i krytyki działań rządu. Skupiła się na Alicji, która wpatrywała się w nią jak zauroczona, nieustannie notując coś w zeszycie. Kawęcki skorzystał z okazji i wyszedł do łazienki.

Staął przed lustrem. Z tylnej kieszeni wyciągnął stumililitrową butelkę wódki. Opróżnił ją jednym haustem. Następnie nabrał wody w dłoń i popił kranówką. Przez kilka sekund przyglądał się swojej pokancerowanej twarzy. Potem otworzył szafkę nad lustrem. Obok kubka z przyborami dentystycznymi, płynu do demakijażu i kilku rodzajów podkładów znajdowały się w niej trzy opakowania leków. Xanax, tramal i melatonina. Dieta szczęśliwej kobiety, pomyślał Kawęcki.

Kiedy wrócił do pokoju, Wolańska wciąż nawijała o polityce. Kawęcki kilka razy próbował jej wejść w słowo i sprowadzić ją na właściwe tory, ale była zbyt nakręcona. O cokolwiek ją zapytał, potrafiła znaleźć sposób, aby nawiązać do Czarnego Protestu, zamieszania wokół Trybunału Konstytucyjnego albo Antoniego Macierewicza i jego przydupasów. Widząc, jak zapala się do każdego politycznego tematu, Kawęcki miał wrażenie, że Wolańska za chwilę eksploduje. Postanowił jej tego oszczędzić.

– Chętnie byśmy z panią podyskutowali, ale musimy już iść – powiedział i nie czekając na niczyją reakcję, podniósł się z fotela.

Wolańska potrzebowała paru sekund, żeby wyhamować swój słowotok. I kilku następnych, żeby przetrwać to, co właśnie usłyszała.

– Szkoda – powiedziała. – Dobrze się z państwem rozmawia.

Odprowadziła ich do przedpokoju. Kiedy przestała się pieklić i opowiadać o polityce, na jej twarz powrócił uśmiech. Ten sam, którym ich przywitała. Niepokojąco entuzjastyczny.

– Kiedy pani zrobiła ten tatuaż? – zapytała Alicja, celując w prawe ramię Wolańskiej.

– Rok po śmierci Kasi. W dniu jej urodzin.

– To smok, prawda?

Wolańska kiwnęła głową. Ucieszona okazanym jej zainteresowaniem, naprężyła żyłasty biceps.

– Chciałam znaleźć tego skurwysyna i zatłuc go gołymi rękoma. Smok miał mi w tym pomóc. Chciałam, żeby był moim patronem.

– Szukała pani sprawcy na własną rękę?

Wolańska nagle sposepniała. Bezradnie rozłożyła ręce.

– Próbowałam. Ale po paru latach się poddałam. Okazało się, że nie jestem najlepszym detektywem. Że czasem chorobliwa determinacja nie wystarczy.

– Zachowała pani jakieś notatki?

– Całe pudło. Chcecie na nie rzucić okiem?

Alicja odwróciła się do Kawęckiego, który stał przy drzwiach, z dłonią na klamce. Uśmiechnęła się. Jak uczeń, który właśnie ograł mistrza.

Sierpień

– Słyszał pan o firmie Herkules? Albo o człowieku, na którego mówią Procent?

Witold spojrział na Filipskiego, jakby ten właśnie zrobił wstęp do dowcipu, którego nikt poza nim nie miał prawa zrozumieć. Ale z jego ponurej, urzędniczej twarzy wyczytał, że to nie jest żart.

– A powinienem? – zapytał.

– To zależy.

Filipski wymienił się spojrzeniami ze Stelmach, po czym osunął się na oparcie krzesła, oddając jej głos.

– Zanim Martyna Bułęcka została zamordowana, rozpracowywał pan z komisarzem Kawęckim grupy, które wymuszały haracze. Jak długo to trwało?

Witold się zamyślił.

– Dwa lata. Robiłem przerwy na inne sprawy i musiałem jednocześnie koordynować działania kilku zespołów, ale możemy przyjąć, że trwało to około dwóch lat.

– Jak wyglądała wasza praca?

– Monotonnie. – Witold zmusił się do uśmiechu. – Prawdę mówiąc, była nudna jak psia dupa.

– Może pan o tym opowiedzieć?

Witold zapatrzył się w swoje wielkie, pokryte odciskami dłonie, jakby wyrył na nich ściągę.

– Większość czasu spędzaliśmy w samochodzie. Najczęściej całymi dniami przesiadywaliśmy pod spożywczakami, bazarami albo komisami meblowymi, czekając, aż jakiś zbir pofatyguje się do nich po haracz. Albo jeździliśmy od sklepu do sklepu, żeby rozmawiać z przedsiębiorcami. – Uśmiechnął się pod nosem. – Nigdy byście nie uwierzyli, ilu z tych gości, najzwyczajszych w świecie Januszy biznesu, sądziło, że mogą być przedsiębiorcami formatu Billa Gatesa albo chociaż Zygmunta Solorza. Że sprzedając te swoje badziewia, zostaliby multimilionerami. Oczywiście gdyby nie nachodzili ich bandyci, którzy zabierali kasę. Ciągle się zastanawiam, czy ktoś im nawkładał te głupoty do głowy, czy sami na to wpadli.

– Skąd wiedzieliście, gdzie ich szukać? – zapytała Stelmach. – Mam na myśli przedsiębiorców, od których wymuszano haracze.

– Ze zgłoszeń, które do nas spływały. Z rozmów z ludźmi. Od czasu do czasu ktoś nam podrzucał cynk.

– Panu czy Kawęckiemu?

– To w ogóle nie zdarzało się często. Ale częściej Kawęckiemu niż mnie.

– Nie dziwiło to pana?

– Prawdę mówiąc, nie miałem czasu się dziwić. Tomek w ostatnich latach rzadko bywał w formie. Czasem sporo czasu zajmowało mi zlokalizowanie go, a potem doprowadzenie do stanu używalności. Albo

przekonanie, że to, co robimy, ma jakikolwiek sens. Większy niż zapijanie się na śmierć.

Witold pochylił się przed siebie. Westchnął.

– Wie pani, na czym polega paradoks pracy policjantów takich jak my? Że kiedy nie dzieje się nic spektakularnego, umieramy z nudów. Dni nam się zlewają. Całe nasze życie staje się bezsmakową papką. Mamy ochotę rzucić to wszystko w cholerę i wyjechać.

– W Bieszczady – rzucił Filipowski, bezskutecznie próbując rozweselić Witolda.

– Mogą być Bieszczady. Byleby zaszyć się na jakimś zadupiu i trzymać się z dala od pracy. Z dala od bezsensownego ślęczenia w samochodzie, żarcia fast foodów, pisania bezwartościowych raportów czy rozmawiania z ludźmi, którzy nie mają nic do powiedzenia. Żeby choć na chwilę przestać gonić za targetami. Choć wykonujemy służbę publiczną, mamy wrażenie, że jesteśmy zwyczajnymi korposzczurami. Trybikami w wielkiej, bezdusznej maszynie, której nie rozumiemy. Która funkcjonuje wbrew jakiegokolwiek logice, a mimo to jest skazana, żeby ciągle działać. Bez względu na wszystko. Dlatego każdy z nas marzy, żeby się coś wydarzyło. Coś, w czym będzie można się zatopić. Coś pochłaniającego. Ale gdy w końcu coś zaczyna się dziać, gdy pojawia się taka sprawa jak Bułeckiej... – Witold przygryzł wargi. – Wtedy nie masz ochoty jechać w Bieszczady. Prawdę mówiąc... – zawahał się – chcesz ze sobą skończyć. Nie widzisz sensu, żeby dalej żyć w takim świecie. Czujesz się podle, wiedząc, że należysz do tak chujowego gatunku. Najgłupszego ze wszystkich. Jedyne, który wybija się dla zabawy.

Witold zamilkł. Podwinął rękawy koszuli, choć nie miało to już większego znaczenia, ponieważ cały spływał potem.

– Mogę tu zajarać? – zapytał, rozglądając się po pomieszczeniu, jakby się spodziewał, że gdzieś może wisieć zakaz.

Policjanci pokiwali głowami. Witold zapalił, wypuścił do góry dym i podrapał się po pomarszczonym czole. Nieoczekiwanie się roześmiał.

– Założę się, że Kawęcki nie pytał was o zgodę – powiedział, przyglądając się obojgu policjantom. – O co chodzi z tym Herkulesem?

Filipski poprawił okulary, które zjeżdżały z jego nosa jak ze skoczni, położył dłonie na stole i splótł palce.

– Herkules to firma ochroniarska. Świadczy usługi dla przedsiębiorstw. Między innymi dla firm, od których gangsterzy przez lata wymuszali haracze. Do momentu, aż dwaj dzielni policjanci bohatercko je wyzwolili. – Filipski uśmiechnął się chytrze. – A Procent to były mokotowski gangster, który pracuje dla właściciela Herkulesa. Prawdopodobnie pomaga mu w „pozyskiwaniu nowych klientów”. – Policjant uformował z palców cudzysłów. – Kawęcki dobrze go zna. Posiadamy zdjęcia, na których widać, jak przekazuje mu jakieś papiery.

Wygrzebał z leżących przed nim dokumentów jedną z fotografii i podał ją Witoldowi.

– Mamy podstawy sądzić, że Kawęcki współpracuje z zorganizowaną grupą przestępczą – oznajmiła Stelmach.

– A jeżeli to, o co go podejrzewamy, okaże się prawdą, trafi za kratki. Na wiele lat – dodał Filipski. – Podobnie jak pan, jeśli się dowiemy, że mu w tym pomagał.

Witold popatrzył na zdjęcie. Potem odłożył je na stół, sięgnął po kubek i zgasił w nim papierosa. Zrobił to z taką siłą, jakby próbował

wywiercić dziurę. Odstawił naczynie na miejsce i rzucił policjantom drwiące spojrzenie.

– Czy to naprawdę jest wasze największe zmartwienie?

Trzy miesiące wcześniej

Witold zaparkował na szutrowej łacie, usytuowanej pomiędzy chodnikiem a ogrodzeniem oddzielającym park Sienkiewicza od ulicy Kilińskiego. Wyłączył silnik, zaciągnął hamulec ręczny i wysiadł z samochodu. Spojrzał na niski budynek, w którym najlepiej zachowały się pokrywające go bazgroły. Powybijane okna były przesłonięte kawałkami dykty, wyginającymi się pod naciskiem wiatru. Papa odkleiła się od dachu, odsłaniając drewniane belki. Wzdłuż frontowej ściany leżały kawałki cegieł i tynku. Budynek wyglądał tak, jakby całe miasto wyładowało na nim swój gniew.

Witoldowi trudno było uwierzyć, że kiedyś ta rudera mogła być czyimś domem. I że dla niektórych nadal nim jest.

Spojrzał na esemesa od Kawęckiego, aby się upewnić, że nie pomylił adresu. Począł, aż przejedzie tramwaj, i przeszedł na drugą stronę jezdni. Wcisnął się między ruderę a ścianę sąsiadującej z nią kamienicy i dostał się na podwórko. Na porośniętym chwastami placu stały dwa zdezelowane samochody: jeden na ceglach, drugi ze sflaczałymi oponami, oba odrapane i rozbite. Obok nich pionowo sterczała taczka, która prawdopodobnie służyła do wywożenia z podwórka gruzu. Nad placem górował blok z kolorowymi balkonami. Jego mieszkańcy musieli patrzeć na całe to dziadostwo, kiedy wieszali pranie albo wychodzili zapalić.

Witold wzdrygnął się, gdy usłyszał za plecami szczekanie. Odwrócił się i ujrzał brązowego kundla. Pies przyglądał mu się wzrokiem stworzenia, które już wszystko widziało i najwyraźniej nie jest tym zachwycone. Ale to nie on szczekał, tylko mężczyzna siedzący na niskich betonowych schodach prowadzących do zniszczonego budynku. Miał mocno przerzedzone uzębienie i ogoloną na łyso głowę. Popijał jakiś kolorowy płyn z pięciolitrowego baniaka. Witold wolał nie wiedzieć, co w nim jest. Ani czy ten chory człowiek w pojedynkę rozpracował większość baniaka.

Wszedł do budynku, ostrożnie omijając wściekle ujadającego faceta. Kiedy tylko przekroczył próg, uderzył w niego smród moczu, kału i niemytego ciała. Dał sobie chwilę, żeby się do niego przyzwyczaić. Nie chciał zwymiotować w nieodpowiednim momencie.

Minął przedsionek, który musiał pełnić funkcję toalety, i wszedł do przedpokoju. Prowadziły z niego wejścia do trzech innych, jednakowo zdewastowanych pomieszczeń. Wszędzie wałały się śmieci. Zamiast dywanu betonową posadzkę pokrywało tłuczone szkło, a za ozdoby służyły zużyte strzykawki, plastikowe butelki oraz papierki po chipsach i batonach. W narożnikach pokoi znajdowały się sterty koców, pierzyn, szmat i ubrań. Na większości z nich leżeli ludzie.

Witold pospiesznie przeszedł się po budynku. Policzył, że znajduje się w nim około trzydziestu osób. Mimo to w środku panował niemal niewzruszony spokój, mącony tylko regularnymi chrapnięciami. Jedynym człowiekiem, który nie spał, był przeraźliwie blady chłopak, kucający na środku jednego z pokojów. Obejmując patykowate nogi, bujał się w przód i w tył, jakby cierpiał na chorobę sierocą. Tyle że to nie była choroba sieroca. Choć przykrywał go koc, a przynajmniej coś,

co kiedyś nim było, telepał się z zimna. Patrzył przed siebie mętym wzrokiem.

– Znasz tę dziewczynę? – zapytał Witold, podsuwając mu zdjęcie pod nos.

Chłopak ze sporym opóźnieniem pokiwał głową. Potem niespodziewanie się uśmiechnął. Jego zęby wyglądały tak, jakby wpakował do ust tabliczkę czekolady i nie zdążył jej porządnie przeżuć.

– Wiesz, gdzie ją znajdę?

Chłopak znów kiwnął głową. Na moment przestał się bujać. Ale nie przestał się uśmiechać. Ani telepać.

– Gdzie?

Tym razem tylko wzruszył ramionami.

Witold miał ochotę go uderzyć, ale obawiał się, że jeśli przesadzi z siłą, wyświadczy mu przysługę, a siebie wpakuje do pierdła. Zamiast tego wydobył z kieszeni portfel. Wyciągnął z niego dwudziestozłotowy banknot i położył go przed chłopakiem.

– Gdzie ona jest? – zapytał ponownie.

Chłopak w końcu wyciągnął rękę spod koca i wskazał sąsiednie pomieszczenie.

– Tam. Pod Jezusem.

Witold nie mógł oderwać wzroku od jego ręki. Od wstrętnej purpurowej plamy w zgięciu łokciowym. Przypomniawszy sobie *Requiem dla snu*. Tak wyglądała ręka Jareda Leto na chwilę przed amputacją.

Policjant wszedł do wskazanego przez ćpuna pokoju. Przeciskając się między gromadą bezdomnych, czuł się tak, jakby uczestniczył w identyfikacji zwłok. Otaczali go chudzi i brudni młodzi ludzie, z długimi posklejanymi włosami i twarzami przylegającymi do podłogi.

Mężczyzn od kobiet odróżniały jedynie brody. Podeszedł do ściany, do której był przybity przekrzywiony drewniany krzyż z konającym Chrystusem. Pod nim leżała nieprzytomna kobieta. Ta, po którą przyszedł.

Długo wpatrywał się w zdjęcie, które przedstawiało zupełnie inną istotę. Czystą. Ładną. Szczęśliwą. Niewinną. Zupełnie inną od kobiety z bezładną czarną czupryną, zapadniętymi kośćmi policzkowymi, czerwonymi krostami na twarzy i opuchniętą wargą. Ta, którą zastał w tej rudery, była brudna. Brzydka. Smutna. I winna jak cholera. Przynajmniej za taką uchodziła.

Witold poklepał ją po twarzy, licząc na to, że się ocknie. Ale kobieta nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Nie poruszyła się. Gdyby nie lekko rozdziawione usta, przez które łąpała powietrze, trudno byłoby stwierdzić, że żyje.

Policjant wstał, wyprostował się i rozejrzał wokół. Był jedyną osobą w budynku, która nie siedziała na posadce, nie leżała na stercie szmat albo nie skręcała się z bólu. Ćpun, któremu dał dwadzieścia złotych, bezszelestnie ulotnił się z rudery. Szczekający świr w końcu zamilkł, zapewne znokautowany wyniszczającym samogonem. Witold zrozumiał, że nie ma choćby jednego dobrego powodu, aby zostać w tym miejscu i czekać, aż kobieta odzyska świadomość.

Chwycił ją za bezwładne ręce i przeciągnął jej ciało na środek pokoju. Następnie złapał kobietę w pasie i przełożył sobie przez ramię. Wyniósł ją z budynku niczym worek ziemniaków.

Ewa Zając była mocno zakłopotana. Usiadłszy przy biurku, zaczęła nerwowo przesuwac zeszyty, pliki postrzępionych kartek, zapisanych

uczniowskimi sprawdzianami, a także kubki wypełnione przyborami biurowymi. Opróżniła blat niemal do czysta, jakby za chwilę zamierzała wysypać na niego kopiastrą porcję nowych kłamotów.

Wiedziała, że zachowuje się irracjonalnie. Z pewnością nie w sposób, jakiego oczekuje się od dyrektorki jednej z najlepszych szkół podstawowych w mieście. Wiedziała też, że jest to spowodowane dwiema parami wpatrzonych w nią oczu, uważnie śledzącymi jej bezsensowną krzątaninę. Pierwsza należała do potężnego mężczyzny w garniturze, niecierpliwie stukającego w podłokietnik krzesła. Druga była wciśnięta w głowę filigranowej, złkniętej kobiety, zdającej się być niezbyt wyszukany dodatkami do swojego faceta.

– Cieszę się, że państwo przyszli. Domyślam się, że zwłaszcza panu trudno było wygospodarować czas na spotkanie.

Mężczyzna machnął ręką.

– Dobro córki jest dla nas najważniejsze – powiedział. – Pani telefon poważnie nas zaniepokoił.

Zajac dobrze pamiętała tamtą rozmowę. Szczególnie odgłos sapania, który rozległ się w słuchawce, kiedy wyjaśniła, w jakiej sprawie dzwoni. Wówczas była przekonana, że ojciec Marceliny wściekł się na wieść o tym, że musi się pofatygować do szkoły. Że jakaś baba ośmiela się zaburzyć jego harmonogram dnia. Że w tym cukierkowym życiu, które skrzętnie budował, coś poszło nie tak. Ale najwyraźniej zdążył się z tym pogodzić.

– Rozmawiali państwo z córką?

– Jeszcze nie – wyjaśnił mężczyzna. – Najpierw chcieliśmy się dowiedzieć czegoś więcej.

Zając słyszała to setki razy: „woleliśmy poczekać”, „nie chcieliśmy jej niepotrzebnie stresować”, „nie wiedzieliśmy, jak na to zareaguje”. Wymówki będące wyrazem skrajnej nieodpowiedzialności. Pedagogiczny klasyk. Rodzicielstwo ma to do siebie, że wyzwala w ludziach ich najlepsze cechy, sprawia, że stają na wysokości zadania i biorą na siebie ciężar prowadzenia dziecka przez trudne koleje dzieciństwa. Ale także to, co najgorsze. Miałość. Niezdecydowanie. A najczęściej po prostu strach. Skutkujący nieuzasadnionym i nieuprawnionym dystansowaniem się od obowiązków. Powodujący, że bez większych oporów rzucają te bezwiedne maleńkie istoty na pastwę świata.

– Jedna z nauczycielek podsłuchiwała rozmowę Marceliny z kilkoma kolegami z klasy. Choć właściwie trudno to nazwać rozmową. Chłopcy po prostu dokuczali państwa córce. Moja pracownica nie była w stanie ustalić, z jakiego powodu to robią, ale pewnie miało to związek z jej wyglądem. Marcelina ubrudziła się podczas drugiego śniadania. Miała brązowe plamy na sukience. Prawdopodobnie usiadła na batonie albo na kawałku czekolady. A takie plamy kojarzą się dzieciom jednoznacznie.

Dyrektorka zwykle potrafiła wyczuć, z jakimi rodzicami ma do czynienia. W tym przypadku było to dziecinnie proste. Milcząca kobieta, która nawet pod grubą warstwą makijażu nie potrafiła ukryć zniszczonej papierosami cery, była ledwie imitacją matki. Maleńkim cieniem swojego faceta, magazynującego w pokaźnym ciele całą decyzyjność przeznaczoną dla tej rodziny. Zając nie miała wątpliwości, do kogo powinna się zwracać.

– Marcelina początkowo bardzo spokojnie znosiła przytyki chłopców. Właściwie nienaturalnie spokojnie. Dlatego otoczyli ją i zaczęli wyśmiewać. Z każdą chwilą coraz głośniej, coraz brutalniej. W końcu nie wytrzymała i zaczęła na nich wrzeszczeć. I myślę, że jej odwaga byłaby godna pochwały, gdyby nie określenia, jakich użyła. – Zając zrobiła teatralną pauzę. – Nigdy nie słyszałam takich słów z ust dziecka.

– To już wiemy – zirytował się mężczyzna. – Co dokładnie wykrzykiwała Marcelina?

Uśmiechowane usta dyrektorki falowały nerwowo. Wysunęła szufladę i wyjęła otoczony grubą oprawą notatnik. Otworzyła go na pierwszej stronie, do której przypięta była kartka, i przesunęła na drugą stronę biurka.

– Nie wiem, czy tego typu określenia przeszłyby mi przez gardło.

Mężczyzna odwrócił notatnik w swoją stronę. Pospiesznie zapoznał się z treścią kartki i wymownie westchnął. Dyrektorka sądziła, że przekaże notatnik żonie, ale on tylko położył na nim łapska.

– Jest pani pewna, że to była Marcelina? – zapytał.

– Bez wątplenia. Teraz państwo rozumieją, dlaczego chciałam o tym jak najszybciej porozmawiać.

Rodzice dziewczynki przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Ojciec wpatrywał się w jakiś punkt nad głową dyrektorki, nieustannie sapiąc. Z każdą sekundą coraz ciężiej. Matka wychyliła się na krześle, żeby zerknąć na kartkę. Następnie zakryła dłonią usta. Wyglądała tak, jakby w każdej chwili mogła się rozplakać. Rozlecieć na kawałki. Zniknąć.

– Muszę państwu zadać kilka pytań. Możemy z tym chwilę poczekać, jeżeli nie czują się państwo na siłach.

– Nie – odparł zdecydowanie mężczyzna. – Miejmy to już za sobą.

Dyrektorka czuła, jak jego wściekłe spojrzenie wżera się w jej twarz. Rozumiała go. Sama się wściekała na nauczycieli, kiedy dowiadywała się o występkach swoich synów: o niegroźnych bójkach, szkolnych niepowodzeniach albo alkoholowych wpadkach. I niemożliwie cierpiała, gdy im się przytrafiało coś złego. Nie miała pojęcia, w jaki sposób by zareagowała, gdyby usłyszała o czymś takim.

– Czy słyszeli państwo, aby Marcelina kiedyś używała takich słów?

– Nie, nigdy – odparł ojciec dziewczynki. – Nie wyobrażam sobie, żeby mogła coś takiego powiedzieć w naszej obecności. Ani tym bardziej od nas usłyszeć.

– A skąd może je znać?

Widząc bierność i wycofanie matki, dyrektorka zaczęła się zwracać wyłącznie do ojca.

– Ze szkoły. Od innych uczniów. Dzieci mają w zwyczaju mówić rzeczy, których nie rozumieją, prawda?

– Oczywiście. Tyle że tu nie chodzi o jedno słowo, lecz o cały szereg określeń. Obrzydliwych słów o seksualnym zabarwieniu. Skoro była w stanie je powtórzyć, musiała się z nimi zetknąć przynajmniej parokrotnie. Dlatego trzeba za wszelką cenę ustalić, skąd je zna.

Matka dziewczynki zerknęła ukradkiem na męża, po czym skryła twarz w dłoniach. Od pewnego czasu niemal bezdźwięcznie łkała. Mężczyzna poruszył się nerwowo na krześle. Potarł palcami powieki. Zrobił to tak, jakby próbował wydłubać sobie oczy.

– Czyli według pani usłyszała to od osoby dorosłej – powiedział.

– Obawiam się, że nie ma innej możliwości. Mogło do tego dojść bezpośrednio albo pośrednio, na przykład podczas oglądania filmu dla dorosłych.

– Zainstalowaliśmy w jej komputerze program do kontroli rodzicielskiej, żeby zablokować dostęp do takich treści. Nie ma możliwości, aby Marcelina wyniosła takie słowa z domu.

– A może pani się domyśla, gdzie mogła coś takiego usłyszeć?

Kobieta otworzyła szerzej oczy. Pokręciła głową. Wyglądała tak, jakby miała za moment ulec implozji. Zginąć pod pozbawionym wyrazu swetrem, który przykryła krótką brązową kurtką. W pewnym momencie zaczęła konwulsyjnie drżeć. Nie wytrzymała. Rozryczała się. Widząc to, mąż rzucił jej pogardliwe spojrzenie.

– To jeszcze o niczym nie świadczy – uspokajała ją Zając. – Państwa córka rozwija się harmonijnie. Ma dobre oceny. I choć jest nieco wycofana, utrzymuje normalne relacje z rówieśnikami. Nie ma powodu przypuszczać, że Marcelinie coś grozi albo że przytrafiło się jej coś złego. Musimy tylko ustalić, gdzie mogła usłyszeć te słowa. Wtedy będziemy mieć pewność, że jest bezpieczna.

Dyrektorka miała ochotę objąć kobietę ramieniem. Albo chociaż dotknąć jej ręki. Ale też zdawała sobie sprawę, że to się na nic nie zda, że może jedynie czekać, aż fala rozpaczy minie. O ile minie.

– Czy Marcelina zachowywała się w ostatnim czasie dziwnie? – Zając znów zwróciła się do mężczyzny. – Widzieli państwo w jej zachowaniu jakieś odstępstwa od normy?

– Nie, żadnych. – Ojciec Marceliny odwrócił się w stronę żony. Wymusił na niej, żeby się na chwilę opanowała i zawtórowała mu nerwowym potakiwaniem.

– Nie miała ostatnio problemów ze snem? Z jedzeniem? Może spędzała z państwem mniej czasu niż zazwyczaj?

Mężczyzna na wszystkie pytania dyrektorki odpowiadał wymownymi westchnięciami. Wydawał się jednocześnie zirytowany i znudzony.

– Czy w ostatnim czasie zadawała się ze starszymi dziećmi?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Marcelina woli się bawić sama.

– Może pani o kimś wie?

Kobieta pokręciła głową. Kilka kosmyków popielatych włosów opadło na jej wymizerowaną, nasiąkniętą cierpieniem twarz. Wytarła rękawem zasmarkany nos.

– Czy chcą państwo sami porozmawiać z Marceliną? Jeśli mają państwo z tym problem, może to zrobić jej wychowawczynie. Albo szkolny pedagog. Albo ja.

– Czy pani właśnie próbuje podważyć moje kompetencje wychowawcze? – zapytał mężczyzna.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, sama jestem matką i...

– Jeśli jest pani matką i kocha swoje dziecko, to musi pani wiedzieć, że o czymś takim z Marceliną możemy rozmawiać tylko my. Nikt więcej.

– Większość rodziców czuje się niekomfortowo, mówiąc o takich rzeczach.

– Nie jesteśmy jak większość rodziców. Potrafimy rozmawiać z własną córką. – Mężczyzna poderwał się z krzesła. – Dowiem się, gdzie usłyszała te słowa. Gwarantuję to pani. A jeśli się okaże, że w szkole, dowie się pani o tym pierwsza. Tyle że wtedy nie będę już taki miły.

Szurnął krzesłem i wyszedł z gabinetu. Jego żona, wyraźnie zaskoczona przebiegiem wypadków, uniosła zaczerwienione oczy i zawiesiła umartwione spojrzenie na dyrektorce. Było w nim coś, co w Ewie Zając wzbudziło głębokie współczucie. Wywołało typowo matczyne ukłucie bólu. Przebijające skórę, mostek, a na końcu serce.

– Chciałaby pani porozmawiać o tym na osobności?

Kobieta się zawahała. Ale po chwili zarzuciła torebkę na ramię i pobiegła za mężem.

Syndrom sztokholmski, pomyślała Zając. Ofiara zawsze podąża za oprawcą.

– Myślisz, że coś z tego będzie? – zapytał Kawęcki.

Witold wzruszył ramionami. Spojrzał na siedzącą na końcu łóżka Maję Zielińską, która paliła papierosa i jadła kanapkę. Jednocześnie. Przypominała mu zmaterializowaną, zadziwiająco łapczywą zjawę.

– Skoro zre i pali, to pewnie może także mówić – odparł Witold.

– To jeszcze o niczym nie świadczy. Masz w ogóle pewność, że to ona? Nie widzę dużego podobieństwa. – Kawęcki po raz kolejny zerknął na fotografię.

– Ćpun rozpoznał ją na zdjęciu. Powiedział, że znajdzie ją pod krzyżem.

– Jaki ćpun? I pod jakim, kurwa, krzyżem?

– Nieważne. To ona.

Policjanci bez żadnego skrępowania rozmawiali o Mai Zielińskiej w jej towarzystwie. Traktowali ją jak dzikuskę, która po latach spędzonych w dżungli trafiła do nieznanej sobie cywilizacji. Albo jakby

wybudziła się z wielowiekowej hibernacji. Poczekali, aż zje i wypali papierosa. Kiedy to zrobiła, zbliżyli się do łóżka.

– Jesteśmy z policji. Nazywam się Witold Ptak, a to jest Tomek Kawęcki. Jesteś w jego mieszkaniu. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Zielińska ze sporym opóźnieniem pokiwała głową.

– Chce mi się pić – wychrypiała.

Witold podał jej wodę. Tym razem to ona popatrzyła na niego jak na dzikusa.

– Nie macie nic mocniejszego?

Witold odwrócił się do Kawęckiego. Oczywiście, że miał. Musiał mieć.

Kawęcki wrócił z kuchni z czteropakami piwa. Wyciągnął dwa browary. Pierwszego otworzył i podał Zielińskiej. Drugiego zatrzymał dla siebie.

– Myślałem, że twoją przyjaciółką jest hera – powiedział Witold.

– A kto powiedział, że mogę mieć tylko jedną przyjaciółkę?

Zielińska uśmiechnęła się, ukazując przezarte próchnicą zęby.

– Wiemy, co ci się przytrafiło. Wiemy o gwałcie. I wiemy, kto ci to zrobił. Chcemy dopaść tego człowieka, więc potrzebujemy twojej pomocy.

Zielińska długo milczała, łapczywie żłopiąc piwo. Kiedy opróżniła puszkę, zgmiotła ją i wyciągnęła rękę po kolejną. Kawęcki niechętnie oddał jej swoją.

– Co będę z tego mieć? – spytała.

– Poczucie sprawiedliwości.

Kobieta prychnęła.

– Gównu mnie obchodzi sprawiedliwość. Nic sobie za nią nie kupię.

– A zemsta cię interesuje? – zapytał Kawęcki.

Wbiła w niego otępiały wzrok. Chyba wstydziła się swojej odpowiedzi, bo zamiast się odezwać, tylko beznamiętnie wzruszyła ramionami.

– Widzę dwa rozwiązania – powiedział Witold. – Możemy pomóc ci dojść do siebie. Załatwić ci odwyk. Doprowadzić do tego, że staniesz na nogi. A przynajmniej spróbujesz to zrobić. Ale jeśli tego nie chcesz, możemy cię po prostu zostawić w tym miejscu, w którym jesteś. Bogatszą o kilkaset złotych, za które kupisz sobie tyle hery, ile będziesz chciała.

Zielińska wybuchnęła spazmatycznym śmiechem. Zapewne rozbawił ją fragment dotyczący szacowania wartości jej narkotykowych potrzeb. Odstawiła na chwilę puszkę i podrapała się po paskudnych krostach na twarzy. Wyglądały jak maleńkie, niezbyt trwałe zbiorniki, z których w każdej chwili może wyciec ropa.

– A możecie mi zagwarantować ochronę?

– Oczywiście – odparł Witold.

– W taki sposób, żeby żaden prawnik nie był w to zaangażowany? A najlepiej żaden prawnik, polityk ani pies.

– To niewykonalne.

– W takim razie nie ma tematu.

– Żeby uzyskać dla ciebie ochronę, musimy załatwić mnóstwo formalności. Formalności i procedury to domena prawników. Nie da się tego obejść.

Zielińska pokręciła głową, jakby chciała ją sobie wyrwać.

– Ci ludzie was zniszczą – powiedziała cicho, niemal szeptem. – Dlaczego myślicie, że uda się wam działać coś więcej niż mnie? Czy

naprawdę uważacie, że czymś się ode mnie różnicie?

Witold chciał jej odpowiedzieć od razu, ale się powstrzymał. A potem zaczął się zastanawiać nad jej pytaniem.

– Nigdy nie doszłam do siebie po tym, co mi zrobił. Nigdy nie zaufałam drugiemu człowiekowi. Nie na tyle, żeby czuć się bezpiecznie. A kiedy po latach dowiedziałam się, kim jest ten skurwiel, i spróbowałam coś z tym zrobić, okazało się, że jestem kompletnie bezsilna. I to nie tylko ja, głupia, puszczalska ćpunka, zadająca się z kryminalistami i popaprańcami, ale również inni prawnicy. Jego koledzy po fachu. – Zielińska zamilkła i wbiła wzrok w ścianę. – To potwór. Oni wszyscy są potworami.

– Oni, czyli kto?

– Grubas i jego świta.

Kobieta podciągnęła kolana pod brodę, objęła je rękoma i zaczęła się bujać w przód i w tył. W identyczny sposób jak ćpun w ruderze, z której wyciągnął ją Witold.

– Musiałabym być kompletnie popierdolona, żeby jeszcze raz wpakować się do tej rzeki.

Wciąż się bujając, Zielińska kręciła głową, jakby nieustannie odbijała spadającą na nią lawinę pytań. Przestała, żeby napić się piwa, a potem znów wprowadziła maszynę w ruch.

– Co teraz? – zapytała. – Będziecie tak, kurwa, stać i się gapić?

Kawęcki zapalił papierosa. Podeszedł do łóżka. Pochylił się w stronę Zielińskiej i oparł dłonie na kolanach.

– Teraz zastanowisz się nad naszą propozycją jeszcze raz. A potem jeszcze raz. I ponownie. Jeśli nadal będziesz uważać, że nie chcesz nam

pomóc, to ściągnę cię z tego wyra i wypierdolę za drzwi. Ale najpierw zadzwonię do grubasa i powiem mu, kogo właśnie poznałem.

Mocno się zaciągnął, a następnie wypuścił przed siebie dym, prosto w przyszczatą twarz kobiety. Wyprostował się. Odszedł na kilka kroków od łóżka i stanął obok Witolda. Wyjął z kieszeni telefon. Zaczął przeglądać listę kontaktów. Nie dojrzał nawet do litery „B”, gdy Zielińska zakłęła pod nosem.

– Dobra, opowiem wam wszystko, co pamiętam – powiedziała. – Pod warunkiem, że już nigdy, ale to, kurwa, nigdy nie będziecie kazali mi tej historii powtarzać. I nigdy, kurwa, przenigdy nie zaciągniecie mnie do sądu.

Kawęcki spojrzął na Witolda. Uśmiechnął się. Zadowolony z siebie wypuścił kilka kółek dymu, a następnie usiadł na brzegu łóżka.

Wracając do domu, Witold miał wrażenie, że cuchnie. Że przesiąkł smrodem rudery pełnej ćpunów, z której wyciągnął Maję Zielińską. Smrodem jej niemytego ciała. Smrodem dusznej sypialni Kawęckiego, w której opowiedziała im swoją historię. Ale przede wszystkim smrodem tej historii. Ludzi, którzy się w niej pojawili. Słów, jakimi Zielińska ich opisała. Czynów, jakich się wobec niej dopuścili. I prawdopodobnie wobec dziesiątków innych dziewczyn, które próbowały z nimi walczyć. Które chciały rozbić ich policyjno-prawniczą sitwę, sprawnie zamiatającą pod dywan swoje chore występki. Które były dość odważne – albo głupie – by wytoczyć pistolety na wodę przeciwko armatom.

Zatrzymał się na prowizorycznym szutrowym parkingu na Kozinach, wciśniętym między pokryte bazgrołami garaże a wysokie jasnozielone

bloki. Opuścił szybę i zapalił papierosa. Ostatniego, zanim pójdzie do mieszkania. W domu obowiązywał zakaz. Edyta przez całe życie z trudem tolerowała jego nałóg. A ostatnio z coraz większym trudem tolerowała jego. Po wielu miesiącach kłótni, przerywanych całymi tygodniami milczenia lub zbywania się półsłówkami, a zwieńczonych kilkudniową wyprowadzką Edyty do matki, przeprowadzili wyczerpującą i trudną rozmowę, po której zgodzili się na zawieszenie broni. Na danie sobie jeszcze jednej szansy. Mimo to za każdym razem, kiedy Witold był w domu, miał wrażenie, że stąpa po polu minowym. Że jeden niefortunny gest, jedno słowo wypowiedziane w niewłaściwej chwili albo niewłaściwym tonem może doprowadzić do eksplozji. Wolał nie sprawdzać, do czego mógłby doprowadzić jeden papieros.

Wyrzucił niedopałek przez uchyloną szybę. Chwilę gapił się bezmyślnie na betonowy garaż, po czym schował twarz w swoich wielkich dłoniach. Czuł się tym wszystkim przytłoczony. Zielińską. Wargą. Bułecką. Edytą. Kawęckim. Miał wrażenie, że wszyscy ludzie – nieważne, czy żywi, czy martwi – sprzysięgli się przeciwko niemu. Jakby był Piotrusiem, damą pikową w kierkach albo wielką czarną dziurą przyciągającą nieszczęścia.

A kiedy myślał, że już gorzej być nie może, zadzwonił jego telefon.

– Na razie nic dla was nie mam – powiedział Sławomir Hofman. – Okazuje się, że nie tak łatwo jest zmobilizować grupę emerytów do wyteżonych poszukiwań.

– Więc po co pan dzwoni?

Witold szybko pożałował swoich słów. Zerknął na wyświetlacz, żeby się upewnić, czy Hofman się nie rozłączył.

– Przepraszam – powiedział. – Mam za sobą ciężki dzień.

– Wybaczam. Po raz ostatni.
– Ma pan dla nas także dobre wieści?
– Jeśli rzeczywiście szukacie seryjnego zabójcy, to wiem, kto może wam pomóc.

– Kto?

– Ktoś, kto bardzo dobrze zna jednego z nich.

Witold głośno wypuścił powietrze, rozmasowując pomarszczone czoło.

– Z całym szacunkiem, ale jeśli jest to psychiatra, który uważa, że każdy zabójca skrycie marzy o zgwałceniu swojej matki, to chyba podziękujemy za jego rady.

– To nikt taki.

– A kto?

Hofman ciężko odetchnął.

– Ktoś, kto zgwałcił swoją matkę.

Kawęcki położył na ladzie cztery opakowania kabanosów, dwie puszki mielonej kawy, pudełko aspiryny i czteropak piwa. Spojrzał na regał z alkoholem, a potem na filigranową lodówkę, którą miał prawie pod ręką. Zajrzał do portfela i przeliczył pieniądze.

– Do tego dwieście mililitrów najtańszej czystej – powiedział.

Sprzedawczyni, młoda kobieta w krótkiej koszulce i wysoko podciągniętych legginsach, z których wylewał się obrośnięty sadłem brzuch, nawet na niego nie spojrzała. Była zaabsorbowana wymianą wiadomości na Messengerze. Mógłby wynieść pół sklepu, a ona w najlepszym wypadku wzruszyłaby obojętnie ramionami.

– Reszta – warknęła, nie podnosząc głowy znad telefonu, gdy jej jedyny klient odszedł od lady.

Komisarz wyszedł ze sklepu, zapalił papierosa i zaczął dreptać do domu. Wybrał okrężną drogę: nie przez osiedle, pomiędzy blokami, wśród pokrzykujących dzieci, emerytów i ludzi wyprowadzających psy, lecz wzdłuż okalającej osiedle ulicy Świtezianki. W ten sposób zminimalizował ryzyko, że będzie musiał wejść z kimś w interakcję. I zyskał czas, żeby wypić pierwsze z piw, które zaplanował na wieczór.

Szedł powoli, niespiesznie wlewając w siebie browar i spoglądając na jadących z naprzeciwka kierowców. Gapili się na niego z politowaniem, obrzydzeniem lub trwogą. A najczęściej z mieszanką tych uczuć. Zatrzymał się na wysokości betonowego parkingu, który widział ze swojego bloku. Popatrzył na zaparkowane samochody. Jeden z nich przykuł jego uwagę. Przede wszystkim znajomymi numerami rejestracyjnymi. I znajomo wyglądającym mężczyzną za kółkiem, który w dodatku wydawał się idealną kopią pasażera.

Niczego się nie nauczyli, pomyślał Kawęcki.

Pociągnął ostatni łyk piwa i odstawił pustą puszkę na chodnik. Przeszedł na drugą stronę ulicy, a potem zaczął się skradać na parking. Zatrzymał się za białym vanem, żeby wyrównać oddech i przygotować plan. Namiastkę planu. Nie był zresztą pewien, czy jest sens cokolwiek planować. O ludziach, którzy czekali w samochodzie, wiedział niewiele. Właściwie tylko to, że są niebezpieczni. I prawdopodobnie bezdennie głupi.

Ciężko westchnął i ruszył.

Podszedł do ich auta z boku. Energicznie otworzył tylne drzwi i wszedł.

Było tak, jak przypuszczał: bliźniacy synchronicznie odwrócili się do niego i wyciągnęli giwery. Przystawili mu lufy do twarzy. Musiał przekrzywić głowę, żeby uważnie przyjrzeć się dwóm brodaczym o twarzach przeoranych zmarszczkami. Mieli na sobie jednakowe dżinsowe kurtki, ale mimo to Kawęcki dostrzegł, że są nienaturalnie zbudowani. Jakby ktoś próbował upchnąć za dużo mięśni na zbyt małej powierzchni.

Bracia zdębieli, kiedy Kawęcki, z dwoma glockami podetkniętymi pod nos, zaczął rechotać. I gdy chwilę później wyciągnął z torby piwo.

– Który z was to Harry, a który Lloyd? – zapytał. – To z *Głupiego i głupszego*. Nie oglądaliście?

Bracia spojrzeli po sobie, a potem ponownie skupili się na Kawęckim. Ani myśleli opuścić giwery.

– Nie wiem, czy wiecie, ale ostatnia para twardogłowych, która zaparkowała w tym miejscu, żeby obserwować moje mieszkanie, trafiła do szpitala. Kiedy już z niego wyszła, znalazła się w areszcie. A już niedługo wyląduje na wiele lat w pierdlu. Kiepska perspektywa, co? – Kawęcki zapalił papierosa i nieznacznie uchylił szybę. – Okej, skoro nie chcecie ze mną rozmawiać, to ja będę mówił. Powiedzcie mi tylko jedno: który z was nie ma ucha?

Kawęcki chciał się pochylić i przyjrzeć zarośniętym gębom braci, ale gdy się poruszył, dostał pistoletem w twarz. Jego głowa odskoczyła i wylądowała na zagłówku. Potrzebował paru sekund, żeby się otrząsnąć po ciosie. Obmacał szczękę. Potem zęby. W końcu sięgnął po papierosa, który wypadł na fotel. Kiedy ponownie się zaciągnął, poczuł metaliczny smak krwi.

– A więc ty musisz być Lewan – powiedział do pasażera, a następnie przeniósł wzrok na kierowcę. – A ty jesteś Szota. Dwaj kochający się gruzińscy bracia, którzy połowę życia spędzili w ringu, a połowę na usługach gangsterów.

Bliźniacy popatrzyli po sobie, jakby Kawęcki właśnie rozgryzł ich największy sekret.

– Naprawdę tak was dziwi, że wiem, kim jesteście? Wiem znacznie więcej. O was i o Romanie. Obserwuję was od czasu naszego przemiłego spotkania w Lesie Łagiewnickim. Pamiętacie ten dzień? – Kawęcki pochylił się przed siebie. – Nie boję się was. A wiecie dlaczego? Bo ja też na was poluję.

Opadł na fotel. Wytarł rękawem krew z rozbitej wargi. Łapczywie napił się piwa.

– Czego chcesz? – zapytał Lewan.

– Informacji. Na temat faceta, z którym tamtego dnia spotkaliście się w chacie.

Szota zaśmiał się nerwowo. Spojrzał na brata.

– Roman nas zabije – powiedział. – Mieliśmy go rozjechać, a nie z nim gadać.

– Kto powiedział, że go nie rozjebimy? – Lewan wyszczerzył kły do brata.

Kawęcki opuścił niżej szybę i wyrzucił peta na parking. Zajrzał do torebki, w której wciąż miał dwa piwa i dwusetkę wódki. Mało. Zdecydowanie za mało. Zwłaszcza jak na wieczór, w którym dwaj gamonie przystawili mu kłamki do głowy.

– Wszyscy dobrze wiemy, że mnie nie rozjebiecie. Nie teraz. Nie tutaj. Więc może opuśćcie te giwery i porozmawiamy. Mam dla was

propozycję.

Bracia przez chwilę zastanawiali się nad jego słowami. Ewidentnie woleli inne rozwiązanie. Prostsze. Szybsze. Niewymagające myślenia. Ale też – niestety – głośne i niehigieniczne. W końcu niechętnie opuścili broń.

– Powiedzcie mi wszystko, co wiecie o tym gościu z lasu. I dajcie mi miesiąc na to, żebym go złapał.

– Co dostaniemy w zamian? – zapytał Lewan.

– To samo. Informacje. Takie, dzięki którym Roman będzie mógł rozkręcić swój biznes. Może nawet zupełnie go przemodelować.

– A co potem?

– Nic. Zapomnimy o tym, że się znamy. Każdy pójdzie w swoją stronę.

– Jest tylko jeden problem – odezwał się Szota. – A jeśli Roman uzna, że twoje informacje są chuja warte?

Kawęcki ciężko sapnął. Bo tylko to mu pozostało.

– Wówczas będziemy się strzelać.

Sierpień

Kawęcki długo wodził palcem po ekranie smartfona, jakby chciał przejrzeć cały internet. W końcu przybliżył telefon do oczu, a potem odwrócił go w stronę Filipskiego i Stelmach.

– Wiecie, kim jest ten jegomość z bujną czupryną i wąsem? Albo facet stojący obok niego, szczerbaty, z zamulonym wzrokiem?

– Nie, ale po tym zdjęciu łatwo można się domyślić, czym się zajmowali – odparł Filipski.

– Tak sądzisz? – Kawęcki zaczął szukać innych fotografii. Upłynęło kilkadziesiąt sekund, zanim je znalazł. – A tu?

Pokazał policjantom inne zdjęcie. Mężczyzna z bujną czupryną tym razem przywodził na myśl włosko-amerykańskiego oprycha z New Jersey, całymi dniami wysiadującego pod zaprzyjaźnionym barem ze striptizem, rozsmakowanego w burbonie i kokainie, nieustannie knującego, komu i za co obciąć palce.

– To Henry Lee Lucas – powiedziała Stelmach. – Seryjny zabójca.

Kawęcki kiwnął głową i odłożył telefon na stół.

– Henry Lee Lucas – powtórzył. – Chłuba Wirginii. Syn kalekiego alkoholika i dziwki. Dzięki ojcu już jako dziesięciolatek polubił smak

samogonu. Matka natomiast pokazała mu, czym jest cierpienie. Zmuszała go, aby oglądał, jak pieprzy się z przypadkowymi gachami albo pomieszkującym w ich domu alfonsem. A kiedy Henry próbował się jej sprzeciwić, okładała go do nieprzytomności. Po latach pewnie tego żałowała. Bo któregoś dnia Henry wrócił do schorowanej matki, zabił ją i zgwałcił jej zwłoki. Poszedł za to siedzieć. Ale więzienie, zamiast go zrehabilitować, zrobiło z niego jeszcze większą bestię. – Kawęcki postukał palcem w telefon. – A ten szczerbaty jegomość to Ottis Toole, przyjaciel, a być może także kochanek Henry’ego. Poznali się w jadłodajni dla bezdomnych w Jacksonville na Florydzie. Od razu się polubili.

Zrobił pauzę, żeby wyciągnąć papierosa. Zapalił i wydmuchnął dym nad głowę. Następnie odsunął do tyłu krzesło, podciągnął ręką nogę, jakby była częściowo sparaliżowana, i położył ją na skraju stołu. Stelmach oderwała się od notatek i spojrzała na jego buty. Te same ciężkie, podniszczone i ubłocone trapery, które widziała na zrobionych mu zimą zdjęciach. Kolekcja całoroczna. Obrzydlistwo zarezerwowane wyłącznie dla Kawęckiego.

– Henry i Ottis podobnie postrzegali świat. Mieli te same zainteresowania, czyli wódę i narkotyki, oraz podobną historię: obaj w dzieciństwie doznali krzywdy z rąk najbliższych. A także identyczny pomysł na życie. Postanowili, że będą podróżować po Ameryce, mordując napotkanych po drodze ludzi: autostopowiczów, hipisów, studentki. Utrzymują, że zabili ponad sześćset osób. Wiele z ich ofiar zostało pośmiertnie zgwałconych. Albo zjedzonych. Toole twierdzi, że sam zeżarł około stu pięćdziesięciu. Nigdy nie udało mu się przekonać

do swojej kuchni Henry'ego. Ponoć nie przepadał za sosem barbecue, którym Ottis polewał mięso.

– Czy jest jakiś powód, dla którego pan nam o tym mówi? – zirytował się Filipski.

– Możliwe, że większość historii zmyślili, żeby zrobić większą furorę w mediach – kontynuował Kawęcki. – Może podpowiedziały im je głosy, które słyszeli w swoich głowach. Nie wiadomo. W każdym razie z czasem w ich sensacyjnych opowieściach zaczęły się pojawiać dziury. Ostatecznie zostali skazani tylko za kilkanaście morderstw. W efekcie Ameryka, ta wielka, wspaniała Ameryka, czcząca swoich psychopatów, gwałcicieli i kanibali, uwielbająca badać ich dzieje, a jeszcze bardziej o nich opowiadać, nie ma ani jednego reprezentanta w czołówce rankingu najskuteczniejszych seryjnych zabójców świata. Żadnego, który mógłby się równać z Kolumbijczykiem Luisem Garavito – sto trzydzieści osiem ofiar, Chińczykiem Yangiem Xinhai – sześćdziesiąt siedem sztuk, czy moim ulubionym Andriejem Czikałilo, urzędnikiem i nauczycielem rosyjskiego, którego licznik zatrzymał się na pięćdziesięciu trzech. – Kawęcki podniósł rękę, uciszając rozgorączkowanego Filipskiego. – Ale nie to jest najlepsze.

Zdjął nogę ze stołu z takim samym mozołem, z jakim ją tam położył, i ponownie sięgnął po telefon. Stukał w smartfona brudnymi, nieporęcznymi paluchami, jak człowiek nieprzyzwyczajony do ekranu dotykowego. Albo zbyt pijany, żeby szukaną frazę wpisać za pierwszym podejściem, ot tak, nie robiąc z tego wyzwania psychofizycznego. Kiedy w końcu mu się to udało, odwrócił telefon w stronę policjantów.

– To Bobby Joe Long. Dziesięć sztuk młodych, starannie wyselekcjonowanych kobiet. – Odłożył telefon na stół. – Ukształtowało go wieloletnie dzielenie łóżka z matką. Albo liczne obrażenia głowy, jakich doznał jako dziecko. Albo dodatkowy chromosom X, przez który rosły mu cycki w okresie dojrzewania. Albo patologia zapisana w genach. – Uśmiechnął się, jakby ktoś rozciągnął mu gębę spinaczami. – Bobby był dalekim kuzynem Henry’ego. Tego Henry’ego, który twierdził, że razem ze swoim serdecznym kumplem Ottisem zamordował sześćset osób. A to rodzi pytania, na które trudno odpowiedzieć. Czy Bobby zabijał, bo coś mu się poprzestawiało we łbie po wypadku? Czy przez dziwną relację z matką? Czy dlatego, że gdy jego koledzy zaczęli bawić się cyckami koleżanek, on mógł co najwyżej obmacywać własne? A może to kwestia genetyki, zabójczego kodu, który odziedziczył po kuzynie albo ich wspólnym przodku? Wypadałoby o to zapytać samego Bobby’ego. Zresztą jeśli chcecie, możecie go odwiedzić w Union Correctional Institution na Florydzie. Przy okazji polecam tam pogadać z Paulem Dourousseau i Garym Rayem Bowlesem, odpowiednio siedem i sześć sztuk.

– Zmierza pan do czegoś? – spytał ponownie Filipski.

Kawęcki zgasił papierosa i wyciągnął przed siebie rękę.

– Matka, ojciec, ojczym, rówieśnicy – wyliczał na palcach. – Uszkodzenia głowy, alkohol, narkotyki. Zaburzenia w rozwoju i rówieśnicze traumy. Jest mnóstwo zapalników, które mogą doprowadzić do powstania kogoś takiego. Właściwie można dojść do wniosku, że na świecie dochodzi do szokująco małej liczby zbrodni. A przecież jest jeszcze genetyka. – Zamilkł na chwilę, żeby odsapnąć i zebrać myśli. – Neurobiolog James Fallon przeskanował najbardziej spaczone umysły

świata. Odkrył, że za zachowania psychopatyczne może odpowiadać nieprawidłowa praca mózgu w częściach płata czołowego, odpowiedzialnego między innymi za empatię i moralność. Fallon przy okazji przebadał swoją czaszkę i odkrył, że sam też jest psychopatą. Tyle że... powiedzmy... prospołecznym. Nie empatyzuje z ludźmi, ale też nie kroi ich na kawałki. Chętnie podejmuje ryzyko i ciągle szuka nowych źródeł ekscytacji, ale nie jeździ po Stanach, zabijając autostopowiczów. Różnica pewnie polega na tym, że Fallon nie wychowywał się z wyżywającą się na nim kurwą, tylko w ciepłej, kochającej rodzinie. – Kawęcki wzruszył ramionami. – To by z kolei oznaczało, że przy odrobinę lepszym starcie ci wszyscy zwyrodnialcy mogliby zostać lekarzami, prawnikami albo prezesami banków. No, może nie wszyscy. Ottis miał IQ na poziomie sześćdziesięciu punktów.

Kawęcki opadł na oparcie. Pociągnął ostatni mach papierosa i wrzucił peta do kubka. Popatrzył na wlepione w niego oczy policjantów. Dostrzegł w nich coś, czego do tej pory nie widział. Lęk.

– Ja też miałem niezły start w życiu – powiedział. – Ale nie mam wątpliwości, że szukamy kogoś podobnego do mnie. Człowieka, który nienawidzi ludzi. Mojej pieprzonej bratniej duszy.

Trzy miesiące wcześniej

– Byłeś kiedyś w Rzymie?

– Dlaczego pytasz?

– Bo po wizycie w Rzymie wszystkie kościoły, które odwiedzasz, przestają robić na tobie jakiegokolwiek wrażenie. – Możejko zerknął na Kawęckiego, żeby się upewnić, czy ten go słucha. – Stają się nijakimi

budynkami, pełnymi tandetnych ozdób i złocień. To, co kiedyś brałeś za przepych, nagle wydaje ci się bezsensownym, nic niewartym nadęciem jakichś spaślaków w sutannach, wspieranych przez domorosłych architektów.

– I żeby dojść do takich wniosków, musiałeś pojechać aż do Rzymu?

Kawęcki rozejrzył się po wnętrzu kościoła. Rzeczywiście potrafił wyobrazić sobie większy luksus. Świątynia nie przytłaczała złotem, efektownymi ornamentami ani freskami. Nie szokowała scenami biblijnymi wydrapanymi w ścianach, przypominającymi wiernym, że Jezus poniósł wielki trud, żeby oni mogli kierować się jego naukami, przy okazji hojnie dając na tacę. Był to kościół służący do modlitwy i refleksji, a nie do wdzięczenia się wśród znajomych czy zwiedzania. Idealny dla odludków i dewotów. Idealny dla Kawęckiego.

Tyle że on nie wierzył w Boga.

Ksiądz Michał Pawlak dołączył do Kawęckiego i Możejki dopiero po kilku minutach. Inaczej go sobie wyobrażali. Był chudy, chudszy nawet od Kawęckiego, i niski. Potężna księga, którą jakimś cudem utrzymywał pomiędzy łokciem a zębami, wydawała się cięższa od niego. Miał zapadnięte kości policzkowe, podkrążone oczy i krótkie siwe włosy, które z daleka wydawały się pomalowane srebrną farbą. Przypominał ćpuna. Albo anorektyka. A z pewnością nie księdza.

Przykucnął w połowie drogi, żeby się przeżegnać, i podszedł do policjantów. Uśmiechnął się sztucznie, ukazując rząd spiczastych zębów.

– Wyjdźmy z Domu Bożego – powiedział szeptem.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, zaprowadził ich na ławkę stojącą obok wejścia na zakrystię. Sam usiadł na środku i położył na kolanach

otwartą księgę. Kawęcki i Możejko zajęli miejsca po bokach. Zaczęli się wpatrywać w fotografie starannie przypięte do kartek, przypominające zdjęcia klasowe z lat dziewięćdziesiątych.

– Obawiam się, że nie mam dla panów dobrych wieści – oznajmił Pawlak tubalnym głosem, silnie kontrastującym z jego mikrą sylwetką.
– Nie znalazłem na zdjęciach nikogo, kto by pasował do opisu, jaki od was dostałem. Nikogo takiego też sobie nie przypominam.

– Długo tu ksiądz pracuje? – zapytał Możejko.

– Od dwudziestu lat. Od trzech jestem proboszczem. Tak, wiem, że nie wyglądam na proboszcza. Jeszcze zanim zostałem księdzem, koledzy mówili na mnie Dzidzius. Niektórzy nadal to robią.

Ksiądz Dzidzius. Wspaniale, pomyślał Kawęcki.

– Czyli zna ojciec wszystkich księży, którzy w ostatnich latach przewinęli się przez tę parafię.

Pawlak skinął głową.

– Księży, wikariuszy, organistów, ministrantów. Także katechetów, którzy uczą w pobliskich szkołach. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że znam każdą osobę, której nasz kościół jest bliski. To mała parafia, więc nie jest to trudne.

– Interesują nas księża, którzy chodzą po kolędzie – odezwał się Kawęcki. – A w szczególności ci, którzy zajmowali się tym rejonem.

Komisarz podał księdzu kartkę z fragmentem miasta wydrukowanym z Google Maps. Czerwonym kolorem oznaczony był na niej obszar tworzący prostokąt pomiędzy ulicami Zachodnią, Legionów, Gdańską i Próchnika. Zielony punkt wskazywał blok, w którym mieszkała Martyna Bułecka.

– Wie pan...

– Ksiądz – wszedł mu w słowo Pawlak. – Ksiądz. Albo ojciec.

Kawęcki spojrzał na niego jak na dziwoląga.

– Wie ksiądz, kto chodził po kolędzie w tym rejonie? Interesuje nas zwłaszcza kilka kamienic na Próchnika.

– Oczywiście.

Pawlak wskazał palcem bramę prowadzącą na teren kościoła. Za nią stał wysoki mężczyzna w kolorowej kurtce. Wciskał ręce do wąskich kieszeni spodni, jakby chciał się podrapać po udach, i przestępował z nogi na nogę. Patrzył w ich kierunku.

– Wiktor Tarasiewicz – wyjaśnił Pawlak.

– Już nie jest księdzem?

– Nie. Miał pewne skłonności, które przeszkadzały mu w posłudze.

Kawęcki wymownie westchnął.

– Jest kleptomanem – syknął Pawlak i rozejrzał się wokół, aby sprawdzić, czy nikt niepowołany go nie usłyszał. – Wynosił wiernym rzeczy z mieszkania. Czy pedofilia to jedyne skojarzenie, jakie pan ma z kościołem?

Kawęcki nie odpowiedział. Przez cały czas przyglądał się zdenerwowanemu mężczyźnie zza bramy.

– Może go ksiądz zawołać?

Pawlak nieznacznie uniósł rękę i poruszył złączonymi ze sobą palcami, a Tarasiewicz momentalnie ruszył w ich stronę. Widząc, jak ten człowieczek niewielkim gestem wprowadził dryblasa w ruch, Kawęcki zrozumiał, że ksiądz Dzidzius musi mieć ogromny posłuch. Przynajmniej w swojej parafii. I pewnie wyłącznie w niej.

– Kiedy zadzwoniliście, wiedziałem, że to o niego chodzi – powiedział Pawlak. – Dlatego od razu go wezwałem. Chcecie postawić

mu zarzuty?

Kawęcki pokręcił głową.

– Na pewno nie za kradzież.

Wiktor Tarasiewicz podszedł do ławki. Mężczyźni gapili się na niego, jakby uczestniczył w konkursie piękności. I raczej nie miał zbyt dużych szans na wygraną. Znad kołnierza jego kurtki wyłaniała się podłużna, do połowy wyłysiała głowa, do której przymocowane były popękane usta oraz głęboko osadzone oczy. Rachityczne ciało ukrył pod pstrokatą wiatrówką i czarnymi dżinsami. Wyglądał na nieźle spłoszonego.

Kawęcki podał mu wydruk.

– Czy w tym roku chodził ksiądz...

– Pan – wtrącił Pawlak. – Teraz już pan.

– Czy w tym roku chodził pan po kolędzie w tym rejonie? – Mężczyzna pokiwał głową. – Był pan w bloku oznaczonym zieloną kropką?

Mężczyzna się zawahał. Zaczął skakać wzrokiem między Pawlakiem a Kawęckim.

– Bądź z nimi szczery, Wiktorze – zaordynował Pawlak. – Nic ci nie grozi. Ani z ich strony, ani z mojej.

Tarasiewicz nerwowo pokiwał głową.

– Taki miałem zamiar – powiedział.

– Ale? – odezwał się Kawęcki.

– W dniu, w którym miałem się tam pojawić, spotkałem innego księdza. Powiedział, że mnie zastąpi. Że miarka się przebrała. I że proboszcz nie da mi kolejnej szansy.

– I pan to łyknął?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie miałem powodu, żeby mu nie wierzyć.

Kawęcki spojrzał na Pawlaka, który przewiercał byłego podwładnego wzrokiem. Najwyraźniej Tarasiewicz zapomniał mu wspomnieć o swojej niedokończonych kolędzie.

– Jak on wyglądał?

– Ten ksiądz? Nietypowo. I dość charakterystycznie. Był wysoki i tęgi. Wydawał się idealnym przeciwieństwem księdza proboszcza.

– Widział pan jego twarz?

– O tyle, o ile. Miał gęstą brodę, która w większości ją zasłaniała.

– Jakież znaki szczególne?

Tarasiewicz zastanawiał się przez chwilę, wbijając wzrok w chodnik.

– Najbardziej zapamiętałem jego ciemne oczy. Miałem wrażenie, że się ze mnie śmieją. Jakby był zadowolony z moich wpadek i tego, że ma mnie zastąpić.

– Widział pan wcześniej tego człowieka?

Wiktor pokręcił głową.

– Jest pan pewien?

– Raczej bym skojarzył kogoś o takiej posturze.

– A gdzie pan wcześniej pracował?

Tarasiewicz wymownie westchnął i skierował wzrok na księdza. Szukał ratunku.

– Wiktor pracował w wielu parafiach – wyjaśnił Pawlak. – Ze względu na kleptomańskie skłonności często go przenoszono.

– Potrzebujemy listy miejsc, w których pan pracował – powiedział Kawęcki.

– Wszystko mam tutaj. – Proboszcz poklepał swoją księgę.

Kawęcki zamyślił się. W końcu wstał z ławki i zapalił papierosa.

– Czy któryś z parafian skarżył się w tym roku na księdza chodzącego po kolędzie?

– Wręcz przeciwnie – zaprotestował proboszcz. – Kilka osób nawet pochwaliło księdza. Sądziłem, że mają na myśli Wiktora. Dlatego byłem mocno zaskoczony, gdy dzień po zakończeniu wizyt duszpasterskich wysłał mi esemesa. Napisał, że za wszystko bardzo przeprasza. I że już więcej nie będę musiał się z nim użerać.

– Nigdy o tym nie rozmawialiście? – zdziwił się Kawęcki.

Pawlak i Tarasiewicz popatrzyli na siebie.

– Nie było okazji – stwierdził ksiądz.

Kawęcki przyjrzał się mężczyznom, którzy najwyraźniej mieli sobie sporo do wyjaśnienia. Zaklął pod nosem. Odsunął się na kilka metrów. Możejko odczekał chwilę i do niego dołączył.

– Co teraz? – zapytał.

– Czeka nas kościelny maraton. – Kawęcki odwrócił się i wycelował palcem w duet mężczyzn. – Pogadaj z nimi. Dowiedz się jak najwięcej o ich parafii i przeszłości tego złodzieja. Zrób notatki.

– Jak policjant?

– Jak nieoficjalny konsultant policyjny.

– A ty?

– Muszę lecieć.

– Czeka cię dzisiaj coś jeszcze dziwniejszego?

Kawęcki wziął kilka szybkich machów i wyrzucił peta na chodnik. Przydepnął go butem, jakby chciał go wetrzeć w beton.

– Znacznie dziwniejszego.

– Słyszeliście o ustawie o bestiach? – zapytał Sławomir Hofman.

– Chyba nie dało się o niej nie słyszeć – odparł Witold.

– Ale wiecie coś więcej czy tak jak wszyscy zostaliście zalani medialnym syfem i historyjkami o Trynkiewiczzu i Pękalskim?

Pytanie Hofmana zawisło we wnętrzu samochodu, który Witold rozpędził na autostradzie do stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Jechali do Gostynina. A konkretnie do ośrodka, z którego Gostynin od niedawna słynął, choć pewnie wolałby być znany z czegoś innego. Z czegokolwiek innego.

– Ja zostałem zalany syfem, ale mogę się założyć, że on wie o tej ustawie wszystko – wyjaśnił Witold, celując kciukiem w Kawęckiego, który siedział z tyłu. Niezapięty pasami, na samym środku siedzenia, głęboko wychylony do przodu. Gotowy umrzeć. – Zwłaszcza o ludziach, którzy zostali nią objęci.

Hofman odwrócił się do komisarza.

– A słyszałeś, mądralo, o Jarosławie Frycu?

Kawęcki pogrzebał w pamięci i pokręcił głową.

– No właśnie. A to prawdopodobnie największy świr, jakiego można spotkać w Gostyninie.

Hofman podał Kawęckiemu cienką teczkę. Ten otworzył ją i spojrzał na zdjęcie z policyjnej kartoteki. Był na nim mężczyzna z popielatymi włosami, okrągłą twarzą i roześmianym wzrokiem. Wyglądał jak jowialny wujek, notorycznie opowiadający sprośne dowcipy na rodzinnych spędach.

– Kiedy mówiłem, że mam dla was gościa, który zgwałcił własną matkę, byłem bardzo dosłowny. Przynajmniej wiele na to wskazuje – wyjaśnił Hofman. – Fryc to diabeł, który postanowił urządzić na ziemi

własne piekło. Facet zamordował swoją młodszą siostrę, a potem wielokrotnie kopulował z jej zwłokami. Na koniec pociął ją na kawałki i rozrzucił w centrum Poznania. Wszystkich części jej ciała nie znaleziono. Fryc twierdzi, że co smaczniejsze kąski zjadł. – Hofman uważnie obserwował reakcję Kawęckiego. – Udowodniono mu tylko jedno zabójstwo, ale moim zdaniem ma ich na koncie znacznie więcej.

Komisarz błyskawicznie przerzucał strony raportu, czytając o kolejnych dewiacjach Fryca. Lista była zatrważająca. Nawet dla niego.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytał.

– Facet wielokrotnie zmieniał zeznania. Czasem przyznawał się nawet do kilkadziesiątu zbrodni, a czasem wypierał się wszystkich z wyjątkiem swojej siostry. Czasem podawał informacje, które mógł znać jedynie ktoś będący bardzo blisko śledztwa, a czasem rzucał coś zupełnie od czapy, jakby nie miał pojęcia, o czym mówi. Czasem z lubością opowiadał o tym, jak przez kilka lat więził, głodził i gwałcił swoją chorą matkę, a czasem się rozklejał, twierdząc, że nie mógł patrzeć na jej cierpienie. Moim zdaniem czasem robił sobie jaja, a czasem zbierał się na odrobinę szczerości. Chyba że cierpi na rozdwojenie jaźni, którego do tej pory nikt u niego nie zdiagnozował. – Hofman zrobił pauzę, żeby wziąć głębszy oddech. – Poza tym facet jest nekrofilem. Kiedy go zamknęli, wydawał się zadowolonym z siebie człowiekiem. To według mnie w największym stopniu świadczy o tym, że jego ofiar musiało być więcej.

– W jaki sposób wpadł?

– Nie wpadł. Przyznał się. Zgłosił się na pierwszy lepszy poznański komisariat i powiedział, że zabił swoją siostrę.

W samochodzie zapadła cisza. Kiedy Witold włączył kierunkowskaz, żeby zmienić pas, jego regularne tykanie rozbrzmiewało jak ciosy młotem. Kawęcki wyciągnął telefon. Włączył transfer danych i zajrzał do internetu.

– Dlaczego każdy słyszał o Trynkiewiczzu i Pękalskim, a o Frycu nikt? – zapytał. – Gościa nie ma nawet w Wikipedii.

– Bo jest cholernie bystry. To doktor filozofii. Policjanci i prokuratorzy bali się, że gdy zrobi się z niego gwiazdę i dziennikarze zaczną przeprowadzać z nim wywiady albo dokopią się do jego zeznań, to organy ścigania wyjdą na kompletnych idiotów. Słyszałem też, że kumpłował się z kilkoma lokalnymi politykami, którzy nie chcieli się kompromitować znajomością z kimś takim. Krótko mówiąc, wszystkim zależało na tym, żeby go nie tylko zamknąć, ale też ukryć przed światem.

Kawęcki opadł na siedzenie i położył obok siebie raport. Długo wpatrywał się w zdjęcie Fryca. Gwałciciela, zabójcy i nekrofila. Filozofa. Dowcipnisia, który zabił własną siostrę. I cholera wie kogo jeszcze.

– Dlaczego rozmowa z nim miałyby nam pomóc? – zapytał Kawęcki.

– To człowiek, który nienawidzi kobiet. A o ile się orientuję, facet, którego szukacie, także za nimi nie przepada. – Hofman wycelował palcem w teczkę. – Jeśli nie potraficie zrozumieć, czym on się kieruje, może ten świr wam pomoże.

Kilka niczym niewyróżniających się budynków. Białe ławki i chodniki. Trochę zieleni. Zadbany spacerniak. Niemal nietknięte boiska do

koszykówki i siatkówki. Do tego przytłaczający pięciometrowy mur odgradzający bestie od ludzi. Piekło od nieba. Albo czegoś w tym stylu.

Kawęcki, Ptak i Hofman weszli na teren wybudowanego na skraju lasu kompleksu Regionalnego Ośrodka Psychiatrii Sądowej w Gostyninie. Udało im się załatwić wszystkie formalności ze strażnikami, zanim pofatygował się do nich Tymon Belka. Kierownik placówki, zwykle nazywanej po prostu ośrodkiem dla zwyrodnialców, był niski, wąsaty i miał na sobie czerwoną koszulę w kratkę. Przypominał Kawęckiemu hydraulika Mario. Z gry komputerowej, w którą komisarz nigdy nie grał.

– Chcecie trochę pozwiedzać? – zapytał Belka policjantów.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i machnięciem ręki dał im znak, żeby ruszyli za nim.

Szli pomalowanym na łososiowy kolor korytarzem, który równie dobrze mógłby być w przedszkolu, domu dziecka lub szpitalu. Na ścianach wisiały oprawione w drewniane ramy obrazy. W większości przedstawiające sielskie pejzaże.

– Niektóre z nich to dzieła naszych pensjonariuszy – wyjaśnił kierownik. – Wierzymy w arteterapię, czyli leczenie przez sztukę.

Belka oprowadził ich po budynku, pokazując im świetlicę z telewizorem, sale zajęciowe, bibliotekę i kawiarenkę, w której pensjonariusze mogą korzystać z komputera, oraz pomieszczenie ze stołem do ping-ponga i rowerami stacjonarnymi. Na deser zostawił izolatkę. W tym momencie akurat pustą.

– Jak widzicie, jest tu całkiem przytulnie. Zupełnie inaczej niż w więzieniu czy szpitalu. Pensjonariusze mają naprawdę dobre warunki do leczenia.

- Ciepło pan o nich mówi – zauważył Witold. – Jakby byli dziećmi.
- Lubię wierzyć, że nie są tak źli, jak sugerują ich czyny.
- Nawet Fryc?

– On akurat wystawia moją wiarę na ciężką próbę. Wiarę w człowieczeństwo. – Kierownik próbował się uśmiechnąć. – Zresztą za chwilę sami się o tym przekonacie.

Belka zaprowadził ich do jednego z pokoi. Przed wejściem zamienił słówko z sanitariuszami.

– Nie wchodzisz? – zapytał Witold, widząc, że Hofman zatrzymał się na środku korytarza, kilka metrów przed drzwiami.

– Nie mam na tę rozmowę najmniejszej ochoty. To wasze śledztwo. Wasz zabójca. Ja tylko pomagam wam otworzyć oczy.

Dwaj masywni sanitariusze otworzyli drzwi i pierwsi weszli do pokoju. Chwilę pogadali z lokatorami, a następnie opuścili pomieszczenie w towarzystwie przygarbionego mężczyzny z zajęczą wargą, który wydawał się nie mieć pojęcia, co się wokół niego dzieje.

– Jest wasz – powiedział jeden z nich. – Będziemy tuż za drzwiami, gdybyście nas potrzebowali. Powodzenia.

– Powodzenia – powtórzył za nim Belka, jednak zupełnie bez przekonania.

Jarosław Fryc z pewnością nie wyglądał na psychopatycznego zabójcę. Raczej na zmęczonego życiem emeryta, któremu otyłość utrudniała oddech. Czytał książkę, wolno poruszając rozchyłonymi ustami, jakby miał trudności ze składaniem liter. Wydawał się ogłupiony neuroleptykami. Ale kiedy ze sporym opóźnieniem uniósł głowę, okazało się, że spojrzenie wciąż ma bystre. Utkwił swój

świdrujący wzrok w twarzy Kawęckiego. Komisarz odpowiedział mu tym samym.

Policjanci zbliżali się do Fryca powoli, jakby w każdej chwili był w stanie zerwać się z łóżka i skoczyć im do gardeł. Choć przy jego tuszy wydawało się mało prawdopodobne, żeby cokolwiek mógł zrobić szybko. Siedział tak, że trudno było określić, gdzie kończy się jego brzuch, a zaczynają uda.

Kawęcki i Witold usiedli naprzeciwko niego, na jednym z czterech prostych łóżek pokrytych kolorowymi kocami. Woleli nie wiedzieć, do kogo należało i co ten człowiek mógł na nim robić.

– Przyszedliście posłuchać o moich dokonaniach? – zapytał Fryc zaskakująco wysokim głosem.

– Chcemy, żebyś się nad czymś zastanowił – odparł Witold po chwili.

Fryc długo przyglądał się policjantom. W końcu odłożył książkę. Kawęcki zerknął na okładkę. Joseph Conrad. *Jądro ciemności*.

– To dobrze. Cierpię tu na brak intelektualnych wyzwań. Z nudów zacząłem wracać do książek, które czytałem ponad czterdzieści lat temu. – Fryc zaśmiał się chrapliwie. – Fascynujące jest to, jak drastycznie może się zmienić odbiór literatury, jeśli połowę życia spędzisz w zamknięciu. Oczywiście na jej niekorzyść. To, co dawniej wydawało ci się budzące trwogę, surrealistyczne i bardzo pociągające, nagle staje się naiwną opowieścią.

Policjanci poczekali, aż słowa Fryca wybrzmiały, a następnie podali mu teczkę. Znajdowały się w niej zdjęcia młodych kobiet i podstawowe informacje na ich temat: czym się zajmowały, gdzie mieszkały, ile miały lat, gdy zostały zamordowane. Szczegóły był tylko opis tego,

w jaki sposób zginęły: jakich doznały obrażeń, jak długo konały, co się stało po śmierci z ich ciałami.

Witold w kilku zdaniach wyjaśnił Frycowi, dlaczego zjawili się w ośrodku. I dlaczego rozmawiają akurat z nim. Z największym trudem wyciskał słowa z przełyku. Jakby bliskość Fryca wysuszyła mu gardło na wiór.

Tłuscioch wysłuchał go uważnie, a następnie zaczął w skupieniu przeglądać zdjęcia. Ciszę mącił jedynie jego ciężki oddech. Kiedy skończył, podniósł głowę i popatrzył na Kawęckiego, który przez cały czas wgapiał się w niego, jakby chciał się dowiercić wzrokiem do jego potylicy. Jak gdyby chciał obejrzeć z bliska wszystkie procesy zachodzące w tym pokręconym mózgu.

– Wiem, o czym myślicie – odezwał się w końcu Fryc. – Zastanawiacie się, jak to możliwe, że ktoś taki jak ja może dożywać swoich dni w schludnym i spokojnym miejscu. Opychając się jak knur za pieniądze podatników. Czytając szkolne lektury. Grając w szachy albo oglądając telewizję. Zupełnie swobodnie fantazując o tym, co mógłby zrobić, gdyby tego muru nie było. – Fryc wycelował tłustym palcem w okno. – Wiem, że nie daje wam to spokoju. Gniecie wasze poczucie sprawiedliwości społecznej. Ale to dobrze. Dzięki temu w pewnym sensie jesteśmy do siebie podobni.

Fryc z wysiłkiem przesunął cielsko na skraj łóżka. Mebel zatrzeszczał, jakby konał pod jego dupskiem.

– Sądzicie – kontynuował Fryc – że przychodząc do mnie po radę i udając, że jesteście mną zainteresowani, polechcie moje ego. Sprawicie, że zechcę wam pomóc. Ale to nie działa w ten sposób. Przykro mi.

Grubas odłożył zdjęcia i sięgnął po książkę. Zmarszczył brwi i ponownie zatopił się w lekturze.

– Czego chcesz w zamian? – spytał Kawęcki.

Fryc opuścił książkę. Uśmiechnął się.

– Od was? Niczego. Nie jesteście w stanie dać mi tego, czego pragnę. – Ponownie wycelował w okno. – Nie możecie dać mi wolności. Choćby na piętnaście minut. Tyle by mi w zupełności wystarczyło.

– Żeby zabić kobietę i zgwałcić jej zwłoki? – warknął Witold.

Fryc wolno przeniósł na niego wzrok.

– Ty widzisz w tym zabójstwo i gwałt, a ja prawdziwe, nieskrępowane konwenansami życie. Lubię czerpać z niego całymi garściami.

– Człowiek, którego szukamy, też tak robi – powiedział Kawęcki. – Czerpie z życia wszystko, na co ma ochotę. Zazdrościsz mu?

Zabójca uśmiechnął się do niego pobłażliwie.

– On nie jest hedonistą, tylko męczennikiem. Nie robi tego, czego pragnie, lecz to, do czego uważa, że został stworzony. Jest jak żołnierz na misji. Zamiast wsłuchiwać się w instynkt, wykonuje rozkazy, które słyszy w swojej głowie.

– Skąd to wiesz?

– Żadnej z nich nie zgwałcił, prawda?

Policjanci popatrzyli na siebie. Nie byli pewni, jak wiele mogą Frycowi powiedzieć.

– Nie – odezwał się Kawęcki. – Przynajmniej nie osobiście.

– To znaczy, że nie mógł tego zrobić. Jest więc impotentem albo eunuchem. Kimś, kto z powodu ułomności seksualnej nie może czerpać

przyjemności ze współżycia z drugim człowiekiem, żywym lub martwym. Kimś, kto nie jest do mnie podobny, jak wam się wydaje, lecz stanowi moje zaprzeczenie. – Fryc wycelował palcem w leżące na łóżku zdjęcia. – Ja bym zabił i wyruchał te dziwki. Wytłukłbym im zęby, żeby móc bez żadnego skrępowania dymać je w usta. Potem podzieliłbym ich ciała na porcje. Część bym zjadł, a część rozdał. Zawsze uważałem, że należy się dzielić. Także tymi darami, których ludzie nie potrafią docenić. – Popatrzył na policjantów i pokręcił głową. – Miałem nadzieję, że dacie mi jakieś intelektualne wyzwanie. Ale przyszliście kompletnie nieprzygotowani. – Skinął brodą w kierunku drzwi. – Grając w szachy z tymi nafaszerowanymi psychotropami matołami, muszę się bardziej wysilić niż podczas rozmowy z wami.

Tłuścioch przesunął się do tyłu i z najwyższym trudem wciągnął nogi na łóżko. Oparł się o ścianę. Podniósł książkę i uniósł ją na wysokość oczu. Witold ostrożnie zgarnął teczkę z łóżka. Wstał i spojrzał na Kawęckiego, który siedział w bezruchu i wpatrywał się we Fryca.

– Dlaczego się przyznałeś? – zapytał komisarz.

Fryc wychylił się znad książki. Wyglądał na zdziwionego. Przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Byłem ciekaw reakcji ludzi. Głównie swoich znajomych: policjantów, prawników, polityków i pracowników uniwersytetu. Byłem ciekaw, jak zareagują na wieść, że przez te wszystkie lata żył pośród nich człowiek, który dawał upust swoim pragnieniom za każdym razem, kiedy nachodziła go na to ochota. Chciałem zobaczyć ich tępe ryje na sali sądowej. – Fryc wzruszył ramionami. – W pewnym momencie przestały mi wystarczyć wizualizacje ich reakcji.

Kawęcki spojrział na Witolda, który stał przy drzwiach i przewracał oczami po każdym słowie wypowiedzianym przez grubasa. Podniósł się i wolno ruszył w jego kierunku. Jednak zatrzymał się w połowie drogi.

– I co, było warto? – zapytał.

Fryc nic nie odpowiedział. Nie musiał. Jego jowialna twarz odpowiedziała za niego.

Łysy, po pięćdziesiątce, z puciołową gębą i siwiejącą brodą, która zawsze wydawała się brudna. Zmęczony, skacowany, prawdopodobnie niebędący w stanie sobie przypomnieć, co się działo poprzedniego wieczoru. Albo już planujący, w jaki sposób upodli się za kilka godzin, gdy tylko stąd wyjdzie. Jak pies spuszczonej ze smyczy, którą sam sobie założył.

Leszek. Jego szef. Skończony nieudacznik. Pośmiewisko. Facet, którego cierpienie ktoś powinien ukrócić.

– Jakaś blondyna czeka przed drzwiami – usłyszał jego wypowiedziane półszepem słowa. – Zajmij się nią. Ja mam jeszcze trochę roboty przy kampie.

Facebook. Trzy otwarte okna dialogowe. Dziesiątki bezwartościowych wiadomości wpadające do jego prywatnego ścieku. Robota. Dobre sobie, pomyślał.

Nieznacznie skinął głową i bez słowa wyszedł z pomieszczenia.

Kobieta miała około trzydziestki. Kościste ciało wcisnęła w skórzane spodnie i elegancki zakiet. Włożyła wysokie szpilki z klamrą. Miała na sobie rozpiętą letnią kurtkę, ledwo zasłaniającą jej lędźwie. Pod pachą trzymała miniaturową torebkę. Taką, w której co najwyżej może się zmieścić kilka kondomów, lubrykant i niewielkie dildo. Ubrała się

zdecydowanie zbyt kuso. Jak dziwka starająca się ponad wszelką wątpliwość pokazać, że jest dziwką.

Pożerał ją wzrokiem, kiedy tłumaczyła mu, po co przyszła. Wydawała się nadpobudliwa, jakby była permanentnie podenerwowana. Obficie gestykulowała, raz po raz wprawiając w ruch swoje kościste paluchy, zakończone obrzydliwymi czerwonymi hybrydami. Jej spięte w kucyk włosy niespokojnie falowały. Nie potrafiła utrzymać kontaktu wzrokowego, strzelała spojrzeniem we wszystkie strony. Przypominała mu złąknionego kryminalistę zaraz po wyjściu z pierdła. Albo ćpuna przesadzającego z kokainą. Zawieszzonego pomiędzy sztuczną euforią a naturalną katastrofą. Uwięzionego w pustce. Z dala od rzeczywistości. Z dala od Boga.

– I co pan o tym sądzi? – spytała.

Zasypując ją zawodowym żargonem, którego nie miała prawa zrozumieć, obserwował jej reakcję. Przyglądał się bezmyślnemu kiwaniu głową. Wymuszonej uprzejmości. Nieudolnemu ukrywaniu znudzenia i palącej chęci, aby wyciągnąć telefon i sprawdzić powiadomienia. Udawaniu, że interesuje ją coś więcej niż to, kiedy ten dziwaczny, wyrośnięty, trochę przerażający facet w końcu zamknie mordę.

– Czy ma pani kogoś bliskiego?

– Dlaczego pan pyta?

– To może potrwać. Przydałoby się pani towarzystwo.

– Nie, nie mam nikogo. Jestem sama.

Trzydziestoletnia singielka. Przesadzająca z kawą i lekko niedożywiona. Zapracowana i dająca się pożerać stresowi. Ale poza tym zdrowa. Mogąca zostać matką. Ona jednak wolała marnować swoje

komórki jajowe. Paraliżować je, żeby przypadkowi faceci spotkani w barze, dyskotece albo biurze mogli się w nią bezkarnie spuszczać.

– Kiedy pani pasuje?

– Może za tydzień, jakoś po siedemnastej?

Pokiwał głową. Wyciągnął z kieszeni wizytówkę i podał ją kobiecie. Uśmiechnął się.

– Jak pani do nas przyjdzie, proszę o mnie zapytać.

– Dziękuję. Tak zrobię.

– Ma pani swoją?

Kobieta przez chwilę się wahała, ale w końcu wyciągnęła spod pachy torebkę. Wręczyła mu biały kartonik, uścisnęła jego dłoń i wyszła.

Kiedy zniknęła za drzwiami, spojrzął na wizytówkę. Dagmara Paczewska. Head of sales w agencji reklamowej. Szmata z korporacji. Zgniła, niegodna szacunku suka.

Idealnie pasująca do jego listy.

Gwiżdżąc pod nosem, schował jej wizytówkę do kieszeni.

Sierpień

Mariusz Szczebiot zastanawiał się, kiedy jego świat zaczął się walić. W którym momencie on sam przestawił wajchę, skazując się na nieuchronny zjazd po równi pochyłej. Możliwości było wiele.

Mogło to się stać przed kilkunastoma laty, kiedy zdecydował, że nie chce do końca życia być operacyjniakiem, udającym twardziela glina, który szwenda się po ulicach, rozpytuje ludzi i gędzi z największymi mętami w mieście, tylko menedżerem – facetem zza biurka, przylepionym do monitora i klawiatury, częściej wydającym polecenia niż ich słuchającym. Albo kilkanaście miesięcy temu, kiedy został naczelnikiem Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi. Gdy zaczął wydawać rozkazy i wymyślać, w jaki sposób powinien być skonstruowany zawodowy świat podległych mu ludzi. Albo zaledwie kilka miesięcy wcześniej, kiedy w krótkim odstępie czasu zginęły dwie młode kobiety. W tym jedna – na co wiele wskazywało – przynajmniej częściowo z jego winy.

Ale możliwe było także, że doszło do tego dopiero teraz. W chwili gdy Łukasz Filipski, rzucając mu wyzywające spojrzenie, wypowiadał słowa, które rozpuszczały się w powietrzu, jak tylko wyszły z jego ust.

– Może pan powtórzyć? – poprosił Szczebiot.

– Pytałem, jakie błędy popełnili pana ludzie w trakcie śledztwa w sprawie zabójstwa Martyny Bułeckiej.

Szczebiot pokiwał głową, co mogło oznaczać, że zrozumiał pytanie i zgadza się z zawartą w nim tezą albo że po prostu kumuluje myśli. Pochylił się do przodu, czując, że przez spoconą koszulę jego ciało skleiło się z oparciem krzesła.

– Było ich zdecydowanie za dużo – powiedział, nerwowo bawiąc się dłońmi. – Przede wszystkim zbyt późno się dowiedzieliśmy, że Bułeczka nie była grzeczną studentką. Stanowczo za dużo czasu zajęło nam ustalenie, w jaki sposób zarabiała na życie. I niepotrzebnie koncentrowaliśmy się na Jakubie Możejce, podejrzewając, że może być człowiekiem, którego szukamy. Poza tym nie zdołaliśmy ustalić kilku podstawowych faktów dotyczących samego zabójstwa. Przede wszystkim tego, w jaki sposób sprawca zupełnie niepostrzeżenie i nie wzbudzając niczyich podejrzeń dostał się do mieszkania Bułeckiej.

– To wszystko?

– Jak wspominałem, błędów było dużo. Jeśli bardzo wam na tym zależy, mogę przygotować dla was listę.

– Nie trzeba – odparł Filipowski i zerknął do notatek. – A czy pana zdaniem podział ról w zespole, który zajmował się sprawą Bułeckiej, był prawidłowy?

– Co konkretnie ma pan na myśli?

– Podobno to pan wymyślił, żeby Giętka i Kawęcki pracowali razem. Szczebiot niechętnie skinął głową.

– Jak do tego doszło?

– Zaproponowałem taki układ z dwóch powodów. Po pierwsze: chciałem rozbić duet Kawęcki–Ptak. Wprawdzie pracowali wydajnie, ale wiedziałem, że ze względu na różne skłonności Kawęckiego może to się skończyć katastrofą. Dla obydwu.

– A po drugie?

– Chciałem, żeby Magda miała oko na Kawęckiego.

– Żeby na niego donosiła? – zdziwiła się Anna Stelmach.

Szczebiot, łamiąc palce, pokręcił głową.

– Nie chciałem, żeby była konfidentem kopiącymi dołki pod kolegami. Zależało mi jedynie na tym, aby mieć choćby minimalny wpływ na rozwój wypadków. Na tym, żeby być o pół kroku przed większością szefów, którzy nie mają bladego pojęcia, w jakim kierunku jadą ich podwładni, a przez to nie są w stanie uchronić ich przed zderzeniem z drzewem. Myślę, że Magda to rozumiała.

Stelmach poruszyła się nerwowo na krześle. Splotła ręce na klatce piersiowej.

– Kawęcki o tym wiedział? – spytała.

– Dowiedział się.

– Kiedy?

– Kilka dni przed śmiercią Magdy. Przyszedł do mnie do domu i oznajmił, że wie o wszystkim.

Stelmach i Filipski spojrzeli na siebie. Potem równocześnie przenieśli wzrok na Szczebiota.

– Nie przyszło panu do głowy, że to on może stać za jej śmiercią? – zapytała policjantka.

Szczebiot długo milczał, gapiąc się na stół. W końcu podniósł głowę i popatrzył na policjantów przegranym wzrokiem. Wzrokiem

człowieka, który wie, że rozpoczął się długi i bolesny zjazd.

– Do dziś się nad tym zastanawiam.

Dwa miesiące wcześniej

Być może świat zaczął się sypać w momencie, w którym Szczebiot podniósł marker i przytknął go do tablicy. Gdy kilkoma niewprawnymi ruchami wypisał trzy niezbyt zgrabne cyfry, podkreślił je dwiema długimi kreskami, a potem założył skuwkę i postukał pisakiem w planszę. Jakby to, co zamierzał przekazać, wymagało jakiegokolwiek wzmocnienia.

– Sto dni – powiedział. – Tyle czasu upłynęło od zabójstwa Martynty Bułeckiej. Mieliśmy ponad trzy miesiące, żeby się dowiedzieć, kto go dokonał. Jeśli do tej pory nie udało nam się tego zrobić, to znaczy, że od teraz będzie już tylko trudniej.

Twarze, które na niego patrzyły, nie wyrażały żadnych emocji. Ani radości, ani smutku. Ani zdziwienia, ani zrozumienia. Pomyślał, że musiał wyglądać podobnie podczas wczorajszego spotkania, na którym dostał od komendanta Janusza Dębca dwie wiadomości. Obie złe.

– Mam dla was dwie informacje – kontynuował Szczebiot. – Zła jest taka, że nad sprawą Bułeckiej będziemy pracować w tym składzie. Już dawno pożegnaliśmy się ze wsparciem policjantów z sąsiednich jednostek, natomiast wczoraj musiałem oddelegować resztę osób z naszego wydziału do innych zadań. Choć ciężko jest mi to przyznać, sprawa Bułeckiej zaczyna tracić priorytet. Nie dla nas, ale dla ludzi z góry.

Szczebiot wycelował palcem w sufit. Ucieszył się, gdy policjanci powiedli za nim wzrokiem. Właśnie taką reakcję chciał wywołać. Zamierzał ich przekonać, że to wszystko nie jest jego winą, lecz mitycznych „ludzi z góry”. Wystrojonych w garniaki bezdusznych bonzów, żyjących od bankietu do bankietu, ubijających na służbie prywatne interesy, mających w głębokim poważaniu los policyjnych szaraków pokroju Witolda Ptaka, Tomka Kawęckiego, Artura Waliszewskiego czy Marty Ferenc. Ale też pokroju Szczebiota. Zresztą naczelnik dobitnie się o tym przekonał, kiedy Janusz Dębiec poinformował go o planowanych cięciach w budżecie Wydziału Kryminalnego. I o rzekomym powszechnym niezadowoleniu z efektów pracy zespołu szukającego zabójcy Bułeckiej. Mówiąc to, komendant także powołał się na „ludzi z góry”. Tyle że w jego przypadku trudniej było odgadnąć, kogo mógł mieć na myśli.

– A jaka jest dobra wiadomość? – zapytał Artur.

– Taka, że będziecie mieli nad czym pracować.

Naczelnik podszedł do laptopa, który leżał na stole podpięty do projektora. Otworzył jeden z plików. Upłynęło dobre kilka sekund, zanim wolno mielący komputer uruchomił prezentację. Na pierwszym slajdzie ukazała się ziarnista fotografia przedstawiająca jakiegoś mężczyznę. Nie było widać jego twarzy, ale dało się w prosty sposób scharakteryzować wygląd: wielkolud w drelichowym kombinezonie.

– Czy zgadzacie się z tym, że poszukujemy potężnego mężczyzny, który potrafi wkomponować się w otoczenie? – zapytał Szczebiot i poczekał na pierwsze kiwnięcie głową, którym uraczył go Witold. – Że jest to człowiek, który mógł przebrać się za montera, kominiarza albo listonosza, żeby bez wzbudzania podejrzeń dostać się do mieszkania

Bułęckiej? Że mógł mieć ze sobą dużą sportową torbę, plecak albo worek, w każdym razie coś, w czym dałoby się przetransportować strój, materiały do wygłuszania pomieszczenia, siekierę i Bóg wie co jeszcze? I że komuś, kto dopuścił się takiej zbrodni, ciężko byłoby po wszystkim spokojnie iść ulicą, nawet jeśli ma w tego typu działaniach pewną wprawę? – Zerknął na Kawęckiego, który nie okazywał przesadnego zainteresowania, a właściwie wydawał się zupełnie ignorować jego wywód. – Na tej prezentacji – naczelnik wycelował markerem w obraz na ścianie – znajdują się zdjęcia mężczyzn, którzy pasują do tej charakterystyki. Nie są one najwyższej próby, ale nic lepszego nie mamy. Fotografie pochodzą z kamer przemysłowych zamocowanych na budynkach sąsiadujących z kamienicą, w której mieszkała ofiara, oraz przy gmachu Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego. Zostały zrobione w tygodniu, w którym Bułęcka została zamordowana. A więc wtedy, kiedy występuje największe prawdopodobieństwo, że zabójca mógł się załapać na fotkę.

– Czy dobrze rozumiem, że ktoś w skupieniu przejrzał kilkaset godzin nagrań? – zdziwił się Witold.

– To owoc wyteźzonej pracy kilkunastu osób. Waszych kolegów z sąsiednich wydziałów oraz kilku wolontariuszy, którzy zgłosili się do pomocy. A także mojej. – Szczebiot, wyraźnie z siebie zadowolony, uśmiechnął się do zespołu. – Macie tu ponad dwieście zdjęć oraz krótkich materiałów wideo, których bohaterami są mierzący ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów mężczyźni, ubrani w robocze stroje albo mający ze sobą duże torby lub plecaki. Chcę, żebyście uważnie się im przyjrzel, a następnie przetrząsnęli nasze bazy danych i wypytali o nich znajomych Bułęckiej, jej rodzinę i każdego, kto przyjdzie wam do

głowy. Jeśli nasze założenia są słuszne, istnieje duże prawdopodobieństwo, że któryś z tych facetów jest zabójcą.

Nie dziękujcie mi, pomyślał Szczebiot. Wyłączył prezentację i zaczął zbierać notatki, dając policjantom znak, że odprawa dobiegła końca. Usłyszał szuranie krzesel. Podniósłszy głowę, zobaczył Kawęckiego, który toczył się w stronę tablicy, powłócząc nogami. Kiedy siedział, nie wydawał się Szczebiotowi aż tak nawalony.

Komisarz sięgnął po marker i obok wypisanej na tablicy liczby nabazgrał jeszcze jedną. Zerknął na Szczebiota i odłożył pisak na stół. Bez słowa poczłapał do drzwi.

Naczelnik odprowadził go wzrokiem, a następnie spojrzął na tablicę. Siedemdziesiąt trzy. Podrapał się po głowie. A potem zaczął liczyć.

Tyle dni minęło od zabójstwa Magdy.

Tyle dni mogło minąć od początku końca jego świata.

Witoldowi zdarzało się podejmować decyzje, których nie potrafił logicznie wytłumaczyć. Jak wtedy, gdy zapalił papierosa w salonie na kilka minut przed powrotem Edyty, choć wiedział, że ją tym rozwścieczy. Albo gdy wielokrotnie obiecywał jej, że wróci z pracy o ludzkiej porze, mimo że od początku graniczyło to z cudem. Albo gdy po tygodniu ostentacyjnego okazywania żonie braku uwagi próbował zainicjować długo odwlekaną rozmowę o ich małżeństwie, nieustannie komplikowanym kłótniami o podział obowiązków, wzajemnymi oskarżeniami i obustronnymi wybuchami gniewu.

Nie potrafił wytłumaczyć także tego, dlaczego zgodził się odwiedzić Kawęckiego. I to nie do domu, lecz do baru. Nie po pracy, tylko w środku dnia. Jedyne wyjaśnienie, jakie przychodziło mu do głowy, to

chęć zminimalizowania szkód, które Kawęcki mógłby wyrządzić, gdyby został na komendzie. Sobie, jemu i wszystkim wokół.

Dopiero w drodze Witold zrozumiał, że to był fatalny pomysł. Próbował porozmawiać z Kawęckim o prokuratorze Wardze. O tym, jak można mu się dobrać do skóry. Ale zamiast tego wygłosił niewiele wnoszący do sprawy monolog, którego Kawęcki jedynie biernie słuchał. O ile słuchał. Przez większość drogi trzymał bowiem w ustach papierosa, prawie się nim nie zaciągając, i bawił się pięciozłotową monetą, którą nieudolnie przekładał między trzęsącymi się palcami. A skoro nie zaprzętał sobie głowy dymem szczypiącym go w oczy, trudno było przypuszczać, żeby zwracał uwagę na słowa kolegi.

Witold zaparkował przed wejściem do Soboty, na niewielkim wyłożonym kostką parkingu, który niemal w całości pokrywało pokruszone szkło. Wyłączył silnik. Opuścił szybę i zapalił papierosa. Spojrzał na Kawęckiego. Komisarz dał sobie spokój z przekładaniem monety. Teraz ją podrzucał. Wystrzeliwał z kciuka i chwycił w otwartą dłoń. Robił to z niemal obsesyjnym zainteresowaniem. Jak dzieciak, który po raz pierwszy zobaczył grę komputerową. Witold nie miał pojęcia, jak lekarze mogli mieć wątpliwości, czy Kawęcki cierpi na zespół Aspergera. Dla niego sprawa była jasna.

– Mógłbyś przestać? – spytał.

Kawęcki zerknął na niego, a potem po raz kolejny wystrzelił monetę.

– Orzeł – powiedział. – Czwarty raz z rzędu.

– Jeśli spróbujesz wyrzucić go po raz piąty, wsadzę ci tę monetę w dupę. Dwa razy. Najpierw awersem, potem rewersem.

Komisarz przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad słowami Witolda. Albo nad czymś innym. W każdym razie milczał, gapiąc się na

pięciozłotówkę.

– Wiesz, że podczas rzutu monetą szanse nie wynoszą fifty-fifty? – odezwał się w końcu. – Jest nieznacznie większe prawdopodobieństwo, że wypadnie ta strona, która na początku znajduje się na górze. Statystycznie bowiem ciut dłużej przebywa w zwycięskiej pozycji. To jej daje minimalną przewagę: pięćdziesiąt jeden do czterdziestu dziewięciu procent. – Kawęcki uniósł pięciozłotówkę na wysokość oczu i uważnie ją obejrzał. – Wiesz, że już w starożytnym Rzymie rozstrzygano niektóre kwestie za pomocą rzutu monetą?

– Nie wiedziałem. I prawdę mówiąc, gównu mnie to obchodzi.

– Przez wiele wieków ludzie żyli w przeświadczeniu, że rzucając monetą, oddają swój los w ręce siły wyższej. Ostatecznej, bezbłędnej sprawiedliwości. – Kawęcki zaśmiał się pod nosem, jakby opowiedział dowcip, który tylko on zrozumiał. – Nie mieli pojęcia, że Bóg matematyki woli awers.

Witold odwrócił się do Kawęckiego.

– Możemy w końcu pogadać o Wardze? – spytał, wydmuchując mu dym prosto w nos.

– Nie ma o czym. Nic na niego nie mamy. Nasze słowo przeciwko jego.

– Zeznania Mai Zielińskiej, kilku prawników i dwóch policjantów, którzy zgromadzili sporo poszlak, to nie jest nic.

– Dla każdego sędziego będą to jedynie słowa ćpunka, paru skompromitowanych papug i dwóch wątpliwej reputacji psów. Potrzebujemy kogoś, kto wejdzie do środowiska tych zboczeńców i zdobędzie twarde dowody.

Witold parsknął.

– Nie sędę, żeby ustawiła się kolejka chętnych.

Długo milczeli, szukając w głowie odpowiedniego kandydata. Albo innego rozwiązania. Ciszę przerwał Kawęcki, który ponownie wprawił monetę w ruch. Po trzecim wyrzucie Witold złapał pięciozłotówkę w locie. Najpierw zniknęła w jego wielkiej pięści, a potem w kieszeni spodni.

– Potrzebujemy kogoś, kto będzie czuł się naturalnie wśród tego typu ludzi – powiedział Kawęcki, a następnie zapalił szluga, żeby zająć czymś ręce. – Intelktualisty. Gogusia wysoko umocowanego na drabinie społecznej. Faceta, który lubi sobie przyćpać albo poruchać za pieniądze. Kogoś szczerze przekonanego, że jest lepszy od innych. I że dzięki temu wolno mu więcej. Jedynie komuś takiemu będą w stanie uwierzyć, że jest fanem dzieciaków, którym jeszcze nie powypadały mleczaki. – Wypuścił nosem dym. – Znam kogoś takiego. Ty zresztą też.

Witold potrzebował paru sekund, żeby zrozumieć, kogo ma na myśli.

– Nie ma mowy – zaprotestował.

– To najlepszy kandydat.

– Już raz go naraziłeś.

– Dlatego możemy to zrobić ponownie. Zwłaszcza że on nie ma nic do stracenia.

– Poza życiem. Chcesz wpuścić cywila do środowiska zwyrodnialców. Bardzo wpływowych degeneratów, którzy nie cofają się przed niczym. Myślisz, że nie odważą się go odstrzelić, kiedy się zorientują, co tam robi?

– Nie wiem. Nie dowiemy się, dopóki tego nie sprawdzimy.

– Nie zgadzam się.

– W takim razie mamy remis. Jeden do jednego. Potrzebny nam jest decydujący głos.

Kawęcki wycelował palcem w kieszeń Witolda. Uśmiechnął się.

– Naprawdę chcesz w ten sposób o tym zadecydować? – spytał Witold.

– A masz lepszy pomysł?

Nie miał. Wiedział tylko, że ten jest fatalny. Mimo to wyciągnął z kieszeni monetę.

Początek końca z reguły trwa ułamek sekundy. Następuje wraz z wybrzmieniem niefortunnie dobranego słowa. Albo w chwili nieopatrznie wykonanego gestu. Czasem w momencie wyprowadzonego z zaskoczenia ciosu lub strzału. Ale zdarza się też, że trwa w nieskończoność. Jak film, w którym przeciągnięto suspens. Jak dowcip bez puenty. Albo seks bez happy endu.

Ten początek końca Szczebiota nie należał do najbardziej dynamicznych. Rozpoczął się w ustach Bartosza Adamskiego, przetrzymujących kawę, jakby była kleistą zawiesiną. Albo w jego błękitnych oczach, którymi trochę go oceniał, a trochę rozglądał się po kawiarni. Ewentualnie w jego trudnym do zniesienia, na wskroś amerykańskim sposobie bycia. Adamski przypominał Szczebiotowi filmowe połączenie kowboja z licealną gwiazdą futbolu amerykańskiego. Trochę słuwał tytoniem, a trochę narzekał na zbyt słaby poncz na balu maturalnym. Trochę przepuszczał kobietę w drzwiach, racząc ją skinieniem kapelusza i przeciągłym *ma'am*, a trochę znęcał się nad słabszymi, naciągając im majtki na głowę. Trochę zgrywał zbuntowaną, samotną duszę, a trochę posuwał królową balu.

– Zrobiłeś to, o co cię prosiłem? – zapytał go Szczebiot.

Adamski przełknął w końcu kawę i poprawił zaczesane na bok jasne włosy. Uśmiechnął się, ukazując dokładnie tyle zębów, ile należy, żeby dobrze wypaść na zdjęciu.

– Tak – powiedział.

– I co?

– I nic. To nie on. – Adamski wygładził zagięcia koszuli na ramionach i oparł łokcie na stole. – Sprawdziliśmy go. Tak dokładnie, jak tylko się dało. Nie zrobił tego. To nie on jest zabójcą.

Szczebiot odchylił się na krześle. Westchnął. Próbował wyczytać z twarzy Adamskiego, co on rozumie przez „tak dokładnie, jak tylko się dało”, ale dostrzegł na niej wyłącznie pogardę. Wobec siebie. Wobec wszystkiego, co sobą reprezentował.

– Sprawdziliście, co robił w dniu porwania Magdy? Albo kiedy trwały jej poszukiwania? Dowiedzieliście się, gdzie był w nocy, gdy została zamordowana? Co to w ogóle znaczy, że sprawdziliście go tak dokładnie, jak tylko się dało?

Adamski podniósł dłoń, żeby uciszyć Szczebiota.

– Dokładnie to, co powiedziałem – odparł. – Twój chłoptaş chodzi własnymi ścieżkami. Jest samotnikiem. Raczej nie spotyka się ze znajomymi. Nie bywa zbyt często w miejscach publicznych. Nie mówi sąsiadom „dzień dobry” ani „dobry wieczór”. Ale mimo to udało nam się ustalić kilka faktów. Między innymi to, że wieczór, w którym porwano Giętką, Kawęcki przesiedział w swoim mieszkaniu. I że większość czasu, jaki upłynął od jej zaginięcia do znalezienia zwłok, spędził w towarzystwie Witolda Ptaka. Noc jej zabójstwa także. I nie, nie jebali się, tylko pili na umór. Chociaż w zasadzie cholera ich wie.

– Skąd masz te informacje? Domyślam się, że nie od Witolda.

– To efekt rzetelnej policyjnej pracy. Słyszałeś o czymś takim?

Adamski uśmiechnął się do Szczebiota. Wystarczająco złośliwie i zuchwale, by zasłużyć na złamanie nosa.

– Masz dla mnie raport? – spytał Szczebiot.

Blondyn ponownie sięgnął po kawę. Pociągnął spory łyk. Tym razem przełknął napój bez ociągania.

– Masz świadomość, że jeśli powinie ci się noga, zajmę twoje miejsce? – zapytał, uśmiechając się chytrze. – Tylko dlatego ci pomogłem. Uznałem, że dobrze będzie już teraz poznać nieudaczników, których pod sobą wyhodowałeś. Zacząłem od największego i najgroźniejszego z nich. Od Kawęckiego.

Szczebiot nie był tym zaskoczony. Zdziwiłby się dopiero, gdyby Adamski pomógł mu z dobroci serca. Mimo to, słuchając jego pyszałkowatego wywodu, miał ochotę rozkwasić mu twarz. Zamiast tego kilkoma nerwowymi łykami opróżnił filiżankę. Odstawił ją na podstawkę. Zaczął strzelać palcami. Przestał, gdy zobaczył, że drwiący wzrok Adamskiego spoczął na jego dłoniach.

– Chyba nie sądziłeś, że zgodziłem się zostać szefem zespołu zajmującego się sprawą Giętkiej, bo pragnę być bohaterem. Bo kierowała mną chęć niesienia dobra, zawodowa solidarność albo coś w tym stylu. Zrobiłem to, ponieważ jestem ambitny. I wiem, jak przekuć ambicję w sukces.

Adamski odwrócił się za kelnerką, która ich minęła. Kiedy wróciła, podał jej swoją filiżankę i posłał całusa. Ale zamiast go odwzajemnić, dziewczyna związała do baru jak spłoszone zwierzę.

– Nie ma żadnego raportu. Żadnych notatek. Żadnego dowodu na to, że ci w czymkolwiek pomogłem. Żadnej nici, która w jakikolwiek sposób by nas łączyła. Nie jestem głupi. Nie zamierzam bratać się z facetem, który praktycznie jest już zawodowym trupem.

– O czym ty mówisz?

Adamski roześmiał się i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Nie zaświeciła ci się lampka ostrzegawcza, kiedy komendant kazał ci okroić zespół szukający zabójcy Bułeckiej? Albo gdy powiedział, że masz zrobić porządek z innymi rozgrzebanymi sprawami?

– Skąd o tym wiesz?

– Bo dobrzy policjanci wiedzą, co się dzieje pod ich nosem. I potrafią wykorzystywać nadarzające się okazje.

Kelnerka przyniosła im rachunek i pospiesznie się wycofała.

Adamski wyciągnął portfel i odliczył kwotę. Co do grosza, nie było mowy o napiwku. Szczebiot, przyspawany do oparcia, bezradny, przegrany, uważnie śledził każdy jego ruch.

– Nie zazdrozczę ci – powiedział Adamski, poprawiając fryzurę. – Z jednej strony powinieneś kibicować zespołowi, który szuka zabójców twojej policjantki. A z drugiej wolałbyś, żebyśmy to spierdolili, bo myślisz, że wtedy mógłbyś jeszcze jakoś uratować swoją pogruchotaną karierę. – Wstał i poprawił koszulę. – Widzę, że jesteś zdołowany. I wściekły. Gdybyś tylko mógł, wyrządziłbyś mi krzywdę. Ale gdy się nad tym porządnie zastanowisz, zrozumiesz, że nie masz ku temu powodu. – Blondyn wzruszył ramionami. – W końcu wszyscy jesteśmy jedną wielką dysfunkcyjną rodziną.

Blondyn przeszedł obok Szczebiota. Pomachał do kelnerki, która chowała się za barem, starając się ze wszelkich sił go ignorować.

Zarzucił marynarkę na ramię i wyszedł z lokalu.

– Zdziwiłem się, gdy do mnie zadzwoniłaś – powiedział Piotrek Wochoński.

– A co w tym dziwnego? – spytała Alicja.

– No wiesz, nie byliśmy sobie szczególnie bliscy. Nie spotykaliśmy się po pracy. Nie chodziliśmy na lunchy. Większość naszych rozmów dotyczyła roboty: przerzucania depech z PAP-u, obdzwaniania służb, szukania tematów. Prawdę mówiąc, sądziłem, że za mną nie przepadasz.

– Poważnie?

Piotrek wzruszył ramionami. Rozejrzał się po niewielkiej kawiarni na Piotrkowskiej, zaszytej głęboko w jednej z bram, jakby chciała się ukryć przed klientami. Wystrój lokalu – siedzenia ze skrzynek po owocach, kanapa z odzysku, kapsle od piwa powgniatane w ściany – jednoznacznie wskazywał, że właściciel jest ekscentrycznym designerem. Z oryginalnym gustem i raczej skromnym budżetem.

– Serio. Miałem wrażenie, że nikogo nie lubisz.

– No cóż – westchnęła Alicja. – Gdyby odjąć wszystkich dupków z przerośniętym ego, których szczerze nie znoszę, zostałyby w redakcji ze trzy osoby. Ale ty byłbyś w tej trójce.

Wochoński uśmiechnął się i głośno siorbnął łyk gorącej kawy. A więc nie wszystko się zmieniło, pomyślała Alicja. Kiedy pracowała w „Expressie Łódzkim”, Piotrek zwykle był pierwszą osobą, którą spotykała w redakcji. Siedział przy biurku przypominającym fortecę wzniesioną z puszek po coli i energetykach, bujając się w rytm jakichś skretyniałych popowych hitów i siorbiąc kawę. Wtedy ją to drażniło.

Zwiastowało nadejście kolejnego nudnego biurowego dnia, spędzonego w towarzystwie bucowatych dziennikarzy, opryskliwych redaktorów i emocjonalnie zdezelowanych grafików. Pośród nihilistycznych gnojków przekonanych o swojej wyjątkowości. W środowisku, w którym niewymuszona uprzejmość uchodziła za ciężki grzech.

Kiedy Alicja żegnała się z redakcją, nie czuła żalu, lecz ulgę. Miała wrażenie, że uwalnia się od systemu, który nie powstał z myślą o ludziach podobnych do niej. Ale po kilku tygodniach pracy nad reportażem, podczas których każdy dzień przynosił coś niespodziewanego, dałaby wiele, żeby odzyskać tamtą normalność. Nudę. Szarość. Żeby codziennie rano słyszeć to cholerne siorbanie.

– Komu obiecałaś, że wyskoczysz z nim na piwo? – spytał Piotrek.

– Szczerze? Wszystkim. Pomyślałam, że jest to wpisane w biurowy *savoir-vivre*.

– Sprytnie. W ten sposób oznajmiasz ludziom, których masz kompletnie w dupie, że nie zdążyłaś ich znienawidzić. Potem wyciągasz jednego z tych dupków na piwo, aby ci powiedział, że po twoim odejściu wszystko zmieniło się na gorsze.

– To nie tak. Poza tym nie wyszliśmy na piwo. – Alicja wzniosła toast cappuccino. – Ale skoro już wywołałeś wilka z lasu, to opowiedz, co się spieprzyło po moim odejściu.

– Jeszcze nic. Ale ten stan rzeczy długo się nie utrzyma. Ptaszki ćwierkają, że Kornelia lada dzień podsiądzie Bachniarza na stołku naczelnego.

Alicja nie była tym zaskoczona. Uważała Kornelię Lemiesz za wstrętne korporacyjnego gracza, który do perfekcji opanował umiejętność wspinania się po cudzych plecach. Była nędzną

dziennikarką, ale za to świetną aktorką i mistrzynią intrygi. Doskonale wiedziała, komu trzeba się podlizywać na firmowych imprezach i czyje posty lajkować na Facebooku, żeby dorwać się do koryta. W ciągu kilku lat awansowała z szeregowej dziennikarki na szefową działu miejskiego. Niedługo później została zastępczynią redaktora naczelnego. Alicja nawet przez chwilę nie miała wątpliwości, że to ona podsiądzie Marka Bachniarza, którego dni w „Expressie” były policzone, odkąd zgodził się puścić jej tekst.

– I tak nieźle się trzyma – powiedziała.

– Bachniarz? Coś ty. Wie, że spada w przepaść. Jest cieniem samego siebie. W zasadzie już go nie widzimy w newsroomie. Pewnie przez większość czasu łązi po redakcjach i próbuje nakręcić sobie robotę.

– Mówił, że mi też pomoże. Miał mnie zarekomendować paru swoim znajomym.

– Wiesz, jak jest. Rynek się kurczy.

– Słyszę to, odkąd zaczęłam pracę.

– Bo to prawda. Mam kumpla, który twierdzi, że w ciągu dziesięciu lat jego wynagrodzenie skurczyło się o pięćdziesiąt procent. Pięćdziesiąt procent! – Piotrek pokręcił głową. – Spieprzyliśmy sprawę, wybierając ten zawód. A teraz już nie ma odwrotu.

– Jest – odparła Alicja. – Choć alternatywa także wiąże się z rzeźbieniem w gównie.

– Masz na myśli pisanie reportaży?

– Chociażby.

– To nie dla mnie. Ja jestem dobry w podkręcaniu tytułów, przerabianiu depeesz, profilowaniu nagłówków pod wyszukiwarki. Ale

rozmawianie z ludźmi i grzebanie w śmierdzących sprawach to nie dla mnie.

– Skąd wiesz?

– Z autopsji. – Piotrek odgarnął grzywkę, żeby podrapać się w środek czoła. – Kiedy wyjawiaś, z jakiego powodu Bachniarz cię wyrzucił, trochę w tym pogrzebałem. Po części dlatego, że było mi cię żal, a po części z obawy o własną dupę. Chciałem dowiedzieć się jak najwięcej o ludziach, którzy trzęsą redakcją.

– I co?

– Wspominałaś, że Zygmunt Woźniak, prezes naszego wydawnictwa, raz w tygodniu grywa w squasha z komendantem Januszem Dębciem.

– Tak mi powiedział Bachniarz.

– To chyba cię okłamał albo nie był zbyt precyzyjny. – Piotrek siorbnął kawę, jakby chciał połknąć napój razem z kubkiem. – Dwa lata temu Woźniak zerwał więzadła w kolanie. Podobno od tego czasu nie biega nawet na spotkania zarządu.

– Bachniarz mógł mieć nieaktualne informacje.

– To nie wszystko. Pamiętasz firmę, którą założyli synowie Dębca i Woźniaka? Ten start-up, który miał wypuścić na rynek jakieś oprogramowanie dla niewidomych?

– Co z nim?

– Według mnie to wydmuszka. Spółka powołana po to, żeby wyciągnąć kasę z Unii. Albo kompletnie nieudany projekt biznesowy. Minęły już cztery lata, odkąd założyli firmę. W tym czasie pozyskali pieniądze z kilku źródeł i polansowali się trochę w mediach, ale jeszcze nie zaprezentowali swojego oprogramowania. Nie pokazali nawet jego

wersji beta. Nie wiadomo, czy w ogóle nad nim pracują. – Wochoński wyciągnął telefon i pokazał Alicji kilka fotografii. – Pojechałem do siedziby tej firmy, ale nie zastałem tam nikogo oprócz znużonej asystentki zarządu, która opiekowała się pustym biurem. Żadnych programistów, sprzedawców czy marketerów. Nikogo, kto by próbował stworzyć ten produkt albo wypchnąć go na rynek. – Piotrek po raz kolejny odgarnął grzywkę i rozejrzał się na boki, jakby się spodziewał, że ktoś może ich obserwować. – Co więcej, młody Woźniak chyba wymiksował się z tej firemki. Już nie figuruje w KRS-ie jako jej udziałowiec. Nie pełni też żadnej funkcji w zarządzie.

Alicja machinalnie pokiwała głową. Pochyliła się nad kawą, niemal zanurzając w niej końcówki włosów. Dopiero gdy Piotrek kilkakrotnie strzelił palcami, wyrwała się z odrętwienia.

– Bardzo ci dziękuję za to, co zrobiłeś – powiedziała.

– Przecież nic nie znalazłem. Żadnych interesujących powiązań pomiędzy komendantem a prezesem.

– Właśnie to jest najciekawsze. Skoro Woźniak i Dębiec wcale nie są przyjaciółmi, a ich synowie to oszuści albo skłóceni partnerzy biznesowi, prezes nie miał żadnego powodu, żeby chronić komendę. – Alicja odchyliła się na krześle i skrzyżowała ręce na piersi. – To wszystko jest zbyt proste. Zbyt oczywiste. Wygląda to tak, jakby Woźniak celowo podsunął nam to wytłumaczenie. Wiedział, że wyda nam się na tyle obrzydliwe i wiarygodne, że nie wzbudzi niczyich podejrzeń. – Ciężko westchnęła. – Musiałam podpaść tym tekstem komuś wysoko postawionemu. Jakiemuś decydentowi w policji albo prokuraturze. Ale nie Dębcowi.

– Nie?

– Raczej komuś, kogo komendant się boi.

Piotrek przekrzywił głowę.

– Nie wydajesz się zaskoczona tym, co ci powiedziałem.

Alicja uśmiechnęła się do niego.

– Przyjrzałam się związkom Dębca i Woźniaka zaraz po tym, jak Bachniarz oznajmił, że muszę odejść. Doszłam do podobnych wniosków jak ty. Wtedy sądziłam, że przemawia przeze mnie gniew. Albo że popadam w paranoję. Dzięki tobie wiem, że jest inaczej. – Wyciągnęła przed siebie ręce i nakryła nimi dłoń Piotrka. – Mógłbyś być naprawdę niezłym reporterem. Albo dziennikarzem śledczym.

Chłopak się zaczerwienił. Pokręcił głową, jakby chciał odłączyć ją od tułowia.

– Podkręcanie tytułów, przerzucanie depeesz, wyszukiwanie newsów. To moja działka. Kiedy pojechałem do firmy tych wymoczków, myślałem, że się zesram w portki ze strachu.

– Ale się nie zesrałeś.

– Było blisko. Obiecałem sobie, że już nigdy więcej nie zrobię takiej akcji. A na pewno nie w białych spodniach.

Alicja roześmiała się. Musiała przyznać, że jest kilka rzeczy, których brakuje jej po odejściu z redakcji. Myślała o nich przez chwilę, po czym zaczepiła kelnera i poprosiła o rachunek.

Myśli o upadku intensyfikują się zwłaszcza w tych momentach, w których rzeczywiście jesteś go bliski. Na przykład gdy znajdujesz się w pozycji vasisthasana. Kiedy opierając się wyłącznie na wyprostowanej ręce oraz stopie, unosisz drugą nogę w kierunku sufitu i chwytasz

wolną ręką za palce u stóp. Jakbyś chciał zrobić boczną deskę, przy okazji maksymalnie ją sobie utrudniając.

Szczebiot dopiero niedawno nauczył się tej pozycji. Był jedynym facetem w swojej grupie na jodze, któremu się to udało. Dwaj pozostali nawet nie chcieli spróbować. Był z siebie dumny. A przynajmniej zadowolony. Ale teraz nie miało to dla niego żadnego znaczenia.

Od kilku godzin myślał o słowach, które usłyszał od komendanta Janusza Dębca. I o spotkaniu z Bartoszem Adamskim, który potrzebował zaledwie kilku minut, żeby zetrzeć w pył jego wyobrażenie o świecie. Myślał o rozdźwięku między tymi dwiema rozmowami. O kłamstwach, które popłynęły z ust jednego z nich – Dębca, gwarantującego mu, że mimo tych wszystkich problemów może czuć się niezagrożony, albo Adamskiego, który twierdził, że jego dni w roli naczelnika są już policzone.

Nie miał pojęcia, jak sytuacja się rozwine, ale jego wewnętrzny głos wypluwał wyłącznie negatywne scenariusze. Te, w których pozostaje bez pracy i środków utrzymania. Z niespłaconym kredytem hipotecznym na karku. Z żoną, która przez lata łykała jego opowieści o karierze w policji, a której teraz będzie musiał wytłumaczyć, że wszystko wzięło w łeb. Z córką wchodzącą w wyjątkowo wkurwiający okres dojrzewania. Z bagażem doświadczeń, który prawdopodobnie nie pozwoliłby mu wrócić do normalnego, niepolicyjnego życia. Zresztą nawet nie wiedział, jak ono wygląda. Nie miał okazji go poznać. Panicznie bał się tego, że nie potrafiłby się w nim odnaleźć. Nie wierzył, że introwertykowi z nerwicą natręctw mogłoby się to udać. Nie teraz. Nie po tych wszystkich latach, które przepracował jako pies.

Z tych smętnych rozważań wyrwało go trzaśnięcie drzwiami. Nie mogąc dłużej utrzymać pozycji, opadł na matę. Podniósł głowę. Wyrosła przed nim jakaś postać. Upiór, który pasował do sali jogi jak pięść do nosa.

– Ładne spodnie – powiedział Kawęcki, celując palcem w legginsy Szczebiota. Potem machnął ręką do tyłu. Prawdopodobnie próbował wskazać drzwi. – Myśleli, że jestem bezdomnym.

Szczebiot, regulując oddech i wyłapując przerażone spojrzenia ćwiczących obok niego kobiet, próbował zrozumieć, co tu się właśnie wydarzyło.

– Jak ich przekonałeś, że nie jesteś? – zapytał, gdy nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

– Nie przekonałem.

Chwilę później do sali wparowali dwaj barczyści faceci w koszulkach tak ciasnych, że ledwo obejmowały ich bicepsy.

– Zostawcie go! – krzyknął Szczebiot, zanim siłacze zdążyli zrobić Kawęckiemu krzywdę. – On jest chory. Upośledzony. Wyprowadzę go stąd.

Chwycił Kawęckiego pod ramię i pociągnął go za sobą. Niczym niesfornego manekina, który próbował wymknąć się z wystawy.

Kiedy wyszli z klubu, posadził go na betonowym murku. Stał obok niego, pochylił się, oparł ręce na kolanach i zaczął dyszeć. Co jakiś czas zerkał na Kawęckiego, który próbował wcelować papierosem do ust.

– Siedź tutaj – powiedział Szczebiot. – Wykąpię się i do ciebie przyjdę.

Kawęcki kręcił głową. Jak dziecko, które nie chce pójść spać przed północą.

– Wysłuchaj mnie – wybełkotał. – Teraz.

Szczebiot mu się przyjrzał. W jego spuchniętej czerwonej mordzie, którą przez większość życia miał ochotę pokancerować, dostrzegł coś, co kazało mu zostać.

I wtedy się zaczęło.

Kawęcki opowiedział Szczebiotowi o wszystkim. O prawnikach, z którymi rozmawiali z Witoldem. O Mai Zakrzewskiej. O policjancie z Archiwum X i wizycie w Gostyninie. O księdzu widzianym w mieszkaniu Bułeckiej. O spotkaniu z proboszczem i jego złodziejskim podwładnym. O tym, że od kilku tygodni nęka bliskich kobiet zamordowanych przed laty. A także o Alicji Mioduszewskiej i Jakubie Możejce, których wciągnął do śledztwa.

Szczebiot wysłuchał do końca jego bełkotliwego monologu, przerywanego niekontrolowanym bekaniem i czkaniem. A potem przez kilkadziesiąt sekund trawił te słowa. Czuł się jak człowiek, który choć właśnie się dowiedział, że stracił kogoś bliskiego, nie był w stanie wycisnąć z oczu łez.

– Mówisz, że współpracujesz z dziennikarką, która nas ośmieszyła, i facetem jeszcze niedawno uważanym za głównego podejrzanego?

Kawęcki pokiwał głową. W tym momencie tylko tyle był w stanie zrobić.

– Witold o tym wie?

– Nie.

– Dlaczego mu nie powiedziałaś?

– Bo nie chcę go narażać.

Szczebiot próbował zrozumieć, co ma na myśli. Kiedy w końcu w jego głowie zapaliła się lampka, Kawęcki poderwał się z murku i zatoczył się w jego stronę. Stanęli twarzą w twarz.

– Chciałbym, żebyś o pewnych rzeczach wiedział tylko ty. Z kilku powodów. Ale przede wszystkim dlatego, że jesteśmy ze sobą nierozzerwalnie złączeni. Jak syjamskie bliźniaki, które się szczerze nienawidzą.

Szczebiot chciał powiedzieć, że czuje do niego głównie żal, a nie nienawiść, ale się powstrzymał. Może jednak Kawęcki miał rację.

– Sprawdzam twoją lojalność – powiedział komisarz.

Szczebiot głośno prychnął.

– Ty? Moją? – Zrobił pół kroku w stronę Kawęckiego. Prawie zetknęli się czołami. – Jesteś durnym skurwysynem, który wyłącznie dzięki mnie utrzymuje się jeszcze na powierzchni.

Kawęcki odpowiedział mu pijackim uśmiechem.

– Możliwe. Ale jeśli zniknę, znikniesz razem ze mną. Jeżeli ktokolwiek dowie się o tym, co ci przed chwilą powiedziałem, doprowadzę do tego, że dowie się także o czymś jeszcze. O czymś znacznie gorszym.

Kawęcki wyrzucił papierosa, który w większości wypalił się sam, kiedy trzymał go między palcami. Szczebiot odprowadził go wzrokiem, gdy staczał się z niewysokich schodów. Patrząc na jego płaczące się nogi, miał wrażenie, że w otaczającym go świecie wszystko zrobiło się poplątane. Pogmatwane. Powiązane. Kompletnie popierdalone.

Czuł się jak postać z kreskówki, nad którą od pewnego momentu wisiała pojedyncza czarna chmura. Wyjątkowo upierdliwa, nieodstępująca go na krok. Nieustannie lejący się z niej deszcz

ograniczał mu widoczność. Do tego stopnia, że Szczebiot nie miał szans się zorientować, że właśnie wyrosła przed nim przepaść.

Sierpień

– Widziałeś najnowszy ranking najszczęśliwszych krajów świata? Nazywa się World Happiness Report.

Filipski przyglądał się Kawęckiemu w taki sposób, w jaki ludzie zdrowi zwykle przyglądają się osobom chorym psychicznie. Z mieszaniną trwogi, niepewności i współczucia. Ze wzmożoną czujnością oraz lękiem, do którego nie chcą się przyznać. Wiedząc, co może za chwilę nastąpić, odłożył notatki i z rękoma splecionymi na klatce piersiowej rozsiadł się wygodnie na krześle. Zerknął na zegarek. Miał nadzieję, że dokądkolwiek Stelmach polazła, szybko stamtąd wróci. Przebywanie sam na sam z tym człowiekiem nie było czymś, co sobie wymarzył.

– Norwegia, Dania, Islandia, Szwajcaria i Finlandia – wyliczał Kawęcki na palcach jednej ręki. W palcach drugiej tlił się papieros. – To pięć najszczęśliwszych państw na świecie. Tych, w których żyje się najlepiej i najdłużej. Z najwyższym PKB na mieszkańca i świetnym dostępem do opieki medycznej. To kraje, w których bezrobocie jest niskie, swobody obywatelskie są przestrzegane, a korupcja nie stanowi normy. Chciałbyś żyć w którymś z nich?

Filipski odpowiedział obojętnym wzruszeniem ramion.

– Tak myślałem. A wiesz dlaczego? Bo ten ranking jest do bani. Słyszałeś kiedyś o helioterapii?

– Leczenie przez słońce.

Kawęcki przytaknął.

– Średnie nasłonecznienie w Polsce wynosi około tysiąca kilowatów na metr kwadratowy rocznie. Na południu Europy jest dwa razy większe. Jeszcze lepsze wskaźniki mają Afryka i Ameryka Południowa. I to właśnie tam ludzie są najszczęśliwsi, choć żaden ranking tego nie pokaże.

Zgasił peta w kubku po kawie i podniósł wzrok na Stelmach, która właśnie weszła do pomieszczenia. Odświeżona, zwarta, nienadszarpnięta przez życie. Całkowicie inna od niego.

– Oglądasz czasem Discovery? – zapytał Filipskiego, a ten pokręcił głową. – Ja też nie. Ale kiedyś oglądałem. I za każdym razem zwracałem uwagę na to, że gdy pokazywali obrazki z serca Afryki, roilo się w nich od uśmiechów. Od wyszczerzonych białych zębów. I nie miało znaczenia, czy pokazywali tyrającą na polu kobietę, brudnego faceta w podartych portkach czy dziecko, któremu z głodu zaczyna puchnąć brzuch. Wszyscy się uśmiechali. I to raczej nie na widok białego, obzartego człowieka, który ich filmował. A wiesz, dlaczego tak się dzieje? – Filipski ponownie wzruszył ramionami. – Bo w przepisie na szczęście nie ma PKB, fajnych szpitali czy porządnego socjału. Są w nim tak naprawdę tylko dwa składniki. Pierwszy to głupota. Niewiedza. Brak świadomości, kim się jest i jak bardzo dostało się od świata po dupie. A do tego potrzeba jeszcze tylko słońca. – Kawęcki zaśmiał się z własnych myśli. – Żeby być prawdziwie szczęśliwym, trzeba być

pozbawionym elementarnej samoświadomości idiotą, bezmyślnie wystawiającym ryj do słońca. Chyba Bóg inaczej to sobie wyobrażał.

Kawęcki zapalił kolejnego szluga. Następnie przybliżył się do stołu i zaczął stukać zapalniczką o blat.

– Niedobór serotoniny powoduje obniżenie tętna i temperatury ciała – kontynuował. – Spadek nastroju. Smutek i brak apetytu. Wzrost agresji, zmęczenia, a także większą wrażliwość na ból. Słyszeliście o regule trzech „S”?

– Seks, słońce, słodczy – odpowiedziała Stelmach.

Kawęcki pokiwał głową.

– Nie lubię słodczy. Nigdy nie lubiłem, nawet gdy byłem dzieckiem. To – wycelował palcem w nasłonecznioną szybę – jest tylko cholernym wypadkiem przy pracy. W tym pieprzonym kraju nie ma słońca, lecz jego nędzna namiastka, która czasem na zbyt wiele sobie pozwala. A seks od kilku lat jest mi pojęciem obcym. Prawdę mówiąc, nawet nie chce mi się walić konia.

Kawęcki zasepił się, patrząc na policjantów. Jakby oczekiwał, że jakoś skomentują jego słowa. Pocieszą go. Powiedzą, że nie tylko on ma przejebane. Albo chociaż pokiwają głową, udając, że go rozumieją. Że są świadomi, jak głęboko zanurzył się w mule. Ale najwyraźniej byli zbyt zniesmaczeni tym, co usłyszeli, żeby jakkolwiek na to zareagować.

– Wygląda na to, że nigdy nie będę szczęśliwy. Nawet przez chwilę. Nawet przez pieprzony ułamek sekundy. – Kawęcki mocno się zaciągnął i wydmuchnął dym nad głowę. – Ale jak to mówią: nigdy, ale to, kurwa, przenigdy nie mów nigdy. – Przez kilkanaście sekund milczał, mechanicznie uderzając zapalniczką o blat. – To co, wracamy do naszych spraw?

Dwa miesiące wcześniej

Mateusz Pająk długo wpatrywał się w skonstruowaną przez Kawęckiego mapę myśli. Nie mógł wyjść z podziwu, że człowiek, który notorycznie się upadlał, był w stanie stworzyć coś tak misternego. Czymkolwiek to coś było. Podrapał się po łysej głowie, podciągnął zsuwające mu się z tyłka dresy i odwrócił się do Kawęckiego, który majstrował przy włączniku światła.

– Potrzebuję pieniędzy – powiedział. – Najlepiej jeszcze dzisiaj.

Kawęcki zachowywał się tak, jakby go nie słyszał. Pociągając co kilka sekund piwo z puszki, wpatrywał się w żarówkę, która nie chciała się zaświecić.

– Odcieśli mi prąd – powiedział.

– Może żarówka się spaliła albo korki wywaliło? – zasugerował Pająk.

– Raczej chodzi o coś innego.

Kawęcki wycelował palcem w sterty papierów walające się po podłodze. Tworzyły je przeterminowane awiza, rachunki, monity i wezwania do zapłaty. Któryś ze świstków musiał być przypomnieniem, że zalega z opłatą za prąd.

– Tak czy inaczej, potrzebuję hajsu – odezwał się Pająk. – Tego, który mi wiesz.

– Nie mam pieniędzy.

Chłopak parsknął, a następnie zapalił papierosa. Kilka razy zaciągnął się nerwowo, jakby palił go na czas, po czym odłożył szluga na komodę. Ściągnął z twarzy uśmiech i zmarszczył czoło. Gapił się na

Kawęckiego tak, jakby szukał sposobu, aby go jak najdotkliwiej skrzywdzić. Czyli tak, jak zazwyczaj patrzył na ludzi.

Mateusz Pająk wywodził się z rodziny z dużymi tradycjami przestępczymi. Z rodu niezdolnego do resocjalizacji. Niereformowalnego. Takiego, który ludzie radykalni w poglądach na temat genetyki kazaliby eksterminować – dla dobra ogółu. Pająk prawdopodobnie spędziłby większość dorosłego życia w więzieniu, gdyby któregoś dnia nie spotkał na swojej drodze Kawęckiego. Dobrego sąsiada, który parokrotnie uratował go przed odsiadką, oczekując w zamian jedynie tego, że od czasu do czasu Pająk będzie jego chłopcem na posyłki. Ale z biegiem lat ich relacja ewoluowała. Pająk był już nie tylko okazjonalnym pomocnikiem Kawęckiego, lecz także szoferem, ochroniarzem, a nawet kimś w rodzaju Anioła Stróża, który wyciągał zapijaczonego policjanta z najróżniejszych opresji. Na przykład wtedy, kiedy ten leżał nieprzytomny w Lesie Łagiewnickim, z rozbitą głową, wstrząśnieniem mózgu i twarzą zanurzoną w kałuży.

Pająk miał poczucie, że już dawno temu wyrównał rachunki. Że teraz to Kawęcki musi spłacić swój dług. Tyle że z ich dwóch tylko jemu tak się wydawało.

– Jesteś mi winien sporo szmalu – powiedział. – Powiedzmy, że odpuścę ci dawne zobowiązania, ale ostatniego miesiąca nie mogę darować. Dzień w dzień za tobą jeździłem, obserwowałem twoje mieszkanie i wypatrywałem jakichś dwóch karakanów, którzy rzekomo mieli cię śledzić. Chcę dostać za to hajs. Dokładnie tyle, na ile się umówiliśmy.

Pająk stał w przedpokoju i wodził wzrokiem za Kawęckim, który krążył po mieszkaniu, popijając piwo, i sprawdzał wszystkie włączniki

światła, jakby nie mógł się pogodzić z tym, że odcięto mu prąd. W ogóle nie zwracał uwagi na chłopaka. W trakcie tej dziwacznej krzątaniny ani razu na niego nie zerknął.

– Słyszałeś, co powiedziałem? – nie ustępował Pająk.

– Powiedziałem, że nie mam dla ciebie pieniędzy.

– A kiedy będziesz miał?

– Po wypłacie. Jeśli nie wydam wszystkiego na rachunki i swoje potrzeby, to do ciebie zadzwonię. Ale wolałbym tego nie obiecywać.

Pająk podszedł do Kawęckiego, chwycił go za ramię i odwrócił do siebie tak gwałtownie, że ten pochlapał go piwem. Złapał pijaka dwiema rękoma za koszulkę i przycisnął do ściany. Zdziwił się, że udało mu się to zrobić tak łatwo. Jakby popychał powietrze.

– Wiesz, jak to działa – powiedział. – Nie ma szmalu, nie ma ochrony. Nie chcesz uregulować rachunku, dostajesz wpierdol. To dziecinnie proste.

Kawęcki patrzył na niego obojętnym wzrokiem, należącym do człowieka, któremu najwyraźniej jest wszystko jedno. Przecisnąwszy puszkę między trzymającymi go rękoma, przystawił ją sobie do ust.

Widząc, że agresja nie zrobiła na nim żadnego wrażenia, Pająk postanowił go puścić.

– Dostaniesz te pieniądze – powiedział Kawęcki. – Prędzej czy później. Muszę tylko stanąć na nogi.

Chłopak parsknął śmiechem. Rozejrzał się wokół, obejmując wzrokiem otaczający go burdel.

– To mi nie wygląda na stawanie na nogi.

– Larwa też nie wygląda jak motyl.

Kawęcki skrzywił się i złapał za brzuch. Fala bólu niemal zwała go z nóg.

– Co ci jest?

Trzustka, pomyślał. Albo coś innego. Może wrzody żołądka i dwunastnicy. Albo rak. Kawęcki wiedział, że powinien się zająć tymi atakami, ale kiedy ból ustąpił, momentalnie przestał się nimi przejmować.

– Niestrawność – wymamrotał.

Wziął kilka głębokich wdechów. Następnie wyprostował się i napił piwa. Chciał przetestować, czy wszystko jest w porządku. Było. Siorbnął więc kolejny łyk.

– Masz papierosa? – zapytał.

Pająk wziął szluga z komody i parokrotnie się nim zaciągnął. Następnie wycelował palcem w Kawęckiego.

– Masz tydzień. W kolejną sobotę przyjdę po kasę. Jeśli jej nie dostanę, rozpierdolę ci łeb o podłogę. Rozumiesz?

Kawęcki nie rozumiał. Albo udawał, że nie rozumie. W każdym razie opróżnił piwo, zgniótł puszkę i beznamiętnie upuścił ją pod nogi, zupełnie jakby znajdował się na ulicy. Uśmiechnął się. Niczym wariat, który właśnie stracił kontakt z rzeczywistością.

– Pierdol się! – warknął Pająk.

Wystawił środkowy palec i przysunął go Kawęckiemu do twarzy. Zaciągnął się parokrotnie papierosem i wystrzelił peta z palców. Opuścił mieszkanie, trzaskając drzwiami.

Komisarz wszedł do salonu i stanął nad swoją mapą. W ciągu ostatnich paru tygodni przybyło na niej kilkadziesiąt nowych elementów: zdjęcia księży, nazwy i adresy parafii oraz imiona i

nazwiska bliskich zamordowanych kobiet. Ale żaden z nich nie sprawił, że w jego głowie przeskoczyła klepka. Żaden nie popchnął sprawy do przodu. Nie wywołał u niego pozytywnej reakcji, mogącej choćby na chwilę spowolnić proces samozniszczenia, któremu się poddawał. Nie zmniejszył jego ochoty, żeby zapić się na śmierć.

Miał pójść do lodówki, żeby dokonać kolejnego – prawdopodobnie nieudanego – zamachu na swoje życie, gdy zadzwonił jego telefon. Nie podobało mu się nazwisko, które zobaczył na wyświetlaczu. Mimo to postanowił odebrać.

Jakub Możejko i Alicja Mioduszevska przez dobrą minutę wpatrywali się w pstrokaty, brudny szyld, który wisiał nad wejściem do Soboty. Kiedy w końcu odważyli się wstąpić do lokalu, przez mniej więcej pół minuty odpowiadali zdawkowymi uśmiechami na wrogie spojrzenia, jakie rzucali im żłopiący piwo mężczyźni. Kolejne kilkanaście sekund zajęło im wykombinowanie, w jaki sposób powinni usiąść na obskurnych barowych stołkach, żeby dotknąć ich jak najmniejszą powierzchnią ciała. Na koniec potrzebowali paru sekund, aby się przekonać, że Kawęcki, ślęczący nad kieliszkiem wódki, z dziwacznym uśmiechem przylepionym do twarzy, zdaje sobie sprawę, kto się do niego dosiadł.

– Musisz to pić? – zapytał go Możejko.

– To mi dodaje wiary, że to, co robimy, ma sens – odparł Kawęcki. – Poza tym jesteśmy w pubie.

– „Pub” to chyba za dużo powiedziane – zauważyła Alicja, rozglądając się po lokalu. – To raczej speluna. Mordownia. Melina.

Miejsce, do którego chyba tylko ktoś niespełna rozumu mógłby dobrowolnie przyjść.

– Byłem ciekaw, jak zareagują na was lokalsi.

– Na nas?

– Na wymuskanego elegancika w marynarce, z pedalską torbą i jeszcze bardziej pedalskim sposobem bycia, oraz dziewczynę, która nie chce, żeby ktoś wziął ją za dziunię. Swoją drogą, pukacie się już oficjalnie czy jeszcze się z tym kryjecie?

Możejko i Alicja wymienili spojrzenia. Zrobili to jednak zbyt szybko, żeby Kawęcki mógł z tego cokolwiek wyczytać. Nie w tym stanie. Nie z tak dramatycznie spóźnionym refleksem.

– Odkryliście coś nowego? – zapytał, zanim opróżnił kieliszek.

– Nie – odparł Możejko.

– To dlaczego marnujecie mój czas?

– Mamy pewną koncepcję.

Kawęcki przyłożył dłoń do ust. Przez moment wyglądał tak, jakby za chwilę miał puścić pawia, ale potem cofnął rękę i zawołał barmankę. Poprosił ją o piwo. I o kolejną lufę.

– Jeżeli człowiek, którego szukamy, potrafi umiejętnie podszyć się pod księdza, to najprawdopodobniej jest praktykującym katolikiem – powiedział Możejko.

– Powiedzmy.

– Żeby podejść w ten sposób Wiktora Tarasiewicza, musiał zdobyć na jego temat informacje, które nie są powszechnie dostępne. Dowiedzieć się, że jest kleptomaniem. A to może oznaczać, że albo pracował z nim w którejś z parafii, albo bardzo interesował się życiem jednej z nich.

– Dlatego przepytaliśmy kilkudziesięciu księży, wikariuszy i organistów. Żaden nie podsunął nam choćby jednej osoby, której warto byłoby się przyjrzeć. Żaden nie naprowadził nas na trop.

– Co nie znaczy, że ten trop nie istnieje – włączyła się Alicja. – Chodzi nam o to, że sprawca niemal na pewno jest osobą religijną. Głęboko wierzącą i regularnie uczęszczającą do kościoła. Trudno uwierzyć, że mógłby być cynikiem, który nie ma nic wspólnego z Kościołem.

– O co wam chodzi?

– O motyw – powiedział Możejko. – Jeśli mamy do czynienia z jakimś świętojebliwym psychopata, to zapewne była mu mocno nie w smak aktywność seksualna zamordowanych kobiet.

– Od dawna to podejrzewamy.

– Może chodzi o coś więcej niż to, że uprawiały seks przedmałżeński – stwierdziła Alicja.

– Co frustruje zatwardziałych katolików bardziej niż rozwiązłość? – zapytał Możejko.

Kawęcki, popijając piwo, wpatrywał się w rząd różnokolorowych butelek ustawionych na półce, jak gdyby to w nich kryła się odpowiedź. Wziął głęboki oddech.

– Geje, lewacy, muzułmanie. Feministki, uchodźcy, handel w niedzielę. Mam wymieniać dalej?

Możejko pokręcił głową.

– Matki, które mordują swoje dzieci – powiedział.

– Aborcja – dodała Alicja. – Według księży aborcja jest właśnie zabijaniem dzieci.

– I co z tego? – Kawęcki wzruszył ramionami. – Pytałem bliskich tych kobiet o aborcję. Nikt nawet się nie zająknął na jej temat.

Alicja przewróciła oczami.

– To nie jest coś, czym młode kobiety chwalą się swoim matkom, ojcom albo rodzeństwu. Dla wielu z nich jest to bardzo wstydliva sprawa. Trauma, którą noszą w sobie. Głęboko skrywany sekret.

– Przejrzałeś notatki Zofii Wolańskiej? – zapytał Możejko.

– Nie – odparł Kawęcki, chwytając za kufel. – Przeczytałem je od deski do deski.

Możejko sięgnął do torby, którą przez cały czas trzymał w powietrzu, bojąc się jej kontaktu z podłogą, i wyciągnął z niej tekturową teczkę. Wydobył ze środka jedną z kartek i zaczął czytać:

– „Wiem, że coś przede mną ukrywała. Bała się. Wstydziła. Albo po prostu czekała na dobry moment. Może chcieli wyjechać za granicę. Albo wziąć ślub. Albo chodziło o dziecko. O nieplanowane dziecko. Takie, które nie zdążyło się urodzić”.

– Pamiętasz nasze spotkanie z Wolańską? – odezwała się Alicja. – Kazała ci przypomnieć sobie, jak to jest być młodym. I zastanowić się, o co młodzi ludzie mogą się kłócić.

– O dziecko – odpowiedział Kawęcki.

– Narodzone lub nienarodzone. Może Turski dowiedział się, że Alicja bez jego wiedzy dokonała aborcji. Dlatego tak się wściekł. Wolańska była pewna, że nigdy nie uderzyłby jej córki, a jednak wtedy był tego bliski. Co innego mogłoby go tak wkurwić?

Kawęcki zastanawiał się nad jej słowami, wpatrując się w kufel.

– Może warto sprawdzić ten trop? – zasugerowała Alicja.

Kawęcki zanurzył usta w piwie. Następnie zapalił papierosa. Wypuścił dym przed siebie i wzruszył ramionami.

– Może warto – powiedział.

Mogło to być tylko złudzenie, ale Alicji się wydało, że Kawęcki rozpromieniał. Wyłonił się z głębokiego mroku, który oblepiał jego duszę. Nie trwało to jednak długo. Zanurzył się w nim ponownie, wlewając w siebie kolejny kieliszek wódki.

Kawęcki próbował wyciągnąć telefon. „Próbował” to słowo klucz, ponieważ gdy tylko jego dłoń wędrowała do kieszeni, nogi odmawiały mu posłuszeństwa, jak gdyby nie był w stanie skoordynować współpracy górnych i dolnych kończyn. Zamierzał porozmawiać z Witoldem. Miał pewien plan, którym chciał się z nim podzielić. A przy okazji zamierzał wmanewrować go w rolę szofera, ponieważ nie miał pieniędzy na taksówkę. Musiał go ściągnąć pod Sobotę obietnicą, że powie mu coś przełomowego. Że ma dla niego prawdziwego game changera. Ale żeby to zrobić, potrzebny był mu telefon. A żeby wyciągnąć telefon...

W końcu dał sobie spokój. I z telefonem, i z Witoldem. Do domu miał kilka kilometrów. Kilka kilometrów przez skąpany w ciemności park Julianowski. Z dala od ludzi. Z dala od cywilizacji. Przez teren, który jako tako znał. Jedynym wyzwaniem było to, żeby nie wpaść po drodze do stawu. Powinien sobie poradzić.

Potrzebował paru minut, żeby doczłapać do charakterystycznego amfiteatru, który okazjonalnie pełnił rolę muszli koncertowej. Przedarł się przez obszerną polanę i dotarł nad staw. Udało mu się go jakoś obejść, nie wzbudzając przy tym przesadnego zniesmaczenia u

nielicznych par, które spacerowały po parku albo obściskowały się na ławkach. Próbując za wszelką cenę iść w linii prostej, żeby nie zgubić kierunku i nie nadkładać drogi, wpakował się w krzaki. Kiedy się z nich wygrzebał, znajdował się już na skraju parku. Widział w oddali światło latarni, które mogłoby mu pomóc uniknąć następnych upadków. Gdyby tylko był wystarczająco świadomy, że może z niego skorzystać. I gdyby na dotarciu do domu w jednym kawałku choć trochę mu zależało.

Kiedy wyszedł na szutrową drogę, przystanął, żeby zapalić papierosa. Po raz kolejny spróbował sięgnąć po telefon. Gdy wymacał go pod palcami, zadowolony, że tym razem zdołał utrzymać pion, dostrzegł kątem oka, że z prawej strony nadjeżdża samochód. Mimo że było ciemno, z jakiegoś powodu miał wyłączone światła. I jechał zdecydowanie szybciej, niż powinien.

Kawęcki wiedział, że jest zbyt pijany, by dojrzeć, kto siedzi za kółkiem. Ale w zasadzie nie musiał nawet spoglądać na samochód, żeby to rozstrzygnąć. Domyślał się, kto go prowadzi. I że mężczyzna siedzący obok wygląda dokładnie tak samo jak kierowca.

Bliźniacy.

A więc minął już miesiąc.

Kiedy odwrócił się w stronę auta, kierowca włączył światła. Byli już cholernie blisko. Kawęcki mógł jedynie wyciągnąć rękę z kieszeni i uskoczyć w bok.

Zdążył. W ostatniej chwili uniknął tragedii.

Z pełnym impetem gruchnął na szutrową nawierzchnię. Poczul ból w nadgarstkach i dziesiątki maleńkich kamieni wbijających mu się w ręce, którymi zasłonił twarz tuż przed upadkiem. Ale to nie one go martwiły. Podniósł się, nie spuszczając z oczu samochodu bliźniaków. Był

zaskoczony tym, jak szybko procenty wyparowały z jego organizmu. I jak sprawnie zdołał się zerwać do biegu. Ponownie zanurzył się w park.

Zaczął żałować, że nie zna go wystarczająco dobrze. Że choć mieszka tuż obok, nie zapuszczał się do niego na spacer. Że w ogóle nie wychodził na spacer. Kiedy próbował sobie przypomnieć, czy widział po drodze miejsce, w którym mógłby się ukryć, usłyszał, że samochód zawraca. Chwilę później zobaczył dwa snopy światła przebijające się przez drzewa, które częściowo rozświetliły mu drogę.

Kawęcki pędził, jak tylko pozwalały mu na to nietrenowane mięśnie i przepalone płuca. Ale widoczność zbyt szybko zrobiła się aż nadto dobra, a jego nogi, mimo pulsującej w nim adrenaliny, zaczęły wysiadać. Wiedział, że samochód zbliża się w zastraszającym tempie. I że jeśli szybko czegoś nie wymyśli, skończy się to dla niego katastrofą.

Skręcił w krzaki w pierwszym miejscu, które wydało mu się zupełnie nieprzejezdne. Kiedy tylko stracił oświetlenie, zahaczył o coś wystającego z ziemi. Przewrócił się. Tym razem ręce mu nie pomogły i zarył twarzą w ściółkę. Mimo to zdołał się podnieść i pobiec dalej.

Po chwili zobaczył kontur budynku. Była to stara budowla, która kiedyś musiała być czyimś domem. Ceglane ściany wznosiły się na wysokość kilku metrów, podobnie jak resztki blaszanego płotu. Budynek nie miał drzwi ani dachu, a w środku roiło się od gruzu, zniszczonych mebli i rupieci. Wydawał się idealny na kryjówkę.

Kawęcki usłyszał, że silnik w samochodzie przestał pracować. Bliźniacy trzasnęli drzwiami. Dwa potężne snopy światła zmieniły się w mniejsze, węższe, bardziej gwałtowne, wystrzeliwane w różne strony. Uzbrojeni w latarki bracia rzucili się za nim w pogoń.

Komisarz szukał sterty gruzu albo szafy, czegoś, za czym mógłby się schować. Ale potencjalne kryjówki były albo niedostatecznie wysokie, albo zbyt zniszczone. Spojrzał na podłogę. Zobaczył coś, co przypominało niestarannie zwinięty w rulon dywan. Oderwaną papę dachową. Obmacał ją. Oceniał. Nie był pewien, czy jest wystarczająco duża, żeby się pod nią ukryć. Ale nie miał wyboru. Stracił go w chwili, w której wbiegł do budynku. Dlatego położył się i zaczął wsuwać pod papę.

Nie miał pojęcia, czym to się skończy. Nie wiedział, czy powinien żałować, że nie ma przy sobie pistoletu, bo być może niepotrzebnie chciałby go użyć. Wiedział tylko to, że w otwartej konfrontacji z bliźniakami nie ma żadnych szans. Musiał liczyć na to, że go nie znajdą. Że nie zdradzi się chrapliwym oddechem. Że w ciemności nie zauważą śladów krwi, która spływała z jego odrapanego czoła i poranionych dłoni.

Zanim się cały wsunął pod papę, chwycił kawałek cegły oderwanej od ściany. Zbyt duży, by rzucić nim daleko. Ale nie miał wyboru. Ani czasu, żeby zastanowić się nad ewentualnymi konsekwencjami zbyt krótkiego rzutu. Zamachnął się w momencie, w którym bracia celowali latarkami w drugi koniec budynku.

Potem wycelowali czymś innym.

Kiedy rozległy się strzały, Kawęcki był już pod papą. Próbował opanować rozedrgany oddech. Domyślił się, że bliźniacy najpierw celowali w miejsce, w które uderzyła cegła, a potem strzelali zupełnie na oślep, starając się go wypłoszyć. Kiedy przestali, usłyszał, że idą. Prosto w jego stronę. Miał tylko nadzieję, że nie przemaszerują po papie. Że nie będzie ich korciło, aby zajrzeć pod spód. I że nie

zwymiotuje ze zmęczenia, strachu czy jakiegokolwiek innego powodu, gdy znajdują się tuż obok.

Zamknął oczy. Próbował się wyizolować. Znaleźć w innym miejscu. Takim, w którym nie czuje palącego bólu w nogach, płucach, rękach i twarzy. Gdzie nie kręci mu się w głowie, a oddech nie wariuje. W świecie, gdzie policjantami nie są nieodpowiedzialni pijacy, lecz ludzie, którzy wiedzą, że należy nosić ze sobą broń. Albo przynajmniej nie zadzierać z tymi, którzy ją mają. Przyłożył twarz do betonowej podłogi. Przełykał ślinę, produkowaną przez organizm w przemysłowym tempie. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zaczął się modlić. Czy raczej zebrać o życie. O to, żeby mógł się go pozbawić sam, na własnych warunkach, tonąc w morzu wody albo wieszając się na pasku. By nie zginąć z rąk jakichś pierdolonych Gruzinów.

Pięć minut później było już po wszystkim. Bliźniacy przeszli obok jego kryjówki, a potem kilkakrotnie okrążyli budynek. Nie uśmiechało im się bieganie po lesie, więc wrócili do samochodu. Wsiedli, wycofali się z wąskiej parkowej dróżki i odjechali.

Kawęcki wyczołgał się spod papy. Wstał i obmacał swoje poturbowane ciało. Miał wrażenie, że właśnie przebiegł maraton, a w nagrodę ktoś postanowił mu za to spuścić wpierdol. Ale poza tym niewiele się zmieniło. Żył. Nie czuł już nadciągającej katastrofy, tylko zbliżającego się wielkimi krokami kaca. I pierwszy raz w życiu czekał na niego z utęsknieniem.

Sierpień

– Odczuwam pewien dysonans. Z jednej strony jesteście... – Filipski zrobił pauzę, szukając odpowiedniego określenia – przygnębiający. Do pewnego stopnia żałośni. Zblazowani. Zachowujecie się tak, jakby już nic nie miało dla was znaczenia. Jakbyście byli biologicznie niezdolni do czerpania radości z życia. – Poprawił okulary. – A z drugiej strony po upływie kilku miesięcy wciąż wydajecie się chorobliwie zaangażowani w poszukiwania zabójcy Bułeckiej. Jakby sprawca zabrał wam kogoś bliskiego. Członka rodziny. Kogoś, kogo kochaliście, a nie jakąś przypadkową studentkę.

– Zamierza pan zadać jakieś pytanie? – odezwał się Witold.

Nie patrzył ani na Filipskiego, ani na Stelmach, tylko na swoje wielkie wysuszone łapska, pokryte żółtoszarymi odciskami, przypominające w dotyku coś pomiędzy papierem ściernym a tanią srajtaśmą. Ich niekontrolowane drżenie mogło być świadectwem nadmiernego stresu, wycieńczenia albo zaczątków choroby Parkinsona. W każdym razie nie zwiastowało niczego optymistycznego.

– Skąd bierzecie motywację? – zapytał Filipski. – Dlaczego od kilku miesięcy zarywacie weekendy, zaniedbujecie rodziny i lekceważycie

zdrowie? Z całym szacunkiem, ale nie wyglądacie na policjantów z powołania.

Witold podniósł głowę. Jego rozszerzone źrenice i zaciśnięte usta wyraźnie sugerowały, że nie jest zadowolony z oceny Filipskiego. Mimo to zachował spokój.

– Nie powiedziałbym, że mamy jakąś szczególną motywację. Chodzi raczej o poczucie obowiązku. Po prostu wykonujemy swoją pracę. Najlepiej, jak potrafimy.

– Najlepiej? – Filipski rzucił Witoldowi drwiące spojrzenie.

– Mówię panu o swojej perspektywie. Nie mam pojęcia, jak to wygląda dla kogoś z zewnątrz. Zwłaszcza dla osoby, która nie ma bladego pojęcia o poszukiwaniu zabójców.

Filipski poczuł, jak wypluta przez Witolda szpilka wbija mu się pod skórę. Wiedział, że na nią zasłużył. Ale taki był właśnie plan. Wkurwić i sprowokować. Zmusić do błędu. Do opuszczenia gardy.

– Wspomniał pan, że Mariusz Szczebiot zebrał zestaw nagrań z monitoringu. Udało wam się coś z nich wyciągnąć?

– Dotarliśmy do kilkunastu osób ze zdjęć. Pogadaliśmy z nimi oraz ich znajomymi. Posprawdzaliśmy alibi. – Witold wzruszył ramionami.

– Niestety, nic z tego nie wyniknęło. Wydaje mi się, że była to cholerna strata czasu i zasobów, które można było wykorzystać inaczej. Gdyby Szczebiot skonsultował ze mną ten pomysł, tobym mu go stanowczo odradził.

Witold przypomniał sobie, że rozmowa jest nagrywana. Zaklął w duchu i uśmiechnął się sztucznie do kamery, próbując osłodzić swoją wypowiedź. Choć w zasadzie nie wiedział, po co to robi. Przecież Szczebiot i tak miał tego nie obejrzeć. A nawet jeśli, to dobrze by się

stało, gdyby się dowiedział, co Witold sądzi o metodach jego pracy. O jego niekompetencji. O idiotycznych pomysłach, których z nikim nie konsultował. Zwłaszcza od momentu zabójstwa Magdy, po którym zaczął się stopniowo zapadać pod ziemię.

– Może pan podsumować, co do tamtego momentu udało się wam ustalić?

Witold znów skupił się na swoich drżących dłoniach.

– Kilka rzeczy. Przede wszystkim zrozumieliśmy, kim jest ofiara. Jaką była osobą, z kim się zadawała, dlaczego robiła to, co robiła. Kiedy zaczynaliśmy śledztwo, BułECKA stanowiła dla nas jedną wielką zagadkę. Była pełną sprzeczności młodą kobietą, o której każdy mówił coś innego. Ale w tamtym momencie mieliśmy już spójny i logiczny obraz BułECKIEJ. Zrozumieliśmy ją. Na tyle, na ile można zrozumieć kogoś, kogo się nie zdążyło poznać. Oprócz tego wykluczaliśmy mnóstwo osób, które nie miały nic wspólnego z jej śmiercią, choć z różnych powodów mogły zostać włączone do grona podejrzanych.

– Na przykład kogo?

– Przede wszystkim Jakuba MożejKę, promotora i kochanka BułECKIEJ. Jej znajomych ze studiów. A także facetów, których poznała na portalu cosymeetings.com. Gdy ginie osoba, która uprawiała fetyszystyczny seks z wieloma mężczyznami, każdy z nich staje się w pewnym stopniu podejrzanym. – Witold odwrócił się w stronę okna. Westchnął, a następnie spojrział na kamerę łagodnym wzrokiem. – Szczebiot wygłupił się z tymi nagraniami, ale co do jednego miał rację. Podczas jednej z odpraw powiedział, że czasem nie mając wystarczającej liczby poszlak, świadków lub pomysłów, nie wspominając o dowodach, trzeba się na chwilę oderwać od śledztwa.

Nabrać dystansu. Pozwolić, żeby życie samo przyniosło rozwiązania lub podpowiedzi. Albo żeby chociaż przestało rzucać kłody pod nogi.

– Chyba jednak nie wszystko poszło po waszej myśli, skoro wylądował pan tutaj.

Filipski uśmiechnął się złośliwie. Chciał po raz kolejny sprowokować Witolda. Ale ten uporczywie wpatrywał się w stół, głęboko zanurzony we własnych myślach. W końcu nieznacznie się uśmiechnął.

– „Dlaczego ludzie potrafią lepiej umierać niż żyć? Dlatego, że żyć trzeba długo, a umrzeć można prędko”.

– To dowcip?

– Nie. Dostojewski. Przynajmniej Kawęcki tak twierdzi.

Filipski spojrzał na Stelmach. Liczył na to, że dostrzeże na jej twarzy zdziwienie. Że tak jak on okaże się dezorientowana słowami Ptaka. Ale policjantka miarowo kiwała głową, jakby Witold wyłowił jej ulubioną maksymę.

– Czasem odnoszę wrażenie, że jest dla pana kimś więcej niż kolegą – zauważyła Stelmach. – Kimś w rodzaju autorytetu.

– Kawęcki? – zdziwił się Witold. – On chyba nie jest moim kolegą. A tym bardziej autorytetem.

– W takim razie kim?

Witold zastanawiał się nad odpowiedzią, patrząc na swoje dłonie. Chropowate, niezgrabne, zniszczone, rozedrgane. Z jakiegoś powodu skojarzyły mu się z Kawęckim. Z jego pokręconym życiem, którego stał się częścią. Czy mu się to podobało, czy nie.

– Traktuję go jak młodszego brata. Wyjątkowo krnąbrnego i nieodpowiedzialnego. A do tego cholernie pechowego. Boję się zostawić go samego na trzepaku, bo nie dość, że rozbije sobie łeb, to

jeszcze pójdzie zmyć krew nad rzekę i niechcący się utopi. – Pochylił się przed siebie. – Nie mam pojęcia, co na niego macie i do jakich wniosków doszliście. Nie będę zaskoczony, jeżeli znaleźliście coś, co go zrujnuje. Być może zasłużył na to, żeby jego przygoda z policją skończyła się gwałtownie i marnie. Wiem natomiast, że nie jesteście w stanie go zniszczyć.

– O czym pan mówi? – zapytał Filipski.

Witold uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Kawęcki zobojeźniał na to, co się dzieje z jego życiem. Jest mu wszystko jedno, czy będzie mieszkał w bloku, czy pod gołym niebem. Czy będzie jadł kawior, czy chleb z masłem. Czy w ogóle będzie coś jadł. Nie obchodzi go, czy będzie dalej pracował w policji. Ma jakąś idée fixe, która mu wszystko przysłania.

– Jaką?

Witold wzruszył ramionami. A potem, wlepiając wzrok w stół, wolno pokręcił głową.

– Nie wiem – odparł. – I wy też się nie dowiecie.

Dwa miesiące wcześniej

Witold nie krył zdziwienia, kiedy przyszedł rano do pracy i w miejscu, w którym powinien siedzieć Kawęcki, rzeczywiście siedział Kawęcki. Równie zaskakujące było to, że spod jego palców wydobywały się odgłosy stukania w klawiaturę, a na sobie miał czystą białą koszulę. Czar prysł dopiero wtedy, gdy komisarz się odwrócił. Pod jego odrastającą grzywką przyklejone były plastry, które zakrywały większość czoła. Miał pozdzierane policzki i brodę, jakby próbował

hamować twarzą na asfalcie. Do tego dochodziły podkrążone oczy, mętny wzrok oraz zabandażowane dłonie. I oczywiście smród strawionego alkoholu. Nieodzowne feromony Kawęckiego.

– Pracowałem kiedyś z gościem, który wkładał do roboty białą koszulę tylko wtedy, kiedy miał gigantycznego kaca – powiedział Witold. – Ludzie szybko się zorientowali, że to kacowa koszula. – Wycelował palcem w Kawęckiego. – W tym przypadku też się połapią. Zwłaszcza gdy zobaczą twoją gębę.

– Ktoś chciał mnie zabić – odparł Kawęcki. – Albo porządnie nastraszyć. Nie jestem pewien.

Witold przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, próbując ocenić, czy mówi prawdę, czy tylko się zgrywa. Nie rozstrzygnąwszy tego ostatecznie, sięgnął po stojące pod ścianą krzesło i usiadł obok Kawęckiego. Wysłuchał jego historii o bliźniakach. O tym, jak próbowali wyrządzić mu krzywdę.

– Na początku powiedziałaś, że nie jesteś pewien, czy chcieli cię zabić – przypomniał, gdy opowieść się skończyła.

– Byłem strasznie nawalony. Ledwo kojarzyłem fakty. W dodatku dałem się im zaskoczyć. A mimo to nie zdołali mnie przejechać. I nie zauważyli, że ukryłem się pod papą dachową, choć było to prawdopodobnie jedyne miejsce w budynku, w którym mogłem się schować.

– Dlaczego zaatakowali cię dopiero teraz, a nie zaraz po akcji w twoim mieszkaniu?

– Nie wiem – powiedział Kawęcki, patrząc Witoldowi głęboko w oczy. – Może chcieli uspić moją czujność i czekali na odpowiedni

moment. Może nie byłem na szczycie listy priorytetów. A może nie wiedzieli, jak się do tego zabrać.

Rozmasował skronie, starając się choćby minimalnie złagodzić pulsujący ból głowy. Chwilę później połknął aspirynę. Witold spojrzał na opróżnione do połowy opakowanie leku. Miał nadzieję, że Kawęcki nie kupił go przed przyjściem do pracy.

– Prawdę mówiąc, chciałem z tobą porozmawiać o czymś innym – powiedział komisarz.

– O czym?

– O religii.

Witold ciężko sapnął. Inaczej wyobrażał sobie początek tego dnia.

– Ma to jakiś związek ze sprawą Bułeckiej?

– Wyłącznie z nią.

– Aborcja – powiedział Witold, zmieniając pas tak nieopatrnie, że jadący za nim kierowca musiał zwolnić, pomachać rękoma, zakląć pod nosem i poważnie rozważyć wciśnięcie klaksonu. – To chyba nie jest coś, czym ludzie się chwalą.

– Raczej nie. Przynajmniej nic nie wskazuje, że Bułecka komuś o tym powiedziała.

– A pozostałe ofiary?

Kawęcki zaprzeczył.

– Więc po jaką cholerę mamy rozmawiać z ich znajomymi?

– Żadna z tych kobiet nie rozmawiała o aborcji z rodzicami ani rodzeństwem. Ale może któraś podzieliła się radosną nowiną z przyjaciółką. Albo powiedziała o tym koledze, z którym przyjaźniła się

od dziecka. A jeśli nie, to zawsze istnieje szansa, że dowiemy się od nich, gdzie powinniśmy szukać niedoszłych ojców.

– Przecież już rozmawialiśmy z ich facetami.

– A myślałem, że to ja wolno chwytam przez napierdalający łeb. – Kawęcki dotknął pulsującego czubka głowy, jakby chciał się upewnić, czy nadal tam jest. – Mam na myśli tych, o których wiemy. Ani razu nie dopuściliśmy do siebie myśli, że te kobiety mogły się pieprzyć na boku. Pamiętasz, co Fryc mówił o sprawcy?

– Z całego uroczego spotkania zapamiętałem tylko to, że się przed nami popisował. I że traktował nas jak idiotów.

– Powiedział, że sprawca jest męczennikiem. Żołnierzem zaprogramowanym na wymierzanie kar. Z kolei według Wiesława Wasilewskiego może być skrajnym mizoginem i fanatykiem religijnym.

– Według kogo?

– Psychologa z Warszawy. Rozmawiałem z nim jakiś czas temu.

– Nieźle, połączyłeś słowa psychopaty i psychologa w jeden ciąg myślowy. – Witold pokręcił głową. – Nawet nie wiemy, czy te kobiety rzeczywiście zostały zamordowane przez tego samego człowieka, a ty podejrzewasz, że puszczały się z przypadkowymi facetami i hurtowo usuwały ciążę. Zamiast odpuścić, zanurzasz się coraz głębiej. Do jednej tajemnicy dokładasz kolejne. To naprawdę zaczyna wyglądać na paranoję. Albo na chorobę psychiczną.

– Oglądałeś kiedyś *Incepcję*?

– In co?

– Film Christophera Nolana. O śnieniu we śnie.

Witold prawdopodobnie westchnął, ale zagłuszył go ryk silnika.

– Widziałem kiedyś wróżbitę Macieja w telewizji. Pierdolił mnie więcej tak jak ty. Gdybyś był trochę przystojniejszy, mógłbyś go zastąpić.

Kawęcki nie odpowiedział. Położył głowę na oparciu i zamknął oczy.

Przez kilka minut w milczeniu przedzierali się przez zakorkowane miasto. Gdy utknęli na światłach przed skrzyżowaniem Żeromskiego z Mickiewicza, Kawęcki otworzył oczy. Instynkt podpowiedział mu, że zobaczy utkwiony w sobie wzrok Witolda. Nie zawiódł go.

– Chcesz mnie o coś zapytać?

– Sam wpadłeś na ten pomysł z aborcją?

– Wątpisz w moją kreatywność?

– Wątpię w twoją wrażliwość.

Kawęcki poczekał z odpowiedzią, aż ruszą ze światła.

– Mam cichego doradcę.

– Doradcę?

– Doradców.

– Kurwa mać! – fuknął Witold. – Nie pomyślałeś o tym, że warto byłoby mi o nich wspomnieć? Zapytać, czy nie mam nic przeciwko wtajemniczeniu ich w śledztwo?

– Pomyślałem.

– I?

– Doszedłem do wniosku, że moi doradcy by ci się nie spodobali. –

Kawęcki spojrzał na Witolda. – I to bardzo.

– Czy to ci ludzie, o których myślę?

– Nie wiem, o kim myślisz. Ale prawdopodobnie tak.

– Kurwa!

Witold wrzasnął w momencie, w którym jakiś samochód zajechał mu drogę. Wcisnął klakson z taką mocą, jakby chciał go wgnieść w kierownicę. Uspokoił się dopiero po przejechaniu kilkuset metrów.

– Pamiętasz, jak kilka miesięcy temu poprosiłem, żebyś informował mnie o wszystkim?

Kawęcki spojrzał na Witolda, który zwolnił tylko po to, żeby móc przewiercić go wzrokiem.

– Takich rzeczy się nie zapomina.

– Odwołuję to. Nie chcę wiedzieć o wszystkim. Prawdę mówiąc, wolałbym wiedzieć jak najmniej.

– Wiem – odparł Kawęcki, uśmiechając się pod nosem. – A myślałeś, że dlaczego cię o nich nie poinformowałem?

Witold wzruszył ramionami.

– Bo jesteś głupim, egocentrycznym fiutem, który uwielbia wkurwiać ludzi.

W samochodzie ponownie zapadło milczenie. Tym razem towarzyszyło im już do końca drogi.

Marcelina nie lubiła, gdy coś zaburzało jej naturalny rytm dnia. Pod tym względem różniła się od innych dzieci. Kiedy one bezustannie szatkowały swój harmonogram, ona trzymała się wytyczonej wcześniej ścieżki. Nie znosiła odstępstw od normy. Gdy był czas na naukę, to się uczyła. Kiedy powinna się bawić na podwórku, robiła to. Lubiła myśleć o sobie, że chodzi jak w zegarku. Choć nie była pewna, co to właściwie znaczy.

Dlatego bardzo jej się nie spodobało, gdy pani dyrektor kazała jej przyjść do swojego gabinetu podczas przerwy śniadaniowej. W dodatku

zostawiła ją tam w towarzystwie kogoś, kogo Marcelina widziała po raz pierwszy. Młodej nauczycielki przypominającej raczej uczennicę liceum lub studentkę. Nieznajoma przyglądała się dziewczynce intensywnym wzrokiem, z lekko rozchylonymi ustami, z których wyłaniały się nienaturalnie długie siekacze. Wyglądała tak, jakby zamierzała jej powiedzieć coś arcyważnego. Coś, co nie chciało jej przejść przez gardło.

– Cześć. – Wyciągnęła do dziewczynki kościstą dłoń. – Nazywam się Justyna. Jestem psychologiem. To taka osoba, która próbuje się dowiedzieć, o czym ludzie myślą. Co ich martwi. Co im przeszkadza. Ty musisz być Marcelina. Usiądź, proszę.

Dziewczynka pokiwała głową, nieufnie spoglądając na nauczycielkę. Z pewnym trudem wdrapała się na krzesło, które było dla niej przynajmniej o kilkanaście centymetrów za wysokie.

– Pani dyrektor powiedziała, że jesteś świetną uczennicą. Podobno niemal zawsze dostajesz najwyższe stopnie. Jaki jest twój ulubiony przedmiot?

– Matematyka – odparła niechętnie Marcelina, ledwo otwierając usta.

– No proszę! Matematyka jest bardzo ważna. Może nawet najważniejsza. Wiesz, że nazywana jest królową nauk?

Dziewczynka pokiwała głową.

– A lubisz wuef? Podobają ci się zajęcia na sali gimnastycznej?

Nie miała ochoty odpowiadać na pytania. Nie polubiła tej pani. Uważała, że musi być głupia, skoro zabiera jej przerwę śniadaniową. Czy to możliwe, żeby o niej nie wiedziała? Nie, musi wiedzieć. Wszyscy wiedzą. Nawet dorośli.

– Nie lubię.

– Dlaczego?

Marcelina wzruszyła ramionami.

– Nie lubię swoich koleżanek.

– Dokuczają ci?

– Czasami.

– W jaki sposób?

– Mówią, że brzydko wyglądam.

– To nieprawda. Jesteś śliczna. – Psycholożka pochyliła się w stronę dziewczynki i zaczęła mówić cicho, niemal szeptem. – Widziałam twoje zdjęcie klasowe. Moim zdaniem jesteś najładniejszą dziewczynką ze wszystkich. Zwłaszcza kiedy się uśmiechasz.

Marcelina ze zniecierpliwienia przebierała nogami, które zwisały kilkanaście centymetrów nad podłogą. Unikała spojrzenia psycholożki. Tylko czasem zerkała ukradkiem na jej uśmiech, wąski i sprawiający wrażenie wymuszonego. Znała ten typ uśmiechu z domu. Widywała go na twarzy swojej mamy. Zazwyczaj pojawiał się wtedy, kiedy nie chciała jej powiedzieć o tym, że wydarzyło się coś złego. Albo że dopiero miało się wydarzyć.

– A czy lubisz kolegów z klasy?

– Nie.

– Oni też ci dokuczają?

Marcelina wzruszyła ramionami. Jednak czując na sobie męczące spojrzenie nauczycielki, chwilę później wolno pokiwała głową.

– W jaki sposób to robią?

– Przezywają mnie.

Kobieta obróciła się na krzesło i sięgnęła po leżący na biurku notatnik. Rozłożyła go na udach i zapisała kilka informacji.

– Nie powinni tego robić. Zachowują się bardzo niegrzecznie. Jeśli chcesz, powiem o tym twojej wychowawczynie. Poproszę ją, żeby z nimi porozmawiała. Zależy mi na tym, żeby przestali ci dokuczać. – Psycholożka zamknęła notatnik i ponownie zbliżyła się do dziewczynki, która konsekwentnie ją ignorowała. – Wiem, że bardzo się zdenerwowałaś, kiedy ci dokuczali. Skrzyczałaś ich za to. Pamiętasz?

– Tak.

– Twoja wychowawczynie mówi, że to nie był pierwszy raz. Że już kiedyś ci się to przytrafiło. Pamiętasz, co powiedziałaś tym chłopcom?

Marcelina od początku spotkania unikała kontaktu wzrokowego z psycholożką. Jednak teraz nie miała ochoty odpowiedzieć jej choćby ruchem głowy.

– Chciałabym wiedzieć, skąd znasz te słowa. Czy pamiętasz, od kogo je usłyszałaś?

– Chcę zjeść kanapkę – powiedziała dziewczynka, wbijając wzrok w podłogę.

– Za chwilę to zrobisz. Ale najpierw powiedz mi, gdzie usłyszałaś te słowa. To bardzo ważne, Marcelinko.

– Jestem głodna. Chcę zjeść kanapkę. – Marcelina zerknęła na różowy zegarek, który oplatał jej małe nadgarstek. – Zostały tylko dwie minuty do końca przerwy śniadaniowej.

– Nie przejmuj się przerwą. Twoja wychowawczynie wie, że tu jesteś. Nic się nie stanie, jeżeli wrócisz do klasy trochę później.

– Ale ja chcę zjeść kanapkę. Teraz. Zawsze jem kanapkę w czasie przerwy.

Justyna głośno westchnęła i wyszła za drzwi. Po chwili wróciła, usiadła na swoim miejscu i uśmiechnęła się do dziewczynki. Tym razem inaczej. Nie półgębkiem, lecz ze współczuciem.

– Za chwilę pani Tosia przyniesie ci kanapkę, kochanie. Zdążysz ją zjeść jeszcze podczas przerwy. Czy zanim pani Tosia przyjdzie z twoją kanapką, powiesz mi, gdzie usłyszałaś słowa, którymi zwróciłaś się do tych chłopców?

Oczy Marceliny rozbiegły się po pomieszczeniu. W jej szybko rzucanych spojrzeniach można było dostrzec gniew.

– Nie pamiętam.

– Spróbuj sobie przypomnieć, kochanie. To bardzo ważne.

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– Postaraj się. To dla mnie naprawdę bardzo, bardzo ważne.

– Nie wiem! – wrzasnęła dziewczynka. – Jestem głodna. Chcę zjeść kanapkę!

Psycholożka spróbowała dotknąć ramienia Marceliny, ale ta gwałtownie się odsunęła. Rozplakała się i zasłoniła dłońmi uszy. Nie chciała już niczego słyszeć. Ani niczego oglądać. A tym bardziej o czymkolwiek myśleć. Zwłaszcza o dniu, w którym po raz pierwszy usłyszała tamte słowa.

To miało być ich szóste spotkanie tego dnia. Albo siódme. Witold nie był pewien, że zmęczenia wszystko zaczynało mu się mieszać. Spojrzał w prawo. Kawęcki popijał kawę z termosu, rozglądał się na boki i kiwał głową w rytm muzyki płynącej z radia. Wyglądał na wypoczętego. I zapewne był bardziej rześki niż Witold, ponieważ kiedy on prowadził samochód, Kawęcki przeważnie spał, z głową bezładnie zwisającą na

wysokości klatki piersiowej. Wyglądał wtedy jak trup, którego tylko pasy trzymają w pionie.

– To ostatnia wizyta dzisiaj – powiedział Witold. – I być może ostatnia w ogóle w tej sprawie.

Kawęcki w żaden sposób nie odniósł się do jego słów, choć długo mu się przyglądał. Jakby oceniał, czy Witold mówi prawdę, czy blefuje.

Zaparkowali niedaleko Instytutu Centrum Zdrowia Matki Polki, na zadbanym chojeńskim blokowisku, pod wieloma względami przypominającym osiedle domków jednorodzinnych. Bloki były uzbrojone w garaże, z których najczęściej wyjeżdżały efektowne leasingowane sedany i SUV-y. Ludzie nie wyprowadzali na spacer kundli, lecz rasowe psy: albo wielkie i kudłate, albo takie, które można było zmieścić do torebki. Schylali się po ich gówna, jakby to był dla nich policzek. Jakby w to ciepłe wiosenne popołudnie ktoś zepchnął ich do niższej klasy. Zglanował w biały dzień. Podtarł sobie dupę tym wszystkim, na co tak ciężko pracowali.

Marcin Szreder długo się wahał, zanim zdecydował się otworzyć policjantom drzwi do klatki schodowej, a potem wpuścić ich do mieszkania. Był o dwa lata starszy od Katarzyny Wolańskiej: miał dwadzieścia jeden lat, kiedy została zamordowana. Teraz był trzydziestodwuletnim mężczyzną z hipsterską brodą i krótkimi kręconymi włosami. Jego zielone oczy podejrzliwie spoglądały na policjantów przez okulary w grubych oprawkach. Miał zadbane i nowocześnie urządzone mieszkanie, efektowną długonogą żonę, która szwendała się po domu w samych szortach, nie odrywając wzroku od iPhone'a, i dwie córki w wieku około ośmiu lat – blondwłose bliźniaczki, uderzająco podobne do matki.

Nie wiedzieć czemu Kawęcki nie dopuszczał do siebie myśli, że życie Szredera mogło potoczyć się tak dobrze. Tak różnie od życia jego koleżanki z liceum.

Gospodarz zaprowadził policjantów do salonu, w którym na niskim kawowym stoliku stały dwie butelki z wodą oraz szklanki, niczym w sali konferencyjnej jakiejś korporacji. Zamknął drzwi do pokoju, żeby nie przeszkadzały im dźwięki kreskówek i rozwrzeszczanych dziewczynek. A zapewne jeszcze bardziej – żeby żona nie dowiedziała się, o czym rozmawiają. Uśmiechnął się szeroko. Albo bardzo dbał o zęby, albo stać go było na niezłego dentystę.

– Chcemy z panem porozmawiać o Katarzynie Wolańskiej – zaczął Witold.

Szreder zacisnął wargi i ze zrozumieniem pokiwał głową. Następnie wyciągnął dłoń do policjantów.

– Marcin – przedstawił się. – Przejdźmy na ty. Tak będzie nam wygodniej. I milej. O ile przy takiej rozmowie w ogóle może być miło.

Witold i Kawęcki popatrzyli na siebie, a potem na faceta, który pod wpływem stresu najwyraźniej mówił zbyt dużo i uśmiechał się w nieodpowiednich momentach. Potem krótko wyjaśnili mężczyźnie, dlaczego go niepokoją. Powiedzieli mu prawdę. Prawie.

– A więc przyglądacie się śmierci Kasi, ponieważ macie wątpliwości, czy chłopak, który ją zabił, rzeczywiście popełnił samobójstwo – powiedział Szreder, porządkując na głos to, co usłyszał od policjantów.

– Nazywał się Rafał Turski – oznajmił Witold. – Dziwię się, że nie kojarzysz jego nazwiska.

– Kojarzę. Znam go. To znaczy znałem. Po prostu zapomniałem, jak się nazywał. Gdybym się chwilę zastanowił, pewnie bym sobie przypomniał.

– Dobrze go znałeś?

– O tyle, o ile. Widywaliśmy się w szkole, mówiliśmy sobie „cześć”. Rozmawialiśmy kilka razy na imprezach. Nic specjalnego. Nie byliśmy kolegami.

– Rozumiem, że lepiej znałeś Kasię Wolańską.

– Tak, zdecydowanie.

– Coś was łączyło?

Szreder uśmiechnął się sztucznie, jednocześnie spoglądając w stronę drzwi.

– Przyjaźń. Powiedziałbym, że przyjaźń. A przynajmniej koleżeństwo. Byliśmy ze sobą całkiem blisko. Zwłaszcza w czasach szkolnych. Potem poszedłem na studia, a Kasia poznała Rafała. Od tego momentu widywaliśmy się sporadycznie, a po jakimś czasie kontakt nam się urwał.

– Łączyła was tylko przyjaźń czy coś więcej?

Znów spojrzenie w stronę drzwi. Tym razem dłuższe. I bardziej złęcznione.

– Byliśmy parą. Bardzo krótko. Właściwie nawet nie wiem, czy można powiedzieć, że ze sobą chodziliśmy. – Widząc, że policjanci nie piją wody, sięgnął po jedną z butelek i napił się prosto z gwinta. Łapczywie. Jakby to był jego pierwszy łyk od bardzo dawna. Albo ostatni. – Mówiąc wprost, przelizaliśmy się na którejś imprezie. Przez moment myślałem, że może wyjdzie z tego coś więcej, ale na tym jednym romantycznym incydencie się skończyło.

Witold spojrział na Kawęckiego, który hipnotycznie wpatrywał się w Szredera. Jakby samym spojrzeniem chciał wydrzeć z niego informacje. Jakby był w stanie przeświecić wzrokiem jego życie. Kawęcki przypominał Witoldowi tajemniczego azjatyckiego wojownika, po którym nie da się poznać emocji. Zamkniętego w jakiejś dziwacznej skorupie. Niepozornego zabijakę, który atakuje wtedy, kiedy nikt się tego nie spodziewa. I tylko tych, którzy są od niego więksi i silniejsi. Jak gdyby prosił się o klęskę, po której będzie mógł popełnić seppuku.

– Nieźle potoczyło się twoje życie – odezwał się Kawęcki. – Ładny dom, piękna żona, wspaniałe dzieci. Zazdrozczę.

– Dziękuję.

– Jak długo jesteście razem?

Szreder przez dłuższą chwilę przyglądał się plastrom na czole Kawęckiego, a potem spojrział w sufit. Liczył.

– Dwanaście lat. Od dziewięciu jesteśmy małżeństwem.

Kawęcki pokiwał głową. Też liczył. Też się uśmiechał. Ale inaczej niż Szreder. Tak, że ledwo można było to wziąć za uśmiech.

– Czyli już byliście razem, kiedy jebałeś się z Wolańską.

Szreder zareagował w sposób, jakiego można się było spodziewać: sztucznym, pustym śmiechem, energicznym kręceniem głową i nerwowym spoglądaniem w stronę drzwi.

– O czym ty mówisz?

– W jaki sposób się jebaliście? – naciskał Kawęcki.

– Nie jeb... nie uprawialiśmy seksu.

– Nie chodzi mi o pozycje ani miejsca, w których się pieprzyliście. Ani nawet o powód, dla którego to robiliście, mimo że oboje byliście w

związkach. Interesuje mnie wyłącznie to, czy się właściwie zabezpieczaliście.

Witold spoglądał to na Szredera, to na Kawęckiego. Jeden kurczył się w oczach, a drugi nakręcał się jego strachem. Jeden modlił się o końcowy gong, a drugi zacierał ręce przed dwunastą rundą.

– Zabezpieczaliście się czy nie?

– Tak – odparł w końcu Szreder, prawie szeptem. – I nie.

– Co to znaczy?

– Robiliśmy to kilka razy. Zazwyczaj używaliśmy kondomów. Ale na jednej z imprez zrobiliśmy to bez gumek.

– Spuściłeś się w niej? Wtedy, gdy waliliście się bez gumy?

Szreder spojrzał na Witolda. Był spanikowany. Szukał ratunku. Ale u Witolda go nie znalazł.

– Tak.

– Zapłodniłeś ją?

– Nie. Nie wiem. Skąd mam, kurwa, wiedzieć?

– Słyszałeś o wskaźniku Pearl'a? – zapytał Kawęcki. – Określa prawdopodobieństwo zajścia w ciążę. Przy metodzie antykoncepcyjnej, którą wybraliście, czyli przy braku jakiegokolwiek zabezpieczenia, wynosi osiemdziesiąt pięć. Osiemdziesiąt pięć ciąż na sto kobiet w ciągu roku. Prawdopodobieństwo niepłodności u niespełna dwudziestoletniej siksy wynosi około trzech procent. A więc szansa, że ją zapłodniłeś, jest całkiem spora.

Szreder zasepił się, nerwowo przygryzając wargi. Już nie myślał o tym, co czai się za drzwiami, o pięknej żonie i dzieciach, które mu dała. Albo myślał, ale nie dość intensywnie. Nie na tyle, by zastopować bombardowanie w swojej głowie, które dewastowało jego postrzeganie

życia. Tego wszystkiego, co się w nim do tej pory wydarzyło. I tego, co dopiero mogło się wydarzyć.

– Nie sądzę – powiedział łamiącym się głosem. – Nie rozmawialiśmy o tym. Ale myślę, że nie. Powiedziałyby mi, gdyby do tego doszło. Na pewno.

– Niech zgadnę: na tamtej imprezie widzieliście się po raz ostatni, co?

Szreder pokiwał głową. Był rozedrgany. Bliski wybuchu. Jakby za chwilę miał się rozryczeć.

Witold patrzył na Kawęckiego, który głupekowato się uśmiechał. Jak pozbawiony elementarnej empatii psychopata. Witold w myślach bił mu brawo. To, jak podszedł Szredera, było imponujące. Jednocześnie cholernie mu współczuł. Tego, że w którymś momencie życia przeistoczył się w zimnego, bezdusznego gnoja. Człowieka, którego nikt nie chce znać. I z którym z pewnością nikt nie odważyłby się być.

– Ma pan chwilę? – Młody funkcjonariusz zatarasował mu drogę.

Na opalonej, chirurgicznie zmodyfikowanej twarzy Janusza Dębca pojawił się ledwo zauważalny grymas. Zanim komendant zdołał go zetrzeć, upłynęło kilka długich sekund. W tym czasie zabijał policjanta wzrokiem. Jakby chciał zmieść w pył swoją odmłodzoną wersję: wysportowanego, wysokiego gnojka, który emanował irytującą pewnością siebie i niczym nieuzasadnionym przekonaniem, że wszystko mu wolno.

– Obawiam się, że nie – odparł Dębiec.

– A pół chwili?

Komendant ciężko westchnął. Podciągnął rękaw płaszcza i spojrzał na zegarek.

– Za minutę powinna podjechać moja taksówka. Zamierzam do niej wsiąść o czasie.

– W takim razie odprowadzę pana.

Dębiec wzruszył szerokimi ramionami. Nie miał pojęcia, jak nazywa się ten upierdliwiec, ale w zasadzie nie miał nic przeciwko. Lubił ludzi, którzy stawiają na swoim. Jak on sam. Poprawił uchwyt skórzanego neseseru i ruszył korytarzem.

– O co chodzi?

– Jestem trochę zdezorientowany. I zaniepokojony tym, co od kilku tygodni dzieje się na komendzie. Mam na myśli śledztwa w sprawie zabójstw Martyny Bułeckiej i Magdy Giętkiej. A zwłaszcza plotki, które wokół nich krążą.

– To znaczy?

– Podobno Bartosz Adamski ma zastąpić Mariusza Szczebiota na stanowisku szefa Wydziału Kryminalnego.

Dębiec zatrzymał się tuż przed schodami. Rzucił policjantowi złowrogie spojrzenie, a potem jeszcze raz zerknął na zegarek.

– Kto ci to powiedział?

– Jedna osoba powiedziała drugiej, a ona następnej. W pewnym momencie plotka zaczęła żyć własnym życiem.

– Właśnie... plotka. I tak potraktuj tę wiadomość.

– Wie pan, co się mówi o plotkach?

Komendant z pewnością wiedział, ale zamiast odpowiedzieć, zaczął schodzić po schodach. A właściwie z nich zbiegać. Dopiero na dole młody policjant zdołał go dogonić.

– A więc to bzdura?

– Tego nie powiedziałem.

– Jak mam to rozumieć?

– Posłuchaj. – Dębiec przystanął przed wyjściem z budynku. – Nie twierdzę, że tak się nie stanie. I nie mówię, że nie rozważam takiego rozwiązania. Wszystko zależy od tego, jak potoczą się losy obu śledztw. Jeśli sprawa Bułeckiej nadal będzie stać w martwym punkcie, może dojść do zmiany na stanowisku naczelnika. Ale na razie żadna decyzja nie została podjęta.

– Ale przecież śledztwo Adamskiego wcale nie wygląda lepiej.

Komendant tego nie słyszał. Albo udawał, że nie słyszy. W każdym razie, zamiast zareagować na uwagę policjanta, zerknął pospiesznie na telefon i wyszedł na zewnątrz.

Funkcjonariusz zaklął pod nosem. A potem po raz kolejny musiał się sprężyć, żeby dogonić starego. Czuł się jak asystent gburowatego, przekonanego o swojej wyższości fiuta w jakiejś podrzędnej komedii romantycznej.

– To pana pomysł czy prokuratora Wargi?! – zawołał.

Komendant nagle się zatrzymał. Odwrócił się. Patrzył na młodego policjanta, jakby zamierzał dać mu w zęby.

– Słucham?

– Warga nadzoruje oba śledztwa. Z pewnością byłoby mu wygodniej, gdyby musiał współpracować tylko z jednym oficerem.

– Dlaczego sądzisz, że prokurator mógłby mieszać się w sprawy policji?

Funkcjonariusz wzruszył ramionami. Przez moment komendant miał wrażenie, że ktoś sprawdza z ukrycia jego reakcję na widok swojej

genetycznie podrasowanej kopii.

– Nie wiem – powiedział młody. – Może dlatego, że panowie dobrze się znają.

Dębiec przejechał dłonią po krótkim siwym zaroście.

– Powiem ci coś w zaufaniu. – Wycelował palcem w policjanta. – Do tej pory twój szef nie zrobił nic, co przemawiałoby za tym, żeby utrzymać go na stanowisku. A wy mu w tym nie pomagacie. Od kilku miesięcy grzebiecie patykiem w gównie. Dlatego nie powinniście być zaskoczeni, gdy któregoś dnia przyjdzie nowa miotła i każe wam wszystkim wypierdalać. – Dębiec zamilkł na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza i zebrać myśli. – *People who live in glass houses shouldn't throw stones*¹. Po raz pierwszy usłyszałem to powiedzenie w Stanach. Tam miało jakieś znaczenie i ludzie starali się do niego stosować. U nas wszyscy mają je w dupie. Zachowują się jak zgraja nieświadomych samobójców.

Dębiec odwrócił się w stronę srebrnego mercedesa.

– To moja taksówka. Chciałbym, żebyś zapomniał o naszej rozmowie, jak tylko wsiądę. Czy to jasne?

– Jak słońce.

Kiedy taksówka odjechała spod budynku, Artur Waliszewski obmacał kieszenie, szukając papierosów. Odkąd postanowił rzucić palenie, zdarzało mu się to nagminnie. Było jak odruch Pawłowa. Bezmyślny, atawistyczny gest, którego nie był w stanie się wyzbyć. Pojawiający się zwłaszcza wtedy, kiedy się stresował. Na przykład gdy ludzie, którym nie mógł w żaden sposób podskoczyć, kłamali mu w żywe oczy.

- Ej! – zawołał za jednym z policjantów, który wyszedł z komendy.
- Poczęstujesz mnie szlugiem?

Witold zaparkował pod blokiem. Wyłączył silnik i uchylił szybę. Zapalił światło nad głową. Zaczął robić notatki. W niewielkim notesie w tekturowej oprawie wypisał imiona i nazwiska kobiet, z którymi musieli jeszcze porozmawiać. Planował, kiedy i jak to zrobią, czyli jak będą wyglądać jego kolejne dni, tygodnie, a może nawet miesiące. Planował to, czego do końca nie dało się zaplanować. Musiał to jednak zrobić, żeby mieć czyste sumienie. Żeby móc ze spokojem zamknąć ten dzień – męczący, irytujący, ale też owocny. Z perspektywy śledztwa najlepszy od wielu tygodni.

Kiedy skończył, wyciągnął telefon.

- Sądziłem, że o tej porze zwykle już śpisz – przywitał go Artur.
- Zdziwiłbyś się.
- Dzwonisz, bo przeczytałeś mojego maila, czy dlatego, że tego nie zrobiłeś?
- A jak myślisz?
- Brzmisz, jakby cię wykopali z grobu, więc zakładam, że nie.

Kiedy Artur przestał rechotać ze swojego nieśmiesznego dowcipu, Witold wsłuchał się w dźwięki w tle. Głośna muzyka, kobiece głosy, uderzające o siebie szkło. Impreza. Pub, klub albo kasyno. W każdym razie miejsce, w którym traci się pieniądze. Albo twarz. Zwykle jedno i drugie.

- Coś nowego w prawniczym temacie? – zapytał Witold.
- Podrzuciłem ci kilka nazwisk.
- Kogoś szczególnie wartego uwagi?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że są fanami mocnych burdelowych wrażeń. Zresztą sprawdź maila. Teraz nie mam czasu ci o nich opowiadać. Mam za sobą chujowy dzień. Muszę odreagować.

Kiedy rozległ się donośny kobiecy śmiech, Artur się rozłączył. Witold czekał kilkadziesiąt sekund, licząc na to, że może zrobił to przez przypadek. Czasem miał wrażenie, że Artur jest doskonałym przeciwieństwem Kawęckiego. Beztróskim wesołkiem, który łąknie kontaktu z ludźmi. Specem od puszczania w niepamięć wszystkiego, co mogłoby go zdołować. Facetem, który nie daje się zniszczyć codzienności.

A jakim on sam był człowiekiem? Witold chciał wierzyć, że innym. Lepszym. Wyważonym. Statecznym. Mądrym. Podejmującym przeważnie słuszne decyzje. Uczącym się na błędach. Ale im był starszy, tym mocniej w to wątpił.

Przeczytał na telefonie wiadomość od Artura i wpisał w wyszukiwarkę nazwiska osób wymienionych w mailu. Chciał się czegoś o nich dowiedzieć. Czegokolwiek. Wolał nie zajmować się tym po powrocie do domu, żeby nie drażnić Edyty. Wiedział, że żona lepiej zniesie jego późny powrót niż dłubanie w policyjnych sprawach w czasie, który powinien oddać rodzinie. Nawet jeżeli ani ona, ani ich córki wcale nie miały ochoty spędzać wieczoru w jego towarzystwie. Życie rodzinne państwa Ptaków nie istniało. Było fikcją. Kruchą fasadą, która rozsypywała się na ich oczach.

Kiedy Witold wrócił do mieszkania, usłyszał nieznany głos. Spokojny. Ciepły. Rzeczowy. Męski.

Nie wiedząc, czego się spodziewać, ruszył do salonu.

Głos należał do mniej więcej czterdziestoletniego faceta w garniturze, z włosami zaczesanymi do tyłu i zadbaną brodą. Siedział przy stole z rękoma spoczywającymi na czarnej aktówce. Naprzeciwko niego tkwiła Edyta, głęboko zatopiona w fotelu. Pomiędzy nimi leżał plik dokumentów.

Witold przyglądał się im obojgu. Czuł irracjonalny strach. Obawiał się, że będą się uśmiechać. Dowcipkować. Rzucać sobie filuterne spojrzenia, udając, że jego tam nie ma. Ale było jeszcze gorzej. Byli poważni. Skrepowani. Wyraźnie zmęczeni tym, o czym rozmawiali przy prawie nietkniętej kawie.

Mężczyzna podniósł się i zapiał guzik marynarki. Wycisnął z twarzy wymuszony uśmiech i wyciągnął dłoń do Witolda.

– Ireneusz Wiśniewski – przedstawił się.

Witold niechętnie się przywitał. Był kompletnie dezorientowany. Jednak wewnętrzny głos podpowiadał mu, że powinien znienawidzić tego człowieka. Jak kogoś stworzonego wyłącznie po to, żeby mógł go nienawidzić.

– Pan Irek jest prawnikiem. Adwokatem. – Edyta mówiła tak, jakby się wstydziła swoich słów. – Chciałam, żebyście się poznali. Czekaliśmy na ciebie.

Wiśniewski spojrzał na zegarek.

– Niestety, muszę już iść – powiedział. – Ale sądzę, że w ciągu paru minut uda mi się panu wszystko wyjaśnić.

I zaczął tłumaczyć.

Kiedyś Witoldowi wydawało się, że najgorsze, co może przytrafić się mężczyźnie, to przyłapanie kobiety na zdradzie. Na pierdoleniu się z jakimś fagasem w małżeńskim łóżku. Ale to, co jego spotkało, było

jeszcze gorsze. Bo fagasa mógłby uderzyć. Upokorzyć. Ukatrupić. A na gogusiu w gajerze, którego bronią nie była duża pyta ani młodzieńcze ciało, tylko stos dokumentów i prawniczy bełkot, nie mógł się w żaden sposób wyładować. Facet był jak żmija. Podstępem wdzierająca się do ich domu. Do ich wspólnego życia, które już niedługo miało przestać być wspólne.

Sierpień

– Podobno chcą pana zabić.

Filipski patrzył na Kawęckiego śmiertelnie poważnym wzrokiem. Równie śmiertelnym jak jego pytanie.

– Kto?

– Żli ludzie, którym nadepnął pan na odcisk.

– Podpadłem wielu złym ludziom. Zajmuję się tym zawodowo od dwudziestu lat.

– Najpierw Zenon Trzaskowski i Marcin Banaś, a potem bracia Szota i Lewan Dżamaszwili – powiedział Filipski, zerkając do notatek.

– Podobno prawie im się udało.

– Prawie – powtórzył Kawęcki, nie unosząc wzroku znad stołu. – Uczono mnie, że jeśli policjant ma wielu wrogów, to znaczy, że dobrze wykonuje swoją pracę.

– Albo że balansuje na granicy, która oddziela świat policjantów od świata przestępców – włączyła się Stelmach. – I że prawdopodobnie od czasu do czasu zdarza mu się stanąć po niewłaściwej stronie.

– Ci czterej mężczyźni, o których wspomniałem, to ludzie Romana Basznikowa – powiedział Filipski. – To jeden z najniebezpieczniejszych

ludzi w mieście. Zajmuje się przemytem narkotyków, hazardem, wymuszeniami i Bóg wie czym jeszcze. Pan natomiast zainteresował się nim dlatego, że nielegalnie handluje agresywnymi psami.

– Psami gwałcicielami – sprostował Kawęcki. – Jeden z nich zgwałcił Bułęcką.

Filipski spojrział w kierunku drzwi, jakby się obawiał, że ta informacja może wypełznąć z pomieszczenia, rozlać się po budynku i zatruć dzień wszystkim pracującym w nim ludziom.

– Nawet jeśli to prawda, to co pan chciał osiągnąć, wchodząc w zatarg z takim człowiekiem? Nie wierzę, że był pan na tyle naiwny, aby sądzić, że wystawi panu swojego klienta.

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Byłem wystarczająco naiwny, by uwierzyć, że Roman wykaże się rozsądkiem. I nie jestem pewien, czy właśnie tego nie zrobił, decydując się na konflikt ze mną zamiast z tym człowiekiem.

– Spotkał się pan z Basznikowem? – spytała Stelmach.

Kawęcki kiwnął głową.

– Podjąłem ryzyko. Gdyby Roman wystawił mi tego człowieka, prawdopodobnie już dawno byłoby po sprawie.

– Czy Basznikow potwierdził, że to on jest tym wielkoludem, którego pan rzekomo widział w Lesie Łagiewnickim?

Kawęcki uśmiechnął się, przypominając sobie swoje spotkanie z Romanem. A konkretnie to, w jaki sposób je zakończył.

– Powiedział tylko to, że zamierza mnie zabić. Zresztą to nie było spotkanie, na którym słowa miały jakieś szczególne znaczenie. Roman nie musiał mówić, że mnie zajebie. Domyśliłem się tego znacznie

wcześniej. A ja nie potrzebowałem żadnego potwierdzenia. Wiedziałem, że powinniśmy szukać właśnie tego człowieka.

– Skąd ta pewność?

– Z intuicji?

– Intuicji?

Kawęcki podrapał się po twarzy. Potem spojrzał w kierunku okna, za którym ślamazarnie rozlewała się ciemność. Zobaczył w nim swoje niewyraźne odbicie.

– Ludzie uważają, że cierpię na autyzm albo zespół Aspergera – powiedział. – Albo że po prostu jestem społecznie niedostosowany. Może i mają rację. Ale to, że z reguły milczę, nie wynika z tego, że nie chcę, nie lubię albo nie potrafię rozmawiać z ludźmi. Milczę, ponieważ ich słucham. Oceniam. Szacuję, do czego są zdolni. I czy to, co mówią, jest prawdą. – Kawęcki spojrzał na policjantów. – W oczach tego człowieka zobaczyłem coś, co powiedziało mi, że jest zdolny do wszystkiego. W imię jakiegoś dziwactwa, w które tylko on wierzy.

– Przecież pan był wtedy nieprzytomny – powiedział Filipski, wczytując się w swoje notatki. – Zeznał pan, że ledwo pamięta, co się stało.

– Ale zapamiętałem jego wzrok. Jakby chciał mi wywrzeszczyć w twarz, że to on. Że się z nami bawi. I że ma jeszcze kilka pomysłów w zanadrzu.

Filipski osunął się na oparcie krzesła. Poprawił spadające z nosa okulary i splótł ręce na piersi. Nie trzeba było być mistrzem komunikacji niewerbalnej, aby stwierdzić, że Kawęcki nie zdołał go przekonać swoją opowieścią.

– W oczach Jakuba Możejki pan tego nie dostrzegł? – zapytała Stelmach.

– Dlaczego pyta pani akurat o niego?

– Był waszym pierwszym podejrzanym.

– Nie moim.

– Pańskiego przełożonego.

– Mój szef, jak już się pewnie zorientowaliście, jest idiotą i beznadziejnym śledczym. Nie potrafi rozmawiać ze świadkami, analizować dowodów ani wyciągać wniosków.

– Więc zdecydował się pan włączyć Możejkę do śledztwa, żeby zrobić Szczebiotowi na złość?

Kawęcki wbił w nią spojrzenie. Jakby samym wzrokiem chciał ją zmusić do odszczekania tych słów.

– Musisz mieć o mnie bardzo niskie mniemanie – powiedział. – Ale to dobrze. Lubię być niedoceniany. Wówczas jest mi łatwiej sprawiać ludziom niemiłe niespodzianki.

Dwa miesiące wcześniej

Kawęcki długo się przyglądał zdjęciu z monitoringu. Potężny mężczyzna w dżinsach, grubej puchowej kurtce i czapce naciągniętej na oczy. Nie widział jego twarzy, ponieważ olbrzym szedł chodnikiem nieznacznie pochylony i ze spuszczoną głową. Niewykluczone, że coś go trapiło. Może miał za sobą kiepski dzień. Albo nie chciał, żeby go przewiało. Ale mógł też unikać kamery, która spoglądała na niego z jednego z budynków na Zachodniej. Dźwigał na ramieniu potężną torbę, w której spokojnie zmieściłby drelichowy kombinezon albo

sutanę, zestaw narzędzi, siekierę, a może nawet maty wygłuszające. Słowem: wszystko, co mogło się przydać zabójcy w mieszkaniu Bułeckiej.

Komisarz pociągnął łyk kawy, zapalił papierosa i jeszcze raz pochylił się nad laptopem. Spośród tych wszystkich fotografii, które dostali od Szczebiota, tylko ta wzbudziła jego zainteresowanie. Wprawdzie nie rozpoznał na nim mężczyzny z chaty w Łagiewnikach, ale człowiek ze zdjęcia z jakiegoś powodu wydał mu się znajomy. Kawęcki dał umysłowi kilka minut, licząc na to, że w końcu jego tryby zaczną pracować i wypluwać odpowiedzi, na które liczył. Ale nic takiego się nie stało. Sięgnął więc po telefon i zaczął się przechadzać po pokoju.

– Komisarz Tomasz Kawęcki – przedstawił się i ponownie podszedł do biurka z laptopem. – Widział pan zdjęcia, które wysłałem?

– Widziałem – odpowiedział mu starczy, zmęczony głos.

– I co?

– Czterdzieści jeden.

Kawęcki pochylił się nad komputerem i po raz enty przyjrzał się mężczyźnie ze zdjęcia – a dokładnie jego butom. I po raz enty odniósł wrażenie, że są nieproporcjonalnie małe w stosunku do reszty ciała.

– Jest pan pewien?

– Szyję buty od czterdziestu lat, więc jak się panu wydaje?

Kawęcki musiał się ugryźć w język, żeby nie ubliżyć starcowi.

– Często się zdarza, żeby ludzie o takiej posturze mieli tak małe stopy?

– Nieczęsto, ale się zdarza. Widziałem już dziwniejsze rzeczy. Na przykład dwunastolatka ze stopą jak u gwiazdy NBA. Chce pan o tym

posłuchać?

– Może innym razem. Albo w innym życiu.

Kawęcki rozłączył się. Nadal wbijał wzrok w zdjęcie, próbując wychwycić na nim coś charakterystycznego. Starając się zrozumieć, co przykuło jego uwagę. Wypatrując detalu, który stał się wyróżnikiem tego dziwnego człowieka z torbą. Nie wierzył, że może chodzić wyłącznie o jego buty. Ale nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Zgasił peta, a następnie stanął przed swoją mapą myśli. Witold od wielu tygodni dworował sobie z jego rysunków i bazgrołów. Dostrzegał w nich wymykające się spod kontroli szaleństwo, a nie szansę na pobudzenie kreatywności i połączenie komórek nerwowych, które uparcie nie chciały się zetknąć. Kawęcki musiał przyznać mu rację. Im częściej z nią obcował, tym większego nabierał przekonania, że ta bazgranina nie wnosi nic do sprawy. Nie porządkuje jego myśli. Nie generuje nowych pomysłów. Nie robi nic poza tym, że go wkurwia. Dołuje swoim ogromem. Tym, że zajmuje coraz większą część podłogi i praktycznie całą ścianę. Że od znajdujących się w jej centralnym punkcie konturów anonimowej twarzy, otoczonych kilkoma znakami zapytania, odchodzą dziesiątki odnóg, z których nic nie wynika. Jakby ścigali ducha. Niewidzialnego i niepozostawiającego śladów upiora.

Ponownie sięgnął po telefon.

Przez kolejne półtorej godziny rozmawiał z pięcioma kobietami. Przyjaciółkami z dzieciństwa, koleżankami ze szkół, znajomymi z zajęć fitnessu i ze szkół językowych. Kobietami, które kiedyś być może bardzo lubiły nieżyjące już osoby. Na początku próbował ocenić stopień zażyłości. Zorientować się, czy miały szansę wiedzieć o ofiarach wszystko lub prawie wszystko. Ale wyniósł z tych rozmów jedynie

kilka imion, nazwisk i numerów telefonów, które dopisał na swojej bezwartościowej mapie.

Zapalił następnego papierosa. Popatrzył w stronę przedpokoju. Na kuchnię. Na jej południową ścianę. Tę, do której przylegała lodówka. Pomyślał o jej zawartości.

Głód stawał się coraz dotkliwszy. Czuł, że demon, który rozgościł się w jego wnętrzu, ocknął się po kilkugodzinnej drzemce. Rozsierdzony. Skrajnie wkurwiony. Gotowy rozerwać wszystko, co znajdzie pod ręką.

To był jeden z rzadkich momentów, w których Kawęcki żałował, że nie wierzy w Boga. Że nie może zrzucić na niego winy. Czasami bardzo mocno pragnął obdarzyć go odpowiedzialnością za to, jak skonstruowany jest świat. Wygarnąć mu: stary, spieprzyłeś sprawę. Gdyby wierzył w Boga, mógłby wskazać współwinnego swojej degrengolady. Miałby duchowego kompana, na którym wyżywałby się do woli w trakcie swojego swobodnego spadku. O ile starczyłoby mu odwagi, żeby zakwestionować jego nieomyślność.

Zamyślił się. Zgasił papierosa i jeszcze raz sięgnął po telefon. Wybrał numer Malwiny Cis. Siostry współlokatorki Martyny Bułeckiej. Przypomniawszy sobie jej ogniście rude loki, które wraz ze smukłym ciałem i dużymi piersiami sprzedawała w internecie. Na tym samym portalu, na którym robiła to Bułecka.

– Wiedziałam, że pan zadzwoni – powiedziała Cis, zanim Kawęcki zdążył się odezwać.

– W końcu zapisałaś mój numer.

– To z ostrożności. Zaskoczył mnie pan swoim niedawnym telefonem. Nie chciałam, żeby znów do tego doszło.

- A czym mógłbym cię zaskoczyć?
- Nie wiem. Jakąś informacją. Albo pytaniem.
- Pytaniem o co?

Malwina Cis nie odpowiedziała. Kawęcki zlokalizował ją na swojej mapie. Spojrzał na jej szeroki uśmiech. Do tej pory widział go tylko na zdjęciu. Podczas ich ostatniego spotkania była roztrzęsioną, zapłakaną nastolatką, która opowiadała mu o swojej traumie. O tym, jak powodowana chciwością i ślepa na konsekwencje psychiczne pomagała mężczyznom realizować ich nietypowe zachcianki. Najdziwniejsze z możliwych. Często obrzydliwe. Kiedy o tym opowiadała, nie było mowy o uśmiechu, który posyłała Kawęckiemu z fotografii.

- Dlaczego bałaś się, że cię o coś zapytam?

Malwina wciąż milczała. Kawęcki niemal czuł, jak w gardle dziewczyny tworzy się gęstwa, która nie pozwala jej słowom wydostać się na zewnątrz.

- Odpowiedz – ponaglił ją.

Usłyszał pociągnięcie nosem. Domyślił się, że dziewczyna właśnie przystawia palce do oczu, żeby łzy nie uszkodziły jej makijażu.

- Chyba powinniśmy się spotkać – wykrztusiła w końcu Cis.
- Chyba tak.

– Skąd pan wiedział, że nie powiedziałam prawdy?

– Nie wiedziałem – odparł Kawęcki. – Myślałem, że byłaś wobec mnie szczerą, skoro odważyłaś się wspomnieć o tym portalu. Ale przecież sprzedawanie swojego ciała to nie to samo co zabijanie nienarodzonych dzieci. – Kawęcki pochylił się w stronę Malwiny i

przywołał na twarz głupawy uśmiech. – Nie płacz, to był żart. Zresztą niezbyt wyszukany. Który to był tydzień? Szósty? Siódmy?

– Dziesiąty – odparła dziewczyna, pociągając nosem.

– Mógłby być nawet dwudziesty. Nawet wtedy to coś, co miałaś w sobie, nie byłoby dzieckiem. – Kawęcki zapalił papierosa i przetarł knykciami oczy. – Teraz wydaje mi się to całkowicie logiczne. Podczas naszej rozmowy sprzed paru dni użyłaś sformułowania „jak Boga Kocham”. A kiedy widzieliśmy się kilka miesięcy temu, miałaś krzyżyk na szyi. Schowałaś go pod swetrem, ale domyśliłem się, że to on. Do tego dochodzi twój profil na Facebooku. Te wszystkie patriotyczne i antyislamskie strony, które polubiłaś. Wyłania się z tego obraz głęboko religijnej osoby, która w pewnym momencie życia zbłądziła.

Dziewczyna potrzebowała chwili, żeby przetrwać jego słowa.

– Ma pan dobrą pamięć – powiedziała.

– Tak mówią.

Malwina próbowała zapanować nad emocjami i zachowywać się normalnie, ale nie bardzo jej to wychodziło. Zamiast pić zamówioną lemoniadę, głównie mieszała w niej słomką, gapiąc się na stukające o siebie kostki lodu. Kawęckiemu początkowo wydawało się dziwne, że dostała napój w słoiku, w dodatku od faceta wyglądającego jak łachmyta, ale po spędzeniu kilku minut na OFF Piotrkowskiej zrozumiał, że tutaj jest to zupełnie normalne.

W stosunkowo niewielki postindustrialny obszar, w którym sto lat temu działała fabryka Franciszka Ramischa, udało się wepchnąć kilkadziesiąt małych lokali: kawiarni, klubów, restauracji, pracowni artystycznych, księgarni, biur projektowych, a także sklepów z ubraniami, biżuterią czy ceramiką. Miejsce, w którym nie tak dawno

było tylko kilka wietnamskich barów, obskurny pub i Biedronka, zamieniło się w tętniącą życiem przestrzeń, przyciągającą łodzian za dnia i w nocy, w której nawet tak dziwaczne szkarady jak Kawęcki mogły się odnaleźć.

Komisarz pociągnął łyk piwa. Próbował pić wolno, ale nie był w tym dobry. Zanim Cis dobrnęła do połowy swojego słoika, on już zerkał w stronę baru.

– Opowiedz mi o tym.

Cis włożyła dłonie pomiędzy uda. Spod pudru pokrywającego jej twarz zaczęły się wyłaniać piegi. Pochyliła się nad stołem i napiła lemoniady. Następnie otworzyła torebkę, która przez cały czas zwisała jej z ramienia, i wyciągnęła paczkę cienkich papierosów. Kawęcki nie pamiętał, żeby paliła. Ale też nie widział powodu, dlaczego nie miałyby zacząć.

– To się wydarzyło dwa lata temu. Niedługo przed moją osiemnastką. Prawdę mówiąc, wtedy niewiele wiedziałam o życiu. Tym bardziej o ludziach. A zwłaszcza o facetach. – Zaśmiała się ponuro, rozdmuchując na boki dym. – Pojechałem z koleżankami na imprezę do Łodzi. Byłam tam najmłodsza, wszyscy byli ode mnie o trzy, cztery lata starsi. Jeden chłopak mi się spodobał. Ja jemu najwyraźniej też. Powiedział, że mieszka dwa piętra nad dziewczyną, u której imprezowaliśmy. Byłam trochę zdziwiona, gdy zaproponował, żebyśmy poszli do kibla zamiast do jego pokoju. U niego mieli siedzieć współlokatorzy, którzy całymi dniami palą trawkę i grają na konsoli. Mimo to zgodziłam się. Byłam pijana. Nawet bardzo. Obiecał, że... – zawahała się – wyjdzie ze mnie w porę. Mówił, że wie, jak to zrobić. Że ma w tym pewne doświadczenie. Zaufałam mu.

Malwina wypaliła papierosa, prawie się nie zaciągając, jak osoba, która jeszcze nie nabrała wprawy. Zgasiła peta, wgniatając go w popielniczkę palcem zakończonym rzucającym się w oczy czerwonym paznokciem. Nie patrzyła na Kawęckiego. Unikała jego spojrzenia, jak gdyby mogło jej wyrządzić krzywdę. Większą od tej, jaką sama wyrządziła swojej psychice – ukształtowanej przez prawie dwadzieścia lat życia w katolickiej rodzinie, pod kloszem, z dala od wielkomiejskich pokus, w niewiedzy i naiwności – kiedy starła się z dorosłą rzeczywistością.

– Do dziś nie wiem, kim on był. W każdym razie nie mieszkał w akademiku. Nikt go tam nie znał. I nie wyszedł ze mnie w porę.

Kawęcki chciał ją jakoś pocieszyć, ale nie wiedział, jak to zrobić, więc jedynie pokiwał głową. Ze zrozumieniem. A przynajmniej miał nadzieję, że tak to wyglądało.

– Kiedy się zorientowałaś, że możesz być w ciąży?

– Jakiś miesiąc później. Okres mi się spóźniał. Zaczęłam panikować. Chciałam pójść do siostry po poradę. Ale bałam się, że Weronika powie o tym matce. A nawet gdyby tego nie zrobiła, to i tak by mi nie pomogła. Namawiałaby mnie, żebym urodziła. Nie zaakceptowałyby żadnego innego rozwiązania.

– Więc poszłaś do jej najlepszej przyjaciółki. Do Martyny.

Cis pokiwała głową.

– Wtedy jeszcze się dobrze nie znałyśmy, ale wydawała mi się bardziej wyluzowana od mojej siostry. Poza tym Weronika wspominała, że Martyna zmienia facetów jak rękawiczki. Zazdrościła jej tego. Pomyślałam więc, że Martyna mnie zrozumie. I że mi pomoże. Nie wiedziałam, że kiedyś sama przez to przeszła.

– Kiedy dokładnie?

– Cztery albo pięć lat temu, nie pamiętam dokładnie. – Zamyśliła się, mieszając słomką w słoiku. – Powiedziała, że wie, jak można się pozbyć ciąży, aby nikt się o tym nie dowiedział. W dodatku była gotowa pożyczyć mi pieniądze na zabieg. Weronika nigdy by tego nie zrobiła.

Malwina ponownie zanurkowała do torebki. Wyciągnęła złożoną na cztery części kartkę, którą podała Kawęckiemu. Komisarz rozłożył ją i pożał wzrokiem wypisane na niej słowa.

– To lekarz, który nam pomógł.

– Jak on wyglądał?

Cis ciężko westchnęła. Drżała, wracając pamięcią do tamtych wydarzeń.

– Miał krótkie czarne włosy. Kojarzył mi się z Hiszpanem albo Włochem. Był dość wysoki.

– Jak wysoki?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Mógł mieć z metr pięćdziesiąt.

– Jak się zachowywał?

Malwina milczała przez chwilę, a potem pociągnęła nosem. Wytarła łzę, która zaczęła jej spływać po policzku. Kilkakrotnie poruszyła ustami, zanim wydobył się z nich dźwięk.

– Był mało mówny. Dziwny. Miałam wrażenie, że patrzy na mnie z pogardą. Tak samo jak pan. – Podniosła głowę i spojrzała na Kawęckiego. – Jak na kobietę, która zabiła własne dziecko.

Kawęcki oderwał od niej wzrok i skupił się na kartce. Na nazwisku lekarza. Nic mu nie mówiło, ale sprawiło, że jego serce zaczęło szybciej

bić. Uśmiechnął się. A jego dziwaczny uśmiech sprawił, że Malwina Cis się rozryczała.

Kilka godzin później otworzył lodówkę. Schylił się po czteropak piwa. Wydobył z opakowania trzy puszki i ruszył z nimi do salonu. Tam czekali na niego dwaj mężczyźni. Pierwszy nie miał pojęcia, co właściwie robi w jego mieszkaniu, ale był wyraźnie zafascynowany gigantycznym mapopodobnym czymś, co zajmowało większość salonu. Drugi miał ochotę dać Kawęckiemu w pysk. I nie próbował tej chęci ukryć.

– Co on tu robi? – zapytał Witold, celując palcem w Możejkę.

– Pomaga nam – odparł Kawęcki.

– Nam?

– To on wpadł na pomysł z aborcją. Przy wsparciu pewnej dziennikarki.

– Gówno mnie to obchodzi – warknął Witold. – Facet nie jest żadnym policyjnym konsultantem, tylko naszym pierwszym podejrzanym. On nie może tutaj być.

Możejko w końcu oderwał się od mapy Kawęckiego. Spojrzał na Witolda.

– Byłem podejrzanym tylko dlatego, że ty i twój szef okazaliście się kretynami – powiedział.

– Zamknij się.

– Obaj się zamknijcie. – Kawęcki wepchnął Witoldowi do ręki piwo. Drugą puszkę podał Możejce. Na koniec otworzył swoją i uniósł ją w geście toastu. – O dziwo, nie mam w domu nic mocniejszego i bardziej szlachetnego od piwa. Ani też kufli, do których moglibyście je przelać.

Ale lepiej wznieście ten toast, bo dawno nie mieliście do tego równie dobrej okazji.

Kawęcki nie doczekał się jakiegokolwiek reakcji z ich strony, więc sam pociągnął spory łyk. Następnie podszedł do biurka, na którym stał jego laptop. Otworzył go i wpisał hasło. Kiedy odwrócił się w stronę Ptaka i Możejki, zobaczył, że mierzą się wzrokiem. Nawet go to bawiło. Byli jak samce rywalizujący o względy samicy. Zdeterminowani, napuszeni, irracjonalnie wściekli. A najbardziej Kawęckiego śmieszyło, kto w tym układzie jest samicą.

– Spójrzcie na to – powiedział, przesuwając laptopa na skraj biurka.
– To Aleksander Nowak. Czterdziestosiedmioletni lekarz. Około stu dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu. O ile zdążyłem się zorientować, nie ma żony ani dzieci. Mieszka sam, w niewielkim domu jednorodzinym w Maciejowie. W Maciejowie – podkreślił. – To wieś niedaleko Lasu Łagiewnickiego. Dobrze mu się przyjrzyjcie.

Witold i Możejko równocześnie przesunęli się w stronę biurka. Pochylili się, żeby obejrzeć profil mężczyzny w serwisie ZnanyLekarz.pl. Przyglądali się przystojnemu facetowi o kruczoczarnych włosach oprószonych po bokach siwizną.

– Ginekolog – zauważył Witold.

– W dodatku ze specjalizacją chirurgiczną. Ukończył Uniwersytet Medyczny w Łodzi. Często zmienia miejsce zatrudnienia. Pracował już w Wojskowej Akademii Medycznej, Centrum Zdrowia Matki Polki, Szpitalu imienia Pirogowa, a także w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym w Zgierzu. Ma także własny gabinet w prywatnej klinice medycznej Climed na Rzgowskiej. Kojarzysz tego gościa? – Kawęcki zwrócił się do Możejki.

– Nigdy go nie widziałem. Czy to nasz spec od aborcji?

– Na pewno ma na koncie przynajmniej dwie. Zaopiekował się Malwiną Cis, kiedy chciała się cichaczem pozbyć ciąży. A także Martyną Bułęcką, która na taki sam zabieg zdecydowała się kilka lat wcześniej. – Kawęcki ponownie spojrzął na Możejkę. – Na pewno go nie rozpoznajesz?

– Gdybym kojarzył, tobym ci powiedział.

Kawęcki storpedował go wzrokiem. W chwili, w jakiej normalni ludzie, żeby się uspokoić, liczą do dziesięciu, on napił się piwa i wyciągnął papierosa. Potem ponownie odwrócił się w stronę komputera.

– Spójrzcie na jego grafik – powiedział, zataczając kursorem krąg na ekranie. – Od czwartku do niedzieli nie przyjmuje pacjentów. Jeżeli trzymał się tego harmonogramu kilka miesięcy temu, to od dnia zaginięcia Bułęckiej do momentu znalezienia jej zwłok miał wolne. – Odczekał, aż jego słowa odpowiednio wybrzmiały, a następnie zaczął skakać pomiędzy kartami przeglądarki. – Macie tu profile Nowaka w kilku serwisach społecznościowych, komentarze pacjentek dotyczące jego pracy i zachowania, a także parę informacji o nim, które udało mi się wykopać z różnych źródeł. Zapoznajcie się z tym. A potem spróbujcie mnie przekonać, że nie mamy powodu do świętowania.

Kawęcki dał im kilka minut. W tym czasie podszedł do okna i spojrzął na pogrążone w ciemności osiedle. Przez prowizoryczny trawnik przebiegło trzech nastoletnich chłopaków, wrzeszcząc i oglądając się za siebie. Ostatni z nich zatrzymał się na chodniku. Podniósł nogę i obejrzał podeszwę buta. Zaklął i zaczął wycierać adidasa o krawężnik. Kawęcki zazdrościł mu tego problemu. I łatwości,

z jaką mógł się z nim uporać. On musiałby wytrzeć całe swoje życie. Wyzerować historię i jej konsekwencje. Poważnie przemodelować swoją codzienność. A i tak nie miałyby pewności, że przestanie cuchnąć.

Złapał się za brzuch, kiedy dopadł go przeszywający ból. Ten sam, który nawiedzał go od kilku miesięcy. Z coraz większą mocą. I z rosnącą częstotliwością.

– To wciąż za mało, żeby się cieszyć – odezwał się w końcu Witold.

– Zgadzam się – dodał Możejko. – To, że facet pomógł Martynie przeprowadzić aborcję, jeszcze o niczym nie świadczy.

Kawęcki wyprostował się, udając, że nic mu nie jest. Nie chciał, żeby mu współczuli. Jeszcze wpadliby na pomysł, aby mu jakoś pomóc. Natomiast na pewno żaden z nich by nie wykombinował, jak najłatwiej można mu ulżyć.

– Jeżeli nie cieszy was odnalezienie wysokiego aborcjonisty mieszkającego niedaleko Łagiewnik i mającego związek z przynajmniej jedną z ofiar, prawdopodobnie już nic was nie ucieszy. – Pociągnął ostatni łyk piwa, testując swoje bebechy, i zgniół opróżnioną puszkę. – Tak czy inaczej, zamierzam spotkać się z tym gościem. A wy mi w tym pomożecie. Czy wam się to podoba, czy nie.

Zdumiewała go łatwość, z jaką rozszyfrowywał ludzi. Jak na podstawie drobnych gestów, barwy głosu, mimiki, doboru słów czy ubioru potrafił odkryć ich prawdziwą naturę. Odsłonić zzerającą organy gangrenę ukrytą pod fasadową powłoką. Czasem miał wrażenie, że samym wzrokiem potrafi dokonać moralnego skanu, oddzielając boże wytwory od ich nędznych imitacji.

Spojrzał na swoją listę. Kilka tygodni wcześniej wpisał na nią Dagmarę Paczewską. Head of sales. Bezpruderyjną blondynkę z rozbieganym wzrokiem. W jej przypadku również miał rację. Utwierdził się w tym, oglądając profil Paczewskiej na Facebooku. Założyła go siedem lat wcześniej i od tego czasu publikowała w nim po kilka postów dziennie. A także zdjęcia, parę sztuk tygodniowo, z regularnością dobrze funkcjonującej manufaktury. Przejrzał je wszystkie. Od deski do deski. Zwracając uwagę na każdy detal. Była to lekcja, którą musiał odrobić. Dla swojego i jej dobra. Dla dobra ogółu.

Doliczył się dwustu jedenastu fotografii Paczewskiej w towarzystwie mężczyzn. Osiemdziesiąt pięć zdjęć zostało zrobionych podczas imprez: w klubach, pubach i na domówkach. Paczewska szczyrzyła się na nich łącznie do trzydziestu sześciu przygłupów, z których przynajmniej połowa chciała ją zerznąć. I którym pewnie by na to pozwoliła, gdyby tylko odważyli się spróbować.

Dowiedział się, że nie ma męża. Ani faceta. Ani nikogo, kto mógłby nim zostać. Była dobijającą do czterdziestki pracoholiczką, która nie zamierza się ustatkować. Nadużywającą alkoholu pindą. Noszącą absurdalny, dysfunkcyjny ubiór. Nie chciała się spełnić jako kobieta. Interesowało ją wyłącznie bezczeszczenie własnego ciała. Umizgiwanie się do napalonych, bezwartościowych gnojzków. Do kolegów z agencji reklamowej. Dawnych znajomych ze studiów. Przypadkowych fagasów poznanych w klubie, którzy traktowali ją jako gratisową dziwkę.

Kiedy przystawił długopis do notesu, zorientował się, że jego ręce drżą. Był poirytowany. Skarcił się za to w myślach. To, co robił, nie mogło wynikać z gniewu, tylko z miłosierdzia i empatii. Jego czyny powinny być przepełnione radością tkwiącą w każdym, nawet

najdrobniejszym gościu. W końcu były wyrazem największego szacunku do Boga. Świadectwem oddania misji, którą Stwórca mu powierzył.

Dopisał numer obok nazwiska blondynki. Potem zerknął do kalendarza. Zaczął liczyć.

Nie miał wątpliwości, że Paczewska jest gadem w ludzkiej powłoce. Miał ochotę ją oskórować. Wyjąć z niej wnętrzności, oczyścić je i wyeksponować. Pokazać wszystkim, z czym przez trzydzieści osiem lat mieli do czynienia. Uczynić namacalnym fałsz, jaki przez trzydzieści osiem lat się z niej wylewał. Unaocznic zepsucie, którym trzydzieści osiem lat temu zaczęła bezcześcić świat.

Ale Paczewska musiała poczekać na swoją kolej.

Spojrzał na datę. Uśmiechnął się. Właśnie znalazł prezent na jej czterdzieste urodziny.

Sierpień

– Chcecie rozmawiać o moich prywatnych problemach? – zapytał Możejko, wygodnie rozsiadając się na krześle. – Pytam poważnie. Jeżeli to planujecie, chciałbym tym zainaugurować nasze miłe spotkanie, zamiast się zastanawiać, w którym momencie postanowicie zmienić temat i zaczniecie się nade mną pastwić.

– Nie zamierzamy się nad panem pastwić – zapewnił go Filipski. – Ale rzeczywiście chcemy pana o to zapytać. Słyszeliśmy co nieco na ten temat, więc wypadaloby to sprawdzić u źródła. Skoro już pan wywołał wilka z lasu, to słuchamy.

Możejko nie wyglądał jak stereotypowy pisarz. Przypominał raczej wyluzowanego bankiera inwestycyjnego, menedżera międzynarodowej korporacji albo przedsiębiorcę. Kogoś, komu obcowanie z dużymi pieniędzmi i władzą dało irytującą pewność siebie. Miał na sobie sportową marynarkę oraz luźną białą koszulkę z dekoltem w serek. Siedział z nogą założoną na nogę, wymachując brązowym skórzanym butem. Pod trzydniowym siwiejącym zarostem kryła się nieznacznie nabrzmiała twarz. Twarz eleganta na kacu. Kultuwującego zasadę: *Work hard, play hard*.

Przygryzł wargi, jakby to, co zamierzał powiedzieć, paliło go w usta. Ale już chwilę później uśmiechał się do Stelmach. Filipskiego od początku przesłuchania traktował jak niebo nad Pekinem: brudne, skażone, niewarte zawieszenia oka.

– Moje problemy sprowadzają się do kobiet i używek – powiedział w końcu Możejko, uśmiechając się do policjantki. – Jestem seksoholikiem i kokainistą. Niestety, nie wiem, czy bardziej seksoholikiem, czy kokainistą. I czy jedno jest efektem drugiego. Ani czy te przypadłości są ze sobą skorelowane. Ale niewątpliwie z obiema się borykam.

– Mówi pan tak, jakby się tym chwalił – zauważył Filipski.

– Chwalił? – Możejko parsknął i przeniósł wzrok na policjanta. – A czy pan chwaliłby się uzależnieniem od leków albo opiatów?

– Chodzi mi o pana seksoholizm. Pan się go nie wstydzi. Raczej próbuje się nim popisać przed moją koleżanką.

Możejko rozparł się na krześle i głośno westchnął. Przejechał językiem po zębach, jakby chciał się upewnić, czy są na swoim miejscu. Były. Dlatego ponownie je wyszczerzył.

– Seksoholik. Nieźle to brzmi, prawda? Dla przeciętnego Kowalskiego to ktoś, kto hurtowo posuwa panienki, przepuszcza wypłatę na kurwy i odrobinę przesadza z waleniem konia. W jego rozumieniu nie ma miejsca dla takich pojęć jak obsesyjna masturbacja, voyeuryzm, fetyszyzm, sadomasochizm czy niekończące się seanse pornograficzne. Seksoholizm wydaje mu się dziecinną igraszką, niewinną nadbudową dla życia intymnego, modą obyczajową albo wydumanym nałogiem. Umysł Kowalskiego jest zbyt stępiony populistyczną papką, żeby mógł zrozumieć, że to taki sam nałóg jak

alkoholizm czy narkomania. Że jest równie dotkliwym obciążeniem. Przymusem. Tragedią. – Możejko rozłożył szeroko ręce. – W moim przypadku jest ona dwuaktowa. W pierwszym akcie maltretuję swój nos. W drugim fiuta. Według pana jest to osiągnięcie, którym można się chwalić? – Zamiast odpowiedzieć, Filipski westchnął i poprawił okulary, nie bardzo wiedząc, co zrobić z rękoma, więc Możejko skupił się na Stelmach. – A według pani?

Wpatrywał się w nią na tyle długo i intensywnie, że w końcu wymusił na niej reakcję.

– Czy w tej chwili znajduje się pan pod wpływem kokainy? – zapytała.

– Nie odpowiem na to pytanie.

– Dlaczego?

– Ponieważ uważam je za niegrzeczne.

Kiedy Możejko skończył hipnotyzować policjantkę wzrokiem, zerknął za zegarek. Następnie poprawił klapy marynarki i wygładził spodnie. Zrobił to wszystko w ciągu kilku sekund. Gwałtownie. Niecierpliwie. Drżącymi rękoma. W zasadzie nie musiał odpowiadać na pytanie Stelmach.

– A więc seksoholik i narkoman został policyjnym konsultantem – powiedział Filipski, zmieniając temat.

– Kawęcki nie określił w ten sposób mojej funkcji. I ja też bym jej tak nie nazwał. Powiedziałbym raczej, że wcieliłem się w rolę reportera towarzyszącego policjantowi prowadzącemu śledztwo.

– Tyle że śledztwo prowadził Witold Ptak – zauważyła Stelmach. – A on, o ile nam wiadomo, nie miał bladego pojęcia, że jest pan w jakikolwiek sposób zaangażowany w tę sprawę. Przypuszczam, że

nigdy nie wyraziłby na to zgody. Podobnie jak jego przełożony Mariusz Szczebiot.

Mozejko zeskanował policjantkę od pasa w górę. Rozebrał ją. Zmierzył. Oceniał. Dla niego ten nudny szary żakiet był jedynie atrapą ubioru, pod którą tylko pozornie próbowała ukryć swoje kształtne ciało. Widział ją w pełnej krasie. Pochyloną nad stołem, z cyckami rozplaszczonymi na blacie. Wchodził w nią głęboko, a ona jęczała w rytm ruchów jego bioder. Raz po raz, sekunda po sekundzie. Widział, jak na koniec wkłada go w jej usta. I znów zaczyna pracować biodrami. Posunięcie po posunięciu. Widział, jak kończy, uśmiechając się do tego frajera w pinglach, któremu kazał wszystko nagrywać.

– Teoretycznie ma pani rację. Ale w praktyce śledztwo prowadził Kawęcki. Przynajmniej jako jedyny próbował to robić.

– A pan mu w tym pomagał, choć nie zostało to odnotowane w aktach sprawy – powiedział Filipowski, demonstracyjnie rozkładając notatki.

– Jeśli to w czymś pomoże, może mnie pan nazywać tajnym współpracownikiem Kawęckiego. Wszystko mi jedno.

– W jaki sposób pan mu pomagał? – spytała Stelmach.

– Konceptyjnie. Byłem dla niego intelektualnym sparingpartnerem, z którym mógł ścierać swoje pomysły. Człowiekiem ze świeżym spojrzeniem, wtajemniczonym w sprawę i bardzo zaangażowanym. Bardziej niż większość jego kolegów.

– Czy dzielił się z panem informacjami, których nie powinien przekazywać cywilowi?

– A skąd mam wiedzieć, czego nie powinien mi mówić?

– Napisał pan w swoim życiu kilka thrillerów. Spotykał się pan z policjantami, żeby poznać tajniki ich pracy. Jest pan inteligentnym facetem. Powinien pan się domyślić, co funkcjonariusz zajmujący się sprawą kryminalną może, a czego nie powinien mówić cywilowi.

Możejko podrapał się po brodzie. Potem zniecierpliwiony spojrzał na zegarek.

– Wiem, że chcecie się dobrać Kawęckiemu do skóry, ale ja wam tego nie ułatwię. I to nie dlatego, że chcę go chronić. Nie istnieje żaden powód, dla którego miałbym to robić. Wręcz przeciwnie.

– Co ma pan na myśli?

Możejko ponownie przejechał językiem po zębach. Jego rozbiegany wzrok na moment zatrzymał się na stole.

– Mówiąc eufemistycznie, Kawęcki nie jest osobą wzbudzającą sympatię. Można go szanować, można mu współczuć, ktoś wysoce empatyczny mógłby nawet współuczestniczyć w jego cierpieniu, ale nie da się go lubić. To niewykonalne. Jest wampirem emocjonalnym, który wysysa z ludzi ochotę do życia. Nie życzę nikomu, żeby miał z nim do czynienia.

Popatrzył na policjantów. Delikatnie kiwali głowami. Wiedzieli, o czym mówi.

– Czy współpracując z Kawęckim, miał pan wrażenie, że znajduje się w niebezpieczeństwie? – zapytał Filipski.

Możejko odczekał kilka sekund, trawiąc zadane mu pytanie, po czym się roześmiał.

– Co pana tak bawi?

– Przez wiele tygodni policjanci nękali mnie, podejrzewając, że zrobiłem coś strasznego. Że wyrządziłem niewiarygodną krzywdę

bliskiej mi osobie. Potem zdecydowali się podjąć ze mną współpracę, bo nie radzili sobie ze śledztwem. A teraz interesują się tym, czy jeden z ich kolegów nie naraził mnie na niebezpieczeństwo. Nie wydaje wam się to trochę paranoidalne?

– Proszę odpowiedzieć – odezwała się Stelmach, wyraźnie zmęczona jego gadaniną. – Czy Kawęcki doprowadził do tego, że znalazł się pan w niebezpieczeństwie?

Możejko opuścił głowę. Zwlekając z odpowiedzią, poczuł gwałtowny odpływ energii. Miał wrażenie, że niespodziewanie spadł z wysokiej fali, łamiąc po drodze deskę. Czuł się słaby. Osamotniony i niezrozumiany. Zbyt uległy, żeby oprzeć się siłom, które wysysały z niego życie.

Właśnie zaczął się jego zjazd. Do rzeczywistości. Prosto w oko cyklonu.

Dwa miesiące wcześniej

Obiecali sobie, że tego dnia spróbują zrobić wszystko, żeby się wzajemnie nie wkurwiać. A przynajmniej żeby się nie pozabijać. Jeden z nich zapewnił, że się nie upije, drugi – że nie będzie ćpać, a trzeci zaręczył, że jeśli dwaj pierwsi dotrzymają słowa, to postara się nie marudzić.

Ale żaden z nich nie wziął sobie tych zapewnień do serca.

Spotkali się na skrzyżowaniu Rzgowskiej i Piasecznej. Przyjechali trzema różnymi samochodami i zostawili je w trzech różnych miejscach, oddalonych o kilkaset metrów od kliniki Climed; nie dlatego, że tak planowali, lecz przez to, że nie mieli gdzie zaparkować.

Dzień był szary, podobnie jak to miejsce: w sercu Górnej, w sąsiedztwie osiedlowych sklepów, z których masowo wypełzali starzy ludzie, z widokiem na dziesięciopiętrowy wieżowiec, market Pepco oraz tramwaj sunący środkiem jezdni, rumoczący i bujający się na boki, jakby wracał z niezłej imprezy.

Możejko doznał *déjà vu*, kiedy Witold wycelował w niego palcem wskazującym. Już kiedyś widział go na wysokości swojej twarzy. Różnica polegała na tym, że tym razem wyciągnął go facet z pistoletem w kaburze.

– On zostaje – powiedział Witold i nie doczekawszy się żadnej reakcji ze strony Kawęckiego, dodał: – Mówię serio. Jeśli wyjdzie z tego jatka i coś mu się stanie, pójdziemy za to siedzieć.

– Nie będzie żadnej jatki. Nie panikuj. I ty też nie.

Kawęcki przyjrzał się Możejce, po czym wyciągnął swój pistolet. Obejrzał go z kilku stron. Obchodził się z nim tak, jakby widział go po raz pierwszy. Możejko czuł się co najmniej dziwnie, wiedząc, że ktoś taki ma zagwarantować mu bezpieczeństwo.

– Potrzebujemy pozornie szanowanego reprezentanta – powiedział Kawęcki. – Ty wyglądasz jak barbarzyńca, a ja jak pijak.

– Bo jesteś pijakiem.

– A on jest narkomanem, ale nie wygląda jak ćpun. Prezentuje się lepiej od nas. Godnie. Z jakiegoś powodu laskom miękną kolana na jego widok, więc może odciągnąć od nas uwagę. Potrzebujemy kogoś takiego.

Witold nie wyglądał na przekonanego. Raczej na faceta, który musi się mocno powstrzymywać, żeby nie wybuchnąć. Zapewne mógłby przytoczyć całą serię kontrargumentów, z którymi zgodziłaby się

większość zdroworozsądkowych ludzi. Ale i tak liczyło się tylko to, co miał do powiedzenia Kawęcki. Jakimś sposobem to on, facet najmniej odpowiedzialny z całej trójki, który dla poprawy koncentracji i samopoczucia wlewa w siebie alkohol galonami, decydował o ich losie. On znalazł Aleksandra Nowaka. On zebrał o nim informacje. On wszystko zaplanował.

To nawet zabawne, pomyślał Możejko. Introwertyczny, zagubiony, samolubny, toksyczny alkoholik decydował o losie dwóch dorosłych facetów. Zabawne, a zarazem przerażające.

– Ruszamy – zaordynował Kawęcki, wskazując w kierunku następnego skrzyżowania.

Klinika mieściła się w dwupiętrowym narożnym budynku, który równie dobrze mógłby służyć za placówkę banku albo firmy ubezpieczeniowej. Do przychodni weszli w mniej więcej minutowych odstępach: najpierw Witold, potem Możejko, a na końcu Kawęcki. Minęli recepcję i wdrapali się na pierwsze piętro nowocześnie urządzonej kliniki. Usiedli w różnych miejscach rozciągniętej na cały korytarz poczekalni z kilkoma równoległymi rzędami jednokolorowych plastikowych krzeseł. Zamiast się przyglądać rozwieszonym na ścianach plakatom – w równym stopniu przestrzegającym przed częstymi przypadłościami, co reklamującym preparaty do ich zwalczania – utkwili wzrok w telefonach.

Udając, że rozmawiają ze znajomymi, w rzeczywistości wymieniali się wiadomościami na Messengerze. To był pomysł Możejki. Sądził, że dzięki temu będą zachowywać się naturalnie, jak faceci po czterdziestce w każdym cywilizowanym kraju, którzy nie mając co zrobić z czasem i rękoma, zatapiają się w smartfonach. Piszą jakieś bzdurne wiadomości

nafaszerowane emotikonami i od czasu do czasu głupekowato się uśmiechają. Witold podłapał pomysł i byle coś napisać, próbował dzielić się z Możejką nic niewartymi obserwacjami rzeczywistości. Ale Kawęcki nie przyłączył się do zabawy. Nieszczerólnie to Możejkę zdziwiło.

Wzdrygnął się, gdy siedząca obok niego kobieta upuściła telefon, który rozleciał się po starciu z płytkami. Schyliła się, żeby podnieść obudowę oraz baterię, i rzuciła mu przepaszający uśmiech. Możejko także odpowiedział jej uśmiechem, ale zupełnie innym: uwodzicielskim i nieco zbyt nachalnym. Zaintrygowała go. Sprawila, że na moment przestał myśleć o trawiącym go stresie. Zaczął o niej fantazjować. Wyobrazać sobie, co by zrobił z jej ciałem. W jaki sposób zdarłby z niej rajstopy i podciągnął spódnice. Jak głęboko by w nią wszedł.

Wtedy go zobaczył.

Kiedy wysoki mężczyzna opuścił gabinet i spojrział w jego kierunku, Możejko miał wrażenie, że wszystko jest stracone. Że z przerażenia podskoczył i dał się zdemaskować. Ale na Aleksandrze Nowaku jego nerwowa reakcja najwyraźniej nie zrobiła żadnego wrażenia. Lekarz leniwym wzrokiem omiół korytarz i przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Zamienił słowo z kimś, kto był w środku. Miał spokojny, mocny głos. Niezdradzający paniki ani zdenerwowania. Zimny i wyrachowany. Głos kogoś, kto wie, co robi.

Nowak niósł plastikową podkładkę z jakimiś medycznymi bazgrołami. Zatrzymał się na środku korytarza, żeby poprawić jeden z piankowych chodaków, z którego wysunęła mu się stopa. Kiedy się wyprostował, spojrział na Możejkę.

– Pan był ze mną umówiony? – zapytał.

Możejko pokręcił głową. Mocniej, niż zamierzał. Prawdopodobnie mocniej, niż spodziewał się tego Nowak.

– Czekam na dziewczynę – odparł.

Lekarz przyglądał mu się przez chwilę, jakby próbował odgadnąć, o kogo może mu chodzić. Potem skupił się na dokumentacji medycznej i wrócił do gabinetu. Możejko zaczął stukać w telefon. Ale nagle przestał, ponieważ w miejscu, w którym wcześniej Nowak się zatrzymał, żeby poprawić but, pojawili się Ptak i Kawęcki. Porozumieli się kiwnięciami głowy i wparowali do pomieszczenia. Bez pukania. Bez ostrzeżenia. Nie rozważywszy, czy z niego wyjdą.

Były węższe, krótsze i bardziej kolorowe. Przypominały jej korytarze w przychodniach lekarskich, do których mama zabierała ją, kiedy była chora. W salach lekcyjnych, schowanych za lekkimi drewnianymi drzwiami, które przeważnie pozostawały otwarte, mieściły się trzy niezbyt długie rzędy dwuosobowych ławek. Żadna z jej poprzednich klas by się w nich nie pomieściła. Ale ta nowa była mniejsza. Znacznie mniejsza.

Marcelina nie widziała jeszcze takiej szkoły. Mama przekonywała ją, że jest taka sama jak wszystkie inne, może nawet lepsza. Ale według Marceliny było inaczej. Głównie dlatego, że na ścianach nie wisały rysunki uczniów. Ani laurki przygotowywane na Dzień Matki. Ani wycinanki tworzone wspólnie z rodzicami. Zamiast nich były obrazy. Namalowane przez dorosłych i pochodzące ze sklepowych półek. Kupne. Smutne. Jednokolorowe. Jakby miały przypaść do gustu nudnym nauczycielom, a nie dzieciom. W każdym razie jej się nie podobały.

Nie podobało jej się także to, że po raz kolejny musi poznawać kolegów. Spośród siedmiu dziewczynek i trzech chłopców, którzy byli w jej klasie, po pierwszej lekcji podeszła do niej tylko jedna koleżanka. Przedstawiła się i powiedziała „cześć”. Marysia Palec. Marcelina od razu pomyślała, że tak śmieszne nazwisko musi nosić nieprzypadkowo. Może dlatego, że ma duże palce u stóp. Albo lubi wskazywać innych palcem. Albo nikt nie chce się z nią bawić, przez co jest sama jak palec. Podobnie jak ona w tej szkole. I jak w każdej poprzedniej.

Marcelina od pierwszej lekcji wiedziała, że Marysia będzie jedyną dziewczynką, z którą będzie się zadawać. Pozostałe patrzyły na nią nieufnie, jakby się bały, że jej pojawienie się oznacza coś złego. Burzy ład. Właściwie od razu wiedziała, że inne dzieci będą jej unikać, przypatrywać się z ukrycia, mówić o niej tak, żeby tego nie słyszała. A czasem wręcz przeciwnie – żeby słyszała bardzo wyraźnie. Wiedziała, co będą mówić. Że będą nazywać ją dziwakiem, nie rozumiejąc, dlaczego przez większość czasu stoi pod ścianą i wpatruje się w swoje buty, jakby czekała, aż zmienią kolor. I dlaczego tak nerwowo się odwraca, kiedy słyszy, że ktoś za nią idzie.

Nie było tylko jasne, co będą mówić o Marcelinie za kilka lub kilkanaście lat. Gdy już jako dorośli zdadzą sobie sprawę, co obserwowali przez te kilka miesięcy, w ciągu których chodziła z nimi do szkoły. Kiedy w ich nastoletnich lub już całkiem dojrzałych umysłach zaświeci się lampka ostrzegawcza. Spóźniony znak stopu. Gdy uświadomią sobie, że nie zrobili nic, aby Marcelinie pomóc. Żeby zapobiec jej tragedii.

Nie przypominał mężczyzny ze zdjęcia. Siwizna niczym zaraza rozpanoszyła się niemal na całej jego głowie. Twarz miał wysuszoną, a policzki zapadnięte. Do tego głęboko osadzone, zawzięte oczy. I mocno zaciśnięte usta. Pewnie trzeba by rozewrzeć je łomem, żeby wycisnąć uśmiech z twarzy Aleksandra Nowaka.

Kiedy Możejko odważył się wejść do jego gabinetu, sytuacja była już opanowana. Podejrzany stał za biurkiem i odprowadzał wzrokiem pacjentkę. Filigranowa ruda kobieta, przypominająca spłoszoną wiewiórkę, zdążyła się ubrać i przewiesić torebkę przez ramię. Spanikowana, zawstydzona i kompletnie zdezorientowana wybiegła z pomieszczenia.

– Jeśli w ciągu trzydziestu sekund panowie nie wyjaśnią, kim są i co tu robią, wezwę ochronę – powiedział Nowak.

– Nie brzmisz zbyt przekonująco – odparł Kawęcki, który krążył po pomieszczeniu, jakby zamierzał je obrabować. – Co byś powiedział ochroniarzom? Że do twojego gabinetu wtargnęli policjanci, którzy dowiedzieli się, że jesteś specem od późnych aborcji? – Przystanął i uśmiechnął się do lekarza. – Usiądź.

Nowak przyjrzał się jemu, a potem stojącemu bliżej Witoldowi, który w odpowiedzi na jego spojrzenie położył dłoń na kaburze. To go ostatecznie przekonało, żeby usiąść.

– Czego chcecie? – zapytał.

– Żebyś się przyznał – odparł Witold.

– Do czego?

Kawęcki usiadł naprzeciwko lekarza. Opadł na oparcie krzesła i jeszcze raz rozejrzał się po bezosobowym gabinecie, w którym nie było nic oprócz fotela ginekologicznego, kilku regałów z dokumentacją

medyczną i biurka. Zanurkował do kieszeni kurtki. Wyciągnął dużą białą kopertę i rzucił ją na blat.

– Do zabójstwa – powiedział.

A więc jednak nie potrzeba do tego łomu, pomyślał Możejko, widząc, jak z ust lekarza uformowało się coś, co przy odrobinie wyobraźni można było wziąć za uśmiech.

– Nie jestem zabójcą. Ale bardzo mnie ciekawi, kogo waszym zdaniem zamordowałem.

– Martynę Bułęcką – wyjaśnił Witold.

Ginekolog długo wzbraniał się przed otwarciem koperty, więc Kawęcki postanowił mu w tym pomóc. Sięgnął po nią i wysypał zawartość na biurko. W środku było kilkanaście zdjęć. W większości makabrycznych, przedstawiających rozkawałkowane ciało Bułęckiej. Kawęcki pochylił się do przodu. Zaczął się gapić na Nowaka. Obserwował jego reakcję.

– Jestem lekarzem. Takie zdjęcia nie robią na mnie wrażenia – powiedział Nowak, jakby czytał w jego myślach. – Znam tę sprawę. Czytałem o niej w internecie. Przykro mi z tego powodu, ponieważ Martyna była moją pacjentką. Ale nie mam z jej śmiercią nic wspólnego.

– Możesz to udowodnić? – zapytał Witold, który stał obok biurka, z rękoma luźno zwisającymi wzdłuż tułowia, jakby chciał mieć pewność, że w razie potrzeby będzie w stanie szybko sięgnąć po broń.

Nowak wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Nigdy nie przypuszczałem, że będę musiał to robić. Kiedy dokładnie zginęła?

– Dwudziestego...

– Dwudziestego lutego – wtrącił się Kawęcki.

Nowak przysunął się do biurka. Sięgnął po stojący na nim kalendarz.

– To był wtorek – powiedział. – Mój obecny grafik w klinice obowiązuje od stycznia. Więc jeśli nie był to dzień, w którym wydarzyło się coś niespodziewanego, najprawdopodobniej spędziłem go tutaj. Jeżeli tak bardzo was to interesuje, możecie poprosić recepcjonistkę o wgląd do rejestru. Każdy pracownik wchodzący i wychodzący z budynku musi się odhaczyć w systemie.

– Zrobimy to – zapewnił Witold.

– Nie wątpię.

Znow to samo: sztuczny uśmiech, który dziecko mógłby doprowadzić do płaczu. Nowak wyraźnie nie należał do ludzi, którzy często się uśmiechają.

– Coś jeszcze? – zapytał.

Witold podjął próbę. Wyciągnął z kieszeni kartkę, na której zapisał odręcznie kilka zestawów imion i nazwisk. Położył ją na biurku.

– Czy zna pan te kobiety? – spytał.

Nowak wymownie sapnął, po czym spojrzał na listę. Ekspresowo przeskanował ją wzrokiem.

– Trudno jest mi uwierzyć w to, co się tu przed chwilą wydarzyło – powiedział. – Nie pokazaliście mi swoich odznak ani legitymacji policyjnych. Nie przedstawiliście się. Możemy więc udawać, że do tego spotkania nie doszło. Że do mojego gabinetu nie wparowało trzech dumnych facetów, z których dwaj są policjantami, a jeden – spojrzał na Mozejkę – chuj wie kim. Możemy się umówić, że zapomnicie o tym, w jaki sposób dorabiam, a ja nie złożę zawiadomienia, przez które musielibyście zacząć szukać nowej pracy. Co wy na to?

Nie odpowiedzieli. Kawęcki wciąż wpatrywał się w Nowaka, natomiast Witold gapił się na Kawęckiego, jakby chciał wyrwać mu serce. Dał sobie spokój z pilnowaniem kabury. Jeżeli coś im groziło, to z pewnością nie Nowak.

– Świetnie. – Lekarz teatralnie uderzył dłonią w blat. – W takim razie spierdalajcie stąd.

Nazywał się Omar. Pochodził z Izmiru. Był ateistą, a przynajmniej tak utrzymywał. Przyjechał do Łodzi osiem lat wcześniej w ramach wymiany studenckiej. Poznał młodszą od siebie Polkę. Zakochał się. Dziś był szczęśliwym ojcem dwóch kilkuletnich chłopców. I umiarkowanie szczęśliwym właścicielem budy z kebabem, w której stołowali się biedni studenci, miejscowi dresiarze oraz zdesperowani policjanci.

Szczebiot przywitał się z Omarem, a potem zerknął na wypisane nad barem menu, choć nie miało to większego sensu, ponieważ zawsze zamawiał to samo. Baraninę na grubym cieście. Swoją *guilty pleasure*. Danie odstresowujące, które pożerał w taki sposób, jakby było jego wrogiem. Często było mu wstyd, że po nie sięgał. Czuł, że szefowi Wydziału Kryminalnego nie wypada się tak stołować. Nie w kebabie na Lutomińskiej. Nie w tym stroju. Nie w momencie, w którym wszystko wali się na łeb.

Ale czasem – tak jak teraz – miał to kompletnie w dupie i chciał się po prostu tanio nażreć.

– Ktoś o ciebie pytał – oznajmił Omar.

– Naprawdę? Kto?

Turek pokazał głową w głąb lokalu.

Szczebiot odwrócił się i zobaczył młodą kobietę rozmawiającą przez telefon. Pomachała do niego. Upłynęło kilka sekund, zanim zrozumiał, kim jest. Nie zdążył porządnie zakląć w myślach, gdy schowała telefon do torebki i doskoczyła do niego niczym harpia.

– Myślałam, że się pana nie doczekam – oznajmiła Alicja.

– Co pani tu robi?

– To, co ludzie robią w restauracjach. – Odwróciła się i wskazała ręką rozgrzebane danie na plastikowym talerzu, wyglądające niemal na nietknięte. – O ile można to miejsce nazwać restauracją.

Szczebiot spojrział na Omara, jakby chciał go przeprosić za zachowanie dziennikarki, ale ten zupełnie się nie przejął. Elektrycznym nożem odkrawał kolejne płaty baraniny, nucąc coś pod nosem.

– Dowiedziałam się, że mogę tu pana spotkać. Podobno często przychodzi pan tu po pracy. Zazwyczaj po ciężkim dniu. Ktoś mi powiedział, że ma to związek z pańską nerwicą natręctw.

Szczebiot nie miał pojęcia, w jaki sposób powiązała jego zaburzenie z objadaniem się kebabami, ale nie zamierzał tego rozstrzygać. Wskazał jej palcem wyjście.

– Chodźmy stąd – powiedział, a potem zwrócił się do Omara. – Zaraz wrócę.

Stanęli na chodniku, na dwóch popękanych betonowych płytach pośrodku niczego, gapiąc się na samochody gwałtownie hamujące przed skrzyżowaniem. Szczebiot wycelował w Alicję palcem, którym chwilę wcześniej wskazywał wyjście z lokalu. Ktoś przechodzący obok mógłby pomyśleć, że tylko czeka, aż coś z tego palca wystrzeli i wywierci kobiecie dziurę w sercu.

– Gdyby była pani facetem, dostałaby po mordzie za to, co zrobiła.

– Od pana?

– Ode mnie i moich kolegów. Może mnie pani zacytować.

– To ciekawe. Bo wydaje mi się, że to pan powinien dostać po mordzie. Ode mnie. – Alicja zmusiła się do uśmiechu, z trudem powstrzymując wzbierający w niej gniew. – Starannie wykonałam swoją pracę, podając do publicznej wiadomości informacje, które policja i prokuratura z jakiegoś powodu starały się zataić. Znajomi dziennikarze dzwoniли do mnie z gratulacjami. Mówili, że dobrze zrobiłam, dobierając się do dupy tym kretynom z policji. Niektórzy nawet przebąkiwali, że zasłużyłam na nominację do Grand Pressa. A skończyło się tym, że zamiast nagrody dostałam karę. Wyrzucono mnie z pracy. Natomiast ludzie, którzy spieprzyli sprawę, narażając na szwank wizerunek organów ścigania, dalej pierdzą w swoje stołki.

Szczebiot westchnął ciężko. Spojrzał w witrynę baru. Spotkał się wzrokiem z Omarem, który pomachał do niego torebką foliową. Naczelnik kiwnął mu głową. Nie zanosiło się na to, żeby miał dzisiaj zjeść na miejscu.

– Czego pani chce?

– Poznać wroga.

– Czyli mnie?

– Wrogiem jest dla mnie każda osoba, która próbuje mi zaszkodzić.

Pan już to zrobił.

– Niby jak?

Widząc, w jaki sposób Alicja mu się przygląda, Szczebiot zrozumiał, kto z ich dwojga czuje się bardziej poszkodowany. I kto ma większą ochotę na zdzielenie drugiej osoby w gębę.

– Wyleciałam z redakcji, ponieważ prezes wydawnictwa Zygmunt Woźniak oszukał mojego szefa. Wmówił mu, że kumpluje się z komendantem Januszem Dębciem.

– A to nieprawda?

– Nic na to nie wskazuje. Prawdopodobnie widzieli się tylko kilka razy. Ich synowie są skłóconymi partnerami biznesowymi. W dodatku do tej pory nasze wydawnictwo nie miało większych oporów przed wytykaniem błędów policji. A to oznacza, że zostałam udupiona z innego powodu.

– I według pani mam z tym coś wspólnego?

Szczebiot zaśmiał się nerwowo. Jednak po chwili spowaźniał, czując na sobie srogie, świdrujące spojrzenie Alicji.

– Dlaczego pan został naczelnikiem Wydziału Kryminalnego?

– A jakie to ma znaczenie?

– Proszę odpowiedzieć. – Alicja rozłożyła bezradnie ręce. – Jako bezrobotna dziennikarka w żaden sposób nie wykorzystam tej informacji. Po prostu chciałabym ustalić, kto mnie wydymał.

Szczebiot spojrział jej głęboko w oczy. Nigdy nie uważał się za mistrza w odczytywaniu emocji, ale wydawało mu się, że kobieta mówi prawdę.

– Od dawna chciałem zostać szefem wydziału. Byłem już zmęczony robotą operacyjniaka. Miałem nadzieję, że uda mi się przenieść do biura i przestać uganiać za mętami. Dlatego gdy mój poprzednik zapowiedział, że zostaje emerytem, zgłosiłem swoją kandydaturę. Potem ktoś mnie docenił.

– Dębiec?

– Mam nadzieję, że nie tylko on. Ale to z nim rozmawiałem, zanim podjąłem się tego wyzwania.

– O czym?

– Głównie o tym, czego się po mnie spodziewa. To było coś w rodzaju rozmowy rekrutacyjnej. Testu. Było bardzo... korporacyjnie. Konkretnie. Komendant jasno przedstawił swoje oczekiwania. Pokazał mi kilka wykresów z aktualnymi i spodziewanymi wynikami wykrywalności. Powiedział, jaki jest budżet wydziału. Wyjaśnił, na czym mu zależy i dlaczego ta robota nie jest łatwa.

– I tyle?

– Tyle.

– Nie miał żadnych specjalnych życzeń?

– O co pani chodzi?

– Piszę o policji już od blisko dziesięciu lat. Wiem, że tu się nic nie dzieje bezinteresownie. Osoba, która nie ma wpływowych znajomych, wysoko postawionych członków rodziny albo protektorów, ma niewielkie szanse, żeby dostać się do struktur kierowniczych. Chyba że zgodzi się zostać bezwolnym instrumentem w rękach swoich zwierzchników. Żołnierzem ślepo wykonującym polecenia. Nawet te najbardziej odpychające.

– Dębiec do niczego mnie nie zmuszał.

– Może powiedział to w zawoalowany sposób, a pan tego nie zrozumiał?

– Skończył się pani czas.

– Proszę poczekać. – Alicja zrobiła krok w stronę baru, zachodząc Szczebiotowi drogę. – Jeśli odpowie pan na kilka następnych pytań, będzie to nasze pierwsze i ostatnie spotkanie. Nie będzie pan musiał

odrzucać moich połączeń albo się rozłączać, gdy tylko usłyszy mój głos.

Szczebiot spojrział ponad ramieniem dziennikarki. Omar wesoło podrygiwał za ladą, bujając się w rytm utworu Tarkana albo jakiejś innej tureckiej gwiazdy popu. Miał imponującą łatwość zapominania, że kręci kebaby w kraju, w którym nienawidzi się ludzi takich jak on. Ciapatych. Innych. Szczęśliwych.

– Ma pani dwie minuty – oznajmił Szczebiot. – Później mój kebab przestanie się nadawać do zjedzenia.

– Prokurator Adam Warga. Czy to on dyktuje wam, jak macie prowadzić śledztwo?

– On je tylko nadzoruje. Na poziomie operacyjnym praktycznie nie przejawia zaangażowania.

– Nie próbuje pociągać za sznurki?

– Nie.

– Jest pan pewien? W końcu jego dawny przełożony Andrzej Pszoniak kumpłował się z komendantem Dębciem. Nie wiedział pan o tym?

Twarz Szczebiota mówiła, że nie.

– Studiowali razem – kontynuowała Alicja. – Pszoniak nawet odwiedził Dębca w Stanach, kiedy ten wyjechał na kurs organizowany przez FBI. Nie dostrzega pan związku?

– Widzę tylko zbieg okoliczności.

– A Bartosz Adamski, szef zespołu zajmującego się sprawą Magdy Giętkiej?

– Co z nim?

– Jego ojciec był oficerem policji. Znał się z Dębciem i Pszoniakiem.

Szczebiot bezradnie rozłożył ręce.

– Naprawdę chciałbym móc pani powiedzieć, że to kawał skurczybyka, który wszystko zawdzięcza nazwisku i znajomościom ojca, ale byłaby to nieprawda. Adamski jest dobrym policjantem. Zasłużył na to, żeby dać mu szansę.

– Z innym nazwiskiem by jej nie dostał.

– Być może.

Alicja pokręciła głową.

– Albo mnie pan okłamuje, albo jest dziecinnie naiwny.

– A może to pani poprzestawiała się klepki? – Szczebiot w końcu nie wytrzymał. – Nie dostrzega pani, że swoimi paszkwilami naraziła na szwank śledztwo? I wyrządziła krzywdę matce Martyny Bułeckiej? Jak pani myśli: próbowaliśmy zataić szczegóły tej zbrodni, bo mamy coś za uszami, czy po to, by ukryć przed zrozpaczoną kobietą informację, że jej córkę, zanim jakiś pojeb ją zaszlachtował, najpierw zgwałcił pies? – Ponownie wycelował palcem w Alicję. – Mam w wydziale policjanta, który popadł w paranoję. A pani mówi tak, jakby była jego dziwką.

Potrzebowała dłuższej chwili, żeby przetrwać słowa Szczebiota. Otrząsnąć się po nich. Kiedy jakoś jej się to udało, naczelnik wchodził już do baru.

– Jest mi pana żal! – zawołała. – Ktoś sobie z panem pogrywa.

Powiedziała coś jeszcze, ale Szczebiot już jej nie usłyszał. Podeszedł do ociekającego serdecznością Omara, który stał za barem, upychając mięso w placku lawasz.

– Dziewczyna? – spytał Turek, szukając wzrokiem Alicji.

– Dzięki Bogu, nie.

Roześmiali się. Chwilę później Szczebiot zapłacił za zamówienie i odebrał danie. Wyrzwał przez szybę, upewnił się, że Mioduszevska sobie poszła, i dopiero wtedy wyszedł z lokalu.

– Dziwna konsystencja – powiedział Możejko, uważnie przyglądając się tytce. – Co to jest?

Chłopak, który długo się ociągał, zanim zdecydował się ściągnąć kask, miał niezbyt imponującego irokeza oraz niezbyt efektowny tatuaż tribal na szyi. I najwyraźniej niezbyt wiele do powiedzenia.

– To co zawsze – odparł, wzruszając ramionami.

– Przecież widzę, że to jakiś szajs. Zbyt głęboko w tym siedzę, żeby się nie zorientować.

Chłopak podrapał się po głowie, jakby próbował strząsnąć z niej irokeza. Nie mogąc znieść wyzywającego spojrzenia Możejki, spojrzał na kask.

– Koks zmiksowany z mefką – wyjaśnił.

– Wiem, jak wygląda koks z mefką.

– Bardzo mocno zmiksowany.

– To znaczy?

– To głównie mefedron. Sprzedam ci to za połowę ceny.

Możejko przyjrzał się chłopakowi. Zastanawiał się, czy dostał taki towar od diler, czy sam wpadł na to, żeby go ożenić. W końcu machnął ręką. Nie miało to żadnego znaczenia. I tak zamierzał od niego kupić. Nawet jakby zaproponował mu koks wymieszany z gównem.

Odliczył połowę umówionej kwoty i wręczył chłopakowi pieniądze. Następnie schował towar do kieszeni. Nasunął kaptur na głowę i wyszedł z klatki schodowej. Ruszył do domu.

Powrót nie zajął mu dużo czasu. Spieszył się. Musiał czym prędzej dociągnąć. Dowąchać. Dorznąć swój organizm. Zafundować sobie zastrzyk euforii. Nienaturalny strzał cholernego szczęścia, którego tak bardzo mu brakowało. Zwłaszcza tego dnia. Zwłaszcza po tym, w czym uczestniczył.

Otworzył drzwi, odwiesił kurtkę na wieszak i skierował się do kuchni, przecinając po drodze nowocześnie umeblowany salon. Pamiętał, że zostawił tam stuzłotowy banknot, od dłuższego czasu pełniący funkcję rurki. Zabrał go z blatu i wrócił do dużego pokoju. Usiadł przy stoliku kawowym. Wyciągnął z kieszeni spodni tytkę. Położył ją na stole i za pomocą książki rozgniół znajdujące się w niej kryształki mefedronu. Robiąc to, zorientował się, że diler prawdopodobnie go oszukał. W tytce mogło w ogóle nie być kokainy. Ale nawet go to nie zirytowało. Przywykł do tego, że rzadko dostaje to, co zamawia. Traktował to jak nierówną grę, w której jedna ze stron ma oficjalne przyzwolenie na oszukiwanie. Jak w relacji polityków z wyborcami.

Wysypał zawartość torebki na szklany stół. Sięgnął po kartę i z rozdrobnionych kryształków uformował dwie kreski. Później zaczął rolować banknot. W pośpiechu. W niezdrowym uniesieniu. Z roztargnieniem.

W pewnym momencie niechcący upuścił banknot. Zaklął. Schylając się po niego, zerknął na swoje buty. W trakcie tej żenującej ćpuńskiej dreptaniny zapomniał je ściągnąć. Władował się do salonu jak prymityw, w ubłoconych buciorach, którymi pewnie wytyczył na podłodze kilka chaotycznych szlaków.

Nagle sobie przypomniał, co Kawęcki mówił o obuwiu noszonym przez zabójcę. O jego nieproporcjonalnie małych stopach. I przywołał w pamięci buty Aleksandra Nowaka. A także to, że po raz pierwszy jego absurdalnie duże kajaki zobaczył nie na korytarzu w klinice, kiedy lekarzowi zsunął się chodak, tylko na zdjęciach. A skoro on je zapamiętał, to Kawęcki także musiał na nie zwrócić uwagę.

Wyprostował się, tarmosząc w palcach banknot. On wiedział, pomyślał. Kawęcki wiedział, że Nowak nie jest zabójcą. Przekonał się o tym, przyglądając się jego zdjęciom. Upewnił się, gdy zapytał Nowaka o morderstwo Martynty, podając fałszywą datę jej śmierci – lekarz nie był nią ani trochę zaskoczony, więc musiał to być dla niego zupełnie przypadkowy termin.

To dlatego Kawęcki – w przeciwieństwie do Witolda – był tak opanowany. Dlatego ani razu się nie podpalił. I dlatego tak nieporadnie obchodził się z pistoletem, który pewnie nawet nie był naładowany.

Możejko w końcu uformował rulon. Pochylił się nad stołem i wciągnął kreskę. A potem następną. Ścisnął palcami nos. Kiedy fala bólu minęła, sięgnął po kartę i zaczął wydzielać następną porcję.

Tylko po co była ta cała szopka, zastanawiał się. Dlaczego Kawęcki zdecydował się wparować do gabinetu Nowaka, choć był niemal pewien, że facet nie ma nic wspólnego z zabójstwem Martynty? Dlaczego naraził na szwank swoją karierę, fundując im trzem kompromitację dużego kalibru? Co chciał w ten sposób osiągnąć? I właściwie po jaką cholere ściągnął go do tej kliniki?

I wtedy przyszły odpowiedzi. Telefon Możejki zawibrował. Spojrzał na wyświetlacz. Esemes.

Tomek Kawęcki (22.44): Obserwowałem cię dzisiaj. Dobrze się spisałeś.

Przez chwilę zastanawiał się nad treścią tej wiadomości. Ale nie potrafił się do niej ustosunkować. Była zbyt enigmatyczna. Nawet jak na Kawęckiego.

Ja (22.45):?

Tomek Kawęcki (22.46): Nie spanikowałeś. Zobaczyłeś faceta, którego uważałeś za zabójcę, i zachowałeś się racjonalnie. Dobrze rokujesz.

Ja (22.47): Na co? Chyba nie sądzisz, że zamierzam wstąpić do policji.

Tomek Kawęcki (22.48): Coś ci wysłałem. Sprawdź maila.

Tomek Kawęcki (22.48): Zakładam, że się zgodzisz.

Możejko parokrotnie pociągnął nosem. Następnie otworzył w smartfonie pocztę. Przeczytał wiadomość wysłaną z jakiegoś dziwnego adresu. Do połowy. Dalej nie musiał. Potem były już tylko technikalnia: nazwiska, terminy, adresy. Cała esencja zawarta była w dwóch pierwszych zdaniach. W paru słowach, którymi Kawęcki chciał wyrzucić jego życie do góry nogami.

Chwilę później Możejkę dopadła gonitwa myśli. Coś, na co czekał. I czego jednocześnie szczerze nienawidził.

Dlatego ponownie pochylił się nad stołem.

Sierpień

– Ile miałeś lat, gdy zacząłeś się masturbować?

Filipski rozdziawił usta, patrząc z niedowierzaniem na Kawęckiego. Potem zerknął w stronę Stelmach. Wpatrywała się w jakiś punkt na ścianie, jakby chciała oszczędzić mu wstydu. Mimo to czuł, że się czerwieni. Pochylił się nad stołem i zatrzymał nagrywanie.

– Wydaje mi się, że zrobił pan już wystarczający cyrk z tego przesłuchania – stwierdził.

Kawęcki pokręcił głową. Zapalił papierosa.

– Chyba brakuje ci wyobraźni – oznajmił. – Czy naprawdę sądzisz, że interesuje mnie, kiedy zacząłeś walić konia?

Kawęcki nieznacznie uniósł głowę i wypuścił dym nosem. Potem podrapał się po czole, jakby chciał wygładzić piętrzące się na nim zmarszczki.

– Włączcie kamerę – powiedział. – Opowiem wam o seksualności człowieka, którego szukamy. O tym, dlaczego robi to, co robi. – Popatrzył uważnie na policjantów. – Podobno interesujecie się jego sposobem działania. Właśnie mam ochotę podać go wam na tacy.

Filipski głośno westchnął. Nie wyglądał na przekonanego do tych zapewnień. Ale Stelmach nie chciała stracić okazji. Włączyła kamerę, rzucając Kawęckiemu wyzywające spojrzenie. Spojrzenie mówiące: zaufałam ci, więc lepiej tego nie spierdol.

– A więc przyjmijmy – zaczął Kawęcki – że inspektor Filipowski tak jak każdy zdrowy polski chłopiec zaczął walić konia jako nastolatek, na przykład mając dwanaście lat. Załóżmy, że nasz ulubieniec wychował się w tej samej kulturze co inspektor Filipowski. W silnie zmaskulinizowanym, patriarchalnym kraju, w którym według większości mężczyzn kobiety służą do gotowania, sprząwania i dawania dupy. W którym każdy chłopiec, zanim stanie się mężczyzną, a przynajmniej zanim skończy osiemnaście lat, uczy się, że kutas to najważniejsza część ciała. Ważniejsza niż mózg czy serce. Nadążacie?

Zamilkł, czekając na reakcje policjantów. Ale oni tylko na niego patrzyli, racząc go posępnym wyrazem twarzy, balansującym pomiędzy obrzydzeniem a żalnością.

– I nagle ten chłopiec, podobnie jak inspektor Filipowski, zaczyna uczestniczyć w szkolnym teatryku. W rozmowach, które prowadzą między sobą dojrzewający nastolatki. Słucha opowieści o tym, w jaki sposób jego koledzy walą konia, ile razy dziennie i do czego. Widzi, jak zgraja pryszczatych głupków podnieca się na widok młodych nauczycielek i koleżanek, którym zaczęły szybciej rosnać cycki. Słyszy, jak jego rówieśnicy chwalą się długością swoich fiutów, a potem ukradkowo porównują je pod prysznicem, sprawdzając, który z nich mówił prawdę, a który nadrabiał kłamstwami niedobór centymetrów. I z każdym dniem nabiera coraz silniejszego przekonania, że coś z nim jest nie tak. Że coś się tu nie zgadza. Że jego kuśka za szybko opada albo

wcale nie staje. Że nie podnieca go to, czym jego koledzy tak się zachwycają. Że właściwie nic go nie podnieca. Zaczyna go to mierzić. Frustrować. Ale też na swój dziwny sposób fascynować.

Kawęcki zgasił papierosa. Odkleił koszulę od ciała i włosy od czoła, a następnie osunął się na oparcie krzesła. Wyglądał na wyluzowanego. Albo zbyt zmarnowanego, żeby się czymkolwiek przejmować.

– Zaczyna poznawać swoją seksualność. Czytać o niej. Dowiadywać się, z czego bierze się popęd, impotencja oraz dewiacje. Próbuje podniecać się na różne sposoby. Być może nawet udaje mu się zbliżyć do jakiejś dziewczyny, która koniecznie chce kogoś zaliczyć, żeby odbębnić swój pierwszy raz. Ale nic nie działa. Nie jest taki jak inni chłopcy. Wyróżnia się w sposób, który nie do końca mu odpowiada. A to powoduje, że z wiekiem coraz bardziej się izoluje. Szukając wytłumaczenia dla swojej przypadłości, zaczyna interesować się dziwnymi rzeczami. Albo takimi, które jego rówieśnicy kompletnie mają w dupie, jak medycyna czy religia. Zatraca się w nich. Dochodzi do etapu, z którego nie ma już odwrotu. – Kawęcki pochylił się przed siebie i położył ręce na stole. – Wchodząc w dorosłość, nasz poszkodowany przez naturę chłopiec nie ma już nic wspólnego z rówieśnikami. Jest wyobcowanym dziwolągiem, dla którego inni nie widzą ratunku. W przeciwieństwie do niego samego. On doskonale wie, co, a właściwie kto, może mu pomóc.

– Bóg – odezwała się Stelmach.

Kawęcki wolno pokiwał głową.

– Bóg – powtórzył. – Mógł go znienawidzić za to, że uczynił go ułomnym, albo to zaakceptować. Uznać, że Bóg uczynił to z jakiegoś konkretnego powodu.

– Żeby mordował kobiety? – zapytał Filipski.

Kawęcki popatrzył na niego jak na intelektualnego inwalidę. Zlekceważył jego pytanie.

– To jego wyobrażenie siebie, swojej roli, tego dziwaczного boskiego planu, którego musi być częścią, zlewa się z tym, co zaczerpnął z naszej wspaniałej kultury – z nienawiścią do kobiet. Do tego dochodzą jakieś wyniesione z domu traumy oraz brak akceptacji ze strony rówieśników. I to wszystko w połączeniu z jego ponadprzeciętnym intelektem prowadzi do narodzin potwora.

– Powiedział pan, że wybiera kobiety aktywne seksualnie – odezwała się Stelmach. – To by oznaczało, że grupa potencjalnych ofiar jest ogromna.

Kawęcki kiwnął głową.

– „Aktywne seksualnie” to eufemizm. On wybiera kobiety rozwiązłe. Sprzedające swoje ciało. Dokonujące aborcji. Zdradzające partnerów. Prowokujące nieznanym mężczyznom. Kobiety, które nie żyją w zgodzie z naukami Kościoła. Zepsute. Zgniłe. Stracone.

Kawęcki zamilkł. Z wymiętej paczki wyciągnął kolejnego papierosa.

– To tyle. Koniec historii. Macie wzór, na którym tak bardzo wam zależało.

– Czy pańska... diagnoza poparta jest jakimiś dowodami? – zapytał Filipski. – Odkrył pan przeszłość tego człowieka? Rozmawiał z ludźmi, którzy go znają? Czy tylko popisuje się pan przed nami swoją domoroślą psychologią?

Kawęcki wytrzymał jego prowokacyjne spojrzenie, a następnie leniwie wypuścił przed siebie chmurę dymu. Milczał, wsłuchując się w przeciągłe wycie dobiegające z wnętrza jego przewodu pokarmowego,

wywołane niekontrolowanymi skurczami jelit. Z jakiegoś powodu ta krzątanina gazów w organizmie skojarzyła mu się z tym, co działo się w jego życiu. Z nieustanną walką z niewidzialnymi wrogami. Albo z samym sobą. Najgorszym wrogiem ze wszystkich.

– Znam sporo fajnych historii – powiedział, ponownie odchyłając się na krześle i kładąc nogi na krawędzi stołu. – Chcecie usłyszeć jeszcze jedną?

Dwa miesiące wcześniej

Kiedy Kawęcki podjechał pod komendę, Witold już na niego czekał. Stał przed wejściem do budynku i palił papierosa.

– Przepraszam – odezwał się Kawęcki. – Chyba się trochę podpaliłem. Naprawdę sądziłem, że Nowak może być facetem, którego szukamy. Wygląda na to, że planowanie takich działań z dnia na dzień nie jest najlepszym pomysłem.

Witold wzruszył ramionami. Od akcji w klinice upłynęły trzy dni. Tyle najwidoczniej wystarczyło, żeby jego chęć rozszarpania Kawęckiego przeistoczyła się w obojętność.

– Może nam się poszczęści i facet nie zrobi z tego afery – powiedział.

Kawęcki lekko przekrzywił głowę.

– Co się dzieje? – zapytał, gapiąc się na Witolda.

Ten znów wzruszył ramionami. Ale teraz był to gest wyrażający raczej rezygnację. Z głęboko wrytym smutkiem.

– Edyta chce się ze mną rozwieść – wyjaśnił.

– Pewnie nie od wczoraj.

– Źle się wyraziłem: Edyta się ze mną rozwodzi. Już uruchomiła procedurę. Jeśli po kilku miesiącach separacji nic się nie zmieni, to czeka nas definitywne rozstanie.

Kawęcki przyglądał się dygoczącemu z zimna wielkoludowi wciśniętemu w cienki czarny sweter, z teczką wepchniętą pod pachę i czołem pomarszczonym od zmartwień. Wyglądał jak półtora nieszczęścia. Albo nawet dwa i pół, zważywszy na jego gabaryty.

– Wiem, że twoje kompetencje społeczne są marne, ale teraz powinieneś powiedzieć, że mi współczujesz – odezwał się Witold. – I że wszystko będzie dobrze.

– Tylko że wtedy bym cię okłamał. Choć właściwie uważam, że dobrze się stało. Od dawna jesteś dla Edyty obciążeniem. A ona dla ciebie.

– Nie mierz ludzi swoją miarą.

– Policjanci nie powinni wchodzić w związki. A przynajmniej nie w takie, w których partnerzy oczekują od siebie zaangażowania. Albo jesteś dobrym mężem, albo dobrym psem.

– Można też być kiepskim mężem i chujowym policjantem. Znam paru takich.

Witold rzucił niedopałek na chodnik. Przykrył go swoim masywnym butem.

– Tego wszystkiego jest dla mnie za dużo – oznajmił. – Nie daję sobie z tym rady. Zrozumiałem to, gdy poczułem nieodpartą pokusę, aby zastrzelić faceta, którego największym grzechem było wyskrobanie paru niedoszłych dzieciaków. Boję się, że następnym razem będę mniej powściągliwy.

Witold wręczył Kawęckiemu teczkę.

– Co to jest?

– Raport. Zebrałem w nim wszystko, co znalazłem na temat Wargi i jego świty. Zeznania ludzi, którzy mówili nam o orgiach organizowanych przez Pszoniaka. Informacje o kobietach znikających w zaskakujących okolicznościach. Historię Moniki Dziewulskiej. Opowieść Mai Zielińskiej. Zdjęcia, daty, nazwiska, powiązania między ludźmi. Krótko mówiąc, jest tu wystarczająco dużo materiału, żeby ktoś, kto lubi srać do własnego gniazda, mógł w nim zostawić wielką cuchnącą kupę. – Witold ciężko sapnął. – Muszę powalczyć o swoje małżeństwo. Sprawy Bułeckiej oczywiście nie porzucę, ale Wargę zostawiam tobie.

Kawęcki błyskawicznie przewertował zawartość teczek. Pokiwał głową. Chciał nawet podziękować Witoldowi za jego trud, za poświęcenie, za irracjonalne zaufanie, jakie mu okazał, ale podziękowania utknęły mu w gardle. Jak zwykle.

– Szkoda – powiedział. – Byliśmy już blisko.

– Może za jakiś czas do tego wrócimy.

– Może.

– Nie wchodzisz na górę? – spytał Witold, widząc, że Kawęcki wygrzebał z kieszeni kurtki kluczyki od samochodu.

– Nie. Właśnie uświadomiłeś mi, że muszę znaleźć twojego następcę.

Witold wycelował palcem w budynek, który stał za jego plecami.

– To Komenda Wojewódzka Policji. O ile się nie mylę, pracują w niej jacyś śledczy. Kilku nawet niezłych.

– To najwyraźniej nie jest robota dla policjanta.

– A dla kogo?

- Zobaczysz.
- A jeśli wcale nie chcę widzieć?
- To nie zobaczysz. Jak to mówią: *it's up to you*.

Kawęcki uśmiechnął się chytrze. Bawił go ten słowny ping-pong. Ale Witolda najwyraźniej ani trochę. Wielkolud zaklął pod nosem i rozmasowując zziębnięte ramiona, podreptał do budynku.

Kawęcki wyłączył radio. Głośno wypuścił powietrze. Zajrzał do kieszeni kurtki. Wyciągnął z niej garść papierków, między którymi zawieruszyła się zapalniczka. Potem zanurkował do drugiej kieszeni w poszukiwaniu papierosów, ale natknął się jedynie na drobiny tytoniu, które mogły tam leżeć od dobrych kilku lat. Spojrzał na fotel pasażera. Podniósł teczkę, którą otrzymał od Witolda. Znalazł pod nią paczkę szlugów. Oraz dwie dwustumililitrowe butelki czystej. Przyglądał się im, chociaż miał wrażenie, że to raczej one przyglądają się jemu.

Pokręcił głową. Jeszcze nie czas, pomyślał.

Zgarnął teczkę oraz papierosy i wysiadł z samochodu.

Przez kilka minut szedł wzdłuż alei Unii Lubelskiej, a następnie zanurzył się w park na Zdrowiu. Przeszedł kilkadziesiąt metrów dziwnie wyglądającą ścieżką, paląc papierosa i podziwiając rząd jeszcze nie w pełni zakwitłych drzew. W końcu usiadł na jednej z ławek. Wyciągnął telefon i wybrał numer. Po paru sekundach usłyszał charakterystyczny dźwięk. Jakby za pomocą gitary i perkusji zgraja barbarzyńców spuszczała komuś wpierdol. Dzwonek telefoniczny, którego nie mógł pomylić z żadnym innym.

Alicja siedziała na sąsiedniej ławce i z niedowierzaniem kręciła głową. Było przynajmniej kilka rzeczy, które mogły ją dziwić. Choćby

kurtka Kawęckiego – w końcu było już lato, a po rześkim poranku nie pozostał nawet ślad. Albo fakt, że się nie spóźnił na spotkanie. Ale chyba najbardziej zaskakujące było to, że jej nie zauważył, mimo że przez dłuższy czas człapał w jej kierunku.

– Masz problemy ze wzrokiem? – zapytała, siadając obok niego.

– Ostatnio tylko z koncentracją. I z piciem, ale o tym pewnie słyszałaś.

– Niektórzy ślepną od wody.

– A inni od śniegu i słońca.

Kawęcki wypalił papierosa po sam filtr, a następnie wyrzucił kiepa na ścieżkę.

– Serio? – zapytała Alicja.

– O co ci chodzi?

– To dwukilometrowa poliuretanowa bieżnia. Najdłuższa w Polsce. Poszło na nią milion złotych z budżetu obywatelskiego. Wiem, że masz w dupie biegaczy, ale ze względu na kasę wpompowaną w ten projekt powinieneś okazać mu trochę szacunku.

– Uprawiasz jakiś sport, że tak cię to ubodło?

– Taekwondo. Kiedyś też sporo biegałam. Jestem jedną z niespełna pięćdziesięciu tysięcy osób, które dwa lata temu przebiegły w Polsce maraton.

Kawęcki chciał skomentować słowa Alicji w jakiś głupi sposób, ale nic mu nie przyszło do głowy. Rzeczywiście, pomyślał, mam problem z koncentracją.

– Skąd miałeś pewność, że zechcę się z tobą spotkać?

– Bo nie masz nic innego do roboty.

– Dobrze wiesz, że mam. Piszę książkę. Poniekąd we współpracy z tobą.

– Czyli gniesz przy biurku, popijasz owocowe herbatki i słuchasz muzyki klasycznej, a spasiony kot ociera się o twoje nogi?

Alicja, uśmiechając się, pokręciła głową.

– Nie piję herbaty. Od muzyki klasycznej bardziej przemawia do mnie szwedzki punk rock. Tylko gruby kot się zgadza. Wy tłumaczysz mi w końcu, dlaczego tu jestem?

– Chciałabyś napisać artykuł śledczy?

– To zależy.

– Od czego?

– Od tematu. Może o tym pamiętasz, a może nie, ale od jakiegoś czasu jestem bezrobotna. Nie współpracuję na stałe z żadną redakcją. Więc jeśli któraś miałaby przyjąć ode mnie tekst, musiałabym przynieść prawdziwą bombę.

– Może być wodorowa? – Kawęcki ostentacyjnie poklepał swoją teczkę. – Podobno ludzie uwielbiają czytać o aferach w kręgach elit.

– A kto według ciebie zalicza się do elity?

– Ludzie, którym niesłusznie się wydaje, że są lepsi od innych. Biznesmeni, politycy, lekarze i prawnicy. Grupa trzymająca władzę. – Jeszcze raz poklepał teczkę, jakby liczył, że to ona dokończy jego opowieść. – W tym konkretnym przypadku chodzi o pewnego nieżyjącego już prokuratora. Oraz o jego podopiecznego, z którym kilka miesięcy temu próbowałam się skontaktować, ale cię olał. Albo nie powiedział nic wartego zacytowania.

– O czym ty mówisz?

– O kim – poprawił ją Kawęcki. – O Adamie Wardze. Nie widziałem jego wypowiedzi w twoim artykule o zabójstwie Bułeckiej.

– Nie rozmawiałam z nim. Nie mam jego numeru. A gdy próbowałam go zdobyć w prokuraturze, odesłali mnie do rzecznika prasowego. Co to za afera?

Kawęcki wreszcie podał jej teczkę. Kiedy przeglądała dokumentację zebraną przez Witolda, relacjonował, co udało im się do tej pory ustalić. Potem dał Alicji kilka sekund na przemyślenia. Kilka sekund zamieniło się w kilkanaście. W kilkadziesiąt. Ostatecznie odezwała się dopiero po mniej więcej minucie.

– Przecież to sprawa kryminalna – powiedziała. – Jeśli Warga zrobił to, o co oskarża go ta dziewczyna, już dawno powinien wylądować w pierdłu. Dlaczego przyszedłeś z tym do mnie, zamiast wszcząć śledztwo?

Kawęcki zapalił kolejnego papierosa.

– Bo sądziłem, że nie będziesz zadawać idiotycznych pytań. Widocznie byłem w błędzie.

Rzuciła mu wrogie spojrzenie.

– Nie masz na to żadnego dowodu oprócz zeznań tej dziewczyny. A ona nie jest szczególnie wiarygodnym świadkiem.

– Już lepiej.

– Dlatego chcesz, żebym publicznie zaatakowała nieżyjącego protektora Wargi, wielce szanowanego prokuratora Pszoniaka.

Kawęcki wycelował palcem w teczkę.

– Każda z osób wymienionych w tym raporcie mogłaby się anonimowo wypowiedzieć na temat orgii z nieletnimi, które organizował Pszoniak.

– A gdybym przy okazji wspomniała o aferze z udziałem Wargi, grubas zostałby zaprezentowany na takim tle, że nikt nie miałby wątpliwości co do jego winy. Oberwałby odłamkiem. Na tyle ciężkim, że mógłby mu urwać łeb.

Wolno i prawie bezdźwięcznie zaklaskał.

– A więc jednak wybrałem dobrą osobę.

– Jeszcze się na nic nie zgodziłam – odparła Alicja, nie patrząc na Kawęckiego, tylko chciwie łykając kolejne akapity raportu.

Komisarz mocno się zaciągnął. Skrzywił się, jakby zabolalo go przy tym płuco.

– Zgłosiłem się do ciebie, ponieważ sprawdziłaś się przy okazji tekstu o Bułeckiej. Napisałaś dokładnie to, co należało. To, co chciałem, żebyś napisała.

Alicja spojrzała na Kawęckiego, który bujał się na ławce i spoglądał na ścieżkę. Jego gęba wykrzywiła się w cwany uśmiechu.

– To ty byłeś źródłem przecieku – powiedziała. – Przysłałeś do mnie tego przygłupa w dresach. To twój przydupas.

– Już nie. Pokłóciliśmy się z Mateuszem o pieniądze. Gdyby nie to, pewnie z nim byś teraz gadała.

– A potem poinformowałeś mnie, że w lesie znaleziono ciało Magdy Giętkiej. I że zabił ją ten sam człowiek, który zamordował Bułecką.

– W ten sposób zdobyłem twoje zainteresowanie.

Alicja prychnęła i z rezygnacją pokręciła głową.

– Ty kłamliwy skurwysynu!

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Nie zamierzam się z tobą sprzeczać. Weźmiesz ten temat?

Alicja zamyśliła się, patrząc w kierunku sąsiedniej ławki, na której rozgrzewał się wciśnięty w obcisłe legginsy biegacz. Kawęcki również na niego zerkał. Facet miał z sześćdziesiąt lat, a wydawał się sto razy sprawniejszy od niego, gdy pochylając się do wyprostowanej nogi, dotknął głową kolana. On musiał się wysilić, żeby w ogóle wstać z ławki.

– Trzy czwarte roboty odwaliliśmy za ciebie. Musisz tylko ułożyć z tego zgrabną historyjkę i zainteresować nią jakąś gazetę.

– To nie takie proste.

Kawęcki po raz ostatni zaciągnął się papierosem i wyrzucił kiepa na ścieżkę. Podstarzały biegacz spojrzał na niego co najmniej tak, jakby mu splunął w twarz. Coś mu jednak podpowiedziało, że nie powinien wszczynać awantury. Nie z tym dziwnie wyglądającym typem z pokancerowaną gębą.

– Prostsze już nie będzie. Masz dzień na decyzję. Później pójde z tym do kogoś innego.

– Przecież ty nie znasz żadnych dziennikarzy.

– Jesteś pewna, że wiesz o mnie wszystko?

Alicja spojrzała na jego roześmianą gębę. Nie była pewna. W zasadzie właśnie się przekonała, że nic nie wie o Kawęckim. Że nie ma pojęcia, jak głęboko sięga jego zepsucie. I że wcale nie chce tego sprawdzać.

Zamknęła teczkę i ruszyła wzdłuż bieżni, w ślad za facetem w legginsach.

Stały tuż za bramą. Uważnie śledziły każdy jego ruch. Oba w całkowicie odmienny sposób, z zupełnie inną intensywnością. Łączyły

je tylko wywalone długie jęzory, niefrasobliwie machające ogony i niezrozumiały entuzjazm, który pulsował pod ich sierścią.

Buldog francuski i labrador. Karłowaty Batman i zapaśnik, który wypalił o kilka skrętów za dużo.

Labrador był jakies cztery razy większy od buldoga, ale to ten czarny molos ze sterczącymi uszami, obślinionym pyskiem i wielkimi pytającymi oczami wydawał się Kawęckiemu groźniejszy. Komisarz dobrze pamiętał filmik z YouTube'a, który przed paroma miesiącami obejrzał w tramwaju, gapiąc się przez ramię jakiemś pryszczatemu nastolatkowi. W kilkudziesięciosekundowym materiale zbita czarna kulka na czterech grubych łapach przegoniła ze swojej posesji dwa młode niedźwiedzie. Oczywiście nie świadczyło to najlepiej o intelekcie buldoga, ale było jasnym dowodem wielkiej brawury i wręcz chorobliwej zawziętości.

Kawęckiemu kogoś ta kulka przypominała.

Zapalił papierosa. Ukucnął i wydmuchnął dym prosto w skierowane w jego stronę pyski. Miał rację. Labrador zaskomlał i pobiegł w kierunku domu. Buldog żałośnie się rozszczękał, ale nie cofnął się nawet o centymetr.

Kilkanaście sekund później Kawęcki usłyszał trzaśnięcie drzwiami. Przed jednopiętrowym budynkiem ze spadzistym czerwonym dachem i garażem tak wąskim, że ledwo mógłby się w nim zmieścić kompaktowy samochód, pojawił się wysoki mężczyzna w dżinsach i bluzie z kapturem.

– Najpierw nachodzi mnie pan w miejscu pracy, a teraz w domu – powiedział Aleksander Nowak. – To już chyba stalking.

– E tam, do nękania jeszcze sporo brakuje – odparł Kawęcki, wciąż kucając. – Może pan zabrać tę bestię i wpuścić mnie do środka?

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Nie lubię psów. Ani zwierząt psopodobnych.

– Nie o to pytałem.

Kawęcki się wyprostował, omal nie tracąc równowagi.

– Mogę ci pomóc oczyścić sumienie.

Nowak przez dłuższą chwilę sterczał przed wejściem do domu i podpierał betonową kolumnę. W końcu nacisnął jakiś przycisk na ścianie i rozbrzmiał szcęk furki.

– Pozwolę panu wejść, ale z buldogiem musi pan sobie sam poradzić.

Dom Aleksandra Nowaka wyglądał tak, jakby jakiś czas temu został w pośpiechu porzucony przez lokatorów, którzy zdążyli wynieść z niego tylko najcenniejsze rzeczy. Była to dziwna mieszanka minimalizmu i niedbalstwa. Funkcjonalnych mebli z brudem obrastającym zakamarki, do których Nowak pewnie od dawna nie zaglądał. Kiedy Kawęcki szedł długim korytarzem i łypał na mijane pokoje, czuł się jak potencjalny kupiec. Orowadzany po domu przez leniwego agenta nieruchomości, który zapomniał skonsultować się z właścicielem. Przez kogoś niezaznajomionego z wnętrzem albo nieczującego się w nim najlepiej.

Nowak wszedł do salonu i wskazał policjantowi poprzecieraną skórzaną kanapę. Sam rozsiadł się w fotelu. Miał z niego dobry widok na okno wychodzące na ubogi ogród. Pomędzy nimi stała potężna dwupoziomowa ława. Było raczej mało prawdopodobne, aby miała się na niej pojawić filiżanka kawy, kubek herbaty albo chociaż szklanka

wody. Nowak nie należał do szczególnie gościnnych gospodarzy. A Kawęcki nie był gościem zasługującym na szczególnie wylewne traktowanie.

– Radziłbym się panu streszczać – powiedział lekarz, zerkając na zegarek. – O osiemnastej muszę wyjść. Ma pan niespełna pół godziny.

Podrapał po głowie labradora, który zaczął się do niego łąsić. Buldog był bardziej zainteresowany gościem. Siedział na drewnianych panelach, oblizywał pysk, głośno chrumkał i wpatrywał się w sfatygowaną twarz Kawęckiego.

– Przepraszam za to najście – powiedział komisarz. – To nie było ani eleganckie, ani mądre, ale z kilku powodów właśnie tak musiało to wyglądać.

– Chyba nie oczekuje pan, że przyjmę przeprosiny.

– Oczekuję, że nie będziesz mi przerywać – odparł ostro Kawęcki, wbijając w Nowaka wzrok. – Nie jestem katolikiem, działaczem pro-life ani kimś, kogo szczególnie interesuje, co kobiety robią z ciążą. Tak naprawdę głównie mnie obchodzi, czym się zajmujesz. Ale wygląda na to, że pewien facet ma z tym problem.

Nowak lekko przekrzywił głowę i popatrzył na rozmówcę. Nie wyglądał na przekonanego.

– Potrafię czytać ludziom z oczu i wiem, że kojarzysz niektóre nazwiska z listy, którą ci pokazaliśmy. A to oznacza, że kilka twoich pacjentek zostało zamordowanych. Najprawdopodobniej przez tego samego człowieka. Przez faceta, który wie, kim jesteś.

Nowak chwycił labradora i posadził go sobie na kolanach. Uszczęśliwiony pies zaczął go lizać po twarzy.

– Czy to oznacza, że jestem w niebezpieczeństwie?

– Nie sędę, choć nie mogę cię o tym zapewnić. Wiele wskazuje na to, że człowiek, którego szukam, interesuje się wyłącznie kobietami. Puszczalskimi, wulgarnymi, dokonującymi aborcji. Takimi, które chętnie odwiedzają cię w przychodni, a potem przyjeżdżają do twojej jamy na zabiegi. – Kawęcki zatoczył ręką krąg. – Mam nadzieję, że masz tu jakiś gabinet. Że nie wyskrobujesz płodów szpachlą w tym maleńkim garażu.

Nowak ciężko sapnął.

– Przyjechał pan po to, żeby mnie obrazić? – zapytał, zerkając na zegarek.

Kawęcki zanurkował do kieszeni. Wyciągnął długopis i kartkę. Był to ten sam kawałek papieru, który Witold pokazał Nowakowi. Tyle że wyglądał inaczej. Jakby ktoś wyszarpał go psu z gardła. Kilka dni spędzonych w kieszeni Kawęckiego zrobiło swoje.

Komisarz położył długopis i kartkę na ławie, a następnie przesunął je w stronę Nowaka.

– Zerknij jeszcze raz na tę listę. Zaznacz, które kobiety były twoimi pacjentkami. Podkreśl podwójnie nazwiska tych, którym usunąłeś ciążę.

Nowak długo się zastanawiał, czy powinien to zrobić. I czy w ogóle powinien rozmawiać z tym dziwnym człowiekiem z pokiereszowaną twarzą, który najwyraźniej go prześladował. Ale w końcu odstawił labradora na podłogę i pochylił się nad ławą. Sięgnął po kartkę i przyjrzał się liście. Podrapał się po czole, a następnie wykonał kilka machnięć długopisem.

Kawęcki schylił się po świstek. Spojrzał na listę. Cztery nazwiska. Wszystkie podwójnie podkreślone.

– Jak długo się tym zajmujesz?

– Czym?

– Późnymi i dyskretnymi aborcjami.

Nowak złożył dłonie w romb i przykrył nimi usta.

– Dziewięć lat – powiedział.

– Czy spotkałeś po drodze kogoś, komu wyraźnie nie podobało się to, co robisz?

– Całe mrowie ludzi. Ale chyba nikt nie dał mi tego dosadnie odczuć.

– Muszę się dowiedzieć, z kim przez te lata pracowałeś. Poznać nazwiska twoich kolegów z przychodni i szpitali, pielęgniarzy, salowych, a nawet recepcjonistów. Wszystkich facetów, którzy mogli wiedzieć, że zajmujesz się aborcjami.

Lekarz niechętnie pokiwał głową.

– Przygotuję dla pana listę.

– W pierwszej kolejności interesują mnie faceci, którzy są twojego wzrostu albo wyżsi. Przychodzi ci ktoś taki na myśl?

Nowak pogrzebał w pamięci, a potem wolno pokręcił głową.

– Potrzebuję tej listy jak najszybciej. Najlepiej jeszcze dziś wieczorem.

– Dostanie ją pan najwcześniej jutro – odparł Nowak. – A teraz proszę już iść.

Obaj wstali równocześnie. Przez moment wydawało się, że podadzą sobie ręce, ale w końcu Kawęcki bez słowa minął Nowaka. Ruszył w głąb korytarza. Zatrzymał się dopiero na wysokości jednego z pokoi, w którym dostrzegł kilka drewnianych mebli przystawionych do ścian i ogromną wolną przestrzeń pośrodku. Można by tu wylać wodę i urządzić lodowisko, pomyślał Kawęcki.

– Po co ci taki duży dom? – zapytał.

– Kiedyś nie mieszkałem w nim sam.

– Byłeś żonaty?

– Przez ponad dziesięć lat dzieliłem życie z kobietą. Właściwie można powiedzieć, że byliśmy małżeństwem, któremu nie chciało się pofatygować do urzędu stanu cywilnego. Kilka razy o tym myśleliśmy, ale w końcu nie zdążyliśmy się do tego zabrać.

– Co się stało?

Nowak wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Któregoś dnia po prostu zniknęła. Zostawiła mnie bez słowa. Zabrała część swoich rzeczy i wyjechała. Zerwała wszystkie nici, które łączyły ją z dawnym życiem.

– Nie kontaktowała się ze znajomymi?

– Wysłała esemesy do paru osób. Napisała im, że wyjeżdża. Że chce zmienić swoje życie. Że ma dość tego, które wiodła do tej pory. – Nowak spojrział w głąb niemal pustego pokoju. – Nasz związek z pewnością mógł być lepszy, ale nie uważam, że był fatalny. Mieliśmy sporo dobrych momentów.

– To dlaczego cię zostawiła?

– Moim zdaniem wcale tak nie było. – Nowak spojrział na Kawęckiego, jakby chciał go przewiercić wzrokiem. – Według mnie spotkało ją coś złego.

– Jak się nazywa?

– Julia Borska.

Kawęcki próbował odgrzebać ją z pamięci. Dopasować nazwisko do wyglądu. Nie potrafił. A to oznaczało, że do tej pory dziewczyna

Nowaka nie pojawiła się w żadnej ze spraw, którymi się zajmował. Był tego pewien. Pamięć była jedną z niewielu rzeczy, którym ufał.

– Może nie poznałem jej na tyle, żeby wiedzieć, co siedzi w jej głowie. Ale wystarczająco dobrze, aby się orientować, w jaki sposób mówi i pisze. W tej wiadomości, którą rozesłała koleżankom, użyła sformułowania „w każdym razie”. A Julia zawsze mówiła „w każdym bądź razie”. Przez dziesięć lat cholernie mnie korciło, żeby ją poprawić, ale ona nie znosiła, gdy jej mówiłem, co ma robić. Stąd wiem, że to nie ona napisała tę wiadomość.

– Może zrobił to jej nowy gach.

– Może.

– Zgłosiłeś to na policję?

– Oczywiście.

– I co?

– Pańscy koledzy uznali, że Julia wyjechała. Pogadali z jej koleżankami, które za mną, delikatnie mówiąc, nie przepadały. Doszli do wniosku, że Julia uciekła. Jeden z funkcjonariuszy stwierdził, że pewnie zainspirowała się historią Chrisa McCandlessa. Któraś z jej durnych koleżanek musiała mu powiedzieć, że *Wszystko za życie* jest ulubioną książką Julii.

– Niech zgadnę: nie lubiły cię ze względu na to, czym się zajmowałeś.

– Nie sądzę, żeby o tym wiedziały. Julia była w tej kwestii bardzo dyskretna. – Lekarz zamyślił się, patrząc na swoje dłonie. – To po prostu głupie cipy.

Nie zamierzał przeciągać tego spotkania. Ominął Kawęckiego i poszedł otworzyć mu drzwi.

– Nie poinformowałem nikogo o waszym wtargnięciu – powiedział, stając w progu. – Ale zrobiła to moja pacjentka. Kiepsko trafiliście. To wredna, wyrachowana suka. Żyje z pieniędzy, które dostała po rozwodzie z dzianym facetem. Nie pracuje, nie zajmuje się dziećmi. Ma za to mnóstwo wolnego czasu. Nie spocznie, dopóki was nie dopadnie.

– I słusznie. Na jej miejscu zrobiłbym to samo.

Kawęcki po raz ostatni spojrział w głąb mieszkania. Chciał sobie utrwalić jego wygląd. A potem zerknął w dół. Na małą chrumkającą kulkę, która gapiła się na niego tak, jakby był soczystym kawałkiem mięcha.

– O co chodzi z tym psem?

– To znaczy?

– Chyba nie jesteście sobie zbyt bliscy.

Nowak popatrzył na buldoga. Schylił się, żeby go pogłaskać, ale pies momentalnie odskoczył. Posłał właścicielowi nieufne spojrzenie, a potem ponownie skupił się na Kawęckim.

– Z jakiegoś powodu nie zapalał się do siebie sympatią – powiedział Nowak. – Nie wiem dlaczego. Po prostu nie ma między nami chemii. Buldogowi najwyraźniej brakuje zdolności interpersonalnych.

– A nie przyszło ci do głowy, że to z tobą może być coś nie tak?

Lekarz wzruszył ramionami.

– Z każdym jest coś nie tak.

Odsunął się od drzwi, żeby przepuścić Kawęckiego. Komisarzowi po raz kolejny przeszło przez myśl, żeby podać mu rękę. Ale ostatecznie skierował się prosto do samochodu.

Kiedy ginekolog wyprowadził auto z garażu, Kawęcki spojrzął na zegarek. Osiemnasta. Równy. A więc nie kłamał, pomyślał. Przynajmniej nie w kwestii planów na wieczór.

Gdy SUV lekarza zniknął za zakrętem, Kawęcki spojrzął na fotel pasażera. Dwie dwustumililitrowe butelki wódki wciąż tam były. Czekały na niego. Coraz bardziej zniecierpliwione. Dał sobie minutę na znalezienie powodu, żeby kazać im czekać dłużej. Ale żadnego nie znalazł. Nawet najnędnieszego.

Po kolejnej minucie na fotelu pasażera była już tylko jedna pełna butelka. Kawęcki uchylił okno, zapalił papierosa i uruchomił silnik. Ustawił nawigację w telefonie i ruszył.

Miał do pokonania dwanaście kilometrów. Przez kilka minut jechał jednopasmową drogą o poturbowanej nawierzchni. Mijał domy otoczone efektownymi ogrodzeniami, nieliczne sklepy spożywcze, niewielkie magazyny oraz działki. Część z nich była do kupienia, o czym informowały wielkie tablice wbite przy samej jezdni, a część już czekała, aż pojawią się na nich budynki. Co jakiś czas wzdłuż drogi wyrastały ceglane szkielety domów, po których trudno było poznać, czy są w trakcie budowy, czy już rozbiórki.

Przejechawszy parę kilometrów, Kawęcki zanurzył się w Łagiewniki. Od tego momentu towarzyszył mu już tylko las oraz kręta droga rozświetlona rzadko rozstawionymi latarniami. A także audycja radiowa, w której dwaj podstarzali melomani opowiadali o niestworzonych, występujących wyłącznie w ich głowach związkach między utworami i odpalali soulowe kawałki. Zupełnie niezłe. Przy *Mustang Sally* w wykonaniu Wilsona Picketta Kawęcki złapał się na miarowym kiwaniu głową.

Ktoś, kto by go zobaczył za kółkiem, mógłby uznać, że jest szczęśliwy. Mógłby wziąć Kawęckiego za lekkoducha, który wraca do domu ze spontanicznej wycieczki za miasto. Za samotnego wilka z surową, męską twarzą, petem tłącym się między palcami i błyszczącym wzrokiem. Nie tylko lubiącego swoją samotność, ale wręcz się nią chełpiącego. Mógłby pozazdrościć mu tego, że potrafi cieszyć się z bycia aspołecznym gnojkiem. Wziąć go za faceta, który nikogo i niczego nie potrzebuje, oprócz zdezelowanego samochodu, słabo oświetlonego kawałka szosy i muzyki, której już nikt w tych czasach nie słucha.

Kawęcki sięgnął po butelkę. Dwoma palcami odkręcił nakrętkę. Pociągnął łyk. Spory. Na tyle duży, że treść żołądka niemal cofnęła mu się do gardła.

Koncentrując się na tym, żeby się nie porzygać, nie zauważył, że pojawił się za nim samochód. Ani że dystans, jaki dzielił go od jego powarkującego rzęcha, zmniejsza się w zastraszającym tempie. Zorientował się dopiero wtedy, gdy kierowca usiadł mu na zderzaku i oślepił długimi światłami.

Kawęcki zerknął w lusterko wsteczne. Prosto w dwie jednakowo owłosione gruzińskie gęby, które wściekle na niego nacierały.

Oślepiające światło nagle zniknęło, a samochód bliźniaków znalazł się na równi z jego autem. Kawęcki spanikował. Próbował odbić w lewo, ale zanim zdążył poruszyć kierownicą, poczuł uderzenie w bok. Bliźniacy zamierzali zepchnąć go z drogi. Prosto do rowu, który oddzielał jezdnię od gęsto zalesionego lasu.

Kiedy się zorientował, jaki mają plan, z całej siły wcisnął hamulec. Ale było już za późno.

Gdy jego samochód zaczął się niekontrolowanie obracać i przy sporej prędkości osuwać z jezdni, Kawęcki mógł zrobić tylko jedno: zacisnąć powieki.

Otworzył oczy. Zobaczył na szybie rozległą pajęczynę, która znajdowała się mniej więcej na wysokości jego głowy. Rozejrzał się po wnętrzu auta. Na podłodze i fotelach roilo się od szkła. Kierownicę zasłaniała sflaczała poduszka powietrzna. W boczną szybę po stronie pasażera wbiła się gruba gałąź. Gdyby była o pół metra dłuższa, prawdopodobnie przebiłaby mu czaszkę.

Kawęcki spojrział na swoją dłoń. Drżała i była zakrwawiona, ale mógł nią nieskrępowanie poruszać. Na czubku głowy wymacał potężnego guza, z którego sączyła się krew. Spróbował poruszyć nogami i resztą ciała. Poczul ból w klatce piersiowej, jakby rozsiadł się na niej jakiś tłuscioch. Ale nic poza tym. Żadnych urwanych kończyn ani złamań. Żadnego paraliżu. Żadnego kalectwa.

Uświadomił sobie, że miał cholernie dużo szczęścia.

Kiedy jego samochód wypadł z drogi, musiał przelecieć nad rowem i zmieścić się pomiędzy drzewami. Wylądował w krzakach, przekoziółkował i zatrzymał się na drzewie, w które uderzył drzwiami od strony pasażera. Z kilkudziesięciu czarnych scenariuszy, jakie mogły się wydarzyć w tej sytuacji, nie spełnił się ani jeden.

Otworzył drzwi. Chciał wysiąść z auta, ale zatrzymał go pas. Próbował go odpiąć. Nie dało się. Był zablokowany. Musiał zostać uszkodzony podczas wypadku. Prawdopodobnie w momencie, w którym ratował Kawęckiemu życie.

Komisarz zrozumiał, że jest unieruchomiony. Że nie wysiadzie z samochodu, dopóki nie pofatyguje się do niego jakiś człowiek z nożem albo obcęgami. Że w tej sytuacji może się jedynie rozglądać. A więc patrzył.

I zobaczył, że jego szczęście właśnie się skończyło.

Bliźniacy zatrzymali się kilkadziesiąt metrów dalej. Wyszli z auta i podeszli na skraj jezdni. Stanęli w miejscu, w którym samochód Kawęckiego wyleciał z drogi. Wycelowali we wrak latarkami. Potem jeden z nich wyciągnął broń.

Kawęcki niewiele widział, ponieważ bracia świecili mu prosto w twarz. Słyszał natomiast, że ze sobą rozmawiają. W języku, którego nie rozumiał. Nie musiał go jednak znać, żeby pojąć, że się kłócą. Że na siebie powarkują. Że gotowi są złapać się za łby i wyrzucić sobie krzywdę. Kłócili się o niego. O to, co powinni z nim zrobić.

I z jakiegoś powodu uznali, że go tu zostawią.

Kiedy Gruzini wrócili do samochodu i odjechali, Kawęcki wymacał zakrwawioną dłoń i kieszeń spodni i wyciągnął z niej zgniecioną paczkę papierosów. W drugiej znalazł zapalniczkę. Zapalił. Popatrzył na zniszczoną szybę, a potem na radio, na którym wciąż wyświetlała się częstotliwość. I które, o dziwo, nadal działało. Wilson Pickett właśnie kończył show.

All you want to do is ride around, Sally.

Ride, Sally, ride.

Kawęcki wcisnął się w oparcie fotela, do którego i tak był przygwożdżony. Mocno się zaciągnął. I ponownie zatrasnął powieki.

Sierpień

Filipski odwrócił gazetę do góry nogami i uniósł tak, żeby siedząca po drugiej stronie stołu kobieta mogła ją zobaczyć. Trzymał papier sztywno, dopóki Alicja Mioduszevska nie zaczęła się śmiać.

– Nie musi mi pan tego pokazywać – powiedziała. – Proszę mi wierzyć, miałam czas, żeby napatrzeć się na ten numer. Zdążył mi zbrzydnąć.

Filipski opuścił gazetę, odwrócił i jeszcze raz spojrział na okładkę.

– „Znany prawnik pedofilem. Wielka afera w łódzkiej palestrze”. Ten tytuł wprost wrzeszczy do czytelnika.

– Nie ja go wymyśliłam, tylko redaktor naczelny „Głosu Miasta”. Co nie znaczy, że mi nie odpowiada. Tyle że jest za długi. Wolę zwięzłe tytuły.

Filipski odłożył gazetę i sięgnął po notatnik.

– Czy takie zawodowe zakręty są normalne w pani branży? – zapytał. – Najpierw była pani szarą myszką, jedną z wielu niewyróżniających się dziennikarek „Expressu Łódzkiego”. Potem została jego gwiazdą po artykule na temat zabójstwa Martyny Bułeckiej. Później pani zniknęła i na kilka miesięcy wycofała się z

branży. A na koniec wróciła z hukiem, publikując w innej gazecie kolejny głośny tekst.

– Chyba nie dość głośny.

– Jak to?

– A czytał pan przedruki w innych mediach? Słyszał mnie albo naczelnego „Głosu” w radiu? Widział pan moją gębę w telewizji?

– To dla pani takie ważne?

– Nie. Ale tylko wtedy te skurwysyny dostałyby za swoje.

Alicja pociągnęła łyk kawy, a potem z niesmakiem zerknęła do wnętrza kubka. Odstawiła go na stół i odsunęła najdalej, jak mogła, żeby jej nie korciło ponownie po niego sięgnąć.

– Pytał pan, czy to normalne – odezwała się. – W mediach nie ma czegoś takiego jak normalność. Nie istnieje punkt odniesienia, który mógłby służyć do wskazania odchyień od normy. Widziałam już, jak wyrzucano z pracy autorów artykułów nominowanych do Grand Pressa. Tylko dlatego, że strzelali swoimi tekstami do niewłaściwych ludzi. Na przykład do prezesów firm, które kupowały w wydawnictwie reklamy.

– A pani czym podpadła?

Alicja ciężko westchnęła. Spojrzała w kierunku Stelmach, jakby szukała u niej wsparcia. Ale policjantka skakała wzrokiem między jej twarzą a notatnikiem, w którym nieustannie coś zapisywała.

– Czy zastanawialiście się kiedyś, dlaczego media poświęciły tyle uwagi kobietom w typie Iwony Wieczorek, Ewy Tylman albo Magdy Żuk? – zapytała Alicja. – Podpowiem wam: nie dlatego, że zależało im na ustaleniu, co się z nimi stało.

– Ponieważ są ładne – odezwała się Stelmach. – Młode i ładne.

Alicja pokiwała głową.

– My, dziennikarze, interesujemy się wyłącznie młodymi dziuniami. Laseczkami, którym przytrafiło się coś złego. Porwanymi, zaginionymi, zgwałconymi, zamordowanymi. Oczywiście nie interesuje nas ich los, tylko to, że opisując te mrożące krew w żyłach historie, możemy przypodobać się czytelnikom. Trafić w prymitywne gusta tych wszystkich biednych ludzi, którzy bardziej przejmują się cudzym życiem niż własnym. I w gusta tych wszystkich buraczanych imbecyli, którzy uważają, że te dziewczyny zasłużyły na to, co je spotkało, zapracowały swoim wyglądem i urokiem, tym, że wyróżniały się z tłumu.

– Martyna Bułeczka też się wyróżniała – zauważył Filipowski.

– No właśnie. I nie dziwi was to, że po pierwszej fali zainteresowania, na której, przyznaję, udało mi się wypłynąć, media nagle przestały o niej pisać? Że ani „Express”, ani inne tytuły nie grzebały w śledztwie? Nie informowały o nowych poszlakach, nie rozmawiały z policjantami?

– Dlaczego tak się stało?

Alicja wzruszyła ramionami.

– Ktoś ukręcił tej sprawie łeb.

– Kto?

Dziennikarka przygryzła wargi. Zawahała się. Nie była pewna, czy powinna z policjantami o tym rozmawiać. Ani ile może im powiedzieć.

– Powiedzmy, że padłam ofiarą systemu oraz ludzi, którzy nim sterują. Tylko tyle i aż tyle. – Nie wiedząc, co zrobić z rękoma, wychyliła się i sięgnęła po kubek. Chciała się napić, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie, dlaczego stał tak daleko. – Prawdę mówiąc, nie uważam, żeby ten system był zły do szpiku kości. Ani żeby należało

go zmienić. Między dziennikarzami, policjantami i politykami zawsze będą występowały złożone zależności, które wykluczają obiektywizm. Nie jesteśmy w stanie nic z tym zrobić. Problem pojawia się wtedy, kiedy powiązania powstają pomiędzy psychopatami. Ludźmi ze szczytu, którzy mają dość władzy i pieniędzy, żeby robić, co im się żywnie podoba.

– Dlatego postanowiła pani w nich uderzyć? – zapytał Filipski. – W nieżyjącego Andrzeja Pszoniaka i kilku jego kumpli? Raniąc przy okazji Adama Wargę, który pewnie zaszedł pani za skórę przy sprawie Bułeckiej?

– Pyta pan, czy to była zemsta?

Filipski skinął głową.

– Nie. Chyba nie. To, że dobrałam się tym gnojom do dupy, oczywiście sprawiło mi wielką frajdę, ale nie dlatego napisałam ten tekst.

– A dlaczego?

– Bo ktoś musiał to zrobić. Padło na mnie. Zresztą z tego żyję.

– Kiedy podejmowała pani ten temat, była bezrobotna. Nie współpracowała pani z żadnym tytułem – zauważyła Stelmach.

– To nie ma znaczenia. Jeśli ktoś stuka teksty na zlecenie firm albo podlizuje się ludziom sukcesu, jest jedynie media workerem. Nędzną imitacją dziennikarza. Natomiast porządny reporter reaguje na to, co podrzuca mu rzeczywistość, bez względu na swoje zawodowe położenie. W tym przypadku wypluła wyjątkowo paskudny kawałek.

– A kto pani o tej „rzeczywistości” – Filipski zakreślił w powietrzu cudzysłów – powiedział?

– Informator.

– Czy to był komisarz Tomasz Kawęcki?

– Nie zdradzę panu moich źródeł.

– Ale zna pani Kawęckiego?

Dziennikarka ciężko sapnęła i przewróciła oczami.

– Gdybym go nie znała, pewnie byście mnie tu nie wezwali. – Alicja wycelowwała palcem w teczkę, na której spoczywały dłonie Filipskiego.

– Mogę się założyć, że macie tam nasze zdjęcia. Jak ze sobą rozmawiamy. Użylibyście ich, gdybym próbowała wyprzeć się tej znajomości.

Filipski uniósł trochę ręce i popatrzył na teczkę. Potem odsunął ją na bok.

– Dlaczego pani się z nim spotkała?

Alicja zamyśliła się. Zamiast odpowiedzieć, wyciągnęła wibrujący telefon i spojrzała na wyświetlacz. Potem schowała go do torebki i westchnęła.

– Dobre pytanie – powiedziała. – Pierwsze, które od was usłyszałam.

Dwa miesiące wcześniej

Przejechała obok stacji benzynowej i skręciła na teren klubu. Ledwo zmieściła się w bramie, która była uchylona dokładnie na szerokość jednego samochodu. Pokonała około stu pięćdziesięciu metrów wąską uliczką porośniętą z obu stron drzewami. Zatrzymała się na parkingu, wysiadła i przyjrzała się budynkom, w których znajdowały się sale sportowe, szatnie oraz pływalnia. Potem ruszyła w stronę boiska.

O stadionie Startu Łódź wiedziała zaledwie tyle, że nie rozgrywa się na nim żadnych poważnych spotkań. I że bardziej niż z piłką nożną

kojarzy się z Moto Weteran Bazar, największą w Polsce giełdą dla fanów zabytkowych pojazdów i militariów. Alicja miała okazję być zarówno na meczu, jak i na zlocie. Uważała, że w gruncie rzeczy obie imprezy są do siebie podobne: skrojone pod spoconych facetów, którzy mają zbyt dużo wolnego czasu i za duże brzuchy. Różniły się tylko tym, że o ile na giełdę faktycznie przyjeżdżali fani motoryzacji i wojskowości, o tyle na mecze najczęściej przychodzili ludzie mający futbol kompletnie w dupie. A na pewno futbol w takim wydaniu. Dlatego zamiast śledzić przebieg rywalizacji, głównie monitorowali stan szybko wysychających flaszek.

Stadion był pusty, więc Alicja ruszyła w kierunku znajdującego się kilkadziesiąt metrów dalej boiska treningowego. Od dawna ją dziwiło, że choć prawie każda szkoła ma murawę ze sztuczną trawą, w klubie piłkarskim dzieciaki muszą trenować na piaszczystym klepisku. Zziązani chłopcy wyglądali na nim rozpaczliwie. Zwłaszcza po nieudanych zagraniach, kiedy z trudem powstrzymywali się przed wyrzuceniem w powietrze serii niewybrednych wulgaryzmów. Jednocześnie niepewnie zerkali w stronę pokrzykujących na nich rodziców, święcie przekonanych, że właśnie oglądają popisy przyszłych gwiazd futbolu.

Paweł Nosowski zauważył Alicję, zanim zbliżyła się do gromady dorosłych. Wystąpił z grupy i ruszył w jej stronę. Miał na sobie cienką kamizelkę i dżinsy. Jego twarz ukrywała się pod czapką z daszkiem i zaniedbaną rudą brodą. Przypominał Irlandczyka, który nieszczerze przejmując się swoim wyglądem.

- Który to twój syn? – zapytała Alicja, zanim zdążył się odezwać.
- Co tu robisz?

– Przyszłam się z tobą zobaczyć. Nie odpisałeś na moją wiadomość. Nie odbierasz telefonu. Nie zastałam cię w pracy. Ale dowiedziałam się, że w sobotnie poranki jeździsz z synem na treningi piłkarskie. – Wskazała palcem boisko. – Obstawiam, że to ten z opaską na długich włosach. W jego wieku chyba wyglądałeś podobnie.

Nosowski spojrzał na dzieciaki, jakby musiał sobie przypomnieć, jak wygląda jego syn. Potem popatrzył na Alicję. Nie był zadowolony z tego spotkania. I nie próbował tego ukryć.

– Przejdźmy się – powiedział.

Ruszyli w kierunku stadionu. Kiedy oddalili się od boiska, Nosowski spojrzał za siebie, a potem wyciągnął papierosa.

– Udaję przed chłopakiem, że nie palę – wyjaśnił.

– Myślisz, że dzięki temu nie wciągnie się w fajki?

Wykrzywił usta, jak gdyby połknął coś kwaśnego.

– Mam tylko nadzieję, że nie wkręci się zbyt wcześnie. Że nie będę musiał wysłuchiwać na wywiadówkach, że w przerwach między lekcjami popala w szkolnym kiblu.

– Kiedyś czytałam o tym, że rodzice bajerujący dzieci wyrządzają sobie i im krzywdę. Sprawiają, że stają się bardziej skore do kłamstw. Programują je na oszustwa.

Paweł nie skomentował jej słów. Odezwał się zresztą dopiero wtedy, kiedy rozsiedli się na przymocowanej do betonu drewnianej ławce, z której rozciągał się przygnębiający widok na podupadły stadion.

– Na twoim miejscu zapomniałbym o tym temacie – powiedział, przechodząc do rzeczy.

Alicja parsknęła śmiechem.

– Radzi to facet, który przez dziesięć lat grzebał w aferach gospodarczych.

– Dlatego wiem, co mówię. Prawnicy tworzą bardzo silną grupę wpływu. Może nawet potężniejszą niż biznesmeni. A przez to są niebezpieczni. Mogą ci wyrządzić większą krzywdę niż ja swojemu dziecku, ukrywając przed nim, że jaram szlugi.

– Zwróciłam się do ciebie, żebyś mi podpowiedział, jak powinnam to rozegrać. Nie po to, abyś mnie odwiódł od tematu.

– Czyli jest już za późno?

– Raczej tak.

Nosowski przetarł kłykciami oczy. Ciężko wypuścił powietrze.

– Przede wszystkim nie powinnaś zgłaszać się z tym do wielu wydawnictw, żeby nie rozpierzchła się po mieście fama, że nad tym pracujesz. Wybierz jedno, które twoim zdaniem będzie miało wystarczająco dużo odwagi, aby puścić u siebie taki temat. Odezwij się bezpośrednio do redaktora naczelnego. Albo nawet do prezesa wydawnictwa. Musi to być ktoś, kto prywatnie i zawodowo nie jest związany z ludźmi, którym twój tekst mógłby zaszkodzić. – Spojrzał na Alicję. – Co cię tak bawi?

– Z poprzedniej pracy wyrzucili mnie za to, że nadepnęłam na odcisk komendantowi policji, który kumpluje się z prezesem mojego ówczesnego wydawnictwa. Tak przynajmniej brzmiała oficjalna wersja.

– Wiem – odparł Paweł. – To, że nie jestem już dziennikarzem, nie oznacza, że nie czytam gazet i nie mam kolegów w branży. A to, że już raz popełniłaś taki błąd, nie znaczy, że nie popełnisz go ponownie.

Uśmiechnął się. Po raz pierwszy. Obalił tym samym teorię Alicji, która sądziła, że zgorzkniał do tego stopnia, iż nie jest już w stanie

wydożyć z siebie choćby wrednego uśmiešku.

– Musisz spróbować dotrzeć do osób, które atakujesz, nawet jeśli wiesz, że wyślą cię do diabła – kontynuował Nosowski. – Nikt nie może ci zarzucić, że nie dałaś im możliwości obrony. Jednak powinnaś się odezwać do nich w ostatniej chwili, żeby mieli jak najmniej czasu na wywieranie nacisku. Oczywiście usłyszysz zarzut, że zamiast przeprowadzić rzetelne dziennikarskie śledztwo, napisałaś artykuł pod tezę, ale przynajmniej będziesz miała argument, który pomoże ci w sądzie. A właśnie. Sąd.

– Co z nim?

– Jeżeli nie uda im się zablokować publikacji, niemal na pewno cię pozwą. Choćby po to, żeby pokazać, że nie zgadzają się z treścią artykułu. Będziesz mierzyć się w sądzie z prawnikami. Wiesz, co to oznacza?

– Po mojej stronie również staną prawnicy.

– Raczej ich atrapy. Myślisz, że znajdziesz dobrego adwokata, który odważy się uderzyć w kolegów po fachu? Nawet jeśli będzie to prawnik z wydawnictwa, z którym podejmiesz współpracę, wątpię, żeby miał dość odwagi, by cię godnie reprezentować. Nie masz żadnej gwarancji, że się celowo nie podłoży. Albo że go nie przekupią.

– Nigdy nie można mieć takiej gwarancji.

– To prawda. Ale w tym wypadku ryzyko oszustwa jest znacznie większe. A to rodzi kolejną trudność. Wątpię, żebyś znalazła wydawnictwo, które zgodzi się pokryć koszty ewentualnej batalii sądowej.

Paweł upuścił niedopałek, a następnie przykrył go butem. Rozejrzał się dookoła, jakby się obawiał, że ktoś może mu za to wlepić mandat.

Ale oprócz nich na stadionie nie było nikogo.

– Pozostaje jeszcze ostatnia kwestia. Najważniejsza.

– Czyli?

– Czy jesteś przekonana, że to, co chcesz napisać, jest prawdą?

– Dopiero wczoraj dostałem te dokumenty. Muszę to wszystko jeszcze zweryfikować, ale wyłania się z tego dość klarowny obraz.

– Jesteś przekonana, że nikt nie próbuje tobą manipulować?

– Dostałam ten temat od jednego z policjantów. Jest ekscentryczny i irytujący, ale ma dobre intencje. Chciałby ukarać tych ludzi, ale brakuje mu narzędzi, żeby to zrobić.

– Skurwysyny – syknął Nosowski, odwrócił się i splunął za siebie. – Wiesz, dlaczego zostałem PR-owcem?

– Nie wiem. Wszyscy się nad tym zastanawiali, ale nie raczyłeś nikomu tego wyjaśnić.

Długo milczał. Jakby się rozmyślił i uznał, że jednak nie podzieli się tą historią.

– Miałem serdecznie dość tego, czym się zajmowałem – powiedział w końcu. – Tropienia biznesmenów dużego formatu. Szwendania się za nimi. Nachodzenia ich, nękania telefonami, zasypywania mailami. Przekonywania ich byłych współpracowników, żeby ze mną porozmawiali. W pewnym momencie doszedłem do wniosku, że szkoda na to życia. Kosztowało mnie to wiele nerwów. Zbyt wiele. Sprawilo, że stres stał się moim cieniem. Poza tym... – zawahał się – facet z żoną i kilkuletnim dzieckiem nie ma ochoty odbierać głuchych telefonów w środku nocy. Albo wsiadać rano do samochodu z poprzebijanymi oponami. To prawda, że rodzina odbiera mężczyźnie jaja. Tyle że

najczęściej dzieje się to w momencie, w którym on już ich nie potrzebuje. I kiedy nie widzi w utracie jaj niczego wstydliwego.

Wyciągnął z paczki kolejnego papierosa. Ale po chwili się rozmyślił i schował go z powrotem. Zamiast niego włożył do ust gumę do żucia.

– Może to kwestia wieku. Może musisz popełnić te same błędy, które ja popełniłem.

Wstał. Podciągnął spodnie i wycelował palcem w Alicję.

– Nie dzwoń do mnie więcej. I nie pisz. Usuń wiadomość, którą mi wysłałaś. I pod żadnym pozorem nie nachodź mnie, zwłaszcza w miejscach, w których pojawiają się z rodziną. Chyba że zmienisz zdanie i rzucisz ten temat w cholerę.

Wzruszyła ramionami.

– W takim razie żegnaj.

Nosowski jeszcze przez kilka sekund patrzył na Alicję. Chciał coś powiedzieć, ale w końcu tylko machnął ręką, raczej w geście rezygnacji niż pożegnania. Ruszył w stronę piaszczystego boiska. Chwilę później zatopił się w grupie rodziców nerwowo pokrzykujących na dzieciaki.

Witold wspiął się na niewielką skarpe. Otrzeptał bluzę z liści i zapalił papierosa. Odwrócił się w stronę wraku. Kilkanaście metrów dalej i półtora metra poniżej poziomu szosy znajdował się wbity w drzewo pojazd. Był poobijany i porysowany praktycznie z każdej strony. Wszystkie jego szyby były rozbite, a dach wyglądał tak, jakby na moment przycupnął na nim słoń.

– Miałeś cholernie dużo szczęścia – zauważył Witold.

– Raczej to oni mieli pecha – odparł Kawęcki. – Jakie było prawdopodobieństwo, że zepchnięty z drogi samochód, w dodatku

obrócony o dziewięćdziesiąt stopni, zmieści się między drzewami w gęsto zadrzewionym lesie?

– Niewielkie. Nie wygląda to tak, jakby nie chcieli cię zabić.

– Chcieli. Pod warunkiem, że będzie to wyglądało na wypadek. Nikogo by nie zdziwiło, że pijak spowodował kolizję i wypadł z drogi. Ale kiedy nie zdołali zajebać mnie tak, jak to sobie wykombinowali, odpuścili. – Kawęcki przeszedł kilka metrów w bok i zatrzymał się nad samą skarpą. Uformował pistolet z dłoni i wycelował we wrak, który dwaj pracownicy pogotowia drogowego z mozołem wciągali na lawetę. – Stali mniej więcej w tym miejscu. Kłócili się. Jeden z bliźniaków chciał mnie zastrzelić. Drugi przekonywał go, że to nie ma sensu. Dopiero wtedy miałem szczęście. Było pięćdziesiąt procent szans, że mnie zabiją. – Parsknął i wyciągnął papierosa. – Pewnie uważasz, że zepsułem ci poranek. Ale pomyśl, jak bym ci go spierdolił, gdyby jeden z tych Gruzinów miał mniejszy dar przekonywania.

Chwilę później podszedł do nich Artur Waliszewski.

– Wrzuciliśmy ten samochód na bęben – oznajmił i zerknął do notatnika. – Zarejestrowany jest na niejakiego Jonasza Bitnera. Facet dwa dni temu zgłosił kradzież. Wygląda na to, że twoi bliźniacy nieźle się przygotowali do tej akcji.

Artur spodziewał się jakiejś reakcji Kawęckiego, ale grubo się przeliczył.

– Poprosiłem chłopaków z drogówki, żeby rozpuścili wici i wyteżyli wzrok – dodał i wycofał się do samochodu, w którym siedziała Marta Ferenc wpatrzona w ekran smartfona. Wyglądała na skrajnie znużoną.

– Możemy zamknąć tych Gruzinów – oznajmił Witold. – Byli już notowani, więc wystarczy znaleźć samochód i zebrać z niego odciski

palców oraz próbki lakieru.

Kawęcki pokręcił głową. O ile pozwolił mu na to ból rozsadzający czaszkę.

– Chcę posadzić dwóch facetów, którzy od pewnego czasu próbują cię zabić. Masz z tym jakiś problem? – spytał Witold, coraz bardziej poirytowany.

Kawęcki poczuł wibrowanie telefonu. Wyciągnął go z kieszeni, przeczytał wiadomość, a następnie uruchomił transfer danych i otworzył pocztę. Zupełnie stracił zainteresowanie bliźniakami.

– Przeprowadź tu Waliszewskiego i Ferenc – powiedział. – Chcę im coś pokazać.

– Tobie też Bozia dała nóżki.

– Ale dwóch pojebów sprawiło, że mnie bołą, kiedy nimi poruszam.

Witold ciężko westchnął. Czasem przestawał zauważać różnicę między Kawęckim a swoimi nastoletnimi córkami. Byli równie wkurwiający, przemądrzali i uparci. W dodatku równie odporni na jego wpływ. Tyle że z Kawęckim miał znacznie częściej do czynienia.

Chwilę później w czteroosobowym składzie stanęli na skraju drogi. Kawęcki zrelacjonował policjantom przebieg swojego spotkania z Aleksandrem Nowakiem.

– Szukamy faceta, któremu wyjątkowo przeszkadzają aborcje. Kogoś, kto wiedział, kim są pacjentki Nowaka. Być może jego dawnego współpracownika albo kolegi ze studiów. A może kogoś, kto nie ma nic wspólnego z medycyną, ale jest pojętnym uczniem i zaczerpnął kilku lekarskich lekcji u wujka Google. – Kawęcki pomachał telefonem. – Nowak właśnie przesłał mi listę ludzi, które

wiedzą, że zajmuje się aborcjami. Musimy się przyjrzeć każdemu z nich.

Artur i Marta spojrzeli na Witolda, jakby nie byli pewni, czy Kawęcki przypadkiem nie postradał zmysłów. Witold niechętnie pokiwał głową.

– Kawęcki ma rację – powiedział. – Nowak jest powiązany z kilkoma zamordowanymi kobietami. Wiemy jednak, że ich nie zabił. To oznacza, że prawdopodobnie zrobił to ktoś z jego otoczenia.

– Przesłałem wam tę listę – powiedział Kawęcki. – Kolejność wymienionych na niej osób wygląda na przypadkową. Ja z Witoldem zaczniemy od początku, wy sprawdzajcie od końca.

– Mamy ich pytać o coś konkretnego? – odezwał się Artur.

Kawęcki zmierzył go wzrokiem.

– Jeśli nie wiesz, o co ich pytać, to spierdalaj do domu.

Chwilę później wszyscy czworo rozeszli się do samochodów. W różnych nastrojach. Ale raczej kiepskich.

– Masz coś do picia? – zapytał Kawęcki.

– Tylko wodę – odparł Witold.

– Niech będzie.

Kawęcki wyciągnął wygniecione opakowanie tabletek przeciwbólowych. Wetknął do ust ostatnie trzy i popił je wodą. Następnie zamknął oczy i opadł na fotel.

– Nie powinieneś pojechać do szpitala?

– Byłem tam ostatnio. Nie polecam. Poza tym nie mam wstrząśnienia mózgu. A jeżeli już, to lekkie.

Witold uruchomił silnik. Włączył się do ruchu. Zawrócił, korzystając z pobocza, i skierował się w stronę Łodzi.

– Dlaczego zadzwoniłeś do mnie dopiero kilkanaście godzin po wypadku?

– Nie chciałem ci przeszkadzać.

– W czym?

– W życiu. Powiedziałaś, że nie układa ci się w domu.

– Przecież głównie cię to obchodzi. Zresztą nie musiałeś się do mnie odzywać. Mogłeś zadzwonić do kogoś innego. Do kogokolwiek.

– I ściągnąć sobie Szczebiota na głowę? – Kawęcki otworzył na chwilę oczy. Spojrzał na Witolda jak na ufoludka. – Wolałem poczekać do rana.

– Śpiąc we wraku samochodu?

– To było bardzo oczyszczające doświadczenie.

– Zdajesz sobie sprawę, że to jest chore?

– Nie bardziej niż to, że przez tyle godzin nikt nie zwrócił uwagi na rozbity samochód stojący tuż przy drodze. Na skraju lasu, w którym wydrążyłem wielką dziurę.

– To rzadko uczęszczana droga. Poza tym było ciemno.

Kawęcki ostrożnie pokręcił głową.

– Przy odrobinie szczęścia mogło się to skończyć.

– Co?

– Wszystko. Ten przykry eksperyment, któremu dobrowolnie się poddaję.

– O czym ty mówisz?

– O swoim życiu. Czuję się jak facet ze słabym żołądkiem, który w pełni świadomie zdecydował się wleźć na rollercoaster. To chyba nie świadczy najlepiej o mojej inteligencji, co?

Witold spojrział na Kawęckiego.

– Wiesz, że jesteś najbardziej depresyjnym człowiekiem, jakiego znam?

Komisarz wzruszył ramionami. Burknął coś pod nosem, a potem odwrócił głowę w kierunku szyby. Niedługo później zasnął.

– Déjà vu, kurwa – powiedział Witold, dodając gazu.

Alicja miała wrażenie, że w Możejce coś się zmieniło. Nie próbował jej podrywać. Nie drażnił jej uwodzicielskim spojrzeniem. Nie zonglował uśmiechami. Nie taksował jej od stóp do głów, jakby nieustannie zapominał, jak wygląda. Albo jakby jej nieustannie przypominał, że ma ochotę ją zerznąć. Przestał się starać. Nagle stało mu się obojętne, czy Alicja znów na niego poleci. Czy jeszcze kiedykolwiek uda mu się zaciągnąć ją do łóżka.

Może dojrzał, pomyślała Alicja, choć to mało prawdopodobne. Prędzej zmienił strategię podrywu, postanawiając udawać niezainteresowanego. Chyba że wydarzyło się coś, o czym nie raczył jej powiedzieć.

– Widziałeś moją wiadomość? – spytała.

– Mhm.

– I co o tym sądzisz?

Możejko, wciąż przyklejony do komputera i zachowujący się tak, jakby rozmawiał z nią przez telefon, obojętnie wzruszył ramionami.

– Nie jestem tym szczególnie zaskoczony. Kawęcki to kawał gnoja. Wiemy to nie od dzisiaj.

– W pierwszym odruchu się wściekłam, ale potem doszłam do wniosku, że postąpił słusznie. A przynajmniej logicznie. Wiedział, że sam nie jest w stanie dobrać się tym skurwysynom do dupy. Musiał

zdobyć sprzymierzeńców. Najwyraźniej w policji nie było chętnych, więc znalazł dziennikarkę. Zastosował fortel, żeby mnie w to wciągnąć. Ale właściwie nie mam mu tego za złe.

Alicja czekała, aż Możejko powie, że Kawęcki w wyjątkowo perfidny sposób ją zmanipulował, omamił i wykorzystał, ale ten nie odezwał się słowem. Jedyne dźwięki wydobywały się spod jego palców, które energicznie stukały w touchpada. Jakby grał w Latające Chomiki.

– Prokurator Warga zgodził się ze mną spotkać – oznajmiła Alicja. – Umówiliśmy się w przyszłym tygodniu. Do tego czasu powinnam zdążyć porozmawiać z ludźmi, których podsunął mi Kawęcki.

Możejko w końcu oderwał się od komputera. Jednak zamiast spojrzeć na Alicję, zerknął w stronę korytarza, jak gdyby się spodziewał, że ujrzy tam grubego prokuratora. Gapiąc się w punkt na ścianie, zaczął bezwiednie gładzić powierzchnię sofy.

– Słyszałeś, co powiedziałam?

– Tak. Przepraszam. Zamyśliłem się.

– O czym?

– Słucham?

– O czym myślałeś?

Możejko długo zastanawiał się nad odpowiedzią. Cokolwiek zamierzał z siebie wykrztusić, było jasne, że nie będzie to prawda.

– O niczym istotnym – odparł w końcu i zamknął komputer. – Dlaczego się zgodził?

– A skąd mam wiedzieć?

– Na pewno się nad tym zastanawiałaś. I jak cię znam, wymyśliłaś już kilka możliwości.

Posłał Alicji jeden ze swoich firmowych uśmiechów. W końcu. Ale było w nim coś, czego wcześniej nie widziała. Coś nienaturalnego. Jakiś zakamuflowany fałsz.

– Warga długo zwlekał z odpowiedzią. Ostatecznie odezwał się do mnie chwilę przed tym, jak komendant Janusz Dębiec odmówił mi spotkania. Nie sądzę, żeby to był przypadek. Jeżeli moje założenie jest słuszne i siedzą w tym razem, mogli wymyślić takie rozwiązanie, żeby mnie zmylić. Żebym pomyślała, że nic ich nie łączy, skoro jeden zgodził się ze mną spotkać, a drugi mnie olał. – Alicja pociągnęła łyk herbaty. Czarnej. Takiej, jaką lubiła. Bez plastra cytryny, który Możejko wrzucał jej do kubka za każdym razem, kiedy u niego była. Wbrew jej woli, co jednocześnie było irytujące i miłe. – Może doszli do wniosku, że Warga będzie w stanie lepiej nawinąć mi makaron na uszy, ponieważ głębiej siedzi w tym syfie. A może się mylę i komendant nie ma z tym nic wspólnego, a jego jedynym grzechem jest zaniechanie i nieróbstwo. Sama już nie wiem. W każdym razie pewnie i tak nie znajdę dobrego powodu, żeby w artykule wspomnieć o Dębcu. To, że w młodości dobrze się znał z Pszoniakiem, jeszcze o niczym nie świadczy. A na pewno nie o tym, że kilkanaście lat później wspólnie zabawiali się z nieletnimi.

Zamilkła w momencie, w którym się zorientowała, że Możejko jej nie słucha. Kiwał głową, patrzył na jej usta, ale jego oczy były bez wyrazu.

- Co się dzieje? – spytała.
- Co masz na myśli?
- Mam wrażenie, że wygłaszam monolog do manekina.
- Słucham cię. I zastanawiam się nad tym, co mówisz.

– Nie wyglądasz na myśliciela.

Możejko wstał i przespacerował się po pokoju. Miał na sobie te same szare spodnie dresowe i bawełnianą koszulę, w której widziała go kilka dni temu. Jego włosy były przetłuszczzone i potargane. Kiedy przeszedł kilka kroków, po pomieszczeniu rozszedł się kwaśny zapach potu. Alicja nie przypomiwała sobie, żeby kiedykolwiek podjął ją w takim stanie. Brudny. Skrajnie zdekoncentrowany. Speszony. Jakby się obawiał, że za moment wpadnie do jego mieszkania Latający Potwór Spaghetti i go pożre.

– Jesteś pewna, że dobrze robisz?

Alicja wzruszyła ramionami.

– A co twoim zdaniem mogę stracić? Pracę, której nie mam? Pieniądze, których i tak nie zarabiam. Twarz?

– Życie. – Możejko zatrzymał się na środku salonu i podrapał w czubek głowy. – Nie chcę cię straszyć, ale Warga to prawdopodobnie niebezpieczny człowiek.

– Rzeczywiście, na oko sto trzydzieści kilogramów żywej wagi.

– Nie to miałem na myśli. Chcesz, żebym z tobą poszedł?

Alicja uśmiechnęła się ironicznie. Jak do dziecka pytającego, czy może włożyć palec do kontaktu.

– Warga zapewne jeszcze nie wie, że pracujemy nad książką, w której będzie jednym ze szwarccharakterów. Pewnie myśli, że się tylko pieprzymy. I niech tak zostanie. Im dłużej będzie żył w niewiedzy, trzymając swoje tłuste łapska przy sobie, tym lepiej dla nas.

Możejko pokiwał głową. Bez przekonania. Jak człowiek godzący się na coś, na co nie ma najmniejszej ochoty. Patrząc na niego, Alicja

głośno wypuściła powietrze z płuc. Była zmęczona zmęczeniem Możejki. Jego irytującą abnegacją.

– Masz zjazd? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Na pewno nie jesteś zły, że przerwałam pracę nad książką, żeby napisać ten artykuł?

Ponownie zaprzeczył.

– Więc o co ci, kurwa, chodzi?

Nie odpowiedział. Ponownie usiadł przy stoliku i otworzył laptopa. Jego palce błądziły po klawiaturze, szukając hasła. Przypominał Alicji człowieka wygrzebanego z lodu. Zagubionego i złąknionego. Kompletnie niedopasowanego do rzeczywistości.

– Idę do domu – powiedziała. – Muszę się przygotować do rozmów z tymi ludźmi. A ty co zamierzasz?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

Miała wrażenie, że po raz pierwszy podczas tego spotkania jej nie okłamał.

Nudności, wymioty, zawroty głowy, senność. Płytki oddech, wysoka temperatura, bezsilność. Ból brzucha i konwulsje. Omamy.

Kawęcki siedział na jedynym krześle, jakie miał w salonie, i gapił się w ekran telefonu, czytając o objawach przedawkowania leków przeciwbólowych. W drugiej ręce trzymał garść tabletek. Siedem albo osiem. Może dziewięć. Nie liczył. W każdym razie prawdopodobnie było ich za mało, żeby wykitować. Ale wystarczająco dużo, aby porządnie odpłynąć.

Zaczął wrzucać tabletki do ust, jedną po drugiej, każdą popijając piwem. Kiedy skończył, odstawił browar na stół i obmacał swoją twarz, jakby liczył na to, że momentalnie zdrętwieje. Pod palcami wyczuł rany, jakich doznał podczas wypadku: na policzkach, czole i nosie, którego jakimś cudem nie złamał. Zaczynały obrastać strupami. Próbował sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni wyglądał normalnie. Jak człowiek, a nie pełnoetatowy strach na wróble. Bez szram i skrzepów. Bez plastrów na twarzy. Bez napuchniętej, zapijaczonej gęby. Z jakąś fryzurą, a nie plątaniną przetłuszczonych włosów albo pokancerowanym łysym łbem.

Musiało to być grubo ponad dwa lata temu. Zanim wszystko rozpadło się na kawałki.

Pomyślał o Teresie. O okolicznościach, w jakich się rozstali. Do dziś nie udało mu się dowiedzieć, dlaczego tak bardzo chciała z nim zostać. Robił wszystko, żeby ją zniechęcić. Obrażał ją. Wytykał jej błędy. Przypominał o swoich występkach. A nawet je wyolbrzymiał, żeby wzmocnić efekt. Sądził, że to wystarczy. Że pozwoli mu ewoluować w potwora, jakim chciał zostać w jej oczach.

Ale Teresa okazała się twardsza, niż przypuszczał. Skrajnie nieustępliwa. Jakby ktoś wszczepił jej pod skórę kod z autodestrukcyjnym oprogramowaniem, zmuszającym ją do tego, żeby przy nim była. Czyniącym ją bezwolną. Nawet wtedy, kiedy sama próbowała się pozbyć uciążliwego partnera. Gdy zmusiła się do tego, aby udać się do jego największego wroga – Szczebiota. Chciała rozłożyć przed nim nogi. Zmusić go, żeby ją przeleciał. Wykreować sytuację, w której jej związek zostanie definitywnie przekreślony.

I choć Szczebiotowi nie starczyło odwagi, żeby jej w tym pomóc, dopięła swego. Kompromitując się wizytą na komendzie, w gruncie rzeczy zrównała się z Kawęckim. Stała się równie bezduszna jak on. A przynajmniej tak jej się wydawało.

Potem wszystko potoczyło się szybko. Jego wyprowadzka. Rozwód. Zerwanie kontaktu. Pozbycie się wszelkich nici, które mogłyby sprawić, że ich drogi jeszcze się kiedyś przetną. Całkowita ewaporacja znajomości.

Wysłuchując się w swój organizm, Kawęcki wracał myślami do tamtych czasów. Do okresu tak zwanej normalności. Zastanawiał się, czy nie byłoby prościej, gdyby jednak nie zrezygnował z tamtego życia. Gdyby dalej tkął tę bezbarwną sieć razem z Teresą. Gdyby dalej wiedli nudne, nijakie życie, którego jedynym celem było przerzucanie kartek w kalendarzu. Gdyby zgodził się na dziecko. To, którego tak bardzo pragnęła. I gdyby ona zdecydowała się żyć z człowiekiem, który jej nie kochał. Który był niezdolny do miłości. Do okazywania uczuć. Gdyby miała dość odwagi, aby spędzić resztę życia z kimś, kto zarażał wewnętrzną pustką. Z kreaturą pożerającą okruchy szczęścia i wyrzucającą gargantuiczne bryły melancholii.

Kawęcki pokręcił głową, jakby z kimś rozmawiał. Wiedział, że taki scenariusz był niemożliwy. Ich związek nie mógł przetrwać. Gdyby został z Teresą, toby ją zniszczył. Doszczętnie. W taki sam sposób, w jaki niszczył siebie. I w jaki prawdopodobnie zniszczy jeszcze wiele innych istnień. Każde, które za bardzo się do niego zbliży.

Sięgnął po paczkę papierosów. Zerknął do środka. Ostatni szlug, w dodatku solidnie pogięty. Wetknął go do ust i odrzucił opakowanie na

biurko. Odchylił się na oparcie. Zapalił. Zamknął oczy i wolno wypuścił dym.

Uśmiechnął się, mimo że nie miał ku temu żadnego powodu.

Dobrze, pomyślał Kawęcki. Tabletki zaczynają działać.

W końcu mógł przestać myśleć. I pozwolić chemii robić swoje.

Po pierwsze: zdobyć jego uwagę.

Możejko zatrzymał się przy wolnym stoliku koktajlowym. Postawił na nim kieliszek białego wina, a następnie poprawił marynarkę na wysokości szlic. Pochylił się i oparł na łokciach. Czuł się niezręcznie, stojąc tyłem do mężczyzny, którego obserwował przez ostatnie dwie godziny. Ale wykoncypował, że tak będzie najlepiej. Że w ten sposób przyciągnie jego wzrok. A właściwie zrobią to jego pośladki, wciśnięte w obcisłe garniturowe spodnie. Od kilku kobiet słyszał, że ma jędrny tyłek. Miał nadzieję, że nie kłamały.

Rozejrzał się po foyer. Część oficjalna eventu, skoncentrowana wokół przemówień, prezentacji oraz laudacji wygłaszanych na cześć darczyńców fundacji Łódzki Kwadrat, która wymyśliła, że będzie wspierać najbardziej potrzebujących mieszkańców miasta, ciągnęła się jak flaki z olejem. Teraz miało nastąpić to, co najciekawsze. Impreza. Najpierw grzeczna, przy akompaniamencie sączącego się z głośników smooth jazzu, w blasku fleszy i z symbolicznym moczeniem ust w kieliszku, a potem dzika. Za zamkniętymi drzwiami. W klubach i rezydencjach milionerów. W prywatnych salach i ekskluzywnych hotelach. Wszędzie tam, gdzie biznesmeni, politycy czy celebryci mogą być sobą. Tam, gdzie zwykli śmiertelnicy nie mają wstępu. Gdzie salon zamienia się w chlew.

Możejko wyprostował się i zaczął podrygiwać w rytm muzyki. Przez dobre dwie minuty przestępował z nogi na nogę, czując się jak skończony debil. Miał nadzieję, że przyniesie to jakiś efekt. Że nie robi tego na marne. Jednocześnie podsłuchiwał rozmowę stojących za jego plecami ludzi. Chciał złapać wątek. Punkt zaczepienia. Coś, do czego będzie mógł się przyssać. Kiedy w końcu coś takiego usłyszał, opróżnił kieliszek, rozejrzał się po sali i poszedł do toalety.

Zamknął się w kabinie i wyciągnął z portfela sprzęt: kartę, banknot i tytkę z białym proszkiem. Musiał się doładować. Zeszmacić. Upokorzyć. Wprowadzić na ich poziom.

Wyszedł z kibla i wrócił do foyer.

Po drugie: zrobić na nim wrażenie.

– Gaspar Noé.

Kiedy Możejko to powiedział, trzy pary oczu skupiły się wyłącznie na nim, jakby rzucił hasło mające wpuścić go do zakłętego kręgu. Jedna należała do wymuskanego mężczyzny w ciemnozielonej sztruksowej marynarce przypominającej solidnie schodzony dywan. Druga do długonogiej brunetki, która wyglądała, jakby uciekła z wybiegu dla modelek albo przerwała wielotygodniową głodówkę. Trzecia należała do niego. Do faceta, który interesował Możejkę.

– Rozmawialiście o nim kilka minut temu. Tyle że nie o tym filmie Noé, o którym powinniście. – Możejko uśmiechnął się szelmowsko. – *Nieodwracalne* wyłącznie szokuje. I to głównie z uwagi na dwie sceny: miażdżenia głowy gaśnicą, a konkretnie dwudziestoma trzema uderzeniami gaśnicy, i dziesięciominutowego gwałtu analnego na Monice Bellucci. Reszta, czyli odwrócona chronologia, infradźwięki czy reżyser masturbujący się w gejowskim klubie, żeby nie zostać

posądzonym o homofobię, to tylko smaczki. Nic niewnoszące dodatki. Sztuczki marketingowe. Zresztą spekuluje się, że Noé nakręcił ten film wyłącznie po to, żeby zebrać pieniądze na *Wkraczając w pustkę*. – Cmoknął z zachwytem. – To dopiero jest arcydzieło. Dwuipółgodzinna, narkotyczna, wysmakowana wizualnie wędrówka po Tokio, opowiedziana z perspektywy duszy zawieszona w buddyjskim bardo, czyli stanie pośrednim między śmiercią a ponownymi narodzinami.

Mężczyzna w zielonej marynarce i wychudzona brunetka przyglądali się mu jak szaleńcowi, który pomylił imprezy: bal charytatywny z imprezą dla sodomitów. Ale człowiek, na którego uwadze mu zależało, wydawał się nim zaintrygowany.

– Wybaczcie – powiedział Możejko, unosząc dłoń w obronnym geście. – Podśluchałem waszą rozmowę sprzed kilku minut. Zanim wyskoczyłem z tą mikroanalizą, powinienem był was uprzedzić, że tego typu tematy żywo mnie interesują. A przede wszystkim powinienem się przedstawić. Nazywam się Jakub Możejko.

– Jest pan krytykiem filmowym? – spytała modelka.

– Pisarzem. Specjalizuję się w thrillerach psychologicznych. Stąd to skrzywienie artystyczne.

– Raczej seksualne – burknął facet wystrojony w dywan.

Możejko uśmiechnął się. Szeroko. Niczym wariat. Niczym Joker.

– Jeśli ktoś twierdzi, że nie interesuje go seksualność, to albo cierpi na aseksualizm, albo jest wierutnym kłamcą.

Przy stoliku zapadła niezręczna cisza, a uczucie dziwności potęgował łagodny dźwięk saksofonu, który rozpływał się w powietrzu. Zielony ludzik i modelka wymienili się szybkimi, wiele mówiącymi

spojrzeniami, jasno komunikującymi, że gdyby nie wrodzona lub wyuczona grzeczność, już dawno kazaliby temu szajbusowi spieprzać.

Kiedy Możejko pomyślał, że wszystko zostało zaprzepaszczone, i ze zdenerwowania zaczął przełykać ślinę, zobaczył chudą, pomarszczoną dłoń, która powędrowała nad stołem w jego kierunku.

– Zbigniew Halbert – przedstawił się mężczyzna w idealnie skrojonym granatowym garniturze. – Miło pana poznać.

Pana również, pomyślał Możejko, wytrząsając z rękawa kolejny uśmiech. Tym razem inny. Zagadkowy. Niejednoznaczny. Uwodzicielski.

Uścisnął wyciągniętą dłoń, jakby sprawiło mu to największą przyjemność.

Po trzecie: sprawić, żeby chciał mnie przelecieć.

Sierpień

– Kto by zwyciężył w bójce mądrali z wariatem?

Kawęcki nie skierował swojego pytania do nikogo konkretnego, dlatego ani Filipski, ani Stelmach nie czuli się w obowiązku, aby na nie odpowiedzieć. Ale on najwyraźniej nie zamierzał ciągnąć zainicjowanego wątku, dopóki nie usłyszy, że jego skromne audytorium jest nim zainteresowane.

– Wariat – odezwał się w końcu Filipski.

Kawęcki wolno pokiwał głową, jednocześnie miarowo stukając zapalniczką w blat. Siedział odwrócony bokiem do stołu, przesłuchujących go policjantów i kamery, z nachmurzoną twarzą skierowaną w stronę okna. Niewiele mógł w nim zobaczyć. Właściwie tylko oddalony o kilkadziesiąt metrów blok, który pokrywała nieregularna siatka świateł. Ale najwyraźniej w zupełności mu to wystarczyło.

– Oczywiście, że wygrałby wariat. Wiecie dlaczego?

Powtórka z rozrywki. Pytanie, które wisiało w powietrzu tak długo, aż zrobiło się nieprzyjemnie.

– Bo nie da się przewidzieć jego kolejnych ruchów. – Tym razem ciężar odpowiedzi wzięła na siebie Stelmach.

Kawęcki uśmiechnął się do niej, a potem ponownie sposepniał i wrócił do obserwacji okna.

– Wariata nie można rozgryźć. A już na pewno nie wtedy, kiedy myśli się w sposób linearny, płynnie przechodząc od jednej reakcji do kolejnej. Dopatrując się w jego czynach logicznego ciągu przyczynowo-skutkowego. Nie zakładając, że w mózgu wariata co jakiś czas przestawia się niewidzialna wajcha. Filozofowie, psychologowie i psychiatrzy uwielbiają się wymądrzać i może nawet wierzą w to, że znają ludzki umysł lepiej niż inni, ale tak naprawdę nie mają pojęcia, w którym momencie i dlaczego następuje w nim pęknięcie.

Kawęcki sięgnął po paczkę papierosów i zajrzał do środka. Zostały mu dwie sztuki. Wyciągnął jedną z nich. Ale zamiast zapalić, zaczął ją obracać w palcach.

– Słyszeliście o AlphaGo?

Kolejne pytanie. Kolejna symfonia milczenia.

– Kilka lat temu Demis Hassabis, prawdopodobnie najmądrzejszy człowiek na świecie, wraz z grupą podobnych do siebie nerdów stworzył program komputerowy AlphaGo. Jego zadaniem było nauczenie się gry w go. To starożytna chińska planszówka, takie bardziej skomplikowane szachy. Program nauczył się w nią grać tak dobrze, że po jakimś czasie rozgromił koreańskiego arcymistrza Lee Sedola. Ale ciekawsze jest to, co wydarzyło się później. – Kawęcki nie wytrzymał: zapalił papierosa i wrócił do stukania zapalniczką w stół. Traktował ją jak metronom, którym wybijał rytm dla swojego monologu. – Potem ci sami mózgowcy wymyślili AlphaGo Zero.

Program, który także miał nauczyć się gry w go, tyle że nie od ludzi, a grając wyłącznie z samym sobą. Od podstaw, bez żadnych zewnętrznych instrukcji. Okazało się, że AlphaGo Zero jeszcze szybciej nauczył się grać. Po zaledwie trzech dniach pokonał poprzednią wersję programu – tę, która ograła Koreańczyka. A po czterdziestu posiadał pełną wiedzę na temat gry. Czyli dokonał czegoś, co człowiekowi zajęło około trzech tysięcy lat. – Możejkę spojrział policjantom głęboko w oczy, jak gdyby chciał się upewnić, że go dobrze zrozumieli. – Okazało się, że cała wiedza kumulowana przez kilkadziesiąt wieków w chińskich, koreańskich i japońskich mózdkach, sukcesywnie przekazywana kolejnym pokoleniom, okazała się nic niewarta. Wystarczyło zebrać grupę społecznych kujonów, dać im kilkadziesiąt milionów i kazać napisać program.

Kawęcki w końcu zamilkł. Rozejrzał się po stole w poszukiwaniu czegoś do picia, ale poza brudnymi kubkami, papierkami po batonach i porozrzucanymi kartkami nic na nim nie znalazł. Musiał się zadowolić papierosem.

– Sugeruje pan, że trzeba stworzyć oprogramowanie, które wytropi zabójcę? – zapytał Filipski.

Kawęcki pochylił się do przodu i podrapał po czole, jakby chciał z niego zerwać skórę.

– Niczego nie sugeruję. Pokazuję wam niepodważalny dowód na to, że nasze zdolności poznawcze są nędzne. Że nawet tęgie umysły czasem tylko się ślizgają po powierzchni problemów. A skoro nie jesteśmy w stanie rozszyfrować rzeczy, które są w pełni logiczne, przewidywalne, trzymające się reguł, to jak mamy poradzić sobie z szaleńcem, którego umysł jest dla nas jedną wielką niewiadomą?

W sali ponownie zapadło milczenie. Tym razem było to pytanie, na które nawet Kawęcki nie znał odpowiedzi.

– Po co nam pan to mówi? – odezwała się Stelmach.

Kawęcki mocno zaciągnął się papierosem. Wypuścił dym nad głowę.

– Być może tylko po to, żeby uprzykrzyć wam życie. Żeby wydłużyć czas, jaki musicie ze mną spędzić. Albo żeby zaśmiecić wasze głowy kolejną bezwartościową historyjką. – Wzruszył ramionami. – A być może po to, żebyście lepiej zrozumieli, co zrobiłem.

Miesiąc wcześniej

Minęło wiele nudnych, frustrujących i coraz cieplejszych dni, zanim Kawęcki i Ptak dotarli do Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego im. Wojskowej Akademii Medycznej, gdzie w końcu poznali człowieka, który miał im coś interesującego do powiedzenia. Szczepan Garczyński był niewysokim mężczyzną o rzednących włosach, który swój niski wzrost próbował zatuszować za pomocą butów na solidnym obcasie. Zaliczał się do mężczyzn, którzy za wszelką cenę chcą się wyróżnić, pokazać, że urodzili się na końcu tęczy, wewnątrz garnca wypełnionego po brzegi złotem. Zamiast obciachowego kitla Garczyński miał na sobie koszulkę polo Louis Vuitton i białe spodnie z potężnym srebrnym paskiem. Żuł gumę z nieelegancko rozdziawionymi ustami, co jakiś czas ukazując dwa równe rzędy zębów, które kolorem nie różniły się od gumy. Złote pierścienie ozdabiające jego palce zapewne niezamierzenie odciągały wzrok od rolexa oplatającego nadgarstek.

Patrząc na niego, Kawęcki z trudem powstrzymywał uśmiech. Przypominał mu dzieciaka z brooklińskich slumsów, który został

gwiazdą koszykówki albo futbolu amerykańskiego, zanim nauczył się obchodzić z pieniędzmi. Tylko kolor skóry się nie zgadzał. Choć sądząc po ilości samoopalacza na jej powierzchni, Garczyński także nad tym pracował.

– Skąd pan zna Aleksandra Nowaka? – zapytał Witold.

– Pracowaliśmy w tym samym miejscu. W przychodni Climed na Rzgowskiej.

– Już pan tam nie pracuje?

– Nie.

– Dlaczego?

Garczyński wzruszył ramionami.

– Założyłem własną klinikę urologiczną. I była to prawdopodobnie najlepsza decyzja w moim życiu. – Pokazał rząd idealnie białych zębów. – Nawet panowie nie wiedzą, jak wielu mężczyzn wstydzi się problemów urologicznych. I jak dużą wartością jest dla nich to, że mogą się z nimi uporać w maleńkiej klinice tuż pod miastem. To dzięki nim po ponad dwudziestu latach praktyki w końcu zostałem milionerem.

Garczyński radośnie rozłożył ręce. Brakowało tylko, żeby mu konfetti wystrzeliło z dupy.

– Ma pan świadomość, czym się zajmował Nowak w Climedzie? – kontynuował Witold.

– Jest ginekologiem. Zakładam więc, że troszczył się o swoje pacjentki.

– Wie pan, w jaki sposób to robił?

Garczyński niechętnie kiwnął głową. Doskonale rozumiał, do czego policjanci piją.

– Na jego miejscu pewnie działałbym dokładnie tak samo. Tyle że we własnej klinice.

Lekarz po raz kolejny się uśmiechnął, a potem ostentacyjnie zerknął na zegarek. Bynajmniej nie po to, żeby sprawdzić godzinę.

– Co pan robił pomiędzy dwudziestym drugim a dwudziestym piątym lutego?

Garczyński przyjrzał się policjantom badawczo, po czym podjechał na krześle do komputera. Wpisał hasło, uruchomił pocztę i obejrzał swój kalendarz.

– Całkiem sporo rzeczy. – Lekarz przekrzywił monitor tak, żeby policjanci też mogli go zobaczyć. – Miałem wtedy dwa dyżury w szpitalu i przyjmowałem pacjentów w klinice.

– Ktoś może to potwierdzić?

– Moi koledzy, pacjenci oraz żona. Czy panowie na pewno chcą rozmawiać o doktorze Nowaku?

Witold odsunął się od biurka i spojrzał na Kawęckiego.

– Nie – powiedział komisarz. – Interesują nas ludzie, którym wyjątkowo nie odpowiada, czym pański kolega się zajmuje.

– W takim razie nie wiem, czy jestem w stanie pomóc.

– Nowak przygotował dla nas listę osób, które mogły wiedzieć, że potajemnie dokonuje aborcji. Traktujemy ją jako wykaz jego potencjalnych wrogów. Umieścił na niej pana.

Garczyński odrzucił głowę do tyłu, jakby oberwał potężnym podbródkowym.

– Wiedziałem o tym, co robi, ale nigdy go nie potępiałem. Jeśli więc ktoś wyrządził mu z tego powodu krzywdę, to nie byłem to ja. Długa jest ta lista?

– Cholernie krótka – odparł Kawęcki. – Nowak zatroszczył się o to, żeby nie narobić szumu wokół swoich zabiegów.

Garczyński roześmiał się. Zabrzmiało to jak chrumkanie podekscytowanej świni.

– Olek chyba przecenił swoją umiejętność utrzymywania niektórych rzeczy w tajemnicy.

Policjanci spojrzeli po sobie.

– Jak bardzo? – zapytał Witold.

– A ile osób z Climeđu wpisał na listę?

– Cztery – odparł Kawęcki, zanim Witold zdążył sięgnąć po notatnik.

– Cztery – powtórzył Garczyński. – To ja mogę w tym momencie wymienić więcej nazwisk. A przypuszczam, że o wielu osobach już nie pamiętam. – Wyciągnął z szuflady kartkę. Położył ją na biurku i zaczął coś na niej pisać. – To mała przychodnia, a ludzie lubią plotkować. Z nikim nie rozmawiałem o pracy Olka, ale po niektórych osobach dało się poznać, że wiedzą o jego zabiegach. Widziałem to w ich oczach. W sposobie, w jaki na niego patrzyli. Jakby był synem doktora Mengele.

– No cóż – westchnął Witold. – To katolicki kraj.

– Nie o to chodzi. Problem polega na tym, że Polacy są cholernymi nienawistnikami. Wprost uwielbiają nienawidzić ludzi. Zwłaszcza tych, którzy wykonują szanowane zawody albo zarabiają więcej od nich. To ich nakręca. Przypuszczam, że nienawidzi mnie ponad osiemdziesiąt procent moich pacjentów. – Garczyński uśmiechnął się, jakby napawało go to dumą. – A ja uważam, że mam podstawy, aby czuć się lepszym od nich. Zresztą wszyscy lekarze je mają. Kiedy inni układali cegły na budowie albo czytali o jakichś marketingowych bzdetach, my się

uczyliśmy, jak funkcjonuje ludzki organizm i w jaki sposób można go wyleczyć. Jedni tworzą tabelki w Excelu, robią bezwartościowe prezentacje i wciskają ludziom jakiś importowany szajs, a my grzebiemy im w żyłach, płucach albo mózgu.

– Pan akurat majstruje przy fujarach – zauważył Witold. – Nic dziwnego, że za panem nie przepadają.

– To naprawdę jest bez znaczenia. Liczy się tylko to, że pracą umysłową zarobiłem na dwupiętrowy dom, porsche i o piętnaście lat młodszą żonę, którą mogłem wysłać na powiększenie cycków. Że mam coś, co te wszystkie zazdrosne głąby mogą co najwyżej obejrzeć w filmach. I to tylko na Jedynce, Dwójce albo jakimś innym chujowym kanale z kablówki, ponieważ są zbyt zacofani, żeby wykupić sobie Netflixa.

Lekarz podał Kawęckiemu kartkę.

– O tym, komu w Climedzie mogło się nie podobać to, czym zajmował się Nowak, w ogóle nie powinniście rozmawiać z nim. On nikogo tam dobrze nie poznał. Nie miał żadnego interesu w tym, żeby się z kimkolwiek bratać.

– Jeśli nie z Nowakiem, to z kim? – zapytał Witold.

– Na waszym miejscu zacząłbym od Mariana Karasia.

Kawęcki spojrzał na kartkę od Garczyńskiego. Pierwsze nazwisko na liście. Jedynie wypisane drukowanymi literami.

– W każdym miejscu pracy jest człowiek, który wie o innych więcej niż pozostali. Ktoś, kto pracuje tam najdłużej. Jakiś ekstremalnie wścibski gość. W Climedzie kimś takim był Karaś. To zwykły portier, który zachowywał się tak, jakby był właścicielem kliniki. Niesamowicie upierdliwy typ.

– Byliśmy tam niedawno – oznajmił Witold. – Nie przypominam go sobie.

– Podobno w przychodni zrobiono remont, więc niewykluczone, że trochę się w niej pozmieniało. Nie wiem nawet, czy Karaś dalej tam pracuje. Kiedyś siedział w niewielkiej oszklonej kanciapie przy samych schodach. Widział z niej każdy gabinet. Kto wchodzi, kto wychodzi i w jakim jest nastroju. Poza tym facet ma imponującą pamięć. Nie lubiłem z nim gadać między innymi dlatego, że doskonale pamiętał wszystkie nasze wcześniejsze rozmowy. Zawsze miałem wrażenie, że tylko czeka, żeby mnie złapać za słówko.

– Ma pan z nim jakiś kontakt?

– A jak pan myśli? – Garczyński znów się uśmiechnął. – Czy wyglądam panu na faceta, który zadaje się z cieciami?

Nie wyglądał. Ani na gościa, który zadaje się z cieciami, ani na faceta, z którym ktokolwiek miałby ochotę się zadawać.

Kawęcki zapisał swój numer na kartce, którą dostał od Garczyńskiego, i podał ją lekarzowi.

– Gdyby pan sobie coś jeszcze przypomniał, proszę do mnie zadzwonić – powiedział.

– Nie chce pan tej kartki?

– Nie. Pod pewnymi względami jestem taki sam jak Karaś.

Dziewczyna, która pracowała w recepcji kliniki Climed, wyglądała najwyżej na dwadzieścia lat. Wgapiła się w ekran smartfona jeszcze długo po tym, jak Kawęcki i Witold zbliżyli się do jej biurka. A słuchawek z uszu nie wyjęła nawet wtedy, kiedy wyciągnęli legitymacje policyjne i zaczęli coś do niej mówić.

– Szukamy Mariana Karasia – powiedział Witold. – Przez wiele lat pracował tu jako portier.

Julia, jeśli wierzyć plakietce przypiętej do białej koszuli, niechętnie przysunęła się do komputera. W zółwym tempie otworzyła jakiś program i wpisała w wyszukiwarkę nazwisko.

– Nikt taki tutaj nie pracuje.

– Ale pracował. Może pani zerknąć do archiwum?

Dziewczyna wolno pokręciła głową.

– Chyba nie mamy czegoś takiego.

– Długo tu pani pracuje?

– Od dwóch tygodni.

Kawęcki pochylił się przed siebie i oparł wyprostowane ręce na biurku. Recepcjonistka, uderzona smrodem strawionego alkoholu, odjechała na krześle do tyłu.

– Sprowadź tu kogoś starszego, dziewczynko – powiedział komisarz.

– Najlepiej swojego szefa.

Julia nerwowo pokiwała głową. Ponownie zbliżyła się do biurka i sięgnęła po słuchawkę.

Po mniej więcej minucie na recepcję pofatygowała się kobieta ważąca kilkadziesiąt kilogramów więcej od Kawęckiego. Z jej przykrótkiej białej koszulki wyłaniały się bicepsy, z którymi spokojnie mogłaby startować w zapasach. Miała nalaną, zaczerwienioną twarz i zaciśnięte usta. Pachniała obiadem, którego resztki wymiatała językiem z zębów. Była rozsierdzona. Miała ochotę wetrzeć policjantów w podłogę – i prawdopodobnie byłaby w stanie to zrobić. Nie było tylko jasne, czy bardziej wkurwiło ją najście dwóch upierdliwych psów, czy to, że ktoś odważył się przerwać jej posiłek.

– Słyszałam, co zrobiliście – wypaliła, nie racząc się przedstawić. – Nie życzę sobie tutaj takich jak wy.

– Wyjdziemy, jak tylko porozmawiamy z Marianem Karasiem – odparł Witold.

– On już tu nie pracuje. Zresztą i tak nie pozwoliłabym wam z nim rozmawiać.

– Potrzebny nam jest jego adres i numer telefonu.

Kobieta pokręciła głową i wskazała wyjście. Stojąc z wyciągniętym palcem wskazującym, przypominała karykaturę rubensowskiej rzeźby.

– Nie możemy udostępniać takich danych. A teraz wynoście się stąd.

Kawęcki spojrzał na Witolda.

– Poczekaj w samochodzie, zajmę się tym – powiedział, a gdy Witold oddalił się na tyle, że nie mógł już go usłyszeć, zwrócił się do Julii: – A ty spierdalaj na zaplecze.

Dziewczyna ze zdziwienia rozdziawiła usta. Wetknęła słuchawki głębiej do uszu i wycofała się z recepcji, zanim pulchna baba zdążyła wyjść z osłupienia i ją zatrzymać.

– Adres i numer telefonu Karasia – powiedział Kawęcki, enigmatycznie się uśmiechając.

– Wynoś się albo wezwę ochronę.

Komisarz zrobił krok w stronę baby. Stał tak blisko, że poczuł zapach jej potu. Ona zaś musiała wyczuć od niego fetor strawionej wody, którym przesiąkło jego ciało. Stali tak przez kilka dobrych sekund, gapiąc się na siebie. Jakby sprawdzali, kto ma wytrzymalszy węch. Albo jakby startowali w konkursie na najbardziej obrzydliwego człowieka na świecie.

– Albo dasz nam adres tego dziadka, albo ja znajdę twój – odezwał się Kawęcki. – I puszcze twoje mieszkanie z dymem.

Kobieta próbowała odpowiedzieć mu uśmiechem. Pokazać, że jego słowa nie wywarły na niej żadnego wrażenia. Ale utrudniała jej to grdyka, jeżdżąca w górę i w dół w rytm nerwowo przełykanej śliny. Przegrała. Mimo swojej odstręczającej tuszy nie potrafiła być obrzydliwsza od Kawęckiego.

Kilka minut później komisarz wyszedł z budynku. Wsiadł do samochodu i zapiął pasy. Podał Witoldowi kartkę. Było na niej wszystko, czego potrzebowali.

– Nie musiałeś jej straszyć – powiedział Witold. – Mogliśmy zdobyć jego adres na kilka innych sposobów.

– Tak było najszybciej.

Kawęcki pochylił się i wyciągnął spod nóg termos. Odmierzył sobie nakrętkę kawy i wychylił ją duszkiem.

– Co jej powiedziałeś?

Komisarz odłożył srebrną tubę, opuścił szybę i zapalił papierosa. Podrapał się po czole.

– Że spalę jej dom, jeśli nam nie powie, gdzie mieszka Karaś.

– A tak naprawdę?

Kawęcki spojrzał w jego stronę. Nie odezwał się. Nie musiał.

– Jeśli to kiedyś wypłynie, wylądujemy po uszy w gównie – powiedział Witold.

Włączył silnik i z piskiem opon ruszył spod przychodni.

– To konieczne?

Witold spojrział w prawo. Kawęcki chwilę wcześniej odkręcił termos i właśnie przelewał do niego zawartość dwustumililitrowej butelki wódki. Kiedy skończył, zakręcił tubę i energicznie nią potrząsnął.

– Niekonieczne. Ale też nieuniknione. – Uśmiechnął się do Witolda. Następnie wycelował palcem w długi zielono-beżowy blok, który wyrastał zza pasa drzew oddzielających chodnik od jezdni. – Róg Tatrzańskiej i Rudnickiego. Jesteśmy na miejscu.

Witold skręcił w osiedlową uliczkę i po przejechaniu kilkudziesięciu metrów zaparkował wzdłuż chodnika. Zanim wysiadł, przyjrzał się Kawęckiemu, który łąpczywie wlewał w siebie zawartość termosu. Zastanawiał się, ile w tej jego absurdalnej tubie zostało kawy, a ile prądu. I czy powinien martwić się tymi proporcjami.

Podeszli do bloku, w którym mieszkał Marian Karaś. Wcisnęli na domofonie numer jego mieszkania. Nikt się nie odezwał. Witold wyciągnął z kieszeni kartkę, którą dostał od Kawęckiego, i wstukał na smartfonie numer telefonu Karasia. Znów to samo. Po kilkunastu sygnałach powitała go poczta głosowa.

– Porozmawiajmy z sąsiadami – zaproponował.

Trzy pierwsze osoby, na które się natknęli, nie miały pojęcia, kim jest Karaś. Dopiero czwarta, emerytka o uroczym uśmiechu, najwyraźniej zachwycona życiem albo działaniem leków, powiedziała, że to miły starszy pan. Samotnik, który rzadko mówi coś więcej niż „dzień dobry” i „do widzenia”. Czasem dziwnie się poruszający po powrocie z rynku.

Niedługo później Witold i Kawęcki sami mogli się o tym przekonać. Czekali przed klatką schodową, paląc w milczeniu papierosy i wypatrując dziwnie poruszającego się mężczyzny. W końcu się

doczekali. Karaś zataczał się od krawężnika do krawężnika, jakby się przedzierał przez wzburzone morze. Kiedy zbliżyli się do niego i wyjaśnili, kim są i dlaczego chcą z nim rozmawiać, rozradowany rozłożył ręce, wyrzucając niemal wszystko, co niósł w dwóch kolorowych torbach. Tylko dwa czteropaki taniego piwa trzymały się jak przycumowane do dna siatek.

Policjanci pozbierali rozsypane produkty spożywcze, a potem wsparli Karasia przy wchodzeniu na górę. Pomogli mu otworzyć drzwi. Wprowadzili go do dusznego mieszkania, które przypominało zapomnianą przez świat jamę, i położyli na kanapie. Zaczął chrapać chwilę po kontakcie z poduszką.

Kawęcki i Witold poszli do kuchni. Siedzieli w otoczeniu wylewających się ze zlewu talerzy, zadymionych firanek i spleśniałego żarcia. Witold próbował zainicjować rozmowę na jakiś niegroźny, neutralny temat, ale Kawęcki odpowiadał mu półsłówkami, będąc myślami zupełnie gdzie indziej. Po kilku próbach dał sobie spokój. Skupili się więc na tym, co wychodziło im najlepiej: na paleniu w kompletnej ciszy.

Po godzinie obudzili Karasia. Czekaając, aż dojdzie do siebie, jeszcze raz wyjaśnili, kim są i czego od niego oczekują. Nie mieli pewności, czy ich rozumie, mimo że miarowo kiwał niewielką siwą głową, do której przymocowane było wątłe ciało.

– Spadł mi cukier – wychrypiął w końcu Karaś i zerknął na Kawęckiego. – Podasz mi piwo, synu?

Obdarzył go uśmiechem i rozbawionym, lśniącem wzrokiem. Kawęcki rozumiał jego ból. I domyślał się, dlaczego zwrócił się z tą prośbą akurat do niego. Swój poznał swego.

– Wywalili cię z Climeđu za pijaństwo czy rozpiłeś się już po tym, jak cię wyrzucili? – zapytał Witold.

Karaś otworzył szufladę starej drewnianej komody, która stała obok kanapy. W środku znajdowały się dwa rozerwane opakowania tytoniu i kilka nieudolnie skręconych fajek. Wyciągnął coś, co przy odrobinie wyobraźni można było wziąć za papierosa, wetknął to do ust i zapalił. Ściągnął drobiny tytoniu z języka, a następnie podrapał się po zwichrowanej siwiźnie.

– Wywalili mnie za problemy z błędnikiem. Coś zaczęło mi się pieprzyć w głowie. Do tego stopnia, że zdarzało mi się przewracać zupełnie bez powodu. Moja szefowa tak była pewna, że snuję się najebany po korytarzach, że nawet się nie pofatygowała, aby mnie sprawdzić alkomatem. Po prostu nie uwierzyła, że mogę mieć problemy, które objawiają się w taki dziwaczny sposób. Zresztą trudno jej się dziwić. Gdybym był taką grubą i nieforemną babą, pewnie też nie mógłbym uwierzyć, że w ogóle można się przewrócić.

Policjanci nie mieli wątpliwości, kogo ma na myśli.

– Prawdę mówiąc, nie interesuje nas twoja przeszłość zawodowa – powiedział Witold. – Ale jesteśmy ciekawi, co z tego okresu pamiętasz.

– Wszystko. – Karaś spojrzał na rosłego policjanta, jakby ten właśnie dał mu w pysk. – Od pierwszego do ostatniego dnia.

– Podobno byłeś dość wścibski.

– Po prostu lubiłem wiedzieć, co się wokół mnie dzieje.

– I podobno wiesz, kto mógł nienawidzić Aleksandra Nowaka.

– Nowaka? Za co?

– Za aborcje.

Karaś podrapał się po głowie.

– No tak – westchnął. – Kilka osób by się znalazło. W końcu facet mordował nienarodzone dzieci. Szukacie kogoś konkretnego?

– Kogoś, kto się z tą nienawiścią nie afiszował – wyjaśnił Kawęcki.
– Faceta, który nie miał zbyt wielu przyjaciół. Ponuraka. Milczka.

– Czyli kogoś pokroju Nowaka, jego lustrzane odbicie – powiedział Karaś, po raz kolejny drapiąc się po brudnej głowie. – Chyba znam kogoś takiego.

Rozejrzał się za popielniczką. Nie znalazłszy jej, zgasił peta na ścianie komody. Wyjaśnił tym samym tajemnicę czarnych plam, które przykuwały uwagę Kawęckiego, odkąd wszedł do pokoju.

– Igor Krenc. – Karaś pokręcił głową. – Kulawy skurwiel.

– Co powiedziałaś? – zapytał Kawęcki.

– Że to kawał gnoja.

– Nazwałeś go kulawym skurwielem.

Karaś uśmiechnął się, a potem ponownie zanurkował do szuflady z tytoniem. Wyciągnął z niej połamanego skręta. Zapalił.

– Bo był kulawy. Wielki i kulawy. Przypominał Quasimodo. Krenc był asystentem jednego ze stomatologów. Ale w klinice nie dowiedzie się niczego na jego temat.

– Dlaczego?

– Bo pracował tam na czarno. Podobno znał się na dłubaniu w zębach jak wykwalifikowany lekarz. Przypuszczam, że z jakiegoś wstydliwego powodu stracił uprawnienia do wykonywania zawodu, a zatrudniający go dentysta nie chciał, żeby ta informacja wyszła na światło dzienne.

– Jak się nazywa ten stomatolog?

– Kacper Popławski.

Kawęcki popatrzył na Witolda. Ten odwzajemnił jego spojrzenie, po czym w pośpiechu zanotował słowa Karasia.

– Zostańmy przy Krencu – powiedział Kawęcki. – Czy oprócz tego, że był wielki i kulał, miał jakieś cechy charakterystyczne? Blizny na twarzy? Tatuaze? Cokolwiek.

Karaś długo się nad tym zastanawiał. W końcu wolno pokręcił głową.

– Nie sądzę. Na pewno nie miał nic, co by się rzucało w oczy. Gdyby było inaczej, zauważyłbym to.

Mężczyzna zgasił kolejnego peta na komodzie i jeszcze raz zanurkował do szuflady. Wyciągnął z niej pomietą bibułkę oraz tytoń. Próbował sobie skrócić papierosa, ale za bardzo trzęsły mu się ręce.

– Pójdę sprawdzić tego faceta – oznajmił Witold i w pośpiechu wyszedł z mieszkania.

Kawęcki pokiwał głową, po czym przeniósł wzrok na Karasia.

– Możesz powiedzieć o nim coś więcej?

– Tak jak mówiłem, to był tajemniczy gość. Wiem, że nie podobało mu się to, co robił Nowak. Czasami gapił się na niego, jakby chciał wyrwać mu kręgosłup. Wiele osób tak robiło, ale w tych czarnych oczkach Krenca było to szczególnie widoczne. – Karaś posłał policjantowi złężnione spojrzenie. – Cokolwiek zamierzacie, uważajcie na niego.

Kawęcki wyciągnął z kieszeni kawałek kartki. Zapisał na niej swój numer telefonu oraz imię. Włożył ją do szuflady z tytoniem. Chciał, żeby Karasiowi często rzucała się w oczy. Następnie wyprostował się i włożył papierosa do ust.

– Gdyby coś ci się przypomniało, zadzwoń – powiedział.

Karaś pokiwał głową, gapiąc się w podłogę.

– Nie zacząłem pić dlatego, że mnie wyrzucili z roboty – powiedział, podnosząc wzrok na Kawęckiego. – Mój pies zdechł. Śliczniutki cocker-spaniel. Nazwałem go Milošević, od tego jugosłowiańskiego dyktatora. Pomyślałem, że śmiesznie będzie tak za nim wołać. – Parsknął, drwiąc ze swojego pomysłu. – Przez siedemnaście lat był moim najlepszym przyjacielem. Jedynym stworzeniem, któremu na mnie zależało. Bardziej niż moim dwóm synom i byłej żonie.

Kawęcki przyjrzał się Karasiowi. Głośno westchnął. Wyciągnął niezapalony papierosa z ust i schował go z powrotem do paczki. Wycelował kciukiem w drzwi wejściowe.

– Tę łzawą historię powinieneś opowiedzieć mojemu koledze. Na niego działają takie rzeczy. Mnie natomiast nie obchodzi twoje życie. Ani trochę. – Pomachał paczką, w której zostało kilka szlugów, i rzucił ją na kanapę. – Ale chętnie pomogę ci je skrócić.

Sierpień

– Jak daleko może się pan posunąć, żeby schwytać zabójcę?

Witold mocno zaciągnął się papierosem. Nie spuszczał wzroku z Filipskiego, który tkwił pochylony przed siebie, z łokciami wbitymi w stół i podejrzliwym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Strzepnął popiół do kubka, a następnie przejechał dłonią po kilkudniowym zarostie, jakby chciał się upewnić, że nadal go ma.

– Chodzi panu o konkretnego zabójcę?

– Nie, pytam ogólnie. Jestem ciekaw pana etyki zawodowej.

Witold wytrzeszczył oczy, a potem głośno wypuścił powietrze. Był zbyt zmęczony na takie pytania. Zbyt zmęczony, żeby główkować. Żeby myśleć o swoim życiu i pracy. Zbyt zmęczony, żeby rozmawiać z ludźmi. Zwłaszcza z takimi, którzy mają ochotę przegryźć mu aortę.

Zgasił papierosa i położył dłonie na stole.

– To zależy – powiedział.

– Od czego?

– Od zabójcy i ofiary. Gdyby przyszło mi ścigać faceta, który zastrzelił polityka albo gościa srającego kasą, ponieważ miał ku temu niezły powód, pewnie zrobiłbym tylko tyle, ile należy do moich

obowiązków. Nie przepadam za reprezentantami klasy wyższej. Za bucami, którzy dzięki władzy i forsie żyją ponad stan i uważają się za lepszych od innych. – Skrzywił usta, gapiąc się na stół. – Znacznie bliższe są mi problemy ludzi mojego pokroju. Kowalskich. Szaraków. Kiedy ktoś taki zostaje zamordowany, mogę zrobić znacznie więcej, niż się ode mnie oczekuje.

– A zdarza się panu robić więcej, niż pozwala na to prawo?

Witold przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. W końcu spojrzął w obiektyw kamery i niezbyt przekonująco pokręcił głową.

– Zawsze staram się robić to, czego wymaga ode mnie sytuacja.

– Nie odpowiedział pan na pytanie.

– Na lepszą odpowiedź niech pan nie liczy.

Filipski poprawił okulary i zerknął do notatek.

– Wygląda na to, że Martyna Bułeczka zaliczała się do pana ulubionych ofiar. Szukając jej zabójcy, nie cofaliście się przed niczym. – Filipski uniósł jedną z kartek na wysokość twarzy. – Nękaliście ludzi w mieszkaniach i firmach. Męczyliście ich rodziny, przyjaciół, a nawet sąsiadów. Nie oszczędziliście nawet bliskich ofiar zbrodni sprzed lat, ludzi, których rany zdążyły się zabiźnić. – Odłożył kartkę. – A największą bardachę urządziliście w prywatnej przychodni. Wpieprzyliście się do gabinetu ginekologicznego, w którym przebywała półnaga pacjentka.

– To był błąd.

– Błąd?

– Źle oceniliśmy sytuację. Uznaliśmy, że Aleksander Nowak może być niebezpieczny. Że to człowiek, którego szukamy.

– Skoro uznaliście, że jest niebezpieczny, to dlaczego poszliście do niego z cywilem?

– Cywilem?

– Jakubem Możejką.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Musiało się wam coś pomylić.

Dzwonek telefonu uchronił Witolda przed świdrującym wzrokiem policjantów. Wyciągnął smartfona i przeczytał esemesa. Suchy, zwięzły komunikat. Od Edyty, ale napisany tak, jakby pochodził od nieznanego. W jedenastu nijakich wyrazach zaszyfrowała wiadomość o tym, że zabiera ich córki na weekendowy wypad do Sulejowa. Witold zacisnął zęby. Wetknął telefon z powrotem do kieszeni, jakby chciał nim wywiercić dziurę w udzie.

– Kilka dni po waszej wizycie w przychodni Kawęcki pojechał do Nowaka i przeprowadził z nim cywilizowaną rozmowę – odezwała się Stelmach. – Nie zaskoczyło to pana?

Wielkolud wzruszył ramionami.

– Widocznie zrozumiał, jaką Nowak odegrał w tym wszystkim rolę.

– Nie poinformował pana, że się do niego wybiera?

– Nie.

– Nie uważa pan, że to dziwne? – drążyła Stelmach. – Najpierw wciąga pana w jatkę w jego gabinecie, a potem nie raczy panu wspomnieć, że wybiera się do niego do domu. A wracając od Nowaka, bierze udział w podejrzanym wypadku drogowym. To wygląda tak, jakby próbował wmanewrować pana w coś nieprzyjemnego. Albo jakby przed panem coś ukrywał.

Witoldowi, wciąż rozmyślającemu o wiadomości od Edyty, zajęło dłuższą chwilę zrozumienie, co Stelmach próbuje mu przekazać. A

próbowała powiedzieć mniej więcej to, że Kawęcki jest cynicznym gnojem, który wciągnął go w swoją dziwną grę. Taką, w której obaj przegrywają. Grę dla dwóch frajerów. Albo dla samobójców.

– Zastanawiał się pan, jak daleko jestem w stanie się posunąć, żeby schwycić zabójcę – powiedział Witold, spoglądając na Filipskiego. – To nie mnie powinien pan zadać to pytanie.

Miesiąc wcześniej

Kawęcki i Ptak stali w milczeniu. Wpatrywali się w dziwne malowidło ścienne, przedstawiające jakiś demoniczny krajobraz. Wyglądało jak wspólne dzieło Zdzisława Beksińskiego i Ozzy’ego Osbourne’a. Namalowane przez tego drugiego.

– To sprawka naszej córki – wyjaśniła Maria Popławska, która bezszelestnie weszła do pokoju. – Niestety, zbyt późno zebraliśmy się na odwagę, aby jej powiedzieć, że nie ma talentu.

– Nie jest tak źle – powiedział Witold. – Moja starsza córka wierzy, że jest gwiazdą Instagrama. Codziennie wrzuca swoje półnagie zdjęcia do internetu.

– Przynajmniej mieszka z panem. Ewelina postanowiła wybrać się z ojcem do Norwegii.

– A właściwie dlaczego tam wyjechali?

Popławska, wysoka brunetka z krótkimi, postrzępionymi włosami, przeszła Witolda lodowatym spojrzeniem, dając mu jasno do zrozumienia, że nie jest to jej ulubiony temat. Potem zerknęła na Kawęckiego. Jeszcze ostrzej. Jakby chciała wyrwać mu serce. W końcu

westchnęła, odwróciła się na pięcie i zasygnalizowała policjantom, żeby za nią poszli.

– Nie chcę wiedzieć, w jaki sposób ją przekonałeś, żeby to zrobiła – szepnął Witold do Kawęckiego.

– Masz rację. Wolałbyś nie wiedzieć.

Kobieta zaprowadziła ich do podłużnego, surowego pokoju, który kiedyś prawdopodobnie służył jako gabinet lekarski. Otworzyła laptopa, a następnie uruchomiła Skype'a. Połączyła się z mężem. Pobieźnie wyjaśniła mu, kim są dwaj ponurzy faceci czający się za jej plecami.

– Chcą z tobą porozmawiać o Igorze Krencu – powiedziała.

Kacper Popławski niechętnie pokiwał głową. Nie protestował i nie wydawał się szczególnie zdziwiony, co sugerowało, że spodziewał się tej rozmowy. Strząsnął grzywkę z oczu, jakby za moment miał wystąpić w telewizji, i przybliżył się do ekranu. Miał ziemistą cerę, smutne oczy i czoło pomarszczone jak u shar peia. Nie wyglądał na człowieka, któremu w życiu dopisywało szczęście.

– Co konkretnie panów interesuje? – zapytał.

– Jakim człowiekiem jest Igor Krenc? – rozpoczął Witold.

– Specyficznym.

– Co to znaczy?

– Jest cichy i opanowany. To taki śpiący olbrzym, który bez większego entuzjazmu przetacza się przez życie. Czasem odnosiłem wrażenie, że niczym się nie przejmuje, zupełnie jakby zewnętrzny świat go nie dotyczył. A czasem wydawał się człowiekiem niezdolnym do darzenia innych sympatią. Gościem, który z góry zakłada, że każdy jest bezwartościowym dupkiem. – Popławski wzruszył ramionami. – Ale to tylko moje domysły.

– To prawda, że zatrudnił go pan na czarno?

Lekarz nie chciał potwierdzić tej informacji. Ale w końcu pokiwał głową.

– Dlaczego?

– Nie ukończył żadnych szkoleń, ale przekonał mnie, że wie o stomatologii więcej niż każdy asystent, z jakim przedtem pracowałem. I pewnie więcej od wielu dentystów, których miałem okazję poznać. – Popławski ciężko westchnął. – Igor studiował medycynę, ale z jakiegoś powodu nie ukończył studiów. Nie chciał mi powiedzieć dlaczego.

– A co pan w ogóle o nim wie? – zapytał Kawęcki.

Popławski ponownie obmacał grzywkę.

– Prawdę mówiąc, niewiele. To mruk. Rzadko się odzywał. A jeszcze rzadziej opowiadał o sobie. Wiem, że jest bystry. Nawet bardzo. I przypuszczam, że jest przejmująco samotny. Nikt go nigdy nie odwiedzał w pracy. Nie pamiętam też, żeby ktokolwiek do niego dzwonił.

– Dlaczego przestał być pańskim asystentem? – zapytał Witold.

– Przez pewien incydent.

– Incydent?

Lekarz poprawił się na krześle.

– Dokonał ekstrakcji, mimo że jako asystent nie powinien był tego robić. – Spojrzał w pytające oblicza policjantów. – Wyrwał ząb jednej z moich wieloletnich pacjentek. W dodatku zrobił to źle. Zadał jej mnóstwo bólu.

– Jak do tego doszło?

– To częściowo moja wina. Po podaniu pacjentce znieczulenia wyszedłem na chwilę z gabinetu. Zostawiłem ją sam na sam z Igorem.

Wróciłem, gdy usłyszałem jej krzyk. Usunął górną szóstkę, zanim znieczulenie zaczęło działać.

Witold zapisał coś w notatniku, a potem spojrzał na Popławską. Była blada jak ściana. Najwyraźniej nigdy nie słyszała tej historii.

– Zrobił to celowo – dodał lekarz. – Wiedział, że wyrządzi jej krzywdę.

– Ta kobieta nie złożyła skargi? – zapytał Witold.

– To córka mojego dobrego znajomego. Uprosiłem go, żeby nie robili z tego afery. Nie było łatwo, ale się udało. Gdyby coś takiego wyszło na jaw, mógłbym dostać zakaz wykonywania zawodu.

– Jak ona wygląda? – odezwał się Kawęcki. – Mam na myśli córkę pana kolegi.

Lekarz długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Blondynka. Wysoka. Ładna.

– Co to znaczy „ładna”?

Popławski spojrzał nieznacznie w bok, jakby chciał wypatrzeć na skraju ekranu żonę.

– Regularne rysy twarzy, zgrabne nogi, wydatny biust. Tylko z zębami miała problem. Cierpiała na kwasową erozję szkliwa.

– Ile miała lat, kiedy to się stało? – drążył Kawęcki.

– Dwadzieścia trzy. Dlaczego to dla was takie ważne?

Policjanci nie odpowiedzieli. Kawęcki pochylił się nad ekranem, jakby chciał się lepiej przyjrzeć Popławskiemu.

– To przez Krenca wyjechał pan do Norwegii? – zapytał.

Lekarz głośno wypuścił powietrze. Pokręcił głową. Kawęcki jeszcze bardziej zbliżył się do ekranu i uśmiechnął złośliwie.

– Co w takim razie spowodowało, że zdecydował się pan zostawić swoją piękną żonę i opuścić nasz cudowny kraj?

– Nie odpowiem na to pytanie. Ale mogę was zapewnić, że nie ma to żadnego związku z Krencem.

Kawęcki przyglądał się lekarzowi przez kilka wyjątkowo długich sekund. W końcu odsunął się od komputera, robiąc miejsce dla Witolda.

– Wie pan, gdzie mieszka Krenc?

– Na Świętego Kazimierza. Niedaleko stadionu Widzewa. Kiedyś musiałem podrzucić mu coś do domu.

– Zna pan jego dokładny adres?

Popławski nastroszył brwi. Zaczął stukać w klawiaturę i poruszać myszką.

– Świętego Kazimierza siedem przez dwanaście.

Witold zanotował adres i wstał od biurka.

– Nie mogliście sami tego sprawdzić? – zapytał Popławski. – Przecież macie jakieś bazy adresów albo coś w tym stylu.

– Sprawdziliśmy – odparł Witold.

– I co?

– Nie istnieje ktoś taki jak Igor Krenc.

Kiedyś to nie była chemia, lecz czysta natura. Zanim liście znalazły się w drobnych dłoniach kolumbijskich farmerów, którzy przerzucili je do beczek i za pomocą benzyny wyekstrahowali z nich substancję psychoaktywną. Zanim grupa południowoamerykańskich speców wymieszała ją z sodą lub amoniakiem, a następnie podgrzała, osuszyła, zamieniła w drobniutkie kryształy. I zanim jacyś domorośli polscy dilerzy zmiksowali ją z lidokainą, glukozą, kofeiną, efedryną,

paracetamolem, mefedronem czy benzokainą, sprawiając, że ten sproszkowany syf miał z kokainą niewiele wspólnego.

Możejko błyskawicznie pozbył się dwóch białych kresek. Zdjął kartkę ze spłuczki i wrzucił ją do kibla. Spuścił wodę. Włożył do portfela kartę oraz pomięty banknot. Zanim woda spłynęła do końca, pociągnął parokrotnie nosem i wyszedł z toalety.

Spojrzał w lustro. Nieuzbrojone oko mogłoby przeoczyć jego zmęczenie. Zdenerwowanie tuszowane fałszywą pewnością siebie. Emocjonalną rozsypkę ukrytą za wyszczerzonymi w uśmiechu zębami. Oblał wodą twarz. Następnie wytarł ją papierowym ręcznikiem. Osuszył dłonie i poprawił kołnierz koszuli.

Był gotowy. A nawet jeśli nie, to i tak nie miał wyboru.

Wrócił do stolika. Zbigniew Halbert siedział swobodnie na krześle. Pisał esemesa. Kiedy zobaczył Możejkę, odłożył telefon na stół i rozlał wino do kieliszków. Nachylając się nad stołem, uśmiechnął się tak, jakby poruszanie twarzą sprawiało mu ból. Jakby mięśnie jego kwadratowej gęby zapomniały, że wolno im drgnąć.

– Biznes czy polityka? – spytał Możejko, celując palcem w telefon Halberta.

– A na czym polega różnica?

Możejko musiał się zastanowić nad odpowiedzią.

– Zawsze uważałem, że w biznesie chodzi o gromadzenie bogactwa. O uzyskanie świadomości, że za zgromadzone pieniądze można sobie kupić absolutnie wszystko, od pałaców po ludzi. Natomiast w polityce liczy się władza. Rząd dusz. Zabawa z udziałem żywych marionetek.

Halbert wolno pokręcił głową.

– W obu przypadkach chodzi o to samo. O władzę. Pieniądze są jedynie narzędziem, które ułatwia jej zdobycie. Podobnie jak znajomości, prestiżowe stanowiska, tytuły czy sława.

– Rozmawiałem kiedyś z politykiem, który próbował mnie przekonać, że chce się dostać do rządu, żeby zmienić kraj na lepsze. A potem spotkałem przedsiębiorcę utrzymującego, że w tym samym celu buduje firmę.

– Uwierzył im pan?

– Trudno się wierzy w prospołeczne intencje ludzi, którzy ciągną za sobą sznur asystentów i traktują ich jak niewolników.

Halbert roześmiał się. Pustym, udawanym śmiechem. Służącym jako pretekst do tego, aby odsunąć się od stołu i rozejrzeć po restauracji. Czy raczej po słabo oświetlonej spelunie z dziwnym industrialnym wystrojem, przez który przypominała bardziej kotłownię niż knajpę. On i Możejko pasowali tam jak kwiatek do kozucha. Byli w niej jedynymi ludźmi w marynarkach. I prawdopodobnie jedynymi, którzy mogli sobie pozwolić na wciąganie koksu. Jeśli Halbertowi zależało na tym, żeby się zanadto nie rzucać w oczy, to zdecydowanie mu to nie wyszło.

– Nie spotkaliśmy się przez przypadek, prawda? – zapytał, ponownie koncentrując się na Możejce.

– To chyba zależy od tego, czy wierzy pan w przypadki.

Biznesmen zaczął kręcić kieliszkiem jak podczas degustacji.

– Podjął pan trud, żeby mnie poznać. Żeby się dowiedzieć, że nie mam asystenta ani asystentki. Że sam pilnuję swojego kalendarza i odbieram telefony, co według niektórych znajomych jest skrajnym przykładem mikrozarządzania. I że daleko mi do stereotypowego przedsiębiorcy lub polityka. W przeciwnym wypadku nie

poprowadziłby pan ostatniej wymiany zdań w taki sposób, żeby mi się przypodobać.

– To daleko idący wniosek.

– Czyżby? – Biznesmen odstawił kieliszek i pochylił się przed siebie. – Na tym balu charytatywnym, który wszyscy tak naprawdę mieli w dupie, pojawił się pan wyłącznie po to, by mnie poznać. Robił pan wszystko, żeby zwrócić moją uwagę. Żeby do pana zagaił. Albo chociaż wysłał jakiś sygnał. Ale gdy to się nie stało, postanowił pan samemu zainicjować kontakt. W bardzo sprytny, przemyślany sposób. I – przyznaję – całkiem intrygujący.

Telefon Halberta się rozdzwonił. Biznesmen zerknął na wyświetlacz, a potem wyciszył dzwonek. Przesunął smartfona w swoją stronę, na skraj stołu. Ktokolwiek dzwonił, Halbert nie chciał, żeby Możejko poznał tożsamość tego człowieka.

– Nie wiem tylko, dlaczego tak bardzo zależało panu na tym, żeby mnie poznać. Ja też odrobiłem pracę domową i dowiedziałem się o panu kilku rzeczy.

– Na przykład?

– Ma pan opinię kobieciarza.

– Poważnie?

– Z pewnością wie pan to lepiej ode mnie.

– I o czym to według pana świadczy?

– Z reguły o dwóch rzeczach. – Halbert potężnym haustem opróżnił swój kieliszek. – Albo jest pan jebaką, albo oszustem.

Możejko posłał mu tajemniczy uśmiech.

– Co pan obstawia?

Halbert długo przeszywał go wzrokiem.

– Ja nie obstawiam. Od trzydziestu lat gram wyłącznie w otwarte karty. Jeśli nie wiem, co leży na stole, po prostu wycofuję się z rozgrywki.

Możejko przez kilka sekund obmacywał zdrętwiałym językiem zęby, zanim się zorientował, że to robi. Napił się wina, żeby zająć czymś ręce i usta. Westchnął. Próbował uciec przed miażdżącym wzrokiem Halberta, ale nie potrafił. Posągowa gęba biznesmena przyciągała go niczym magnes. Jak zbyt obcisły biustonosz, z którego wylewają się cycki.

– Interesuje się pan seksualnością? – zapytał Możejko.

– Przypuszczam, że nie w takim stopniu jak pan.

– Słyszał pan o skali seksualnej Kinseya albo o tabeli Kleina?

Halbert bez przekonania kiwnął głową.

– Ponad pół wieku temu Alfred Kinsey doszedł do wniosku, że świat nie dzieli się wyłącznie na hetero- i homoseksualistów. Pomędzy nimi istnieją jeszcze stany pośrednie. Bardzo rozbudowany środek. Zajmowany na przykład przez incydentalnie homoseksualnych heteroseksualistów. Kinsey prawdopodobnie jako pierwszy badacz odważył się stwierdzić, że seksualność nie jest zero-jedynkową grą popędów, lecz złożonym mechanizmem psychofizycznym. – Możejko zrobił pauzę, żeby przełknąć narkotyk spływający mu do gardła. – Następca Kinseya, psychiatra i seksuolog Fritz Klein, poszedł jeszcze dalej. Zbudował wielostopniową tabelę zachowań seksualnych, która uwzględnia takie czynniki jak fantazje seksualne, preferencje uczuciowe czy samoidentyfikację. I w ten sposób namieszał Amerykanom w głowach, dowodząc, że świata nie tworzą wyłącznie heterocy, homoseksualiści i biseksualiści, lecz cała zgraja trudnych do

sklasyfikowania dziwaków. Właściwie oznajmił wszystkim samcom alfa, że nigdy nie mogą mieć stuprocentowej pewności, że ich najlepszy kumpel nie wsadzi im kutasa w dupę.

Halbert uśmiechnął się. O ile pozwalał mu na to botoks.

– Chyba wiem, do czego pan zmierza.

– Nie sądzę. – Teraz to Możejko zgromił Halberta wzrokiem. – Kiedy po raz pierwszy zmierzyłem się z tabelą Kleina, wyszło mi, że jestem niemal stuprocentowym heteroseksualistą. Utwierdziłem się wtedy w przekonaniu, że ta jedna dziwna noc, z której niewiele pamiętam, musiała być przypadkiem. Ale gdy wypełniłem tabelę ponownie, mniej więcej pięć lat później, okazało się, że albo diametralnie się zmieniłem, albo za pierwszym razem zadziałał u mnie silny mechanizm wyparcia. – Wzruszył ramionami. – Co by nie było takie zaskakujące. W końcu całe życie spędziłem w kraju, gdzie większość ludzi traktuje pedałów jak zwyrodnialców. A ci, którym się wydaje, że są tolerancyjni, uważają ich za chorych ludzi, wewnętrznie skłóconych z ewolucją. Nie chcą do nich strzelać, ale gdyby tylko mogli, toby ich nafaszerowali lekami. Dragami zbijającymi pedalstwo jak zbyt wysoką temperaturę.

Halbert podświadomie zaczął zgniatać serwetkę, którą rozłożył na kolanach.

– Mówił pan, że na tej skali trzeba ocenić swoją samoidentyfikację – powiedział. – Jak by się pan określił dzisiaj?

Możejko długo zastanawiał się nad odpowiedzią, masując językiem zęby.

– Myślę, że nie powstała jeszcze skala, która by precyzyjnie określała moją seksualność. I nie sądzę, żeby to się szybko zmieniło.

Możejko widział, że nieruchoma do tej pory, nieufna twarz Halberta zaczęła się zmieniać. Nabierała elastyczności, jakby ktoś ją odczarowywał. Wyginała się pod wpływem syntetycznych dźwięków, które nacierały z narożnych głośników. Gapiąc się na mięśnie pulsujące na zaróżowionych policzkach biznesmena, Możejko wiedział, że osiągnął swój cel. Że poznał prawdziwego Zbigniewa Halberta.

– Pan też nie jest stuprocentowym pedałem – powiedział.

– Nie? – Halbert udał zdziwionego.

– Jako gość, któremu nie da się przykleić żadnej etykiety, mogę to stwierdzić z całą stanowczością. Poza tym... – zawahał się – skoro ludzie i tak mają pana za popaprańca, to dlaczego miałby się pan ograniczać wyłącznie do mężczyzn?

Halbert ponownie się roześmiał. Tym razem serdecznie. Wylewnie. Szczerze. Kiedy się opanował, sięgnął po butelkę. Nie spuszczając Możejki z oczu, napełnił kieliszki winem.

– Za popaprańców – powiedział, wznosząc toast.

Możejko się zawahał, zanim podniósł kieliszek.

– Za popaprańców.

Kawęcki i Ptak zaparkowali tuż pod stadionem Widzewa. Ruszyli wzdłuż wyłożonej kostką ulicy, która doprowadziła ich do jasnozielonego bloku. Był zaskakująco zadbane jak na budynek sąsiadujący ze stadionem, usytuowany w miejscu, przez które regularnie przetacza się kilkutyśniczna szarańcza pijanych troglodytów. Zatrzymali się przed ostatnią klatką schodową i spojrzeli w górę. Witold wyciągnął telefon i przeczytał wiadomość.

– Artur napisał, że mieszkanie należy do niejakiej Henryki Świst.

– Henryka – powtórzył Kawęcki. – Dobre imię dla starej baby. To zresztą wymarzone miejsce dla emerytów.

– A niby dlaczego?

– Są głusi, więc hałasy ze stadionu im nie przeszkadzają. Ale mogą narzekać do woli na pijaną i niekulturalną młodzież. Życie nie umierać.

Witold jeszcze raz zerknął na esemesa i schował telefon. Kiedy podniósł głowę, zobaczył wyciągniętą rękę Kawęckiego, który wskazywał czerwony łaciński napis na sąsiednim bloku, zwieńczony dwoma niezbyt zgrabnie namalowanymi sercami. *Amore vincit omnia*.

– Co to znaczy? – spytał Witold.

– Miłość zwycięża wszystko. Tyle że ktoś napisał to z błędem. Powinno być *amor*.

Witold przez dłuższą chwilę gapił się na Kawęckiego. Wciąż nie mógł uwierzyć, że jego mózg jest w stanie magazynować takie informacje, jednocześnie pozbywając się tych – wydawałoby się – elementarnych. Na przykład skutecznie wymazał cały kanon zachowań, które pomagają w budowaniu relacji międzyludzkich.

– Sprawdźmy, kim jest pani Henryka – powiedział.

Gdy jeden z mieszkańców bloku otworzył masywne drzwi, policjanci weszli do środka. Wdrapali się na trzecie piętro najciszej, jak potrafili. Wyciągnęli broń. Czekali, próbując wychwycić jakieś dźwięki z wnętrza mieszkania, ale drzwi okazały się szczelne. W końcu postanowili w nie załomotać.

Gdy usłyszeli trzask zamka, chwycili za pistolety.

Mężczyzna, którego twarz pojawiła się w wąsko uchylonych drzwiach, przypominał wychudzoną wydrę. Miał brązową brodę, która wyglądała tak, jakby była brudna, czerwony nos, podkrążone oczy i

potarganą kępkę włosów na czubku głowy. Wyglądał na przestraszonego. Zwłaszcza kiedy Witold wyciągnął w jego kierunku legitymację policyjną.

– Szukamy Igora Krenca. Kiedyś tutaj mieszkał. Zna go pan?

Facet pokręcił głową.

– A kim pan jest?

Mężczyzna nie odpowiedział. Zamiast tego nerwowo zerknął w głąb mieszkania.

– Możemy wejść? – zapytał Kawęcki.

– O co chodzi?

Dopiero gdy się odezwał, policjanci zrozumieli, że nie jest Polakiem, tylko kimś, kto przyjechał ze Wschodu: Rosjaninem, Ukraińcem albo Białorusinem. A kiedy usłyszeli dobiegający z wnętrza mieszkania płacz dziecka oraz szept uciszającej go kobiety, pojęli, że nie jest w nim sam.

– Otwieraj – warknął Witold, pokazując mężczyźnie pistolet.

Facet głośno przełknął ślinę i ściągnął łańcuch z drzwi.

Kawęcki i Ptak nie mieli pojęcia, czego powinni się spodziewać po mieszkaniu, w którym kiedyś przebywał mężczyzna podający się za Igora Krenca. Ale z całą pewnością nie spodziewali się tego. W dwupokojowym, liczącym najwyżej trzydzieści pięć metrów kwadratowych lokum znajdowało się kilkanaście osób. Dwaj mężczyźni, cztery kobiety i trudna do zliczenia gromada dzieci. W powietrzu unosił się fetor niemytych ciał, papierosów i strachu.

– Jezu Chryste – westchnął Witold.

Policjanci zajrzeli do dwóch pokoi, ciasnej łazienki połączonej z toaletą oraz kuchni. Każde z pomieszczeń pełniło funkcję sypialni. Na

podłogach wały się koce, poduszki, poszarpane pluszaki i ubrania. Obity boazerią przedpokój wypełniały głównie prześmierdłe, rzucone byle gdzie ubrania.

– Jesteście uchodźcami? – zapytał Witold, zwracając się do mężczyzny, który otworzył im drzwi.

Facet pokiwał głową.

– Ukraińcy?

– Ukraińcy i kilku Białorusinów – odparł łamaną polszczyzną.

Witold schował broń do kabury. Potem wymienił spojrzenia z Kawęckim. Byli jednakowo zdezorientowani.

– Musimy to zgłosić – powiedział Witold. – Ktoś musi ich stąd zabrać.

– Nie!

Ukrainiec złapał Witolda za ramię. Gdy zobaczył jego spojrzenie, natychmiast cofnął rękę.

Policjanci weszli na chwilę do łazienki. Szukali miejsca, w którym mogliby usiąść i spokojnie przeanalizować sytuację.

– I co teraz? – zapytał Witold, patrząc na kołdrę leżącą w wannie. Łazienka również pełniła funkcję sypialni.

– Musimy ich przesłuchać – powiedział Kawęcki.

– Większość z nich to dzieci. A dorośli wyglądają tak, jakby od tygodni nie widzieli słońca.

– Siedzą w tym mieszkaniu, choć nikt ich nie uwięził. W każdej chwili mogliby stąd wyjść. Coś tu nie gra. – Kawęcki nerwowo podrapał się po czole. – Ktoś musiał kazać im tutaj siedzieć. Ktoś bardzo przekonujący.

Kawęcki wyszedł z łazienki. Podszedł do Ukraińca, który najwyraźniej był przywódcą grupy.

– Jak tu trafiliście? – zapytał.

– Z transportu.

– Przywiózł was szmugler z Ukrainy?

Mężczyzna pokręcił głową.

– A kto?

– Nie wiem.

Ukraińiec wiedział więcej, niż mówił, ale ewidentnie czegoś się bał.

– Jak wyglądał ten człowiek?

Mężczyzna milczał, niepewnie zerkając w stronę pobratymców.

– Posłuchaj – powiedział Kawęcki. – Albo mi o nim opowiesz, albo ty i twoja rodzinka wylądujecie w miejscu, z którego próbowaliście uciec. Gwarantuję ci to.

Ukraińiec opuścił głowę i pociągnął nosem. Był bliski płaczu. Przed rozryczeniem powstrzymywał go tylko przerażony wzrok dzieci, zadziwiająco świadomych swojego położenia.

– Był duży. Miał czarne włosy. I brodę. Długą brodę.

– Kulał?

Podniósł głowę, zaskoczony tym pytaniem. Kawęcki sądził, że obcokrajowiec go nie zrozumiał, ale ten po chwili przytaknął.

– Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

– Widziałem go tylko raz. Pierwszego dnia, zaraz po przyjeździe.

– Kiedy to było?

– Ponad rok temu. W czerwcu.

– Kazał wam tutaj siedzieć?

Mężczyzna pokiwał głową.

– W ogóle stąd nie wychodzicie?

– W ogóle.

– To kto wam przynosi jedzenie?

Ukrainiec wzruszył ramionami.

– Widziałem w kuchni torbę z Biedronki, więc nie ściemniaj.

– Kobieta. Babcia.

– Babcia?

– Przychodzi raz w tygodniu. Powinna pojawić się wczoraj, ale jej nie było.

Kawęcki przyjrzał się pochlipującemu cicho mężczyźnie. Chciał go poklepać po ramieniu, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Ale wiedział, że nie będzie. I że facet nigdy mu nie uwierzy. Pewnie już dawno przestał wierzyć w historie z happy endem.

Podszedł więc do Witolda, który stał przed wejściem do jednego z dwóch pokoi. Był blady jak ściana. Wystraszony. Podobnie jak dzieci, które patrzyły na niego jak na oprawcę.

– Musimy zadzwonić na pogotowie – powiedział Witold.

Kawęcki podążył wzrokiem za jego wyciągniętym palcem. W narożniku pomieszczenia leżało dziecko. Dziewczynka, najwyżej dwunastoletnia. Brudna, spocona i wymizerowana. Obok niej wały się opakowania po lekach, szklane buteleczki i bandaże, w większości przesiąknięte krwią. A najbardziej zakrwawiony był ten, który oplatał jej kikut.

Są dwa typy rozmówców, z którymi dziennikarze mają do czynienia.

Pierwszy stanowią ludzie, którzy chcą się przed nimi popisać. Błysnąć intelektem, zasłyszonym lub wymyślonym bon motem,

punktem widzenia, który wydaje im się wyjątkowy – i z reguły tylko im. Żądni rozgłosu egotycy łaknący publicznej uwagi, którą zwykle próbują rekompensować sobie jakieś kompleksy.

Drugi typ tworzą ludzie, którzy traktują dziennikarzy jak wrogów. Uważają ich za niekompetentnych, wrednych kutasów, otwierających gęby wyłącznie po to, żeby im dogryźć albo skłamać. I często mają rację. Ale zdarza się też, że takim podejściem zatruwają życie reporterom, którzy nie mają złych intencji. Pragnącym jedynie czym prędzej odbębnić swoją robotę. Obrobić kawałek pańszczyźnianego pola, nie narażając się na gniew feudała.

Dla Alicji było jasne, że prokurator Adam Warga zalicza się do drugiego typu rozmówców. Zaskoczył ją tym, że zgodził się z nią spotkać. Nie przypuszczała, że odbierze od niej telefon. A zaproszenie do jego gabinetu w siedzibie Prokuratury Okręgowej w Łodzi nawet jej się nie śniło. I prawdę mówiąc, Alicję korciło, żeby je odrzucić. Żeby dać sobie z tym wszystkim spokój, zamiast brnąć głębiej i głębiej. Żeby rzucić to wszystko w cholerę i znaleźć sobie jakieś inne zajęcie. Prostsze. Mniej stresujące. Bezpieczniejsze. Niewymagające napierdalania się maczugami po głowach.

Zaraz po wejściu do niemal sterylnego biura prokuratora uwagę Alicji przykuły przymocowane do ściany gigantyczne puzzle, przedstawiające anonimową wiejską scenerię. Ściany pokoju zajmowały masywne regały wypełnione tysiącami rozmaitych akt. W powietrzu unosił się przyjemny zapach odświeżacza powietrza. Tylko Warga tu nie pasował. Otyły facet ze zmęczoną twarzą i przerzedzonymi włosami. Z serdelkowatymi łapskami spoczywającymi na potężnym ciemnobrązowym biurku. Ubrany w pomiętą białą koszulę

opinającą nieforemne cielsko. Przypominał podrzędnego restauratora, który zarządza odstręczającą speluną na jakimś wygwizdowie. Albo domorosłego handlarza sprzedającego na bazarze podrabiane koszulki. Albo steranego życiem gangstera. W każdym razie nie przypominał prawnika, który zadziwiająco szybko wspinał się po zawodowej drabinie.

– Gdzie pani teraz pracuje? – zapytał.

– Jestem freelancerką – odparła Alicja. – Współpracuję między innymi z „Głosem Miasta”.

– Już nie z „Expressem”?

– Nie.

– Dlaczego?

– To długa historia. Nie chcę pana zanudzić.

Uśmiechnęła się sztucznie, na co prokurator odpowiedział jej nieznacznym uniesieniem kącików ust. Wymuszona uprzejmość. Tego się właśnie spodziewała. Oschłości ubranej w landrynkowy kombinezon.

– O Martynie Bułeckiej już pani pisała, więc zakładam, że teraz chodzi o Magdę Giętką. A może się mylę?

– W zasadzie chciałabym porozmawiać o obu sprawach.

Warga wskazał krzesło, które stało po drugiej stronie biurka. Alicja usiadła i powiesiła torebkę na oparciu. Wyciągnęła z niej notatnik oraz dyktafon, którym pomachała do Wargi. Kiedy skinął jej głową, uruchomiła nagrywanie i położyła sprzęt na biurku.

– Do tych zabójstw doszło na przestrzeni kilkudziesięciu dni. Giętka poszukiwała mordercy Bułeckiej. Trudno uwierzyć, że te sprawy nie są ze sobą powiązane.

- A jednak.
- Zaskakująco szybko doszliście do takiego wniosku.
- To zarzut?
- Raczej zaskoczenie.

Warga zapatrzył się w blat biurka, po którym nerwowo szurały jego tłuste łapska.

– Z całym szacunkiem dla pani i pani kolegów, ale wiadomości, które do tej pory pojawiły się w mediach, to tylko wierzchołek góry lodowej. O obu sprawach wiemy znacznie więcej, ale nie wszystkimi informacjami wolno nam się dzielić. Mogę natomiast powiedzieć, że zebraliśmy dowody, które jednoznacznie wskazują, że za zabójstwa Bułeckiej i Giętkiej odpowiedzialni są różni sprawcy. Niestety, ostatnio w Łodzi obrodziło w psychopatów.

Warga zmusił się do uśmiechu. Ale z radością jego wykrzywiona gęba miała niewiele wspólnego.

– A dlaczego od sprawy Giętkiej zostali odsunięci jej koledzy z Wydziału Kryminalnego? Przecież to doświadczeni policjanci, którym powinno szczególnie mocno zależeć na znalezieniu zabójcy.

– To była strategiczna decyzja, poprzedzona kilkoma rozmowami z komendantem Januszem Dębem i naczelnikiem Mariuszem Szczebiotem. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że najlepsze dla sprawy będzie powołanie nowego zespołu, który skoncentruje się wyłącznie na sprawie Magdy. Który nie będzie się rozpraszać. I który nie będzie musiał porzucić zaawansowanych prac nad innym śledztwem. Proszę się nie martwić, tworzą go ludzie nieustępujący kompetencjami funkcjonariuszom z kryminalnego. W dodatku mają moje pełne wsparcie.

Warga, nieustannie wpatrując się w blat, mówił tak, jakby recytował wcześniej przygotowane odpowiedzi. Zresztą Alicja celowo zadawała pytania, na które mógł być przygotowany. Nie chciała go zaskakiwać. Przynajmniej na początku.

– Dlaczego więc nie widać efektów waszej pracy?

– To, że się nimi nie chwalimy i nie biegamy z każdym odkryciem do mediów, nie oznacza, że ich nie ma. Zapewniam panią, że schwytanie sprawców tego zabójstwa jest jedynie kwestią czasu.

– W przypadku oskórowanej studentki z Krakowa trwało to prawie dwadzieścia lat.

Warga rozłożył ręce.

– Nie chciałbym, żeby te słowa pojawiły się w tekście, ale pewnie domyśla się pani, że gdy ginie policjantka, poszukiwania sprawcy przebiegają inaczej. Śledczy mogą liczyć na wsparcie zewsząd. Każdy człowiek, który ślubował strzec bezpieczeństwa państwa i jego obywateli, jest skory do pomocy. Gwarantuję pani, że przedstawiciele organów ścigania dają z siebie wszystko, żeby rozwiązać tę sprawę.

Alicja zapisała coś w notatniku, a następnie przerzuciła stronę. Spojrzała na spisany w punktach plan rozmowy, który podpowiedział jej Paweł Nosowski. Dzień po ich spotkaniu na stadionie zmienił zdanie. Z jakiegoś dziwnego adresu mailowego wysłał jej instrukcję, jak ma postępować. Jak powinna rozmawiać z ludźmi, wobec których wytacza tak ciężkie działa. A przebić się przez ich pancerz mogła na dwa sposoby. Albo uderzyć od razu, nie bawiąc się w subtelności i nie owijając w bawełnę. Albo spróbować ich zmiękczyć. Dać im się rozkręcić. Doprowadzić do tego, że będą z siebie zadowoleni.

Maksymalnie osłabić ich czujność, a potem zaatakować w momencie, kiedy będą przekonani, że ryzyko już minęło.

Drugi wariant od początku wydawał się Alicji bardziej pociągający.

– Jak w takiej sytuacji postąpiłby Andrzej Pszoniak? – zapytała.

Dłonie Wargi w końcu przestały biegać po biurku. Prokurator spojrział Alicji głęboko w oczy.

– Co ma pani na myśli?

– Był pana mentorem i wieloletnim przełożonym. Domyślam się, że sporo się pan od niego nauczył. Jestem ciekawa, co Pszoniak zrobiłby z takim problemem.

Warga osunął się na oparcie krzesła. Mebel jęknął pod jego ciężarem.

– O czym właściwie ma być ten artykuł?

– O tym, o czym mówiłam panu przez telefon. O policji i prokuraturze.

– A jaki związek ze sprawą Giętkiej ma świętej pamięci prokurator Pszoniak?

– Przypuszczam, że żaden. Ale nigdy nie mówiłam, że zamierzam skoncentrować się na tej sprawie. Ona jest tylko punktem zaczepienia.

– Do czego?

– Do historii o nietypowych upodobaniach pańskiego przyjaciela.

Alicja podniosła notatnik i zaczęła go ostentacyjnie wertować, pokazując Wardze kolejne zapisane od góry do dołu kartki.

– Mam tu kilkadziesiąt stron zeznań na temat orgii organizowanych przez Andrzeja Pszoniaka – wyjaśniła. – To słowa prawników, lekarzy i biznesmenów, którzy brali w nich udział. A także ludzi, którzy

uczestniczyli w nich wbrew swojej woli. Chciałby się pan do tego jakoś odnieść?

Warga milczał, posyłając Alicji zimne spojrzenie.

– Wiedział pan o tych orgiach. Dlaczego nic z tym nie zrobił?

Wciąż to samo. Wciąż milczenie.

– Dlaczego pozwolił pan na to, żeby Pszoniak organizował orgie z udziałem nieletnich?

Warga ciężko sapnął, jakby właśnie nastąpiło u niego zatrzymanie akcji serca.

– Mam tu jeszcze jedno zeznanie. Niejakiej Mai Zielińskiej. – Alicja zrobiła pauzę, uważnie przyglądając się prokuratorowi. – Z pewnością pan ją pamięta. Swego czasu oskarżyła pana o gwałt. Ale pan z pomocą swoich kolegów skutecznie uwalił sprawę. Nawet nie trafiła do sądu. A prawnik, który próbował dobrać się panu do skóry, zniknął. Zapadł się pod ziemię. Podobnie jak Monika Dziewulska.

Warga spojrział w stronę okna, przez które przedzierały się promienie słoneczne. Alicja podążyła za jego wzrokiem. Kiedy to zrobiła, prokurator zgarnął dyktafon. Próbowwała wyrwać go z jego łapsk, ale grubas okazał się zadziwiająco szybki.

– Sporo pani o mnie wie – powiedział, łapiąc oddech po akcji, która najwyraźniej kosztowała go wiele wysiłku. – Odrobiła pani pracę domową. Szanuję kobiety, które poważnie traktują swoją pracę.

– Proszę mi oddać dyktafon.

Przyglądając się urzędzeniu, Warga pokręcił głową.

– Moje słowa na nic się pani zdadzą. Nie będzie żadnego artykułu. Żadnej publikacji na mój temat. Gwarantuję to pani.

– Pan mi grozi.

Warga się uśmiechnął. Jego zarumieniona od wysiłku twarz zrobiła się jeszcze okrąglejsza. Jak sfatygowana czerwona piłka, do której przylepiono oczy, nos i usta.

– Pani jeszcze nie wie, czym jest groźba.

Prokurator otworzył szufladę. Schował do środka dyktafon i wyciągnął kołnotatnik. Następnie wydobył z kieszeni koszuli pióro i coś w nim napisał. Pieczołowicie wyrwał kartkę. Położył ją pomiędzy dwiema nietkniętymi filiżankami kawy.

– Co to jest?

– Odpowiedź na pani pytanie. Była pani ciekawa, jak Andrzej Pszoniak postąpiłby na moim miejscu. Właśnie tak. Wziąłby sprawy w swoje ręce. Nie pozostawiłby niczego przypadkowi. A tym bardziej nie pozwoliłby, żeby za sznurki pociągał ktoś nieodpowiedzialny. Ktoś taki jak pani.

Alicja sięgnęła po kartkę. Przeczytała jej treść. I po chwili zastanowienia przerażona odrzuciła ją na stół.

Trzy adresy. Sierakowskiego, Traktorowa i Rojna.

– Jak pani widzi, ja również odrobiłem pracę domową – powiedział prokurator, drąc kartkę w swoich tłustych łapskach.

Wtedy Alicja zrozumiała, dlaczego Warga zgodził się z nią spotkać. Chciał, żeby zagrała w jego grę. Bo tylko w ten sposób mógł zdobyć nad nią pełną kontrolę. Uderzając ją tam, gdzie najbardziej może zboleć.

Kiedy o tym myślała, otworzyły się drzwi do gabinetu. Stała w nich niczego nieświadoma sekretarka w nudnym szarym kostiumie i ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Powiedziała, że na Wargę czeka kolejny gość. Tym samym spotkanie dobiegło końca.

Szczebiot gotował się ze złości, słuchając relacji Witolda. Czuł się ośmieszony. Ogłupiony. Potraktowany niepoważnie. Jak durny, niekompetentny szef, któremu podwładni o niczym nie mówią, bojąc się, że wszystko spieprzy.

W jednej z sal konferencyjnych Komendy Wojewódzkiej Policji Witold opowiadał kilkunastu policjantom o przerażającym odkryciu w mieszkaniu na Widzewie. O tym, co tam robili i kogo szukali. Wyjaśniał, jak do tego doszli i dlaczego wejście do tego domu wydawało im się tak cholernie ważne. Kiedy skończył, spojrzął na Szczebiota. Chciał mu oddać głos, ale ten powstrzymał go gestem ręki.

Jeszcze tego brakowało, żebym się publicznie skompromitował, pomyślał.

– Ktoś wie, jak się tam znaleźli? – zapytał komendant Janusz Dębiec. Przysłuchiwał się zebraniu, stojąc przy wejściu do sali i ściskając w rękach kilka dokumentów, które otrzymał od Witolda.

– Wygląda to na typową historię ukraińskich uchodźców – wyjaśnił Ptak. – Grupy przestępcze, zwykle handlujące ludźmi albo dragami, a najczęściej jednym i drugim, masowo transportują ich do Polski. Ładują Ukraińców do ciężarówek, przekupują celników i przewożą przez granicę. Facetów zmuszają do pracy w swoich ekipach albo wypieprzają na bruk. Kobiety zwykle lądują w burdelach: polskich, niemieckich lub austriackich. Największy problem jest z dziećmi. – Popatrzył na Kawęckiego, który niemal leżał na krześle i popijał kawę z termosu. Wyluzowany i spokojny, jakby przez większość dnia oglądał telewizję. – Trzymają je tak długo, aż znajdą amatorów kilkuletnich chłopców i dziewczynek.

– Ale tych Ukraińców chyba nic takiego nie spotkało – zauważył komendant.

– Niejaki Mykoła Tymoszczuk... przynajmniej takie nazwisko podaje... nieformalny szef tej grupy, uważa, że prawdopodobnie czekał ich podobny los. Tyle że ktoś postanowił go zmienić. Tymoszczuk twierdzi, że ich transport został przechwycony. Przez jakiegoś wysokiego, masywnego mężczyznę z brodą, który prawdopodobnie zabił kierowcę ciężarówki i przewiózł Ukraińców na Widzew. W nocy po kolei wyciągał ich z pojazdu i prowadził do mieszkania.

– Dlaczego to zrobił?

Witold wzruszył ramionami. Kawęcki, wywołany do odpowiedzi pytającym wzrokiem komendanta, również.

– Ten Ukrainiec, Mykoła, będzie w stanie stworzyć jego portret pamięciowy? – zapytał Dębiec.

– Wątpię. Mówi, że widział go tylko raz. W dodatku było wtedy ciemno.

– Czyli ledwo zna człowieka, a mimo to boi się wyjść z mieszkania, do którego tamten go zaprowadził. – Komendant spuścił głowę, przyglądając się zdjęciom z raportu. – Co się stało tej dziewczynce? W jaki sposób straciła rękę?

– Nie wiemy – odezwał się Kawęcki, do tej pory siedzący w milczeniu. – Ukrainiec nie chciał o tym rozmawiać. Jego ziomkowie też nie. Według lekarzy w jej ramię prawdopodobnie wdała się jakaś paskudna infekcja, która wywołała martwicę. W każdym razie ręka została odcięta czymś w rodzaju tasaka albo siekiery. Próbujemy ustalić, czy tym samym narzędziem zamordowano Bułęcką.

– A więc jesteście przekonani, że ta sprawa ma związek z jej zabójstwem?

– Nie jest...

– Bez wątpienia. – Kawęcki wszedł Witoldowi w słowo. – Gdyby nie miała, nigdy byśmy nie trafili do tego mieszkania.

Dębiec przyjrzał się Kawęckiemu. Próbował wyczytać z jego gęby, czy mówi to szczerze, czy jedynie po to, żeby przekonać go do swojej dziwacznej teorii. Potem rzucił ostre spojrzenie Witoldowi i potrząsnął dokumentami.

– Nic, co znajduje się w tych papierach, na to nie wskazuje. Musicie mnie przekonać, że te zbrodnie jakoś się ze sobą wiążą. A do tego czasu śledztwem w sprawie uchodźców zajmie się zespół z Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego. Wy zaś będziecie dalej szukać zabójcy Bułeckiej. Oby z lepszym skutkiem niż do tej pory.

Komendant wyszedł z pomieszczenia. W sali zapanowała niezręczna cisza, której nikt nie miał odwagi przerwać. W końcu odezwał się Witold:

– Słyszeliście komendanta. Bierzmy się do roboty.

Witold wyszedł z sali konferencyjnej jako ostatni. Zgasił światło i zamknął za sobą drzwi. W połowie drogi do swojego gabinetu wyciągnął z kieszeni telefon. Dostał wiadomość. Od Edyty. Zatrzymał się na środku korytarza, żeby jej odpisać. Żeby się skupić. Żeby nie rozpraszać skołatanych myśli dudnieniem butów o podłogę. A także dlatego, że multizadaniowość nigdy nie była jego mocną stroną.

Przysiadł na ustawionym pod ścianą plastikowym krześle, które prawie rozleciało się pod jego ciężarem. Odpisał na esemesa. Potem

schował telefon do kieszeni, pochylił się do przodu i zapatrzył w podłogę. W przesuwane się cienie policjantów, którzy przechodzili pod przymocowanymi do sufitu jarzeniówkami.

Upłynęło dobre kilka sekund, zanim się zorientował, że jeden z nich się zatrzymał. Na wprost niego.

– Niezły syf z tymi Ukraińcami – powiedział Bartosz Adamski. – Jesteś pewien, że człowiek, który ich tam sprowadził, ma związek z zabójstwem Bułeckiej?

– Na osiemdziesiąt procent.

Adamski wysunął teatralnie dolną szczękę i pokiwał głową. Jak kiepski aktor w kiepskim filmie o kiepskich policjantach.

– Całkiem sporo. To oznacza, że jeśli się mylisz, możesz skompromitować siebie oraz swój zespół.

– Nie przypominam sobie, żebym cię widział na zebraniu. Czy jest coś, co chciałbyś mi powiedzieć?

Adamski uśmiechnął się szeroko, a następnie włożył gumę do ust. Młócił ją zębami, wlepiając w Witolda błękitne oczy. Zachowywał się tak, jakby samym wyglądem próbował pobić rekord świata w byciu dupkiem.

– Będę twoim nowym szefem – oznajmił. – Szczebiot wkrótce zostanie przeniesiony do innego wydziału, prawdopodobnie na jakieś zadupie. Może to nastąpić już za tydzień, może dopiero za miesiąc. Nie wiem. Ale pewne jest, że zajmę jego miejsce.

Witold wolno pokiwał głową. Nie był tym zaskoczony. Już kiedy Adamski i jego świta przejęli śledztwo w sprawie zabójstwa Magdy, przypuszczał, że to może się tak skończyć. Liczył tylko na to, że do

tego czasu znajdą faceta, który zamordował Bułęcką. Przeliczył się. I to grubo.

– Szczebiot o tym wie?

Adamski wzruszył ramionami.

– Poinformowałem go kilka tygodni temu. Ale chyba nie zarejestrował, że klamka już zapadła.

Adamski roześmiał się. Witolda bardzo korciło, żeby złapać go z dwóch stron za głowę i zamknąć mu gębę. Raz na zawsze.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Przygotowuję się do nowej roli. Robię research. Zbieram dane na temat nowych podwładnych. Zastanawiam się, kogo powinienem wypieprzyć od razu, a kto może mi się do czegoś przydać.

Witold ciężko westchnął. Szukał jakiejś ostrej riposty, ale do głowy cisnęły mu się jedynie wulgaryzmy. Spróbował więc demonstracyjnie zlekceważyć Adamskiego i wyciągnął telefon. Ale wtedy przypomniał sobie o Edycie i jego mózg ponownie zaczął strzelać kurwami na oślep.

– Doszły mnie słuchy, że prowadzisz z Kawęckim nieoficjalne śledztwo. W sprawie prokuratora Wargi.

– Już nie.

– Dlaczego?

– Bo nic na niego nie znaleźliśmy. Poza tym nie mam na to czasu. – Witold podniósł głowę. – Jako mój nowy szef powinieneś to docenić. Zamiast uganiać się za duchem, którego nie da się złapać, koncentruję się na śledztwie przykuwającym uwagę mediów.

– Co do tej pory ustaliliście?

– Między innymi to, że nie jest to sprawa, którą można omówić na korytarzu. – Witold wstał i spojrzał na Adamskiego z góry. Był od

niego o pół głowy wyższy. – I że opowiem o tym innemu funkcjonariuszowi tylko wtedy, kiedy będę miał na to ochotę albo gdy zostanę do tego zmuszony. Poczekam więc na twój awans.

Długo przyglądał się świńskiemu blondynowi, któremu uśmiech nie chciał się zsunąć z twarzy. W końcu coś przyszło mu do głowy.

– Nie interesujesz się Wargą dlatego, że będziesz moim szefem. Co o nim wiesz?

– Reguła wzajemności – powiedział Adamski. – Może któregoś dnia umówimy się na kawę i o tym pogadamy. A może nie.

Poklepał Witolda po ramieniu. Cofając rękę, widział, jak rosły policjant podąża za nią wzrokiem. Odsunął się, żeby nie stracić swoich śnieżnobiałych zębów, a następnie ruszył w kierunku, z którego przyszedł.

– Co wiesz o Wardze?! – zawołał za nim Witold.

Blondyn zatrzymał się, a potem zawrócił. Stał kilka metrów przed Witoldem, w bezpiecznej odległości. A gdy się upewnił, że na korytarzu nie ma nikogo, kto mógłby ich usłyszeć, zapytał:

– Z iloma prokuratorami pracowałeś do tej pory?

– Nie mam pojęcia. Pewnie z kilkunastoma.

– A czy któryś z nich okazywał tak ostentacyjny brak zainteresowania sprawą, zwłaszcza takiego kalibru?

Witold nieznacznie rozchylił usta. Pytanie Adamskiego było dziwne, ale odpowiedź na nie wydawała się prosta.

– No właśnie. Ja też się z czymś takim nie spotkałem. Może powinienem być zachwycony tym, że prokurator nie wpierdala się w moje śledztwo, ale z jakiegoś powodu nie jestem. Coś mi na to nie pozwala. Jakaś wredna myśl, która przylepiła mi się do mózgu.

Witold ze zrozumieniem pokiwał głową. Czuł to samo. Już od wielu tygodni.

– Podobno najciemniej jest pod latarnią – powiedział.

– A gdzie jest najjaśniej?

Witold spuścił głowę i wymacał kieszenie. Poczuł pod palcami paczkę papierosów oraz zapalniczkę. Przynajmniej tu wszystko było na swoim miejscu.

– Nigdzie nie jest dość jasno.

Sierpień

– Żałuje pan?

Szczebiot nerwowo wyginał palce, jakby testował ich elastyczność. Patrzył na Filipskiego, który zbierał rozrzucone po stole notatki i pieczołowicie, żeby ich nie pognieść, wkładał je do teczki. Potem przeniósł wzrok na Stelmach. Wprawdzie to nie ona zadała mu pytanie, ale wydawała się bardziej zainteresowana odpowiedzią niż jej partner. W dodatku rozumiała go bez słów. Wyłączyła kamerę, zanim zdążył ją o to poprosić.

– Tego, że zostałem zwolniony? Czy tego, że w ogóle zdecydowałem się zostać naczelnikiem Wydziału Kryminalnego?

Filipski przyjrzał się swojej teczce, jakby właśnie zamienił ją w dzieło sztuki. Następnie zerknął na telefon. Dochodziła dwudziesta. Czas iść do domu, a nie słuchać marudzenia jakiegoś zdegradowanego frajera.

– Ludzie nie lubią zmian – odezwała się Stelmach. – Tak już jesteśmy skonstruowani. Ale z perspektywy czasu niektóre rzeczy ocenia się inaczej. Przeważnie lepiej.

Szczebiot wykrzywił usta, jakby nie dawał wiary jej słowom.

– Na pewno nie żałuję swoich ambicji. Ani tego, że spróbowałem.

– To czego pan żałuje?

Szczebiot długo szukał odpowiedzi, błędząc wzrokiem po pomieszczeniu. Zanim się odezwał, głośno wypuścił powietrze.

– Utraty zdrowia, reputacji i perspektyw. A przede wszystkim czasu, jaki mogłem poświęcić rodzinie. – Wolno pokręcił głową. – Kiedyś sporo czytałem o budowaniu kariery. O dążeniu do celu. O tym, że należy być niezłomnym. Że będąc młodym, warto wypruwać sobie żyły, żeby później wieść spokojne i dostatnie życie. Że ten trud procentuje. – Prychnął, ponownie kręcąc łbem. – Obejrzałem dziesiątki filmików z trenerami rozwoju osobistego, którzy przekonywali, że każdy może osiągnąć to, czego pragnie. Wystarczy bardzo tego chcieć. Ale to nieprawda. To tak nie działa.

– A jak?

– Gdy bierzesz udział w tym szaleńczym wyścigu, odpowiedzialność zżera cię od środka. Niemal codziennie masz wrażenie, że świat, który tak misternie budowałeś, lada moment się zawali. Musisz decydować o losie innych, mimo że ledwo dajesz sobie radę z samym sobą. Mówisz ludziom, co mają robić, choć nie masz pojęcia, jak sam powinienes postąpić. Stajesz się skończonym hipokrytą. Udającym, że zależy ci na innych, podczas gdy walczysz wyłącznie o to, żeby przetrwać.

– Nie brzmi to zbyt optymistycznie – włączył się Filipki.

Szczebiot wzruszył ramionami.

– Wiem, jak to wygląda – kontynuował. – Jakbym był modelowym przykładem kumoterstwa. Niekompetentnym facetem wepchniętym na stanowisko naczelnika. Protegowanym jakiejś policyjnej szychy, przerzuconym w inne miejsce, gdy tylko się okazało, że jest

skończonym oferumą. Ludzie mogą tak myśleć. Może im się wydawać, że jestem jakimś pieprzonym Misiewiczem. Rozumiem ich. – Szczebiot zamyślił się, wbijając wzrok w jakiś punkt na stole. – To, że doszedłem do tego wszystkiego sam, decydując się na lata wyrzeczeń, poświęcając swoje życie rodzinne i pasję, nie ma żadnego znaczenia. Wszyscy i tak będą uważać mnie za głąba, którego ktoś zawlókł za uszy na górę.

Pociągnął ostatni łyk wystygłej kawy. Wykrzywił usta. Choć trudno powiedzieć, czy zrobił to ze względu na jej smak.

– Zależy panu na opinii kolegów – zauważyła Stelmach. – To dlatego postanowił pan rozliczyć się z Kawęckim? Żeby inni uznali, że to on jest wszystkiemu winien?

Szczebiot długo patrzył na policjantkę, jakby oczekiwał, że skoryguje swoje słowa. Albo odszczeka je i powie, że to wszystko na dzisiaj. Że może już iść do domu. Że może stąd spieprzać. Ale ona milczała jak grób.

– Z Kawęckim mam wiele niewyrównanych rachunków – powiedział w końcu. – Ale to nie przez niego wyleciałem z wydziału.

– A przez kogo?

Szczebiot nerwowo poruszył się na krześle, kiedy poczuł delikatne wibracje telefonu. Wyciągnął go z kieszeni. Uśmiechnął się, zobaczywszy wiadomość na Messengerze. Od żony. Pytała, kiedy będzie w domu, bo nie wie, na którą ma szykować kolację. Tylko ona jedna go rozumiała. Szczerze mu współczuła. I tylko ona nie uważała go za nieudacznika.

Odpisał jej krótko, dołączając do wiadomości uśmiezek.

– Żona uważa, że w nowej jednostce poczuję się lepiej. Według niej praca analityczna powinna mi służyć. Pozwoli mi zreperować nerwy.

Zosia twierdzi, że dzięki temu odzyskam spokój. A ona męża.

– Nie odpowiedział pan na pytanie – nie ustępowała Stelmach.

Szczebiot ponownie wyciągnął telefon i spojrzał na wyświetlacz. Kąciki jego ust nieznacznie powędrowały do góry. Trzy buziaczki. Najbardziej pokrzepiająca wiadomość, jaką mógł otrzymać.

– Bo nie znam na nie odpowiedzi – odparł, nie odrywając wzroku od ekranu. – Jest kilku kandydatów. Ale prawdę mówiąc, już mnie to nie interesuje. Jak to mówią: niewiedza jest błogosławieństwem.

Filipski spojrzał na Stelmach, która przewiercała Szczebiota wzrokiem. Westchnął. Otworzył teczkę, którą kilka minut wcześniej tak misternie spakował, i wyciągnął z niej pojedynczą kartkę. Położył ją przed sobą.

– Wobec tego porozmawiajmy o tych kandydatach – powiedział. – Od kogo chce pan zacząć?

Szczebiot spojrzał na niego, jakby miał ochotę napluć mu w twarz. Po raz kolejny sięgnął po telefon. Wysłał żonie kolejną wiadomość.

Tym razem nie liczył na buziaczki.

Trzy tygodnie wcześniej

Znalazłoby się kilka rzeczy, których Szczebiot nie żałował. Jedną z nich był jego gabinet. Bezosobowe biuro nie przypominało miejsca, w którym ktoś spędził ponad rok, często do późnego wieczoru analizując raporty, dłubiąc w aktach spraw albo uzupełniając arkusze Excela. Był najbardziej standardowym gabinetem, jaki można sobie wyobrazić. Jak gdyby ktoś wyciął go z katalogu Ikei, a potem odjął wszystko to, co nadawało mu jakikolwiek charakter.

Przez kilka minut Szczebiot siedział przyspawany do oparcia krzesła, strzelając wzrokiem w różne punkty pomieszczenia. Myślał o tym, co usłyszał od komendanta Janusza Dębca. Że zwolnienie go z funkcji naczelnika jest prostą konsekwencją braku wyników oraz presji ze strony mediów, a nie jego menedżerskich błędów. Że czasem nie da się czegoś takiego uniknąć. I dlatego nie powinien odbierać jego decyzji personalnie ani się nią zadręczać. *Shit happens*, stwierdził komendant. *You have to move on*.

Myślał też o sobie. O tym, że obrzydliwie się okłamuje, próbując wierzyć, że nic złego się nie stało. Przekonując samego siebie, że jakoś to przełknie. Że z każdym dniem będzie mu coraz mniej brakowało burdelu, nad którym przez ponad rok bezskutecznie próbował zapanować. Że obudzi się któregoś dnia, spojrzy w lustro i nie poczuje goryczy w ustach.

Wreszcie myślał też o mężczyźnie agregującym całą jego złość. O świńskim blondynie, który całymi tygodniami się przed nim puszył, zanim oficjalnie zajął jego miejsce. Szczebiot wielokrotnie mordował go w myślach na różne makabryczne sposoby, często dziwiąc się drastyczności pomysłów, jakie podrzucała mu wyobraźnia.

I kiedy miał ochotę zrobić to ponownie, blondyn zmaterializował się przed jego oczami.

– Nie usłyszałem pukania – powiedział Szczebiot.

– Dlaczego miałbym pukać do własnego gabinetu?

Bartosz Adamski zaczął się wolnym krokiem przechadzać po pomieszczeniu. Dotykał regałów z dokumentami i patrzył na swoje palce, sprawdzając, czy nie został na nich kurz. Szczebiot przez cały czas podążał za nim wzrokiem. Musiał przyznać, że w dopasowanej

sportowej marynarce, dżinsach i brązowych półbutach Adamski wygląda dobrze. Jak zwycięzca. Jak facet, który go wydymał.

– Czysto tu – zauważył blondyn. – Jak to w gabinetach ludzi z nerwicą natręctw.

Uśmiechnął się złośliwie. Uśmiechem mężczyzny, który dobrze czuje się w roli czarnego charakteru, jakby ludzkość napisała ją specjalnie dla niego. Uśmiechem Lance’a Armstronga twierdzącego, że nigdy nie brał dopingu.

– Przyszedłeś popastwić się nade mną?

Adamski usiadł naprzeciwko Szczebiota i założył nogę na nogę.

– Tradycja głosi, że ustępujący władca powinien dać swojemu następcy radę – powiedział. – To nie muszą być oratorskie popisy. Wystarczy rzucić jakimś komunałem. Albo powiedzieć, żeby wszystkiego nie spierdolił. Ale coś mi podpowiada, że od ciebie nie dostanę żadnej, nawet najbardziej wyświechtanej wskazówki. I dobrze. Bo jak pewnie się domyślasz, cokolwiek byś mi powiedział, uznałbym to za kompletnie bezwartościowe. Jak radę kapitana, który właśnie spuścił statek na dno. Dlatego proponuję darować sobie ten etap i przejść do kolejnego.

– Czyli?

– Do etapu sprzątnięcia po poprzedniku.

Adamski odchylił się na krześle i wyciągnął z kieszeni złożoną na czworo kartkę.

– Co to jest?

– Lista przewinień, za które Kawęcki powinien wylecieć z pracy. A to i tak pewnie dopiero wierzchołek góry lodowej. Efekt mniej więcej

godzinnej lektury raportów. – Blondyn wyprostował się na krześle. – Chcę wiedzieć, dlaczego go nie wyrzuciłeś.

Szczebiot zaśmiał się nerwowo. Wsunął dłonie pod biurko, żeby Adamski nie widział, jak maltretuje swoje palce.

– Dlaczego myślisz, że zechcę z tobą o tym rozmawiać?

– Ponieważ ta lista może pogrzyść nie tylko Kawęckiego.

Szczebiot milczał, intensywnie wpatrując się w swojego wroga. Nie musiał sprawdzać jego zapisków. Adamski miał rację: cokolwiek znajdowało się na tej kartce, był to tylko wierzchołek góry lodowej. Ledwie rysa na szybie, która rozbiła się na tysiące kawałków.

– Na początku sądziłem, że jesteście pedałami – odezwał się Adamski. – Że przez te wszystkie lata waliliście się po kątach, dla niepoznaki udając wobec siebie wrogość. To było moje pierwsze podejrzenie. Ale potem usłyszałem, że posuwałeś jego żonę.

Blondyn uśmiechnął się szeroko, a następnie splótł dłonie na wysuniętym kolanie. Czekał na jakąkolwiek reakcję Szczebiota. Ale ten tylko sięgnął po długopis i zaczął go obracać między palcami. Wyglądał tak, jakby przeniósł się do własnego, wyimaginowanego świata, na który Adamski właśnie spuszczał bomby.

– Coś jednak nie dawało mi spokoju, więc zacząłem drążyć temat – kontynuował blondyn. – I wtedy dowiedziałem się, że jednak nie posuwałeś jego kobiety. Podobno wymiękłeś, kiedy przyszła, żeby się z tobą ruchać. Nie dałeś rady puknąć całkiem atrakcyjnej babki, pragnącej zemścić się na facecie, którego nie znosisz. – Adamski pokręcił głową, a następnie zaśmiał się pod nosem. – Wówczas znowu uznałem, że musisz być pedałem, a Kawęcki jest jedyną osobą w wydziale, która o tym wie.

Blondyn ponownie wyszczerzył kły w irytującym uśmiechu. Zapatrzył się w długopis tańczący w palcach Szczebiota.

– Ale w końcu to rozgryzłem. Zrozumiałem, dlaczego pozwalałeś Kawęckiemu robić to, co mu się żywnie podoba. Pogardzać sobą, tobą i mundurem. Pojąłem, że nie jesteś na tyle głupi, żeby trzymać go tutaj z własnej woli. Że musi mieć na ciebie haka. I to nie było jakiego.

Szczebiot przestał potrząsać długopisem. Odłożył go na blat. A potem jeszcze parokrotnie dotknął, żeby tworzył kąt prosty z krawędzią biurka.

– Nie oczekuję, że powiesz mi, co Kawęcki na ciebie ma. Sam to odkryję. Ale kiedy już to zrobię, nie będę tego trzymał w tajemnicy.

Adamski wstał i zapiął guzik marynarki. Patrzył na Szczebiota z góry, czekając na jego reakcję. Na atak paniki. Na cokolwiek, co świadczyłoby o tym, że zrozumiał przekaz. W końcu Szczebiot pochylił się nad biurkiem i przesunął kartkę w jego stronę. Następnie wycelował w nią palcem.

– Nikt nie zrobi mi gnoju za to, że nie zwolniłem policjanta, który od lat wykręca najlepsze wyniki w wydziale. – Szczebiot przyjrzał się adwersarzowi. – Nie wiedziałeś o tym? W takim razie nie jesteś tak dobry, jak ci się wydaje.

Teraz to Adamski milczał. Zamiast się odezwać, włożył gumę do ust.

– Nie zwolniłem Kawęckiego, ponieważ jest świetnym policjantem. Wyłącznie dlatego. Nawet jeśli jakiemuś gryzipiórkowi z zewnątrz, który wspina się na szczyt na plecach swojego tatusia, może się wydawać coś innego. – Szczebiot doskonale wiedział, że ojciec Adamskiego w żaden sposób nie pomógł synowi w karierze. Ale miał to w dupie. Chodziło mu wyłącznie o to, żeby dowalić. Najmocniej, jak

potrafił. – Mimo to uważam, że jedną z największych zalet mojego przeniesienia jest to, że nie będę miał z Kawęckim więcej do czynienia. Że od teraz stanie się twoim problemem. – Wzniósł toast pustym kubkiem po kawie. – A teraz wynoś się stąd. To jeszcze nie jest twój gabinet.

Adamski gapił się na niego, miażdżąc zębami gumę. Uniósł dłoń, jakby chciał coś pokazać, ale po chwili ją opuścił. Zgarnął z biurka kartkę i ruszył do wyjścia. Zatrzymał się jednak w progu. Odwrócił się i wycelował palcem w jeden z regałów.

– Te dokumenty wylądują w archiwum. Wraz z nimi wyjadą stąd regały. Dodatkową przestrzeń przerobię na coś w rodzaju chillout roomu: wstawię tu dwa wygodne fotele albo zamontuję hamak. Na ścianie zawieszę wszystkie wyróżnienia, jakie otrzymałem w trakcie służby. Medale, baretki, nagrody. Nie będę anonimowym cymbałem, któremu wszyscy grają na nosie.

Wykonał kilka powolnych kroków w kierunku Szczebiota. Postukał palcem w biurko.

– A tu najebię tyle kłopotów, ile ten blat będzie w stanie udźwignąć. Pomyślałem, że chciałbyś to wiedzieć. Tak jak i to, że doskonale znam wyniki wszystkich twoich ludzi. – Adamski szyderczo się uśmiechnął. – Nie dam się zrobić w chuja. Jak już mówiłem, nie jestem taki jak ty.

Szczebiot pochylił się w jego stronę. Wyciągnął przed siebie środkowy palec, jakby chciał włożyć go Adamskiemu do nosa. Blondyn odtrącił jego rękę i wyszedł z biura. Pewnym krokiem. Krokiem zwycięzcy.

– Jesteś pewien, że powinniśmy tu być?

Witold przyglądał się Kawęckiemu, który podciągał się na parapecie, nieporadnie próbując zaczepić nogami o ścianę. Chciał zajrzeć przez okno do parterowego mieszkania w bloku na ulicy Deotymy. Spodziewał się zastać Henrykę Świst.

– Nie – wysapał Kawęcki, opierając się łokciami o parapet. – Nie jestem.

Zanim grupą Ukraińców zajął się Wydział Dochodzeniowo-Śledczy, Witold i Kawęcki zdołali z nimi porozmawiać. Mykoła Tymoszczuk twierdził, że staruszka, która ich odwiedzała, parokrotnie wspominała o tym, skąd do nich przyjeżdża. Dostali od niego nazwę ulicy i opis kobiety. Natomiast z kilku rozmów z mieszkańcami bloków na Deotymy wydedukowali, że musi chodzić o to mieszkanie: w środkowej klatce, z oknami częściowo przysłoniętymi przez rosnące w ogródku drzewa. Wprawdzie w okolicy roiło się od emerytów, ale na szczęście nie wszystkie starsze kobiety – mieszkające na parterze, bez rodziny, bez zwierząt, lekko pokrecone – farbowały włosy na czerwono.

Komisarz zsunął się na ziemię. Popatrzył na swoje dłonie, szukając na nich zaczątków pęcherzy po niezbyt efektownej wspinaczce, a potem przeniósł wzrok na mniej więcej osiemdziesięcioletniego mężczyznę, który z maleńkim kundelkiem zatrzymał się na chodniku. Starzec gapił się na niego tak, jakby nie był pewien, czy to, co przed chwilą zobaczył, wydarzyło się naprawdę. Kawęcki uśmiechnął się do niego i pozdrowił go machnięciem ręki. Zdezorientowany dziadek rozpogodził się i odpowiedział mu tym samym. A potem ruszył za psem, który wyciągnął go na spacer.

– I co? – zapytał Witold.

– Nie widziałem jej. Ani kogokolwiek innego. Mieszkanie wygląda na puste.

– Może się pomyliliśmy.

– Wiemy, że mieszkanie należy do jej siostry, niejakiej Stanisławy Wybór. Sprawdziliśmy to. Nie mam pojęcia, dlaczego ta wariatka o czerwonych włosach tutaj mieszka, ale wszystko wskazuje na to, że tak właśnie jest.

– Co proponujesz?

Kawęcki spojrzał na Witolda, jakby usłyszał najgłupsze pytanie na świecie. Potem podniósł głowę. Popatrzył na kolorowy czteropiętrowy blok z zielonymi obiciami na balkonach i obowiązkowymi firankami w oknach.

– Myślisz, że na Dąbrowie żyją wyłącznie emeryci?

– Martwi mnie, że o to pytasz.

– Znałem kiedyś starą kobietę, która mieszkała na tym osiedlu. Panicznie się bała, że któregoś dnia przewróci się w łazience, złamie nogę i umrze w agonii. Nie miała dzieci, które mogłyby ją niechcący uratować. Za to kumpłowała się z kilkoma wścibskimi sąsiadkami. Każdej z nich wręczyła klucze od mieszkania.

– Nie bała się, że ją okradną?

– A co takie baby mogłyby jej zajebać? Obraz Matki Boskiej? – Kawęcki prychnął. – Bardziej martwiło ją to, że może umrzeć z głodu. Albo z bólu.

Witold przez chwilę zastanawiał się nad pomysłem Kawęckiego. W końcu głośno westchnął, a potem zaklął pod nosem. Wygrzebał z kieszeni legitymację policyjną i weszli do klatki.

Nie musieli długo szukać. Okazało się, że za najlepszą przyjaciółkę Henryki Świst uważa się mieszkająca naprzeciwko niej staruszka, która przedstawiła się jako Irena Budzisz. Była to filigranowa zadbana kobieta. Miała starannie ułożone siwe włosy oraz okulary z gigantycznymi szklami, które na jej maleńkiej twarzy wyglądały absurdalnie. Przypominała w nich wyrośniętą muchę. Budzisz bez zająknięcia przekazała policjantom klucze od mieszkania koleżanki, twierdząc, że sama zamierzała ją odwiedzić, ponieważ dawno się nie widziały. Zanim zdążyli jej wyjaśnić, że to nie jest najlepszy pomysł, żeby im towarzyszyła, kobieta włożyła wyjściowe pantofle i z urzekającym uśmiechem przyklejonym do twarzy poczłapała do drzwi.

– Jest pani pewna, że nikt nie wchodził do jej mieszkania? – zapytał Kawęcki, naciągając lateksowe rękawiczki.

– A kto mógłby do niej przyjść? – zachnęła się staruszka. – Henryki nikt nie odwiedza. Tak naprawdę widuje się tylko ze mną, Jadzią Szczepłęk i Marysią Lorek. Dzieci o niej zapomniały. Nawet na święta jej nie zabierają.

– A siostra? Przecież to jej mieszkanie.

– Niby tak, ale Stanisława już tu nie mieszka. Od kilku lat jest przykuta do łóżka w jakimś ośrodku. Nawet nie wiem, czy jeszcze żyje. Poza tym...

Kawęcki przystawił staruszce palec do ust, skutecznie ją uciszając. Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. On i Witold wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Następnie obaj dyskretnie wyciągnęli broń, tak żeby staruszka tego nie widziała. Nie chcieli przyprawić jej o zawał.

Komisarz włożył klucz do zamka. Po chwili policjanci weszli do mieszkania Henryki Świst.

Zaduch, który w nich uderzył, jednoznacznie świadczył o tym, że wydarzyło się w nim coś niedobrego. Podczas gdy Witold stał przy drzwiach wejściowych, pilnując zarówno Ireny Budzisz, jak i wejścia na klatkę schodową, Kawęcki kierował się w głąb przedpokoju obitego przytłaczającą ciemnobrązową boazerią. Zaglądał do kolejnych pomieszczeń, za każdym razem celując pistoletem w pustą przestrzeń. W końcu dotarł do ostatniego pokoju. Tego, z którego smród rozchodził się na cały lokal. Ostrożnie otworzył drzwi i zajrzał do środka. Potem odwrócił się do Witolda.

– Wyprowadź stąd babę! – zawołał.

– Jest źle?

Kawęcki pokiwał głową.

Słyszając, jak Witold kłóci się ze staruszką, przyglądał się Henryce Świst. Jej nagie, pomarszczone ciało spoczywało w głębokim, zdezelowanym fotelu. Było solidnie opuchnięte i zzieleniałe. Miejscami pokrywała je brudnoczerwona maź przypominająca zanieczyszczoną krew. W maleńkim, nagrzanym od słońca pomieszczeniu słodkawego fetoru zwłok było nie do zniesienia.

Kawęcki zasłonił dłonią nos i usta. Nie musiał być patologiem, aby stwierdzić, że procesy gnilne trwają już od dłuższego czasu. Liczył się z tym, że mogą się natknąć na ciało. Ale nie spodziewał się zastać go w tak zaawansowanym rozkładzie.

– O kurwa – fuknął Witold, gdy stanął za plecami Kawęckiego.

– Wygląda na to, że spóźniliśmy się co najmniej o kilka dni.

Kiedy Witold z niedowierzaniem wpatrywał się w zwłoki, Kawęcki pootwierał w mieszkaniu okna, choć na niewiele to się zdało. Potem zabrał się za zacieranie śladów. W pomieszczeniu, któremu przyglądał się przez okno, ściągnął ze stołu obrus i dokładnie wytarł nim parapet. Gdy skończył, wrócił do pokoju, w którym znaleźli zwłoki, i zaczął przetrząsać szuflady.

– Co robimy? – spytał Witold, nie mogąc oderwać wzroku od ciała.

– Szukamy czegoś, co może nam się przydać. Dokumentów, zdjęć, rachunków. Czegokolwiek, co mogłoby nas do niego doprowadzić.

– Miałem na myśli zwłoki.

Kawęcki odwrócił się i spojrzał na zalegające w fotelu ciało. Potem wrócił do poszukiwań.

– Nic. To nie nasza sprawa. Powiedz starej, żeby zadzwoniła na policję. Ulotnimy się, zanim przyjedzie patrol.

– Przecież ona nas wyda. – Witold wycelował palcem w stronę drzwi. – Kurwa mać! Jeszcze nas za to posadzą.

– Myślisz, że ta baba pamięta, jak się nazywasz? – zapytał Kawęcki, nie przestając grzebać w szufladzie. – Ona jest ślepa jak kret. Zamiast wyciągać legitymację, równie dobrze mógłbyś rozpiąć rozporek i pomachać jej fiutem. – Przerwał na chwilę poszukiwania i spojrzał na Witolda. – Na wszelki wypadek namieszaj jej trochę w głowie. Powiedz, że jesteśmy ze straży miejskiej, wodociągów albo chuj wie skąd.

Chuj wie skąd. Ze słowami Kawęckiego bębniącymi w głowie Witold wyszedł na korytarz.

– Co się stało Henryce? – zapytała Irena Budzisz.

– Proszę wezwać policję.

- Ale przecież panowie są z policji.
- Jesteśmy ze straży pożarnej. Musiała nas pani źle zrozumieć.
- Ale...
- Proszę zadzwonić na policję i powiedzieć, że mają natychmiast przysłać patrol. Pani koleżance przytrafiło się coś złego.

Była od niej wyższa, choć głównie dzięki kilkunastocentymetrowym szpilkom. Ostry makijaż podkreślał jej orientálną urodę i przykrywał zmęczenie. Krótka spódniczka uwydatniała długie i zgrabne nogi. Miała najwyżej dwadzieścia pięć lat, ale ewidentnie chciała wyglądać na starszą. Na poważną trzydziestoletnią kobietę. Doświadczoną. Ostemplowaną mniejszymi i większymi traumami.

Kiedy Alicja minęła się z nią na schodach, kobieta szła z telefonem przystawionym do ucha, jednocześnie grzebiąc w torebce. Pachniała wyrazistymi, choć już nieco zwietrzalymi perfumami. Spieszyła się. Być może jej spotkanie z Mozejką się przeciągnęło. A przecież pieniądze nie śpi.

Otworzył jej drzwi w swoim typowym domowym stroju: szarych dresach i bawełnianej koszuli. Uśmiechnął się, lekko zakłopotany. Chciał się z nią przywitać pocałunkiem w policzek, ale Alicja minęła go i weszła do mieszkania. Popatrzyła na salon. Na szklany stół. Na sofę. Zdecydowała się usiąść w fotelu. Tam prawdopodobnie tego nie robili. Był niezbyt wygodny. Wiedziała to z autopsji.

- Spotkałam twoją koleżankę na schodach – powiedziała.
- Popatrzyła na Mozejkę. Zrozumiała, że trafiła. Boleśnie i w punkt.
- Większość kobiet stara się wyglądać młodziej. Ona wyraźnie próbowała uchodzić za starszą. Za dojrzałą kobietę. Czyżbyś zamówił

mamuškę, ale nie mieli żadnej pod ręką?

Możejko zatrzymał się na środku salonu. Wpatrywał się w ślady, które na drewnianych panelach zostawiły jego bosa stopy.

– Czy naprawdę chcesz, żebym się do tego odniósł?

Nie spojrzał na Alicję. Nie musiał. Znał jej odpowiedź.

– Przyniosę wino – powiedział.

Zniknął na chwilę w kuchni. Wrócił z dwoma kieliszkami i ledwo napoczętą butelką czerwonego wina. Postawił je na stole. Uważnie przyjrzał się sofie, zanim zdecydował się na niej usiąść.

A więc miałam rację, pomyślała Alicja, obserwując jego poczynania.

– Udało ci się spotkać z prokuratorem? – zapytał, a Alicja kiwnęła głową. – I jak było?

– Źle.

– Jak bardzo?

– Bardzo źle.

Słyszając to, Możejko mocniej przechylił butelkę. Odmierzył Alicji cały kieliszek.

– Jak zareagował na twoje oskarżenia?

– Zabrał mi dyktafon. A potem wręczył kartkę. Napisał na niej kilka adresów.

– Czyich?

– Moich rodziców, siostry i przedszkola, do którego chodzi jej syn.

– Masz tę kartkę?

Alicja pokręciła głową.

– Nie mam żadnego dowodu na to, że mi groził.

Odchyliła się na oparcie fotela. Napila się wina.

– Rozmawiałaś o tym z Kawęckim?

– Jeszcze nie. Ale wątpię, żeby mógł mi pomóc.

– Możesz z tym pójść na policję. Albo wspomnieć w artykule o przebiegu spotkania z Wargą.

Alicja ponownie pokręciła głową.

– Tekst jest już złamany i gotowy do druku. Potrzebne jest już tylko zielone światło od redaktora naczelnego. W ciągu ostatniej godziny dzwonił do mnie cztery razy.

– Co ci powiedział?

– Nie wiem. Nie odważyłam się odebrać. Boję się, że powie coś, czego nie chcę usłyszeć. I to niezależnie od tego, czy zdecyduje się opublikować ten tekst.

Spojrzała na Możejkę. Szukała wzrokiem wsparcia. Pomocy. Prostych odpowiedzi. Ale on na jej bezradność odpowiedział swoją.

– To coś innego niż sprawa Bułeckiej – odezwała się Alicja. – Tam wytoczyłam działa przeciwko systemowi. Tutaj celuję do konkretnych, bardzo wpływowych ludzi. W tym do faceta, który lubi znajdować się poza radarem. – Bezradnie parsknęła śmiechem. – Prawdę mówiąc, nawet nie wiem, czy temat jest jeszcze aktualny. Ludzie Wargi parokrotnie dzwoniли do „Głosu”. Możliwe, że zablokowali publikację, a ja tylko odwlekam moment, w którym się o tym dowiem.

Możejko pochylił się do przodu. Gdyby nie dzielił ich stół, spróbowaliby złapać Alicję za dłonie. Okazać jej wsparcie za pomocą dotyku. W prymitywny, ale z reguły skuteczny sposób. W jej przypadku też powinien zadziałać. Nawet jeśli tak naprawdę nie dzielił ich stół, tylko całe pokręcone uniwersum.

Alicja w końcu sięgnęła po telefon.

– Prokrastynacja zabija – powiedziała. – Miejmy to już za sobą.

Jej rozmowa z redaktorem naczelnym „Głosu” trwała kilka minut. Przez większość czasu Alicja milczała albo odpowiadała półsłówkami. Jednocześnie nieustannie przyglądała się Możejce, jakby oczekiwała, że wyczyta przebieg konwersacji z jej oczu. Kiedy skończyła, odłożyła telefon na stół. Napiła się wina.

– I co? – zapytał Możejko.

– Puści to.

– Nie cieszysz się.

– A ty byś się cieszył na moim miejscu?

Możejko wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Wątpię, czy w ogóle mógłbym się znaleźć w twoim położeniu. Czy miałbym dość odwagi, żeby podjąć taką decyzję.

Alicja patrzyła na niego tak długo i tak beznamietnie, aż wycisnęła z jego twarzy niezręczny uśmiech. Chwilę później sama się uśmiechnęła. Opróżniła kieliszek i poczuła, że kręci jej się w głowie. To pewnie przez głód, pomyślała, przypominając sobie, że od rana nic nie jadła. Albo przez stres. Albo wskutek obecności Możejki, który przedziwnie na nią działał. W każdym razie nie zamierzała się tym przejmować. Nie teraz. Nie w ciągu kilku najbliższych godzin. I nie podczas nadchodzącej nocy.

Przesunęła kieliszek w stronę Możejki. Wyjaśniła mu uśmiechem, co powinien z nim zrobić.

Prokurator Warga wyciągnął z kieszeni wymięty świstek i oświetlił go latarką. Dysząc ze zmęczenia, po raz kolejny sprawdził współrzędne geograficzne. Następnie zweryfikował je z tym, co podpowiadała mu mapa Google. Wyglądało na to, że jest na miejscu. Kilkanaście

kilometrów od Łodzi. Z dala od cywilizacji. W samym sercu gęstej, ciemnej puszczy, przez którą mozolnie przedzierał się przez ostatnie pół godziny.

Spotykali się w różnych miejscach. Na pustkowiach, parkingach, porzuconych placach budowy. W opuszczonych budynkach czy zamkniętych fabrykach. Ale po raz pierwszy umówili się w miejscu, w którym absolutnie nikt nie usłyszałby krzyku Wargi. Na odludziu mogącym pochłonąć go na wieki.

Nie miał pojęcia, co o tym sądzić. Nie wiedział, czy dobrze zrobił, przyjeżdżając tu bez broni. Ani czy w ogóle powinien był jechać w nocy do lasu. Ale za bardzo bał się konsekwencji. Tego, co On mógłby mu zrobić, gdyby się nie stawił. Sposobu, w jaki ukarałby go za nieposłuszeństwo. Bał się strachu, w którym przyszłoby mu żyć przez kolejne tygodnie, miesiące, a może nawet lata. Tak długo, jak On będzie przebywał na wolności.

Wiedział, że cokolwiek miałby mu zrobić w tym pieprzonym lesie, było to lepsze od życia w permanentnym lęku.

Telefon Wargi zadzwieczał. Prokurator wyciągnął go i spojrzał na wyświetlacz. Wiadomość nadesłana z nieznanego numeru. Od Niego.

Nie odwracaj się.

Zanim zdążył się zastanowić nad treścią esemesa, usłyszał za plecami trzask łamiących się gałęzi. Dźwięk z każdą sekundą się nasilał. Wkrótce dołączył do niego szelest materiału, zapewne dresów albo kurtki. Być może Wargę wychwyciłby więcej odgłosów, ale od

pewnego momentu słyszał głównie oszalały łomot swojego serca oraz ciężki, chrapliwy oddech, nad którym nie potrafił zapanować.

W końcu wszystkie dźwięki ustały. Prokurator zamknął oczy. Czekał na wyrok.

– Słucham.

Mężczyzna miał delikatny, spokojny głos. Nie wydawał się zdenerwowany. Mimo to Warga musiał się zebrać w sobie, żeby wydobyć z gardła jakikolwiek dźwięk.

– Mamy problem – powiedział rozedrganym głosem. – A nawet dwa.

– Słucham.

– Kilka dni temu policja znalazła Ukraińców.

Prokurator ponownie usłyszał odgłos pękających gałęzi. Mężczyzna zaczął spacerować, pewnie stawiając stopy na ściółce. Nie potrzebował żadnego oświetlenia. Jakby znał to miejsce na pamięć.

– Wiem. Czasem oglądam telewizję. – Zatrzymał się po lewej stronie Wargi. – Kto ich znalazł?

Wargę korciło, żeby się do niego odwrócić. Spojrzeć Mu w twarz. Spróbować zrozumieć, po co umówił się z nim w tym miejscu i o takiej porze. Pojąć, dlaczego nie chciał, żeby go zobaczył, skoro zawsze przychodził na ich spotkania w przebraniu. Wiedział jednak, że to by nie było mądre. Że w ten sposób wydałby na siebie wyrok. Że byłoby to równoznaczne z popełnieniem samobójstwa.

– Kawęcki i Ptak. Mam wrażenie, że wiedzą coś więcej.

– Co?

Warga wzruszył ramionami.

– Musieli dowiedzieć się o tym mieszkaniu od kogoś, kto cię zna. Może ten ktoś powiedział im coś więcej.

Mężczyzna przeszedł kilka następnych kroków, wolno przesuając swoje wielkie ciało. Ponownie znalazł się za Wargą.

– Zrobiłem z tym porządek.

Z Ukraińcami? Policją? Mieszkaniami? Z człowiekiem, który go wystawił? Przez głowę Wargi przetoczyło się tornado pytań, ale żadnego nie odważył się zadać.

– Mamy jeszcze jeden problem.

Wielkolud ponownie wprawił ciało w ruch.

– Słucham.

– Pewna dziennikarka próbuje nadepnąć nam na odcisk.

– Nam?

– Mnie. To ta sama zdzira, która napisała tekst o Bułeckiej. Teraz gmera w mojej przeszłości. Zbiera informacje o mnie i o Pszoniaku. Przygotowała paszkwil na nasz temat. Próbowałem zablokować publikację, ale nie dałem rady. Dotarła do gościa, do którego moje macki nie sięgają.

Mężczyzna przez kilkanaście sekund stał w milczeniu. Potem zbliżył się do prokuratora na tyle blisko, że ten poczuł na karku jego przyspieszony oddech.

– To nie nasz problem, tylko twój. Masz się tym zająć.

Warga miał wrażenie, że facet właśnie się uśmiecha, ukazując swoje zbyt długie dziąsła i przymocowane do nich żółte zęby. Wyobrażał sobie, jak spomiędzy jego sztucznej brody wyłania się roześmiana gęba.

– Daj mi to – powiedział mężczyzna.

Prokurator zanurkował do kieszeni marynarki. Wyciągnął pendrive i uniósł go na wysokość głowy. Poczul na twarzy muśnięcie skórzanej rękawiczki. Jego rękawiczki.

– Znajdę tam to, czego szukam?

– Są tam najświeższe ustalenia w sprawach Bułeckiej i Giętkiej. Informacje o nowym szefie Wydziału Kryminalnego. Oraz wszystko to, co udało mi się znaleźć na temat tej dziennikarki.

– Już ci mówiłem: ona nie jest moim problemem.

– Zdzira spotyka się z tym pisarzem. Pierdoli się z facetem o kilkanaście lat starszym. Pomyślałem, że...

– Powiedziałem – szepnął mężczyzna, niemal dotykając ustami ucha prokuratora – że to nie jest mój problem.

Warga ponownie zamknął oczy. Czekał na nieuniknione. Na egzekucję. Na wielki finał. Ale gdy usłyszał za sobą oddalające się kroki, zrozumiał, że on nie nastąpi. Jeszcze nie teraz. Nie w tym cholernym lesie.

Sierpień

Filipski wyszedł z pokoju, żeby odebrać telefon. Powiedział, że to coś ważnego. Sprawa służbowa. Ale sądząc po śmiechu, który dobiegał zza zaskakująco cienkich drzwi, musiał rozmawiać z jakimś kumplem. I to raczej o niczym poważnym. Może o planowanym wyjściu na piwo. Albo o weekendowym wyjeździe na działkę. Albo o serialach, które ostatnio oglądał. Albo o ostatniej imprezie, z której zapamiętał tylko datę i miejsce.

Mimowolnie wsłuchując się w jego rechot, Stelmach przyglądała się Kawęckiemu. Wyciągnął z paczki ostatniego papierosa i położył karton na stole. Z grymasem przyklepionym do twarzy odchylił się na krześle. Wyglądał jak Al Bundy. Tyle że zamiast wepchnąć łapę w spodnie, włożył ją do kieszeni i wyciągnął z niej ołówek. Krótki, z urwaną gumką, obgryziony. Ale za to z ostro zatemperowanym grotem. I to właśnie nim Kawęcki zaczął majstrować przy opróżnionej paczce. Uważając, aby jej nie rozerwać, starannie oddzielał od siebie kolejne ścianki.

Policjantka zerknęła do notatek. Zanim wezwali Kawęckiego na przesłuchanie, starannie przygotowała się do spotkania. Przekopala się

przez wszystkie dokumenty, które dostarczył jej Mariusz Szczebiot. Przejrzała zawodową historię Kawęckiego. Dokopała się do opinii jego poprzednich przełożonych. Sprawdziła, czym się zajmował przez ostatnie miesiące. Dzień po dniu. A czasem nawet godzina po godzinie. Ale najwięcej dowiedziała się nie z papierów wypełnionych bezwartościową paplaniną i cyferkami, lecz z rozmów z ludźmi, którzy znali Kawęckiego prywatnie. Którzy widzieli w nim kogoś więcej niż zapijaczonego psa. Którzy na jakimś etapie życia musieli się z nim użerać. Ludźmi, o których istnieniu pewnie wolałby zapomnieć.

Szymon Pelc, fotograf, brat cioteczny Kawęckiego, jego rówieśnik:

Przez kilka lat mieszkaliśmy w jednym bloku. Bawiliśmy się razem na podwórku. Już jako dziecko był dziwny. Wyobcowany. Śmiertelnie poważny. Trudno było go polubić, ponieważ rzadko się uśmiechał. Pamiętam jedną z rodzinnych imprez, komunię któregoś z naszych kuzynów. Starzy chlali wódkę, więc dzieciaki zostały puszczone samopas. Za restauracją był nieczynny tor do motocrossu. Górki, zjazdy, zakręty. Idealne miejsce dla dziewięcio- czy dziesięciolatków. Chcieliśmy po nim pobiegać. Tak po prostu. Nie myśleć. Nie zastanawiać się, czy to ma jakiś sens. Tomek siedział wtedy w kącie, z dala od wszystkich, i przeglądał jakiś kolorowy atlas. Podeszedłem do niego. Spytałem, czy idzie z nami. Pamiętam, że spojrzał na mnie jak na debila. Chwilę się zastanawiał, a potem kazał mi spierdalać. Dostłownie. Niedługo później się przeprowadziliśmy. Widziałem go jeszcze kilka, może kilkanaście razy przy różnych rodzinnych okazjach. I za każdym razem miałem wrażenie, że gdybym tylko się odezwał, on znów kazałby mi spierdalać.

Kawęcki położył na stole coś, co kiedyś było kartonem fajek. Przyjrzał się obrazkowi, który miał go zniechęcić do palenia, a

następnie odwrócił paczkę na drugą stronę. Zaczął po niej bazgrać ołówkiem.

Józef Kawęcki, emerytowany księgowy, ojciec Kawęckiego:

Ostatni raz widziałem Tomka na pogrzebie mojej żony. To było siedem lat temu. Ale nie sądzę, żeby się od tego czasu zmienił. To nie jest typ człowieka, który ewoluuje z wiekiem. Jaki był? Specyficzny. Małomówny. Zamknięty w sobie. Moim zdaniem nie miało to żadnego związku z chorobą, którą u niego podejrzewano, z tym całym zespołem Aspergera. Ani z jego pracą. Wydaje mi się, że od dziecka uważał, że uzewnętrznianie się jest czymś wstydliwym. Niepoprawnym. Nie mam pojęcia, skąd to się wzięło. Kiedyś baliśmy się, że przez tę jego zamkniętość ludzie pomyślą sobie o nas coś złego. Uznają, że wyrządziliśmy Tomkowi krzywdę. Z matką jeszcze się jakoś dogadywał, ale my nigdy nie mieliśmy dobrego kontaktu. Nie udało nam się zbudować zdrowej relacji ojca z synem. Chyba jesteśmy temu współwinni. Brakowało nam wrażliwości. Może nie byłem w stanie w pełni przelać na niego uczuć, którymi darzyłem jego matkę. A może on miał moje uczucia w dupie. Nie sądzę, żeby zamierzał pofatygować się na mój pogrzeb.

Kawęcki skończył rysunek. Obejrzał go z kilku perspektyw i odłożył ołówek. Potem podniósł paczkę i zaczął ją obdzierać ze ścianek. Kiedy pozostał mu podłużny prostokątny kawałek kartonu, zagiął jego podstawy. Najpierw jedną, potem drugą. Popatrzył na konstrukcję, która przypominała piramidę. Uśmiechnął się.

Teresa Jędrys, fizjoterapeutka, była żona Kawęckiego:

Nigdy się do końca nie otworzył. Nie chciał podzielić się ze mną swoim życiem. Czasem miałam wrażenie, że nic o nim nie wiem. Nie

potrafiłam odgadnąć, o czym myśli. Czego pragnie. Co go wkurza. Wiedziałam tylko, że nic go nie cieszy. Nie uśmiechał się. Nie ekscytował. Był jak mumia. Człowiek zawinięty w kokon. A mimo to, z jakiegoś niezrozumiałego powodu, część mnie nadal go kocha. Ale to taka miłość z litości. Ktoś musi go przecież kochać, a nie sądzę, żeby ustawił się tłum chętnych. Czego żałuję? Wielu rzeczy. Ale najbardziej jest mi szkoda czasu. Kilkunastu lat, które przeciekły mi przez palce. Powinnam to wcześniej zakończyć. Znacznie wcześniej. Jak tylko się zorientowałam, z kim mam do czynienia.

Kiedy Filipski wrócił do sali, Kawęcki postanowił zaprezentować swoje dzieło. Postawił je na stole. Przypominało wizytówkę szkolną. Stawianą na ławkach na początku nowego roku, żeby nauczyciele mogli zwracać się do nieznanym sobie dzieciaków po imieniu. Tyle że zamiast personaliów Kawęcki wyrył na paczce zgrabny rysunek penisa.

– Widzę, że sporo mnie ominęło – powiedział Filipski.

Stelmach bezradnie wzruszyła ramionami. Jeszcze raz zerknęła do notatek, a potem spojrzała na Kawęckiego, który wetknął za ucho ostatniego papierosa i głupkowato się uśmiechnął. Nie do niej. Nie do Filipskiego. Do siebie. I do świata, który był mu kompletnie obcy.

Dwa tygodnie wcześniej

– Chciałeś ze mną pogadać?

Bartosz Adamski podniósł głowę znad dokumentów. Kiedy Kawęcki wszedł do jego gabinetu, siedział przygarbiony nad zbiorem wydruków, nad którymi wyraźnie nie mógł zapanować. Wyglądał na osobę nienawykłą do ślęczenia za biurkiem.

– Masz wyjątkowy dar do wybierania złych momentów – odparł blondyn.

Kawęcki wycelował palcem wskazującym w stertę papierów.

– To raport lekarza medycyny sądowej w sprawie Świstowej?

Adamski zmierzył Kawęckiego wzrokiem.

– Nie powinieneś się tym interesować – powiedział. – To nie twoja sprawa.

Komisarz popatrzył z góry na wydruki, a następnie usiadł na obrotowym krześle, które wyglądało tak, jakby używano go od pokoleń. Adamski ciężko westchnął. Było już za późno, żeby pozbyć się intruza. Widział to w jego spojrzeniu. Jakby miał upierdliwość, zawziętość i fanatyzm zakodowane w źrenicach.

– Wręcz przeciwnie – powiedział Kawęcki. – Henryka Świst była właścicielką mieszkania, w którym znaleźliśmy Ukraińców. A to wiąże ją ze śmiercią Bułeckiej.

– W jaki sposób?

– Tego jeszcze nie wiem. Ale jeśli zginęła w podejrzanych okolicznościach, to przypuszczam, że szukamy tego samego sprawcy.

– „Podejrzanych”? Mało powiedziane.

Blondyn popatrzył na dokumenty, które zajmowały większość jego biurka. Wahał się, ale w końcu wyciągnął spomiędzy nich jedną z kartek i podał ją Kawęckiemu.

– Na początku doktor Ronert uznał, że Świstowa została uduszona osiem do dziesięciu dni temu. Sugerował to zaawansowany rozkład zwłok, rozdętych gazami oraz rojących się od pęcherzy i ocieklin gnilnych. Ale podczas sekcji zauważył, że jej skóra jest w kilku

miejscach poparzona. Jakby przesadziła z solarium albo zbyt długo leżała na plaży.

– Co to oznacza?

– Ktoś ją podgrzał. – Adamski uśmiechnął się, jakby właśnie spuentował wyjątkowo zabawny dowcip. – Sprawca przypalił babę, próbując przyspieszyć procesy gnilne.

Kawęcki gapił się na Adamskiego, jakby nie zrozumiał jego słów.

– W jaki sposób?

– Ronert nie jest pewien, ale obstawia farelki i grzejniki. Poza tym zabójca prawdopodobnie wstawił do mieszkania jakieś nawilżacze powietrza, żeby stworzyć w nim tropikalne warunki. Jak w jakiejś jebanej dżungli.

Adamski ponownie zanurkował do dokumentów. Wyciągnął kilka zdjęć, na których technicy utrwalili fragmenty ciała staruszki. Podał je Kawęckiemu.

– Jeśli to ten sam gość, za którym uganiaasz się od miesięcy, to może masz pomysł, dlaczego to zrobił.

Kawęcki obejrzał fotografie, a potem odłożył je na biurko. Rozsiadł się na krześle, a następnie wprowadził je w ruch, odpychając się od podłogi. Wykonując obrót, przyglądał się gabinetowi Adamskiego, który wyglądał tak, jakby nie zdążył się do niego wprowadzić. Albo jakby za moment miał go opuścić. Półki roily się od śladów po segregatorach. Nieznacznie uchylona szafa ziała pustką. A w rogu pomieszczenia stały trzy kartony, wypełnione po brzegi rupieciami, które już dawno powinny wylądować w śmietniku.

– Żeby zmylić trop. Chciał nas dezorientować. – Kawęcki zakończył obrót i popatrzył na Adamskiego. – Czy Ronert potrafi

określić, kiedy rzeczywiście zginęła Świstowa?

– Trzy albo cztery doby przed znalezieniem zwłok. – Adamski pochylił się przed siebie i oparł łokcie na biurku. – Kogo wy, kurwa, szukacie?

– Seryjnego zabójcy.

Kawęcki wykonał kolejny obrót. Tym razem zwrócił uwagę na niewielką szklaną gablotę z odznaczeniami. Nie było ich wiele: kilka baretek, odznak, dyplomów i zdjęć, do których Adamski pozował razem z ojcem. Jak w pokoju nastolatka od małego zmuszanego do uprawiania sportu.

– Ten Ukrainiec, z którym rozmawialiście – odezwał się Adamski.

– Co z nim?

– Zeznał, że wypytywaliście go o Świstową. Że próbowaliście się dowiedzieć, gdzie można ją znaleźć. Z kolei jej sąsiadka, niejaka Irena Budzisz, twierdzi, że zanim zadzwoniła na psy, weszła do mieszkania Świstowej w towarzystwie dwóch mężczyzn, którzy podawali się za policjantów. Nawet pokazali jej legitymacje służbowe. Ale potem wyparli się, że mają cokolwiek wspólnego z policją. To urocza i bardzo serdeczna kobieta. Nie wygląda na mitomankę. Ani na wariatkę.

Kawęcki wykonał jeszcze jeden obrót, tym razem znacznie szybszy, i gwałtownie zatrzymał krzesło, kiedy ponownie znalazł się na wprost Adamskiego.

– Chcesz mnie o coś zapytać?

Blondyn długo mu się przyglądał, jakby chciał go sprowokować do reakcji. Zmusić do obrony. Do zrzucenia pancerza obojętności. Albo chociaż do odsłonięcia maleńkiego fragmentu ciała, w który mógłby się wbić i zacząć go rozszarpywać. Ale nic takiego nie nastąpiło.

W końcu przywołał na twarz wymuszony uśmiech.

– Chciałem. Ale zrobię to kiedy indziej.

Szczebiot przyglądał się z samochodu dwóm mężczyznom w bezrękawnikach, którzy wytoczyli się z Soboty. Ich pełzanie przypominało mu parodię tańca synchronicznego. Stawiając krótkie kroki na ugiętych kolanach, próbowali przypalić sobie papierosy. Co chwila potykali się na równym chodniku, spluwali pod nogi i wyrzucali z siebie chrapliwe, niezrozumiałe słowa. A przynajmniej niezrozumiałe dla niego, ponieważ obaj rytmicznie kiwali głowami, jak gdyby wspólnymi siłami wykuwali nowy język.

Co ja tu, kurwa, robię, pomyślał, z niedowierzaniem kręcąc głową.

Zanim Szczebiot wysiadł z auta, zdjął marynarkę i rozpiął górny guzik koszuli. Potargał swoje idealnie uczesane włosy. Potarł pięściami policzki, żeby choć trochę się zaczerwieniły. Wiedział, że nie zdoła upodobnić się do tubylców, ale przynajmniej nie będzie wyglądał przy nich jak kosmita.

Pub śmierdział piwem i papierosami. Mokasyny Szczebiota lepiły się do podłogi, jakby ktoś nasmarował ją klejem. Człapał do Kawęckiego w tempie globtrotera przedzierającego się przez bagna. Szybko zrozumiał, że nie jest tam mile widziany. Dała mu to odczuć barmanka, która na jego „dzień dobry” odpowiedziała czymś pomiędzy burknięciem a chrumknięciem. W każdym razie nie przypominało to powitania.

Kawęcki siedział przy barze. Jedną dłoń zaciskał na kuflu. Drugą trzymał się za brzuch.

– Co ci jest? – zapytał Szczebiot, przysiadając się do komisarza.

– To na twój widok – wysapał Kawęcki.

Naczelnik przyjrzał się jego dłoni, która wodziła przez koszulę po nadbrzuszu.

– Trzustka, śledziona albo dwunastnica. Każdy z tych organów może cię boleć od chłania. Obstawiam trzustkę.

– Cokolwiek to jest, napierdalało już, zanim zacząłem chłać.

– Ile miałeś wtedy lat? Dwanaście?

– Zanim zacząłem to robić na poważnie.

Kiedy ból ustąpił, Kawęcki wyprostował się i pociągnął spory łyk piwa. Jak nienasycony masochista.

– Czytałeś artykuł o Wardze? – zapytał Szczebiot.

– Doigrał się.

– Dobrze zrobiłeś.

Kawęcki rzucił mu przelotne spojrzenie.

– Co masz na myśli?

– Przez moment sam się zastanawiałem, czy nie należy podrzucić tego tropu mediom. Ale jak zwykle mnie ubiegłeś. – Szczebiot się uśmiechnął. – Alicja Mioduszevska. Strasznie zawzięte babsko. Trzeba przyznać, że ma jaja.

Kawęcki wzruszył ramionami. Potem zapalił papierosa.

– Skoro się tu pofatygowałeś i usiadłeś przy barze, powinieneś coś zamówić. I lepiej, żeby to nie była woda.

Kawęcki próbował zmienić temat, ale Szczebiot obstawał przy swoim.

– Od początku podejrzewałem, że to ty ją na nas napuściłeś. Że przekazałeś jej szczegóły śledztwa w sprawie zabójstwa Bułeckiej. Witold nigdy by się na coś takiego nie zdecydował. Za bardzo szanuje

swoją pracę. A przede wszystkim nie jest takim małostkowym chujkiem jak ty. – Naczelnik wzruszył ramionami. – Oczywiście nie mam na to żadnych dowodów. I pewnie już ich nie zdobędę. Ale pozostanie mi mała satysfakcja, że o tym wiem.

Barmanka podeszła do Szczebiota i rzuciła mu pogardliwe spojrzenie. Naczelnik zastanawiał się przez chwilę, analizując półkę z alkoholem, po czym pokręcił głową. Kobieta wypięła potężny biust, jakby chciała coś z niego wystrzelić, odwróciła się i odeszła.

– Próbowalesz utrudnić mi życie, odkąd zostałem twoim szefem. Staralesz się skompromitować mnie publicznie. Obnażyć moje słabości. A przede wszystkim sprawić, by ludzie posądzili mnie o kolesiostwo. Popisywalesz się swoją niesubordynacją, wiedząc, że nie mogę ci nic zrobić. Chępiłeś się tym, że możesz mi grać na nosie. – Szczebiot bezradnie rozłożył ręce. – I wygląda na to, że wygrałeś. Wkrótce już nie będę twoim szefem. Ale wbrew pozorom nie jest to dla ciebie dobra wiadomość.

Kawęcki opróżnił piwo. Odstawił kufel na ladę i dał barmance znak, że to jeszcze nie koniec.

– Adamski chce mnie dopaść – powiedział Szczebiot. – I zamierza do tego wykorzystać ciebie. Wie, że nie trzymałem cię w wydziale ze względu na twoje wyniki.

– Wie czy tylko się domyśla?

– To bez znaczenia. Ważne jest to, że zaczął grzebać w naszej przeszłości.

Kawęcki milczał, gapiąc się na kufel, do którego barmanka wlewała żółcisty płyn.

– To znaczy, że musimy odplacić mu tym samym.

– Adamski to kawał aroganckiego skurwysyna, ale jest czysty jak łąza
– powiedział Szczebiot. – Wzorowa służba, wyróżnienia, szybkie awanse. A do tego sporo znajomości. Zaszedł już prawie tak daleko jak jego ojciec, mimo że pracuje w policji dwa razy krócej.

– Nikt nie jest tak czysty, na jakiego wygląda.

– Zrozum, kurwa, że facet jest nie do ruszenia – warknął Szczebiot przez zaciśnięte zęby. – Grzebanie w jego przeszłości to droga donikąd. Strata czasu. Musimy skupić się na czymś innym. – Przysunął się do Kawęckiego. – Nie wszystkie ślady udało nam się zatrzeć. Jeśli czegoś nie zrobimy, prędzej czy później Adamski odkryje, co się wtedy wydarzyło. Zresztą nie tylko on jest problemem. Ludzie z wewnętrznego też się tobą interesują. I to od dawna.

Kawęcki przeszył go zimnym spojrzeniem, a kiedy Szczebiot uciekł wzrokiem w stronę półki z alkoholami, zapytał:

– Co zrobiłeś?

– To, co musiałem. Nie miałem wyboru.

– Co zrobiłeś? – Kawęcki powtórzył pytanie, tyle że tym razem zadał je dwa razy głośniej.

Szczebiot spojrzął za siebie, jakby się obawiał, że narobi sobie wstydu na oczach klientów Soboty. Następnie opuścił dłonie poniżej poziomu lady i zaczął wyłamywać palce.

– Przekazałem wewnętrznikom kilka informacji.

– Jakich?

– O tobie.

Barmanka przyniosła Kawęckiemu piwo. Komisarz kilkoma łąpczywymi łąykami opróżnił kufel do połowy i z hukiem odstawił go na blat. Ludzie różnie okazują zdenerwowanie.

– Powiedziałem im tylko to, co sami mogliby wywnioskować z twoich poczynań – wyjaśnił Szczebiot. – Gdyby tylko odpowiednio głęboko pogrzebali.

– Czy możesz być, kurwa, bardziej konkretny?

– Dostali garść niezłe udokumentowanych przypuszczeń, że współpracujesz z gangsterami. Że sprzedajesz im informacje. Nie zdobyłem na to dowodów, ale oni wydają się bardziej zdeterminowani ode mnie. Mam na myśli zarówno Adamskiego, jak i policjantkę z Warszawy, strasznie oziębłą sukę, która pofatygowała się tutaj specjalnie z twojego powodu. Rzucają się na ciebie. I prędzej czy później cię dorwą.

Kawęcki zgasił papierosa, miażdżąc go na dnie popielniczki. Podrapał się po głowie.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Żebyś mógł się bronić. Żeby cię nie zaskoczyli. Żeby z tobą nie pogrywali. – Szczebiot głośno wypuścił powietrze. – I żebyś z tej mojej gadaniny wyciągnął jedyny słuszny wniosek.

– Niby jaki?

– Że musisz stąd spierdalać. Jeśli znikniesz im z oczu, nie będziesz ich drażnić i ciągle o sobie przypominać. A wtedy być może sprawa rozejdzie się po kościach.

Kawęcki wolno pokręcił głową.

– Sprytnie, bardzo sprytnie. Chcesz się mnie pozbyć, żeby ratować swoją dupę.

– Naszą dupę – odparł Szczebiot. – Jedziemy na tym samym wózku.

– Boisz się, że cię wydam. Że gdy mnie dopadną, pociągnę cię ze sobą.

Kawęcki na dłuższą chwilę zamilkł. W końcu uśmiechnął się szeroko, ukazując rząd pożółkłych zębów.

– Co cię tak bawi? – spytał Szczebiot.

– Wiedziałem, że tak to się skończy. Że wymiękniesz pod presją. Zawsze byłeś boidupą.

Komisarz schował papierosy do kieszeni. Sięgnął po leżącą na ladzie kurtkę, która zdecydowanie nie pasowała do lipcowego popołudnia, i zarzucił ją na plecy. Przez cały czas gapiąc się na kufel, jakby szacował, ile czasu potrzebuje, aby opróżnić jego zawartość.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał Szczebiot, uważnie śledząc jego ruchy.

– Zobaczysz.

Kawęcki przyssał się do piwa. W kilka sekund wyzerował kufel. Odstawił go na stół, popchnął w stronę barmanki i zsunął się ze stołka. Poczłapał do wyjścia, szurając po lepkiej podłodze.

– Zamówisz coś w końcu, kochasiu? – Barmanka podeszła do Szczebiota z rękoma splecionymi na piersi i miną rozdrażnionej matrony. – Czy tylko będziesz tu siedział i mnie wkurwiał?

Alicja nerwowo stukała w klawiaturę w smartfonie, otwierając kolejne karty przeglądarki. Skakała po stronach internetowych lokalnych serwisów informacyjnych i gazet, ogólnokrajowych portali, a także blogów o tematyce miejskiej i kryminalnej. Szukała tekstów, które przez cały dzień powinny wstrząsać opinią publiczną, jednocześnie bombardując uprzywilejowaną prawniczą kastę – albo chociaż jej najbardziej wynaturzonych reprezentantów.

Niedługo po ukazaniu się jej artykułu o skandalu pedofilskim w łódzkiej prokuraturze dziennikarze z innych redakcji rzucili się do przygotowywania przedruków. Ich materiały pojawiły się na czołówkach serwisów, często opatrzone nawet bardziej sensacyjnymi tytułami od tego, jaki pojawił się na okładce „Głosu Miasta”. Ale potem wszystko ustało. Część przedruków zniknęła z sieci, a inne zostały zaszyte w zakamarkach serwisów, w miejscach, do których trudno było komukolwiek dotrzeć. Inne gruntownie zmodyfikowano – usunięto informacje dotyczące prokuratora Adama Wargi. Dwie lokalne rozgłośnie radiowe rano umówiły się z Alicją na wywiad, ale po południu odwołały spotkania. Zaprzyjaźniona dziennikarka telewizyjna nagle przestała odbierać jej telefony. Z kolei „Express Łódzki”, dawny pracodawca Alicji, w ogóle się o sprawie nie zająknął. Podobnie jak prokuratura, która nawet się nie pofatygowała, żeby odeprzeć zarzuty i zagrozić jej procesem. Zamiast odnieść się do publikacji, zamieściła na swojej stronie komunikat o zamiarze najmu lokalu w sąsiednim budynku.

– Kurwa mać! – warknęła Alicja i ze złością cisnęła telefon do torebki.

– Ciężki dzień? – zapytał taksówkarz, przyglądając się jej w lusterku wstecznym.

Alicja spojrzała na niego, jakby chciała mu ukręcić łeb.

– Nawet pan sobie nie zdaje sprawy.

Kierowca, niezrażony jej wybuchem, zaczął opowiadać jakąś zawodową anegdotkę. Alicja starała się utrzymać z nim kontakt wzrokowy, co jakiś czas nawet kiwała głową, ale myślami była zupełnie gdzie indziej. Zastanawiała się, co takiego zrobił Warg, że publikacje

zaczęły hurtowo znikać z sieci. Na jak wielu osobach musiał wyrzucić presję, żeby zatrzymać spadającą na niego lawinę. I czy uczynił to sam, czy przy wsparciu kolegów z prokuratury i policji. Tych samych, którzy uporczywie jej wmawiali, że ledwo go kojarzą.

Kiedy taksówkarz wreszcie skończył swoją opowieść, Alicja pochyliła się do przodu.

– Słyszał pan o aferze w prokuraturze? – zapytała.

Po chwili namysłu pokręcił głową i rzucił jej przeproszające spojrzenie.

– Paskudna sprawa. „Głos Miasta” napisał, że jeden z najbardziej szanowanych prokuratorów w mieście był pedofilem. Jego koledzy doskonale o tym wiedzieli, ale nic z tym nie zrobili.

– To skurwysyny! – syknął taksówkarz.

– A to nie wszystko.

Alicja streściła kierowcy tekst, nad którym pracowała przez kilka ostatnich tygodni. Postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Zaryzykować i wejść *all in*. Skoczyć tym skurwielom do gardeł. Bez względu na to, czym miałyby się to dla niej skończyć. Klamka zapadła. A skoro nalot dywanowy się nie sprawdził, musiała spróbować metody małych kroków.

Kilkanaście minut później wysiadła z taksówki pod swoim blokiem na Teofilowie. Wdrapała się na drugie piętro i włożyła klucz do zamka. Kiedy weszła do mieszkania, nadepnęła na wyrwaną z zeszytu kartkę. Ktoś musiał ją wcisnąć pod drzwiami. Schyliła się po nią.

dobry, proszę do mnie zadzwonić: 503 450 080. Bohdan Strzębosz. Sąsiad.

Alicja przeczytała wiadomość dwukrotnie, ale nie zdołała skojarzyć, kim jest człowiek, który zostawił jej list, ani czego może od niej chcieć. Zamierzała zanurkować do torebki po telefon, kiedy ten zaczął sam wibrować. Dzwoniła Karolina. Jej siostra.

– Możesz rozmawiać? – zapytała.

– Właśnie weszłam do mieszkania. Jestem przeziębiona i padam na pysk. Coś się stało?

– Chciałam pogadać.

Alicja wiedziała, co to oznacza. Co najmniej kwadrans marudzenia na trudy rodzicielstwa, od czasu do czasu przeplatany cmokaniem z zachwyty nad dzieckiem. Typowy paradoks samotnej matki.

– Zadzwońię do ciebie jutro, okej? – zaproponowała.

– Franio się dzisiaj zgubił.

– Co powiedziałaś?

– Było ciepło, ale nie upalnie, więc wyszli na zewnątrz. Spędzili około godziny na placu zabaw, a potem poszli przez park do piekarni. Kiedy mieli już wracać do przedszkola, opiekunka policzyła dzieci. Jednego brakowało. Frania.

Alicja miała wrażenie, że ktoś wepchnął jej kamień do gardła. A potem jeszcze jeden. I kolejny. Przycupnęła na szafce, żeby się nie przewrócić.

– Na szczęście go znaleźli – wyjaśniła Karolina. – Okazało się, że został na placu zabaw. Kiedy po niego wrócili, stał zapłakany pod drzewem, przytulając do siebie kolorową piłkę.

– Piłkę?

– Dostał ją od jakiegoś faceta, który powiedział mu, że jego syn jest już za duży, żeby się nią bawić. Gość kopał z nim piłkę przez kilka

minut, a potem zniknął, zostawiając dzieciaka samego na tym cholernym placu.

– Dzwoniłaś na policję?

– A po co? – zdziwiła się Karolina. – Bez przesady. Ten człowiek nie był pedofilem ani porywaczem, tylko niezbyt rozgarniętym ojcem, który chciał sprawić dziecku przyjemność. Natomiast zadzwoniłam do przedszkola i opierdoliłam tę laskę. Poważnie myślę o tym, żeby gdzieś przenieść Frania. Wygląda na to, że te tępe siksy nie potrafią upilnować grupy pięciolatek.

Alicja zastanawiała się nad słowami siostry. Próbowwała znaleźć logiczne wytłumaczenie tego, co się wydarzyło. Logiczne, czyli takie, które nie napawa jej trwogą. Nie potrafiła.

– No, powiedz coś – ponagliła ją Karolina. – Uważasz, że powinnam przepisać go do innego przedszkola?

– Nie wiem. Nie znam się na przedszkolach. Ani na dzieciach. Ale na pewno powinnaś to zgłosić na policję.

Karolina głośno prychnęła i zaniósła się śmiechem.

– A myślałam, że to ja jestem panikarą. Zadzwoń, gdy wydobrzejesz.

Alicja przez kilka minut siedziała w przedpokoju, gapiąc się na spojenie podłogi ze ścianą. Doskonale pamiętała kartkę od Wargi. Z adresami jej rodziców, siostry oraz przedszkola, do którego chodzi Franio. Już wtedy wiedziała, że to nie jest blef. Że ten człowiek jest zdolny do paskudnych rzeczy. Ale wówczas wyparła tę myśl ze świadomości. Jak przykre wspomnienie z dzieciństwa. Mikrotraumę bezgłośnie mającą na obrzeżach jej świadomości. Ale teraz wróciła do niej ze zdwojoną mocą.

Wzięła kilka głębokich wdechów. Próbowwała przekonać samą siebie, że to mógł być przypadek. Wyjątkowo niefortunny zbieg okoliczności. W końcu dzieci ciągle się gubią. Przypałętują się do obcych albo bezmyślnie ganiają za zwierzętami. Przypomniała sobie, jak sama zgubiła się na jakimś bazarze, ponieważ poszła za kimś, kto od tyłu wyglądał podobnie jak jej matka. Zresztą zapanowanie nad stadem rozwydrzonych bachorów wcale nie jest proste, a Franio – choć nigdy tego nie powie Karolinie – to prawdziwy wrzód na dupie. Istny bachor z piekła rodem. A poza tym nie każdy facet, który rozmawia z dziećmi na placu zabaw, musi być porywaczem lub pedofilem. Albo gangusem działającym na czyjeś zlecenie.

Wzięła jeszcze jeden głęboki oddech. Uspokoila się. Nawet spróbowała się uśmiechnąć. Odłożyła torebkę na szafkę. Przypomniała sobie o kartce od sąsiada. Wybrała jego numer. Czekaając, aż odbierze, zaczęła ściągać buty.

– Słucham?

– Z tej strony Alicja Mioduszevska, pańska sąsiadka – przedstawiła się. – Zostawił pan kartkę w moim mieszkaniu.

– Dobrze, że pani dzwoni – odpowiedział Bohdan Strzębosz przepalonym głosem. – Chodzi o pani samochód.

– Co z nim?

– Widziałem, jak to robili. Pewnie nie będę w stanie ich rozpoznać, bo byli zakapturzeni, ale w razie czego mogę złożyć zeznania.

– O czym pan mówi?

– O pani oplu.

Alicja odruchowo spojrzała w kierunku kuchni. Przeszła do niej w kilku szybkich krokach i zbliżyła się do okna. Podciągnęła żaluzje.

Wyjrzała na niewielki betonowy parking. Mimo że było ciemno i nie pamiętała, gdzie zostawiła samochód, bez trudu go znalazła.

– Nie dało się go nie zauważyć.

– Było ich trzech – odezwał się Strzębosz. – Mieli kije bejsbolowe. Kiedy usłyszałem pierwsze uderzenie, podbiegłem do okna. Dobrą minutę tłukli w pani auto. Walili gdzie popadnie: w szyby, dach, maskę. Próbowali je rozbić w drzazgi.

– Kiedy to się stało?

– Ze dwadzieścia minut temu. Zadzwoiłem na policję, ale jeszcze nikt się nie pojawił. – Strzębosz rozkasłał się, a potem parokrotnie chrząknął. – Jak już mówiłem, mogę zeznać, co widziałem. Policja pewnie nic z tym nie zrobi, ale przynajmniej firma ubezpieczeniowa pani nie oszuka.

Alicja rozłączyła się. Zacisnęła pięści, aż jej zbielały palce. Wpatrywała się przez okno w swój zdewastowany samochód, do którego właśnie podjechał policyjny patrol. Nawet się nie zorientowała, w którym momencie w jej zmęczonych oczach stanęły łzy.

– To jeden z tych lokali, w których impreza toczy się non stop. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tutaj zawsze są ludzie, zawsze jest głośno i zawsze można się nieźle zabawić.

Zbigniew Halbert przekrzykiwał elektroniczne dźwięki, które rozrywały wewnątrz Kukułczego Gniazda. Było to kolejne miejsce, do którego biznesmen ewidentnie nie pasował. Ze względu na swój wiek, ubiór i sposób bycia, typowy dla pięćdziesięcioletnich gogusiów, którzy nie wiedzą, co zrobić z kasą. Zgadzało się tylko to, że był facetem. Lubiącym innych facetów.

– To mój ulubiony klub dla pedałów! – krzyknął. – Tak naprawdę jedyny, w którym czuję się w pełni swobodnie. Jak w domu. Tyle że muzyka mocniej napierdala.

Uśmiechnął się do Mozejki, a następnie osunął się na oparcie skórzanego narożnika.

Klub znajdował się kilka metrów pod ziemią, w piwnicy, którą równie dobrze można by zaaranżować na lochy. Halbert zarezerwował im miejsce w rogu głównej sali, kilkanaście metrów od baru, z dala od wejścia, szatni, toalet, palarni i innych miejsc, w których z reguły kręcili się ludzie. Nieustannie ostrzeliwani ultrafioletowym światłem, siedzieli przy długim szklanym stole, na którym stał metrowy rząd różnokolorowych drinków w wysokich szklankach.

Pomiędzy Halbertem a Mozejką siedział facet, którego biznesmen nazywał Żabą. Pewnie ze względu na jego nienaturalnie szeroki uśmiech, szerszy niż u Julii Roberts. Żaba pożyczył od kelnera tacę, na której ten kilka minut wcześniej przyniósł im drinki, i zamienił ją w laboratorium małego chemika. Wysypał na nią kilkanaście różnych tabletek i górę białego proszku. Była tam kokaina, kodeina, MDMA i cholera wie co jeszcze. Następnie pokruszył pigułki filigranowym tłuczkiem barmańskim, który z jakiegoś powodu nosił ze sobą, i wymieszał proszek. Sprawnie operując kartą płatniczą, wydzielił kilkanaście porcji i wsypał je do drinków, jakby to był cukier. Na koniec każdy napój wybełtał słomką.

– Wyglądasz na spiętego – powiedział Halbert, sięgając po pierwszego z brzegu drinka. – Co się stało? Miejsce ci nie odpowiada?

– Lokal jest okej – skłamał Mozejko. – To przez pracę. Cierpię na niemoc twórczą. Od kilku tygodni słowa przechodzą przeze mnie jak

przez wyciskarkę.

– Znasz przyczynę?

Możejko pokręcił głową.

– Może brakuje ci odpowiedniej inspiracji? – zasugerował Halbert.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się Możejce, opróżniając swoją szklankę szybkimi, krótkimi łykami. Potem pochylił się w kierunku Żaby i szepnął mu coś do ucha. Ten posłusznie pokiwał głową i zerwał się z kanapy.

– Napij się – powiedział biznesmen. – To napój bogów. Może jutro tego nie poczujesz, ale za kilka dni zrozumiesz, że zmienił twoje życie.

Gapiąc się na dziwną twarz Halberta – roześmianą, a przy tym niemal nieruchomą – Możejko wziął ze stolika zielony napój. Próbował odgadnąć, co może w nim pływać. I co już pływało w jego organizmie.

Halbert solidnie go przeczołgał. W ciągu kilku godzin odwiedzili cztery puby. Odhaczali je jak kolejne punkty na mapie: wpadali na kilkadziesiąt minut, wypijali drinka i zaliczali rundę w toalecie. Poruszali się jak w dziwnym, psychodelicznym transie. Opętani euforią. Idiotycznie szczęśliwi. Ale w pewnym momencie Możejko przestał za Halbertem nadążać. Zaczęło mu się kręcić w głowie. Jego wzrok nie wyrabiał, wyświetlając na siatkówce klatkujący obraz. Pocił się i szczął zębami. Miał wrażenie, że jest jednocześnie cholernie pobudzony i spowolniony. Jakby próbował grać na kodach w grę zbyt zaawansowaną graficznie dla jego komputera.

Tymczasem Halbert wydawał się niewzruszony. Popijał drinka jak herbatę, robotycznie kiwając głową w rytm muzyki i rozglądając się po lokalu. Nawet koszula mu się za bardzo nie pogmiotła. Dla niego to był dzień jak co dzień. Normalka. Żadna tam narkotyczna jazda, tylko

wieczorny spacer. Niewinna sesyjka z koką, psychodelikami i opiatami.

Żaba wrócił do ich stolika. Nie sam. Przeprowadził ze sobą dwóch mniej więcej dwudziestoletnich chłopaków. Mieli na sobie obcisłe lateksowe spodnie i podziurawione, designerskie koszulki. Ich sterczące grzywki błyszcząły od lakieru. Uśmiechali się. Do Halberta i Możejki. Czekali na ich ruch. Na to, aż ich ocenią. Wybiorą. Zaakceptują. A na koniec skonsumują.

Halbert przywołał ręką wyższego z nich, z rozjaśnionymi włosami i dołeczkami w policzkach. Chłopak usiadł obok niego. Nie czekając na zachętę, położył dłoń na klatce piersiowej biznesmena, wciskając palce pomiędzy guziki koszuli. W odpowiedzi prawa ręka Halberta spoczęła na jego udzie. W lewej biznesmen trzymał drinka, którym stale podkręcał sobie tempo.

Drugi z chłopaków nie doczekał się żadnego ruchu ze strony Możejki, ale i tak postanowił usiąść obok. Przyłgnął do niego udem. Objął ramieniem oparcie za jego plecami. Był na tyle blisko, że Możejko wyraźnie czuł jego perfumy: tanie, ostre, ordynarne, mające raczej zabijać smród niż przydawać uroku. Nie bardzo wiedząc, jak się zachować, Możejko podniósł się z narożnika. Przez chwilę stał zdezorientowany, gapiąc się na zastawiony drinkami stolik. W końcu chwycił chłopaka za rękę.

– Gdzie jest darkroom? – zapytał.

– Nie chcesz się najpierw rozgrzać?

– Nie. – Możejko wydawał się bardzo stanowczy. Zwłaszcza jak na faceta doznającego ataku paniki. – Jestem już rozgrzany.

Chłopak wzruszył ramionami. Było mu wszystko jedno, pewnie przerabiał już w tym miejscu najdziwniejsze warianty. Trzymając Możejkę za rękę, zaprowadził go w głąb sali. Ominęli grupkę tańczących i znaleźli się w wąskim korytarzu. Wyrastało z niego kilka pokoiów, do których dostępu chroniły długie czarne kotary. Na końcu stał wytatuowany ochroniarz w czerwonej koszulce, sprawiający wrażenie śmiertelnie znużonego. Grzebiąc palcem w zębach, wskazał im jedno z pomieszczeń. Odchylili kotarę i weszli do środka.

Rozsiedli się na kanapie, która wyglądała tak, jakby miała dziewięć żyć. I właśnie kończyła ostatnie.

– Jak się nazywasz? – zapytał Możejko.

– Jules.

– Julius?

– Jules. Jak Samuel L. Jackson w *Pulp Fiction*.

– Jules. – Możejko powtórzył jego ksywkę, jakby chciał sprawdzić, czy jest w stanie poprawnie ją wymówić. – Posłuchaj mnie uważnie, Jules. Ile ci Żaba zapłacił?

– Nie martw się. Wszystko jest już dogadane.

Jules położył Możejke dłoń na kolanie, ale ten odsunął się, jakby go poraził prądem.

– Ile?

– Nie wiem. Nie umawiamy się na pojedynczych klientów.

– A jak? Na abonament?

– Coś w tym stylu.

Świetnie, karnet na dziwkę, pomyślał Możejko. Pomyślał o czymś jeszcze, o czymś konstruktywnym, ale jego idea momentalnie rozpuściła się w haju.

Kiedy ponownie poczuł na kolanie rękę chłopaka, gwałtownie ją zrzucił.

– O co ci, kurwa, chodzi? – spytał Jules, odsuwając się na bezpieczną odległość.

– Spróbuj oszacować, ile byś dostał za numerek ze mną. Zapłacę ci dwa razy tyle, jeżeli powiesz Żabie i Halbertowi, że się ruchaliśmy. I że byłem w tym cholernie dobry.

– Ale...

– I jeśli nie będziesz wnikał, o co w tym wszystkim chodzi. Po prostu to zrób, okej?

Jules ze zdziwieniem przyjrzał się Możejce. W końcu wzruszył ramionami i wyciągnął przed siebie otwartą dłoń. Możejko zanurkował do portfela. Zaczął z niego wyciągać banknoty. Pojedynczo, co chwila zerkając na Julesa, który ponaglał go wzrokiem.

– Starczy – powiedział chłopak.

Złożył kilka banknotów na pół i wcisnął je do kieszeni, w której ledwo mieściły mu się palce.

Możejko położył portfel na kanapie i ukrył twarz w dłoniach. Coraz bardziej kręciło mu się w głowie. Wszystko wokół wirowało. Wydawało się dziwaczniejsze niż zazwyczaj, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Popieprzone i niezrozumiałe jak jakaś równoległa, alternatywna rzeczywistość.

– Posłuchaj – powiedział. – Nie mam nic do ciebie. Ani w ogóle do gejów. Po prostu...

– Wiem – przerwał mu Jules. – Po prostu nie jesteś pedałem. Domyśliłem się tego, gdy tylko cię zobaczyłem.

Możejko na chwilę podniósł głowę.

– To dlaczego się do mnie dobierałeś?

Jules po raz enty wzruszył ramionami. Albo robił to bezwiednie, albo był bardzo zobojętniałym facetem jak na swój wiek.

– Zawsze mogłem się mylić. Rzadko zdarzają mi się klienci przed pięćdziesiątką, więc warto było spróbować. A poza tym lubię swoją robotę.

Długo się tym zajmujesz? Jak zacząłeś? Kto cię w to wciągnął? Skąd znasz Halberta i jego przydupasa? Kim oni, kurwa, są? Możejce cisnęły się na usta dziesiątki pytań. Ale żadnego z nich nie zadał. Siedział ze zwieszoną głową, zatopiony w dziwacznym, wirującym świecie, obezwładniony przez własne myśli.

W pewnym momencie Jules wstał i stanął przed Mozejką. Rozpiął rozporek.

– Co ty robisz?

– Chcesz, żeby to wyglądało wiarygodnie?

– Dostałeś kasę. Musisz tylko wcisnąć im kit.

Jules uśmiechnął się do Mozejki jak do niepełnosprawnego dziecka: trochę pobłaźliwie, a trochę ze współczuciem.

– Ci goście nie są głupi. To starzy wyjadacze. Zorientują się, że próbujemy ich zrobić w chuja. Chyba że dostaną dowód.

– Dowód?

– Na to, że się ruchaliśmy. Najlepsze będą portki ujebane spermą.

Mozejko parokrotnie zamrugął. Zastanawiał się, czy się nie przesłyszał.

– Powiedz, proszę, że żartujesz.

– Mógłbyś to zrobić sam. Ale skoro nie przepadasz za facetami, wątpię, żeby ci tutaj dygnął.

Możejko zastanawiał się nad słowami chłopaka, wbijając wzrok w falującą podłogę. W końcu pokręcił głową.

– Nie – powiedział.

– W takim razie nie licz na to, że to łykną. I że ci w tym pomogę.

– Spuść się na mnie. – Możejko zerknął na jaśniejącą twarz Julesa. – Nie na ryj, tylko na spodnie. Dopiero wtedy będzie to wyglądało przekonująco.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Jak sobie jaśniepan życzy.

Kiedy Jules zanurkował dłonią do rozporoka, dla Możejki był to jasny sygnał, że powinien po raz kolejny zamknąć oczy i skryć głowę w dłoniach. Tym razem na dłużej. A najlepiej do końca tego pojebanego świata, w którym właśnie utknął.

Wszędzie walały się butelki po wódce i puszki piwa. Upstrzona kiepami podłoga przypominała parking przed dyskoteką. Nieliczne meble poszarzały od dymu, jak gdyby ktoś celowo je zabarwił. W powietrzu unosił się smród tanich papierosów, strawionego alkoholu i potu. Jak w nędznym hostelowym pokoju wynajmowanym na godziny przez przypadkowych kochanków, którzy nigdy więcej się nie zobaczą.

Jest gorzej niż ostatnio, pomyślał Witold, rozglądając się po mieszkaniu Kawęckiego.

Prawdziwym problemem nie było jednak lokum, lecz jego właściciel. Przemieszczał się po domu z papierosem zwisającym z warg, w rozsznurowanych butach, wytartych dzinsach i rozpiętej koszuli, spod której wyłaniało się niepokojąco chude ciało. Poruszał się w rytm muzyki płynącej z komputera. Przygarbiony i

nieskoordynowany. Bardziej niż taniec przypominało to podrygiwanie paralityka.

– Nie wiedziałem, że lubisz jazz – rzucił Witold w eter, żeby jakoś zacząć rozmowę, której wcale nie miał ochoty prowadzić.

Kawęcki spojrzał na niego, jakby tym stwierdzeniem pozbawił go resztek godności. Potem odwrócił się do biurka i postawił na nim dwa kieliszki. Uniósł butelkę wódki i uderzył otwartą dłonią w jej denko.

– Coltrane mnie uspokaja. Pomaga mi się skoncentrować.

– Nie powinienes mieć do tego lepszych głośników?

– Mam – odparł Kawęcki, rozlewając wódkę.

– To dlaczego ich nie podepniesz?

– Nie chcę się przesadnie rozpieszczać.

Kawęcki podał Witoldowi lufę, dołączając do niej swój szeroki uśmiech. Ten jednak wziął od niego kieliszek wyłącznie po to, żeby odstawić go z powrotem na biurko.

– Widywałem cię już w lepszej dyspozycji – powiedział. – Skąd ta obniżka formy? Stało się coś, o czym powinienem wiedzieć?

Kawęcki wzruszył ramionami. Potem pochylił się nad laptopem. Zmienił utwór i zaczął udawać, że gra na saksofonie.

– Laicy zachwycają się Milesem Davisem. Tak zwani eksperci, czyli głąby brandzlujące się nad winylami, ubóstwiają Charliego „Birda” Parkera. A mnie najbardziej urzeka John Coltrane. Jego muzyka jest najbardziej uduchowiona. Nie tworzył jej dla siebie, święcie przekonany o własnej zajebistości. Nie podkrecał swojego geniuszu heroiną. Grał, bo przepełniała go miłość do Boga. Wierzył, że może do niego dotrzeć poprzez saksofon, jakby to instrument stanowił most łączący go z życiem wiecznym. Był jego biletem do nieba. – Kawęcki

ponownie pochylił się nad komputerem. Próbował podkreślić głośność, ale nie mógł trafić w odpowiedni przycisk na klawiaturze. – Oczywiście zanim do tego doszedł, ćpał co popadnie, marząc o karierze na miarę Birda. Ale potem przestał i z bożą pomocą odkrył, że jest geniuszem. Tak to już w życiu bywa. Czasem człowiekowi musi się pogorszyć, zanim zrobi mu się lepiej.

Opróżnił kieliszek. Nadął policzki, jakby zamierzał zwymiotować. Ale po chwili zapalił papierosa i wszystko wróciło do normy. Do jego dziwnie rozumianej normy.

– Straciłeś do niej serce? – Witold wycelował palcem w dziwną mapę Kawęckiego.

A właściwie w to, co z niej zostało – w niedbale rozrzucone po podłodze zdjęcia, wydruki i rysunki. Niektóre kartki były podarte lub pomazane. Inne ozdobione śladami butów. Kawęcki odwrócił się tak niedołąźnie, że podeptał kilka kolejnych. Jak pies, któremu właściciel zapomniał wytrzeć łapy po spacerze.

– Już jej nie potrzebuję.

– Nie?

Kawęcki podszedł do ściany i zerwał z niej kartkę z niezdarnie narysowaną głową, którą otaczały znaki zapytania. Następnie odwrócił się do Witolda. Włożył rękę do kieszeni i zaczął w niej gmerać, jakby chciał się podrapać po udzie. W końcu wyciągnął z niej jakiś świstek i podał go Witoldowi.

– Co to?

– Numery telefonów. Przeczytaj ostatni.

– „Marian: 672 12 95”. – Witold uniósł kartkę na wysokość twarzy. – Kim jest Marian?

Kawęcki nie odpowiedział na jego pytanie od razu. Najpierw odmierzył sobie kolejną porcję wódki.

– Kimś, kto kumpłował się ze staruchą, zanim jakiś facet zafundował jej domowe solarium.

Witold pomachał kartką.

– Zabrałeś to z mieszkania tej Henryki Świst?

Kawęcki energicznie pokiwał głową. Najwyraźniej był z siebie bardzo zadowolony.

– Kurwa mać! – warknął Witold. – Zajebałeś dowód z miejsca zbrodni. W dodatku nosisz go w kieszeni jak jakiś paragon. Czy ciebie już do reszty pojebało?

– Nasz przyjaciel znalazł osobę trudną do wytropienia, ponieważ mieszkała w domu, który nie należał do niej. Żeby namieszać nam w głowach, urządził w jej mieszkaniu tropikalną dżunglę, a następnie zlikwidował ją tuż przed naszym przyjściem. Zadbał o to, aby żaden z sąsiadów go nie zobaczył. I oczywiście skrupulatnie wysprzątał cały dom, usuwając z niego wszelkie ślady, które mogłyby doprowadzić do niego. Ale nie wpadł na to, żeby pogrzebać babie w bieliźnie. – Kawęcki wycelował w kartkę. – Znalazłem to w jej majtkach. Górna szuflada komody. Pomiedzy trzecią a czwartą parą.

Witold odłożył świstek na biurko. Nie mógł na niego patrzeć. Ani na Kawęckiego. Miał ochotę roztrzaskać mu łeb. Ale zamiast tego zapalił papierosa.

– Kim jest Marian? – zapytał ponownie.

– Cholernie wścibskim kłamczuchem.

Witold przez dłuższą chwilę gmerał w pamięci. W końcu go olśniło.

– Karaś.

– Wygląda na to, że musiał całkiem nieźle znać Igora Krenca, czy jakkolwiek nazywa się ten skurwiel. Powinniśmy się tego domyślić, kiedy nam o nim wspomniał. Wydawał się wtedy nieźle spłoszony. Na szczęście niechcący naprawiliśmy nasz błąd.

Kawęcki podniósł kieliszek. Ale go nie wychylił, tylko zaczął rechotać jak wariat.

– Co cię tak bawi? – zapytał Witold, który nie zdążył jeszcze przetrwać tego, czego się dowiedział. – Śmiesz cię kradzież dowodu? To, że jakiś napruty idiota zrobił nas w chuja? A może duszenie kobiet i podgrzewanie ich zwłok?

– One nie były w jego planie – odparł Kawęcki, kiedy się w końcu opanował.

– O czym ty mówisz?

– Ani Świst, ani Magda. W obu przypadkach próbował nas oszukać, stosując jakieś pseudomedyczne sztuczki. A to, że nie znalazł tej kartki, świadczy o tym, że się spieszył. Jest zdenerwowany. Może nawet wpadł w panikę. Sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. To oznacza, że prędzej czy później popełni duży błąd. A wtedy go dorwiemy. – Kawęcki uniósł kieliszek. – I właśnie za to powinieneś się ze mną napić.

Witold mierzył Kawęckiego wzrokiem, jakby próbował przewiercić mu się do mózgu. W końcu ciężko sapnął. Pokręcił głową. I wreszcie sięgnął po kieliszek. Opróżnił go, gapiąc się na rozbawioną gębę Kawęckiego. Na twarz klauna, który dopiero zaczynał urządzać swój cyrk.

Sierpień

– Jakim szefem był Mariusz Szczebiot?

Witold podrapał się po twarzy. Splótł ręce na klatce piersiowej i wciągnął skrzyżowane nogi pod krzesło. Miał wrażenie, że jeśli przesiadzi na nim kolejne pół godziny, dorobi się hemoroidów. Albo psychozy.

– Wyrozumiałym.

– Co to znaczy? – dopytał Filipowski.

– Sporo nam wybaczał. Choć jest strasznym biurokratą, rozumiał, że nie wszyscy policjanci lubią grzebać w papierkach, więc z reguły nie miał pretensji, gdy ktoś nie przygotował notatki służbowej albo pobieżnie sporządził raport. Często sam odwalał za nas papierkową robotę. Jemu to chyba nawet sprawiało frajdę.

– Lubił go pan?

– Jeszcze nie polubiłem żadnego ze swoich przełożonych. To chyba kwestia mojego charakteru. Tak już jestem skonstruowany, że nie znoszę ludzi, którzy wydają mi polecenia. – Witold rozejrzał się po pokoju, jakby liczył na to, że coś się w nim zmieniło. – Ale gdybyśmy znali się wyłącznie na stopie prywatnej, prawdopodobnie też bym go

nie polubił. Nie przepadam za pasywno-agresywnymi gnojkami, które uważają, że podział klasowy jest czymś dobrym. Próbującymi za wszelką cenę wdrapać się na górę łańcucha pokarmowego. Nie rozumiem, jak można dążyć do tego, żeby inni uważali cię za kompletnego dupka.

– Pan nie ma ambicji, aby zostać szefem wydziału?

– To nie kwestia ambicji.

– A czego?

– Nie jestem pewien. Może odporności na presję wywieraną przez otoczenie. Albo strachu przed samym sobą.

– Co ma pan na myśli?

– Od ponad dwudziestu lat tyram w policji głównie po to, żeby uspokoić sumienie. By na koniec dnia móc spojrzeć w lustro i powiedzieć, że przyczyniłem się do czegoś dobrego. Że zamiast wciskać ludziom jakiś szajs przez słuchawkę, uganiem się za zbirami, którzy mogliby wyrządzić komuś krzywdę. To jest jak pomaganie bezdomnym albo dokarmianie psów. Nikt tego nie robi dla frajdy, tylko żeby jakoś wytrzymać z samym sobą. – Witold wzruszył swoimi wielkimi ramionami. – A może się mylę. Może od zawsze wiedziałem, że nie jestem dość bystry, żeby zarządzać wydziałem, a teraz tylko dorabiam do tego ideologię.

Filipski spojrział na Stelmach, która skrupulatnie zanotowała wypowiedź Witolda. Potem podniosła głowę i odchrząknęła.

– Wróćmy do Mariusza Szczebiota. Nie zdziwiło pana, że został przeniesiony zaraz po tym, jak jedna z gazet wystosowała poważne zarzuty wobec prokuratora Wargi?

– O ile wiem, Szczebiot nie miał z tym nic wspólnego. On swoje stanowisko przegrał kilka miesięcy wcześniej. W dniu, w którym znaleźliśmy zwłoki Magdy. Przekazując tę sprawę Adamskiemu i jego zespołowi, komendant Dębiec w zawołany sposób oznajmił, że zwalnia Szczebiota. Musiał jedynie odczekać kilka miesięcy, aby nikt mu nie zarzucił, że pozbył się faceta w żałobie. Wprawdzie w policji każdy miałby to gdzieś, ale prasa mogłaby się przypieprzyć. Kilku pismaków mogłoby zrobić aferę z bezduszności komendanta. Albo dopieprzyłoby się do Szczebiota, twierdząc, że to on ponosi winę za śmierć Magdy. Zniszczyłoby go. Nie tylko w wymiarze zawodowym.

– Ale przyzna pan, że to zaskakujący zbieg okoliczności – nie ustępowała Stelmach.

– Widywałem ostatnio dziwniejsze.

– Na przykład?

Witold zamilkł i ponownie rozejrzał się po sali. W ciągu kilkugodzinnego przesłuchania zdążył znienawidzić to pomieszczenie. Wiedział, że wybrali je po to, aby go zamęczyć. Tym tandetnym peerelowskim wystrojem, kurzem, który kleił się do mebli, i irytującą jarzeniówką umocowaną tuż nad stołem. Do tego sprzyjał im zaduch. W takich warunkach stosunkowo łatwo można było zmusić rywala do błędu. Do odkrycia się. Wystawienia miękkiego podbrzusza.

– Dziwniejsze było to, że nasz zespół został praktycznie rozmontowany w momencie, gdy osiągnęliśmy największy przełom w śledztwie. Komuś musiało to przeszkadzać.

Filipski znów popatrzył na Stelmach, która nieznacznie pokręciła głową. Ściągnął okulary i przetarł oczy.

– Przepraszam, ale nie nadążam – powiedział.

Witold pochylił się i wyciągnął przed siebie ręce. Zacisnął dłonie na kubku. Przez moment miał wrażenie, że słyszy, jak jego ścianki zaczynają pękać.

– Ktoś od początku wiedział, kim jest zabójca Bułeckiej. I przez cały czas grał nam na nosie.

Tydzień wcześniej

Trzaśnięcie drzwiami samochodu wyrwało Kawęckiego ze snu. Spojrzał w lewo i natychmiast tego pożałował. Miał wrażenie, że jego głowa jest nieodłączną częścią oparcia, od którego ktoś gwałtownie ją oderwał. Leżąc na fotelu maksymalnie odchyłonym do tyłu, obmacał kieszeń spodni i wyciągnął z niej papierosy.

– I jak? – wychrypiał.

Witold energicznie podrapał się po głowie. Następnie głośno wypuścił powietrze.

– Jak dokładnie chcesz poznać tę historię?

– W najdrobniejszych szczegółach.

Witold spojrział na Kawęckiego, który z zamkniętymi oczami próbował przypalić sobie fajkę. Nie wyglądał na faceta, który byłby w stanie znieść dużo dźwięków. Mimo to wyciągnął z kieszeni dyktafon i rzucił go Kawęckiemu na brzuch.

– Karaś był w niewiele lepszym stanie od ciebie – powiedział. – Najpierw udawał, że nie wie, o co chodzi. Ale gdy powiedziałem mu o śmierci Świstowej, rozplakał się i zaczął głądzić. Wierzę, że tym razem wyśpiewał nam wszystko, co wie.

Kawęcki otworzył oczy. Przytrzymując się fotela, doszedł jakoś do pionu. Przebijające się przez przednią szybę słońce wykrzywiło mu twarz. Miał wrażenie, że ocknął się w zupełnie nowej, postapokaliptycznej rzeczywistości. Zamknięty w jakiejś dziwacznej kapsule, która tylko pozornie chroniła przed promieniowaniem. Pośród przepalonych, zrujnowanych budynków, mogących w każdej chwili rozszcześcić się i zwalić na jezdnię. I pośród napromieniowanych ludzi, snujących się po ulicach niczym zombi.

- Przesłuchaj to, a ja załatwię nam jakąś kawę – oznajmił Witold.
- Masz słuchawki?
- To zależy.
- Od czego.
- Od tego, kiedy ostatnio myłeś uszy.

Mina Kawęckiego powiedziała wszystko. Witold niechętnie otworzył schowek.

- Częstuj się. Tylko nie wkładaj ich zbyt głęboko.

Kiedy wysiadł z auta, Kawęcki zanurkował dłonią do schowka. Spomiędzy rozmaitych elektronicznych szpargałów wyciągnął słuchawki, podpiął je do dyktafonu i wetknął do uszu. Potem ponownie położył się na fotelu. Zaciągnął się papierosem. Zamknął oczy. Kiedy jego świat przestał wirować, wcisnął na dyktafonie przycisk Play.

– Chyba byłem jedyną osobą w klinice, która próbowała nawiązać z nim kontakt – mówił Marian Karaś, co jakiś czas pociągając nosem. – Pewnie dlatego, że nigdy nie potrafiłem trzymać języka za zębami. Nie lubię ciszy. Drażni mnie. Sprawia, że czuję się nieswojo. Jak w jakimś pieprzonym niemym filmie.

– A więc nawiązałeś z nim kontakt – odezwał się Witold. W jego głosie wybrzmiewało zniecierpliwienie. Albo zmęczenie. Najprawdopodobniej jedno i drugie.

– To był dziwny gość – kontynuował Karaś. – Miał około czterdziestu lat, ale przypominał wyrosniętego dzieciaka. Wydawał się lekko upośledzony. Zanurzony we własnej rzeczywistości. Wyobrażałem sobie, że on inaczej postrzega świat niż my. Że kiedy snuje się po korytarzu, widzi, jak spływa nim rzeka krwi. A w ludziach dostrzega wyłącznie obrośnięte skórą szkielety. Tak jak w tych grach, w których ganiasz za stworami i rzucasz na nie zaklęcia.

– RPG.

– Co?

– Nieważne. Co było później?

– Kiedy odszedł z kliniki, przez dłuższy czas o nim nie słyszałem. I prawdę mówiąc, nie sądziłem, że jeszcze go spotkam. Gdy po jakimś czasie się do mnie odezwał, byłem mocno zaskoczony. Sądziłem, że chce mnie tylko odwiedzić. Pogadać. Czy raczej posłuchać, jak gadam. Był samotny, więc wydało mi się to normalne. Nie przypuszczałem, że może mieć do mnie jakiś interes.

Karaś zrobił przerwę. Kawęcki usłyszał syk zapalającego papierosa.

– Dlaczego powiedziałaś mu o Henryce Świst? – spytał Witold.

– To dawna przyjaciółka mojej matki. Wiedziałem, że Henia kiepsko sobie radzi. Przez większość życia nie pracowała. Zajmowała się rodziną, którą utrzymywał jej mąż. Kiedy zmarł, została sama z groszową emeryturą. Przez jakiś czas pomagała jej siostra, ale potem zachorowała. W dodatku z głową Heni nie działało się najlepiej. Problemy z pamięcią. Czasami nie rozpoznawała ludzi. Miała za to

sprawne nogi. A Krenc wyraźnie powiedział, że szuka starej, głęboko wierzącej kobiety, która będzie w stanie raz w tygodniu przejechać się autobusem i pokonać kilka pięter.

– Wiedziałeś, do czego była mu potrzebna?

Karaś milczał, zapewne kręcąc głową.

– Była to dziwna prośba, więc domyśliłem się, że chodzi o coś nielegalnego. Powiedział mi tylko tyle, ile powinienem wiedzieć. Że będzie mogła podłapać trochę grosza, nie robiąc nic szczególnie wymagającego.

– Groził ci?

– Nie musiał. On roztacza wokół siebie specyficzną aurę, dzięki której nie musi używać gróźb. Po prostu czujesz, że powinieneś zrobić to, o co cię prosi, bo inaczej stanie się coś złego. Dzięki Bogu, że rzadko czegoś chce.

– Dlaczego zgłosił się akurat do ciebie?

– Jak już mówiłem, nie znoszę ciszy. Widocznie mam cholernie długi jęzor. Musiałem kiedyś wypaplać, że utrzymuję niezły kontakt z koleżankami mojej matki. A Krenc najwyraźniej jest uważnym słuchaczem.

– Wiesz, jak on się naprawdę nazywa?

– Jeszcze pół godziny temu myślałem, że Krenc.

– A co właściwie o nim wiesz?

Starzec długo milczał. Oczekiwanie wypełniała Kawęckiemu symfonia żarzących się petów, jego i Karasia.

– Wiem, jak wygląda. I gdzie chodzi do kościoła. Nie mówił zbyt wiele, ale to z jakiegoś powodu było dla niego ważne, bo parokrotnie o tym wspominał.

Witold otworzył drzwi i wszedł do samochodu. Wręczył Kawęckiemu kubek z kawą.

– Rozmawiałem z Adamskim. Jest na nas wściekły. Uważa, że wprowadzamy chaos i dezinformację, utrudniając prowadzenie obu śledztw. Ale nie chce kolejnych trupów, więc wyśle jakichś przydupasów, żeby pilnowali Karasia. – Witold przyjrzał się Kawęckiemu, który tępo wpatrywał się w sufit. – I co o tym sądzisz?

Komisarz odczekał do końca nagrania, po czym wyciągnął słuchawki z uszu. Nieznacznie uniósł głowę, żeby napić się kawy. Głośno siorbnął i ponownie się położył.

– Znasz ten kościół, o którym mówił Karaś? – zapytał.

– Nie. Ale sprawdziłem już, gdzie jest.

– To odpalaj silnik. Pora się pomodlić.

Mężczyzna, który niepewnie uchylił drzwi do plebanii, przywitał ich w samych majtkach, które sądząc po kroju, miały około czterdziestu lat. Spod potarganej, rozrzuconej we wszystkie strony czupryny wyłonił się zapijaczony wzrok. Facet musiał się obudzić kilka minut przed ich przyjściem, ponieważ w trzęsących się dłoniach trzymał papierosa i kubek parującej kawy.

– Proboszcz Rafał Maćkowiak? – spytał niepewnie Witold, a kiedy tamten pokiwał głową, pokazał mu legitymację policyjną. – Chcielibyśmy zadać księdzu kilka pytań.

Maćkowiak zniknął w budynku. Chwilę później wrócił, odziany w sięgające ud czerwone spodenki, w których kiedyś pewnie ćwiczył na wuefie, oraz poplamioną białą koszulkę bez rękawów. Otworzył szeroko drzwi.

– Przepraszam za bałagan – oznajmił chrapliwym głosem, zapewne użytym po raz pierwszy tego dnia, i wprowadził policjantów do spartańsko umeblowanej salki. – Nie spodziewałem się gości.

– Nie szkodzi – odparł Witold. – Nie zajmujemy dużo czasu. Poszukujemy pewnego mężczyzny. Podejrzewamy, że regularnie bywa na mszach w ojca kościele.

Witold podał księdzu dyktafon.

– Proszę to przesłuchać.

– Nie mam jak.

Kawęcki wyciągnął z kieszeni poplątane słuchawki i podał je Maćkowiakowi. Udawał, że nie widzi karcącego spojrzenia Witolda.

– Ktoś, kto dobrze zna tego człowieka, przedstawił nam jego opis – wyjaśnił Witold. – Charakterystyka jest dość szczegółowa, więc może uda się księdzu skojarzyć, o kogo chodzi.

– Spróbuję – powiedział proboszcz, siadając na różnokolorowym drewnianym taborecie, który musiał być wielokrotnie malowany. Niekoniecznie celowo. Niekoniecznie przez zawodowców. – Panowie mogą się w tym czasie napić kawy. Przed chwilą woda się zagotowała. Proszę się rozgościć.

Policjanci stanęli przy zlewie. Popatrzyli na niepozmywane naczynia, wśród których dominowały szklanki i kieliszki. Witold znalazł na suszarce dwa względnie czyste kubki i sięgnął po stojący na blacie słoik z kawą. W tym czasie Kawęcki powąchał karton mleka. Cofnął głowę, jakby ktoś podetknął mu pod nos amoniak.

– Czekam, aż zaproponujesz komuś, żeby włożył sobie te słuchawki w dupę – szepnął do niego Witold.

– Nie wiem, czy po moich i jego uszach miałyby to jeszcze sens.

Witold przyjrzał się Kawęckiemu, który uśmiechał się pod nosem, zadowolony ze swojego dowcipu. Kacowy humor sugerował, że zaczyna odzyskiwać formę. To dobrze, bo był mu potrzebny. Prawdopodobnie bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Policjanci pili kawę w milczeniu, czekając, aż proboszcz odsłucha nagranie. Kiedy Maćkowiak skończył, wyciągnął słuchawki z uszu i podniósł się ze stołka. Oparł dłonie o blat i zwiesił głowę.

– Wiem, kto to jest – odparł. – Ale nie powiem wam, dopóki mi nie wyjaśnicie, dlaczego go szukacie.

– Podejrzewamy, że jest zamieszany w jedną ze spraw, które prowadzimy – wyjaśnił Witold.

– W jaką sprawę?

– To zabójca – oznajmił Kawęcki, a potem wyśpiewał dokładnie to, czego Witold nie chciał powiedzieć. – Najpierw zamordował dwudziestoczteroletnią studentkę, potem naszą koleżankę, a kilka dni temu załatwił Bogu ducha winną staruszkę. Mogę się założyć o każde pieniądze, że większego skurwysyna ksiądz jeszcze w swoim życiu nie spotkał. I miejmy nadzieję, że już nie spotka.

Kiedy proboszcz to usłyszał, usiadł, a właściwie upadł na stołek. Drżącymi rękoma sięgnął po kawę. Ale zamiast się jej napić, tylko wpatrywał się w zawartość kubka.

– To co, pomoże nam ksiądz? – ponaglił go Kawęcki.

Maćkowiak pokiwał głową.

– Czy któraś z jego ofiar straciła kciuk? – zapytał po chwili.

Policjanci spojrzeli po sobie.

– Tak – powiedział Witold. – Podejrzewamy, że zabójca zachował na pamiętkę palec tej studentki.

– Albo potraktował go jako trofeum – dodał Kawęcki.

Proboszcz wpatrywał się w kubek nieobecny wzrokiem.

– Kilka miesięcy temu przyszedł do mnie jeden z parafian. Powiedział, że jego córka wróciła z mszy zapłakana. Była przerażona. Twierdziła, że jakiś bardzo wysoki mężczyzna pokazał jej w kościele sztuczkę z odczepiającym się kciukiem.

– Z czym?

Kawęcki zademonstrował Witoldowi trik. Schował prawy kciuk do wnętrza dłoni i dostawił w jego miejsce lewy, opleciony palcem wskazującym. Następnie rozsunął dłonie.

– A potem pokazał jej prawdziwy kciuk, cały zakrwawiony. – Maćkowiak pokręcił głową. – Byłem pewien, że ktoś zrobił dziecku głupi dowcip. Że to był gumowy palec, taki ze sklepu ze śmiesznymi rzeczami. Nie przyszło mi do głowy, że... – Ksiądz zakrył twarz dłońmi. – Boże przenajświętszy!

Kawęcki popatrzył na niego z góry. Nieelegancko siorbnął kawę, a następnie podszedł do proboszcza. Poklepał go po ramieniu.

– Nie powinien ksiądz wzywać Jego imienia. On nie ma z tym nic wspólnego.

Nazywał się Seweryn Kostka. Był weterynarzem. Dobrym, choć niezbyt wylewnym i mało kontaktowym, jeśli wierzyć opiniom zamieszczanym na jego temat w sieci. Kilkanaście lat temu ukończył studia na Uniwersytecie Medycznym w Łodzi i od tego czasu z niewielkimi przerwami pracował w różnych klinikach weterynaryjnych. Nigdzie nie podał swojego wieku, ale sądząc po przebiegu jego kariery zawodowej, miał nieco ponad czterdzieści lat.

W internecie znaleźli tylko jedno jego zdjęcie. Niezbyt wyraźne, zrobione przy nędznym świetle, w dodatku w czasach, kiedy selfie nie były jeszcze popularne, a telefony nie przypominały wielofunkcyjnych komputerów. Miał na nim okrągłą, niewinną twarz, delikatnie kręcone włosy w kolorze siana i lekko zaczerwienione policzki. Przypominał wyrośnięte dziecko. Człowieka, który zamiast się starzeć, młodniał. Jak Benjamin Button.

– To on – zawyrokował Kawęcki, wpatrując się w ekran smartfona.

Witold zredukował bieg i zerknął na zdjęcie w jego telefonie. Potem ponownie skupił się na GPS-ie, który prowadził ich zadbanymi uliczkami Janowa. Prosto do mieszkania Kostki.

– Pobożny weterynarz, który udaje asystenta stomatologa – odezwał się Witold. – Brzmi dziwacznie, ale wiarygodnie. Jest w tym jakaś logika.

– Poznają go. To ten sam facet, którego widziałem w chacie.

Witold ze zdziwieniem popatrzył na Kawęckiego.

– Sporo potrafisz wywnioskować na podstawie tak chujowego zdjęcia.

– Zapamiętałem jego oczy. Te nieruchome, ciemne guziki. Jakby to w nich magazynował cały gniew.

Kiedy znaleźli się pięćdziesiąt metrów od celu, Witold zatrzymał samochód przy krawężniku, na wysokości jednego z kilku bliźniaczych, otoczonych zielenią bloków, które ciągnęły się wzdłuż spokojnej osiedlowej uliczki. Ostatni z nich, znajdujący się najbliżej niewielkiego skrzyżowania, należał do Kostki.

– Rozejrzyj się – powiedział Kawęcki. – To osiedle bogoli. Ludzi, którzy rozwiązują swoje problemy u psychoanalityków. Korposzczurów

zapierdalających w kołowrotku od świtu do nocy, żeby jak najszybciej dochrapać się władzy i pieniędzy.

– I co z tego?

– Przez cały czas myślałem, że znajdziemy go w jakiejś zapyziałej dziurze. W miejscu, w którym matki się puszczają, ojcowie chleją na umór, a dzieci uciekają z domów, ponieważ boją się, że ktoś je tam zatłucze. Jak to możliwe, że komuś żyjącemu w takich warunkach mogły się tak drastycznie poprzestawiać klepki?

– Oglądałeś *American Psycho*?

– Tu nie chodzi o mizoginizm jakiegoś popapranego yuppie.

– A o co?

– O religijne zaburzenie. Ten facet to chory z nienawiści fanatyk. Chrześcijański dżihadysta, który w imię jakichś powykrzywianych wartości nie cofnie się przed niczym.

– Mówisz, jakbyś go znał.

– Bo znam. Mam wrażenie, że przez kilka ostatnich miesięcy widywałem się z nim codziennie.

Witold ciężko westchnął.

– A jeśli to nie on?

– To on.

– Wejdziemy tam i co później?

– Obezwładnimy go i przeszukamy mieszkanie. Znajdziemy dowody i zadzwonimy po naszych.

– I co im powiemy?

– Że złapaliśmy największego skurwiela, jakiego widziało to miasto.

Witold pokręcił głową.

– Znowu się, kurwa, spieszymy. Tak samo jak z Nowakiem. Czuję, że po raz kolejny wpierdalasz nas na minę.

– Nie możemy czekać. Widziałeś, co ten człowiek zrobił Świstowej. Czas zakończyć to szaleństwo.

Mieszkanie Kostki znajdowało się na drugim piętrze. Policjanci przyglądali mu się przez mniej więcej godzinę, bezskutecznie próbując wybadać, czy ktoś znajduje się w środku. Kiedy się ściemniło, wysiedli z samochodu. W milczeniu podeszli do klatki schodowej. Poczekali, aż któryś z sąsiadów otworzy drzwi do budynku, po czym weszli.

To, co wymyślili, trudno było nazwać planem. Wiedzieli, że Kostka jest cholernie przebiegły i niebezpieczny. I prawdopodobnie zbyt ostrożny, żeby otworzyć drzwi komuś, kogo nie zna. A tym bardziej dwóm facetom, o których mógł wiedzieć znacznie więcej, niż im się wydawało. Sprowadzenie antyterrorystów także nie wchodziło w grę, ponieważ nie mieli wystarczająco silnych przesłanek – nie wspominając o dowodach – żeby ich ściągnąć. Musieli więc zastosować fortel.

Tylko jeden pomysł przyszedł im do głowy.

– I jak? – zapytał szeptem Witold.

Kawęcki przyjrzał mu się od stóp do głów. W przykrótkiej sutannie, pożyczonej od zrozpaczonego proboszcza, prezentował się co najmniej dziwnie.

– W porządku. Jak szybko jesteś w stanie wyciągnąć broń?

Witold włożył rękę między guziki i wydobyl pistolet. Zrobił to z gracją pijaka mocującego się z rozporkiem.

– Za wolno – stwierdził Kawęcki. – Jeśli zobaczysz, że ma broń, uskocz w bok. I módl się, żebyś był od niego szybszy.

Witold przez dobrych kilka sekund gapił się na Kawęckiego. Potem z niedowierzaniem pokręcił głową. Powierzając mu swoje życie, czuł się jak potencjalny kandydat do Nagrody Darwina.

Po cichu, poruszając się niemal synchronicznie, wdrapali się na drugie piętro. Kawęcki przykucnął tuż za Witoldem, ukrywając się za jego potężnym ciałem i sutanną. Nie miał wątpliwości, że Kostka wyjrzy przez wizjer, zanim zdecyduje się otworzyć. O ile w ogóle to zrobi.

Głośno oddychając, Witold podszedł do drzwi. Upewnił się, że ma odbezpieczoną broń, i nacisnął dzwonek. Nasłuchiwał. Czekał na odgłos niosących się przez przedpokój kroków. Na jakikolwiek dźwięk dobiegający z wnętrza mieszkania. Ale odpowiedziała mu idealna cisza. Odczekał więc kilkanaście sekund i ponownie wcisnął dzwonek. Znowu nic. Zrezygnowany odwrócił się do Kawęckiego.

– Co teraz?

Komisarz z trudem się podniósł. Zabezpieczył pistolet i wsunął go do kabury. Zastanawiał się, co zrobić. Chwilę później ponownie sięgnął po broń.

– Co ty wyprawiasz?

– Wchodzimy.

– Nie mamy nakazu.

– Pieprzyć nakaz. Nie takie rzeczy robiło się bez świstka. – Kawęcki stanął na wprost drzwi. – Odsuń się. Przestrzelę zamek.

Witold głośno parsknął.

– Facet pewnie ma gerdę i masę innych zabezpieczeń, więc nic w ten sposób nie zdasz. W najlepszym wypadku oberwiesz rykoszetem. W najgorszym odstrzelisz sobie łeb. Oduść.

Ale Kawęcki go nie słuchał. Zanim Witold wytoczył kolejną serię argumentów, on już celował w zamek, drżącymi rękoma ściskając pistolet.

– Jesteś pojebany – warknął Witold i wycofał się na półpiętro.

Kawęcki wiedział, że nie może strzelić z przyłożenia, ponieważ skończyłoby się to dla niego tragedią. Odsunął się na odległość mniej więcej dwóch metrów i opuścił głowę, jak tylko się dało, żeby nie stracić celu z oczu. Żałował, że nie ma przy sobie kasku. Hełmu. Przyłbicy. Czegokolwiek, co zmniejszyłoby prawdopodobieństwo, że odstrzeli sobie ryj.

Głośno przełknął ślinę i położył palec na spuście.

– Poczekaj – powiedział Witold.

– Nie mamy czasu.

– Ktoś stoi obok mojego auta.

Kawęcki opuścił pistolet. Zszedł na półpiętro. Pochylił się obok Witolda i wyjrzał przez okno. Mimo ciemności dostrzegł przy samochodzie mężczyznę, który wyraźnie górował nad pojazdem. Dwie wypchane po brzegi siatki z zakupami dyndały mu na wysokości kolan. Facet przyglądał się furze, jakby zamierzał ją ukraść. W pewnym momencie odłożył zakupy i zanurkował do kieszeni kurtki. Chwilę później się pochylił.

– To on – powiedział Kawęcki.

– Jesteś pewien?

Zamiast odpowiedzi Witold usłyszał stukot butów. Kawęcki popędził schodami w dół.

Kiedy komisarz wybiegł z klatki, wielkolud podniósł głowę. Spojrzał w kierunku policjanta i bez zastanowienia rzucił się do ucieczki. Mimo

że kulał, przypominając wielką pokraczną górę mięcha, jego potężne cielsko zaskakująco szybko nabrało rozpędu. W ciągu zaledwie kilku sekund ominął sąsiedni blok, skręcił w prostopadłą uliczkę i na moment zniknął policjantom z oczu.

Kawęcki, ciężko dysząc, pobiegł za nim. Gdy wyłonił się zza bloku, zobaczył, że facet wsiada do samochodu. Miał nad policjantem kilkadziesiąt metrów przewagi i właśnie uruchamiał silnik. Kawęcki zrozumiał, że nie ma szans go dopaść. Nie z tak nędzną kondycją. Nie po kilku miesiącach upadlania się. Nie po nocy, w którą wlał w siebie cysternę wódki. Zamiast tego uniósł broń i wycelował w stronę odjeżdżającego pojazdu.

– Wsiadaj! – zawołał Witold. Właśnie dobiegł do swojego samochodu, przytrzymując sutannę, która plątała mu się między nogami. – Dogonimy go.

Kawęcki tym razem go posłuchał. Opuścił pistolet i popędził do auta. Kiedy tylko wsiadł, Witold zawrócił na wąskiej asfaltowej drodze, niemal wjeżdżając do czyjegoś ogródka, i rzucił się w pogoń. Z czarną kiecką na grzbiecie i wściekłością wymalowaną na twarzy wyglądał jak pieprzony Batman.

Ale po przejechaniu kilkudziesięciu metrów jego batmobilem zatrzęsło. Auto błyskawicznie zaczęło tracić prędkość.

– Kurwa mać! – warknął Witold, uderzając otwartą dłonią w kierownicę. – Skurwiel przebił nam opony.

Chwilę później zatrzymał się na środku drogi. Kawęcki wysiadł i rozejrzał się dookoła. Szukał wzrokiem oddalającego się samochodu. Ale ten bezpowrotnie zniknął za blokami Janowa.

Po Sewerynie Kostce zostały jedynie dwie siatki z zakupami, których zawartość wysypała się na chodnik.

– Dzwonź po wsparcie – powiedział Kawęcki, z trudem łapiąc oddech. – Niech szukają czarnej toyoty avensis o numerze rejestracyjnym EL cztery siedem dwa zero J. Trzeba zorganizować obławę.

Sierpień

– Znacie dowcip o rabinie i urzędniku skarbowym?

Adamski siedział bokiem do stołu, jakby chciał wyeksponować swój lepszy profil. Uderzał palcami w blat, wystukując dynamiczny rytm, i patrzył, jak Filipski i Stelmach kręcą głowami.

Nowy naczelnik Wydziału Kryminalnego delikatnie się uśmiechnął. Ale nie do policjantów, lecz do kamery. W przeciwieństwie do swojego poprzednika lubił znajdować się w centrum uwagi. Być słuchanym i podziwianym. Szanowanym. Traktowanym, jak przystało na oficera, który do wszystkiego doszedł własną cholernie ciężką pracą. Jak pieprzony self-made man.

– Urząd skarbowy przeprowadza kontrolę w synagodze. Kontroler po obejrzeniu wnętrza podchodzi do duchownego i pyta: „Rabinie, a co robicie z resztkami świec?”. Rabin na to: „Wszystko skrzętnie zbieramy i odsyłamy do producenta, który raz w roku przysyła nam darmowe świece”. Ale urzędnik, wyjątkowo upierdliwy typ, nie daje za wygraną: „A co robicie z okruszkami chleba po jedzeniu?”. „Wszystko skrzętnie zbieramy i odsyłamy do piekarza, a ten raz w roku daje nam darmowy bochenek chleba” – odpowiada rabin. Kontroler, wyraźnie

niepocieszony, kiwa głową. Myśli. Knuje. W końcu zadaje pytanie: „A co robicie z tymi wszystkimi napletkami, które wam zostają po obrzezaniu?”. A rabin na to: „Wszystko skrzętnie zbieramy i wysyłamy do urzędu skarbowego. A ten raz w roku przysyła nam takiego chuja jak ty”.

Adamski przyjrzał się policjantom. Wyglądali raczej na zniesmaczonych niż rozbawionych. Raczej na zmęczonych niż pełnych wigoru. Naczelnik ciężko sapnął i odwrócił się do nich przodem.

– Kawęcki jest jak ten kontroler z dowcipu. To strasznie upierdliwy i uparty typ. Jeśli wyrzucisz go drzwiami, to wlezie oknem. Możesz go obrażać, poniżać, rzucać mu kłody pod nogi, ale on i tak będzie robił swoje. To, co podpowiada mu jego pokręcony umysł. – Adamski wzruszył ramionami. – Ale nie mam pojęcia, czy układał się z gangusami.

– Próbował się pan dowiedzieć? – spytał Filipski.

– Oczywiście. Przecież musiałem poznać człowieka, z którym miałem pracować. Niestety albo stety, nie znalazłem nic, co by o tym świadczyło.

– A może jest pan po prostu kolejnym naczelnikiem, który przymyka na to oko. – Filipski poruszył się na krześle, jakby zaswędziało go tyłek.

– Może podobnie jak Szczebiot postanowił pan nie zauważać współpracy Kawęckiego z przestępcami.

– Niby czemu?

– Ze względu na jego wyniki. Pomagając jednym gangsterom, Kawęcki wyklucza z rynku drugich. To dobrze wygląda w statystykach. Gdyby nie styl, okoliczności i brak zgodności z prawem, jego

osiągnięcia w rozbijaniu grup wymuszających haracze byłyby imponujące. Musi pan to przyznać.

Adamski wolno kręcił głową, przygryzając wargi. W pewnym momencie zapatrzył się w środek stołu.

– Wiecie, kim był mój ojciec? – zapytał.

– Policjantem – odparł Filipski.

– Cholernie dobrym policjantem. Facetem z zasadami. Kiedy jego koledzy obijali się na służbie albo próbowali molestować koleżanki, on patrolował ulice. Oni łazili na dziwki, a on się uczył, przewalając kolejne tomy prawniczych i psychologicznych książek. Nigdy nie brał w łapę. Wręcz przeciwnie: wsadzał do pierdła każdego, kto proponował mu pieniądze. Oczywiście nie był ideałem. Przede wszystkim trochę zbyt często zaglądał do kieliszka. Ale gdyby każdy policjant postępował tak etycznie jak on, dziś reprezentowalibyśmy jeden z najbardziej szanowanych zawodów w tym kraju. – Adamski spojrzał w obiektyw, jak gdyby chciał złapać kontakt wzrokowy z kimś, komu przyjdzie oglądać to nagranie. – W każdym razie stary nauczył mnie uczciwości. Kiedy zacząłem pracę w policji, powiedział, że jeśli się kiedyś dowie, że robię jakieś wałki albo zachowuję się jak ludzie, którymi przez te wszystkie lata gardził, to wydlubie mi oczy widelcem. – Parsknął śmiechem na to wspomnienie. – Jak już mówiłem, to był człowiek z zasadami. Nigdy nie kłamał. I nie żartował.

Adamski sięgnął do kieszeni. Wyciągnął paczkę orbitek i włożył jedną do ust. Odsunął się od stołu. Skrzyżował ręce na piersi i rzucił Stelmach powłóczyście spojrzenie. Jakby chciał ją zaprosić na randkę.

– Czyli z prześwietlenia Kawęckiego nic nie wyniknęło? – odezwał się Filipski.

– Tego nie powiedziałem. Twierdzą tylko, że w tym całym zamieszaniu z Kawęckim musi chodzić o coś innego.

– O co?

– O więź. – Naczelnik na kilka sekund przestał młócić gumę. – Kawęcki buduje jakąś dziwną relację z ludźmi, którzy go otaczają. Zwłaszcza ze Szczebotem i z Witoldem. Ale to samo zrobił z Magdą Giętką. W jakiś sposób udaje mu się ich uzależnić od siebie. Oddaje im zrujnowane elementy swojego świata. Wpuszcza ich tam, gdzie jest najpaskudniej. Każdego w inne miejsce. Zmusza ich, żeby się tam snuli. Pełzali jak robaki. Bez szansy na wydostanie się w jednym kawałku.

Filipski wygiął usta w podkowę i poprawił okulary.

– Obawiam się, że pana nie rozumiem.

– Magda i Witold przyłgnęli do Kawęckiego, jakby był dla nich najważniejszą osobą na świecie. Odniosłem wrażenie, że bardziej zależało im na rozszyfrowaniu, co siedzi w jego głowie, niż na złapaniu zabójcy. Zresztą ze Szczebotem działa się dokładnie to samo. Niedziwne, że w pewnym momencie Kawęcki zaczął ich zarażać.

– Czym? – odezwała się Stelmach.

– Paranoją. Dali się wciągnąć w jego grę. Pełną spisków, intryg, szeptów i symboli. To ich przytłoczyło. Przesłoniło im wszystko inne. Sprawilo, że razem z nim zaczęli uganiać się za jakimś wyimaginowanym stworem, zamiast skupić się na rzetelnym prowadzeniu śledztwa.

– Pan nie wierzy w to, że ten człowiek jest seryjnym zabójcą?

– Ja już nie wiem, w co powinienem wierzyć. W takiej sytuacji najlepiej jest wierzyć w swoje zasady. I w dowody.

Naczelnik wyszczerzył zęby do kamery. Następnie poprawił grzywkę i zaczął się wachlować kołnierzem.

– Wie pani, co mi powiedzieli o Kawęckim, zanim zostałem szefem wydziału? Że on jest jak karaluch. Przetrwa wszystko. Nawet wybuch bomby atomowej. Ale według mnie bardziej przypomina szczura. Inteligentnego, sprytnego, zawziętego. Potrafiącego ukrywać się w kanałach. Ale to w dalszym ciągu tylko gryzoń, którego można unieszkodliwić. Musi tylko trafić na dobrego szczurołapa.

Tydzień wcześniej

Seweryn Kostka nie miał w mieszkaniu żadnych roślin. Nie było w nim zwierząt ani śladów pazurów na meblach. Nie gromadził zdjęć rodzinnych, obrazów, tekstyliów, ozdób, pamiątek czy szpargałów, które zwykle odróżniają dom od pokoju hotelowego. Meble były stare, ale nie zniszczone, jakby tu jedynie pomieszkiwał. Policjanci nie znaleźli w jego mieszkaniu telewizora, telefonu stacjonarnego, komputera ani pralki. Nieliczne szafki wypełniały głównie równo złożone ubrania, pościel i ręczniki. A także różnej maści narzędzia: śrubokręty, przecinaki, obcęgi czy młotki.

– Sprawdźcie je – nakazał Adamski jednemu z policyjnych techników. – Każde z nich jest potencjalnym narzędziem zbrodni. Tej albo innej.

Wrzucił gumę do ust i spojrzał na Kawęckiego. Komisarz stał z przekrzywioną głową przed potężnym regałem. Wodził palcem po grzbietach książek i uważnie wczytywał się w tytuły. Jakby chciał się ich nauczyć na pamięć.

– Jakież wnioski? – zapytał Adamski.

Kiedy Kawęcki odwrócił się w jego stronę, blondyn poczuł od niego woń strawionego alkoholu. Nie pierwszy raz. I domyślał się, że nie ostatni.

– Kostka lubi filozofię. Hume, Schopenhauer, Heidegger, Kotarbiński – wyliczał Kawęcki. – Ale prawdopodobnie woli religię. – Wycelował palcem w stojącą przy ścianie drewnianą ławę, na której leżała gruba księga. – To Biblia Warszawska. Wygląda na to, że facet jest ewangelikiem.

– Czyli nie przepada za papieżem.

– To dziwne. Wiemy, że regularnie chodził na katolickie msze. W dodatku prawdopodobnie podszywał się pod księdza.

– Może cierpi na rozdwojenie jaźni.

Kawęcki pokręcił głową.

– Raczej doznał duchowego nawrócenia. Zapijaczony proboszcz, od którego wzięliśmy jego adres, twierdzi, że ich ostatnie spotkanie skończyło się kłótnią. Nie zgodził się, żeby Kostka został nowym kościelnym. Od tego czasu nasz ulubieniec przestał pojawiać się na jego mszach.

– Kiedy to było?

– Kilka miesięcy temu. Niedługo po zabójstwie Bułeckiej.

Adamski podszedł do ławy. Otworzył księgę i zaczął ją kartkować. Niemal na każdej stronie znajdowały się jakieś notatki, wypisane na samoprzylepnych żółtych karteczkach. Było ich mnóstwo. Przynajmniej kilkaset.

– Pierdolony bigot – syknął. Następnie odwrócił się do policjantów i techników, którzy przetrząsali mieszkanie. – Macie coś jeszcze?

W odpowiedzi dostał popis synchronicznego kręcenia głową.

– Nic, co mogłoby nam powiedzieć, gdzie go szukać – odparł Witold, który kuczał przy jednej z otwartych na oścież szafek. – Żadnych adresów, nazwisk ani numerów telefonów. Płacił rachunki na czas i wszystko starannie dokumentował. Papiery gromadził w jednakowych niebieskich segregatorach. – Otworzył jeden z nich. – Nawet koszulki na dokumenty są w nich identyczne.

– Bigot, pedant i zabójca. Wspaniale. Coś jeszcze?

– Musieliśmy wyłamać zamek, żeby dostać się do kredensu. Jest pusty, ale coś ewidentnie zostało z niego zabrane. I musiało to się wydarzyć niedawno, ponieważ nie zdążył w nim jeszcze osiąść kurz. Są też torebki.

– Torebki?

– Siatki z zakupami, które Kostka porzucił, gdy zaczęliśmy za nim biec. Były wypchane po brzegi. Miał w nich głównie produkty spożywcze, między innymi kawę, przeciery pomidorowe czy płatki śniadaniowe. Artykuły, które szybko się nie zepsują.

– I o czym to świadczy?

– Wyczyszczony kredens sugeruje, że szykował się do ucieczki. Ale zakupy temu przeczą.

– Nie zrobił ich z myślą o tym mieszkaniu – włączył się Kawęcki – tylko żeby zaopatrzyć swoją kryjówkę. – Kiedy podniósł głowę, zobaczył, że inni patrzą na niego, jakby był trędowaty. – To sentymentalny gość. Przyzwyczajają się do miejsc. Może chciał po raz ostatni odwiedzić swój ulubiony sklep osiedlowy.

– Mógł to lepiej rozegrać – zauważył Adamski. – Zapewne wiedział, że go szukamy, mimo to przyjechał tutaj. I jeszcze po drodze zrobił

zakupy.

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Może lubi adrenalinę. Albo uważa nas za kompletnych idiotów, którzy nie dadzą rady go złapać, nawet jeśli stanie przed nimi w rozkroku. Nie wiem, czym powinniśmy się bardziej martwić.

Kilka minut później w mieszkaniu zjawił się Szczebiot. Rozejrzał się po korytarzu, a potem wszedł do salonu. Tam czekali na niego Kawęcki i Witold. A także Adamski. Ten ostatni poczęstował go drwiącym uśmiechem, jakby Szczebiot łąził w zaszczanych spodniach. Nawet w takiej chwili nie potrafił odpuścić. Był jak aktor jednej roli.

– Sprawdzamy jego buty – powiedział Szczebiot. – Jeśli uda nam się potwierdzić, że to ich ślady znaleźliśmy na miejscu zabójstwa Magdy, będziemy mogli oficjalnie rozpocząć poszukiwania.

– Rozmiar czterdzieści jeden – zauważył Kawęcki.

– To za mało, żeby się za nim rzucić.

– Nie o to chodzi. Facet ma dwa metry wzrostu. Ilu znasz dwumetrowych gości z takimi stopami?

Kawęcki i Szczebiot spojrzeli na Witolda. Spuścili wzrok.

– Sugerujesz coś? – zapytał Szczebiot.

– Może ma małego fiuta – odezwał się stojący kilka metrów dalej Adamski. Przyglądał się technikowi, który przetrząsał szafę podejrzanego. – Byłoby mi naprawdę przykro, gdyby się okazało, że zabił, ponieważ bardzo kocha Boga i ma małą kuśkę. Liczyłem na to, że ścigamy bardziej wysublimowanego świra.

Przeszedł obok Szczebiota, trącając go ramieniem. Jak łobuz na szkolnym korytarzu. Potem wyciągnął z kieszeni dzwoniący telefon. Zamknął się w sąsiednim pokoju, żeby go odebrać.

– Co cię tak bawi?

Szczebiot spojrział na Kawęckiego, który wertował Biblię. Komisarz podniósł głowę i poklepał opasłe tomiszczce.

– To prawdopodobnie jedyna rzecz w tym mieszkaniu, która ma dla niego większą wartość. A to oznacza, że nadepnęliśmy mu na odcisk.

– Wolałbym go złapać, zamiast wkurwiać – odezwał się Witold.

Kawęcki przerzucił kilka stron, wczytując się pobieżnie w zapiski Kostki.

– To zrób z tego przynętę.

Komisarz posłał mu tajemniczy uśmiech, po czym wyciągnął z paczki papierosa. Zatknął go za ucho i wyszedł z mieszkania.

To był jeden z pierwszych prawdziwie upalnych wieczorów w roku. Kiedy Witold wyszedł przed klatkę schodową, okazało się, że nie musi zakładać kurtki. Koszulka też była zbędna. A najchętniej zdarłby z siebie wszystko i wrócił nago do domu, ściągając na siebie drwiące spojrzenia. Zasłużył na to. Być może bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Ale zamiast tego przewiesił kurtkę przez ramię i sięgnął po papierosa. Rozejrzał się wokół.

Kawęcki miał rację, skonstatował. Być może Janów nie był typowym osiedlem bogaczy, ale z pewnością zaliczał się do miejsc, w których rzadko działo się coś dziwnego. Na twarzach mieszkańców, którzy wypełzli z domów, gdy na ulicy zaroilo się od policjantów, widział zaskoczenie i ciekawość. Jeżeli czuli strach, to raczej horrorowy niż rzeczywisty. Jakby nie dopuszczali do siebie myśli, że jeden z ich sąsiadów – a więc jeden z nich – mógł być zwyrodnialcem. Jakby bańka, w której żyli, za nic nie chciała pęknąć.

Witold przeszedł obok pary funkcjonariuszy, która tłumaczyła coś młodemu mężczyźnie z hipsterskimi wąsami, płócienną torbą przewieszoną przez ramię i smartfonem w ręku. Prawdopodobnie dziennikarzowi. Dość upierdliwemu, jeśli wierzyć minie policjanta, który odpowiadał na jego pytania. Witold odetchnął, kiedy się okazało, że wąsacz nie zwraca na niego uwagi, i przeszedł na drugą stronę jezdni. Stał pomiędzy przechodniami. Wtopił się w tłum. O ile może to zrobić prawie dwumetrowy facet śmierdzący potem i papierosami, z twarzą wyzutą z energii. Przypominający goryla na narkotycznym zjeździe.

Przykucnął. Splunął przed siebie. Opuścił głowę i spojrzał na chodnik. Po kilkunastu sekundach zrobiło się wokół niego pusto. A po kilku następnych wyrosła przed nim para czerwonych butów.

– Sprawdziliśmy piwnicę – oznajmił Artur, nie czekając, aż Witold zwróci na niego uwagę. – Kostka trzyma w niej wielką nieużywaną plazmę, designerskie meble i jakieś dziwaczne lampy. Znaleźliśmy też kilka zasuszonych roślin. Ma tam nawet PlayStation 4 i całe pudło gier.

Witold podniósł się z wysiłkiem. Jego kolana chrupnęły, jakby przegryzł chipsa.

– Czyli Kostka wie, że nie jest najnormalniejszy. Starał się to ukryć. To z kolei sugeruje, że od czasu do czasu ktoś musiał go odwiedzać.

– To nie wszystko. W mieszkaniu i na torbach z zakupami nie znaleźliśmy ani jednego odcisku palca.

– Jak to możliwe?

– Tak. – Artur wyciągnął telefon i pokazał Witoldowi fotografię kilku tekturowych pudeł.

– Co w nich jest?

– Lateksowe rękawiczki. Takie, jakich się używa na miejscu zbrodni. Albo w szpitalach. Musiał w nich nieustannie paradować. – Waliszewski parsknął śmiechem, jakby nie dawał wiary własnym słowom. – To jakiś chory skurwiel.

– Tyle to wiedzieliśmy, zanim weszliśmy do jego mieszkania. Szukajcie dalej.

Artur ze współczuciem popatrzył na Witolda. Chwilę później wręczył mu kluczyki.

– Załatwiłem ci samochód zastępczy. Stoi tuż za rogiem. Srebrna octavia. Twój jest w warsztacie. Jutro będziesz mógł go odebrać.

Witold wziął od niego kluczyki i w podziękowaniu pokiwał głową. Odprowadził Artura wzrokiem do budynku. Potem jeszcze raz się rozejrzał. Popatrzył na funkcjonariuszy przepędzających natarczywego dziennikarza. Na mieszkańców Janowa, którzy w gorączkowych rozmowach próbowali ustalić, z czego wynikło całe zamieszanie. I na dzieci bezładnie krzątające się po ulicy, zachwycone tym, że na ich nudnym osiedlu, z którego nieustannie uciekają do internetu, w końcu wydarzyło się coś ciekawego. Coś, czego kompletnie nie rozumiały. Tak samo jak wszyscy ludzie, którzy tego dnia znaleźli się w pobliżu mieszkania Seweryna Kostki.

Dopalił papierosa, zgasił peta pod butem i skierował się w stronę samochodu.

Poruszał się flegmatycznie, jak gdyby kontemlował każdy swój krok. Ktoś mu kiedyś powiedział, że Steve Jobs lubił rozmawiać o biznesie podczas spacerów, ponieważ wtedy wpadał na najlepsze pomysły. Nakręcał zwoje mózgowie. Wprawiał w ruch maszynę, która wypluwała kolejne iMaki, iPody i iPhone'y. Ale w przypadku Witolda

to tak nie działało. Miał wrażenie, że jego głowa jest kompletnie pusta. Że rozpanoszyła się w niej czarna dziura, chciwie pochłaniająca wszelkie myśli. Wolno i niepokojąco swobodnie dryfowała tylko ta, że spieprzyli sprawę. Że byli cholernie blisko złapania faceta, którego szukają od miesięcy, ale dali mu się wykiwać. I że może to być katastrofalne w skutkach.

Kiedy doszedł do octavii, wyciągnął kluczyki i otworzył pilotem drzwi. Zanim wsiadł, po raz ostatni zerknął w kierunku mieszkania Kostki. I od razu tego pożałował. Z ciemności wyłonił się szczupły mężczyzna z jasną czupryną, zaciętą twarzą i palcem wskazującym wycelowanym prosto w niego.

– Ładuj się – powiedział Adamski. – Musimy pogadać.

Zanim Witold zdążył dobrze przetrwać to polecenie, Adamski już siedział w samochodzie. Nie żuł gumy, nie uśmiechał się, nie poruszał. Ze spuszczoną głową wbił się w fotel. Był wściekły. Albo zdjęty strachem. Albo jedno i drugie.

– Świadkowie twierdzą, że widzieli jakiegoś faceta paradującego w kostiumie księdza – powiedział. – Nie obchodzi mnie, który z was wystroił się w kieckę ani dlaczego, ale macie coś z tym zrobić. Nie chcę, żeby ta informacja wyciekła do mediów.

– Kto w końcu prowadzi to śledztwo: ty czy Szczebiot?

– A kogo wolisz wkurwić: starego czy nowego szefa?

To nie było pytanie, na które Witold musiał odpowiedzieć. Dlatego zamilkł, bawiąc się brelokiem do kluczyków.

– Gdzie jest Kawęcki?

– Wyszedł.

– Jak to „wyszedł”?

– Po prostu. Wyszedł. Nie ma go.

– A gdzie jest?

– Nie wiem. Nie powiedział.

– Zadzwoń do niego. – Adamski po raz pierwszy spojrzał na Witolda. – Teraz.

Witold wyciągnął telefon. Wybrał numer Kawęckiego. Po kilku sygnałach pokręcił głową.

– Nie odbiera. Co się stało?

– Mamy problem. Z naszym ulubionym prokuratorem.

– Wiem. Widziałem tekst w gazecie.

– Nie chodzi o artykuł.

– A o co?

Adamski przejechał dłonią po twarzy.

– Pamiętasz, że notatnik Magdy zaginął?

Witold kiwnął głową.

– Podejrzewaliśmy, że musiały w nim być informacje, które w jakiś sposób mogłyby doprowadzić nas do sprawcy. Zaczęliśmy więc bardzo szczegółowo odtwarzać ostatnie dni życia Magdy. Sprawdziliśmy, co robiła, z kim się spotykała, jakie strony odwiedzała w internecie i nad czym pracowała. Informatycy ustalili, że kilka dni przed zaginięciem sprawdzała jednego faceta. Odwiedziliśmy go. Potwierdził, że spotkał się z Magdą. Miała go zauważyć podczas obserwacji domu jakiegoś pisarza, prawdopodobnie Możejki. Z tego powodu wydał się jej podejrzany. Ale po spotkaniu uznała, że był to tylko zbieg okoliczności, więc dała facetowi spokój. Uwierzyła mu. A my uwierzyliśmy w jego alibi na dzień zniknięcia Magdy. Moi ludzie sporządzili raport i

przesłali go do mnie. Ja go pobieżnie przejrzałem i przyznałem im rację. Zapomnieliśmy o temacie. Ot, kolejny ślepy trop.

Adamski ponownie opuścił głowę. Bezdźwięcznie poruszał ustami. Chciał jeszcze coś dodać, jakoś spuentować swoją wypowiedź, ale nie chciało mu to przejść przez gardło.

– Ten facet to Kostka – wyręczył go Witold.

Adamski niechętnie to potwierdził.

– Pamiętasz, na co się umówiliśmy na początku śledztwa? – zapytał.

– Że będziemy mieć dostęp do waszych raportów.

– Że wszystkie nasze ustalenia w sprawie zabójstwa Magdy będą do was trafiać z niewielkim opóźnieniem. I dotrzyaliśmy słowa. Kłopot w tym, że akurat ta informacja nigdy do was nie dotarła. Właśnie przejrzałem dokumenty, które wam wysłaliśmy. Nigdzie nie ma wzmianki o Kostce.

– Może któryś z twoich ludzi zataił tę informację?

– Nie sądzę. Ufam im. Może nie bezgranicznie, ale na tyle, aby wierzyć, że tego nie zrobili. Jediną osobą spoza mojego zespołu, która ma wgląd do tych raportów, zanim do was trafią, jest Warga. – Adamski wbił w Witolda lodowaty wzrok. – Na samym początku śledztwa uczulił mnie, żeby wszystkie informacje, które będziemy wam przysyłać, przechodziły przez niego. Chciał mieć pełną kontrolę nad naszą komunikacją.

– Kurwa mać! – warknął Witold.

– Warga wiedział, że Kawęckiemu zapali się lampka ostrzegawcza, kiedy się dowie o dwumetrowym weterynarzu.

– A co z alibi Kostki?

– Sprawdzimy je jeszcze raz. Ale najwyraźniej było gównem warte.

Witold zapatrzył się w szarą twarz Adamskiego. Podejrzewał, że jego musi wyglądać podobnie.

– Rozmawiałeś z Wargą? – zapytał.

– Nie mogę się z nim skontaktować. Nie pojawił się dzisiaj w pracy, a jego sekretarka nie ma pojęcia, gdzie jest. Pufff! – Adamski teatralnie rozłożył dłonie. – Zniknął. Podobnie jak twój zapijaczony kumpel, który w tym momencie bardzo by nam się przydał. Domyślasz się, gdzie może być?

Długo się nie zastanawiając, Witold pokręcił głową. Nie miał pojęcia, gdzie jest Kawęcki. I chyba wolał nie wiedzieć.

Kawęcki po raz ostatni zaciągnął się papierosem i wyrzucił niedopalonego szluga na chodnik. Uniósł głowę i zerknął na pstrokaty szyld, tak brudny, że ledwo dało się z niego odczytać nazwę lokalu. Wziął głęboki oddech i wszedł do środka. Do Hydry. Prosto w paszczę lwa.

Nie przypuszczał, żeby w ciągu kilku miesięcy wewnątrz speluny mogło się diametralnie zmienić. Ale zanim zdążył się rozejrzeć i to zweryfikować, zauważył gwałtowne poruszenie za barem. Barman schylił się po coś, co znajdowało się za kontuarem, i zaczął kuśtykać w stronę Kawęckiego. Po chwili wyłonił się zza lady z kijem bejsbolowym w rękach.

– Spierdalaj stąd, pedale – warknął.

Kawęcki uniósł ręce nad głowę. Uznał, że barman powinien zrozumieć ten międzynarodowy gest kapitulacji, zdecydowanie niewymagający wytężonego namysłu. Że wbrew pozorom nie jest skończonym kretynem. I że nie jest sadystą.

– Myślałem, że mnie nie poznasz – powiedział Kawęcki. – Od naszego ostatniego spotkania przybyło mi trochę włosów.

Tak naprawdę nie miał pojęcia, co ten wąsaty facet z piwnym kałdunem mógł zapamiętać z tamtego wieczoru. Kiedy kilka miesięcy temu znajomy weterynarz podrzucił mu cynk, że na zapleczu Hydry można spotkać gangsterów handlujących niebezpiecznymi rasami psów, Kawęcki wybrał się do baru. Mimo że z pokancerowaną, ogoloną na łyso głową wyglądał jak ofiara wypadku samochodowego albo nieudanego zabiegu neurochirurgicznego, barman od razu rozpoznał w nim gliniarza. Węszącego tam, gdzie nie powinien. I właśnie z tego powodu wąsacz próbował wyrzucić mu krzywdę. Tyle że Kawęcki był od niego szybszy. A właściwie jego uzbrojona w kastet pięść, która na tyle głęboko zanurzyła się w kroczu mężczyzny, że kilka minut później komisarz musiał wezwać do niego karetkę.

– Wynoś się stąd albo rozjebię ci łeb.

– Przyszedłem do twojego szefa. Czeka na mnie. Zawołaj go.

– Myślisz, że nie odważę się zajebać psa przy świadkach?

– Sądzę, że brakuje ci jaj.

Kawęcki wydusił z twarzy najbardziej irytujący uśmiech, na jaki było go stać, po czym rozejrzał się po barze. Dwaj faceci grający na maszynach byli tak zaaferowani traceniem pieniędzy, że mogli nawet nie zarejestrować jego obecności. Jakiś spaślak w skórzanej kurtce opróżniał piwo w takim tempie, jakby odbudowywał pijacką formę po detoksie. Jedynie podstarzały mężczyzna siedzący w kącie sali wychylił głowę znad gazety, zainteresowany tym, czy tego wieczoru bar zafunduje mu dodatkowe atrakcje.

Barman zamachnął się kijem, ale nie wyprowadził ciosu. Zmierzył Kawęckiego pełnym nienawiści wzrokiem. W końcu opuścił pałkę, choć ewidentnie miał ochotę zrobić z nią coś innego, i z luźnych dresowych spodni wyciągnął telefon.

– Już jest – powiedział, po czym się rozłączył. – Gdyby nie Roman, już dawno bym cię rozjebał.

– Nie wątpię. Tak jak rozjebałeś mnie ostatnio.

Kawęcki zrobił kilka kroków w tył, starając się nawet na chwilę nie stracić barmana z oczu, i oparł się o ścianę. Zapalił papierosa. Kiedy po kilku machach poczuł, że zaczyna się rozluźniać, z ukrytego za barem pomieszczenia wyłonił się Quentin. Wycelował palcem w drzwi wejściowe.

– Wypierdalać. Wszyscy. – Mówił wystarczająco głośno, żeby każdy mógł go usłyszeć. – Ty też – zwrócił się do barmana.

Nie musiał się powtarzać. Lokal błyskawicznie opustoszał. Zostali w nim tylko Kawęcki i Quentin, którzy wbijali w siebie intensywne spojrzenia. Robili to jednak w zupełnie inny sposób. Kawęcki patrzył z niepewnością i lękiem, który próbował ukryć za irytującym półuśmiechem. Natomiast gangster gapił się tak, jakby się zastanawiał, na ile kawałków powinien pokroić policjanta, żeby się zmieścił do walizki.

– To nie przez ciebie kuleje – wyjaśnił Quentin, wskazując ladę odstającą brodą. – Mówię o barmanie.

– Domyśliłem się.

– Kilka tygodni temu zgłosił się do mnie po podwyżkę. Zapytałem, dlaczego uważa, że na nią zasłużył. Nie potrafił odpowiedzieć. Ale w

końcu wydusił z siebie, że sporo wie o niektórych sprawach. I choć jest to trudne, potrafi trzymać gębę na kłódkę.

– Co mu zrobiłeś?

– Roman kazał mi zabić tego śmiecia. Ale przekonałem go, że to nie jest konieczne. Że zamiast tego moglibyśmy zrobić z niego chodzący przykład. – Quentin uśmiechnął się okrutnie. – Widziałeś kiedyś, jak się wycina rzepkę bez znieczulenia?

Kawęcki wymownie westchnął. Obecność Quentina sprawiała, że im dłużej myślał o tym, co zamierza zrobić, tym głupszy wydawał mu się ten pomysł. I tym bardziej żałował, że nie ma już od niego odwrotu.

– Niezła historia – powiedział. – Opowiadasz ją wszystkim petentom, którzy przychodzą do Romana?

– Pomyślałem, że chciałbyś nas lepiej poznać. My o tobie wiemy całkiem sporo. A ty o nas najwyraźniej nic, skoro się tu zjawiałeś.

Gangus wskazał Kawęckiemu stolik znajdujący się w kącie baru. Sam natomiast podszedł do drzwi, przesunął rygiel i odwrócił kartkę z napisem „zamknięte”.

Po mniej więcej pięciu minutach, gdy Quentin zdążył już wlać w siebie dwie porcje whisky i przygotować dla szefa białego Rosjanina, Roman wszedł do pomieszczenia. Ubrany w pogniecioną białą koszulę i czerwoną marynarkę, z efektownym srebrnym zegarkiem oplatającym nadgarstek, przypominał podstarzałego celebrytę, który nie zdążył się odświeżyć po imprezie. Dołączył do Kawęckiego. Pociągnął kilka łyków swojego ulubionego drinka, wczuwając się w jego smak, jakby próbował go po raz pierwszy. Następnie podniósł wzrok na policjanta. Nie wyglądał na szczęśliwego.

– Dużo masz takich miejsc? – spytał Kawęcki.

– Kilka. Może kilkanaście. Nie liczyłem. A co?

– Pytam przez grzeczność. Żeby jakoś zacząć rozmowę. Zagaić. Nie dlatego, że nie znam odpowiedzi. – Kawęcki wyciągnął z paczki kolejnego szluga, choć czuł, że ze stresu i od nadmiaru nikotyny zaczyna mu się robić niedobrze. – Jeszcze dwa tygodnie temu miałeś jedenaście takich miejsc. Ale zostało ci tylko dziewięć. Spinka, twój stary znajomy, właśnie wyszedł z pierdła, skrzyknął swoich braci oraz ziomków z osiedla i zabrał ci dwa lokale na Teofilowie. Zresztą na Dąbrowie też ci rośnie konkurencja. Jak się nazywa ten młodziak, który założył własną grupę i doi baby na rynku? Janek? Jasiu?

– Jachu.

– Jachu – powtórzył Kawęcki. – Jak dawna wyszukiwarka internetowa. Podobno to dlatego, że kiedyś był informatykiem.

Roman opróżnił drinka i z hukiem odstawił szklankę na stół.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Pogodzić się.

Roman popatrzył na Kawęckiego z ukosa, jakby nagle coś mu wyrosło na gębie. Potem zerknął na Quentina. Obaj zaczęli rechotać.

– Ale przecież my się nie kłócimy – powiedział Roman. – Wszystko, co się do tej pory między nami wydarzyło, traktuję w kategoriach biznesowych. Zupełnie beznamiętnie. Zamierzam cię usunąć tylko dlatego, że zagrażasz moim interesom. – Z niedowierzaniem pokręcił głową. – Ludzie zawsze doszukują się jakichś emocjonalnych podtekstów. Myślą, że kieruję się gniewem. Że jestem nienawistnikiem. A to nieprawda. Staram się po prostu kierować wyłącznie logiką. To ona jest bezwzględna.

Kawęcki podrapał się po głowie, jakby się intensywnie nad czymś zastanawiał.

– Czyli jedyną szansą, żebyś zmienił zdanie, jest sprawić, że przestanę być dla ciebie zagrożeniem, a stanę się źródłem przewagi konkurencyjnej?

– Teoretycznie tak. Ale mając na uwadze naszą wspólną historię, zastanawiam się, czy w twoim przypadku nie powinienem zrobić wyjątku. I czy nie byłoby prościej, gdybym cię zajeżał. Bez wdawania się w jakieś dywagacje. Bez analizowania. Bez tworzenia bilansu zysków i strat. Tak po prostu. Dla czystej satysfakcji.

Kiedy Roman wyszczerzył zęby w uśmiechu, Kawęcki wolno zanurkował do kieszeni kurtki i wyciągnął z niej kilkanaście zwiniętych w rulon kartek. Położył je na stole.

– Co to jest? – spytał gangster.

– Namiastka twojego prywatnego banku informacji.

Roman wyciągnął z kieszeni marynarki etui i wyjął z niego okulary. Mrużąc oczy w słabym świetle, zaczął przeglądać wydruki. Po kilkudziesięciu sekundach podniósł głowę i spojrzał na Kawęckiego.

– Powiedziałeś, że to namiastka.

– Mogę ci dostarczyć więcej tego typu informacji. Znacznie więcej. Na temat twoich rywali i ich ludzi. A także policjantów, którzy ścigają takich jak wy.

– Już raz mi to obiecałeś i nie dotrzymałeś słowa. Dlaczego miałbym ci uwierzyć?

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Może dlatego, że lubisz hazard, a tu gra toczy się o dużą stawkę.

Roman ściągnął okulary i odłożył je na stół. Przetarł kłykciami oczy. Rozmasował czoło. Jego oddech stał się cięższy. Jakby ponure myśli stopniowo odbierały mu dech.

– Dwa razy zarzekałem się, że cię zajebię. Po raz kolejny tego nie zrobię. Ale jeśli znowu zrobisz mnie w chuja, najpierw zapierdołę kogoś, kto jest ci bliski. A potem kolejną taką osobę. I jeszcze jedną. Do skutku. Aż w końcu sam się do mnie zgłosisz. Wtedy powiem ci, że masz na moich oczach popełnić samobójstwo.

Teraz to Kawęcki zaczął ciężiej oddychać. Miał ku temu znacznie lepszy powód niż Roman.

– Brzmi makabrycznie, ale uczciwie – powiedział policjant. – Zresztą i tak nie mam wyboru, prawda?

Roman popatrzył mu w oczy, a potem wyciągnął nad głowę dwa palce. Quentin momentalnie wskoczył za bar.

– Nieźle go wytresowałeś – zauważył Kawęcki.

– Każdego da się wytresować. Nawet najbardziej niepokorne zwierzę.

– Seweryna Kostkę też?

– Nie mam pojęcia, o kim mówisz.

– To dziwne.

– Dlaczego?

– Bo to facet, który ponad rok temu zajebał ci ciężarówkę z uchodźcami.

Kawęcki się uśmiechnął. Po raz pierwszy w trakcie tego spotkania. A gdy chwilę później Quentin postawił na stole dwa drinki, uśmiech się rozszerzył.

Szczebiot nerwowo zgniatał krawat, czekając na Janusza Dębca. To mogło być ich ostatnie spotkanie. A niemal na pewno ostatnie w gabinecie, który bardziej przypominał chillout room niż kwatery szefa policji. Do wiszących na ścianie kijów golfowych Dębiec dorzucił swoją karykaturę. Miał na niej pociągłą twarz, stanowiącą niemal połowę ciała, odstające uszy i równiutki, szeroki uśmiech. Karykatura była doskonałym uzupełnieniem kłamliwego wizerunku, jaki od dawna budował, udając pogodnego menedżera przesiąkniętego amerykańskim luzem i próbującego zarazić nim ponurych z natury Polaków. Wciskał go do rodzimej rzeczywistości jak niepasujący skrawek puzzli. Z nadzieją, że jakoś wlezie, nawet jeśli będzie wyglądał idiotycznie.

– Przepraszam, że musiałeś czekać.

Uśmiech z karykatury, w którą wpatrywał się Szczebiot, nagle wylądował na gębie Dębca. Naczelnik ruszył w stronę komendanta, żeby uścisnąć jego dłoń, a potem rozsiadł się na krześle, które ten mu wskazał. Zbierał się na odwagę, czekając, aż Dębiec wypełźnie za swoje biurko, schowa do szuflady papiery, z którymi tu przyszedł, i skupi się wyłącznie na nim.

– I tak jestem zaskoczony, że zgodziłeś się ze mną zobaczyć – powiedział Szczebiot.

– To ja powinienem być zaskoczony, że chciałeś się spotkać po takim dniu. Pewnie się dzisiaj nie nudziłeś.

Szczebiot kiwnął głową, po czym zerknął na zegarek. Dwudziesta trzecia. Szybko policzył, że jest na nogach od siedemnastu godzin. Większość z nich spędził na Janowie, poznając zdziwaczały świat człowieka, za którym uganił się przez ostatnie miesiące. I który uciekł im – choć właściwie już nie jemu – na ostatniej prostej. Siedemnaście

godzin, pomyślał Szczebiot. To by tłumaczyło, dlaczego czuł się wykończony. Wyzuty z sił. Wymemłany i wypluty. Ale to także oznaczało, że Dębiec również jedzie na oparach.

– Spotykasz się z każdym lamentującym policjantem, którego wyrzucasz z pracy?

– Nie wyrzucam, tylko przenoszę do innego wydziału. W języku HR-owym nazywa się to relokacją. Poza tym przez telefon nie lamentowałeś. Pomyślałem: *why not?*

Szczebiot wetknął dłonie pomiędzy uda, żeby ze zdenerwowania nie zrobić z nimi czegoś dziwnego. Ale zaraz potem je wyjął i zaczął ciągnąć za dżinsowy materiał opinający jego nogi. Wyglądało to tak, jakby się nieustannie podszczypywał.

– Masz rację – powiedział. – Nie zamierzam się skarżyć. Zresztą już mi dobitnie wyjaśniłeś, dlaczego musiało do tego dojść.

– I powiedziałem, że bardzo tego żałuję.

– No właśnie. W tym problem. Wcale tego nie żałujesz.

Szczebiot po raz pierwszy odważył się spojrzeć komendantowi w oczy.

– Słucham?

– Jak możesz żałować czegoś, co tak skrupulatnie zaaranżowałeś?

Dębiec nerwowo poruszył się na krześle. Odchylił się do tyłu i złożył dłonie w romb. Przypominał Jarosława Kaczyńskiego, tyle że w młodszy, wyrośnięty i mniej wyrafinowany wydaniu.

– Nie mam pojęcia, w co właściwie gracie – powiedział Szczebiot. – I prawdę mówiąc, gównu mnie to obchodzi. Ciekawi mnie tylko to, czy planowałeś się mnie pozbyć już przed zabójstwem Magdy, czy dopiero po nim.

Dębiec zaśmiał się nerwowo. Przez kilka sekund bezgłośnie poruszał ustami, jakby nie mógł się zdecydować, jakich słów zamierza użyć.

– Wybaczę ci ten wybuch tylko dlatego, że jesteś rozżalony utratą stanowiska. Pewnie czujesz się jak facet, którego żona zostawiła dla młodszego. Przystojniejszego. Bogatszego. Bardziej zabawnego. Bo w pewnym sensie tak właśnie było. – Komendant wzruszył ramionami. – Adamski jest od ciebie po prostu lepszy. Młodszy. Mądrzejszy. Sprytniejszy. To urodzony lider. Człowiek, którego ludzie lubią słuchać. Jesteś bystrym facetem, więc z pewnością to zauważyłeś.

Szczebiot bez przekonania pokiwał głową.

– Pewnie masz rację. W dodatku przy sprawie Bułeckiej nie dokonaliśmy takich postępów, na jakie wszyscy liczyli.

– Nie da się ukryć.

– Co nie zmienia faktu, że ty i Warga znacie się ze starym Adamskim.

Dębiec wyglądał na zaskoczonego.

– A jakie to ma znaczenie?

– Wykorzystaliście go, żeby zbudować dźwignię, za pomocą której możecie obracać jego synem. Tak jak to przez lata robiliście z nim. Świecie przekonani, że nikt się o tym nie dowie.

Dębiec zerknął w stronę kijów golfowych, jak gdyby zastanawiał się, którym z nich będzie mu łatwiej roztrzaskać Szczebiotowi czaszkę: woodsem, ironsem czy może putterem.

– Leszek Adamski był jednym z najuczciwszych policjantów, jakich znałem – powiedział, nadal gapiąc się na ścianę. – To człowiek o żelaznym kręgosłupie moralnym.

– Zgadza się. Dlatego tak trudno było wam go złamać. Musiał się sam podłożyć. – Szczebiot próbował się uśmiechnąć, ironicznie, tak jak hollywoodzcy bohaterowie uśmiechają się do zbirów, ale był zbyt spięty, żeby to zrobić. Jego twarz nawet nie drgnęła. – Stary Adamskiego był uczciwy, ale lubił sobie golnąć. Ludzie, którzy go dobrze znali, twierdzą, że zdarzało mu się popić także w trakcie pracy. Zwłaszcza wtedy, gdy był zestresowany. Na przykład siódmego września dwa tysiące ósmego roku, zaledwie kilka dni po śmierci jego matki, kiedy nachlał się, wsiadł za kółko i potracił człowieka. Wtedy wszystko się zaczęło.

Dębiec ciężko westchnął.

– Bredzisz. – Oderwał w końcu wzrok od ściany i wycelował palcem w Szczebiota. – Dobrze się zastanów, co chcesz powiedzieć, zanim zabrniesz za daleko.

Szczebiot czuł, że spływa potem. Że jego gęba przypomina wielki czerwony balon. I że dłonie, nad którymi usilnie próbował zapanować, zupełnie wymknęły się spod kontroli, kreśląc w powietrzu jakieś niestworzone wzory. Miał wrażenie, że za chwilę wybuchnie. Ale nie było już odwrotu. Nawet jeśli ze zdenerwowania miałby sobie połamać palce.

– Uważałeś, że Adamski stanowi dla ciebie zagrożenie w wyścigu po fotel komendanta. Był starszy i bardziej doświadczony. Ludzie go lubili. A na dodatek pochodził z Łodzi. Właściwie wszystkie argumenty przemawiały za nim. Dlatego za wszelką cenę chciałeś się go pozbyć. Jednak najpierw postanowiłeś poradzić się dobrego kumpla. Prokuratora Andrzeja Pszoniaka. On, wspierany przez swojego cwane przydupasa Wargę, podpowiedział ci lepsze rozwiązanie. Po

co eliminować wroga? Przecież na jego miejsce pojawi się ktoś inny. Pewnie mądrzejszy, bardziej wyszczekany i z szerszymi plecami. Lepiej uczynić go swoim sprzymierzeńcem. Sprawić, żeby miał wobec ciebie potężny dług wdzięczności. Wówczas kiedy trzeba będzie wybrać nowego komendanta, on chętnie weźmie udział w wyścigu, a następnie wycofa się na ostatniej prostej. A żeby nikt nie zadawał mu zbyt wielu pytań, na wszelki wypadek zrezygnuje ze służby. – Szczebiot zrobił przerwę, żeby wziąć oddech. I żeby nie dostać zawału. – Rozegraliście to w taki sposób, że Adamski nawet się nie zorientował, że jest waszym sługusem. A przynajmniej nie na tyle, żeby to przed sobą przyznać. Ani żeby wspomnieć o tym swojemu naiwnemu synalkowi, który nie ma bladego pojęcia, w co się wplątał.

Dębiec gromił Szczebiota wzrokiem, jednocześnie zgrzytając zębami. Jego dłonie przywarły do podłokietników krzesła, jakby próbował je zmiążyć.

– Wypierdalaj stąd.

Szczebiot ze sporym opóźnieniem poderwał się z krzesła.

– Na razie wiem o tym tylko ja. I może tak pozostać.

– Nawet nie próbuj mnie szantażować, gnoju.

– Moja cena nie jest wysoka. Zależy mi wyłącznie na nietykalności. Na tym, żeby mieć święty spokój. Żeby żaden chuj nie próbował narobić do mojego ogródka. Jeśli mi to zapewnisz, nie będziemy musieli się więcej oglądać.

Dębiec otworzył jedną z szuflad. Wyciągnął z niej pistolet. Położył go na biurku.

– Wynoś się, zanim cię zastrzelę.

Szczebiot spojrział na broń. Był niemal pewien, że Dębiec blefuje. Ale na wszelki wypadek wolał tego nie sprawdzać.

Zaledwie kilka minut później Szczebiot stał na opustoszałym parkingu przed budynkiem komendy. Trząśł się z emocji. Dyszał. Był kompletnie wypompowany. Czuł się tak, jakby właśnie wbiegł na stromą górę. Pocieszał się tylko tym, że zejście – choć równie ryzykowne – powinno być mniej męczące.

Ruszył w kierunku swojego samochodu. Wsiadł, zerknął na boki i wyciągnął telefon. Wybrał numer Artura Waliszewskiego.

– I co?

– Nic. Pudło.

Artur prychnął z niedowierzaniem.

– Niemożliwe. Daty się zgadzają. Wiem, że ludzie, którzy opowiadali mi o starym Adamskiego, mówili prawdę. Poza tym Dębiec i Pszoniak byli dobrymi znajomymi. Kumplowali się przez lata.

– Możliwe, że masz rację. Ale to nie dlatego Dębiec wyrzucił mnie ze stanowiska i sprowadził na moje miejsce Adamskiego. Zrobił to – zawahał się – bo mnie nienawidzi. Uważa za nieudacznika. Według niego byłem najsłabszym ogniwnem w wydziale. I dlatego postanowił mnie usunąć.

Artur milczał, zastanawiając się nad jego słowami.

– Ale to nie wyjaśnia, dlaczego na twoje miejsce sprowadził Adamskiego.

– Wrzucił go na minę.

– Dając mu awans?

– Wpuszczając go do jednostki, która znajduje się pod ostrzałem. Jeśli Adamskiemu powinie się noga, Dębiec podetnie mu skrzydła,

zanim ten rozkręci się na tyle, że zacznie stanowić dla niego realne zagrożenie.

– Powiedział ci to?

– A jak myślisz? – Szczebiot jeszcze raz nerwowo się rozejrzył i ściszył głos. – Posłuchaj. Możesz mi nie wierzyć, nie obrażę się. Ale nie mieszaj mnie więcej do tej sprawy. Jeśli Dębiec jeszcze nie postanowił ostatecznie mnie zgnoić, pewnie zrobi to przy kolejnej okazji. Wolałbym mu jej nie dawać.

Artur milczał przez dłuższą chwilę.

– Poprosiłem cię o pomoc, bo Witold i Kawęcki wydawali się kompletnie pochłonięci ściganiem tego świra.

– I dobrze zrobiłeś.

– Najwyraźniej nie.

– Jeśli uważasz, że dałem dupy, to sam się tym zajmij. Tylko rób to, kurwa, z dala ode mnie. Rozumiesz?

Artur ponownie zamilkł. Tym razem prawdopodobnie kiwał głową.

– A ty co zamierzasz? – zapytał.

– Nie wiem. Muszę się zastanowić, co mam ze sobą zrobić.

Szczebiot rozłączył się i rzucił telefon na fotel. Włożył kluczyk do stacyjki i uruchomił silnik. Podkręcił radio, jakby chciał jak najszybciej zagłuszyć swoje myśli. Ciężko opadł na zagłówek. Westchnął. Przekrzywił lekko głowę i spojrzął w lusterko wsteczne. Zobaczył w nim coś dziwnego. Coś spoconego, czerwonego i odpychającego. Wstrętną gadzią mordę. Po raz pierwszy ujrzął ją w lustrze. Ale zapewne nie ostatni.

Kawęcki zauważył go dopiero wtedy, gdy włożył klucz do zamka. Możejko siedział na schodach, tępo wpatrując się w okno na półpiętrze,

tak brudne, żeby nie mógł przez nie nic zobaczyć. Zwłaszcza nocą. Miał na sobie wygniecioną jasną koszulę, sfatygowaną sportową marynarkę i ubłocone półbuty. Jego siwa czupryna była zwichrowana i przetłuszczona. Wyglądał na faceta, którego przynajmniej od kilku dni nie było w domu. Kilku bardzo intensywnych dni.

– Jak tu wszedłeś? – spytał Kawęcki, przekręcając klucz.

– Normalnie. Drzwi do klatki były otwarte. Ktoś wyrwał je z zawiasów. Zamierzasz to wszystko wypić sam? – Możejko wycelował palcem w siatkę, która wisiała na wysokości kolan Kawęckiego.

Komisarz spojrział na nią, jakby zapomniał, co w niej jest. Jakby zapomniał, ile waży półlitrowa butelka wódki i czteropak piwa.

– Taki jest plan. Ale mogę go lekko zmodyfikować.

Weszli do mieszkania. Kawęcki ściągnął buty i skierował się do kuchni. Z zastawionego talerzami zlewu wyciągnął dwa kieliszki. Przemył je, wytarł brudną ścierką i postawił na stole. Zerknął na Możejkę, który stał speszony w korytarzu, jak gdyby gości obowiązywał zakaz poruszania się. Był blady jak ściana.

– Nie wyglądasz najlepiej. Jesteś pewien, że tego chcesz? – Kawęcki uniósł butelkę.

– Nie jestem. Ale potrzebuję klina. I ochrony.

– Przed kim?

– Przed ludźmi, których poznałem.

Kawęcki rozlał wódkę do kieliszków. Opróżnił swój, zanim Możejko odważył się wejść do kuchni.

– Co się stało?

– Uciekłem stamtąd. Nie mogłem w tym uczestniczyć.

– W czym?

– Halbert uwierzył, że jestem jednym z nich: niewyżytym, snobistycznym gnojkiem, który lubi seksualne eksperymenty. Po kilku dniach imprezowania zabrał mnie na domówkę do jakiegoś biznesmena, dilerka samochodowego albo kogoś w tym stylu. Trafiłem do jakiejś absurdalnie dużej willi na imprezę, na której wszyscy jebali się ze wszystkimi: mężczyźni z kobietami, faceci z facetami, dziwki z sześćdziesięcioletnimi gośćmi, którzy pochłonęli tego wieczoru więcej narkotyków, niż kiedykolwiek widziałem. To jeszcze mogłem jakoś znieść. Ale wymiękłem, gdy dwaj goryle wprowadzili do budynku kilkunastoletnich chłopców. – Możejko rzucił Kawęckiemu złęknione spojrzenie, jakby spodziewał się usłyszeć od niego reprimendę. – Poszedłem do kibla, przemyślałem sytuację, a potem wkręciłem Halbertowi, że muszę się przewietrzyć. Gdy tylko znalazłem się na zewnątrz, zacząłem spierdalać. – Pokręcił głową. – Nie zastanawiałem się, co oni mogą zrobić tym dzieciakom, tylko spierdalałem. Byle znaleźć się jak najdalej od tego domu. Jak najdalej od nich. Tylko to się dla mnie liczyło.

Kawęcki popatrzył na Możejkę, który wgapiał się w kieliszek, jakby próbował zaczarować jego zawartość.

– Widziałeś tam Wargę?

– Nie. Ale było tam kilka osób jego formatu. Rozpoznałem paru biznesmenów i polityków, których kojarzę z mediów. To znajomi, wspólnicy albo partnerzy biznesowi Halberta. Bardzo wpływowi ludzie.

– I teraz boisz się, że cię dojadą.

– Wiedzą, kim jestem. A ja wiem, do czego są zdolni. I że nie cofają się przed niczym.

Kawęcki zapalił papierosa i wypuścił przed siebie dym.

– Nie mogę zapewnić ci ochrony.

– Dlaczego nie?

Kawęcki wetknął szluga do ust i przeszedł do salonu. Zapalił światło i włączył komputer. Czekał w milczeniu, aż Windows się rozkręci.

– Wiemy, kto zabił Bułęcką – oznajmił, a następnie podniósł laptopa i pokazał Możejce zdjęcie. – Nazywa się Seweryn Kostka. Kojarzysz go?

Możejko w końcu odkleił się od podłogi. Podeszedł do Kawęckiego i niepewnie zerknął na ekran, jakby bał się promieniowania z matrycy.

– Nie – powiedział. – Jesteście pewni, że to on?

– Byliśmy u niego w domu. Widzieliśmy go. Uciekł nam.

– Uciekł?

– Nie można oceniać książki po okładce.

– O czym ty mówisz?

Kawęcki głośno westchnął, zde gustowany umysłowym spowolnieniem Możejki.

– Okazało się, że dwumetrowy bydlak potrafi się całkiem nieźle poruszać. I że kuśtykanie nie przeszkadza mu na tyle, żeby nie był w stanie spierdolić pijakowi i facetowi w sutannie.

Kawęcki odstawił komputer na biurko. Zostawiając Możejkę z rozdziawionymi ustami i pytaniami cisnącymi się na usta, wyszedł do kuchni. Wrócił z czteropakiem i wódką. Możejko przez cały czas wodził za nim wzrokiem. Wciąż nie miał pomysłu, co zrobić z kieliszkiem. A tym bardziej ze sobą.

– Siadaj – powiedział Kawęcki, odsuwając krzesło od biurka. – I pisz.

– Co?

– Książkę.

Możejko głośno prychnął.

– Mam za sobą kilka dni picia i ćpania. Nie spałem od czterdziestu ośmiu godzin. W dodatku właśnie przeżywam jedno z najgorszych zejść w życiu. W tym stanie nie potrafiłbym się nawet podpisać.

– Nie musisz tworzyć drugiego *Ulissesa*, ale dobrze by było, gdybyś spisał to, co zapamiętałeś z tej imprezy. Niektóre istotne szczegóły melanzji lubią się z czasem zamazywać. Wiem to z doświadczenia.

– Wolałbym o tym wszystkim zapomnieć.

Kawęcki wzruszył ramionami, wyjaśniając Możejce, że ma to gdzieś. Że nie obchodzi go jego trauma. Że czeka na efekty. Następnie odmierzył sobie kolejną porcję wódki.

– Pisz – powtórzył. – Nie wiem, co do tej pory udało wam się nabazgrać, ale przypuszczam, że jeśli pozbieracie zebrane kawałki do kupy, to wyjdzie wam z tego całkiem zgrabna historyjka. Może nawet warta jakiejś nagrody.

– Przecież wciąż nie mamy pojęcia, jaką Wargę odgrywa w tym rolę.

– I być może nigdy się tego nie dowiemy. Ale to akurat nie powinno wam przeszkodzić w pisaniu.

– Dlaczego tak ci na tym zależy?

Kawęcki zaciągnął się po raz ostatni i zgasił peta w starej puszcze po piwie, która przeobraziła się w etatową popielniczkę.

– Bo tylko ta książka może zapewnić ci ochronę.

Możejko nie wyglądał na przekonanego. Mimo to odstawił kieliszek na biurko, usiadł i spojrzał na plik tekstowy, który otworzył Kawęcki. Nie wyobrażał sobie, w jaki sposób miałby wypełnić go treścią.

– A ty co zamierzasz? – spytał.

Komisarz rozejrzał się po pokoju. Odkąd pozbył się z niego kanapy, żeby stworzyć swoją dziwną mapę myśli, nie było w nim nic, nie licząc biurka i krzesła, na czym dałoby się usiąść.

– Muszę się przygotować.

– Do czego?

– Do nowego życia.

Kawęcki zgarnął flaszkę, kieliszek oraz czteropak i rozsiadł się z nimi na podłodze. Gapiąc się w poszarzałą od dymu ścianę, myślał o tym, co go czeka. O wyzwaniu, jakiego jeszcze kilka dni temu sobie nie wyobrażał. O roli, która nie została napisana dla niego. A przynajmniej tak mu się przez całe życie wydawało.

Sierpień

Filipski wytoczył ciężkie działa. Wyjął z torby grubą, obwiązaną sznurkiem teczkę, którą teatralnie upuścił na stół. Otworzył ją, przejrzał kilka losowo wybranych kartek, a następnie wyłączył kamerę. Usiadł na krześle i położył dłonie na blacie. Był zdenerwowany. Bardziej niż do tej pory. Jak przed wielkim finałem.

– Prześledziliśmy twoją aktywność zawodową z ostatnich dwóch lat. Przejrzeliśmy uważnie wszystkie raporty, notatki służbowe, a nawet protokoły z przesłuchań. Wynotowaliśmy informacje o twoich nieobecnościach, chorobach i karach dyscyplinarnych. Porozmawialiśmy z ludźmi, którzy cię znają. Krótko mówiąc: odważyliśmy się schylić i zajrzeć pod dywan. – Filipski położył dłoń na teczce. – I muszę ci powiedzieć, że nie wygląda to najlepiej.

Uśmiechnął się złośliwie do Kawęckiego, a potem zerknął na Stelmach. Odwróciła głowę w drugą stronę. Choć grali do jednej bramki, najwyraźniej nie miała ochoty na występ w jego teatrzyku.

– Zabrakło ci albo cierpliwości, albo sprytu. Albo zgubiła cię chciwość – ocenił Filipski. – Oczywiście twoje spotkanie z niegdyś znanym warszawskim gangsterem mogło być czystym przypadkiem.

Podobnie jak to, że od jakiegoś czasu świetnie się wiedzie grupie przestępczej, dla której pracuje Procent. Jak również to, że większość jej konkurentów wsadziłeś za kratki. – Złożył usta w dzióbek i pokręcił głową. – Ale ja nie wierzę w przypadki.

Zamilkł, dając Kawęckiemu szansę na odparcie zarzutów. Na obronę. Na jakąkolwiek reakcję, która świadczyłaby o tym, że zainteresował się jego wywodem. Że nie ma kompletnie w dupie tego, co może się z nim stać. Ale nie doczekał się żadnego ruchu z jego strony.

Kawęcki przez cały czas wpatrywał się w okno. Jakby liczył na to, że stojący po drugiej stronie jezdni blok za moment się zawali. A zaraz po nim wszystkie sąsiednie.

– Muszę przyznać, że bardzo sprytnie wykorzystałeś swoje problemy z piciem – kontynuował Filipski. – Alkoholików często uważa się za osoby niepoczytalne. Niepanujące nad swoim życiem. Niezdolne do kontrolowania czegokolwiek. Do kombinowania. Wódka była świetną przykrywką dla knucia intryg z gangsterami. I dla nieróbstwa. Dlatego kiedy policja szukała zabójcy Bułeckiej i Giętkiej, mogłeś zająć się tuszowaniem swoich przestępstw. – Pokręcił głową. – Nie mam pojęcia, czy jest na świecie miejsce dla ludzi takich jak ty. Ale z pewnością nie ma go w policji.

Kawęcki rzucił mu krótkie, pełne nienawiści spojrzenie. Chwilę później ponownie skupił się na oknie.

– W zasadzie tylko jedna rzecz mnie zastanawia. – Filipski splótł ręce na klatce piersiowej. – Dlaczego ci wszyscy nieudacznicy z Wydziału Kryminalnego od początku cię kryją? Zaszantażowałeś ich czy tak sprytnie namieszałeś im w głowach?

Kawęcki uśmiechnął się cierpko. Sięgnął po swoją paczkę po papierosach, na której narysował penisa, i zaczął ją rozrywać na części.

– Skończyłeś? – zapytał.

– Mógłbym tak jeszcze długo.

– To zachowaj siły na inną okazję.

Kawęcki odwrócił się twarzą do policjantów. Rzucił na stół poszarpane kawałki, jakby rozsypywał konfetti, i położył ręce na stole. Głośno wypuścił powietrze, a następnie zapalił ostatniego papierosa.

– Kilka spraw wymaga sprostowania – odezwał się, ostrożnie cedząc słowa. – Po pierwsze: wódka nie jest żadną przykrywką. To moje przekleństwo. Jedyne znany mi lek na permanentny Weltschmerz. Po drugie: nikt nie zrobił więcej niż ja, żeby złapać skurwysyna, który zabija te kobiety. A po trzecie – wycelował palcem w leżącą przed Filipskim teczkę – to, co tam trzymacie, jest gównem warte. Zniszczyliście kawał lasu, żeby wydrukować wątpliwej jakości srajtaśmę.

Na kilka sekund w pomieszczeniu zapanowała cisza.

– Skoro to wszystko jest jedną wielką bzdurą, mistyfikacją, to dlaczego tak pana zdenerwowaliśmy? – odezwała się Stelmach, która do samego końca utrzymywała oficjalny ton.

Kawęcki otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz potem je zamknął. Popatrzył na poszarpane kawałki kartonu. Wyciągnął z kieszeni swój króciutki ołówek. Tym razem posłużył się nim zgodnie z jego przeznaczeniem. Na fragmencie paczki zawierającym obrzydliwe zdjęcie, które przedstawiało plującą krwią kobietę, napisał ciąg dziewięciu cyfr. Kiedy to zrobił, upuścił ołówek na blat i zgasił peta na stole. Zerwał się z krzesła.

– Co to jest? – zapytał Filipowski, celując palcem w pozostawiony przez Kawęckiego karton.

– Numer telefonu.

– Czyj?

– Kogoś, kto być może ma więcej czasu ode mnie, żeby wysłuchiwać waszych dyrdymałów.

Kawęcki ruszył do wyjścia. Zatrzymał się przed drzwiami i spojrzał na policjantów.

– Wy o niczym nie wiecie, co?

– O czym ty mówisz? – spytał Filipowski.

Zamiast odpowiedzieć, Kawęcki przystawił dwa palce do czoła. Zasalutował policjantom po amerykańsku i wyszedł. Oczywiście nie zamknął za sobą drzwi. Kiedy człapał przez korytarz, za oknem, w które przez wiele godzin się wpatrywał, momentalnie ściemniało, jak gdyby ktoś wyłączył w mieście zasilanie. Mrok zgęstniał i wdarł się do budynku niczym nieproszony gość. Zaraz po nim pojawił się błysk. A potem rozpętała się burza.

Dwa dni wcześniej

Wiadomość o tym, że policja mogła natknąć się na seryjnego zabójcę, błyskawicznie rozeszła się po mieście. W wypchanej po brzegi sali konferencyjnej zebrało się kilkadziesiąt osób: policjanci z kilku wydziałów, kierownictwo Komendy Wojewódzkiej Policji oraz przedstawiciele prokuratury. Wieść dotarła także do uszu dziennikarzy, którzy przeczuwając, że kroi się dla nich gruby temat, osaczyli budynek niczym sępy.

Kiedy Witold wyszedł na mównicę, aby opowiedzieć o sprawie, nie potrafił ukryć zdenerwowania. Nieporadnie majstrował przy projektorze, jakby po raz pierwszy miał z nim do czynienia. Jednocześnie czuł się maksymalnie zmobilizowany skalą wyzwania, z jakim się mierzył. A także tym, że musiał to zrobić sam. Kawęcki zapadł się pod ziemię zaraz po wizycie w mieszkaniu zabójcy. Od tego momentu nie odbierał od Witolda telefonu, nie odpisywał na esemesy, a jeżeli był w domu, to nie reagował na dzwoniący domofon i pukanie do drzwi. Świadomie lub nie, oddał Witoldowi główną rolę. Faceta, który rozpracował seryjnego zabójcę. A potem wszystko spieprzył, pozwalając psychopacie uciec.

Kiedy w końcu Witold uporał się ze sprzętem, rzutnik wypluł na ścianę nie najlepszej jakości zdjęcie. Był na nim mniej więcej czterdziestoletni, lekko otyły mężczyzna. Policjant zerknął do zapisków, a potem na skierowane w jego stronę twarze.

– Nazywa się Seweryn Kostka – powiedział, rezygnując z kurtuazyjnego wstępu, który i tak wszyscy zgromadzeni mieli gdzieś. – W jednym z poprzednich miejsc pracy przedstawiał się także jako Igor Krenc, więc musimy szukać go pod tymi dwiema tożsamościami. Być może jest ich więcej, ale jeszcze tego nie wiemy.

Odwrócił się w kierunku ściany i wycelował laserowym wskaźnikiem w zdjęcie.

– To najbardziej aktualna fotografia Kostki vel Krenca, jaką dysponujemy. Niestety, nie jest najwyższej jakości. Ale i tak mówi nam więcej niż zdjęcie sprzed dobrych kilku lat, które pozyskaliśmy z Rejestru Dowodów Osobistych. – Witold przerzucił pilotem slajd i pokazał policjantom fotografię mężczyzny o młodej, niemal nastoletniej

twarży, która zdawała się należeć do kogoś o przynajmniej kilkanaście lat młodszego. – Trudno doszukać się podobieństwa, co? Podejrzewamy, że Kostka przeszedł operację plastyczną. Prawdopodobnie skorygował nos i dokonał liposukcji policzków. W dodatku zaczął nosić brodę, naturalną lub sztuczną. Przypuszczamy, że wzrost podany w jego dowodzie, czyli sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry, został zaniżony. Powinniśmy szukać raczej dwumetrowego mężczyzny o zauważalnej, choć nierzucającej się w oczy nadwadze. Kogoś o sylwetce rugbisty albo zawodnika MMA.

Witold zrobił pauzę, żeby zajrzeć do notatek. Uświadomił sobie, że w pomieszczeniu panuje idealna cisza, w której słychać każdy, nawet najdrobniejszy ruch: pociągnięcia nosem, chrząknięcia, szurnięcia krzesłami. Zupełnie jak podczas mszy, pomyślał.

– Ma czterdzieści dwa lata – kontynuował Witold. – Urodził się w Pabianicach, ale najprawdopodobniej większość życia spędził w Łodzi. Jeszcze nie ustaliliśmy, kim są jego biologiczni rodzice. Natomiast ci adopcyjni nie żyją. Matka zmarła na raka, gdy miał dwanaście lat. Ojca dziesięć lat później wykończył alkoholizm. Do tej pory nie udało nam się niczego dowiedzieć na temat jego krewnych ani znajomych. Sąsiedzi i koledzy z pracy najczęściej określają go jako nieszkodliwego samotnika. Cichego, wiodącego nudne życie faceta, o którym trudno cokolwiek powiedzieć. – Podniósł ze stołu jedną z kartek i zbliżył ją do oczu. – Jego sąsiad, niejaki Wiesław Buczek, zeznał, że Kostka czuje się lepiej w towarzystwie zwierząt niż ludzi. Zawsze entuzjastycznie reagował na widok jego psa. Co nie jest takie dziwne, zważywszy na to, że podejrzany jest weterynarzem. Ukończył studia na Uniwersytecie Medycznym w Łodzi. Ostatnio pracował w klinice VetPatrol na

Widzewie. Zresztą o jego znajomości psich zwyczajów najbrutalniej przekonała się Martyna Bułecka.

Witold rozejrzał się po sali. Zgromadzeni zrozumieli jego aluzję. Podejrzewał, że właśnie ten fakt zapamiętali najlepiej ze sprawy Bułeckiej. Zwyródnienie gorsze od samego zabójstwa. Niepokojąco pobudzające wyobraźnię. To ono sprawiło, że człowiek, którego szukają, urósł w ich umysłach do rozmiarów kolosalnego monstrum.

– Podejrzany przez kilka lat pracował jako asystent stomatologa w prywatnej klinice medycznej Climed. To tam podawał się za Igora Krenca – wyjaśnił Witold. – Poza tym wiemy, że jest człowiekiem bardzo religijnym, który prawdopodobnie niedawno porzucił katolicyzm na rzecz ewangelizmu. A do tego oczytanym, inteligentnym i porywczym. To tyle, jeśli chodzi o jego ogólną charakterystykę. Macie pytania do tej części?

– Skąd pewność, że jest seryjnym? – zapytał jeden z mężczyzn, którego Witold kojarzył tylko z wyglądu.

– Mamy podstawy sądzić, że stoi za co najmniej trzema zabójstwami: studentki Martyny Bułeckiej, naszej koleżanki Magdy Giętkiej oraz emerytki Henryki Świst.

– Bardzo mocne podstawy – włączył się siedzący w pierwszym rzędzie Adamski.

Witold spojrzął na swojego nowego szefa. Nie spodziewał się, że otrzyma od niego wsparcie. Ale nie miał nic przeciwko temu.

– Do tego jest wysoce prawdopodobne, że zamordował kierowcę ciężarówki, który przywiózł do Łodzi ukraińskich i białoruskich uchodźców. Tylko nie pytajcie, proszę, dlaczego to zrobił, bo to na razie najbardziej enigmatyczny wątek w tej sprawie.

– Macie jakieś twarde dowody? – odezwał się Janusz Dębiec.

Komendant stał przy drzwiach, z rękoma splecionymi na piersi, jak ochroniarz pilnujący, aby nikt niepowołany nie wdarł się do sali. Prawdopodobnie zostawił sobie furtkę do szybkiej ewakuacji z pomieszczenia. Na wypadek gdyby zadzwonił do niego jakiś polityk, biznesmen czy ktoś z Komendy Głównej. Albo gdyby nasza go ochota na partyjkę golfa.

– Mamy świadka, który zeznał, że pomógł Kostce dotrzeć do Henryki Świst – wyjaśnił Witold. – Wiemy też, że podejrzany uczestniczył w procederze nielegalnego handlu psami. Jest weterynarzem, a nasz patolog stwierdził, że sposób, w jaki została zamordowana Magda, wskazuje na to, że zabójca musi mieć pojęcie o medycynie. – Spojrzał na komendanta i westchnął. – A poza tym Kostka uciekł przede mną i moim partnerem, kiedy chcieliśmy z nim porozmawiać.

Dębiec pokręcił głową.

– Tyle wystarczy, żeby wszcząć szeroko zakrojone poszukiwania i poinformować opinię publiczną. Ale to za mało, żeby go skazać.

– Mamy tego świadomość – odparł Witold.

– Co znaleźliście w jego mieszkaniu?

– Nic, co bezpośrednio wiązałoby Kostkę z zabójstwami – odparł Witold. – Ale sporo się o nim dowiedzieliśmy. Na przykład potwierdziliśmy to, że potrafi zacierać za sobą ślady. W jego domu nie było ani jednego odcisku palca. Żadnego urządzenia, z którego moglibyśmy wyciągnąć dane na temat jego aktywności w internecie. Żadnych zdjęć ani pamiątek. Mamy jedynie dziesiątki dokumentów, z których wynika, że regularnie spłaca kredyt hipoteczny i nie zalega z

płatnościami. Nawet nie jesteśmy w stanie prześledzić jego transakcji, ponieważ zacierał wszelkie ślady finansowe. Pieniądze, które otrzymywał na konto, zaraz po wypłacie wyciągał z bankomatu.

– Czyli ścigamy ducha – stwierdził Dębiec. – Co jeszcze o nim wiemy?

– Że zna nasze metody pracy. I potrafi zachować zimną krew. Zanim uciekł, przebił opony w moim samochodzie, żebyśmy nie mogli ruszyć w pogoń. A sądząc po analizie logowań jego telefonu do stacji bazowych, prawdopodobnie zniszczył komórkę zaraz po tym, gdy się na nas natknął. – Witold zrobił pauzę i rozejrzał się po sali, szukając drwiących spojrzeń. Ale, o dziwo, na żadne się nie natknął. – Skoro obawiał się tego, że możemy go namierzyć, prawdopodobnie ma jakąś kryjówkę. Niestety, nie jest to żadna z nieruchomości, które kupował lub wynajmował jako Kostka albo Krenc. Sprawdziliśmy też wszystkie lokale, które należą do ludzi jakoś z nim związanych, takich jak Henryka Świst czy Marian Karaś. To oznacza, że albo ktoś go ukrywa, albo – co bardziej prawdopodobne – przebywa w budynku niezarejestrowanym na żadne z nazwisk, którymi się posługuje. Nie wiemy też, czy nadal przebywa w Polsce. Wystawiliśmy za nim list gończy i załatwiamy europejski nakaz aresztowania. – Ponownie rozejrzał się po sali. – Macie jakieś pytania?

Mieli. Musieli mieć. Ale nikt nie odważył się ich zadać. Na twarzach policjantów malowała się fascynacja wymieszana z przerażeniem. Z przewagą tej drugiej.

– Oddaję zatem głos nowemu naczelnikowi Wydziału Kryminalnego, Bartoszowi Adamskiemu, który będzie koordynował poszukiwania Kostki.

Adamski podniósł się z krzesła i zapiął guzik marynarki. Zajął miejsce obok Witolda i delikatnie się uśmiechnął. Bardziej niż policjanta przypominał aktora. Właśnie udającego zdziwienie, że dostał Oscara.

– Musimy wykorzystać to, że mamy do dyspozycji tak duży zespół – powiedział Adamski. – Podzielimy się na trzy grupy poszukiwawcze. Pierwsza będzie rozmawiać z ludźmi, do których jeszcze nie udało nam się dotrzeć: kolegami ze studiów, nauczycielami czy dawnymi sąsiadami Kostki. Nawet jeśli jest samotnikiem i psychopata, musi mieć jakichś znajomych. Każdy ich ma. Może to być facet z pobliskiego warzywniaka albo kumpel z chóru – nieważne. Liczy się dla nas każdy człowiek, który jest w stanie cokolwiek o nim powiedzieć. – Zamilkł, żeby ponapawać się widokiem potakujących głów. – Druga grupa skupi się na kwestiach finansowych i informatycznych. Sprawdzi wszystkie rachunki i dokumenty z mieszkania Kostki. Dowie się, na co i gdzie wydawał pieniądze. Prześledzi historię jego zatrudnienia i zarobków. Równolegle będzie szukać wszelkich cyfrowych śladów, jakie mógł zostawić. A trzecia grupa skupi się na wątku kościelnym. Poszukiwany jest bigotem. Mógł zabić te kobiety ze względów światopoglądowych. Musimy odnaleźć wszystkie parafie, kółka różańcowe i inne organizacje religijne, do których uczęszczał.

Adamski odsunął się od mównicy i wsparł pod boki. Jak nowy szeryf, który właśnie przybył do miasta.

– I musimy się spieszyć. Wszyscy wiemy, do czego ten skurwiel jest zdolny.

Nigdy nie jest za wcześnie na lunch. Z tą myślą wrytą w głowie prokurator Adam Warga, odziany w swój standardowy strój, przyciasną marynarkę i koszulę przylegającą do ciała, wertował kartę dań. Nie miał pojęcia o kuchni żydowskiej. Wiedział jednak, że dobrze zrobiona kaczką zawsze smakuje wybornie. Bez względu na to, o której się ją zje. Oraz z kim.

– Zrobiło się bardzo nieprzyjemnie.

Warga spojrział ponad menu. Zbigniew Halbert właśnie instalował serwetkę na kolanach. Gdy to zrobił, poluzował krawat, jednocześnie upewniając się, że nie zanurzy go w czymkolwiek, co za chwilę wyląduje na stole. Był śmiertelnie poważny. W niczym nie przypominał człowieka, którego Warga widywał zazwyczaj. Rozchełstanego. Pijanego i naćpanego. Napalonego. Zaśmiewającego się do rozpuku.

– Co ty nie powiesz – odparł Warga. – Sporo mnie kosztowało wyciszenie tej cholernej publikacji.

– Nie mówię o artykule – powiedział Halbert. – Media nie są w stanie zrobić nam krzywdy, zresztą teraz będą zajmować się tym zabójcą kobiet. Ale ktoś inny jest.

– Kto?

Halbert odchylił się na krześle i rozejrzał po lokalu. Wnętrze Anatewki, najbardziej znanej łódzkiej restauracji z żydowską kuchnią, przypominało połączenie antykwariatu, muzeum i góralskiej karczmy. Drewniane meble i obicia, rozmaite starocie przymocowane do ścian, portrety Żydów i obrazy martwej natury, archaiczne telefony, menory na nakrytych białymi obrusami stołach. Każdy element wnętrza przypominał o historii fabrykanckiej Łodzi.

Ale klienci Anatewki żyli teraźniejszością, a przede wszystkim przyszłością. To tutaj budowali grunt pod interesy, ustalali ostatnie detale kontraktów, opijali osiągnięcia, dywagowali o kulturze albo lansowali wizerunki wykreowane w mediach. Ważne postacie zwykły akcentować swoje wizyty cyzelowanymi wpisami do skrzętnie prowadzonej księgi gości.

Warga nigdy do niej nie zaglądał, ale był przekonany, że znalazłby tam wpis Halberta. Znanego lokalnego przedsiębiorcy z politycznymi ambicjami. Wieloletniego członka Rady Miejskiej w Łodzi. Znającego, jak sam twierdził, wszystkich ludzi, których warto znać w tym mieście. Człowieka niemającego nic wspólnego z kulturą żydowską, ale od lat udającego Żyda ze względu na dobro interesów. Największego cynika, manipulatora i chciwca, jakiego Warga kiedykolwiek spotkał.

– Poznałem ostatnio twojego znajomego – powiedział Halbert. – Nazywa się Jakub Możejko.

Warga wpatrywał się w jego nieruchomą, plastikową twarz, próbując z niej cokolwiek wyczytać. Jednocześnie czuł, jak w jego gardle pęcznieje gula.

– Nie określiłbym go sympatycznym, ale to niewątpliwie bardzo ciekawy człowiek. Pisarz. Intelktualista. Dekadent – wyliczał Halbert, ważąc każde słowo.

– On nie jest moim znajomym. Wręcz przeciwnie. Był pierwszym podejrzanym w sprawie zabójstwa Bułeckiej.

– Znajomy, podejrzanym, jakie to ma znaczenie? – Biznesmen wzruszył ramionami. – Polubiłem go. I prawdę mówiąc, nadal darzę go sympatią. Pomimo tego, co zrobił.

– Nie rozumiem – powiedział Warga, kręcąc głową.

Halbert zerknął w stronę wejścia, po czym wyciągnął telefon. Odnalazł w nim zdjęcie, którego szukał, i przekazał smartfon Wardze.

– Zostało zrobione podczas naszego ostatniego mityngu.

Na fotografii uwieczniono trzech eleganckich mężczyzn. W jasnych koszulach z podwiniętymi rękawami. Z lśniącem wzrokiem i powiększonymi źrenicami. Sprawiających wrażenie szczęśliwych, a przynajmniej setnie ubawionych. Warga znał każdego z nich. Ale nigdy nie przypuszczał, że kiedyś ujrzy ich w takiej konfiguracji.

– Możejko zrobił na mnie niemałe wrażenie. Brylował w towarzystwie, które ledwo poznał. Potrafił się świetnie wtopić w tłum. Niczym kameleon.

– Co on tam robił?

– Nie jestem pewien. Ale wiem, że nie miał uczciwych zamiarów. Zwinął się ze spotkania przed północą. Zaraz po tym, jak główne danie wjechało na stół. – Halbert pochylił się nad blatem i wyrwał Wardze telefon. – Ten facet podstępem wdarł się do naszego środowiska. Odegrał trudną do odegrania rolę. Poświęcił na to sporo czasu i podjął olbrzymie ryzyko. Zakładam więc, że zrobił to, aby nas zniszczyć.

Prokurator zastanowił się nad jego słowami. Potem pokręcił głową.

– Przecież to pisarz – zauważył. – W dodatku nie zajmuje się literaturą faktu, tylko beletrystyką. Bazgrze jakieś pseudopsychologiczne bzdury.

– Jesteś pewien? – Halbert uśmiechnął się chytrze. – A jak wyjaśnisz to, że od kilku miesięcy spotyka się z dziennikarką, która napisała paszkwil na ciebie i Pszoniaka? Przecież nie robi tego wyłącznie po to, żeby się z nią ruchać.

Prokurator wyglądał na zaskoczonego. Najwyraźniej nie miał o tym bladego pojęcia.

– Powiedziałaś, że nie boisz się mediów – przypomniał.

– Bo to prawda. Ale niepokoi mnie współpraca krnąbrnej dziennikarki z pisarzem, który odważył się na coś takiego.

Warga zapatrzył się w stół. Przez jego rozdziawione usta uwalniał się zaniepokojony, przyspieszony oddech. Przypominał knura po lobotomii.

– Co sugerujesz?

– Wygląda na to, że nie jesteśmy w stanie ich kontrolować. Przynajmniej nie w takim stopniu, w jakim byśmy tego chcieli.

– Dowiem się, co oni kombinują.

– To bez znaczenia. Cokolwiek zamierzają, z pewnością wie o tym więcej osób niż tylko ci dwoje. A to oznacza, że nasz przekaz musi być bardzo wyrazisty.

– Dziennikarką już się zająłem. Zadbalem o to, żeby się nas bała. To powinno ją zniechęcić.

Halbert pokręcił głową.

– Życie nauczyło mnie jednego: że wojny najłatwiej wygrywa się dzięki bezmyślnej przemocy. Im jest brutalniejsza, tym lepiej.

Biznesmen ponownie wysunął swoje białe zęby. Tym razem na dłużej, jak gdyby chciał zmusić Wargę, żeby im się przyjrzał. Potem postukał palcem w menu.

– Wybrałaś już? Dobrze pamiętam, że lubisz jagnięcinę?

Warga pokiwał głową.

– Lubię. Ale tym razem nie mam na nią ochoty. Za to od dłuższego czasu chodzi za mną kaczka.

Halbert dał ręką znak młodemu kelnerowi. Chłopak wystartował w jego kierunku niczym sprinter.

Ocknął się, kiedy poczuł, że coś zimnego kapie mu na skroń. W regularnych odstępach, jak w chińskiej torturze wodnej. Otworzył oczy. Krople wody spadały z potężnej, zaciśniętej w pięść dłoni. Podążając wzrokiem wzdłuż niekończącej się ręki, w końcu natknął się na twarz. Zmoczona. Zmęczona. Złą. Znajomą.

– Co to za lokal, w którym nawalonym gościom pozwala się spać na barze? – spytał Witold.

Kawęcki wytarł twarz wierzchem dłoni. Wygrzebał z kieszeni papierosa i wsunął jednego do ust.

– Porządny – wymamrotał. – Która jest godzina?

– Dziesiąta.

– Rano czy wieczorem?

Witold odchylił się na stołku, żeby udostępnić mu widok na okna pubu. Kawęcki długo patrzył w ich stronę, nie mogąc rozstrzygnąć, czy ciemność jest sprawką obrotu Ziemi, czy niewiarygodnie brudnych okien. W końcu dał sobie spokój. Przywołał gestem barmankę.

– Jesteś pewien? – zapytał Witold.

– Dzisiaj zdążyłem się już dwa razy upić. Ale nie mam ochoty po raz drugi wytrzeźwieć.

Kobieta przyjrzała mu się podejrzliwie. Potem przeniosła wzrok na Witolda, jak gdyby chciała usłyszeć od niego deklarację, że w razie konieczności wyniesie zwłoki z lokalu.

– Lufę i piwo – powiedział Kawęcki i zapalił papierosa.

– Nic z tego – odparła barmanka. – Dostaniesz jedynie browar. Twój koleżka też. Za godzinę zamykam i nie zamierzam się z wami obsrywać.

Wlała piwo z nalewaka do dwóch niezbyt czystych kufli, które następnie postawiła przed policjantami. Potem wycofała się na zaplecze, kręcąc z dezaprobatą głową, jakby co najmniej pili na jej koszt.

– Złapaliście go? – spytał Kawęcki.

Witold chwycił koszulkę na wysokości podbrzusza i wycisnął ją jak ścierkę. Następnie usiadł na stołku, otarł przedramieniem czoło i wyciągnął papierosy. One też były mokre. Ale nie na tyle, żeby nie dało się ich zapalić.

– Trudno szuka się kogoś, kogo nikt nie zna, kto nie zostawia żadnych śladów i komu najwyraźniej niespecjalnie zależy na tym, żeby zostać schwytanym.

– Nieprawda. On chce zostać pojmany. Tyle że na swoich warunkach.

– Jak to wykombinowałeś?

– To siedzi w naturze ludzi takich jak on. On ma to wszczepione pod skórę. Nawet jeśli spaczony umysł wmawia mu, że postępuje słusznie, to jakaś jego część wrzeszczy, że kiedyś musi się to skończyć. A przez to, świadomie lub nie, Kostka planuje własny upadek.

– Zaczyna mnie poważnie martwić to, jak dużo o nim wiesz.

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Wystarczy się trochę orientować w meandrach ludzkiej psychiki. I wyciągać odpowiednie wnioski. To nie przypadek, że dopiero teraz, po tylu latach, udało nam się trafić na jego trop. Musiał wiedzieć, że

badając sprawę Bułeckiej, prędzej czy później dojdziemy do niego. Jest zbyt bystry, żeby tego nie przewidzieć.

Witold przyglądał się Kawęckiemu, który każde słowo wyrzucał z siebie tak, jakby miało być jego ostatnim. Mówienie ewidentnie sprawiało mu ból. Jak przewlekła obstrukcja.

– Czegoś tu nie rozumiem – powiedział Witold. – Od pół roku uganasz się za tym gościem. Wydaje ci się, że poznałeś go na wskroś. Stworzyłeś w domu jakąś dziwną mapę, która miała ci pomóc odkryć jego tożsamość. Próbowaleś zatopić się w jego świecie, zupełnie ignorując swój własny. I teraz, mając faceta na wyciągnięcie ręki, uznałeś, że to już nie jest twój problem. Szkoda. Wielka szkoda. Zamierzałeś mi o tym powiedzieć?

– O czym?

– O tym, że wewnątrzni wzięli cię na celownik? I że odchodzisz z policji?

Kawęcki milczał, jakby sam był tym zaskoczony. Jakby zrobił coś na urwanym filmie i właśnie się o tym dowiedział. Upił łyk piwa. Nerwowo poruszył się na stołku. Ale w dalszym ciągu nic nie powiedział.

– Postanowiłeś zdezerterować na chwilę przed spotkaniem z ludźmi z wewnętrznego, w tym z jakąś dziunią ze stolicy, która specjalnie dla ciebie pofatygowała się do Łodzi. Ludzie musieliby być ślepi, żeby nie zauważyć związku między tymi wydarzeniami.

Kawęcki nadal milczał. Pieczołowicie zgniótł papierosa w popielniczce.

– Powąszyłem trochę – kontynuował Witold. – Wewnątrzni przesłuchują wszystkich po kolei. Mnie, Szczebiota, Artura,

Adamskiego. Nawet tę twoją dziennikarkę. I oczywiście Możejkę. Ktoś musiał im powiedzieć, że złamałeś parę przepisów. I że wciągnąłeś cywili do swojej gierki. Ale to nie byłem ja.

– Wiem.

Kawęcki złapał się za głowę, jakby się bał, że mu odpadnie. Zamknął oczy.

– Masz może aspirynę?

– Czy ty w ogóle słyszysz, co do ciebie mówię? Oni chcą cię dorwać.

Czekając na jakąkolwiek reakcję Kawęckiego, Witold po raz pierwszy sięgnął po kufel. Skrzywił się. Zapomniał, że w Sobocie serwują wyłącznie napoje piwopodobne.

– Wiem, że nie jesteś mistrzem nawiązywania kontaktów międzyludzkich. I że nie obchodzi cię, co inni o tobie myślą. Jestem nawet gotów uwierzyć, że gdybyś trafił na bezludną wyspę, byłbyś tam najszcześniejszym człowiekiem na świecie. Ale kompletnie nie rozumiem, dlaczego po latach znajomości i wspólnej pracy odpłacasz mi czymś takim. Wielokrotnie się za tobą wstawiałem, ratując ci dupę, a ty nie jesteś w stanie okazać mi choćby szczątkowego zaufania. – Witold spojrzął na kufel. – Bardziej zastanawia mnie tylko to, jak możesz codziennie żłopać coś takiego. To nieludzkie.

Kawęcki uparcie milczał. Opróżniał swoje piwo niewielkimi, regularnymi łykami. Jakby się nim nawadniał, a nie odwrotnie.

– Możesz coś dla mnie zrobić? – odezwał się, odstawiając w końcu kufel. – Wyświadczysz mi ostatnią przysługę?

Witold popatrzył na niego. Westchnął. Nie miał ochoty pomagać Kawęckiemu. Właściwie nie miał ochoty mieć z nim więcej do

czynienia. Ale za dobrze siebie znał. Wiedział, że mu nie odmówi.

– Chciałbym, żeby informacja o moim odejściu z pracy nie rozeszła się po wydziale w tempie błyskawicy.

– Piłka jest po stronie Adamskiego.

– To mu ją odbierz.

– Dlaczego?

– Po prostu byłoby miło, gdybyś mi pomógł.

– Musiałbym namieszać w kadrach.

– Więc to zrób.

Kawęcki pociągnął ostatni łyk piwa i zsunął się ze stołka. Położył na ladzie banknot pięćdziesięciozłotowy, choć nie miał pojęcia, ile właściwie wypił tego dnia ani czy to wystarczy. Spojrzał w kierunku ciemnych okien i ruszył do wyjścia.

– Dokąd idziesz?

Kawęcki zatrzymał się i obmacał kieszeń. Wyciągnął z niej zapalniczkę. Wetknął papierosa do ust, zapalił i wypuścił przed siebie dym.

– Po raz pierwszy porzucam zajęcie, którym zajmowałem się przez dwadzieścia lat. Właśnie odkryłem, że w takich momentach lubię побыć sam.

Klucz zastukał we wnętrzu metalowego zamka. Drzwi skrzypnęły, a następnie zamknęły się z trzaskiem. Słyszała jego oddech. Odgłosy odpinanych kolejno guzików. Ciche szuranie sznurówek. Potem były kroki, krótkie i ciężkie, uderzające w podłogę niczym olbrzymie stemple. Podążała za nimi wzrokiem. Najpierw przez cienką ścianę, potem przez zalepione przypadkowymi naklejkami szklane drzwi,

drżące przy każdym jego stąpieniu, a na koniec przez białą szafę na ubrania, która jakimś cudem zmieściła się w narożniku jej pokoju.

Wiedziała, że do niej przyjdzie. Wiedziała, czego będzie od niej chciał. I że będzie musiała mu to dać.

Wzięła do ręki swoją ulubioną lalkę. Blondynkę z zaplecionym warkoczem, podobnym do tego, jaki sama nosiła; odzianą w żółtą koszulkę, odsłaniającą większość jej brzucha, oraz krótkie dżinsowe spodnie. Uśmiechała się w sposób, jakiego Marcelina nigdy nie widziała – wysuwając śnieżnobiałe zęby spomiędzy zaokrąglonych warg. Była idealna. Nieskażona. Nierealna. Dokładnie taka, jaka Marcelina chciałaby być.

Wsunęła lalkę pod skotłowaną kołdrę. Tam jej nie znajdzie, pomyślała.

Położyła się na łóżku, mocno przylegając twarzą do poduszki, jak gdyby chciała odcisnąć na policzku jej wzór. Przykryła głowę drugim jaśkiem, aby nie słyszeć, co się dzieje poza jej pokojem. Mimo to słyszała wszystko. Drobne przesunięcia mebli. Wlewaną do czajnika wodę. Telewizor pomrukujący w sąsiednim pokoju. Jego ciężki oddech. Na samą myśl o nim zrobiło się jej niedobrze. Chciała płakać. Wrzeszczeć. Opuścić swoje ciało i zamknąć się w ścianie. Wyparować.

Drgnęła nerwowo, kiedy telewizor z sąsiedniego pokoju zamilkł. Mocniej przycisnęła poduszkę do głowy. Wyobraziła sobie, co on robi. Jak wsuwa stopy w klapki. Wstaje z fotela, odpychając się od poprzecieranych podłokietników. Rzuca pilota na ciepłe zagłębienie wyłobione przez jego pośladki. Wzdycha, jakby właśnie podjął nadludzi wysiłek. Podchodzi do barku, przekręca kluczyk i opuszcza skrzypiące drzwiczki. Wyjmuje cienką, wysoką butelkę. Zamyka barek.

Wychodzi na korytarz. Kieruje się w stronę jej pokoju. Gdy dochodzi do drzwi, pokrywające je naklejki ciemnieją, zlewając się w gęstą masę pochłaniającą światło. Ciepłą, spoconą dłonią nakrywa klamkę. Dziewczynka słyszy jego oddech. Z każdą sekundą coraz szybszy. Coraz głośniejszy. Niepokojąco podekscytowany.

Kiedy wszedł do pokoju, jej wyobraźnia przestała pracować. Zamarła. Ugięła się pod ciężarem migających w niej obrazów.

Usiadł na łóżku i wziął głęboki oddech. Dotknął jej kolana, jakby sprawdzał łąty na piłce. Potem uda. Przeskoczył na ramię, a później na twarz. Przejechał wierzchem dłoni po gładkiej skórze Marceliny. Zmusił ją, aby otworzyła oczy i spojrzała na niego. Posłał jej ciepłe spojrzenie.

– Usiądź – powiedział.

Posłuchała go. Jak zawsze.

Próbowała udawać zasną, ale jej ciało było zbyt mocno ściągnięte lękiem, żeby mogło jej to wyjść wiarygodnie. Błyskawicznie rozpoznał fałsz. Pokręcił głową. Nie był zadowolony.

Wstał. Odstawił butelkę na stolik. Następnie chwycił dziewczynkę za podbródek i uniósł jej głowę.

– Wiesz, że nie lubię, gdy mnie oszukujesz. Dlaczego to zrobiłaś?

Czekał na odpowiedź, choć wiedział, że jej nie otrzyma.

– Czy uważasz, że jestem dla ciebie niedobry?

Gwałtownie pokręciła głową.

– Czy zrobiłem ci coś złego?

Próbowała uciec przed jego spojrzeniem. Ale ciężka dłoń, którą zacisnął na jej szczęce, sprawiała, że ledwo mogła się poruszyć.

– Czy chcesz sprawić mi przykrość?

Głowa Marceliny nieznacznie się poruszała w lewo i w prawo. Jej delikatna broda przeskakiwała między grubymi paluchami, jakby się przesuwała po nieforemnych szczeblach. Właściwie to nawet nie była pewna, czy robi to sama, czy to on nią steruje. Jak pacynką. Wiedziała tylko, że jest jej wstyd. Tak potwornie wstyd.

– Kochasz mnie? – zapytał.

Marcelina z trudem uniosła wzrok. Wiedziała, że lubi, kiedy się na niego patrzy. Pociągnęła nosem. Jej podbródek zadrżał. Zanim się zorientowała, zaczęła się dławić łzami.

– Tak – wymamrotała.

– Tak?

– Kocham cię – powiedziała, przebijając się przez falę łkania.

Zakrztusiła się własną śliną i zaczęła kasłać. Puścił jej głowę i wytarł oplutą dłoń w spodnie. Poczekał, aż Marcelina przestanie się dusić, a potem zrobił krok w jej kierunku.

– Dobrze – powiedział. – Dobrze, że mnie kochasz.

Uwolnił pasek ze sprzączki i przeciągnął go przez szlufkę. Odpiął guzik przy rozporoku, przesunął zamek błyskawiczny. Zaczął szybciej oddychać.

– Ja też cię kocham – powiedział.

Marcelina poczuła ciężką dłoń chwytającą jej warkocz. Zaciśnęła powieki. Próbowwała zmusić się do tego, aby o niczym nie myśleć. By zapomnieć o zjawach. O wampirach i wilkołakach. O wszystkich potworach, które nawiedzały ją w nocy, nie pozwalając zasnąć. Które sprawiały, że strach pożerał ją od środka. Chciała się wyłączyć. Choćby na chwilę. Przynajmniej na kilka minut przenieść się w absolutną pustkę.

Sierpień

Mariusz Ryter przywykł do tego, że ludzie dziwnie na niego patrzą. Na jego hiszpańską bródkę, wydatne kości policzkowe i wąsko osadzone oczy. Na bezbarwny strój złożony z niebieskich dżinsów, szarej koszulki i znoszonych new balance'ów. Na nudną fryzurę, równo obrastającą jego podłużną głowę. Na telefon – nie smartfon, lecz starą nokię – który podczas każdego spotkania kładł na stole, żeby nie musieć co rusz wyciągać go z kieszeni. Szukali w nim milionera, którym się nie czuł. Mimo że wyciąg z jego konta mógłby powiedzieć coś innego.

Policjanci siedzący po drugiej stronie stołu długo oswajali się z jego aparycją i sposobem bycia. Z tym, że człowiek, który ledwo skończył trzydzieści lat, w dodatku przypominający irytującego nastolatka, może być tak obrzydliwie bogaty.

– W jaki sposób pana firma pozyskuje klientów? – zapytał w końcu Filipski.

– Mamy na to kilka sposobów – odparł Ryter niskim głosem, który nie licował z jego młodzieżowym wyglądem. – Sporo inwestujemy w kampanie reklamowe: w telewizji, radiu, a przede wszystkim w

internecie. Współpracujemy z agencją marketingową, która dba o to, żebyśmy byli jak najlepiej wypozycjonowani w Google. Wreszcie mamy też handlowców, którzy każdego dnia obdzwanają setki firm, i dział obsługi klienta, zajmujący się głównie odpowiadaniem na zapytania ofertowe.

– Sporo tego. Dużo osób pan zatrudnia?

– Już ponad dwieście. Herkules stale rośnie. Praktycznie ciągle prowadzimy jakieś rekrutacje, przez co nawet mnie, prezesowi, trudno jest wskazać dokładną liczbę.

Ryter uśmiechnął się fałszywie. Filipski odpowiedział mu tym samym.

– Nieźle – powiedział. – Czyli szuka pan klientów w całej Polsce?

– A od pewnego czasu także w Czechach, na Słowacji i Ukrainie. Coraz częściej zapędzamy się też do Europy Zachodniej.

– Ale przede wszystkim współpracujecie z łódzkimi przedsiębiorstwami?

– Jeszcze tak, ale wkrótce to się zmieni. W tej chwili firmy z Łodzi odpowiadają mniej więcej za jedną trzecią naszych przychodów. Chcemy, żeby ich udział zmalął do najwyżej dziesięciu procent.

– Dlaczego łódzkie firmy tak chętnie współpracują z Herkulesem?

Ryter wzruszył ramionami. Zanim odpowiedział, zerknął na starą nokię, która zatrzęsała się na stole. Esemes. Nie dość ważny, żeby odpowiedzieć na niego od razu.

– Lokalny patriotyzm. To działa w dwie strony. My także najchętniej współpracujemy z miejscowymi przedsiębiorcami.

Filipski spojrzał na Stelmach i oddał jej głos.

– Dwustu pracowników, kilkadziesiąt milionów złotych przychodu, kilka branżowych nagród – wyliczała, zerkając do notatek. – Ma pan się czym pochwalić. A mimo to nie szuka pan pokłasku. Nie pojawia się w mediach. Nie bywa na konferencjach. Dlaczego?

Ryter parsknął śmiechem, a następnie skrzyżował ręce na klatce piersiowej.

– To źle, że się nie przechwalam?

– Proszę odpowiedzieć.

Właściciel Herkulesa długo zastanawiał się nad odpowiedzią. W końcu pochylił się nad stołem i spojrzał wprost w kamerę.

– Lubię budować biznes i na nim zarabiać, a nie o tym opowiadać. Szwendanie się po mediach i chwalenie sukcesami jeszcze nie przyniosło nikomu nic dobrego.

– A może ma pan coś do ukrycia?

– Na przykład co?

– Choćby to, że zatrudnia pan kryminalistów.

Filipski wyciągnął spod zeszytu zdjęcie i podał je Ryterowi.

– Poznaje go pan? – zapytał. – To Procent. Były warszawski gangster. Kiedyś mokotowscy chcieli go odstrzelić, więc na kilka lat zniknął z radarów.

– Nie znam tego człowieka. I choć zwykle nie oceniam ludzi po wyglądzie, wydaje mi się mało prawdopodobne, żebym kiedykolwiek mógł kogoś takiego zatrudnić.

– A jeśli znajdziemy dowód na to, że pan kłamie? Na to, że Procent jest pana przybocznym?

Ryter odłożył zdjęcie na stół i pchnął je w stronę policjantów.

– Dlaczego sądzą, że przedsiębiorca, który unika spotkań z dziennikarzami, politykami, a nawet innymi biznesmenami, miałby się widywać z gangsterem? – Popukał się palcem w skroń. – Wasz ciąg logiczny rwie się już na pierwszej przeszkodzie.

– Czyli utrzymuje pan, że nie ma z Procentem nic wspólnego? – spytała Stelmach.

Ryter pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, skąd w Polakach bierze się przekonanie, że jeśli ktoś osiągnął sukces, to z pewnością musiał dojść do niego nieuczciwie. Wyzyskując i oszukując ludzi. Albo depcząc swoich rywali. Nie jesteście pierwszymi policjantami, którzy oskarżają mnie o prowadzenie działalności przestępczej. Ktoś was już dawno uprzedził.

– Komisarz Kawęcki – powiedziała Stelmach.

– Zdaje się, że to o nim chcieliście ze mną rozmawiać. – Biznesmen rozłożył ręce. – Proszę bardzo. Czekam na pytania. Im szybciej je zadacie, tym prędzej wrócę do budowania PKB i pracy na wasze nędzne emerytury.

Stelmach spojrzała na Filipskiego. Rzadko się ze sobą zgadzali. Ale gdyby jej zaproponował, żeby wydlubać Ryterowi oczy, z radością by na ten pomysł przystała.

– Jak się panowie poznali? – zapytał Filipski.

– Któregoś pięknego dnia, równie upalnego jak dzisiejszy, przyjechał do mojej firmy. Wymachiwał legitymacją policyjną tak długo, aż jeden z kierowników zgodził się wpuścić go do mojego gabinetu. W tej sytuacji nie miałem wyboru. Musiałem z nim pogadać.

– O czym panowie rozmawiali?

– O tym samym, o czym rozmawiam z wami. Kawęcki uważał, że prowadzę nielegalny biznes.

– Co konkretnie panu zarzucał?

– Że rujnę jego pracę. Twierdził, że zmuszam małych przedsiębiorców, aby korzystali z usług ochroniarskich Herkulesa i kupowali moje systemy antywłamaniowe.

– Pana zdaniem nie miał ku temu podstaw?

– Nie wiem, może i miał. Jak już wspominałem, pozyskujemy klientów na różne sposoby. Ale wszystko sprowadza się do szukania ludzi potrzebujących naszych rozwiązań. Na przykład tych, których przez lata nękali gangsterzy.

– Przecież to, co pan robi, jest nowoczesną formą haraczu – zauważyła Stelmach. – Straszy pan ludzi, a potem zmusza ich do płacenia za ochronę. Tyle że robi to bardziej formalnie, podpisuje umowy i płaci podatki.

– Ma pani na to jakiś dowód? Czy może ufa pani swojej intuicji?

Stelmach i Ryter długo mierzyli się wzrokiem. W końcu policjantka spuściła głowę i zatopiła się w notatkach.

– Kiedy dokładnie odwiedził pana Kawęcki? – zapytała.

– Nie pamiętam. Mniej więcej dwa lata temu.

Stelmach sięgnęła po jeden z wydruków i zakreśliła coś długopisem. Podała kartkę Ryterowi.

– Przyjmijmy, że było to równo dwa lata temu, w sierpniu dwa tysiące szesnastego roku. Od tego czasu podjął pan współpracę z osiemnastoma łódzkimi firmami, od których w przeszłości gangsterzy wymuszali haracze. Robiły to grupy przestępcze, które rozpracował Kawęcki.

– I co w związku z tym?

– Nie uważa pan, że to dziwny zbieg okoliczności?

Ryter uśmiechnął się do policjantki.

– A o czym to według pani świadczy?

– O tym, że pod przykrywką legalnego biznesu prowadzi pan zorganizowaną grupę przestępczą. A Kawęcki panu w tym pomaga.

Biznesmen roześmiał się. Niskim głosem może i nadrabiał braki w prezencji, ale rechotał jak rozwydrzony gówniarz.

– Bawią pana te zarzuty? – zapytał Filipski.

– Bawią mnie wasze nieudolne prowokacje. Niestety, nie macie pojęcia, na czym polega prowadzenie działalności gospodarczej w Polsce. Myślę, że zabrnęlibyście znacznie dalej, gdybyście przestali udawać, że znacie się na tym, co robię. – Ryter pokręcił głową. – Przecież nie chodzi wam o mnie, tylko o niego. To jego chcecie dopaść. Mam rację?

Stelmach pochyliła się nad stołem.

– Co pan wie o Kawęckim? – zapytała.

– Oprócz tego, że lubi dać w palnik? Niewiele. Jest inteligentnym, oddanym pracy samotnikiem. Jakiś czas temu rozstał się z żoną. Nie ma dzieci. Na szczęście. Myślę, że gdybyśmy poznali się w innych okolicznościach, moglibyśmy się nawet zaprzyjaźnić. Albo chociaż zakolegować. Bo z nim chyba nie da się zaprzyjaźnić.

– Wbrew pozorom całkiem sporo pan wie o człowieku, który rzekomo próbował pana zniszczyć – ocenił Filipski. – Zupełnie jakby Kawęcki był pańskim sprzymierzeńcem.

Biznesmen posłał policjantom ten sam irytujący uśmiech, jakim traktował ich od początku spotkania. Potem zapatrzył się w stół.

– Wiecie, dlaczego odniosłem sukces?
– Chciał pan rozmawiać o Kawęckim – zauważył Filipski.
– Właśnie to robimy – odburknął Ryter. – Słyszeliście kiedyś o Jimie Collinsie? Założę się, że nie. To ekspert od zarządzania i rozwoju firm. Jeden z najlepszych na świecie. Sam nie zbudował wielkiej organizacji, ale pomógł tysiącom zupełnie przeciętnych przedsiębiorców, takich jak ja, odnaleźć się w biznesie. Collins napisał kiedyś, że szczęście to nic innego jak umiejętność zauważania rzeczy i zjawisk, których inni nie dostrzegają. Albo widzą, ale nie reagują. – Podniósł wzrok na policjantów. – Odniosłem w życiu sukces, ponieważ miałem szczęście. W przeciwieństwie do Kawęckiego.

Kilka godzin później

Ryter wiedział, że w biznesie trzeba dbać o pozory. O detale. O to całe pseudopsychologiczne badziewie, którym buduje się morale pracowników i dba o ich motywację. Które sprawia, że pracownikom chce się zapierdalać. I którym można zamydląć im oczy w najbardziej głównianych momentach.

Dlatego zanim po przesłuchaniu wrócił do firmy, zahaczył o swoją ulubioną cukiernię. Uzbroidł się w karton słodczy: pączków, wuzetek i eklerów. Wparował z nim do biura, otworzył stopą drzwi do sali konferencyjnej i postawił go na podłużnym stole, przykrywając leżące na nim dokumenty.

– Z jakiej to okazji? – zapytał szef marketingu, któremu Ryter właśnie zepsuł wewnętrzne spotkanie.

– Mamy co świętować.

– To znaczy?

Ryter chwycił pierwszego z brzegu pączka i wpakował go do ust.

– Zwołaj członków zarządu i pozostałych dyrektorów – odparł z pełnymi ustami. – A potem przynieś sztucce i talerze.

Zanim obecni w firmie menedżerowie zebrali się w sali konferencyjnej, Ryter zdążył pożreć pączka. Wytarł dłonie w dzinsy. Te same, które nosił od kilku dni. Brudne i znoszone. Stać go było na to, żeby codziennie kupować sobie nowe spodnie, ale nigdy by się na to nie zdecydował. Chciał wyglądać zwyczajnie. Skromnie. Zupełnie przeciętnie. Gorzej od swoich dyrektorów. Nie jak właściciel firmy, chciwy, pławiący się w luksusie kapitalista, lecz jak mały, szary człowiek. Może z ciut większymi ambicjami niż pozostali. I gotowy zrobić ciut więcej, żeby im sprostać.

Kiedy sala się wypełniła, Ryter ostentacyjnie oblizał paluchy i uniósł dłonie w przepraszającym geście.

– Wybaczcie, że tak się rzuciłem na słodkości, ale nie mogłem się powstrzymać. To i tak cud, że je tu doniosłem.

Menedżerowie zaśmiali się. Sztucznie. Tak jak ludzie przeważnie śmieją się z niewyszukanych żartów szefa, na które nie wypada zareagować inaczej. Z sucharów, którymi można się udławić.

– Jak doskonale wiecie, naszym celem jest zbudowanie międzynarodowej organizacji. Wiem, wiem, mówiłem o tym już kilka lat temu. Ale wtedy pewnie pukaliście się w głowę, sądząc, że są to tylko rojenia zdziwaczałego Janusza biznesu. – Znów sztuczny śmiech. Ale tym razem bardziej serdeczny. – Zdobycie kilku kontraktów w Czechach czy na Słowacji można było traktować w kategoriach szczęścia. Całkiem miłego wypadku przy pracy. Ale byliśmy

konsekwentni. Stworzyliśmy zespół odpowiedzialny za ekspansję i poszukiwanie klientów poza Polską. Zainwestowaliśmy trochę ciężko zarobionych pieniędzy w podróże służbowe po Europie. Pogodziliśmy się z tym, że część środków nie zwróci się nam od razu. Ale było warto. Dzisiaj mogę to powiedzieć z całą stanowczością. – Ryter zrobił pauzę i popatrzył na twarze podwładnych. – W zeszłym tygodniu pozyskaliśmy trzech klientów z Niemiec. Wczoraj dołączyła do nas pierwsza firma z Belgii. A Jarka Chojnowskiego nie ma dzisiaj z nami, ponieważ rano poleciał do Amsterdamu, żeby podpisać umowę z siecią sklepów sprzedających artykuły ogrodnicze, która postanowiła zamontować w nich nasze systemy. Wiecie, co to oznacza? Że właśnie wykonaliśmy pierwszy duży krok, żeby stać się międzynarodowym graczem. A kolejne są tylko kwestią czasu. – Sięgnął po następnego pączka. – Dziś jest ten dzień, w którym powinniśmy się cieszyć i tyć razem z naszą firmą. Wielkie gratulacje dla was wszystkich!

Przytrzymując pączka zębami, zaczął klaskać w dłonie. Chwilę później dołączyli do niego pozostali.

Kiedy oklaski zastąpił brzęk talerzy i szmer rozmów, biznesmen wyszedł z sali. Ruszył w kierunku swojego biura. Zanim tam wszedł, wyrosła przed nim asystentka. Filigranowa kobieta o permanentnie smutnej twarzy. Wyglądająca jak półtorametrowa trauma.

– Ktoś czeka na pana w gabinecie – powiedziała niemal szeptem.

– Kto?

Spuściła głowę. Zawstydzona. A zarazem przestraszona. Choć pewnie dawno temu przygotowała te kilka zdań, którymi miała wytłumaczyć szefowi swoją głupotę, była zbyt spanikowana, żeby je z siebie wypluć.

– Nie przedstawił się. Ale powiedział, że pan go zna. Był bardzo... stanowczy.

Ryter dotknął jej ramienia palcami unurzanyymi w lukrze. Jemu to nie przeszkadzało. Jej najwyraźniej też.

– Nie przejmuj się. Poradzę sobie z nim. Masz dla mnie coś do podpisania?

– Położyłam dokumenty na biurku. Chciałam je zabrać, kiedy pojawił się ten człowiek, ale on... wygonił mnie z pańskiego biura.

Ryter z trudem powstrzymał śmiech.

– Nie martw się. On pewnie nawet nie potrafi czytać.

Ponownie poklepał kobietę po ramieniu. Mijając asystentkę, pomyślał, że powinien ją zwolnić. Że bardziej przydałby mu się asystent. Goryl w garniturze. Napakowana małpa byłaby lepsza od laski, której nawet nie miał ochoty wyruchać.

Wszedł do gabinetu.

Procent siedział w jego fotelu, z nogami rozłożonymi na biurku. Bawił się scyzorykiem, udając gangstera z lat dziewięćdziesiątych. Albo wcale nie udając, pomyślał Ryter. Może on taki był. Opóźniony. Nienadążający za zmieniającym się światem. Niedopasowany. Jak jaskiniowiec odgrzebany z bryły lodu. Byli swoimi doskonałymi przeciwieństwami. Wytatuowana góra mięcha i chłopczyk o sylwetce niedożywionego nastolatka. Facet, który chciał się rzucać w oczy, wzbudzać szacunek albo chociaż strach, i gość pragnący pozostać niewidzialnym. Wulkan agresji i oaza spokoju.

– Byłeś dzisiaj na komendzie – odezwał się Procent. – Nie pytaj, skąd to wiem. Po prostu wiem. Tacy ludzie jak ja wiedzą różne rzeczy.

– Co tu robisz? – zapytał Ryter i zanurzył zęby w pączku.

– Co powiedziałaś psom?

Biznesmen zrobił powolny obchód po gabinecie. Udając, że czegoś szuka, sprawdzał, czy nic nie zginęło. Czy ten przygłup nie splądrował jego biura, szukając kwitów, rachunków, zdjęć lub czegokolwiek innego, co mógł uznać za istotne. Czuł na sobie jego spojrzenie. Wiedział, że to wielkie wytatuowane gówno ma ochotę wbić mu scyzoryk w plecy. Zanurzyć go głęboko. Przeciąć rdzeń kręgowy. Na szczęście wiedział też, jak należy postępować z ludźmi, którzy żyją wyłącznie po to, żeby niszczyć.

– To, co chcieli usłyszeć – odparł.

– Powiedziałaś im o mnie?

– Oni nie interesowali się tobą. Ani mną. Przynajmniej nie bezpośrednio.

– Co to, kurwa, znaczy?

– Chcą udupić Kawęckiego. Liczą na to, że im w tym pomogę.

– Niby jak?

Ryter podniósł z szafki jakiś dokument, nie zwracając uwagi na Procenta. Chciał go rozzłościć. A takich jak on nic nie frustruje bardziej niż ludzie, którzy jawnie nimi gardzą.

– Musisz być bardziej ostrożny. Widzieli was. Ciebie i Kawęckiego.

– Kto?

– Nie wiem. Albo psy, albo ludzie, którzy chcą nam zaszkodzić. W każdym razie ktoś zrobił wam zdjęcie. Wyglądacie na nim jak starzy kumple, którzy wymieniają się informacjami.

– Kurwa! – Procent ściągnął nogi z biurka i odłożył scyzoryk na blat.

– To niemożliwe. Zawsze sprawdzam, czy mam ogon.

– Ale nie pilnujesz Kawęckiego. A to jest chlor, któremu na niczym nie zależy.

Procent podrapał się po swojej okrągłej łysej głowie, jakby od tego mogło mu przybyć szarych komórek.

– Dowiem się, kto jest konfidentem. Znajdę skurwysyna i zajebię.

– Nie, zrobisz coś dokładnie odwrotnego. Będziesz udawał, że o niczym nie wiesz. Zadzwońisz do Kawęckiego i umówisz się z nim na spotkanie. A jak już to zrobisz, poinformujesz mnie o tym. Ja zajmę się resztą.

Ryter podszedł do biurka. Trzymając w jednej ręce pączka, a w drugiej długopis, pochylił się nad papierami, które zostawiła dla niego sekretarka. Były to głównie dokumenty finansowe: faktury, umowy, potwierdzenia zapłaty. Wyglądały na nietknięte. Procent musiał zdawać sobie sprawę, że i tak nic by z tego nie skumał.

– Prawdę mówiąc, problemem nie jest człowiek, który zrobił te zdjęcia, tylko to, w jaki sposób mogą zostać wykorzystane – powiedział Ryter, podpisując pierwszy z dokumentów.

– O czym ty, kurwa, mówisz?

– Psy wiedzą, że żyjesz. I że nie wyjechałeś na Wyspy, jak większość gości twojego formatu, tylko zaszyleś się w mieście oddalonym o sto trzydzieści kilometrów od Warszawy. A jeżeli oni to wiedzą, wkrótce ta wiadomość dotrze również do twoich dawnych znajomych.

Strach, który Procent tak bardzo pragnął widzieć w oczach innych, teraz przeszył jego prymitywną gębę. Sprawił, że stała się trupioblada.

– Ale nie przejmuj się tym – powiedział Ryter. – Rozpuszczę wici. Zorientuję się, gdy ta wspaniała nowina dotrze do twoich

sympatycznych koleżków. Dowiem się, czy nadal chcą cię odjechać. Jeśli tak, zapewnię ci bezpieczny wyjazd do Czech, Holandii albo nawet do Dżibuti, jeśli zajdzie taka potrzeba. Oczywiście pod warunkiem, że do tego czasu będziesz robił swoje.

Ryter podpisał ostatnią umowę i odłożył długopis na biurko. Spojrzał na Procenta. Mięśniak wyglądał jak pokancerowany arbuz, wepchnięty do gargantuicznego blendera, który przestał wirować na chwilę przedtem, zanim owoc zetknął się z ostrzem.

– A co z Kawęckim? – zapytał Procent.

– Już niedługo nie będziemy go potrzebować. – Ryter rozdziawił gębę i wepchnął do niej ostatni kęs pączka. – Już niedługo.

Kawęcki szedł ulicą Liściastą do momentu, aż skończył się na niej asfalt. Przystanął na chwilę, żeby zapalić papierosa i zerknąć na GPS. Był już blisko.

Przez kilka następnych minut człapał na zachód, robiąc slalom pomiędzy głębokimi dziurami wyrytymi w szutrowej drodze, wypełnionymi wysychającymi szybko kałużami. Co jakiś czas przystawał, wycierał wierzchem dłoni pot z czoła, wzdychał i przeklinał w myślach pogodę. Ponad trzydzieści stopni w cieniu. To nie były dobre warunki do maszerowania. Nie dla kogoś takiego jak on. Nie tyle pozbawionego formy, ile kompletnie zdruzgotanego paroma miesiącami chlania. Czterdziestolatka uwięzionego w ciele schorowanego siedemdziesięciolatka. Gościa, u którego już dawno rozpoczęło się wsteczne odliczanie.

W końcu Kawęcki dotarł do celu. Stał przed parterowym betonowym budynkiem z dachem pokrytym papą. Różnił się od tych,

które mijał po drodze. Był skrajnie zaniedbany. Nie miał ogrodzenia ani ogródka. Nie sąsiadowały z nim żadne budynki gospodarcze ani garaże. W zasadzie można było odnieść wrażenie, że zaczynają w niego wrastać otaczające go krzaki. Właściciel budynku nawet się nie pofatygował, żeby zamalować antysemickie napisy na ścianach oraz koślawy rysunek autorstwa jakiegoś ełkaesiaka – szubienicy, na której zawisł skrót RTS.

Choć teraz i tak nie miałyby to sensu, pomyślał Kawęcki. Wiedział, że gdy okoliczne dzieciaki dowiedzą się, kto przed laty mieszkał w tym domu, podobnych rysunków powstanie więcej. Będą bardziej wulgarne. Spersonalizowane. Lepiej pasujące do miejsca i okoliczności.

Sterczał przed budynkiem tak długo, aż w końcu ktoś wyjrzał przez okno. Chwilę później jakiś brodaty mężczyzna nieznacznie uchylił drzwi i wetknął w lufcik łysą głowę.

- Mogę panu w czymś pomóc? – spytał.
- To zależy – odparł Kawęcki. – Długo pan tu mieszka?
- A co panu do tego?
- Chciałbym kupić dom w okolicy.
- Który?

Kawęcki odwrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i wycelował palcem w przypadkowy budynek. Miał nadzieję, że nie należał do dobrego znajomego brodacza, który najwyraźniej był zbyt leniwy, żeby włożyć spodnie. Inaczej Kawęcki nie potrafił wytłumaczyć tego, że facet wetknął łeb między drzwi a futrynę.

– Rosińscy – powiedział mężczyzna. – Nie wiedziałem, że sprzedają chałupę.

- Ja do wczoraj też nie.

– Mieszkam tu już ze dwadzieścia lat. Z tej okolicy ludzie rzadko się wyprowadzają.

– Pana sąsiedzi mówią to samo. – Kawęcki próbował wzbudzić zaufanie tego człowieka, ale nie szło mu to najlepiej. – Zna pan historię swojego domu?

– To znaczy?

– Wie pan, kto tu wcześniej mieszkał?

Facet podrapał się po brodzie, a zaraz potem po głowie, jakby nie potrafił rozstrzygnąć, co go bardziej swędzi.

– Jakiś podstarzały pijak. Nie pamiętam, jak się nazywał. Zresztą nigdy go nie poznałem. Podobno przeprowadził się do bloku na jakimś osiedlu. Odziedziczył po kimś mieszkanie albo coś w tym stylu.

– Miałby pan coś przeciwko, gdybym wszedł do środka i się rozejrzał?

– Do mojego domu? – obruszył się łysol. – A po chuj? Coś pan w ogóle za jeden?

Facet nieoczekiwanie otworzył drzwi na oścież. Okazało się, że jest ubrany. W krótkie spodenki i luźny podkoszulek, z którego wylewała się sterta mięśni.

– Czy jak powiem prawdę, wpuści mnie pan do środka?

– Wynoś się stąd albo rozjebię ci łeb.

Brodacz przyjął bojową pozycję, rozkładając ręce tak szeroko, że ledwo zmieścił się w futrynie. Kawęcki chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał, prawdopodobnie ratując w ten sposób swoje zęby. Uniósł dłonie w przeproszającym geście i zawrócił, licząc na to, że facet nie zechce go pogonić. Na szczęście brodacz okazał się leniwy.

Kawęcki przedreptał kilkanaście metrów i zatrzymał się przed efektownym ceglany domem, który na tle sąsiadującej z nim rudery prezentował się jak pałac. Otarł pot z czoła. Czuł, jak promienie ułatniają się przez każdy por jego ciała, wysysane przez ostro operujące słońce. Miał wrażenie, że jest wielką zużytą gąbką, którą ktoś postanowił wycisnąć. Tylko że zapomniał rozewrzeć palce.

Zanurkował do kieszeni spodni i wyjął z niej małąkę. Odkręcił zakrętkę i pociągnął spory łyk ciepłej wódki. Była obrzydliwa. Smakowała jak kara. Jak niezaprzeczalny dowód na to, że trzeba być skończonym kretynem, aby coś takiego w siebie wlewać.

Odwrócił się, gdy usłyszał chrzęst opon na żwirze. Zobaczył znajomy samochód. A w nim znajomą twarz.

Witold zatrzymał się obok Kawęckiego. Opuścił szybę.

– Myślałem, że już nie jesteś policjantem. I że chcesz pobyć sam, zapijając się na śmierć.

Kawęcki pozdrowił go butelką, a następnie kolejnym pokaznym haustem opróżnił jej zawartość.

– Od początku było dla mnie jasne, że będziesz próbował zrozumieć tego człowieka. Znaleźć logiczne wytłumaczenie jego czynów. – Witold przyłożył dłoń do czoła, osłaniając oczy przed słońcem. – Za bardzo lubisz ten cały psychologiczny bełkot, żeby odpuścić. Ale moim zdaniem to nie wychowanie i traumy z dzieciństwa sprawiły, że Kostka stał się potworem.

– A co?

– Wierzę, że niektórzy ludzie rodzą się pojebani. Tak po prostu.

– To dlaczego tu przyjechałeś?

Witold wzruszył ramionami.

– Bo nic innego mi nie pozostało. Wiemy, że urodził się w Pabianicach jako Seweryn Majewski, ale jego biologiczna matka szybko się go pozbyła. Adoptowali go Maria i Olgierd Kostkowie, małżeństwo, które nie mogło mieć dzieci. Nie byli szczególnie zamożni, a w dodatku pan Kostka lubił zajrzeć do kielicha. Ale wtedy nie miało to żadnego znaczenia. Wystarczyło, że go chcieli. Takie były czasy. Natomiast wszystko, co wydarzyło się później, jest dla nas zagadką.

– Do momentu, aż zaczął zabijać.

– Nawet nie wiemy, kiedy zrobił to pierwszy raz.

Kawęcki się odwrócił. Ponownie spojrzał na piętrowy dom z garażem i ogródkiem, który oddzielało od drogi dwumetrowe ogrodzenie. Wygrzebał z kieszeni papierosa. Włożył jednego do ust. Zapalił.

– Dziwna okolica. Z jednej strony masz prymitywne chałupy, a z drugiej wille i osiedle domków jednorodzinnych. Ktoś, kto tu dorastał, musiał nieustannie przeskakiwać ze skrajności w skrajność. Każdego dnia doświadczał wielkiej niesprawiedliwości społecznej. – Rozejrzał się wokoło. – To tutaj wszystko się zaczęło.

– Zabójstwa?

– Jego przemiana.

Witold przyjrzał się Kawęckiemu, który zatoczył się w stronę samochodu. Dopiero wtedy zauważył, że jego niedawny partner jest kompletnym wrakiem. Był wymizerowany i brudny. Skacowany, a zarazem już pijany. I zmęczony do tego stopnia, że z trudem utrzymywał otwarte powieki. Przypominał Witoldowi menela, który

wkręcił się na imprezę, na którą nikt go nie zapraszał. I najwyraźniej zamierzał na niej zostać do końca.

– Spełniłem twoją prośbę – powiedział Witold. – Ale po wydziale zaczęły krążyć plotki.

– Jakie?

– Że zapadłeś się pod ziemię, bo wewnątrzni chcą cię dopaść. Ludzie zaczynają szeptać, żeś robił wałki na boku.

– Podobno w każdej plotce jest ziarno prawdy.

Witold pokręcił głową.

– Nie wygląda to dobrze. I ty też nie wyglądasz dobrze. W ogóle, kurwa, nie jest dobrze.

Kawęcki wzruszył ramionami. Parokrotnie zaciągnął się papierosem, intensywnie wpatrując się w Witolda.

– Przyjdź do mnie za kilka dni. Może wtedy będę w lepszej formie. I może opowiem ci historię.

– O czym?

Wyrzucił peta na żwir. Choć nie było takiej potrzeby, z przyzwyczajenia przydeptał go czubkiem buta.

– O mojej przemianie.

Posłał Witoldowi kwaśny uśmiech. Lekko się zataczając, ruszył wzdłuż drogi. W powrotnym kierunku. W stronę domu.

Adamski odwrócił się w bok i zakrył dłonią usta. Ziewnął. Był skrajnie znudzony. Nie wiedział tylko, czy bardziej wymęczył go dwugodzinny film, jakaś kretyńska produkcja o gangsterach, złożona z dziesiątków nietworzących logicznej całości scen, czy kobieta, z którą go oglądał. Na imię miała Renata. Lat trzydzieści dwa, a przynajmniej tyle wpisała

sobie na Tinderze. Była wysoką, długonogą, tlenioną blondynką z niezłym biustem i wydatnymi ustami. Chyba powiększonymi. Nie powalała intelektem. Nie miała ciekawych zainteresowań. Właściwie można było odnieść wrażenie, że żyje wyłącznie po to, żeby strzelać sobie selfie.

Zatrzymali się pod pomarańczowym szyldem Cinema City. Adamski wyciągnął kluczyki i wskazał nimi parking.

– Za kilka minut możemy być u mnie – oznajmił. – Mam świetne wino. Portugalskie. Z Madery.

Nie wyglądała na przekonaną. Pisała coś w telefonie. Tak się Adamskiemu wydawało, dopóki się nie zorientował, że przegląda się w ekranie. Sprawdzała, czy tapeta nie odkleiła jej się od ryja.

– Cristiano Ronaldo pochodzi z Madery – powiedział.

Opuściła telefon. Chwilę później schowała go do torebki. Uśmiechnęła się do Adamskiego i zrobiła krok w jego stronę.

– Lubię go – powiedziała. – Lubię też twój samochód. I wiesz, co jeszcze lubię?

– Chyba się domyślam.

Adamski wystawił łokieć, żeby Renata mogła go chwycić pod ramię. Przyłgnęła do jego boku i ruszyli w głąb parkingu. Uśmiechnął się do niej, jakby chciał oznajmić, że nie mogła trafić lepiej. On mógł, ale nie chciał. Nie zależało mu na poznaniu kobiety, z którą miałyby o czym rozmawiać. Na Tinderze wyławiał te, które jasno deklarowały, że interesuje je wyłącznie jednorazowy występ. Gotowe zaraz po akcji zamówić taksówkę i wrócić do domu. Niegderające. Niedzwoniące. Szukające nie miłości, lecz łatwego, pozbawionego emocji pierdolenia.

Oczywiście czasem trafiał na dziewczyny, które potrafiły rozbawić go do łez. Oczarować. Onieśmielić intelektem. A nawet sprawić, że przez moment się zastanawiał, czy nie powinien poszukać kogoś na stałe. Ale tym razem nie miał tyle szczęścia.

Zerknął na zegarek. Dwudziesta pierwsza. Jeżeli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, o dwudziestej trzeciej znów będzie wolny. Zeżre szybką kolację, wykąpie się, wyprasuje koszulę i pójdzie spać. Wszystko szło zgodnie z jego banalnym planem.

Do momentu, aż go zobaczył.

Przy samochodzie Adamskiego stał jakiś mężczyzna w czarnej koszulce, dżinsach i ze złotym łańcuchem zwisającym z karku. Zaglądał do środka przez szybę. Jakby chciał sprawdzić, ile auto wyciąga. Albo czy da się z niego wynieść radio. W pewnym momencie uniósł głowę i zobaczył Adamskiego. A on jego wysuniętą szczękę. Quentin.

– Zaczekasz tu chwilę? – spytał Adamski.

Renata wyglądała na zdziwioną, ale bez większego zastanowienia pokiwała głową. Gdy tylko Adamski odszedł na kilka kroków, wyciągnęła telefon i złożyła usta w dzióbek. Obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, szukając odpowiedniego tła dla kolejnego zdjęcia.

– Po kimś takim jak ty spodziewałbym się czegoś innego – powiedział Quentin, kiedy Adamski do niego doszedł. – Beemki piątki, jakiejś alfy, może mazdy szóstki. Ale honda CRV? Dupy w ogóle na to lecą?

– Jeszcze byś się zdziwił. Czego chcesz?

Quentin wskazał palcem stojący kilka metrów dalej samochód. Czarne bmw. Z łysym trollem za kółkiem.

– Nie ma mowy – powiedział Adamski.

– Możemy to zrobić w sposób cywilizowany. Zamówisz dziewczynie takse, przeprosisz za nieudany wieczór, obiecasz, że zadzwonisz, i grzecznie się z nią pożegnasz. Ale możemy też rozegrać to inaczej. Wolałbyś jednak nie wiedzieć, co mam na myśli.

Adamski głośno wypuścił powietrze. Odwrócił się w stronę Renaty, wciąż zajętej fotografowaniem samej siebie, i ruszył w stronę bmw.

– A co z dziewczyną? – zapytał Quentin.

– Jebał ją pies.

Chwilę później Adamski wszedł do samochodu.

Roman już na niego czekał. Przy zapalonym świetle czytał książkę. Pokazał Adamskiemu okładkę – biografia Zbigniewa Religi. Chwilę później wsadził do książki zakładkę i zdjął okulary.

– Lubię historie ludzi, którzy uważają się za lepszych od innych – powiedział. – A nawet za lepszych od Boga. Trzeba mieć w sobie dużo buty i odwagi, żeby dojść do takiego wniosku. A ja lubię ludzi, którzy srają na zasady.

Roman schował okulary do etui. Zgasił światło nad głową i odwrócił się do Adamskiego.

– Nie oddzwoniłeś.

– Nie bez powodu wyrzuciłem kartkę z twoim numerem.

– Popełniłeś błąd. Ale postanowiłem ci go wybaczyć. Uznałem, że...

– Roman szukał właściwego określenia – postąpiłeś zbyt emocjonalnie. Na szczęście jesteś rozsądnym facetem. Dlatego liczę na to, że coś takiego już ci się nie przytrafi.

Adamski poirytowany spojrzał na zegarek.

– Masz pół minuty – powiedział.

Roman uśmiechnął się, a następnie poklepał trolła po ramieniu.

– Pokaż mu zdjęcia – powiedział.

Napakowany dresiarz potrząsnął całym samochodem, kiedy schylał się do schowka. Z największym trudem wyciągnął za siebie wielkie łapsko, żeby wręczyć Adamskiemu kopertę.

– Co to jest?

– Otwórz. Gdybym ci powiedział, zepsułbym niespodziankę.

Adamski długo się wahał, ale w końcu otworzył kopertę. Wyciągnął z niej kilka fotografii. Długo się im przyglądał, jakby jego wzrok musiał się przyzwyczaić do ciemności. Potem drżącymi dłońmi włożył je z powrotem. Odwrócił się do Romana. Był wściekły.

– Spróbuj go tknąć, a rozjebię ciebie i całą twoją ekipę. Bez względu na konsekwencje.

Roman coraz szerzej się uśmiechał.

– Mój znajomy jest nefrologiem. Opowiedział mi co nieco o niewydolności nerek. Straszne schorzenie.

– Zamknij mordę! – warknął Adamski.

– Nawet nie potrafię wyobrazić sobie męki, jaką musi przeżywać facet, który nieustannie leje krew.

– Powiedziałem, żebyś zamknął mordę!

Adamski zacisnął pięści. Był o krok od uderzenia Romana. Ale coś go powstrzymało. Prawdopodobnie rozsądek. Świadomość, że siedzi przed nim facet, który bez większego wysiłku mógłby oddzielić jego łeb od tułowia. Albo strach. Paniczny, paraliżujący strach, wydobywający się prosto z jego trzewi. Najgorszy z możliwych.

– Lubię facetów, którzy wiedzą, czego chcą – powiedział Roman. – Ale nienawidzę narwanych głupków. Gardzę nimi. I chętnie sprawiam, że cierpią. Albo oni, albo ich najbliżsi. – Zerknął na Adamskiego, żeby

się upewnić, czy dobrze go zrozumiał. – Jeżeli chcesz, żeby twój braciszek przeszedł w swoim życiu jeszcze kilka dializ, powinienes mnie wysłuchać.

Adamski odwrócił się w stronę szyby. Blondynka nadal stała tam, gdzie ją zostawił. Wciąż skupiona na telefonie i strojeniu min. Adamski przypomniał sobie swój plan. Zaciągnąć laskę do domu. Wyruchać ją, a potem szybko się jej pozbyć. Nażreć się, umyć i pójść spać. Jego plan był prosty. Idiotycznie prosty. Ale coś mu podpowiadało, że od tej pory już nic w jego życiu takie nie będzie.

Burzliwy ocean wepchnął pięćdziesięciosześcioletniego hiszpańskiego rybaka Luigiego Marqueza prosto w paszczę wieloryba. Kiedy straż przybrzeżna szukała go bez przekonania, on taplał się w cuchnącej treści żołądkowej ssaka. Żywił się tym, co wieloryb wcześniej pożarł. Przy życiu utrzymywały go jedynie surowe ryby, wodoodporny zegarek i nieprawdopodobna determinacja. Chęć życia. A przede wszystkim żarliwa modlitwa.

Hiszpan spędził w trzewiach wieloryba trzy dni i trzy noce, zanim zwierzę w końcu go wypluło. Podobnie jak Jonasz. Prorok, który sprzeciwił się woli Boga.

Seweryn złożył na pół wydruk z anglojęzycznej strony, na której znalazł artykuł o rybaku, i odłożył go na szczyt imponującej papierowej wieży. Sięgała niemal do sufitu zatechłego garażu. Jego miejsca. Budowanej przez lata prywatnej świątyni, w której pośród smarów, narzędzi, kanistrów, przestarzałych urządzeń i gazet pielęgnował swoją miłość do Stwórcy.

Zrobił krok do tyłu i przyjrzał się wieży. Powinna wystarczyć.

Jonasz dostał misję od Boga. Miał się udać do Niniwy, stolicy Asyrii leżącej nad lewym brzegiem Tygrysu, i nawoływać jej mieszkańców do nawrócenia. Ale nie starczyło mu odwagi. Dlatego zamiast wybrać się do Niniwy, wsiadł na statek płynący w przeciwnym kierunku. I w ten sposób ściągnął na siebie boży gniew.

Seweryn otworzył drewnianą szafkę. Na jednej z półek roіło się od religijnych szpargałów: krzyży, świec adwentowych, ręcznie robionych serwet z elegancko wyszytymi ichtysami. Ale to nie one go interesowały, lecz leżąca pomiędzy nimi księga. Jego nietypowy pamiętnik. Kilkadziesiąt stron zapisanych od góry do dołu informacjami: adresami, numerami telefonów, opisami ludzkich zachowań, charakterów i wynaturzeń. Katalog zepsutych osobowości. Ludzi, którzy bezpowrotnie zerwali więź z Bogiem. I których spotkała za to zasłużona kara.

Spakował księgę do sportowej torby i otworzył kolejną szafkę.

Bóg, rozżalony postawą Jonasza, rozpętał wielką burzę. Zdjęci strachem marynarze zaczęli wzywać rozmaite bóstwa na pomoc. Dopiero wtedy Jonasz zrozumiał swoją pomyłkę. Pojął, że zawiódł. I że musi naprawić swój błąd. Poprosił więc marynarzy, aby wyrzucili go za burtę. Kiedy to zrobili, sztorm momentalnie ustał, a Jonasz został połknięty przez wieloryba. Po spędzeniu trzech dni i trzech nocy w brzuchu wodnego giganta został wypluty na brzeg. Dzięki temu mógł udać się do Niniwy i wypełnić swoją misję. Przekonać mieszkańców, aby okazali Bogu posłuszeństwo.

Seweryn zapalił zapałkę. Włożył ją od drewnianej, niepodpalonej strony do pudełka, które następnie położył na szczycie papierowej wieży. Zarzucił torbę na ramię i ruszył w stronę drzwi. Kiedy do nich

dotarł, odwrócił się. Popatrzył na zamazane ściany garażu. Przeżegnał się, zaciskając usta. Wiedział, że nie powinien być smutny. Że to tylko koniec jednego z odcinków serialu, który ktoś inny reżyserował. Ktoś znacznie mądrzejszy i potężniejszy od niego. Mimo to było mu żal. Przede wszystkim tysięcy godzin, które tu spędził. Oraz planów, jakie się w tym czasie zrodziły. Miał wrażenie, że żegna się ze swoim domem. Tym prawdziwym. I to nie na swoich warunkach. Wiedział jednak, że to nie on będzie z tego powodu cierpieć.

Wyszedł z garażu. Po raz ostatni włożył klucz do kłódki. Po raz ostatni go przekręcił. A potem wrzucił do pierwszej napotkanej studzienki kanalizacyjnej.

Był już kilkaset metrów dalej, kiedy rozległ się huk. Odwrócił się. Po raz ostatni. Dym błyskawicznie dotarł do najwyższego piętra sąsiadującego z garażem bloku.

Wrzesień. Kilka dni po zakończeniu przesłuchań

Siedząc w ogródku piwnym, Anna Stelmach przyglądała się tętniącemu życiu rynkowi Manufaktury. Tłum zdominowany był przez wystrojonych w białe koszule licealistów, zmierzających do centrum handlowego, kręcących się wokół boiska do siatkówki plażowej albo siedzących na ławkach pomiędzy fontannami. Powietrze nieustannie przeszywały rozmowy na temat nowego roku szkolnego, nowej szkoły i nowych znajomych. A także szczery, niewymuszony śmiech.

Stelmach była sfrustrowana beztrąską tych dzieciaków. Ich młodzieńczą naiwnością. Ślepa, niczym nieuzasadnioną wiarą, że mogą przejść przez życie niepoobijani. Nieskażeni syfem, w którym ona nieustannie się taplała.

– Możesz już trochę wyluzować – odezwał się Łukasz Filipski, odkładając burgera na talerz. – Zrobiliśmy swoje. Przesłuchaliśmy wszystkich ludzi, którzy mogli mieć w tej sprawie coś do powiedzenia. Zebraliśmy mnóstwo informacji. Przygotowaliśmy obszerny i szczegółowy raport, który może się przydać komuś, kto postanowi dorwać Kawęckiego.

Stelmach patrzyła na Filipskiego z mieszaniną odrazy i złości. Nie potrafiła sobie przypomnieć, dlaczego się zgodziła wyjść z nim na piwo. Po kilku miesiącach wspólnej pracy nie mogła już na niego patrzeć. Na jego głupkowatą gębę, której nawet nieśmiało pojawiająca się łysina i okulary nie czyniły poważną. Zwłaszcza gdy pakował do niej absurdalnie duże kawałki bułki z wołowiną.

– Jak to możliwe, że o tym nie wiedzieliśmy? – spytała.

– Ostatnie dokumenty kryminalni przekazali nam dzień przed przesłuchaniem Kawęckiego. Pewnie zapomnieli dołączyć do nich jego wypowiedzenie.

– Zapomnieli?

Filipski wzruszył ramionami.

– Albo papier utknął w kadrach. Takie rzeczy się zdarzają.

– To nie tłumaczy, dlaczego w trakcie kilkudziesięciu godzin rozmów żaden z jego kolegów nawet się nie zająknął na ten temat.

– Może o tym nie wiedzieli.

– O tym, że najbardziej wkurwiający człowiek w wydziale zwolnił się z pracy?

– To możliwe.

– Ale mało prawdopodobne.

Stelmach zacisnęła pięść i przystawiła ją do ust, jakby chciała je sobie zmiażdżyć. Chociaż chętniej wepchnęłaby ją Filipskiemu w dupę. Nie wiedziała, czy bardziej wkurwia ją jego naiwność, czy lenistwo.

– Rozegrali nas jak dzieci – powiedziała. – Jakby to wszystko zaplanowali.

Przeżuwając burgera, Filipski pokręcił głową.

– Kawęcki to dziwak, ale nie samobójca – wymamrotał z pełnymi ustami. – Szczebiot podsunął nam ten gangsterski trop, żeby się na nim odegrać. Nie dlatego, że to ustalili. Nie popadajmy w paranoję. – Wytarł usta serwetką. – Zresztą jest to kompletnie nieistotne. Liczy się efekt. A ten jest taki, że Kawęcki znalazł się w dupie. Teraz tylko ktoś musi znaleźć twarde dowody, że współpracuje z gangsterami. I potraktować go jak jednego z nich. Ale to już nie nasze zmartwienie.

Stelmach spojrzała na swoje nietknięte piwo, a potem na opróżniony do połowy kufel Filipskiego. Był umazany sosem barbecue. Jakby się przelizał z teksańskim farmerem.

– Kawęcki czuł się zbyt swobodnie w naszym towarzystwie.

– Bo był nawalony.

– Drwił z nas. Nie wyparł się kontaktów z przestępcami ani tego, że im pomaga. Ale mówił o tym w taki sposób, jakby to było bez znaczenia. Tam musi chodzić o coś innego.

– O co?

– Nie wiem, kurwa – zdenerwowała się. – Gdybym wiedziała, tobym nie siedziała z tobą w jakimś ogródku, tylko próbowała coś z tym zrobić.

Filipski przełknął ostatni kęs burgera i popił go piwem. Zgarniał językiem resztki jedzenia z zębów, przez cały czas wpatrując się w Stelmach. Następnie poprawił zsuwające się z nosa okulary i pochylił się przed siebie.

– Posłuchaj – powiedział. – Oni tam prowadzą własne gierki. Mają jakieś wewnętrzne układy. Każdy z nich coś knuje. Ale nie wszyscy są przestępcami. Nawet jeśli Kawęcki ułożył się z Ryterem, inni nie musieli o tym wiedzieć. Najważniejsze, że nie jest już psem. I że

Szczebiot nie zarządza Wydziałem Kryminalnym. *Game over.* – Dwukrotnie klasnął w dłonie. – Możesz wziąć kilka dni wolnego i napić się piwa. Pograć z dzieciakami w siatkówkę. Albo pozwiedzać miasto. Założę się, że przez pół roku kursowałaś głównie między hotelem a komendą.

Stelmach zastanowiła się nad jego słowami. W zasadzie miał rację. Po raz pierwszy, odkąd tu przyszli.

– Wyluzuj – powtórzył Filipski.

Czując na sobie jego świdrujące spojrzenie, pokiwała głową.

– Wyluzuję – powiedziała. – Kiedyś.

– Nie wątpię. – Wstał od stolika i podciągnął spodnie. – Od początku wyglądałaś na osobę, która potrafi się relaksować.

Wszedł do restauracji i zaczął się rozglądać za toaletą. Stelmach, zapatrzona w blat, ledwo zauważyła, że zniknął. Była zatopiona we własnych myślach. Oplatała nimi coś, co nie dawało jej spokoju. Coś, czego nawet nie potrafiła nazwać.

Witold długo łomotał w drzwi mieszkania Kawęckiego. Nie doczekawszy się żadnej reakcji, pociągnął za klamkę. Było otwarte, więc ostrożnie wszedł.

Zanim pofatygował się na górę, przez dobrą godzinę siedział w samochodzie, obserwując blok. Widział, jak Kawęcki wchodzi do klatki z torbą wypełnioną alkoholem. Poruszał się, jakby miał poważne zaburzenia błędnika. Jak jeden z wielu osiedlowych pijaków, od dwudziestu lat kursujących między monopolowym a domem. Mijał sąsiadów niczym zjawą, której się wydaje, że nikt jej nie widzi. Jak

zombi ślepo łączące punkty startu i mety na swojej metafizycznej mapie, niezważające na nic ani na nikogo.

Dlatego wchodząc do jego mieszkania, Witold był pełen obaw. Nastawiał się na najgorsze. Na wielki finał. Na chorą, turpistyczną jatkę.

Ale czegoś takiego się nie spodziewał.

Kawęcki siedział na jedynym krześle, jakie miał w salonie. Leniwie palił papierosa i tępo wpatrywał się w podłogę, na której walały się zadrukowane od góry do dołu kartki, zdjęcia i śmieci. Miał na sobie poplamioną białą koszulkę. Tę samą, w której Witold widział go kilka dni temu. Na podłodze stała torba z alkoholem. Nietknięta. Jakby czekała na specjalną okazję.

Nie mając gdzie usiąść, Witold oparł się o biurko. Zapalił szluga.

– To było mniej więcej rok temu, chyba pod koniec sierpnia – odezwał się, przerywając przytłaczającą ciszę. – Jechaliśmy Aleksandrowską. Zamierzaliśmy złożyć wizytę właścicielowi niewielkiej hurtowni części samochodowych na Teofilowie. Facetowi, któremu gangsterzy z grupy Kacpra Kruka odcięli kawałek ucha, kiedy próbował wymigać się od haraczu. Byłeś wtedy w kiepskiej formie, ale założę się, że go pamiętasz.

Spojrzał na Kawęckiego. Wydawało mu się, że minimalnie skinął głową.

– Stwierdziłeś, że dostałeś cynk od jego szwagra. Miał ci powiedzieć, że właściciel hurtowni gotów jest ustawić zasadzkę w swojej firmie. Potrzebował tylko impulsu. Oraz gwarancji ochrony, gdyby coś poszło nie tak. Powiedziałeś, że facet pomoże nam uwalić grupę Kruka. O ile zdoła coś z siebie wydusić.

Witold rozejrzał się po pokoju. Sięgnął po zaaranżowaną na popielniczkę puszkę i strzepnął do niej popiół. Potem zerknął na Kawęckiego, który kiepował na drewniane panele podłogowe. Traktował swoje mieszkanie gorzej niż chodnik przed blokiem.

– O ile zdoła coś z siebie wydusić – powtórzył Witold. – Dopiero gdy poznaliśmy tego hurtownika, zrozumiałem, co miałeś na myśli. Facet strasznie się jąkał. Nie potrafił płynnie skleić choćby jednego zdania. Prawdę mówiąc, już nawet nie pamiętam, jak on wyglądał. Ale zakodowałem, że jąkała pomógł nam przyskrzycić Kruka.

Kawęcki podniósł głowę. Popatrzył na Witolda, ale się nie odezwał. Chwilę później ponownie się pochylił i zaciągnął papierosem. Wydmuchnął dym pod nogi, obserwując, jak rozplywa się na panelach.

– Nie mam pojęcia, dlaczego akurat to utkwilo mi w pamięci – kontynuował Witold. – Może to kwestia instynktu. Albo jakiegoś przekazu podprogowego. Trudno powiedzieć. W każdym razie gdy się dowiedziałem, o co podejrzewają cię ludzie z wewnętrznego, postanowiłem odnaleźć szwagra tego jąkały. Pogadałem z nim. I wiesz co? – Zaciągnął się po raz ostatni i wrzucił peta do puszek. – Powiedział, że nigdy z tobą nie rozmawiał. Nie miał pojęcia, kim jesteś. I z całą stanowczością zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek nazwał szwagra jąkałą. Nie chciał rozdrapywać rany, której facet nie potrafił wyleczyć. – Próbował złapać Kawęckiego wzrokiem, ale ten nadal bawił się w rozdmuchiwanie dymu. – Przy okazji odkryłem, że niedługo po tym, jak jego szwagier uwolnił się od grupy Kruka, zgłosił się do niego przedstawiciel handlowy firmy Herkules. Zaoferował mu usługi ochroniarskie. Facet się zgodził. Po tym, co przeszedł, było to dla niego oczywiste rozwiązanie. To dopiero zbieg okoliczności!

Nie podnosząc głowy, Kawęcki sięgnął po torbę z alkoholem. Wydobył półlitrową butelkę wódki. Odkręcił ją i pociągnął spory łyk. Rozkaszłał się, jakby miał za chwilę wypluć żołądek.

– Powinieneś pójść do lekarza – rzucił Witold. – Z każdym dniem wyglądasz coraz gorzej.

Kawęcki w końcu opanował kaszel. Wyprostował się. Spojrzał na Witolda nieobecny wzrokiem.

– Najpierw opowiem ci historię.

– O tym, jak zaczęła się staczać?

Kawęcki pociągnął kolejny łyk. Tym razem jego organizm przyjął go znacznie lepiej. Godniej. Jakby zrozumiał, że to nieuniknione. Albo że nie może histeryzować, ponieważ najgorsze dopiero ma nastąpić.

– O tym, jak zabiłem człowieka.

Prokurator Warga rozejrzał się po gabinecie. Zbliżył się do biurka i sięgnął po stojące na nim ceramiczne naczynie.

– Tykwa do yerba mate – wyjaśnił mu Adamski, który siedział w fotelu, z rękoma spoczywającymi na podłokietnikach. – Czasami piję ją zamiast kawy.

Warga zważył naczynie w dłoni i z aprobatą pokiwał głową.

– Słusznie. Nadmiar kofeiny podobno może doprowadzić do bezpłodności. – Odstawił naczynie i zatoczył ręką krąg. – Szybko się urządziłeś. Jak się czujesz w nowej roli?

Adamski wzruszył ramionami i wycisnął z twarzy skąpy uśmiech. Wskazał prokuratorowi fotel po drugiej stronie biurka. Prawnik posadził na nim cielsko, jakby chciał je roztrzaskać poślądkami.

– Mam wrażenie, że nic się nie zmieniło. Parę osób zadbało o to, żebym przyzwyczaiał się do bycia szefem kryminalnych, zanim oficjalnie nim zostałem.

– Miałeś mocne wejście. Dowiedziałeś się, kim jest zabójca, za którym twój poprzednik uganiał się miesiącami.

– Formalnie zrobił to jeszcze zespół Szczebiota. Ale to nie jego zasługa. Moja zresztą też nie.

– Nieważne. Liczy się to, komu została przypisana.

– To także nie jest twoja zasługa.

Prokurator ciężko westchnął.

– Dlatego tu przyszedłem. Żeby cię przeprosić za to, że w ostatnich dniach byłem niedostępny. Zwaliało mi się na głowę kilka prywatnych spraw, którymi musiałem się zająć. W tym czasie sporo się wydarzyło. Domyślałem się, że chciałbyś mi zadać kilka pytań. – Rozłożył ręce. – A więc słucham. Pytaj.

Adamski przeskanował go wzrokiem, jakby najbardziej nurtowało go to, w jaki sposób facet w średnim wieku może się tak potwornie utuczyć. Przypominał mu ludzika Michelin. Tyle że zdecydowanie bardziej ponurego.

– Czy to, co napisali w gazecie, jest prawdą?

– Tylko częściowo.

– Co to znaczy?

– Prawdą jest to, że prokurator Pszoniak miał... pewne skłonności. Dochodziły mnie o nich słuchy, ale traktowałem je jako głupie, krzywdzące plotki, rozsyłane przez ludzi pragnących zniszczyć mu karierę.

– Nie próbowałeś ich zweryfikować?

– Oczywiście, że próbowałem. I udało mi się to zrobić. Tyle że dopiero po jego śmierci. – Warga odchylił się na oparcie, wydymając otłuszczony brzuch. – A wtedy nie miało to już żadnego znaczenia. Krzywd, które Pszoniak wyrządził dzieciom i ich bliskim, nie dało się już cofnąć. Można było jedynie dołożyć nowe. Żonie, bliskim i kolegom Pszoniaka.

– Między innymi tobie.

Warga niechętnie kiwnął głową.

– W jaki sposób złagodziliście skutki tej publikacji? Przecież takim tematem powinny się zainteresować wszystkie ogólnopolskie media.

– To już słodka tajemnica rzecznika prasowego prokuratury i ludzi odpowiedzialnych za kontakt z mediami.

– Nie mogli przekupić wszystkich redakcji.

– Może nie musieli. Moim zdaniem wystarczyło przekonać kilku redaktorów, że grzebiąc w tym temacie, mogą wyrządzić krzywdę wielu niewinnym osobom. A oni najwyraźniej wykazali się miłosierdziem.

– Miłosierdziem? – Adamski uniósł brwi. – Chronienie pedofila nazywasz miłosierdziem?

– Posłuchaj. – Warga pochylił się przed siebie. – Dobrze, że jesteś nieustępliwy, bez tego nie mógłbyś być dobrym policjantem. Ale oprócz tego powinienes też wykazywać się empatią. I mieć świadomość, że zniszczenie życia kobiecie, która nie miała pojęcia, jakim zwyrodnialcem był jej mąż, nie przyniosłoby nic dobrego. Podobnie jak publiczne obsztorcowanie prokuratury. To oczywiście nie oznacza, że dobrze się stało. Gdyby to zależało wyłącznie ode mnie, prawda o Pszoniaku wyszłaby na jaw wiele lat temu. Ale bez twardych dowodów mogłem się tylko krzywo gapić na faceta, za którym ciągnęły

się śmierdzące pogłoski. Na gościa mającego zbyt szerokie plecy, żeby cokolwiek mogło mu się stać. Przynajmniej za życia.

– A co z Mają Zielińską? – Adamski skrzyżował ręce na piersi. – Według niej niczym się nie różnisz od Pszoniaka.

– Spotkało ją coś strasznego. Coś, co bezpowrotnie zniszczyło jej życie. Ale nie miałem z tym nic wspólnego. Przypadek zadecydował o tym, że została mi przydzielona jej sprawa.

– Jej oskarżenie to też przypadek?

– Nie, to błąd atrybucji.

– Co?

– Odwiedziłem ją w szpitalu zaraz po tym, jak została napadnięta. Byłem jedną z pierwszych osób, które zobaczyła po przebudzeniu. – Warga ścisnął usta i bezradnie rozłożył ręce. – W ten sposób padłem ofiarą jej traumatyzowanego umysłu.

Adamski uważnie przyglądał się grubasowi, który ponownie opadł na oparcie i wytarł dłonią spocone czoło. Próbował ocenić, czy mówi prawdę. Czy jego emocje są szczere. Czy pod skórą tego odstręczającego skurwysyna może kryć się coś, co nie wywołuje odrazy.

– Chciałbyś porozmawiać o czymś jeszcze? – spytał prokurator.

Blondyn się zawahał. Po rozmowie z Witoldem poprosił jednego z informatyków, aby przeanalizował obieg dokumentów związanych ze śledztwem w sprawie zabójstwa Magdy. Szukał dowodu na to, że to Warga wyciął z raportu informacje na temat Seweryna Kostki. Że to Warga próbował chronić zabójcę. Że to ten pieprzony spaślak stoi za tym wszystkim. Ale okazało się, że prokurator przesłał Szczebiotowi dokładnie taki sam plik, jaki do niego trafił. Nie zmienił w raporcie

nawet przecinka. A to oznaczało, że wzmianka dotycząca Kostki wypadła z dokumentu wcześniej. W momencie, w którym raport znajdował się w komputerze Adamskiego.

– Nie dzisiaj – odparł policjant.

Kiedy prokurator wyszedł z biura, Adamski wstał i podszedł do okna. Spojrzał na parking. Po kilkunastu sekundach pojawił się na nim Warga. Człapiąc do samochodu, przypominał Adamskiemu pingwina. Wyjątkowo wrednego i cwanego. Dość śliskiego, aby wywinąć się nawet z beznadziejnej sytuacji. Prokurator odwrócił się i spojrzał w kierunku okna. Naczelnik pozdrowił go krótkim machnięciem ręki.

– Obyś zdechł, ty tłusty skurwysynu – syknął, po czym włożył gumę do ust. Rozgryzł ją, jakby chciał sobie połamać na niej zęby.

Chwilę później rozległo się pukanie do drzwi. Do gabinetu weszła wysoka brunetka ze związanymi w kucyk włosami. Miała na sobie strój, w którym równie dobrze mogłaby się wybrać na zajęcia z fitnessu: czarne legginsy i obcisłą koszulkę. Trzymała w rękach kilka kartek.

– Co to jest? – spytał Adamski.

– Portrety pamięciowe – odparła. – Sąsiadka Henryki Świst, tej zamordowanej staruszki, przypomniała sobie, jak wyglądali dwaj faceci, którzy byli u niej w mieszkaniu. Uparła się, żebyśmy sprowadzili jej rysownika. Była strasznie upierdliwa, więc się zgodziliśmy. – Kobieta podała Adamskiemu kartki. – Kiedy przyszedł rysownik, przypomniała sobie, że dzień przed znalezieniem zwłok kręcił się na klatce schodowej jakiś podejrzany facet. Spotkała go na parterze. Według niej mógł wyjść z mieszkania Świst. Niestety,

zapomniała o nim wspomnieć tym dwóm gościom i śledczym, którzy później zebrali jej zeznania.

– Widziała, nie widziała, przypomniała sobie, zapomniała... czy jest sens sugerować się tym, co ta baba wygaduje?

– Nie wiem. Brzmi to tak, jakby niedawno zmieniła leki. W każdym razie rysownik sporządził także portret tego trzeciego faceta. Pomyślałam, że będziesz chciał rzucić na to okiem.

Adamski odprawił policjantkę i zamknął za nią drzwi. Stał przed biurkiem i przyjrzał się rysunkom. Ciężko sapnął i zaklął pod nosem. Wiedział, że właśnie zmaterializowały się na nich trzy upiory, które będą prześladować go przez wiele następnych miesięcy.

– Nazywał się Norbert Korecki. Wszyscy mówili na niego Korek. Wyjątkowo nieprzyjemny typ. Wychowany przez rodziców degeneratów i ziomków ze Śródmieścia. Zagorzały ełkaesiak, który z czasem wstąpił do nabojski. Już jako gówniarz sprawiał problemy. Kradł, wdawał się w awantury, dilował na niewielką skalę. Był wymarzonym kandydatem na okładkę podręcznika o nieletnich lumpach.

Kawęcki zrobił pauzę, żeby zapalić papierosa i otworzyć piwo. Pomachał puszką Witoldowi, ale ten nie miał ochoty na alkohol. Ani na cokolwiek innego. A na pewno nie na opowieść, którą Kawęcki właśnie mu serwował.

– Prawie dziesięć lat temu chłopaki z narkotykowego zawinęły Korka. Miał przy sobie trochę palenia i fetę, łącznie około dziesięciu gramów. Za mało, żeby wlepić mu handel i wsadzić do pierdła na wiele lat. Ale wystarczyło, by go nastraszyć i zmusić do wsypania szefa.

Kawęcki strzepnął popiół na podłogę, a potem przejechał dłonią po twarzy. Utkwił wzrok w punkcie pomiędzy masywnymi butami Witolda, który nadal opierał się o biurko.

– Niespełna trzy lata temu dowiedziałem się, że Korek został jednym z żołnierzy Mariusza Rytera. Wschodzącej gwiazdy lokalnego biznesu. Faceta, o którym już wtedy mówiono, że rozwija swój ochroniarski interes dzięki wymuszeniom. Postanowiłem usiąść na Korcu. Wiedziałem, że będę w stanie przekreślić tego pajaca. Sprawić, że wysypie swojego szefa. Zacząłem obserwować Korca, czekając, aż popełni błąd. Aż wystawi się na tyle, że będę mógł go zawinąć.

Kawęcki wypalił papierosa po sam filtr. Zerknął na podłogę, szukając odpowiedniego miejsca, żeby go zgasić, kiedy Witold wyciągnął w jego kierunku puszkę przerobioną na popielniczkę. Zdążył, zanim Kawęcki wyrzucił kiepa pod nogi.

– Któregoś dnia pojechałem za Korciem na Targową. Zaparkowałem pod kamienicą, w której mieszkała jego dupa. Przez kilka godzin siedziałem w samochodzie, czytając książkę, pocąc się jak świnia i nabierając przekonania, że muszę być skończonym kretyńcem, skoro czekam, aż gangster skończy posuwać jakąś bzdziągwę. – Kawęcki parsknął, rozbawiony swoimi słowami. – Ale w końcu się doczekałem. Choć niekoniecznie tego, na co liczyłem.

Zamilkł. Spojrzał na Witolda.

– Z kamienicy wybiegła zakrwawiona kobieta. Słaniała się na nogach. Wrzeszczała, kompletnie roztrzęsiona. Chciała, żebym pomógł komuś, kto został w budynku. Jakiejś innej kobiecie. Wziąłem więc broń i wszedłem do kamienicy.

– Ta zakrwawiona była dupą Korca? – zapytał Witold.

– Na początku tego nie wiedziałem. Nie poznałem jej. Ale zrozumiałem to, gdy wspinałem się po schodach. – Kawęcki pokręcił głową. – Wydaje mi się, że już wtedy wiedziałem, czym to się skończy. Że włączając na górę i wsłuchując się w odgłosy dobiegające z kolejnych mieszkań, byłem w pełni świadomy, co się za chwilę wydarzy. Jakbym potrafił zwizualizować swoją najbliższą przyszłość. Tyle że jakiś wewnętrzny głos nie pozwolił mi się jej przeciwstawić.

– Co zobaczyłeś na górze?

Kawęcki włożył kolejnego papierosa do ust. Zapalił. Mocno się zaciągnął i wypuścił dym pod nogi. Następnie podniósł głowę i spojrzał na Witolda. Uśmiechnął się. Najbardziej ponurym uśmiechem, jaki Witold kiedykolwiek widział.

Było przynajmniej kilkadziesiąt miejsc, w których Możejko mógł trzymać towar. Stare portfele, szafki z ubraniami, pudełka po butach, książki, skrzynka na narzędzia, kieszenie spodni. W ciągu pół godziny przetrząsnął wszystkie zakamarki w mieszkaniu. Znalazł kilka tytek. Ale z drobin, jakie w nich zostały, mógł co najwyżej uformować parodię kreski. Maleństwo, nad którym nawet nie warto się pochyłać. Sięgnął więc po telefon i wybrał numer. Znał go na pamięć, bo jego właściciela nie chciał mieć na liście kontaktów.

Kiedy skończył rozmowę, usiadł przed laptopem. Popatrzył na to, co udało mu się od rana napisać. Na niecałą stronę nieskładnej bazgraniny, bardziej przypominającej wpis do pamiętnika nastolatka niż rozdział poważnego reportażu. Tekst, który nigdy nie powinien przepłynąć przez jego umysł. A już na pewno nie powinien dotrzeć do palców i rozlać się

na ekran. Zastanawiał się przez chwilę, co z nim zrobić. W końcu zaznaczył cały tekst i usunął go jednym kliknięciem.

– Kurwa!

Wstał od biurka. Poszedł do kuchni. Włączył czajnik. Nie zamierzał robić sobie herbaty ani kawy. Chciał jedynie, żeby bulgot gotującej się wody wypełnił pomieszczenie. Dobijała go zarówno cisza, jak i muzyka. Chciało mu się jednocześnie płakać i wrzeszczeć. Wyniszczała go beczyność, ale nie czuł się na siłach, żeby pracować. Był rozdrażniony. Zmęczony nieustannym rozedrganiem. Rozdarty. Beznadziejnie zawieszony między słabym hajem a trzeźwością.

Nienawidził zjazdów narkotykowych. Ale w tym momencie jeszcze bardziej nienawidził siebie. Za to, że się w nie notorycznie wpędzał. Jak leming bezmyślnie ciągnący na skraj przepaści.

Chwilę później jego telefon zawibrował. Możejko wyciągnął go z kieszeni szarych dresów i spojrzął na wyświetlacz. Numer, którego nie chciał mieć w kontaktach. Odebrał.

– Co ty odpierdalasz?

Zdenerwowany, piskliwy głos. Należący do chłopaka z nieudolnym irokezem i gównianym tatuażem na szyi.

– Kim są ci ludzie?

– Jacy ludzie? – zdziwił się Możejko.

– Nie zgrywaj się. Mówię o tych dwóch schabach, którzy czają się pod twoim blokiem.

Mozejko poczuł, jak uginają się pod nim nogi.

– To psy? – zapytał diler.

– Nie mam pojęcia.

– Chcesz mnie, kurwa, wjechać na minę?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Wyjrzyj przez okno. Tylko zrób to tak, żeby cię nie zauważyli.

Możejko ostrożnie podszedł do parapetu. Delikatnie rozchylił żaluzje i spojrzał w dół.

– Nikogo nie widzę.

– Czarne audi. Dwóch typów w okularach przeciwsłonecznych. Jeden z nich ma wąsy.

– A ty skąd to wiesz?

Możejko próbował wychwycić dźwięki otoczenia, ale dobiegał do niego jedynie warkot motocykla.

– Stoję jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Ci dwaj goryle gapią się na twoje okna.

Możejko przeszedł do sypialni. Ponownie wyjrzał przez okno. Tym razem wyraźnie widział czarne audi zaparkowane po drugiej stronie ulicy. A w nim dwóch ponurych facetów, którzy bez trudu mogliby udawać agentów CBA. Tyle że zamiast garniturów mieli na sobie czarne koszulki, szczelnie opinające ich muskularne ciała.

Patrząc na nich, Możejko poczuł się tak, jakby granat eksplodował mu w żołądku.

– Co teraz? – zapytał.

– Jeśli chcesz odebrać towar, musisz po niego wyjść. Będę na parkingu przy skrzyżowaniu Jaracza z Kilińskiego. Ale najpierw pozbądź się tych schabów.

– Jak?

– Nie wiem, kurwa. Wymyśl coś.

Chłopak się rozłączył.

Możejko przez dobre kilka sekund bezmyślnie wpatrywał się w telefon. W końcu rzucił go na kanapę i zaklął. Złapał się za głowę.

Czuł się jak szczur w klatce. Pozbawiony nadziei na ratunek. Upokorzony. Wmanewrowany w grę, której nie mógł wygrać. Wepchnięty w życie, którego nie chciał. Wciągnięty w koszmar, z którego nie da się wybudzić.

Zaczęło się, pomyślał.

Tylko jedno mu pozostało. Nie zastanawiając się długo, zwinął banknot w rulon i pochylił się nad parodią kreski.

Witold obmacał kaburę. Był to odruch bezwarunkowy. Automatyczna reakcja na wieść, że siedzi naprzeciwko zabójcy. Sięgnął po broń, choć nie musiał i nie powinien tego robić. Ale po chwili cofnął rękę.

Nie miał pojęcia, co zrobi z informacjami, które przekazał mu Kawęcki. Ani co zrobi z nim. Wiedział jedynie, że go nie zastrzeli. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu nie był w stanie wyrządzić mu krzywdy.

– Korek nie miał przy sobie broni – odezwał się Kawęcki. – Żadnego pistoletu, noża, kastetu. Niczego. Okładał tę dziewczynę gołymi pięściami. Może nawet nie zamierzał jej zgwałcić, tylko za coś brutalnie ukarać. W jedyny sposób, jaki przyszedł mu do łba. Jedyny, jaki znał. Ale to nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Wydaje mi się, że jeszcze zanim tam wszedłem, zdecydowałem, że go zabiję. Nie było już odwrotu.

– Co się później stało? – spytał Witold.

Kawęcki zaciągnął się papierosem. Wpatrując się w punkt na podłodze, odtwarzał w głowie przebieg wypadków.

– Potem wydarzenia potoczyły się dwutorowo. Zacząłem po sobie sprzątać. Wygoniłem tę gówniarę z mieszkania. Powiedziałem dupie Korca, żeby opatrzyła jej rany i zabrała ją w bezpieczne miejsce. Starłem swoje odciski palców. Upewniłem się, że w okolicy bloku nie ma kamer, które mogłyby mnie uchwycić. Wsiadłem do samochodu i pogałem zatankować na najbardziej oddaloną stację benzynową, jaka przyszła mi do głowy. Chciałem zminimalizować prawdopodobieństwo, że w momencie zabójstwa mogłem przebywać w centrum. Później zadzwoniłem do swojego partnera.

– Szczebiota?

Kawęcki kiwnął głową.

– Potrzebowałem kogoś, kto potwierdzi moje alibi. I kto pomoże mi sfałszować wyniki badań balistycznych.

– Jezu Chryste – westchnął Witold.

– Wciągnąłem go w ten syf wbrew jego woli. Zostawiłem mu taki sam wybór, jaki teraz daję tobie. – Kawęcki spojrział na niego. – Możesz albo żyć z tą wiedzą i konsekwencjami zachowania jej dla siebie, albo zakuć mnie w kajdanki i odprowadzić do aresztu.

Wyciągnął przed siebie ręce. Czekał.

– Nie wziąłem bransoletek – odparł Witold bardziej beztrąsko, niż zamierzał. Jednak po chwili ponownie się zasepił. – Mówiłeś, że wydarzenia potoczyły się dwutorowo.

– Kiedy sprzątałem po sobie, dupa Korca zadzwoniła do Rytera. Kretynka powiedziała mu, że gdy jeden z jego ludzi próbował zatłuc jej córkę, jakiś chojrak z policji wparował do mieszkania i go sprzątnął. Opisała mój wygląd i samochód. Tydzień później zadzwonił do mnie Ryter. Chciał pogadać o tym, co się wydarzyło na Targowej.

Powiedział, że ma dla mnie propozycję nie do odrzucenia. – Kawęcki zgasił papierosa w puszcze, którą Witold zostawił przed jego nogami. – Wiedział o mnie wszystko. Gdzie mieszkam, czym się zajmuję, kogo ostatnio wsadziłem do pierdła. Co zwykle pijam i w którym barze. Był świetnie przygotowany.

– Kazał ci pracować dla siebie?

– Nie wprost. Umówiliśmy się, że będzie wystawiał mi przedsiębiorców, od których jego koledzy po fachu ściągają haracze. Moją rolą było przekonanie ich, żeby zgodzili się stawiać zasadzki na gangusów, a potem zeznawać przeciwko nim. Oprócz tego miałem Ryterowi podrzucać informacje, dzięki którym mógłby w sposób nieskrępowany rozwijać swoją organizację. Inaczej mówiąc: chciał, żebym zdejmował go z policyjnych radarów.

– I ty się na to wszystko zgodziłeś? – zdziwił się Witold. – Przecież nie miał żadnych dowodów, że to ty zabiłeś Korka.

– Sąsiedzi.

– Widzieli cię?

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Na pewno byli gotowi to zeznać po tym, jak Ryter im zapłacił. Zresztą on wcale nie potrzebował twardych dowodów. Wiedział, że wystarczy rzucić na mnie cień podejrzenia, żeby moje alibi się rozsypało.

Kawęcki spuścił głowę. Zapatrzył się w stojącą obok krzesła butelkę wódki.

– Wiesz, co zrobiłem na koniec tego feralnego dnia? Kiedy już zatarłem ślady i ustaliłem ze Szczebiotem plan działania? Upiłem się w samochodzie. Pojechałem do lasu i schlałem się jak świnia, słuchając

Rolling Stonesów. Jak w jakimś tandetnym filmie akcji. – Sięgnął po ostatniego papierosa i potrząsnął pustą paczką. – Zadzwoiłem wtedy do Teresy. Kazałem jej spierdalać. Powiedziałem, że nie chcę jej więcej widzieć. Że ma zniknąć z mojego życia. – Spojrzał Witoldowi głęboko w oczy. – I była to chyba jedyna dobra rzecz tamtego dnia.

Przez co najmniej minutę siedzieli w milczeniu, paląc papierosy i wsłuchując się w dochodzące sprzed klatki odgłosy szczekania. Witold wpatrywał się w brudne, okopcone okno, w którym ledwo można było dostrzec sąsiednie bloki. Czuł się w tym mieszkaniu jak w grobie. Sześć stóp pod ziemią. Zakopany pod społeczeństwem. Rozminięty z rzeczywistością, do której ani on, ani Kawęcki nie pasowali.

– Dlaczego mi o tym powiedziałaś? – spytał.

Kawęcki długo się zastanawiał, co mu powiedzieć.

– Nie wiem – wymamrotał, gapiąc się w podłogę. – Coraz mniej rozumiem swoje decyzje. Zaczynam wierzyć, że to nie ja je podejmuję.

– A kto?

Kawęcki bezradnie pokręcił głową.

– Ktoś, kto mnie szczerze nienawidzi.

Alicja była już solidnie zmęczona, kiedy ujrzała na horyzoncie park na Zdrowiu. Zerknęła na zegarek. Dwadzieścia minut. Dwa lata temu, kiedy przygotowywała się do maratonu, potrzebowała tyle czasu, żeby się rozgrzać. Naoliwić mięśnie. Zniwelować ból, spowodowany tysiącami mechanicznych mikrouszkodzeń, które fundowała sobie w każdym kolejnym biegu. Po dwudziestu minutach zwykle rozpoczynał się jej właściwy trening: serie truchtu przeplatane półminutowymi sprintami. Ale teraz nie było o tym mowy. Nie tuż po powrocie do

biegania. Nie w momencie, gdy stres łąpczywie pożerał tlen, który powinna pompować w swoje mięśnie.

Właściwie nie planowała powrotu do biegania. Ale chciała coś sobie udowodnić. Przede wszystkim to, że nie da się zastraszyć. Że stać ją na to, aby wyjść na wieczorny jogging. Oddalić się od cywilizacji. Pobyć z dala od miejsc uważanych za bezpieczne. To był jej środkowy palec. Pokazany Adamowi Wardze i jego świcie. Gnojom, którzy zniszczyli jej samochód. Pozbawionym jaj redaktorom naczelnym i wydawcom. A także odstręczającym gadom z policji. Chciała udowodnić wszystkim próbującym jej zaszkodzić, że mogą ją pocałować w dupę.

O ile zdołają ją dogonić.

Przez mniej więcej minutę biegła ulicą Wieczności, wzdłuż wysokiego muru Cmentarza na Mani, a następnie skręciła w Biegunową. Potem odbiła w lewo i wkroczyła do parku. Zwolniła, uważając, aby nie zrobić sobie krzywdy w długiej ciemnej gęstwinie. Widoczność sięgała jedynie kilku metrów i choć Alicja rozświetlała sobie drogę czołówką, ledwo zauważała pozrywane podczas ostatnich nawałnic gałęzie, które skrzypiały pod podszwami jej butów.

Starła się biec w rytm muzyki. Quit Your Dayjob. Szwedzki punk rock. Muzyka, w której znajomi słyszeli tylko bełkotliwy łomot. Jedyna będąca w stanie zagłuszyć jej myśli. Doprowadzić do tego, że chociaż na chwilę przestanie się wszystkim przejmować.

Po kilku minutach przedzierania się przez park ustabilizowała oddech. Wyrównała krok. Wepchnęła słuchawki głębiej do uszu, aby gitarowe riffy jeszcze mocniej bombardowały jej mózg. Uśmiechnęła się. O ile pozwalało jej na to zmęczenie rozszarpujące organizm od środka.

Nie słyszała mężczyzny, który od dłuższego czasu biegł za nią. Nie miała pojęcia, że kiedy ona cieszyła się ze złapania równego tempa, on przyspieszył i zaczął zmniejszać dzielący ich dystans. Dopiero gdy światło jego czołówki mignęło tuż przed jej nogami, zorientowała się, że nie jest sama.

Nie przerywając biegu, obejrzała się przez ramię. Nie miała pojęcia, kim jest ten człowiek. Widziała jedynie przedzierającego się przez krzaki mężczyznę, który zmierzał w jej kierunku, mimo że mógł wybrać dziesiątki innych tras. Dlatego nie miała wątpliwości co do jego intencji. Nie mogła ich mieć.

Wyciągnęła słuchawki z uszu i rzuciła się do ucieczki.

Po przebiegnięciu kilkudziesięciu metrów odbiła w prawo, sądząc, że w ten sposób uda jej się szybko wydostać z gęstwiny. Pamiętała, że od zachodu park sąsiaduje z osiedlem domków jednorodzinnych. Gdyby zdołała tam dobiec, byłaby bezpieczna.

W szczycie formy potrafiła pokonać maraton poniżej czterech godzin. Dotarcie do majaczącego w oddali światła latarni powinno jej zająć nie więcej niż minutę. Ale teraz, po przebiegnięciu zaledwie kilku kilometrów, jej nogi były jak z waty, a ona czuła, że błyskawicznie opada z sił. Jakby ktoś włożył jej rurę do gardła i zarządził ekspresowe wypompowywanie energii.

Do ulicy wciąż było daleko, a goniący ją mężczyzna był coraz bliżej. Kiedy światło jego latarki parokrotnie przecięło jej drogę, Alicja zrozumiała, że nie zdoła mu uciec. I że musi walczyć, żeby przeżyć.

Zatrzymała się i odwróciła o sto osiemdziesiąt stopni. Odruchowo przyjęła gardę.

Ścigający ją facet zwolnił, a po chwili zaczął maszerować w jej stronę. Był wyraźnie wyższy i cięższy od Alicji. Miał na sobie strój moro oraz glany, w których zaskakująco zwinnie się poruszał. Ciężko oddychał. Oślepił ją promieniem wystającej spod kaptura latarki, przez co nie widziała dobrze jego twarzy. Ale nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Wiedziała, gdzie znajdzie szczękę. I że jeśli dobrze w nią trafi, wygra. Przetrwaj. Ucieknie z tej choleralnej dżungli.

Kiedy facet zbliżył się na odległość mniej więcej dwóch metrów, natarła na niego. Wyprowadziła cios. Włożyła całą siłę w określone kopnięcie na głowę. Trafiła. Tyle że nie w szczękę. Mężczyzna przewidział jej ruch i zasłonił się przedramieniem. A po chwili się na nią rzucił.

Jak tylko przygniótł ją swoim ciałem, zrozumiała, że jej taekwondo jest głównie warte. Żadne z desperackich, wyprowadzanych na oślep uderzeń nie mogło wyrządzić mu krzywdy. W dodatku miała wrażenie, że za moment zmiążdży jej płuca. Zaczęła więc wrzeszczeć.

Wtedy ją uderzył. Potem jeszcze raz. A gdy po chwilowym zamroczeniu doszła do siebie i ponownie się wydarła, zrobił to po raz kolejny.

Alicja poczuła metaliczny posmak w ustach. Krew z rozciętej wargi i poharatanych dziąseł ściekała jej prosto do gardła. Chciała splunąć facetowi w twarz, ale nie zdążyła, ponieważ odwrócił ją na drugą stronę, jakby była lalką, i docisnął jej ciało do wilgotnej gleby. Wbijając kolana w kręgosłup Alicji, sięgnął po przymocowaną do spodni krótkofalówkę. Zatrzeszczała.

– Mam ją – powiedział, z trudem łapiąc oddech.

Alicja przestała się szamotać. Wiedziała, że to nie ma sensu. Że jest zbyt zmęczona, by się wyrwać. Dała sobie czas na regenerację. Na zebranie sił do ataku. Na podjęcie ostatniej próby, aby wyjść z tego cało.

Ale było już za późno.

Nieznacznie przekrzywiła głowę i zobaczyła, że przez las przebijają się kolejne snopy światła. Chwilę później wylądowały obok jej twarzy. Wraz z dwoma parami ciężkich wojskowych butów. Napastnicy ukucnęli i unieruchomili jej ręce. Jeden z nich wepchnął jej jakąś szmatę do ust. Następnie pochylił się tak, żeby mogła go zobaczyć. Ściągnął kaptur.

Nie miała pojęcia, kim jest. Przez jego pomarszczoną gębę, porośniętą gęstą czarną brodą i porytą głębokimi bruzdami, przebiegał szeroki uśmiech. Jakby napastnik uczestniczył w jakiejś chorej grze. I najwyraźniej dobrze się przy tym bawił.

– Mogłaś pomyśleć dwa razy, zanim napisałaś ten artykuł – powiedział.

Zamienił się miejscami z facetem, który w ciągu kilkadziesiąt sekund zdołał ją dogonić, pobić i obezwładnić. Siadając Alicji na udach, jeszcze mocniej docisnął jej ciało do ziemi. Wyciągnął z kabury nóż myśliwski. Rozciął jej legginsy. Następnie to samo zrobił z majtkami. Kiedy skończył, wbił nóż w mokrą glebę. Tuż obok twarzy. Chciał, żeby widziała ostrze. Żeby miała świadomość, jak niewiele dzieli ją od ratunku. I żeby jeszcze bardziej cierpiała, wiedząc, że nie może nic zrobić.

Zaczął się mocować z paskiem w spodniach. Po chwili poczuła na pośladkach zimną sprzączkę.

A potem czuła już tylko ból.

Przypisy końcowe

1. Ang.: Ludzie żyjący w szklanych domach nie powinni rzucać kamieniami.

[\[wróć\]](#)